



Święta Maria
od Wcielenia
Guyart-Martin

Tłumaczenie książki:

*Vie de la Vénérable Marie de l'Incarnation Ursuline
née Marie Guyart, Fondatrice du monastère de Québec
par une religieuse du même Ordre* [MARIE DE CHANTAL THIBAUT],
Paris 1893.

Tłumacz, rok, miejsce – nieznane – lata 20-30-te XX wieku.

Korekta : s. Ewa Dziura, s. Dorota Mostowska, s. Daria Klich

O AUTORZE

M. Marie de Chantal Thibault, była czwartym dzieckiem w rodzinie liczącej jedenaścioro dzieci. Urodzona w Nantes 23 sierpnia 1852 roku, Aimée rozpoczęła szkołę u urszulanek w wieku trzech i pół roku. Od 1862 do 1866 roku była pensjonarką i ze świetnym wynikiem skończyła cykl szkolny u urszulanek. Ojciec zapisał ją następnie na inny kurs dla uzyskania dyplomu podstawowego i wyższego, który w roku 1870 skończyła z sukcesem. W 1873 roku wstąpiła do nowicjatu urszulanek w Nantes, gdzie jej siostra Virginia właśnie złożyła śluby. Siostra Marie de Chantal złożyła śluby 24 września 1875 roku.

Pozostając przez 15 lat mistrzynią starszych klas, pisała podręczniki pedagogiczne dla swych wychowanek takie jak: *Historia literatury francuskiej*, *Historia literatur obcych*, *Skrót Historii Literatur*. W 1923 ukazało się 68 wydanie tego ostatniego dzieła. W 1890 roku, przy poparciu mons. Ludwika Baunarda, rektora Katolickiego Wydziału w Lille, zwrócono się do niej z prośbą o napisanie biografii Czcigodnej Marii od Wcielenia. Po skończeniu tej pracy została powołana na stanowisko mistrzyni nowicjatu. W ciągu 6 lat była przełożoną, następnie od 7 sierpnia 1900 zastępczynią przełożonej. Równocześnie pracowała nad wydaniem wykładów p.t. *Elementarne lekcje filozofii*, które zredagowała dla swych uczennic.

Wybrana znów przełożoną w 1903 roku, już po ukazaniu się *Motu proprio*, proponowała wspólnocie przystąpienie do Unii. Akt afiliacji został podpisany 12 stycznia 1906 roku.

W lipcu tego samego roku, szkoła urszulanek w Nantes została zamknięta na mocy rozporządzenia rządu. Zakonnice otrzymały rozkaz wyjazdu z początkiem września. Po poszukiwaniach w Belgii domu do wynajęcia, przełożona nabyła posiadłość w Merbes le Château, dokąd z początkiem września wyjechała pierwsza grupa wygnanek. Dwadzieścia pięć zakonnice pozostało na miejscu na znak protestu, podczas gdy kilka siostr w stroju świeckim nadal prowadziło apostolskie dzieło: Kurs Blanche de Castille i szkołę St. Marie.

6 listopada przyszło pierwsze wezwanie od prokuratora, a za nim następne do stawienia się przed sądem w dniu 1 lutego 1907 roku. Rankiem 4 maja 1907 r. policja i żandarmi otoczyli klasztor. Zakonnice znalazły schronienie u zaprzyjaźnionych rodzin i wyjeżdżały do Belgii małymi grupkami, z wyjątkiem ośmiu siostr, które trwały w tzw. *domu oporu* w habitach oraz zakonnice, które w stroju świeckim nadal prowadziły nauczanie.

W samym środku tej zawieruchy m. Marie de Chantal dowiedziała się, że została wybrana na sekretarkę generalną i powinna udać się do Rzymu. Nietrudno wyobrazić sobie, jakiej ofiary wymagało to zarówno od niej, jak i od wspólnoty. (*Droga do Jedności*, s.145)

Wrocław 2015

DO UŻYTKU WEWNĘTRZNEGO

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I	Narodziny w Tours – Rodzina - pierwsze łaski (1599 -1617)	1
ROZDZIAŁ II	Małżeństwo Marii Guyart - kobieta chrześcijańska (1617 – 1619)....	6
ROZDZIAŁ III	Młoda wdowa – samotność - upokorzenia (1620 – 1624)	11
ROZDZIAŁ IV	Nowicjat w świecie. Dary nadprzyrodzone - wezwanie do zakonu św. Urszuli (1625 – 1630)	19
ROZDZIAŁ V	Urszulanki i ich misja. Wstąpienie Marii Guyart-Martin do urszula- nek w Tours 1631.....	30
ROZDZIAŁ VI	Nowicjat. Młody Klaudiusz. Doświadczenia wewnętrzne - Profesja (1631 – 1633)	36
ROZDZIAŁ VII	Wizja Kanady. Nauczanie nowicjuszek. Serce Jezusa (1633 – 1636).....	47
ROZDZIAŁ VIII	Nadzieje i doświadczenia związane z Kanadą (1636 - 1639).....	55
ROZDZIAŁ IX	Wyjazd z Tours – Paryż – Dieppe – Podróż morska - 1639	65
ROZDZIAŁ X	Kanada około 1639. Początki apostołstwa	79
ROZDZIAŁ XI	Smutny pobyt na Basse-Ville. Seminarium indiańskie i dobrzy neo- fici Marii od Wcielenia (1640 – 1643).....	88
ROZDZIAŁ XII	Cierpienia wewnętrzne. Dwa powołania (1640-1643)	101
ROZDZIAŁ XIII	Pierwszy klasztor na Haute-Ville (1645-1650)	111
ROZDZIAŁ XIV	Maria od Wcielenia i epoka męczeństw w Kanadzie (1642 – 1650)..	123
ROZDZIAŁ XV	Pożar klasztoru i jego odbudowa. Śmierć m. Marii od św. Józefa (1651 – 1654).....	135
ROZDZIAŁ XVI	Matka i syn (1647 – 1660)	150
ROZDZIAŁ XVII	Relacje z Francją – przyjaciele i rodzina.....	162
ROZDZIAŁ XVIII	Relacje Marii od Wcielenia z kolonią (1654 – 1663)	172
ROZDZIAŁ XIX	Ostatnie przełożństwo. Stan kraju i klasztoru (1663-1670)	189
ROZDZIAŁ XX	Modlitwa, życie wewnętrzne i cnoty Marii od Wcielenia.....	207
ROZDZIAŁ XXI	Ostatnie apostołstwo. Śmierć Marii od Wcielenia (1670 – 1672)	219

ROZDZIAŁ I

Narodziny w Tours – Rodzina - Pierwsze działanie łaski (1599 – 1617)

„Kiedy w Hiszpanii Teresa od Jezusa, słusznie nazwana *Serafinem Karmelu*, przechodziła do nieba, we Francji rodziła się Maria od Wcielenia”. Tymi słowami promotor wiary rozpoczyna proces beatyfikacyjny wielkiej urszulanki, której życie mamy zamiar opisać. Streszczając główne etapy jej życia we Francji i w Kanadzie, dodaje: „Ta Służebnica Boża zdawała się praktykować cnoty reformatorki Karmelu w takim stopniu, że sama została nazwaną *Teresą Ameryki*. Mamy nadzieję, że słuszność tego porównania, użytego po raz pierwszy prawdopodobnie przez Bossuet’a¹, udowodni następujące opracowanie.

Był schyłek XVI wieku, wypełniony krwawymi walkami Reformacji, kiedy od wiary odstąpiło wiele niegdyś katolickich państw. Mało brakowało, by i Francja nie wyrzekła się wiary Karola Wielkiego i św. Ludwika. Rozdarta przez długie wojny religijne, doczekała się wreszcie dni zmartwychwstania i pokoju: dobry król Henryk starał się zagoić jej rany i marzył o przywróceniu dawnej sławy. Bóg zawsze miłosierny, dał Kościołowi szereg wybranych, którzy mieli naprawić poniesione straty. Francja ujrzała wówczas w swoim łonie wielu przyjaciół Bożych, między którymi Maria od Wcielenia miała zająć trwałe miejsce².

Urodziła się na brzegu Loary, w mieście Tours, 28 października 1599 r. w dniu świętych Apostołów Szymona i Judy. Nazajutrz po urodzeniu została ochrzczona w kościele św. Saturnina i otrzymała imię Maria, które było zapowiedzią czulej miłości, jaka miała ją łączyć z Królową Niebios. Jej ojciec, Florian Guyart, należał do klasy robotniczej, która od stu lat szczególnie podniosła dobrobyt materialny regionu Tours. Pracował w przemyśle jedwabniczym, stanowiącym główne bogactwo kraju, a jednocześnie spełniał obowiązki majstra cechu piekarskiego³. Był on jednym z tych uczciwych rzemieślników i gorliwych chrześcijan, którzy wywierali niezaprzeczalny wpływ w swoim otoczeniu. Umiał on nie tylko ustrzec się od zgubnych wpływów Hugonotów, których było wielu w fabrykach tekstylnych w Tours, ale nawet był wybierany na rozjemcę w ich sprawach. Zaufanie to zjednały mu jego szczególne przymioty, a mianowicie duża znajomość spraw publicznych, sprawiedliwość i prawość. Małżonka Floriana Guyart, Joanna Michellet była natomiast bliską krewną rodziny Babou de la Bourdaisière, wsławionej w rocznikach Tours. Filibert Babou, burmistrz Tours, kazał wybudować pośrodku miasta wspinały hotel de la Bourdaisière, zwany potem hotelem Rządu, gdzie - w czasach, gdy Tours było uważane za drugą stolicę królestwa - niejednokrotnie przebywali królowie, od Franciszka I do Ludwika XIII. Syn Filiberta, Jan, jako *człowiek honoru*, jak się wyraża Brantôme, piastował najwyższe urzędy na dworze Walezjuszków. Dwie jego córki oraz wnuczka ksieni Anna, o której wkrótce powiemy, poświęciły się Bogu w opactwie benedyktyńskim w Beaumont-les-Tours, położonym na połu-

¹ *États d'oraison*, 1857, s. 593.

² W XVII w. żyła jeszcze inna Maria od Wcielenia, Madame Acarie (1565-1618) fundatorka pierwszego Karmelu we Francji.

³ Wyjaśnienie o dwóch zawodach Floriana Martin znajduje się w aktach procesu beatyfikacyjnego.

dniu, w pobliżu miasta. Jak się to stało, że Joanna Michelet pochodząca z możnej rodziny zaślubiła skromnego rzemieślnika? Przyczyniły się do tego zapewne klęski majątkowe, których doświadczyła jej rodzina w tych czasach niepokoju i wewnętrznych zamieszek. Zresztą pani Guyart mogła zostawić dzieciom trwalsze dobro niż sławę wielkiego nazwiska. Ta dzielna i wierząca kobieta umiała pozyskać ich dusze dla Boga. Czy Maria była najstarsza? Tego nie wiemy, lecz na pewno miała trzy siostry, z którymi do starości utrzymywała serdeczną przyjaźń⁴. Zdaje się, że cztery siostry nie miały innej wychowawczyni prócz matki, o ile możemy sądzić po postawie Marii, to wychowanie w ognisku domowym było poważne i światłe, a przede wszystkim głęboko chrześcijańskie.

Maria lubiła nieraz przytaczać, łącząc je z dziękczynieniem, drogie jej wspomnienia z dzieciństwa. Pisała: „Dobre wychowanie, jakie otrzymałam od moich rodziców, którzy byli bardzo pobożni, przygotowało w mojej duszy grunt do wszystkich praktyk chrześcijańskich. Gdy o tym myślę, dziękuję Bogu za łaski, których mi udzielał w tym względzie, gdyż jest wielką pomocą do cnoty, a nawet wysokiej doskonałości, być od lat najmłodszych w rękach nakłaniających do dobrych przyzwyczajeń”. Maria Guyart pisała do jednej ze swych sióstr: „Przypominam sobie, że nasza droga matka, gdy znajdowała się na chwilę sama wśród swych zajęć, korzystała z tego czasu, by czynić bardzo gorące akty strzeliste. Słyszałam ją w tych chwilach, mówiącą Panu Jezusowi o swoich dzieciach i wszystkich swoich potrzebach. Nie masz pojęcia, jaki to zostawiło ślad w mojej duszy. Oto jeden z przykładów domowych, które winniśmy cenić ponad inne”⁵.

Wieczorem, po pracowicie spędzonym dniu, lubiano wspominać częściej niż wielkie czyny Babou de la Bourdaisière wzruszający obraz świętego de la Touraine, pokornego Franciszka z Paoli, z którym Opatrzność złączyła rodzinę Guyart⁶. Maria opowiada: „Mój dziadek, jak również jedna z babek, jego siostra, opowiadali nam często o zdarzeniach z jego życia, aby utrwalić to w naszej pamięci. Ojciec ich a mój pradziadek był wysłany przez Ludwika XI do Włoch, aby uprosić u papieża przybycie świętego zakonnika i towarzyszyć mu w drodze do Francji. Pradziadek miał to szczęście, że mu towarzyszył, a święty z wdzięczności zachował wielką przyjaźń dla niego i dla jego dzieci, szczególnie dla mnie, dodawał nasz dziadek”. Rodzice często prowadzili ich do Plessis, aby odwiedzić tego świętego człowieka, który zawsze pieścił syna i kreślił krzyż na jego czole, mówiąc: „Niech Bóg cię błogosławi, moje dziecko”⁷. To błogosławieństwo wielkiego cudotwórcy XV wieku, przełane na Floriana Guyart przez jego ojca, wydało najpiękniejszy owoc w jego małej Marii.

Dziecko rosło, pełne szczerości i prostoty. Maria miała około siedmiu lat, kiedy Jezus dał jej po raz pierwszy usłyszeć swój głos. „Pewnej nocy, podczas snu, wydawało mi się, że byłam na podwórku wiejskiej szkoły, oddając się wraz z jedną z moich koleżanek jakiejś niewinnej za-

⁴ Według późniejszych badań przeprowadzonych przez Dom Oury, państwo Martin mieli ośmioro dzieci z których Maria była czwarta, *Przestrzenie ziemi i przestrzenie nieba*, s. 7.

⁵ List z 3.09.1645.

⁶ Franciszek z Paoli, (ur. 21.03.1416 w Paoli, zm. 2.04.1507 w Tours w wieku 91 lat). Założyciel zakonu braci mniejszych, minimitek oraz III zakonu tej gałęzi franciszkanów.

⁷ List do syna, 16.09.1661 roku. Inne szczegóły cytowane znajdują się w książce *Vie de dom Claude Martin*, napisanej przez dom Martène.

bawie. Gdy podniosłam oczy, ujrzałam otwarte niebo i Zbawiciela, który zstępował i przychodził do mnie. Widząc Go, zawołałam do mojej towarzyszki: »Ach! Oto nasz Pan przychodzi do mnie« I wyciągnęłam ramiona, by Go uściskać. Wówczas ten najpiękniejszy z synów ludzkich z obliczem pełnym słodyczy i niewysłowionego uroku sam mnie uściskał, a serdecznie mnie całując, powiedział: »Czy chcesz być moją?«. Odpowiedziałam: »Tak«. Po otrzymaniu mojej zgody powrócił do nieba. Po przebudzeniu tak byłam przejęta tą wielką łaską, że z prostotą ją opowiadałam każdemu, kto mnie chciał słuchać. Zwłaszcza słowa Pana Jezusa tak się wryły w moim umyśle, że nigdy zeń nie wyszły”.



Historyk Marii odnotowuje: „Jezus, wstępując do nieba, zabrał ze sobą jej serce i ducha tak, że jedno i drugie wciąż się wznosiło ku Niebu: ten boski pocałunek nappełnił jej serce taką pobożnością, że odtąd nie przestała za Nim biec”.

Droga była otwarta, droga wybranych, na której koniecznie trzeba przewodnika: Jezus sam temu zarządził przez cudowne wylanie Ducha Świętego na tę dziewiczą duszę. Od tej chwili Maria miała Mistrza, który nią kierował we wszystkich sytuacjach. Zwracała się do Niego z wielką prostotą, gdy potrzebowała rady, a On jej dawał światła⁸. Nowe horyzonty, te które Pan odsłania *prostym i maluczkim*, ukazywały się dziewczynce, gdy zaczynała się modlić.

Pisała: „Pociągnięta odczuciem dobroci Boga, który wysłuchuje tych, co Go serdecznie proszą, chodziłam często do kościoła, a ukrywszy się w jakimś kąciку, by mnie nikt nie widział, pozostawałam tam większą część dnia. Serce moje gorąco pragnęło tego zjednoczenia z Bogiem, a byłam tak dziecinna, że nie wiedziałam, iż było to rozmyślanie... Miałam te same pragnienia względem Najświętszej Panny, którą ogromnie chciałam ujrzeć przed śmiercią. Codziennie Ją o to prosiłam. Oto jak dobroć Boża powoli chciała przygotować mnie do wielkich rzeczy, gdybym była od początku wierna Jego natchnieniom. I w swojej prostocie uważam za niemożliwe, by Bóg nie wysłuchał, gdy Go proszono pokornie. Och! mówiłam sobie, widząc w kościele jakiegoś wiernego modlącego się w postawie, jaka odpowiadała mojemu pojęciu o prawdziwej modlitwie, »Bóg z pewnością wysłucha tę osobę, bo prosi z pokorą«. Dziwiono się w jej otoczeniu, że dziewczynka ośmioletnia może tak długie godziny przebywać w kościele i że tak lubiła kazania. „Ale nie wiedziano, co wewnętrznie odczuwałam i jakie były skutki Dobroci naszego Pana względem mnie. Od dzieciństwa słyszałam, że Bóg mówi przez usta kaznodziejów, co mi się zdawało cudowne i co za tym idzie, z gorliwością ich słuchałam, chociaż wiele nie rozumiałam. Docierały do mnie fakty przytoczone z Biblii, które opowiadałam po powrocie z kościoła. Prócz tych *historii* co innego jeszcze pociągało Marię do parafialnego kościoła jej rodziców pw. Św. Saturnina. Jest to jedna z najbogatszych świątyń w Tours, które posiadało ich wówczas wiele i to godnych uwagi. Roczniki Tours opowiadają, że między

⁸ C. MARTIN, *Vie de la Vénérable Mère Marie de l'Incarnation*, Paris 1677, s. 5.

innymi dziełami sztuki było tam osiem rzeźb przedstawiających epizody z życia Chrystusa, oddanych z wielkim artyzmem. Maria od dzieciństwa miała upodobanie w rzeczach pięknych, a szczególnie w rzeźbach religijnych. Ujrzymy później Marię od Wcielenia celująca w robotach artystycznych dla ozdoby ołtarzy: może wspomnienia dziecinne obudziły w niej to poczucie. Ceremonie religijne również przemawiały do jej duszy: Pisała: „Zdawały mi się tak piękne i święte, że nic podobnego poza kościołem nie widziałam”.

Najmilszą jej zabawą po powrocie do domu było odtwarzać je ze swymi siostrami i koleżankami. Dzieci urządzały procesje, biły się w piersi, przyklękały, wygłaszały nawet kolejno małe kazania. Wszystko to odbywało się z wielką powagą i dziecięcą prostotą. Tak zabawa mieszała się z pobożnością. Gdy była starsza, Maria wyrzucała sobie te dziecinadę: „Nie dlatego, abym sądziła, że w tym dobrowolnie obraziłam Boga, ale dlatego, że Duch Święty, który był we mnie, wymagał ode mnie większej czystości serca”. Możemy sobie wyobrazić, jakim wybranym mieszkaniem była ta dziewicza dusza, gdy Jezus wszedł do niej po raz pierwszy i z jaką miłością powtórzyła to *fiat* zupełne i wielkoduszne, wypowiedziane w siódmym roku życia. Nie mamy żadnych szczegółów o tym wielkim akcie, który wówczas nie odbył się tak uroczyście jak dzisiaj. Był to początek łańcucha nowych łask, które odtąd Maria czerpała w częstej Komunii św., wkrótce nawet codziennej i to nawet mimo ogólnej oziębłości, spowodowanej rozprzestrzeniającym się protestantyzmem.

W tym czasie, na początku XVII wieku, Duch Święty wzbudzał w wielu duszach ten sam święty zapał i przygotowywał godnych podziwu bohaterów wiary katolickiej. Jedni, jak święty Józef Kalasanty, błogosławiony Jan de la Salle, błogosławiony Piotr Fourier byli powołani do utworzenia dzieł wychowania, inni jak św. Piotr Klawer, apostoł Afrykańczyków i niezrównany święty Wincenty a Paulo, mieli być żywymi obrazami Miłosierdzia Bożego względem wszystkich cierpień ludzkich. Maria, już jako dziewczynka, oddała się wszystkim natchnieniom Boskiego Mistrza. Miłosierdzie względem ubogich porwało ją od pierwszego przejawu świadomości i stało się siłą jej duszy. Regiony Tours i Anjou, będąc widownią wojen domowych, które wybuchwały podczas regencji Marii Medycejskiej, przeżywały różne klęski. To spowodowało, że do dużych miast przybywało więcej nędzarzy. W Tours musiano kilkakrotnie wydać surowe zakazy przeciw żebrakom, którzy napływali do jego murów.

Opowiadają, że podczas surowej zimy 1616 r. większość ubogich tego miasta umarła z głodu. Maria Guyart, mimo swych skromnych środków, stała się dla nich opatrnością. „Tak kochałam ubogich, że wołałam ich towarzystwo od innych ludzi; wzbudzali we mnie takie współczucie, że sama bym się za nich poświęciła. To mnie pociągało do wielu niedoskonałości, gdyż dawałam im wszystko, co mogłam znaleźć w domu mego ojca i dopuściłam się w tym wielu nadużyć; ale sądziłam, że dobrze robię. Pewnego razu nasz Pan wyświadczył mi wielką łaskę z ich powodu. Niosąc jałmużnę dla kilku z nich, znalazłam się w pobliżu wozu, który ładowano z tylnej strony. Robotnicy, nie widząc mnie, podnieśli mnie w górę wraz z dyszlem, o który się zaczepiła moja suknia. Po czym zrzucili mnie gwałtownie na bruk. Gdy to spostrzegli, struchleli, bo sądzili, że jestem zmiażdżona, gdyż dyszle były długie, ale nic mi się nie stało. Uwierzyłam wte-

dy, że nasz Pan mnie zachował dzięki ubogim. Nie umiem wypowiedzieć, jakiej przykrości doznawałam, gdy im odmawiano jałmużny. To samo uczucie miałam dla chorych, którym służyłam według sił, nigdy mi się z nimi czas nie dłużył. Bez żadnego wstrętu niekiedy jadłam po nich resztki”.

Lecz ogień boski, zniewalający jej serce do poświęcenia, nie zadawała się tymi uczynkami miłosierdzia co do ciała. Maria знаła i odczuwała ból, jaki Kościołowi zadawała herezja. Słyszała opowiadania o tych dalekich krainach, zaludnionych niewiernymi, gdzie za przykładem św. Franciszka Ksawerego odważni apostołowie nieśli światło Ewangelii. Szerzenie Królestwa Bożego na ziemi, zguba lub zbawienie dusz - oto, co ją wówczas zajmowało. Pisała później: „Wydaje mi się, iż Bóg od dzieciństwa przygotowywał mnie do łaski, jaką posiadam obecnie. Moja myśl często biegła do tych dalekich krajów, patrząc na wielkie czyny tych, co tam pracowali i cierpieli dla Chrystusa. Serce moje czuło się złączone w sposób niezwykły z misjonarzami. Pragnęłam mieć ich usta, aby nawracać grzeszników ich słowami. Czasem porywał mnie taki zapal, że gdyby mnie wzgląd ludzki nie powstrzymywał, pobiegłabym za tymi, którzy się oddawali zbawieniu dusz”. Nikt z jej otoczenia nie podejrzewał uczuć tak wzniosłych. Dopiero później ona sama, gdy była bardziej oświecona w sprawach Bożych, zrozumiała nieskończoną cenę tych łask, przygotowujących ją do życia apostołskiego. Co do dzielenia się nimi, a nawet mówienia o swoim powołaniu ze spowiednikiem, nie było o tym mowy. Maria sądziła wówczas i długo jeszcze potem, że na spowiedzi powinna się ograniczyć do wyznania win.

Jaka była Maria Guyart w stosunkach rodzinnych około piętnastego i szesnastego roku życia, możemy się domyśleć z fragmentów jej relacji duchowych i listów. Uległa względem rodziców, chętnie poddawała się wymaganiom ich skromnego stanowiska, ćwiczyła się w zajęciach kobiecych, w których później celowała. Usposobienie jej było łatwe, wszystko brała z dobrej strony, pracę jak odpoczynek, a odpoczynek jak pracę. Bóg jej zawsze udzielał tej łaski. Aż nadto uprzejma dla wszystkich, nie opanowała jeszcze wówczas naturalnej żywości, właściwej gorącemu i szlachetnemu jej charakterowi. Miła jej wesołość skłoniła nawet jej matkę do przypuszczenia, że jest powołana do życia w świecie. „Dzięki temu złudzeniu, jakie mają świeccy, przypuszczała, że wesołe usposobienie nie godzi się z powołaniem zakonnym”. A Maria do tego życia czuła pociąg. Gdzie Opatrzność skieruje jej kroki? Nie знаła karmelitanek, które świeżo założyły swój dom w Tours i wiedziała tylko o klasztorze zakonu św. Benedykta w Beaumont. Opatka tego klasztoru, Anna de la Bourdaisière była, jak już powiedzieliśmy, krewną pani Guyart. Może Pan Bóg tam wyznaczył jej miejsce?

Maria wspomina: „Przedstawiłam swoje pragnienie mojej matce, która mnie nie zniechęcała, raczej okazała uznanie, zapewniając, że Matka de la Bourdaisière, tak życzliwa dla nas, nie byłaby przeciwną przyjęciu mnie do swego domu, gdyby wiedziała na pewno, że to jest boskie natchnienie. Ponieważ jednak sprawa była tak ważna, wymagała dłuższego zastanowienia się. Było to rozsądne postanowienie, jednakże przez ten czas Bóg, którego drogi są niepojęte dla naszego słabego rozumu, nasunął inne myśli jej rodzicom i wprowadził w wir świata tę duszę, która miała być jedną z najbardziej kontemplacyjnych dusz w swoim stuleciu.

ROZDZIAŁ II

Małżeństwo Marii Guyart - Kobieta chrześcijańska (1617 – 1619)

Mijały dni i miesiące. Pani Guyart zdawała się nie pamiętać o pragnieniach córki i o obietnicy pozwolenia na wstąpienie do opactwa Beaumont. Maria ze swej strony powstrzymywała postawą bojaźliwego szacunku, nie śmiała nalegać na matkę. Wyobrażała sobie, a Bóg dopuszczał to dla swoich celów, że ponieważ szczerze przedstawiła swoje zamiary usunięcia się od świata, powinna więc teraz w milczeniu czekać na ich spełnienie.

Jednak mimo tej przykrej niepewności zachowywała zwykłą swobodę i wesołość tak, że rodzice, jak powiedzieliśmy, byli przez nią zwiedzeni, a naturalne uczucie przyczyniło się do przekonania, że ich droga Maria nie miała prawdziwego powołania, lecz tylko marzyła o klasztorze. Maria pisała później do swego syna: „Jestem pewna, że Dobroć Boża nie chciała mnie wówczas ani w Beaumont, ani w żadnym innym zakonie. Wnioskuje z tego, co nastąpiło później według Woli tej Boskiej Opatrzności. Byłbyś zdziwiony, mój drogi synu, gdybyś znał szczegóły, jakie ci będą odkryte w wieczności. Trzeba było, bym znosiła trudy małżeństwa”. A w innym miejscu pisze: „Dawałam się prowadzić na oślep moim rodzicom, słuchając ich jak samego Boga, gdyż nie wiedziałam wówczas, iż istnieją kierownicy i kierownictwo duchowne”.

Gdy jej przyszły mąż zaczął się starać o rękę Marii, rodzice chętnie ją z nim zaręczyli. Prawie bez wiedzy dziewczyny zdecydowano o tym poważnym akcie, który miał ją wciągnąć w życie zupełnie różne od tego życia skupienia, do którego dążyła od najwcześniejszych lat. Małżonek, którego jej dali, Klaudiusz-Józef Martin, pochodził z zacnej rodziny, bardzo przywiązanej do wiary katolickiej. Prowadził on w Tours fabrykę towarów tekstylnych, zatrudniającą znaczną liczbę robotników. Gdy pani Guyart przedstawiła córce, co zostało postanowione w sprawie jej przyszłości, odpowiedziała: „Moja matko, ponieważ to już jest postanowione i ojciec mój tego pragnie, sądzę, iż jestem obowiązana poddać się waszej woli. Lecz jeśli Bóg raczy mi dać syna, przyrzekam, iż go poświęcę na Jego służbę, a jeśli potem wróci mi wolność, którą mam stracić, obiecuję również oddać się sama”. Jak zobaczymy później, te słowa miały okazać się prorocze.

Było to w październiku 1617 roku, Maria kończyła osiemnaście lat. Jej zalety, które budziły pełen szacunku podziw, więcej jeszcze zachwycaly oczy Tego, który bada tajniki serca. Wyrzekając się swoich najdroższych marzeń dla spełnienia Woli Bożej, Maria przyjęła z Jego rąk małżonka, jakiego jej przeznaczył.

Łaska sakramentu małżeństwa, który św. Paweł nazywa wielkim w Chrystusie i w Kościele, działając bez przeszkody w jej duszy, złożyła tam zarodki gruntownych cnót, jakimi Piśmo św. ozdabia męzną niewiastę. Po ślubie trzeba było opuścić dom rodzicielski i te położone w pobliżu czcigodne świątynie św. Saturnina i św. Marcina. Fabryka pana Martin znajdowała się prawdopodobnie w parafii Saint-Pierre des Corps, czyli na wschodnim przedmieściu Tours. Wszystko przemawia za tym, że zamieszkali tam zaraz po ślubie. Jako mężatka uważała swego

męża za zastępcę Boga i oddawała mu wszelkie możliwe przysługi, dla jego pięknych przymiotów duszy i ciała kochała go serdecznie, ale jeszcze bardziej dla spełnienia Woli Bożej. Jej miłość opierała się bardziej na łasce niż na naturze. Maria okazywała ją nie czułymi pieszczotami, lecz uosobieniem wesołym i otwartym, które umiała łączyć z pełną szacunku powagą.

Pan Martin nie mógł nie ulec urokowi tej doskonałej małżonki, której szczęścia gorąco pragnął. Mówiła później do syna: „Twój ojciec był tak dobry, że pozwalał na wszystkie moje pobożne praktyki i będąc człowiekiem szlachetnym i bojącym się Boga, nawet znajdował w nich przyjemność”. Z niektórych szczegółów jej życia widzimy, że znajdowała się wówczas w położeniu pozwalającym korzystać z rozrywek tak upragnionych przez świat i które mogły pociągnąć osiemnastoletnią kobietę. Maria pisała: „Nasz Pan odjął mi wszelkie upodobanie w tych rzeczach, skłaniając mój umysł ku poszukiwaniu dobra, którego jeszcze nie znałam, a byłam zdecydowana szukać”. Ograniczając więc rozmowy i odwiedziny do koniecznych, oddawała się swoim obowiązkom pani domu. Ażeby zaś mieć czas na karmienie swej duszy jakimś czytaniem duchownym, wyrzeka się odtąd czytania książek błahych i świeckich, co czyniła poprzednio dla wytechnienia i rozrywki. Obdarzona zmysłem szybkiej orientacji, pani Martin zdała sobie jasno sprawę z handlowych interesów męża i postanowiła mu pomagać w miarę sił. Zamiłowana do pracy i porządku, wciąż była zajęta: przędła lub haftowała złotem i jedwabiem, w czym celowała.

Główną jednak jej troską było szerzenie Królestwa Bożego w jej domu przez zamknięcie, jak się wyraża jej historyk, wszelkiego wstępu dla grzechu, szczególnie wśród robotników i służących. Dzielni ci ludzie prędko spostrzegli, że Maria uważa ich za swoje dzieci, zaradzając ich potrzebom z macierzyńską miłością. Oni ze swej strony okazali jej pełne szacunku przywiązanie i czuli się zniewoleni jej słodką i stanowczą powagą. Zdobyła sobie ich serca, zagrzewała do praktykowania dobrych uczynków i obowiązków chrześcijańskich, obawiając się, by nie popełnili jakiej winy, za który Bóg odwróciłby od nich wzrok i odmówił swej opieki domowi. Starła się, aby się często spowiadali. Miło było słuchać, jak nasza apostołka po powrocie z kazania, otoczona tą gromadką pracowników, powtarzała im to, co słyszała, dodając w razie potrzeby swoje uwagi. Aby ich nie zrażać, wybierała na te poufne pogadanki czas posiłków, gdy byli zebrani. Ponieważ Duch Święty mówił przez jej usta, wypowiadała się z wielką łagodnością. Trudno wyrazić, jak obfite owoce wydały te początki pracy apostołskiej. Ona sama odkrywa nam źródło, którego brały początek jej rodzinne cnoty. „Czytałam psalmy i wciąż cytaty z nich przychodziły mi na pamięć. Posługiwałam się nimi przy sposobności, wierząc silnie, że wszystko, co było powiedziane przez Ducha Świętego, było prawdą, że prędzej świat się zapadnie, aniżeli te słowa nie odniosłyby skutku. Idąc więc do zajęć, polecałam je Bogu tym aktem, który mi wszedł w zwyczaj: *In te Domine speravi, non confundar in aeternum*”.

Otoczenie tej młodej kobiety dziwiło się, podobnie jak to było w jej dzieciństwie, widząc ją tak pilną w swoich domowych obowiązkach i jednocześnie tak ścisłą w praktykach religijnych. Lecz nie domyślono się, że w tej wiośnie życia duchowego łaska wlewała w jej duszę obfite dary. Szukając tylko Boga, znajdowała Go wszędzie. Maria wyznaje: „Znajdując Go wśród towarzystwa świeckiego, widziałam jak te osoby oddawały się radości i rozmawiały o

rzeczach błahych. To mnie bardzo poruszało i skarżyłam się na to naszemu Panu: »Wszyscy o Tobie zapominają, mój Boże, ale ja Cię będę pieścić za nich«. Opuszczają Boga, by myśleć o fraszkach - czy to nie bolesne? Gdybym mogła wziąć i zmienić te serca i te wole w rzeczywistości, jak to czyniłam w pragnieniach, prędko by Go pokochały. Ale niestety! Będąc sama nicością, mogłam tylko ofiarować je Bogu, aby On je usposobił do oddania się Jemu i opuszczenia nicości dla Tego, który jest wszystkim”. „Dobroć obok siły, to boskość na ziemi”, powiedział znakomity biograf. Te słowa w sposób nadzwyczajny Maria wcielała w latach swojej młodości. W całej jej postaci odbijało się piękno połączenia godności, prostoty, naturalności i skromności, sam ich widok dawał odczucie rzeczy boskich. Była wysoka i dobrze zbudowana, o majestatycznej postawie. Jej syn powtarza znaną tradycję, że gdy szła przez ulice Tours, wszyscy będący w domach i sklepach przerywali swą pracę, by na nią popatrzeć, jak to się robi względem książąt i wielkich świata, a gdy znikła im z oczu, mówili jakby w zachwycie ku niebu: *Oto pani Martin*⁹.

Wpływ jej promieniował na zewnątrz. Opowiadała w swych relacjach: „Niekiedy spotykając grupę ludzi, którzy bluźnili Imieniu Bożemu lub wymawiali słowa nieprzyzwoite; zbliżałam się do nich, aby widząc mnie zamilkli, ponieważ byli tak biedni, że zapominali o Tym, który jest wszędzie obecny. Bardzo mnie to poruszało, że milkli ze względu na mnie, słabego stworzenia, a nie czynili tego dla Boga. Korzystałam z tej sposobności, by im mówić o Jego sądach i karach, jakie zsyła na grzeszników, co tak ich zawstydzало, że głośno wyznawali swoje winy i obiecywali poprawę”.

Zdarzyło się, że pewna biedna matka, której syn był wmieszany w sprawę kryminalną, w obecności Marii poddawała się rozpacz. Obawiano się, że straci rozum a nawet życie. Maria daremnie próbowała ją uspokoić pobożnymi słowami, wreszcie wierna wewnętrznemu natchnieniu, objęła tę nieszczęśliwą kobietę, przycisnęła czule do serca i tym gestem miłości przywróciła jej spokój i rezygnację. Innym razem pewien uczciwy mieszkaniec z Tours został niesprawiedliwie uwięziony. Pani Martin podjęła się udowodnić jego niewinność. Odwiedziła sędziów, którzy ją z początku odepchnęli, dziwiąc się, a nawet gorsząc jej naleganiem, aby cofnęli wyrok. Jednak gdy sprawa się wyjaśniła, przyznano, że miała rację, a łańcuchy spadły wkrótce z rąk jej protegowanego. Gdy ta gorliwa chrześcijanka odczuwała wewnątrz pokój i pociechę, dręczyła ją bolesna próba. Ciężkie doświadczenia, o których wspomina w swoich pismach, spadły na nią wkrótce po ślubie. Trudno określić, jakiego były rodzaju. Jej dyskrecja i miłość zaledwie uchyla rąbek zasłony, jaką rzuciła na te bolesne wspomnienia. Wiemy tylko, że przyczyną ich był jej mąż, chociaż nieświadomie i bez zamiaru. To właśnie uczyniło ranę głębszą i dłużej krwawiącą. „Bóg chciał przygotować duszę do swoich łask i oczyścić ją przez doświadczenie”. Jej cierpliwość była heroiczna. Gdy pan Martin poznał prędko swój błąd, ale nie mógł zapobiec wszystkim jego skutkom, przejęty był do głębi. Płakał z rozczulenia nad swoją młodą małżonką i często na kolanach przeproszał za cierpienie, które jej sprawił. Krewni, przyjaciele a nawet słudzy, znając powód jej zmartwienia, nie mogli, jak pisał ojciec Klaudiusz Martin, patrzeć na nią bez współczucia. Maria

⁹ C. MARTIN, *Vie de la Vénérable Mère Marie de l'Incarnation*, s. 622.

uśmiechała się do tych życzliwych serc, podwajała swoją uprzejmość względem męża i milczała przed stworzeniami, aby słuchać Boskiego Mistrza, który nigdy lepiej nie poucza, jak w czasie ucisku. To było jej największą podporą.

„Przypominałam sobie często, co mi się zdarzyło w dzieciństwie, mianowicie pieszczoty naszego Pana, a to wspomnienie dawało mi pragnienie należenia całkowicie do Niego. Wzdychałam do Jego świętej bliskości i używałam wszystkich znanych mi środków, które mogłyby mnie doprowadzić do tego celu”. Środki te nie były rzeczami nadzwyczajnymi, ale zwykłe i proste praktyki chrześcijańskie. Pisała później o latach swego małżeństwa: „Czułam, że Bóg tak pociągał moje serce, iż nie mogłam wątpić, że jestem na drodze do prawdziwej pobożności, a znałam tylko jedno: dobrze się modlić, służyć Bogu przez uczęszczanie do sakramentów św. i nie popełniać świadomie żadnego grzechu”.

To był solidny fundament, na którym miał się wznieść gmach prawdziwej świętości. Słowo Boże pozostało dla Marii jedną z największych pociech. W jej oczach żaden kaznodzieja nie był marny, czciła wszystkich, którym Bóg powierzył ten urząd. Wspominając o tym, Maria mówi: „Pragnęłam całować ślady ich stóp, gdyż nic nie było dla mnie tak wielkim jak to święte Słowo. Gdy je słyszałam, zdawało mi się, że moje serce było naczyniem, do którego spływał drogocenny napój”. W takich chwilach niejednokrotnie potrzebą jej gorącej duszy było dzielenie się tym z otoczeniem. Posłyszawszy raz kazanie o Świętym Imieniu Jezusa, tak się zapaliła, że cały dzień powtarzała: »Jezus! Jezus!«, nie mogąc zaprzestać. Gdy pewien zakonnik kapucyn głosił kazania podczas Wielkiego Postu, opowiadając Mękę Pańską, tak ją to przejęło, że za przykładem Najświętszej Dziewicy zachowała te tajemnice w swoim sercu. Maria pisała potem: „Teraz, gdy mam więcej doświadczenia w życiu duchowym, uznaję, że dobroć Boża uprzedzała mnie wówczas wielkimi łaskami i napełniała mnie błogosławieństwami swojej dobroci.... Zaczynałam mówić do Boga w sposób wewnętrzny, który był dla mnie nowy i nieznany. Słyszałam, że trzeba rozmyślać, lecz nie sądziłam, aby to, co moje serce mówiło do Boga, było rozmyślaniem; wiedziałam jednak, że to były dobre uczucia, gdyż mnie umacniały w praktyce cnót”.

Pani Martin tak urządziła swoje zajęcia domowe, że jej praktyki pobożne w niczym nie przeszkadzały. Nikt na tym nie ucierpiał, przeciwnie, wszyscy, jak zauważył jej syn, podziwiali jej wzrost łaski i energii, jaki sprawiało w niej codzienne bywanie na Mszy św. i uczestniczenie w sakramentach. „Te zbliżenia się naszego Pana dawały mi wielką odwagę i słodycz duszy, wraz z żywą wiarą w te Boskie tajemnice. Im więcej uczęszczałam do sakramentów św., tym większe czułam ich pragnienie, poznając z doświadczenia, że znajdowałam w nich moje życie i wszystkie moje dobra i że mój pociąg do modlitwy bardzo się przez nie wzmacniał”.

„Świętość i wspaniałość ceremonii kościelnych przywiązywały mnie również do naszego Pana w niezwykły sposób. Rozpływam się w dziękczynieniach, że spodobało Mu się dać mi się narodzić z rodziców chrześcijańskich i katolickich oraz że powołał mnie do Kościoła świętego”. „Gdy widziałam na procesjach wiernych idących za krzyżem i chorągwią, przejmował mnie dreszcz radości. Zauważyłam kiedyś w naszej dzielnicy kapitana, za którym na ćwiczenia wojkowe szli żołnierze z chorągwią; a widząc krzyż mego Zbawiciela, mówiłam sobie: » Ach, oto

mój Wódz! Oto Jego sztandar, za którym chcę iść jak żołnierze idą za swoim« - tak szłam na procesję z oczyma utkwionymi w krzyż, powtarzając w sercu: »Tak, oto mój Boski Wódz, za którym chcę iść»”.

Św. Teresa mówi: „Jakież znamię wielkości Kościół wyciska na wszystkim, co ustanawia”. To samo uczucie wiary, pełnej szacunku, przejmowało Marię podczas uroczystości religijnych, które kochała całą duszą. Chętnie pierwsza przychodziła do kościoła, by w nich uczestniczyć. Jej gorliwość nie była spowodowana naturalną ciekawością. O. Martin napisał: „Podczas gdy podnosiła oczy, by oglądać te święte ceremonie, duch jej był oświecony światłem wewnętrznym, które dawało jej pojąć ukryte ich znaczenie i tajemne związki, a ponieważ nie miała jeszcze przewodnika duchowego, Duch Święty posługiwał się symbolami, aby w niej wzniecić żarliwość w wierze i nabożeństwie”.

Marię Martin czekały nowe obowiązki macierzyńskie, gdyż według zamiaru Opatrzności miała przejść wszystkie stany życia. Pisała później do syna: „Sądzę i zawsze tak myślałam, że Bóg pociągał mnie do siebie tylko po to, by doprowadzić do skutku zamiar twego przyjścia na świat i dla znoszenia cierpień, o których wiesz”. Klaudiusz urodził się 2 kwietnia 1619 roku w samo święto św. Franciszka z Paoli, szczególnego opiekuna rodziny Guyart. Ojciec Edmund Marmartène¹⁰ opowiada: W wigilię tego dnia Maria ponowiła pielgrzymkę, tak drogą dla mieszkańców Tours. Na przeciwnym brzegu Loary, dwa kilometry w górę od Tours rozciągały się wówczas zabudowania i przyległości opactwa Marmoutier, z którego dziś pozostały jedynie ruiny. Wspomnienie pierwszego biskupa Tours, św. Gracjana, który urządził sobie schronienie w tym dzikim pustkowiu, mieszało się tu z pamięcią św. Marcina drugiego patrona miasta. Ten ostatni zgromadził w jednym miejscu, w grotach wykutych w nadbrzeżnych skałach, pierwszych zakonników, jakich posiadała zachodnia Galia. Tak więc Marmoutier albo wielki klasztor /*majus monasterium, grand Mounier*/, założony na tej ziemi, nie przestawał być dla całej prowincji ogniskiem łask i światła. Kto mógł przewidzieć, że ta, która przybyła tu, aby ofiarować Panu dziecko, które nosiła w swoim łonie, że jej syn stanie się kiedyś jednym z najślawniejszych następców tego samego św. Marcina w zarządzie sławnym klasztorem?

Trzy dni po narodzeniu dziecko otrzymało w kościele Saint-Pierre-des-Corps, wraz z łaską chrztu świętego, imię Klaudiusza. Jego matka była szczęśliwa, cieszyła się myślą, że ma możliwość wychować duszę dla Boga według czystych zasad chrześcijańskich. Zebranie rodzinne z tej okazji było ostatnią radością zakosztowaną w tym domu, który wkrótce miała okryć żałoba. Ostatnie nieszczęście poprzedziły klęski majątkowe. Złość pewnej osoby, której imienia ojciec Martène nie wymienia, wciągnęła pana Klaudiusza Martin w kłopoty finansowe, grożące mu całkowitą ruiną. Zmartwienie i choroba pokonały go. Zmarł 10 października. W tych chwilach Maria wspierała go całym sercem i gorącą wiarą. Była świadkiem jego ostatnich chwil żalu, tylekroć ponawianego za przykrości, jakie jej niechcący wyrządził. Ponieważ Maria szczerze go kochała, płakała po nim, ale tak jak płaczą prawdziwi chrześcijanie, tj. patrząc w niebo. Pisała w swoich

¹⁰ Ojciec Edmund Martène napisał *La vie du vénérable Claude Martin, religieux bénédictin* (Tours, 1697; Rouen, 1698) ; *Histoire de l'abbaye de Marmoutier*, 1874 i 1875.

wspomnieniach: „W tym czasie nasz Pan rozłączył mnie z tym, z którym za Jego przyzwoleniem byłam złączona”. Każdy starał się pocieszyć tę młodą wdowę tak godną współczucia, która, mając zaledwie dwadzieścia lat, pozostała sama, bez majątku, z dzieckiem w kołysce. Otoczyli ją ojciec i siostry mieszkające w Tours. Wydaje się, że jej matka już nie żyła. Jednak Bóg kierował tym wszystkim. Apostolska działalność Marii nie miała się ograniczyć do ciasnego kółka rodzinnego. Rozrywając ten pierwszy węzeł, jaki ją łączył ze światem, Opatrzność przygotowała jej wspaniałą przyszłość.

ROZDZIAŁ III

Młoda wdowa – Samotność - Upokorzenia (1620 – 1624)

Śmierć Klaudiusza Martin rzuciła Marię w labirynt trudności: trzeba było zakończyć procesy, zaspokoić klientów, przewidzieć przyszłość. Mówi o tym: „Były to bolesne doświadczenia, większe niż mogła znieść osoba mojej płci, w moim wieku, z tymi zdolnościami i z tak małym doświadczeniem. Lecz nadmiar dobroci Bożej dał mi siłę i odwagę, które wszystko pomogły mi znieść. Opierałam się na tych słowach Jezusa: *Jestem z tymi, którzy są w utrapieniu*; mocno wierzyłam, że Pan był ze mną, dlatego nawet mój sześciomiesięczny syn, ogołocony ze wszystkiego, mnie nie niepokoił. Duch Boży napędliał mnie wiarą i ufnością, toteż udawało mi się wszystko, co przedsięwzięłam”.

Na początku wydawało się jej, że powinna pomagać swojej teściowej, z którą dzieliła mieszkanie, a która straciwszy jedyne syna, była odtąd sama na świecie. „Byłam zdecydowana – pisze dalej, zostać z nią i pomagać jej według sił o tyle, o ile dobroć Boża mi pozwoli, oraz wychowywać mego syna”. Stało się inaczej. Mimo serdecznych zapewnień swej synowej ta biedna kobieta, dotknięta ciężką chorobą, przejęła się tak bardzo obawą oddalenia się Marii, że lęk ten, połączony ze smutkiem, przyczynił się do jej śmierci po upływie jednego miesiąca. Było to doświadczenie, pociągające kolejne zmiany w życiu młodej wdowy. „Panie – powtarzała wewnętrznie – co chcesz, bym czyniła”?

Maria wspomina: „Z powodu przywiązania do teściowej byłam gotowa poprawić nasze interesy, oddać się znów pracom handlowym, ale Bóg wołał mnie na drogę doskonalszą”. Wówczas pochylona nad kołyską, w której leżał jej jedyny na tym świecie skarb, odnowiła postanowienie, które już kiełkowało w jej sercu, aby nie szukać więcej innego bogactwa prócz Boga. Ta silna a wrażliwa matka potrzebowała wiele odwagi, by nie pragnąć innego dobra dla jedyne go dziecka. Później pisała: „Mój drogi synu, nie kochałam cię nigdy inaczej jak w ubóstwie Chrystusowym, w którym się znajdują wszystkie skarby. Gdy jeszcze nie było cię na świecie, życzyłam go sobie dla ciebie i moje serce odczuwało wówczas tak silne wzruszenie, iż nie mogę tego wyrazić”¹¹. A w innym miejscu: „Czy wiesz, że nigdy nie mogłam o nic innego prosić Boga dla

¹¹ List z 4.09.1641.

ciebie jak tylko o cnoty ewangeliczne, a szczególnie, abyś był jednym z tych prawdziwych ubogich w duchu, gdyż wydawało mi się, że jeśli będziesz napelniony tą boską cnotą, wszystko inne posiadasz z nią w najwyższym stopniu”¹². Wreszcie w swojej relacji duchowej Maria pisze: „Pragnęłam, abyśmy oboje dzielili jednakowy los i tak wytrwale prosiłam o ubóstwo, jak o jedyną rzecz, która zasługiwała na proszenie”. Podziwu godna ta macierzyńska miłość, która wznosząc się ponad wszystkie dobra ziemskie, nie pożądała dla swego syna nic innego jak tylko dóbr wiekuistych i nie znajdowała zadowolenia, jak tylko w tym, aby widzieć na skroniach swego dziecka koronę ubóstwa Syna Bożego.

Tymczasem wszyscy usiłowali dopomóc pobożnej wdowie. Krewni i przyjaciele ofiarowali jej pożyczkę i radzili próbować poprawić swój los, bowiem była jeszcze bardzo młoda i mogła znaleźć partię nie mniej zaszczytną jak pierwsza. Ale te namowy jej nie wzruszały. Wtedy przypuszczono szturm do jej macierzyńskiego serca, mówiono jej o dziecku, o tym synu bez ojca, który będzie potrzebował kierownika i podpory na świecie. Nie trzeba było zbyt wielkiego wpływu, aby ją skłonić do wyrzeczenia się swego odważnego zamiaru, gdyby nie rozkaz z góry i gdyby, jak sama dowodzi: „Duch Boży nie popchnął jej do całkowitego zerwania z ziemskimi nadziejami”. Teściowa Marii umarła w listopadzie 1619 roku. Jeszcze przez kilka miesięcy Maria musiała wykańczać handlową działalność męża. Trzeba było stopniowo oddalać robotników i służących. Dzięki działaniu łaski te ciągłe stosunki z mnóstwem osób nie przeszkadzały jej pozostawać swobodną i pogodną. Światło Boże dało jej wówczas poznać własną niedoskonałość, a jednocześnie otrzymała poznanie Bożej doskonałości, które stanowi nowy etap w jej życiu. Ona sama nazywa ten fakt swoim nawróceniem, zaznaczając w ten sposób, że weszła na tę drogę łaski i cudownych oświeceń, którą miała odtąd kroczyć do końca życia. Oto jak opisuje tę chwilę: „24 marca 1620 roku w wigilię Zwiastowania Matki Najświętszej, idąc do zajęć i polecając je Bogu moim zwykłym westchnieniem *In Te Domine speravi, non confundar in aeternum*, poczułam nagle skupienie wewnętrzne i zewnętrzne, co odjęło mi wszelką pamięć o moich sprawach. W jednej chwili oczy mojej duszy otworzyły się i ujrzałam z wielką dokładnością i jasnością wszystkie niedoskonałości, jakie popełniłam od przyjścia na świat, że nie podobna było o nich wątpić. W tej samej chwili ujrzałam się pogrążoną w falach krwi, a duch mój był przekonany, że to była krew Syna Bożego, której wylania byłam winna przez grzechy, jakie mi zostały przedstawione. Gdyby dobroć Boża mnie nie podtrzymywała, wydaje mi się, że umarłabym ze strachu, do tego stopnia widok grzechu nawet małego wydawał mi się przerażający i okropny. Język ludzki nie może tego wyrazić. Ten cios miłości tak nieubłaganie pogrążył mnie w żalu za moje grzechy, że chciałam rzucić się w płomienie, by ją zaspokoić, a jednak doświadczenie to wydawało mi się słodkim. Wciąż widziałam siebie pogrążoną w tej drogiej krwi, a ta sama miłość, która zachwyciła moją duszę, przynaglała mnie, by iść do spowiedzi”.

Te myśli i oświecenia tak opanowały i olśniły Marię, że nic już nie widząc ani słysząc, skierowała się do katedry na drogę biegnącą wzdłuż wałów starego miasta. „Gdy się ocknęłam – opowiada dalej – znalazłam się naprzeciw kaplicy ojców cystersów, niedawno zamieszkałych w

¹² List z 26.08.1653.

Tours i poczułam się szczęśliwą, widząc już tak bliskie lekarstwo na mój ból. Weszłam, a gdy zobaczyłam pośrodku kaplicy księdza w konfesjonale, który zdawał się na mnie czekać, przystąpiłam do niego i powiedziałam: »Mój ojciec, chciałam się wyspowiadać, gdyż popełniłam takie a takie grzechy«. I tak nie wymieniałam wszystkich, które mi zostały ukazane, wylewając obfite łzy z powodu serdecznej skruchy. Podczas tego weszła pewna pani, która klęcząc przed Najśw. Sakramentem, mogła łatwo słyszeć wszystko, co wyznawałam ojcu, gdyż mówiłam dosyć głośno, ale chodziło mi tylko o przebłaganie Tego, którego obraziłam. Jasno poznałam mój brak znajomości siebie, który sprawił, iż uważałam się za doskonałą tak, że uczynki moje wydawały mi się czyste, ale gdy nasz Pan otworzył mi oczy, poznałam, że moje doskonałości były tylko nieprawością”.

Zakonnik, do którego Opatrzność poprowadziła Marię, nazywał się o. Franciszek od św. Bernarda. Pozostał on jeszcze w tej miejscowości ponad rok. Cały ten czas Maria do niego się zwracała. Cystersi (bernardyni) zwani les Feuillants, których przewodnictwo było wówczas bardzo cenione, należeli do reformowanego zakonu cystersów i zachowali ściśle Regułę św. Bernarda. Ludwik XIV, który im sprzyjał, nadał im w Tours opactwo Saint Jean des Loups. Kardynał Richelieu pobłogosławił pierwszy kamień ich klasztoru, położony przez samego króla. Ślady tego klasztoru, którego kaplica była dla Marii miejscem szczególnych łask, pozostały w pałacu du Châtel, zbudowanym następnie na tym miejscu.

W połowie roku 1620 Maria otrzymała od swego ojca zaproszenie, by z nim zamieszkać. Był w podeszłym wieku, toteż córka była mu więcej niż kiedykolwiek potrzebna, tak dla serca jak i dla towarzystwa. Maria uwolniła się od trosk przedsiębiorstwa, uregulowała ostatnie sprawy, więc uważała za swój obowiązek przychylić się do życzenia tego, który wraz z synem był dla niej wszystkim na tym świecie. Był to dla niej równocześnie pierwszy stopień ku samotności zakonnej, która stawała się coraz więcej potrzebą jej duszy. Zabrała ze sobą tylko jedną służącą.

Jej pokój wychodził na galerię, dokąd ona sama tylko mogła wychodzić, a na końcu której znajdował się mały ołtarzyk. Tam w ukryciu mogła przedłużać błogosławione godziny medytacji. Serce jej mówiło do Boga z oddaniem i ufnością, która ją samą dziwiła. Sama pisała potem: „Ten stosunek wewnętrzny i poufny wydawał mi się niezrozumiały, jednakże nie opierając się, poddawałam się temu działaniu i szłam po tej pochyłości, która mnie skłaniała coraz bardziej do nienawiści samej siebie, zapomnienia o sprawach moich i mego syna, do wzgardzenia światem i jego obyczajami. Od początku nawrócenia nasz Pan udzielił mi łaski tak, iż porzuciłam wszystkie rzeczy stworzone; tak огоłocona i wyzuta, biegłam za Jego Boskim Majestatem. Ach, trzeba przyznać, iż Duch Boży jest wielkim Mistrzem ! Chociaż mnie nikt nie uczył medytacji i umartwienia, On udzielał mi tych wiadomości gruntownie, przynaglał mnie do praktykowania pierwszej i skłaniając do oddania się drugiej. Wzrok mój był umartwiony, uszy zamknięte na świeckie rozmowy, milkłam nie mogąc mówić, jak tylko o Bogu i o cnocie, oprócz koniecznych spraw, którym się zazwyczaj oddawałam”.

Po Bogu pierwszym i najdroższym przedmiotem jej miłości był syn jej Klaudiusz, którego zabrała od mamki, aby go mieć przy sobie. Miał wówczas dwa lata. On sam opowiada nam

pierwsze wrażenia, jakich doznał w dzieciństwie pod kierunkiem swej matki: „Jeszcze się czuję zachwycony, nie mogę ochłonąć z podziwu, myśląc o życiu niebiańskim, jakie prowadziła, o westchnieniach, jakie bezustannie wyrwały się jej z serca, o skromności jej ułożenia, bo chociaż była sama oddalona od spojrzeń ludzkich, była tak poważna i skromna, jak gdyby była w obecności osób najwyższego stanu. I łatwo było spostrzec, że Majestat Boga, o którym nigdy nie zapomniała, budził w niej takie uczucia powściągliwości i szacunku”.

Wspomnienia Klaudiusza ukazują nam Marię od Wcielenia w życie domowym, oddanym pełnieniu dobrych uczynków. Ubrana więcej niż skromnie, nie wychodziła z domu, chyba jedynie tylko do kościoła. Po spożyciu posiłku z ojcem, któremu ze słodyczą dotrzymywała towarzystwa, powracała do swojej samotni, zajmowała się dzieckiem lub jakąś pracą, np. haftem, przeznaczonym do przyozdabiania ołtarzy. Wyznaczyła sobie stałe godziny do przyjmowania ubogich i chorych, którym udzielała pomocy. Klaudiusz Martin opowiada: „Moja dobra matka, czyniąc dzieła miłosierdzia dla uczczenia Jezusa Chrystusa w osobach Jego cierpiących członków, polecała swoim podopiecznym ubogim usiąść na fotelu, potem klęcząc przed nimi, opatrywała im rany, myła je, nie obawiając się zbliżyć swojej twarzy, by wdychać niemiły ich zapach”.

Tak uświęcała Maria swoje wdowieństwo, oczekując godziny największego poświęcenia. Tym zaś nie było porzucenie świata, który już jej był niczym, ale rozłączenie z jedynym dzieckiem. A jeśli by ktoś nie umiał zrozumieć, ile ta ofiara kosztowała tę dobrą matkę, jak ona walczyła i jakie czuła rozdarcie serca, ile lat musiała zmagać się z miłością Bożą i macierzyńską, w samotności wśród łez wyrzucała sobie okrucieństwo w stosunku do swego syna. Pisała wiele lat później: „Masz powód skarżyć się na mnie, mój drogi synu; ja też mogłabym się skarżyć na Tego, który przyniósł miecz na ziemię, zdolny uczynić tak dziwne rozłączenie. Ty byłeś jedynym dobrem na świecie, do którego byłam przywiązana, a jednak On chciał nas rozłączyć, gdy byłeś jeszcze bardzo mały. By cię zatrzymać, musiałam walczyć dwanaście lat, a przez ten czas trzeba mi było niejako dzielić me uczucia. W końcu ustąpiłam sile miłości Bożej; to nie przeszkadza, że niezliczone razy uważałam się za najokropniejszą z matek. Przepraszam cię, mój synu, bo jestem przyczyną wielu twoich cierpień; lecz pocieszmy się, że życie jest krótkie i z łaski Tego, który nas tak rozłączył, będziemy się widzieć i cieszyć w Nim na wieki”¹³.

W tym strasznym przewidywaniu rozłączenia, które uważała za nieuniknione, a czuła, że będzie okrutne, Maria starała się zahartować i przygotować na nie. Klaudiusz wówczas dobiegał trzeciego roku życia. Jest to czas, kiedy matki zwykle lubią pierwsze pieszczoty swych synów. Młoda kobieta obawiając się oddać temu szczęściu, które miała wkrótce utracić, postanowiła sobie, że nie pocałuje odtąd nigdy drogiego malca, z którego ramion mogłaby później nie mieć siły się wyrwać. Aby odnieść zwycięstwo w tej heroicznej walce powtarzała sobie, że odtąd to dziecko należało do niej tylko w połowie, że to wyrzeczenie się przygotowuje ją i uczyni mniej gorzką w godzinę pożegnania. Wreszcie, że powinna go kochać w sposób nadprzyrodzony, jak anioł z nieba. To też często oddawała go w ręce Matki Miłosierdzia, przeświadczona, że ta Matka będzie się nim opiekowała, gdy ona go opuści dla służby Jej umiłowanego Syna.

¹³ List z 1647 bez daty.

Jedna z sióstr Marii poślubiła kupca, którego przedsiębiorstwo było bardzo obszerne. Zajmował się on w Tours przewożeniem towarów do głównych miast królestwa. Miał również stanowisko oficera artylerii w miejskiej milicji, która stała się potężną siłą podczas wojen religijnych. Stanowisko to wymagało licznej służby. Paweł Buisson posiadał wiele koni, uprzęży i wozów, co było potrzebne w jego przedsiębiorstwie. Siostra Marii, Klaudia, znając jej roztropność, nalegała na nią, by przybyła pomóc w wewnętrznym zarządzaniu domem. Już upłynął rok, odkąd wdowa Maria żyła w samotności. Obecnie proszono ją, aby znowu rzuciła się w wir światowych trosk. Miłość tego wymagała, miłość więc zwyciężyła. Ustalono, że nie opuści mieszkania i codziennie wieczorem będzie wracała do ojca i dziecka. Ta zmiana dała jej sposobność do ćwiczenia się w pokorze. Ponieważ pozwolono jej wybrać zajęcie, wybrała dział kuchenny, aby się stać służebnicą służących. Jej dobre ułożenie i skromność z początku skłaniało tych nieokrzesanych ludzi do okazywania jej pogardy. Maria wspominała: „Ukrywałam wszystkie moje wrodzone zdolności, jakie Bóg dał mi do prowadzenia interesów, aby pozostać nieznaną, jak biedne stworzenie, które nic nie umie i do niczego nie jest zdolne. Dobroć Boża dopuściła, że traktowano mnie jako taką i postępowano ze mną z wyższością. Ale ja miałam upodobanie w poniżeniach, jako w rzeczach bardzo cennych i obawiałam się tylko tego, by moja siostra i szwagier nie spostrzegli, że zbyt cierpiałam, a rozpoznawszy to, nie odjęli mi szczęścia upokorzeń”. Nic nie zraziło jej gorliwości. Często musiała się zajmować wielką liczbą chorych służących, o których sama się troszczyła, okazując pewną świętą zazdrość, by nikt inny jej w tym nie wyręczył.

Jeden ze służących w czasie wypadku wozu ciężko zranił nogę. Rana z początku przez niego zaniedbana stała się okropna i wydawała straszną woń. Mówiono o amputacji, lecz biedny ranny nie mógł się zdecydować i oddać się w ręce chirurga, więc Maria postanowiła go pielęgnować. Okazała w tym taką zręczność i wytrwałość tak, że ten biedny człowiek wreszcie wyzdrowiał. Maria opowiada w swojej autobiografii: „Ponieważ ludzie ci oddawali się nadużyciom, wpadali czasem w choroby, pozbawiające ich przytomności umysłu, wtedy obchodziłam się z nimi jak z dziećmi, przy tym miałam wiele okazji do cierpienia. Nasz Pan chciał, bym starała się o wszystkie potrzeby moich bliźnich tak, iż miałam czasem wiele okazji do uczynków miłosierdzia. Skarżyłam się Panu, mówiąc: »Opiekuj się mną, o moja Miłości¹⁴, ponieważ chcesz, bym ja troszczyła się o tyle rzeczy«. Wszystkie te prace nie przesłaniały mi widoku wielkości tego Boskiego Majestatu, ale zagłębiały mnie w Nim jeszcze więcej”. Klaudiusz pisał: „Moja matka umiała łączyć chrześcijańską pokorę z niezwykłą odwagą. A gdy się zdarzyło, że z powodu braku środków nie mogła pomóc jakimś nieszczęśliwym, jej Dobry Mistrz temu zaradzał. Maria wyznała: „Nasz Pan żądał ode mnie, bym wciąż Go prosiła, bym Mu mówiłam o wszystkim, a gdy widziałam kogoś w potrzebie, powtarzałam, »moja Miłości, ta osoba tego potrzebuje, proszę Cię, by jej to było dane«. On mnie wysłuchiwał i znajdываłam zaraz to, co brakowało tym biednym lu-

¹⁴ Modląc się Matka od Wcielenia mówiła do Boga z uczuciem pokory i szacunku, nazywając Go swoim Bogiem, swoim wielkim Bogiem, usłyszała te słowa Boskiego Mistrza: „Nazywasz Mnie Twoim Bogiem, twoim Panem, Mistrzem i dobrze mówisz, bo Nim Jestem, ale jestem też twoją Miłością. Miłość to moje IMIĘ. Ludzie dają mi wiele nazw, ale żadna mi się więcej nie podoba i nie wyraża lepiej tego, czym jestem względem nich jak to ostatnie”. Na te słowa dusza Marii została przejęta niezrównana słodyczą i odtąd nie nazywała Zbawiciela inaczej jak swoją miłością, swoją drogą miłością. Św. Katarzyna Genueńska czyniła tak samo: O Miłości, mawiała często do Jezusa, chcę tylko Ciebie”.

dziom. Pewnego dnia byłam załęczniona, nie śmiejąc przedstawić naszemu Panu potrzeb pewnych osób. On mi rzekł wewnątrz: »Proś mnie, córko moja, proś, nie obawiaj się«. To mnie ośmieliło, że nalegałam o to i Bóg mnie wysłuchiwał». Ta boska zażyłość z najmilszym z Synów Ludzkich rodziły się w czasie medytacji, w której Maria czyniła coraz większe postępy. „Nasz Pan chciał mi pokazać, że to On zaangażował się w pracę wewnętrzną i dlatego udzielił mi daru modlitwy. Było to związane ściśle z Jezusem Chrystusem w tajemnicach Jego życia od urodzenia aż do śmierci. Doświadczałam szczególnie, że ten boski Zbawiciel był Drogą, Prawdą i Życiem; Drogą, którą moja dusza chciała wciąż postępować, Prawdą, której wierzyła mocno, aż do tego stopnia, że powtarzałam: »Ja nie mam wiary, o mój wielki Boże, ponieważ ukazujesz mi Twoje dobra i istotę tego, czym jesteś, z taką oczywistością i w ten sposób niewymowny, który pozwala mi wszystko widzieć. Ty jesteś wreszcie Życiem, które mnie napelnia...«. Doświadczam jeszcze tego, o czym Zbawiciel mówi gdzie indziej; »Ja jestem bramą, kto wchodzi przeze Mnie, będzie zbawiony: on wejdzie i wyjdzie i znajdzie pastwiska«. Wchodziłam w Niego i przez Niego; mówię, w Niego, bo w Nim odkrywałam te boskie tajemnice, które były dla mnie żywymi pastwiskami, nasycalam duszę moją, wychodziłam zaś nie wychodząc, bo tylko po to, by się zajmować tym, co było polecane, a wychodziłam przez wzrastającą miłość, która skłaniała moją duszę do nieustannego czerpania pokarmów z dóbr tego Boskiego Pasterza».

Ta rozmowa Jezusa z Jego służebnicą, rozpoczęta na medytacji, toczyła się dalej w ciągu zajęć. „Moim szczęściem było pozostawać samej przez dłuższy czas przy pracy w pokojach służących. Tam mówiłam do naszego Pana tyle, ile chciałam. Czułam jednak potrzebę przewodnika na ścieżkach życia wewnętrznego, gdzie złudzenie może grozić najlepszym душom». W tym czasie wpadło jej w ręce kilka książek duchownych, w których była wyłożona nauka o metodach medytacji: o przygotowaniu, podziale na części i punktach, przy czym autor wykazywał niebezpieczeństwa dróg niezwykłych. Maria starała się zastosować te reguły w medytacji o tajemnicach życia Zbawiciela, opierając się nadprzyrodzonemu światłu, które zwykle przedstawiało jej temat w jednym spojrzeniu i następnie pozostawiało ją biernie pod działaniem Jej dobrego Mistrza. Co dzień rozpoczynała pracę, lecz takie były jej wysiłki, że nabawiła się silnego bólu głowy, na który cierpiała ponad dwa lata. Książka pod tytułem *Wprowadzenie w życie pobożne*, która wówczas była ogólnie znana, dała jej nieco więcej swobody. Wreszcie Bóg zesłał jej przewodnika, który miał nią pokierować na drodze modlitwy i doprowadzić do życia zakonnego. Był nim o. Rajmund od św. Bernarda, który w roku 1622 zastąpił o. Franciszka w klasztorze zreformowanych cystersów.

Maria pisała o nim: „Doskonały zakonnik i bardzo miłujący samotność, trzymał się ściśle tego, o co go proszono. Przed wyjazdem pozwolił jej wreszcie złożyć ślub czystości, do czego od chwili jej wdowieństwa natchnął ją Zbawiciel. Okazją, która ją ostatecznie do tego przynagliła, był straszny szturm, jaki znów przypuścili przyjaciele i rodzina w celu skłonienia jej do drugiego małżeństwa. Argumentem, jaki jej przedstawiano, było jak zawsze dobro jej dziecka, a racja ta gruntownie zachwiała jej pierwotne postanowienie. Czyż nie była przede wszystkim matką? Czyż nie miała obowiązków wobec tego sieroty?. Pokusa była tak wielka, iż sądziła przez chwilę, że obowiązkiem jej było powrócić na drogę świata, jak się sama potem wyraziła. W tym czasie

pewna pobożna dziewczyna, towarzysza jej dobrych uczynków, kiedyś powiedziała, nie domyślając się jej stanu duchowego: „Trzeba się całkowicie oddać Bogu” – słowa te były dla niej wskazówką i umocnieniem w jej zamiarze, ale poprzednia chwila wahania była dla niej przyczyną wyrzutów sumienia przez całe życie.

Maria nieodwołalnie poświęciła się Oblubieńcowi dusz, w tym czasie gdy o. Franciszek oddał ją w ręce o. Rajmunda. Maria wspomina: „To sam Bóg okazał mi to miłosierdzie, iż skierował do mnie tego swojego sługę, który był człowiekiem o wysokiej kulturze duchowej i bardzo doświadczonym w prowadzeniu dusz”. Poświęcił dość dużo czasu, by wypytać Marię, by ją doświadczyć, aby ją poznać do głębi. Potem, podziwiając w sercu działanie Ducha Świętego, polecił jej poddać się Boskim natchnieniom w czasie medytacji i zdawać mu sprawę ze wszystkiego, co się w niej będzie działo. Opatrzność postawiła na jej drodze przewodnika, który pierwszy objawił jej wolę Bożą. Maria od Wcielenia tak pisze w swojej relacji: „Nasz Pan opatruje sam te dusze, które się chętnie oddały jego kierownikowi. O Boże ! Chciałabym to głosić wszystkim, gdybym mogła, jak wielka jest waga tego ostatniego punktu: On prowadzi duszę do prawdziwej prostoty, która czyni świętych”. Właśnie przez tę szczerość i prostotę osiągnęła Maria tak wielką korzyść z kierownictwa o. Rajmunda. „Gdyby nasz Pan – wyznaje – nie przysłał mi tej pomocy, byłabym się stała niezdolna do czegokolwiek dobrego”.

Tamy, które próbowała stawiać działaniu Bożemu, były szczęśliwie zerwane. Pan wylał na swą Marię potok niebiańskich radości. „Jak tylko uklękłam przed moim krucyfiksem - opowiada – ten Boski Zbawiciel unosił mego ducha. Wszystko, co wówczas byłam w stanie czynić, to powtarzać Mu: »Oto miłość, która Cię przyprowadziła do tego stanu, gdybyś nie był Miłością, nie cierpiałbyś w ten sposób, nie zrobiłbyś rzeczy tak wielkich z miłości do mnie«!. Z tą modlitwą moje serce nie przestawało zwracać się ku Niemu, aby przez swoją dobroć udzielił mi swego ducha, gdyż nie pojmowałam, czy było coś lepszego, piękniejszego lub godniejszego pragnienia, jak posiadanie Jezusa Chrystusa”.

Aby otrzymać ten skarb, oddawała się wszelkim aktom wyrzeczenia: „W najpokorniejszych pracach łączyłam się ściśle z moim Zbawicielem, biegłam po Jego ścieżkach wśród spraw pospolitych i materialnych”. Szwagier i siostra byli dla niej dobroczyńcami, gdyż dawali jej sposobność do podobnych ofiar. Żywiła dla nich serdeczną wdzięczność za to, że pozwalali jej pełnić rolę służącej, uważając siebie za niegodną pozostawania w ich domu z powodu swojej nieużyteczności. To samo pragnienie upokorzenia natchnęło ją w tym czasie do spisania swoich win, bardzo lekkich, ale które z powodu wielkich oświeceń, jakie otrzymała od Pana Boga, wydawały się jej strasznymi występkami. Podpisała tę spowiedź swoim imieniem i nazwiskiem i oddała swemu spowiednikowi, prosząc, by ją zawiesił na drzwiach kościoła tak, aby wszyscy wiedzieli, jaką jest grzesznicą. O. Rajmund kilkakrotnie nawet zgromił ją surowo z powodu tej prośby, ale wreszcie wzruszony wziął papier, jednak nie zgodził się na publiczne wystawienie go, co niezmiernie zmartwiło Marię. To wytrwałe upokarzanie się ściągnęło na nią nowe łaski: „Miałam czasem wrażenie, że nasz Pan był przy mnie u mego boku, aby mi towarzyszyć. Ta obecność była tak słodka i boska, że nie mogę powiedzieć, w jaki sposób to się działo. Wyobrażnia tu nie

działała, ale wszystko zachodziło w rozumie i woli w sposób całkiem duchowy i z wielką czystością. W podobnych słowach św. Teresa objaśnia wizję intelektualną naszego Pana, którą była zaszczycona i którą stawiała w rzędzie najwyższych łask¹⁵. Otóż w tym czasie Maria nie czytała jeszcze dzieł sławnej reformatorki Karmelu, kanonizowanej w 1622 r., musimy tu więc podziwiać jedność działania Ducha Świętego w duszach przeznaczonych do otrzymywania podobnych łask. Piękności tego świata są blade dla tych, którzy doznają podobnych oświeceń. Historia Tours opowiada, iż w tym czasie odbyły się wspaniałe uroczystości na cześć Ludwika XIII i dwóch królowych: Marii Medycejskiej i Anny Austriaczki, podczas ich pobytu w tym mieście. Lecz czymże były dla Marii ten przepych i te pochody, gdy ona oczami duszy oglądała Boskiego Króla u swego boku?

Zbawiciel chciał przez te osobliwe łaski doprowadzić Marię do takiej wielkiej czystości duszy, która usuwa nawet cień zła. Dawał jej do zrozumienia, że Jego Boskość nie może znieść nic zmazanego ani nieczystego: ukazywał jej nieskończoną przepaść nędzy ducha ludzkiego, która dzieli nas od zupełnego zjednoczenia z Bogiem. Maria opowiada: „Ileż jest płam do usunięcia nim się dojdzie do tego upragnionego celu. Jest to trudne do zrozumienia, jak również niepojęta jest konieczność czystości serca, gdyż Duch Boży jest nieubłagany krytykiem. A zresztą stan, o którym mówią, jest dopiero pierwszym krokiem i dusza, która do niego doszła, może upaść znów w każdej chwili. Ja drzę, gdy o tym myślę, jak ważną sprawą jest być wierną!” Boski Mistrz gromił ją za najmniejszą niedoskonałość. Pewnego dnia po jakimś uchybieniu, którego dopuściła się ze słabości, zrobił jej tę miłosną wymówkę; „»Moja córko, gdybyś miała piękną perłę lub drogi kamień i gdyby go wrzucono do błota, czy byłabyś zadowolona?« Te słowa głęboko zawstydziły mnie”. W innym miejscu wskazuje na przemyślną delikatność Boskiego Przyjaciela. On, aby lepiej uchronić duszę, z którą się chce połączyć, dostarcza jej wszelkich możliwych wewnętrznych przyjemności, aby ją tylko zadowolić.

Wstępując po stopniach kontemplacji, Maria starała się być wszystkim dla wszystkich: każdy doświadczał jej uprzejmości i widział jej wesołą. Pisała: „Ludzie nazywali to dobrym humorem, bo sądzili o tym w ziemski sposób i nie mogli zrozumieć, do jakiego stopnia Dobro Nieskończone, jakie dusza wewnętrznie posiada, udzielało mi tej łaski. Lubiła powtarzać: „Czy dusza nie byłaby zawsze zadowolona wierząc i wiedząc, że ma Boga za Ojca?”. Kilka wyznań, jakie jej się wymknęły, wykazują jednakże, że pokusa dorzucała często ciężaru do trudów pracy zewnętrznej, którą podejmowała idąc za natchnieniem Bożym. Wtedy wszystko wydawało się jej ciężkie: wyobrażnia przedstawiała jej z siłą, że jest głupia, gdyż zobowiązała się do najniższych prac jak służąca. Potem wydawało się jej, iż sumienie ze względu na nią i jej dziecko wyrzuca jej to wyrzeczenie się wszystkiego, w jakim żyła.

Tymczasem Bóg przygotowywał gniazdko, w którym jej dusza miała się schronić, zanim skieruje lot do odległych krain. Dwunasty sierpnia 1622 roku był radosnym dniem dla katolików w Tours. Powodem tego było przybycie urszulanek, wezwanych przez biskupa d'Eschaux, który przyjął je z nadzwyczajną radością i pomógł im w organizowaniu życia w nowym domu. Witła

¹⁵ Autobiografia.

je delegacja panów z prezydium zarządu miejskiego – mówią kroniki Zakonu – a lud przywitał je radosnymi okrzykami. Dla Marii jednak jeszcze nie nadeszła godzina nawiązania znajomości z urszulankami. Opierając się na obietnicy Zbawiciela, była zdecydowana oczekiwać wszystkiego od Niego.

ROZDZIAŁ IV

Nowicjat w świecie. Dary nadprzyrodzone Wezwanie do Zakonu św. Urszuli (1625 – 1630)

Maria pisała w swej autobiografii: „Widzę, iż wszystko, co mi się zdarzyło w domu szwagra, było w planach Opatrzności dla wyćwiczenia mnie w życiu apostolskim. Był to mój nowicjat, z którego nie wyszłam doskonała, ale jednak z miłosierdzia Bożego bardziej zdolna znieść trudy i kłopoty kanadyjskie”.

Usunięta na ostatni plan, pani Martin była jednak duszą tego domu; wszędzie było widać jej rękę i jej serce. Błogosławieństwo Boże było tak widoczne we wszystkim, co zamierzała, dlatego siostra i szwagier błagali ją, by zechciała wziąć udział w ich sprawach. Zresztą o. Rajmund, który był też ich spowiednikiem, to właśnie im radził. Maria uległa temu życzeniu, choć uczyniła to z instynktowną niechęcią do kłopotów związanych z interesami handlowymi. Bóg wymagał od niej w ten sposób ofiary z własnej woli i znalazł ją gotową na to. Tours było wówczas jednym z najbardziej handlowych miast, jego przystań była najważniejszą w dorzeczu Loary, wysyłano wszędzie, nawet za granicę, owoce z „ogrodu Francji” oraz sławne materiały jedwabne przeplatane złotą nicią. Szwagier pani Martin posiadał w mieście kilka składów. Maria w swej gorliwości starała się mieć na wszystko oko. Tak o tym mówi: „Spędzałam całe dnie w stajni, która służyła za skład, a czasami o północy byłam jeszcze na stanowisku zajęta przy wyładowywaniu lub załadowywaniu towarów. Zwykłym moim towarzystwem byli wówczas woźnicy i tragarze, nie mówiąc już o pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu koniach, nad którymi musiałam czuwać. Jednak te wszystkie prace nie odwracały mnie od Boga, przeciwnie, czułam się więcej w Nim umocniona i wszystko robiłam nie dla mojej korzyści osobistej, ale z miłości. Czasami zdarzało się, że byłam tak przeciążona pracą, że nie wiedziałam od czego zacząć. Zwracałam się wówczas do mojej zwykłej Ucieczki. »Mój Umiłowany, mówiłam Mu, nie ma sposobu, bym te wszystkie rzeczy zrobiła, zrób je Ty za mnie, bo inaczej wszystko stanie«. Gdy ufałam tak Jego dobroci, wszystko mi było łatwe, pieściłam Go wśród całego rozproszenia. Ta potężna moc pozwalała mi podejmować odważnie wszystko, o czym wiedziałam, że Mu będzie miłe. Niekiedy usuwałam się, by chwilę z Nim porozmawiać, lecz wkrótce mnie odwołano, więc szłam wesoło, mówiąc Mu: »Dobrze, moja słodka Miłości, Ty tego chcesz, wystarczy mi poczucie, że Cię posiadam, ta czynność jest dla Ciebie«. Doskonale praktykowała wtedy radę, jaką dawała później duszom oddanym pod jej kierownictwo: „Trzeba spełniać wolę Bożą z miłością wewnętrzną i z zewnętrznym zaangażowaniem”.

Boski Mistrz raczył wynagrodzić ofiarę swojej Służebnicy. Pewnego dnia, podczas gdy się modliła, dał jej słyszeć w głębi serca te słowa, których skutek zaraz nastąpił. „Pokój temu domowi”. Od tego czasu – podaje – nigdy nie straciłam pokoju wewnętrznego mimo cierpień i przykrości, które mnie spotykały, a w chwili gdy to piszę, ten stan trwa od ośmiu dni. Jest to pokarm rajski, uczta tak wielka, że nie można jej wypowiedzieć i opisać.

Ten pokój Boży towarzyszył Marii w jej nowych obowiązkach. Jej szwagier miał przedstawicieli w kilku wielkich miastach Francji oraz wielką liczbę służących, często też otrzymywał skargi z powodu zachowania się jednych lub drugich. Był on człowiekiem znającym się na interesach, ale szorstkim, zwłaszcza w sposobie rozmawiania, a że był niewykształcony, Maria często służyła za sekretarza. Gdy otrzymywał listy zawierające niekorzystne wiadomości o którymś z jego podwładnych, Maria zręcznie łagodziła ich formę i przestrzegała tego, który zasłużył na naganę. Tak samo postępowała, gdy jej dyktował zbyt surową odpowiedź i w ten sposób zdumiewała i uszczęśliwiała biednych ludzi, którzy zamiast oczekiwanej niełaski swego chlebodawcy, otrzymywali tylko umiarkowaną wymówkę. Szwagier zaś ze swej strony miał tyle czci i szacunku dla roztropnej pośredniczki, że nie mógł jej niczego odmówić.

Ta, która niegdyś w swoim domu uważała za obowiązek pouczać robotników swego męża, podwajała swoją gorliwość wobec robotników szwagra. Mówiła im głównie o miłości i o służbie Bożej; „Chciałam wołać tak głośno, aby być słyszaną przez cały świat i powiedzieć wszystkim, by kochali Boga Miłości”. Często, jak opowiada, znajdowała się pośród dwudziestu służących wracających z robót w polu. Ażeby łatwiej z nimi rozmawiać, zasiadała z nimi do stołu, dostosowywała się do ich usposobienia, bawiąc ich niekiedy jakąś pobożną anegdotą, by ich utrzymać w skupieniu i przeszkodzić im obrażać Boga. Ujęci taką dobrocią, zdając sprawę ze swych całodziennych czynności, oskarżali się, jeśli któryś mimowolnie upadł. „Upominałam ich swobodnie - dodaje Maria - bo takie mieli do mnie zaufanie, że udawało mi się ich doprowadzać do rezultatów, jakich sobie dla nich życzyłam. Przypominam sobie, że kazałam im wstać do modlitwy, ponieważ się położyli nie spełniwszy tego obowiązku. Niektórzy nauczyli się rozmyślania, inni używali dyscypliny i nosili włosiennicę”. Jeden z nich będący hugenotą tak skorzystał z mądrych rad Marii, że wyrzekł się swoich błędów i był odtąd bardzo dobrym katolikiem. „W tym wszystkim i w staraniach, jakie miałam o tych biednych ludziach w chorobie, widziałam tylko naszego Pana. Zapewniałam Go często o nieskończonej wdzięczności za to, że dawał mi sposobność oddania Mu takiej drobnej usługi, w czym widziałam swe szczęście”.

Klaudia Buisson i jej mąż, oboje ludzie cnotliwi i miłosierni, lubili przez jej ręce udzielać obfitych darów ubogim i więźniom. Jej obecność była błogosławieństwem dla ich domu. Bóg dał im córkę, którą Maria otaczała, jak to dalej zobaczymy, macierzyńską troską. Szczęście i powodzenie uśmiechało się do nich, a Bóg uśmiechał się do Marii, która myślała coraz częściej o życiu zakonnym. Ponieważ wychowanie syna wymagało jeszcze jej starań, jak sama mówi: „Bóg, trzymał moje serce w klasztorze, gdy ciałem zmuszoną byłam żyć wśród świata”.

Jej życie duchowe coraz bardziej wzrastało, dokonywała się bowiem w niej przemiana, która polega na wyjściu z siebie, by - jak mówi Fenelon - *wejść w nieskończoność Bożą*. Głos

wewnętrzny pociągał ją do Boskiego Oblubieńca, a jednak dawał jej do zrozumienia, że brakowało jeszcze czegoś w jej przygotowaniu do przyjęcia daru ścisłego zjednoczenia z Bogiem. Wspomina: „Chciałam przejść przez płomienie, by dojść do zjednoczenia, które było mi obiecane i czyniałam wszystko, co było w mojej mocy, by zjednywać sobie Serce Boże”. Wyrzekła się świata i jego dóbr, oddała swoją wolność w życiu pełnym posłuszeństwa, zwróciła się teraz przeciw swemu ciału. Młoda, dwudziestoletnia kobieta uzbroiła się heroicznie, aby uczynić z niego ofiarę dla miłości Tego, który stał się ofiarą dla naszej miłości. Od czasu swego osamotnienia nie zadawała się odmawianiem sobie używania bielizny i dodawaniem piołunu do pożywienia, ale jeszcze biczowała się bez litości, często pokrzywami, które paliły ciało. Ale wyznaje: „Te pierwsze próby wydały mi się niczym. Spanie na deskach wydawało mi się za wygodne, rozciągałam na nich włosiennicę, na której mogłam spać tylko na wpół, odczuwając wciąż ból ukłucia. Moją przyjemnością było odmawiać naturze wszystkiego, co lubiła, i nie byłam już zdolna w czymkolwiek sobie dogadzać. »Chodźmy, moja Miłości, mawiałam do naszego Pana, chodźmy na krzyż, tym się moje serce zadawała«”.

W tym samym czasie spędziła kilka nocy na modlitwie w jednej z tych naturalnych grot, często spotykanych w dorzeczu Loary, a należącej do jej szwagra. Tam umartwiała swoje ciało, wystawiając się na zimowe chłody, a gdy czuła, że zimno ją obezwładniało, mówiła do naszego Pana: „»Dodaj mi sił do karcenia tego nędznego ciała«. Z powodu różnych spraw domowych bardzo mało spałam, ale z tego powodu nie odczuwałam znużenia, nigdy nie byłam chora. Przeciwnie, nabierałam sił, a nasz Pan popychał mnie wciąż do nowych umartwień. Dzień, w którym nie cierpiałam uważałabym za stracony. Wszystkie te ćwiczenia były tak wyraźnie natchnione, że mój spowiednik na nie zezwalał, gdy bowiem troszeczkę się opierałam, czułam zaraz wyrzut wewnętrzny lub też Bóg dopuszczał, że wpadałam w jakąś niedoskonałość, co uważałam jako karę za mój błąd”. Nic jednak w jej usposobieniu, zawsze wesołym i uprzejmym, nie zdradzało tych pokutnych przyzwyczajęń. „Osoby, które mnie otaczały – opowiada - nic nie podejrzewały, inaczej, nie rozumiejąc rzeczy duchowych, uważałyby mnie za szaloną. Wszakże służąca spostrzegłszy pewnego dnia moje ubogie posłanie, zdradziła mnie przed moim ojcem i siostrą, ale oni mi nic o tym nie powiedzieli. Czasami mój szwagier żartował, dając mi do zrozumienia, że wie o moich umartwieniach, ale brałam jego słowa jedynie jako żart, gdyż byłam ślepa i nieczuła na wszystko, cokolwiek by czyniono w celu odwrócenia mnie z raz obranej drogi. „Jezus odnawiał codziennie u Stołu swego siły mej duszy i przemieniał to życie ofiary w życie zjednoczenia, które poprzedzało większe jeszcze łaski. „Gdy odchodziłam od tej niebiańskiej uczty - pisze Maria - nic mnie nie mogło odwieść od zjednoczenia z naszym Panem; ani hałas uliczny, ani konieczne załatwianie spraw z kupcami oraz inne obowiązki. Czasami pięć lub sześć godzin po Komunii świętej, po załatwieniu mnóstwa rozprasających interesów, mówiąc bez ustanku, gdyż byłam do tego zmuszona, odczuwałam tak silnie obecność Bożą, że musiałam zadać sobie gwałt, aby się posilić. Przebywając w towarzystwie osób, które mówiły o interesach, rzeczach zbytecznych lub obojętnych, nie mogłam śledzić treści ich rozmowy; wówczas szwagier, zauważywszy to, żartobliwie pytał mnie o zdanie na temat tego, o czym się mówiło, czułam się wtedy zawstydzona, nie mogąc nic odpowiedzieć. Musiałam więc dla miłości Naszego Pana starać się intere-

sować wszystkim, inaczej byłabym trudna dla bliźnich, a On dawał mi tyle łask, że mogłam każdego zadowolić”.

Jednak to całkowite posiadanie Boga nie odbyło się bez walki, to było zarazem warunkiem zasługi i próbą miłości. „Nasz Pan dozwolił w tym czasie, by szatan dręczył mnie różnymi sposobami. To przedstawiał mi, że byłam szalona, skazując się na takie cierpienia, że wielu chrześcijan, zachowując przykazania Boże, będzie zbawionych bez tylu trudów. Następnie podburzał mnie przeciw uległości kierownikowi duchownemu. Moja zależność od niego wydawała mi się zbyt ciężką niewolą. Pewnego dnia atak był tak silny, że zawołałam wobec jednej z moich przyjaciółek: „Po co to wszystko? Nie mogę dłużej tak się więzić! Po opamiętaniu się, tak się zawstydziałam, że to starczyło za wszelką pokutę”.

Zalety przyrodzone, które Maria otrzymała od Boga i łaski nadzwyczajne, jakimi ją obdarzył, mogły się stać dla niej pokusą do pychy. I oto, do jakiej szkoły pokory i pogardy samej siebie wprowadził Duch Święty tę duszę wybraną, by ją potem, startą w proch, rzucić do nóg Zbawiciela pokornego i cichego. „Otwierając raz jakąś książkę, mój wzrok padł na jakiś wiersz psalmu: *Nisi Dominus aedificaverit domum*. Wówczas ujrzałam się tak niepotrzebną, tak niezdolną do czegokolwiek dobrego, a przeciwnie, tak zdolną do wszelkiego zła, że w istocie uznałam, że byłam niczym. To, co jeszcze bardziej upokarzało mnie w moich oczach, to widok na skraju drogi, którą codziennie przemierzałam, idąc na Mszę św. Leżał tam nieżywy pies, porzucony w błocie, roztaczający tak obrzydliwą woń, że trzeba było się od niego odwracać. Za każdym razem, gdy przechodziłam, czułam natchnienie, by się do niego zbliżyć. Po jakimś czasie ujrzałam, że był pełen robactwa, wreszcie rozsypał się w proch. Widok ten pozostał tak wyryty w moim umyśle, że nie przypominam sobie, abym choć raz odtąd przy każdej myśli próżnej nie powiedziała sobie, upokarzając się przed Bogiem: »Jestem tylko zdechłym psem«. Ten akt wyrывał mi się z duszy odruchowo, gdy spostrzegłam, że mam myśl przeciwną pokorze”. Maria miała być jeszcze przeprowadzona przez inną próbę, mianowicie przez tę, której Mistrz nasz doznał w Ogrodzie Oliwnym i na krzyżu, tj. przez próbę bezbrzeżnego smutku i zupełnego opuszczenia. „Ujrzałam się zstępującą do przepaści. Wszelka pociecha została mi odjęta, nawet wspomnienia łask, które otrzymałam, powiększały moje cierpienia, gdyż miałam przekonanie, że to nie były prawdziwe łaski, ale strata czasu i zajmowanie się sobą. Wyrzeczenie się, umartwienie, cielesne pokuty stały się dla mnie nieznosnymi ciężarami i musiałam nieraz użyć całego wysiłku woli, by nie zaprzestać swoich zwykłych umartwień i pokut. Wyrzucałam sobie wtedy małoduszność i chcąc się zwyciężyć, zaczynałam z pewnym zapalem, lecz kończyłam z wielkim trudem. Byłam, jak ci ubodzy, co idą od drzwi do drzwi, nie mogąc sobie w niczym poradzić. W stosunku do bliskich odczuwałam wszystko, co mi przeciw nim mówiono i musiałam wciąż czuwać nad sobą, by zachować delikatność, inaczej natura moja nie zniosłaby tego. Mój spowiednik, obawiając się, bym nie zachorowała, zabronił mi na pewien czas niektórych pokut. Był tak dobry, że przetłumaczył mi niektóre fragmenty z Pisma św., mogące przynieść mi ulgę. Nic jednak nie zmniejszało moich cierpień. Ten pokój, jaki mi Pan dał niegdyś, był tak głęboko ukryty w mojej duszy, iż ledwie go mogłam dostrzec”.

To było też zjednoczenie z duszą Jezusa Chrystusa, ale ukrzyżowanego. „Stan ten trwał kilka miesięcy. Wreszcie, pewnego dnia, podczas medytacji, usłyszałam te słowa »Poślubię cię sobie przez wierność« (Oz 2,22). W tej chwili duch mój się zbudził, zrozumiałam, że aby dojść do tego zjednoczenia, za którym wzdychałam, powinnam się odtąd opierać jedynie na wierze. Byłam więc zadowolona, że Pan zatrzymał swoje łaski i dziękowałam Mu za to, gdyż w ten sposób pozostawały one czyste, podczas gdy ja plamiłabym je przez swoją miłość własną, gdyby były one we mnie wyczuwalne. Gdyby mi wówczas kazano zdać sprawę z moich myśli, odpowiedziałabym „Upodobałam sobie w Tym, który jest wszędzie i wszystko napęnia Sobą”.

Między wszystkimi ofiarami, które ją czekały, najboleśniejszą była dla niej rozłąka z ukochanym synem. Przeczuwała zbliżanie się tego dnia. Klaudiusz dobiegał siedmiu lat. Była to natura żywa, gorąca, której porywczność potrzebowała ręki matczynej, jednocześnie łagodnej i stanowczej. Maria czuwała nad pierwszymi jego naukami, przyuczała go do pobożności, polecała mu już wówczas obierać sobie Matkę Bożą za patronkę swych prac. To pierwsze wychowanie wcześniej wydało owoce. Według świadectwa o. Edmunda Martène, młody Klaudiusz Martin odznaczał się do tego stopnia dobrym zachowaniem, że ojcowie i matki stawiali go za wzór swoim dzieciom.

I tu też miłość miała swoje obawy, kłopoty i niepokoje, nawet wyrzuty. Czy czyniła wszystko, co mogła, dla przyszłości swego dziecka? Nie potrzebując nic dla siebie, czy mogła skazywać na to dobrowolne ubóstwo życie tego sieroty? „Wydawało mi się niekiedy – wyznaje - że Bóg każe mi kiedyś zdać rachunek z tego, że żyłam tak, jak gdyby syn nie potrzebował niczego w przyszłości. Bardzo cierpiałam z tego powodu, gdyż bardzo kochałam syna i życzyłam mu prawdziwych dóbr, dając mu możliwość, tak jak sobie, zakosztować ubóstwa. Spowiednik uspokajał mnie, lecz to nie zmniejszało mego cierpienia. Wiele osób wyrażało mi te same obawy, jakie starałam się pokonać w sobie. Szatan podsuwał mi wszelkie argumenty, by mnie skłonić do umiławania bogactw i zawrócić z drogi takiego ogołocenia, do jakiego nasz Pan chciał, bym dążyła”.

Wreszcie potężna miłość, która kazała jej tak heroicznie wyrzec się wszystkiego dla Boga, stała się, jak mówią święci, miłością uległości i pokory. Maria chciała naśladować Tego, którego kochała nade wszystko i nie rozumiała, aby można gdzie indziej szukać gruntownej cnoty: „Chociaż jestem tylko słabym i nędznym stworzeniem, nie mogłabym się zadowolić pobożnością oderwaną od rzeczywistości, działającą tylko na wyobraźnię i uczucie. Nasz Boski Zbawiciel i Mistrz stał się naszym wzorem, abyśmy Go mogli naśladować. W jakim byśmy nie byli stanie, możemy tego dokonać dzięki Jego łasce, która nam delikatnie odsłania to, co w nas jest do usunięcia. Taka, a nie inna pobożność mnie podtrzymuje, bez niej zaś zdawałoby mi się, że buduję na lotnym piasku”.

Rozważanie przykładów ewangelicznych stawiało ją najpierw wobec tajemnicy Wcielenia Syna Bożego: „Jezus, którego łaski są nieskończone, odkrył mi, co uczynił dla ludzi i do jakiego stopnia Jego miłość dla nas Go uniżyła. Podczas Wielkiego Postu objawił mi cudowną tajemnicę Wcielenia w sposób dotąd niepojęty; wprawdzie potem czytałam coś podobnego, ale tego nie można porównać z wrażeniem, jakie przynosi i wywiera takie nawiedzenie Boże. Jednakże wiel-

ką jest pociechą widzieć, że to, co się doświadczyło, jest zgodne z nauką Kościoła i nauką Doktorów. Wówczas wszelkie inne myśli ustąpiły i pozostał widok wielkości i doskonałości Duszy naszego Pana i Jego czystej miłości ku nam”.

W tej kontemplacji Słowa Wcielonego Maria znajdowała podwójną korzyść: upokorzenie, rozważając Jego wielkość, i wzrost nadziei, rozważając Jego dobroć. Ale też łaska wymagała wielkiej wierności, o czym, tak pisze: „Gdy mi się wyrwało jakie niepotrzebne słowo lub jeśli chwilowo uległam rozproszeniu, choćby było najmniejsze, zaraz czułam, że moje zjednoczenie z naszym Panem słabło. Wówczas upokarzałam się: »Przebacz, o mój Umiłowany!, mówiłam Mu, racz zapomnieć o tej winie, inaczej żyć nie potrafię!«. Po tych słowach, jeżeli wyrzuty wewnętrzne ustały, poznałam, że mi przebaczył. Dusza upokarzająca się - mówi w innym - miejscu, łatwo się jednoczy z naszym Panem. Zobowiązujemy Boga, jeśli można tak się wyrazić, rzucając się z ufnością w Jego objęcia. Ale też im dusza więcej zbliża się do Boskiego Majestatu, tym jest pokorniejsza, widząc jasno, iż jest malutka i podobna do nicości, rozumie też coraz lepiej, że Bóg jest wszystkim”.

Jednym z pierwszych skutków tej jednoczącej miłości jest gorące pragnienie połączenia się świętymi i nierozzerwalnymi węzłami z ideałem naszych uczuć. Idąc za tym natchnieniem łaski, pani Martin postanowiła związać się ślubami zakonnymi, żyjąc jeszcze pośród dotychczasowych handlowych kłopotów. Maria wyznaje: „Nasz Pan raczył okazać mi wielkie i nieskończone skarby, ukryte w radach ewangelicznych, w tych szczególnie, które są zamknięte w ubóstwie, czystości i posłuszeństwie. Wszystkie królestwa świata, wszystko, co porusza zmysły i rozum człowieka, w porównaniu z ubóstwem wydawało mi się błotem i nicością. Jednak stworzenie jest zbyt słabe, by mogło samo z siebie uczynić krok w tak ważnej decyzji: może ono tylko przyjąć wezwanie Boże, bo chociaż Bóg jest wszechwładnym Panem, jest jednak tak dobry, że wzywając szlachetną duszę, chce ją nadal miłosiernie traktować, pozostawiając jej wolność. Ona ze swej strony zwycięża Go słodyczą i delikatnością, dając Mu wszystko, a widząc Go tak łaskawym dla siebie, chce tylko Jego Samego”.

Maria otrzymała od o. Rajmunda pozwolenie dołączenia do swego ślubu czystości także ślubów ubóstwa i posłuszeństwa na czas pobytu w świecie. „Co do ślubu ubóstwa, miałam do użytku tylko to, co moja siostra mi dała, lecz ona była tak dobra i miłosierna, że otrzymałam od niej o wiele więcej niż to było konieczne i gdyby mnie pytano: »Czego jeszcze pragniesz«? – odpowiedziałabym – »Nie chcę nic, gdyż Bóg jest mi wszystkim«. Co do spraw mego syna, to one były całkowicie w ręku Opatrzności, która z miłością domagała się ode mnie zupełnego zaufania. Przez ślub posłuszeństwa zobowiązywałam się do zależności nie tylko wobec mego spowiednika, ale jeszcze względem szwagra i siostry, którym się poddawałam jak ojcu i matce”. To mądre i proste posłuszeństwo doprowadzało ją do podporządkowania swoich najdroższych praktyk religijnych posłudze bliźnim według zasady prawdziwego chrystianizmu, polegającego na tym, że trzeba niekiedy opuścić Boga dla Jego świętych. I tak pewnego dnia, gdy była na Mszy św. w kaplicy zreformowanych cystersów i przygotowywała się do Komunii św., ktoś zbliżył się do niej i powiedział jej po cichu, że szwagier prosi, aby jak najprędzej przyszła. Powstała na-

tychmiast, nie czekając na Komunię św., szczęśliwa, że może przez posłuszeństwo wyrzec się jedynej pociechy, jakiej jej dusza pragnęła na ziemi.

Z tego faktu możemy osądzić, jaka musiała być jej uległość względem spowiednika. O. Rajmund jej nie oszczędzał. Kochając tę duszę, którą uważał za zdolną do wielkich rzeczy, rzeźbił ją silną ręką, by z niej uczynić żywy obraz Boga ukrzyżowanego. Udzielał jej nagan, upokarzał ją nie tylko w cztery oczy, ale i publicznie: „Wydawało mi się wówczas, że byłam pod jego nogami, nie śmiejąc nawet podnieść oczu. Bóg wie, jak on się ze mną obchodził, nie przepuszczając mi niczego płazem a wypowiedziawszy gorzką prawdę, oddalał mnie natychmiast od siebie. Z niczego tak nie korzystałam jak z tych upokorzeń. One dają duszy prostotę dziecięcą, służą do jej oczyszczenia i czynią zdolniejszą do zjednoczenia z Bogiem. Po upokorzeniu biegnie się do Niego bez obawy”. Gdy posłuszeństwo zmuszało Marię do pewnych ulg w jej pokutach, mówiła wówczas do swego dobrego Mistrza: »Cóż uczynię? Będę miłością zastępowała pokutę, moim zajęciem będzie kochać Cię jeszcze goręcej podczas odpoczynku, którego chcesz bym używała”. Nie omieszkala nigdy poddawać sądowi spowiednika oświeceń, jakie otrzymała w czasie medytacji. Oto jej słowa: „Byłam spokojna niezależnie od tego, czy je potwierdził, czy też nie, gdyż duch łaski wpajał we mnie tę prawdę, że ponieważ spowiednik zastępował mi Boga i byłoby błędem nie iść za jego zdaniem”.

„Mógłby mnie ktoś zapytać, czy porzucałam moje niedoskonałości za każdym razem, gdy mi doradzał, odpowiem, iż zawsze chciałam to uczynić, ale jestem słaba i jeszcze bardzo niedoskonała”.

Maria wyznaje: „Trzeba przejść przez ogień, by dostąpić zaszczytu Bożych uścisków”. Oderwana od świata, od jego dóbr, od siebie, od ciała i własnej woli, a złączona z Jezusem Chrystusem przez potrójny węzeł ślubów, wzniesiona została przez Niego do podnóżka Bożego tronu. Oddajemy jej głos, bo tylko ona sama może nas wprowadzić do świątyni swej duszy, zalanej światłem niebieskim, której pewne tajemnice odkrywa nam z posłuszeństwa. „Bardzo mnie upokarza pisanie o tym. Odczuwam jednocześnie obawę i wstyd, gdyż jestem przekonana, że moje niedoskonałe życie nie odpowiada jeszcze tak wysokim darom i sprawia, że piszę o tym upokorzona i przygnębiona. Wyrażenia moje są nieudolne i zawsze niewystarczające, bo nie mogę i nie umiem znaleźć innych słów, by to lepiej wyrazić”.

Maria opowiada: „Pewnego ranka, w poniedziałek Zielonych Świąt, słuchając Mszy św. w kaplicy cystersów, podniosłam oczy na ołtarz i patrzyłam, nie myśląc o tym, na podstawie świeczników, ozdobionych główkami cherubinów. W jednej chwili moje oczy zamknęły się, a duch został uniesiony i pogrążył się w oglądaniu Majestatu Przenajświętszej Trójcy. Natychmiast władze mojej duszy zostały zawieszone i zaabsorbowane doznaniem tej świętej Tajemnicy. To doznanie nie miało kształtu ani formy, które by podpadały pod zmysły, a jednak było jaśniejsze i bardziej zrozumiałe niż wszelkie światła. Poznawałam, że dusza moja trwa w prawdzie, która w jednej chwili ukazała mi niepojęte obcowanie trzech Osób Boskich: Miłość Ojca, który kontemplując samego siebie rodzi odwiecznie i po wszystkie czasy Syna Swego. Dusza moja otrzymała poznanie tej prawdy w sposób niewypowiedziany, nie dający się wyrazić żadnym słowem. Zatra-

ciłam siebie w tej światłości. Później ujrzałam wzajemną miłość Ojca i Syna, wylaniającą Ducha Świętego. Dokonywało się to przez wzajemne zanurzanie się w miłości, bez jakiegokolwiek zlania się (osób). Doznałam wrażenia tego wylaniania, zrozumiałam, czym jest pochodzenie, a czym jest rodzenie, ale ta czystość pochodzenia i rodzenia jest tak wielka i tak wzniosła, że nie ma słów, by ją wypowiedzieć, czy określić. Widząc odrębność trzech Osób Boskich, poznałam jedność ich natury i chociaż teraz potrzebuję wielu słów, by to wyrazić, pojmowałam w jednej chwili bez przerwy w czasie, ich jedność i odrębność, a także ich działanie wewnętrzne i zewnętrzne. A chociaż pod pewnym względem moje oświecenie dokonywało się stopniowo, zależnie od działania trzech Boskich Osób na zewnątrz i nie widziałam pomieszania w tym, co dane mi było poznać, a wszystko dokonywało się w niewypowiedzianej czystości i jasności. W tej chwili zostałam pouczona o stosunku tych Trzech Osób względem hierarchii duchów niebieskich. Było mi też objawione, że Bóstwo różnicuje aniołów, aby stopniowo byli oświeceni, jednak, gdy Jemu się podoba, oświeca ich samo Bóstwo według swoich zamiarów, co czyni również względem pewnych wybranych dusz na ziemi. Chociaż jestem tylko błotem i nieczystością, moja dusza czuła i była pewna, że jest z ich liczby”. Maria pozostawała tak zatopiona w tych wspaniałych przeżyciach i zdawało się jej, że „Jego Boski majestat upodobał sobie w oświecaniu jej coraz bardziej w rzeczach, które nieskończenie przewyższały słabość stworzeń. W widzeniu przedstawiającym kilka tajemnic na raz widzi się najpierw całość, potem się je ogląda szczegółowo; w taki sposób widzi się wszystko wyraźnie, jasno, bez przeszkody”¹⁶.

Maria dodaje, że odzyskując świadomość, znów pogrążała się w tej kontemplacji, która czasem trwała przez kilka Mszy świętych. „Nie byłam do tego czasu pouczana o tajemnicy Trójcy św., ale choćbym czytała na ten temat, to czytanie lub ludzka nauka nie mogłaby mi dać takiego światła, jakie miałam wówczas i które mi nadal pozostało”. Z żalem skracamy ten opis, którego podniosłość i wiedzę podziwiali kilku teologów. Sześć miesięcy przed śmiercią urszulanka, ulegając życzeniu syna, wspomina o tej wizji w liście, który o. Klaudiusz Martin nazywa słusznie „łabędzim śpiewem”, gdyż jego święta matka nigdy nie mówiła wymowniej o Bogu i o Boskich tajemnicach. „Możesz być pewien, pisze w nim, że takich wielkich rzeczy nigdy się nie zapomina; nawet po upływie czterdziestu lat wydają się tak bliskie, jak w chwili, gdy zaszły”.

Jednym z wybitnych skutków tej szczególnej łaski był stan ciągłego zjednoczenia z Trzema Osobami Boskimi. Czy nie było to jednak złudzenie? Maria pisała: „Obawiałam się złudzenia, czy nie była to gra wyobraźni lub zasadzka szatańska, w celu opóźnienia mnie w rozwoju mojego życia duchowego i w praktyce cnoty? Spowiednik jednak uspokajał mnie. Obawa ta trwała aż do momentu, kiedy raz na modlitwie nie usłyszałam tych słów: »Pozostań tu córko, tu twoje gniazdko!« Od tej chwili uspokoiłam się i pozostawałam trwając w tej tajemnicy, jak na boskim łożu, gdzie spoczywałam i przyjmowałam posiłek. W tej tajemnicy byłam tak doskonale zanurzona, że zewnętrzne zajęcia nie mogły mnie rozproszyć. Przypominam sobie, że raz, gdy rozmawiałam o interesach z hugenotami w ich sklepie, moja dusza zażywała rajszych rozkoszy wśród tego piekła”.

¹⁶ *Relacja z 1654 roku*, w: J II, s. 233-234.

Nie da się szczegółowo opisać łask, którymi ta dusza umiłowana przez Boga była w tym czasie obsypana. Były to same dowody miłości i delikatności ze strony Jezusa. Czasem Bóg ukazywał jej duszę w stanie łaski uświęcającej, czystą i wolną od błędów, w całej jej promiennej piękności, a ten widok wzbudzał w niej taki wstręt do najmniejszych niedoskonałości, jakby to były straszne zbrodnie. Innym razem Zbawca ukazywał się jej w takiej jasności, że nie mogąc znieść takiego blasku, skarżyła Mu się z miłością, prosząc, by się stał więcej przystępnym, gdy raczy się do niej zbliżyć. Wtedy zmieniając to światło na pełną miłości obecność, dawał jej przedsmak szczęścia wybranych. Maria wspomina: „Odczuwałam tak wielką radość na myśl, iż Bóg chce być kochanym, że mówiłam o tym z przyjemnością, gdy poruszano przy mnie ten temat”. Każde z tych objawień wydawało się jej tak wielką łaską, że nie sądziła, by mogła otrzymać większą.

Maria poznała wkrótce, do jakich szczytów Bóg wynosi swoich przyjaciół już tu na ziemi. Około dwóch lat po wizji Trójcy św. została wtajemniczona jeszcze wyraźniej w tę tajemnicę. „Podczas gdy byłam jakby unicestwiona wobec tego Przenajświętszego Majestatu, Słowo Boże dało mi do zrozumienia, że było prawdziwie Oblubieńcem wiernych dusz. I ujawszy duszę moją i obejmując ją z niewysłowioną miłością, raczył się z nią połączyć i wziąć ją za oblubienicę. Gdy mówię, *objął* - nie było to podobne do uścisków ziemskich; nie podobna też tego widzieć zmysłami. Ale muszę się wyrażać ludzkimi słowami. Uskuteczniło się to dotknięciem boskim, przenikaniem Jego we mnie i mnie w Niego tak, że nie należąc już do siebie, pozostawałam cała w Nim w związku miłości i zjednoczenia”.

Duchowe zaślubiny zawarte w obecności Ojca Przedwiecznego i Ducha Świętego, którzy byli jakby Jego świadkami, wywarły cudowny wpływ na Marię. „Dusza – mówi ona, a mówi to o swojej duszy – nie ma już wówczas pragnień, gdyż posiada Umiłowanego, przejmuje się Jego sprawami, by szukać Jego chwały we wszystkim i sprawiać, by wszędzie jako Wszechwładny Pan królował nad wszystkimi sercami. Jest tak wyniesiona ponad stworzenia, że wszystko, co jest bogactwem i wspaniałością na świecie, wydaje się jej niczym i prochem godnym pogardy; „choć sama jest niskiego stanu, wielkość, która ją otacza, sprawia, że uważa się za szczęśliwszą niż wszyscy możni tego świata. Dalej ćwiczy się w pokucie i wyniszcza w uczynkach miłosierdzia, mówiąc do swego Boskiego Oblubieńca: „Chodźmy, mój Umiłowany, chodźmy do spraw, które mi powierzyłeś”.

Z żalem opuszczamy te hymny miłości, które Maria powtarzała wewnątrz całe dni i tygodnie po tym zbliżeniu się Słowa Przedwiecznego. Zdumiona tak niepojętą łaskawością, woła: „»Jak to może być, o mój Panie, że mnie tak ścigas bezustannie, doprawdy zdawałoby się, że tylko ja jestem przedmiotem Twojej miłości i Twoich starań !« Jednakże mimo tak bliskich relacji, którymi raczył mnie zaszczyścić, dusza moja pamiętała zawsze, że była niczym, któremu Bóg okazywał miłosierdzie”.

Jezus uspokajał swoją służebnicę, gdy się obawiała, że jest ofiarą złudzeń nieprzyjacielskich. »Moja córko – mówił – pozostań tutaj, gdzie jesteś, chcę, byś czyniła na ziemi to, co błogosławieni czynią w niebie«. Pewnego razu ujrzała swego Boskiego Mistrza, trzymającego w

rękach dwa serca i zrozumiała, że to były serca Jezusa i jej, potem Jezus włożył jedno w drugie tak, że widać było tylko jedno serce, i powiedział jej: »Oto jak się dokonuje się jedność serc«.

Spoczynek nocny zaledwie przerywał tę pieśń miłości. Czasami jednak, gdy zmęczenie fizyczne górowało, prosiła Jezusa, by trochę wstrzymał ten zapal, który pozbawiał ją snu. Mówiła do Niego: »Moja Boska Miłości, proszę cię, pozwól mi trochę spać, abym wypoczęła i mogła Ci jutro służyć, ponieważ chcesz, bym jeszcze żyła«. A kiedy pośród swych prac zewnętrznych czuła, jakby porywał jej duszę, ośmielała się Mu mówić z pełną szacunku poufałością: »Pozwól mi wykonać tę sprawę, Jezu, a potem oddam Ci się zupełnie, gdyż dusza moja pragnie być wyniszczoną przez Twoją miłość«. Dziwiłam się nieraz, że mogłam wewnętrznym do tego stopnia się skupić, będąc w warunkach tak nieprzyjaznych dla życia duchowego i wciąż będąc obciążoną tyloma kłopotami. Łatwo można było zrozumieć, że nasz Pan wszystko robił za mnie, gdyż nie mogłam temu podołać własnymi siłami. Niech będzie błogosławiony za to, On mógł tego dokonać i jeszcze więcej niż to można wypowiedzieć. Takie nawiedziny niebieskie nie przychodzą bez wyniszczenia naszej ziemskiej powłoki. Maria odczuwała także to rozkoszne męczeństwo. „Czułam niekiedy bicie serca lub ból w nim jakby było przebite. Nie jest to wyobrażenie, cierpiałam rzeczywiście, ale ten wielki ból jednocześnie był rozkoszny tak, że chciałoby się, by się wciąż powtarzał. Szukałam czasem ulgi w śpiewaniu pieśni pobożnych”. Opowiada, że gdy się udawała do wili swego szwagra, na wieś, lubiła, idąc ścieżkami lasu i winnic, wylewać swoją duszę w jakimś hymnie pochwalnym na cześć Słowa Wcielonego. Lecz nic nie mogło zagoić tej boskiej rany. Jej syn pisze: „W tym czasie zachorowała, a jej choroby lekarze nie mogli zrozumieć. Uskarżała się na ból w sercu tak, jakby było zranione tęym żelazem. Dawano jej różne lekarstwa, ale daremnie, gdyż tylko Ręka, która zadała tę ranę, mogła ją wyleczyć”.

Tymczasem Maria dobiegała trzydziestego roku życia. Pragnienie życia zakonnego, które jej wciąż towarzyszyło, nie wydawało się być bliskim urzeczywistnienia. „Mówiłam o tym z Naszym Panem w poufnych rozmowach; zapewniał mnie, że to się stanie. Niekiedy jednak obawiając się, by to pragnienie nie było pokusą do rozproszenia, prosiłam, by oddalił tę myśl z mego umysłu: „Ty wiesz, mój Umiłowany, mówiłam Mu, że pozbawiłam się możliwości dojścia do tego błogosławionego stanu, wyrzekając się własnych korzyści, aby służyć bliźniemu z miłości ku Tobie. A prócz tego mam syna, o którego muszę się troszczyć, ponieważ tego chcesz i jestem do tego zobowiązana. Przy tej skardze następował wewnętrzny wyrzut, o brak ufności, gdyż Boska Dobroć była dość bogata i dla mnie i dla mego syna”.

Po pewnym czasie Maria otrzymała odpowiedź jeszcze bardziej wyraźną. Pewnego razu znalazła się w towarzystwie osób, których rozmowa, zbyt swobodna była dla niej męką, ale którym nie mogła zwrócić uwagi. Nasz Pan przynaglił Marię, by wyszła, gdyż chce jej udzielić pewnej łaski. Ledwie wyszła do swego pokoju, doświadczyła tego, co mówi św. Paweł: „Duch w nas błaga językiem niewymownym”. Poskarżyła się dobremu Panu, że ją zostawia wśród tylu niebezpieczeństw i wśród tylu dusz, które Go nie kochają. Wówczas Jezus zamieniając z nią jedno z tych spojrzeń, które przynoszą radość i światło duszy, rzekł: „Poczekaj moja córko, poczekaj, bądź cierpliwa, spełnię twoje pragnienie”. Ona zaś, urzeczona wdziękiem tego spojrzenia,

rzekła z kolei: ‘Moja słodka Miłości, czyż nie jesteś wart tego, bym Ci we wszystkim ustępowała?’. Gdybym miała moc posiadania tego, czego chcę, złożyłabym to u Twoich stóp, aby chcieć i móc według Twojej Boskiej Woli”.

Ostatnim przygotowaniem do stanu doskonałego, któremu Maria miała się oddać, był wysoki dar ekstazy i zachwycen oraz łaska spokojnego zjednoczenia, dającego duszy swobodę działania na zewnątrz. Wzmocniona i pogłębiona, stała się zdolna znosić bez znużenia wszelkie łaski Boże. Maria pisała w swej Autobiografii: „Można wówczas czytać, pisać, pracować, a mimo to dogłębne zjednoczenie trwa. Duszy jest obojętne, czy jest w wierze, czy spoczywa w samotności, gdyż wszystko, co ją spotyka, dotyka i otacza, co porusza jej zmysły, nie przeszkadza jej nasycać się wewnętrznie rzeczywistością Miłości. Wśród rozmowy i gwaru świata jest ona w samotności, w komnacie swego Oblubieńca, gdzie Go pieści i z Nim rozmawia bez przeszkody. Nie słychać tam żadnego odgłosu, wszystko jest w spoczynku”.

Urszulanki, które od przybycia do Tours zajmowały tymczasowy lokal, sprowadziły się teraz do dzielnicy zamieszkałej przez rodzinę Martin. Nazwa urszulanek od dawna ją wzruszała, chociaż nie znała żadnej z tych zakonnic. Sama myślała, że powołaniem ich jest kształcenie dusz, skłoniło ją ku temu instytutowi. Gdy przechodziła koło furty ich klasztoru, a to się zdarzało kilka razy dziennie, czuła, że serce jej zatrzymało się przy tym świętym domu, z nieprzepartym poczuciem, iż Bóg chce, by tam była. O. Rajmund inaczej myślał, odpowiadał krótko swej penitencie, gdy mówiła o urszulankach, że nigdy tam nie pójdzie. Maria wspomina: „I tak starałam się stłumić me uczucia, choć myślałam nieraz o użyteczności tego zakonu i o tym, ile on dusz wyrывa z rąk szatana”. Życie kontemplacyjne, jak można przypuszczać, nie było dla niej bez uroku. Maria przeczytała dzieła św. Teresy i widząc, że jej córki poświęcały życie wyłącznie modlitwie i pokucie uznała, że duch Karmelu odpowiadał drogom, jakimi Bóg ją prowadził dotąd. W tym czasie przybył do Tours w celu wizytacji klasztoru generał zreformowanych cystersów. Gdy dowiedział się o niezwykłych przymiotach Marii, zażądał widzenia się z nią. Po dłuższej rozmowie z Marią był tak zachwycony tym, co w niej odkrył, że całym jego pragnieniem było pozyskać zakonowi taki skarb cnoty. Ofiarował więc bardzo uprzejmie, że jej ułatwi wstąpienie do cysterek ścisłej Reguły w Paryżu, zapewniając ją, że ojcowie cystersi zajmą się wychowaniem jej syna. Maria uczuła żywą radość z tej obietnicy, ufając, że Bóg dawał jej sposób wykonania swego zamiaru bez zwłoki. Ponieważ cysterki żyły w wielkim ukryciu i praktykowały te same pokuty, co karmelitanki, nie myślała już o wstąpieniu do Karmelu. Sądziła jednak, że przed ostateczną decyzją musi mieć bardziej wyraźny i jasny znak Woli Bożej. „Będąc tak zamyśloną i wahającą się na dwie strony, moja dusza nie przestawała powracać do urszulanek. Wydawało mi się, że bardziej powinnam cenić działalność ich zakonu, połączoną z wychowaniem i ratowaniem dusz niż wszystkie umartwienia innych instytutów. A ponieważ dobroć Boża obdarzyła mnie szczególną łaską skupienia nawet pośród gwaru świata, sądziłam, że ten zakon odpowiadałby mi bardziej niż inne, gdyż rozmowa z bliźnim była praktykowana w nim na wzór życia apostolskiego Zbawiciela. Ta ostatnia racja wydawała się decydująca. Wracałam jednak jeszcze do moich niedoskonałych poglądów względem umartwień cielesnych, które bardzo ceniłam i trochę przykro mi było iść do klasztoru, w którym nie praktykowano wielkich pokut”.

W tym samym czasie Maria otrzymała inną propozycję. Biskup z Dol w Bretanii, mons. de Révol, wielki wielbiciel bł. Matki de Chantal, porozumiał się ze świętą założycielką co do założenia klasztoru wizytek w swojej stolicy biskupiej. Przejeżdżając przez Tours słyszał tyle wyrazów uznania o cnotach pani Martin, o jej roztropności i energii, że zapragnął zabrać ją do Dol, by się stała kamieniem węgielnym zamierzonego klasztoru. Maria poprosiła o kilka dni namysłu, po upływie których udała się do dostojnika i przedstawiła mu z należnym szacunkiem, że to jest to sprawa niezmiernie ważna, a także jest przekonana, iż ażeby udać się na nową fundację, trzeba mieć do tego jasne powołanie, a ponieważ ona nie czuła w tym względzie pociągu, błagała Jego Eminencję, aby jej do tego nie zmuszał. Biskup musiał się wyrzec swego projektu, lecz był bardzo zbudowany mądrością i skromnością tej młodej kobiety.

Maria pisze w swej *Relacji*: „Nareszcie po tak długich wahaniach pewnego dnia, gdy najmniej o tym myślałam, poczułam, że opuściło mnie upodobanie do cysterek i nie pragnęłam niczego jak tylko być urszulanką i to tak silnie, że wydawało mi się, iż wszystko, co było na świecie groziło mi zgubą, jeśli prędko nie ukryję się w tym Domu Bożym. Mocno więc postanowiłam iść za głosem powołania, a spowiednik mój na to się zgodził”.

ROZDZIAŁ V

Wstąpienie Marii Guyart –Martin do urszulanek w Tours 1631

Biskup de Laval, który znał dobrze Marię od Wcielenia, wydał o niej świadectwo, że Bóg obdarzył ją pełnią ducha jej Instytutu. Warto tutaj nakreślić główne rysy charakterystyczne Zakonu św. Urszuli.

Powołanie urszulanek do apostołstwa wychowania sięga korzeniami ich założycielki, św. Anieli Merici (1474-1540). W 1535 r. założyła ona w Brescii, w północnych Włoszech Towarzystwo św. Urszuli, które w swych początkach było instytucją wychowawczą dla dziewcząt pragnących ofiarować życie Bogu. Wraz z patronką – św. Ursulą, Anieli przekazała swemu dziełu pewne rysy duchowości, zadanie chrześcijańskiego nauczania i wierności Chrystusowi aż do śmierci. Prócz Reguły Aniela zostawiła swym duchowym córkom jeszcze dwa krótkie pisma: Testament i Rady. Pisma św. Anieli stanowią cenne źródło duchowości urszulańskiej, ale są też prawdziwymi klejnotami w dziedzinie pedagogicznej.

Założone przez św. Anielę Towarzystwo św. Urszuli rozwijało się prężnie. W ciągu wieków podlegało licznym przeobrażeniom. Dzięki św. Karolowi Boromeuszowi, który wprowadzając reformy Soboru Trydenckiego, dostrzegł możliwość wykorzystania zapału apostołskiego urszulanek w dziele katechizacji, Włochy i Francja pokryły się siecią urszulańskich fundacji. Na początku XVII wieku, od 1612 roku, zgodnie z decyzją Kościoła, Towarzystwo św. Urszuli we Francji zostało przekształcone w zakon (Ordo Sanctae Ursulae). Wówczas apostołstwo urszulanek ze względu na ograniczenie klauzurą wyspecjalizowało się w dziedzinie wychowawczo-

nauczycielskiej. W związku z zapotrzebowaniem społeczeństwa na szkoły pensjonatowe dla dziewcząt w XVII i XVIII wieku zakon wykazał wielką żywotność.

Historia urszulanek od początku XVII wieku to dzieje ich pracy apostołskiej w szkołach. W całokształcie sieci szkolnictwa i edukacji kobiet urszulanki odegrały rolę podobną do tej, jaką spełnili jezuici w swoich kolegiach w stosunku do młodzieży męskiej. W dobie reformy potrydenckiej przyczyniły się do religijnego odrodzenia społeczeństwa. Wszystkie urszulańskie klasztory, w ciągu trzech wieków, utrzymywały oprócz szkół pensjonatowych również bezpłatne szkoły dla ubogich dziewcząt z danej miejscowości. Ten obowiązek bezpłatnego nauczania nakładały konstytucje. Dzięki poziomowi nauki oraz wartości wychowania religijnego, jakie dziewczęta otrzymywały, wszystkie placówki urszulańskie były żywymi i cenionymi ośrodkami kształcenia, cieszącymi się zaufaniem społeczeństwa. Zastępy urszulanek nauczycielek, dobrze przygotowanych do swego zawodu, w dużym stopniu przyczyniły się do promocji kobiety.

Bordeaux stało się centrum licznych zakładów. Kardynał de Sourdis, arcybiskup tego miasta, przywiózł więc z Mediolanu Reguły instytutu, dla których w roku 1618 otrzymał od najwyższego Pasterza bullę potwierdzającą, prawie identyczną z tą, jaką otrzymały urszulanki z Paryża¹⁷. W Lyonie i Tuluzie powstały również fundacje potwierdzone przez Rzym. Te klasztory, tak jak i poprzednie, pozakładały liczne filie.

Klasztor w Tours, o którego początkach w roku 1622 wspominaliśmy, powstał za czasów matki Françoise de Cazères, pierwszej przełożonej urszulanek z Bordeaux. Była ona założycielką wielu wspólnot swego zakonu, tę zaś fundację rozpoczęła z sześcioma towarzyszkami, wybranymi z klasztorów w Bordeaux i Saumur. Oddała się temu dziełu pod szczególnym natchnieniem i po nadzwyczajnych modlitwach, jakby przeczuwając, że z tej kolebki wyjdzie błogosławiony zastęp urszulanek, który poniesie żar Ewangelii aż do Nowej Francji. Toteż klasztor w Tours - ze względu na ścisłe zachowywanie Reguły św. i gorliwość w nauczaniu młodzieży - stał się wkrótce jednym z najważniejszych. Dzięki mądrości mistrzyń wiele dziewcząt protestanckich kształciło się tam bezpłatnie. M. Joanna du Teil od Ducha św., którą m. Cazères zostawiła tam jako przełożoną, doświadczyła przez kilka lat ubóstwa i braków, nieodłącznych w początkach dzieł błogosławionych przez Boga. Jednakże od 1626 roku była już w stanie dopomóc fundacji klasztoru w Amboise, a dwa lata później w Loches. Ta ostatnia była powierzona m. Franciszce de Briant od św. Bernarda, zakonnicy o wielkich zasługach, przeznaczonej przez Opatrzność do dzieła Marii od Wcielenia, która też ją uważała do końca za swoją prawdziwą matkę. Wychowana w klasztorze w Saumur przez m. Annę Beauvais, którą nazwano „Matką, która kocha Boga”, tak dobrze wykorzystwała czas spędzony w tej szkole świętości, że nowo powstające zgromadzenie ubiegały się o tę młodą siostrę. Przywilej ten zyskało Tours, gdyż Matka de Briant była jedną z założycielek klasztoru i pozostała w nim na stałe; wyjechała tylko na kilka miesięcy, by pomóc klasztorowi w Loches. Po pokonaniu pierwszych trudności i widząc coraz liczniej zgłaszające się nowicjuszkę i pensjonarkę, urszulanki z Tours kupiły, mniej więcej pięć lat po swoim przybyciu, dom

¹⁷ Kongregacja paryska i burdygalska stały się najliczniejsze, ale ich reguły różniły się w niektórych punktach. M.in. urszulanki paryskie składały czwarty ślub poświęcenia się wychowaniu dziewcząt. Maria od Wcielenia gorąco pragnęła jedności wszystkich urszulanek.

otoczony obszernymi ogrodami przy ulicy, która nosi obecnie ich imię. Tutaj ostatecznie się osiedlili i tutaj także rozpoczęto budowę klasztoru.

Tuż obok znajdowało się mieszkanie państwa Buisson. Maria często przechodząc koło swych drogich urszulanek, które nie znając już kochała, wkrótce miała mieć sposobność poznania m. Franciszki od św. Bernarda, ówczesnej przełożonej. Maria pisała: „Im dłużej z nią rozmawiałam, tym bardziej czułam się pociągnięta, nie chciałam nigdy z nią się rozstać. Mimo to nie poprosiłam ją, by mi dopomogła w tej sprawie, wołałam pozostawić wszystko w rękach Opatrzności. Czasem jednak podczas rozmowy przedstawiałam jej moje pragnienie opuszczenia świata i niemożność wprowadzenia tego w czyn, lecz na tym wszystko się skończyło”.

W ostatnich miesiącach 1630 roku m. Franciszka od św. Bernarda została wybrana przełożoną klasztoru. W sam dzień wyboru zaofiarowała Marii z wielką serdecznością możliwość przyjęcia jej do klasztoru. Maria przyjęła tę wiadomość z pokorną wdzięcznością. Napisała: „Nigdy nie spotkałam tak wielkiej i bezinteresownej miłości. Byłam przekonana, że to nasz Pan skłaniał przełożoną do okazania mi tej łaski i wszystkiego, czego doświadczyłam potem, gdyż nic przyrodzonego ani ludzkiego ją do tego nie upoważniało. Zaledwie mnie znała, niczym się jej nie przysłużyłam i niczego nie mogła spodziewać się ode mnie”.

Od tej chwili wszystkie wątpliwości młodej wdowy ustały, a wewnętrzny głos mówił jej, iż będzie urszulanką: „Prędko, prędko, już czas! Niedobrze jest dla ciebie pozostawać w świecie”. Jedną przeszkodą stała jej na drodze, zawsze ta sama: „To mój syn, który nie miał jeszcze lat dwunastu, ogołocony ze wszystkiego, stawał mi się nieprzewycięzoną zaporą. Szatan, korzystając z moich niepokojów, przedstawił mi, że było nieroztropnym to zaniedbanie moich własnych i jego interesów i że opuszczenie go w tym stanie byłoby narażeniem go na zgubę i obciążeniem mojego sumienia. Dowody te wzruszały i przekonywały mnie tym więcej, iż przedmiot ich miałam przed oczami, a według roztropności ludzkiej były nie do zwalczenia. Lecz zaraz dobry Bóg napęłnił mnie ufnością, iż On Sam będzie się troszczył o tego, którego chciałam porzucić dla Jego miłości, aby doskonale iść za Jego Boskimi radami, nie tylko co do trzech ślubów, ale i co do opuszczenia rodziny. Kochałam bardzo mego syna i rozłąka z nim była moją największą ofiarą”.

Plany Marii Martin wyszły na jaw. Jej siostra i szwagier byli tym poruszeni. Mieli zamiar powierzyć jej kierownictwo swego przedsiębiorstwa, nie mogli się również pogodzić z myślą o utracie jej towarzystwa. Ojciec Marii, pan Guyart, ze swej strony wyrażał żal płacząc, czyniąc jej wyrzuty. Czuł się bliski śmierci i zapewniał córkę, iż jej odejście przyspieszy ten moment. Wszyscy litowali się ponadto nad losem młodego Klaudiusza. Patrzyli na niego ze współczuciem; gdy się zbliżał, ściszały rozmowy, wskazywali na niego i dawali mu odczuć jak bardzo jego los był godnym pożałowania.

Czy chłopiec zauważył ten smutek rodziny i domyślił się przyczyny? Być może. W każdym razie w tym czasie był powodem wielkiego niepokoju matki. Pewnego dnia potajemnie opuścił dom i udał się do Paryża, jak się potem dowiedziano, do jednego korespondenta swojego wuja. Można sobie wyobrazić niepokój Marii. Po upewnieniu się, iż Klaudiusza nie było w mie-

ście, rozesłała wszędzie ludzi na poszukiwanie, ale przez trzy dni nic się o nim nie można było dowiedzieć. Maria pisała: „W czasie tego zdarzenia większość moich przyjaciół dręczyło mnie przykrymi uwagami, twierdząc, że to był jasny znak, iż Bóg nie chciał, bym była zakonnicą. Szatan ze swej strony dokładał wszelkich starań, aby mnie zaniepokoić, wmawiając we mnie, że byłam przyczyną tego wszystkiego i że natchnienie opuszczenia świata były tylko fałszywym światłem. Nie śmiałam więc powiedzieć ani słowa, bo sama siebie wtedy potępiałam. Byłam pewna, że mój syn utonął lub został uprowadzony przez jakiegoś złego człowieka. O Boże ! Nigdy nie przypuszczałam, aby ból po stracie dziecka był tak dotkliwy dla matki! Widziałam go przedtem chorego, nawet bliskiego śmierci i chętnie ofiarowałam go wówczas naszemu Panu, ale stracić go w ten sposób – tego nie mogłam zrozumieć”.

W tych dniach celebrowano w Kościele oktawę Epifanii i wspominano zaginięcie dwunastoletniego Dzieciątka Jezus w świątyni. Maria pocieszała się kontemplując to wspomnienie. Pisała o tym: „Podczas tych trzech dni zatapiałam się w cierpieniu, które czuła Najświętsza Panna, gdy straciła w świątyni małego Jezusa, najgodniejszego Syna, podczas gdy ja nędzna, cierpiałam nad utratą tak małego stosunkowo dobra”.

W swoim strapieniu Maria poszła odwiedzić przełożoną urszulanek, która z przyjaźnią pocieszyła ją jak umiała. Podczas rozmowy przybył do rozmównicy o. Rajmund i dowiedział się o zniknięciu dziecka. Wiedząc jak dobrą matką była młoda wdowa, a także będąc przekonany, iż była *mężną niewiastą*, począł o tym mówić z wyrzutem dostosowanym do tej okoliczności. Według niego Maria, trapiąc się tak bardzo, okazała brak wiary, nie uznając należycie w tej stracie rozporządzenia Opatrzności. Mówił, że widać było jasno, iż jej cnoty były tylko powierzchowne, a namiętności dotąd nie zwalczone, ponieważ odczuwała tak wielkie przywiązanie do słabego stworzenia. Podczas tego upomnienia, które było co najmniej nie na czasie, Maria pozostawała na kolanach, przynięciona tym wyrzutem i bólem. O. Rajmund, słysząc jej westchnienia dodał, „Natura jest w Tobie jeszcze bardzo żywa”. I nie dodawszy żadnego pocieszającego słowa rozkazał jej wyjść, gdyż Dom Boży nie jest dla dusz tak nieumartwionych. Na ten okrutny rozkaz pani Martin wstała natychmiast, skłoniła się głęboko i opuściła rozmównicę z wyrazem twarzy pełnym słodyczy i skromności. Po jej wyjściu o. Rajmund i przełożona zachwyceni tak rzadką cnotą, nie mogli powstrzymać się od łez. Po czym nic nie mówiąc Marii rozesłali posłańców na poszukiwanie jej syna.

Po trzech dniach trwogi i modlitw Klaudiusz został znaleziony na moście Blois i przyprowadzony do Tours. Maria wspomina: „Nasz Pan, nie uznał mnie godną dłuższego cierpienia. Oddał mi moje dziecko, więc zaczęłam znów ufać, że wstąpienie do zakonu jest możliwe, o czym zwątpiłam chwilowo. Mój szwagier i siostra obiecali zaopiekować się moim synem i troszczyć się o niego. Zdecydowałam się więc pozostawić go w rękach Naszego Pana i Najświętszej Panny, nie wymagając od krewnych innego potwierdzenia, jak dane słowo, chociaż mogło być ono niepewne. I tak usuwały się zewnętrzne przeszkody. Dobroć Boża, układała wszystkie okoliczności mego wstąpienia do klasztoru tak zachęcająco, że wszystko wydawało się mnie pociągać. Gdybym była pierwszą osobą na świecie i wniosła wielkie dobra, nie przyjęto by mnie lepiej”.

Lecz im bliższa była godzina rozłąki, tym więcej było zmagania w macierzyńskim sercu Marii. Gdy patrzyła na syna jedyne, tego Izaaka, którego Bóg dał w celu wypróbowania jej wiary, odczuwała coś rozdzierającego. Maria wyznaje: „Nie miałam majątku, który musiałabym porzucić, ale opuszczając syna, wydawało mi się, że porzucam wszelkie dobra”. Jednakże mimo wielkiej miłości do syna, miłość do Tego, który jej kazał się z nim rozłączyć była nieskończenie silniejsza. Jeśli Jezus Chrystus dał radę, by dla Jego miłości porzucić ojca, matkę, syna lub córkę, trzeba, by stworzył takie okoliczności, aby ta rada mogła i powinna być spełniona. Jeżeli była ona wprowadzana w życie w sposób doskonały, to w tym przypadku na pewno. Maria wspomina: „Rozmawiałam z moim Boskim Oblubieńcem i mówiłam Mu poufnie o tym wszystkim. W dniach poprzedzających mój wyjazd, nic innego nie mogłam Mu powiedzieć, prócz tych słów: »Mój Umiłowany, nie chcę opuścić syna, jeśli Ty tego nie chcesz. Czuwaj Sam nade mną. Pragnę jedynie Twojej woli«. To moje poddanie się podobało się temu dobremu Panu i pieścił mnie tak czule, że nie mogę tego wypowiedzieć”.

Dnia 25 stycznia 1631 roku, w dzień nawrócenia św. Pawła, Maria znalazła wreszcie odwagę złożenia swej ofiary. Kilka godzin przed pożegnaniem rodziny zawołała do siebie syna i powiedziała do niego: „Moje drogie dziecko, mam ci do wyjaśnienia tajemnicę, którą ukrywałam dotąd, gdyż byłeś zbyt mały, by ją usłyszeć i zrozumieć. Teraz, gdy jesteś rozsądniejszy, a ja mam ją wykonać, nie mogę dłużej zwlekać z tą wiadomością. A więc posłuchaj: Od kiedy Bóg rozdzielił mnie z twoim ojcem, z którym żyłam tylko dwa lata, dał mi natchnienie opuszczenia świata i zostania zakonnicą. Od tego czasu zamiar ten wciąż się wzmacniał, a jeśli go wcześniej nie wykonałam, to dlatego, że widząc ciebie tak małym sądziłam, że moja obecność była ci potrzebna, aby cię nauczyć kochać Boga i służyć Mu wiernie. Lecz dzisiaj w chwili, gdy zamiar swój mam wypełnić nie chciałabym tego uczynić, nie mówiąc ci o tym i nie prosząc cię, byś się chętnie na to zgodził. Mogłam odejść po cichu, nic tobie nie mówiąc, bo tu chodzi o moje powołanie, a gdy o to idzie, nie należy nikogo pytać o pozwolenie. Jednak obawiałam się zasmucić cię, abyś nie znalazł się nagle bez ojca i matki; dlatego kazałam ci dziś przyjść tutaj, by cię prosić o zgodę na to. Pomyśl, iż Bóg chce tego, nie sprzeciwiaj się; unikaj towarzystwa złych kolegów, a przestawaj z tymi, którzy są pobożni. Przystępuj często do Sakramentów św., służ wiernie Bogu, módl się z pobożnością i nade wszystko zachowuj Jego przykazania. Jednym słowem kochaj Boga, a Bóg będzie ciebie kochał i będzie się troszczył o ciebie, w jakimkolwiek będziesz stanie. Żegnaj, mój drogi synu”.

Klaudiusz, który pamiętał te szczegóły, w swym komentarzu do tego wydarzenia napisał: „Taki był testament mojej drogiej matki”. Chwila i miejsce były odpowiednie do pożegnalnego pocałunku. Maria nie czyniła tego przecież od wielu lat, aby się przygotować na ten uroczysty moment. Lecz chłopiec nie potrzebował tych pieszczot dla zachowania czulej i silnej miłości względem swej matki, której dowody zobaczymy w dalszym ciągu tego opowiadania.

Gdy Maria miała już bezpowrotnie przekroczyć próg swego mieszkania, musiała zwyciężyć jeszcze ostatnią okrutną przeszkodę. Oczekiwał na nią jej stary ojciec; „wydawał rozpaczliwe jęki, gdym przyszła się z nim pożegnać i nie było takiej racji, której by mi nie przedstawiał, aby

mnie zatrzymać. Chcąc być posłuszną Bogu, mając zresztą na świecie trzy siostry, które mogłyby zaopiekować się nim w razie potrzeby, przezwyciężyłam za łaską i tym razem wrażliwość i małość natury, wsparta słowami naszego Pana: »Ten, kto kocha ojca lub matkę więcej niż mnie, nie jest Mnie godzien«”.

Florian Guyart, ojciec Marii został przekonany przez córkę i widząc ją przed sobą na kolanach, proszącą o przychylność, wznosił nad nią swoje osłabłe dłonie i udzielił jej błogosławieństwa. Kilka dni wcześniej odwiedziła J. E. Arcybiskupa, którego pałac był w pobliżu. Pragnął on zobaczyć pobożną wdowę przed jej wstąpieniem do urszulanek. Pobłogosławił ją z dobrocią ojcowską i mówił jej wiele o jej dziecku. Orszak, który się utworzył wokół pani Martin powiększył się; była to jakby procesja. Łzy płynęły z wielu oczu, jedynie Maria szła krokiem pewnym, trzymając syna za rękę. „Nie śmiał okazać mi swojego bólu, ale widziałam, że płakał gorzko, a ja patrząc na niego czułam, jakby mi odrywano duszę od ciała z niewymownym bólem. Jednakże nie okazywałam tego, gdyż Bóg był mi droższy niż wszystko. Oddałam Klaudiusza w Jego ręce i pożegnałam go z uśmiechem”. Ile ten uśmiech ukrywał bólu, możemy osądzić z tego, co sama przypomina Klaudiuszowi u schyłku życia. „Wiedz, mój drogi synu - pisała 30 lipca 1668 roku - że w dniu, w którym się z tobą rozłączyłam, zadałam sobie śmierć za życia. Duch Boży, nieubłagany wobec czułości, jaką miałam dla ciebie, nie dał mi pokoju, dopóki tego nie spełniłam. Trzeba to było wykonać i być Mu posłuszną bez zastrzeżeń, gdyż On ich nie chce uwzględnić, gdy chodzi o wypełnienie Jego samowładnych rozkazów”.

Drzwi klasztoru otworzyły się. Na progu przywitała Marię m. Franciszka od św. Bernarda. Maria wspomina: „Rzuciłam się do jej nóg w uczuciu głębokiej wdzięczności za to, iż przyjmowała mnie, że zostałam zaliczona do siostr chórowych. Nie chciałam wcześniej pytać ją, co ze mną zrobi, zostawiając wszystko w ręku Opatrzności, sądziłam jednak, że wyznaczone mi będzie miejsce między siostrami konwerskami. Ale przyjęłam bez wahania udzieloną mi jałmużnę”.

ROZDZIAŁ VI

Nowicjat – Usiłowania młodego Klaudiusza – Doświadczenia wewnętrzne Profesja (1631 – 1633)

Pierwszym uczuciem pani Martin, gdy się wreszcie znalazła w progach tego świętego miejsca, była radość na myśl, że jako nowicjuszka nie powinna się troszczyć o nic więcej, jak tylko o spełnienie Reguły św. „Odczuwałam taki spokój, widząc się wolną od kłopotów, jakie mnie zajmowały w świecie, że znajdowałam rozkosze rajske w ćwiczeniach duchownych i sądziłam, iż mi już żadne burze nie grożą. Co to za szczęście posiadać tak wielkie dobra po dziesięcioletnim oczekiwaniu. Łączyłam się ściśle z naszym Panem, który mnie napełniał pociechą. Ale dobroć Jego chce, by moim życiem był krzyż; nie zostawił więc mnie długo bez doświadczeń”.

W mieście mówiono wiele i rozmaicie o postępowaniu młodej wdowy; jedni zachwycali się jej wspaniałomyślnością, inni dowodzili, iż to jest tylko nie zrównoważona próba życia zakonnego i przepowiadali jej rychły koniec. Większość jednak ją potępiała. Uważano, że było samolubstwem szukać jedynie swego zadowolenia, porzuciwszy syna. Jeden z szwagrów Marii, mając nieco zdolności poetyckich, napisał na ten temat elegię i polecił biednemu sierocie oddać ją matce. Opinie ludzkie nie wzruszały Marii, ale nie mógł być jej obojętnym smutek jej dziecka. Zdało się, że Klaudiusz zrozumiał, iż stracił wszystko, utraciwszy matkę.

Kilka razy dziennie wymykał się z domu wuja, biegł do rozmównicy urszulanek i wołał do furtianki: „Oddajcie moją matkę, albo pokażcie mi ją”. Dobra matka przychodziła w miarę możliwości, uspakajała go słowami łagodnymi i małymi upominkami, które siostry dawały jej w tym celu. Klaudiusz odchodził, ocierając łzy z oczu, a wracał cofając się tyłem z oczami utkwionymi w okno jednego z wewnętrznych pokoi, w którym, jak się spodziewał, znajdowała się jego matka. Kiedy indziej wchodził podczas Mszy św. do kaplicy klasztornej, zbliżał się zrećtnie do kraty, gdy ją otwierano dla udzielenia Komunii św. i przechylając się, rzucał do chóru zakonnic

swój płaszcz i kapelusz, aby widok jego rzeczy wzruszył jego matkę i przyprowadził ją do niego.



Maria cierpiała z powodu wspólnoty. „Obawiałam się, by wspólnota nie znużyła się tym natręctwem i nie wydalila mnie. Osoby z miasta mi to przepowiadały, jak mi donosili przyjaciele. Wmawiano mi bym wystąpiła dobrowolnie przed obłócznymi, by potem się nie wstydzić. Strapiona,

mówiłam o tym wszystkim z naszym Panem, dla miłości którego porzuciłam moje dziecko. Klaudiusz nadal nie rezygnował ze swoich usiłowań. Gdy zauważył, że brama klasztorna bywała często otwarta, gdyż robotnicy pracowali w klasztorze, wciskał się za nimi do wewnętrznych dziedzińców, do ogrodów, aż do klauzury, bo chciał widzieć matkę. Gdy mu łagodnie kazano wyjść, posłuchał, ale znowu cofając się, szedł tyłem jak najdłużej patrząc w stronę, gdzie sądził, iż ją zobaczy. „Oddajcie mi matkę”, powtarzał wszystkim siostron, jakie napotkał, „albo zróbcie mnie zakonnikiem razem wami”. Nowicjuszek, towarzyszek Marii, płakały ze wzruszenia, a ponieważ Maria unikała pokazywania się dziecku, a nawet patrzenia na nie, lękając się, by męstwo jej nie opuściło, te młode dziewczęta uważały ją za okrutną. „Nie znały męki mego serca, ani pragnienia, by pozostać wierną Woli Bożej”. Zdarzyło się raz, że Klaudiusz błędząc tu i ówdzie, koło klasztoru, znalazł się, sam nie wiedząc jak w refektarzu wspólnoty w chwili, gdy zakonnice, tam wchodziły. Był to nowy powód do wstydu dla Marii, która nie wiedziała już jak usprawiedliwić niezwykle wypadki, które wywołały w klasztorze duże zamieszanie.

Chłopiec musiał się wyrzec tych nawiedzin i nadziei skłonienia w ten sposób matki do powrotu. Nie mógł się jednak pogodzić z myślą, że będzie z nią rozłączony na zawsze. Koledzy lubili go i współczuli mu; poddali mu inny plan działania. „Ty nie masz tego, lub tamtego, dlatego, że nie masz matki, chodźmy po nią, narobimy hałasu, rozbijemy drzwi i muszą ci wtedy ją oddać”. To powiedziawszy waleczna gromada przypuściła szturm na klasztor; jedni byli uzbrojeni w kije, inni w kamienie, wszyscy krzyczeli i hałasowali, co rozlegało się po całym klasztorze.

Maria opowiada: „Z początku nie mogłam zrozumieć co znaczy ten zgiełk; wkrótce między tymi zmieszanymi głosami usłyszałam głos mego syna, który górował nad wszystkimi. Powtarzał on nieustannie; »Oddajcie mi moją matkę!« Sądziłam, że wszystko przepadło i że mnie wydalą. Jeśli ja tego nie mogłam znieść, to tym bardziej nasza Wielebna Matka i siostry. Następstwa tej awantury stanęły mi przed oczyma, więc przyjąłam ten krzyż z miłości dla mego drogiego Jezusa. Gdy się niepokoiłam i wracałam do nowicjatu, Duch Boży zapewnił mnie wewnętrznie, żebym się nie niepokoiła, bo będę zakonnicą w tym domu, i że zaopiekuje się moim synem. Nasza Wielebna Matka zapewniła mnie ze swej strony, że ani ona, ani żadna siostra nie myślały o wydaleniu mnie. Odetchnęłam więc na jakiś czas”.

Te macierzyńskie lęki, powtarzające się przez kilka tygodni, nie przeszkodziły Marii w przykładaniu się do ćwiczeń nowicjatu. Pierwszym aktem, jakiego wymagało od niej posłuszeństwo, było wyrzeczenie się umartwień, jakie praktykowała w świecie, a które nie zgadzały się z urszulańską regułą. Maria poddała się temu bez wahania, gdyż jak mówi: „nasz Pan dał mi do życia wspólnego wielkie zamiłowanie, które i potem trwało. Zachowałam tylko te umartwienia, na które przełożeni pozwalali mi przy danej sposobności. Będąc na świecie - pisze dalej - byłam zachłanna na wszelkie pokuty. Sądziłam, że inne postępowanie byłoby nieposłuszeństwem wobec Boga. Prawie codziennie przyjmowałam Komunię świętą i wiele się zajmowałam sprawami bliźnich. Ale od wstąpienia do zakonu, czułam się jak dziecko, nie żałowałam niczego czego mnie pozbawiono i byłam tak prostą, że słuchałabym nawet dziecka”.

Kronika klasztoru w Tours mówi o wielkiej liczbie nowicjuszek. Było ich dwadzieścia osiem. Młoda siostra Maria de la Troche od św. Bernarda, była jedną z bliskich towarzyszek Marii. Opatrzność, która przeznaczyła te dwie dusze do wspólnego apostołstwa, chciała je połączyć od początku życia zakonnego. Maria była córką pana de Savonnieres z Anjou. Wychowana przez matkę na wskroś chrześcijańską, ujmowała swym umiłowaniem pobożności i miłosierdzia. Miała zaledwie dziewięć lat, gdy ją oddano na pensję urszulanek w Tours. Była już tak gorliwą i rozsądną, że pomagała nauczycielkom w nauczaniu katechizmu młodsze koleżanki. Była słabowita i wątła, dlatego musiała ulec naleganiom rodziców, którzy kilkakrotnie wzywali ją do powrotu, chociaż jej jedynym pragnieniem było poświęcić się Oblubieńcowi Dziewic w Zakonie św. Urszuli. Wspólnota uznała za roztropne jeszcze czekać. Maria od Wcielenia wspominała: „Spotykałam ją często, błagając na kolanach zakonnicę o przyjęcie do nowicjatu. Dowodziła, że ta łaska na pewno ją uzdrowi, podczas gdy odmowa będzie przyczyną jej śmierci. Miała wtedy lat dwanaście. Rodzice zwlekali z pozwoleniem jeszcze dwa lata. Wreszcie ustąpili, wyczerpawszy wszystkie argumenty, jakie im miłość dyktowała, dla zatrzymania jej w świecie”. Po kilku mie-

siącach postulat, dopuszczono pannę de la Troche do obłóczyn. Było to w dniach poprzedzających wstąpienie Marii Martin do urszulanek. Ta ostatnia, spragniona widoku uroczystości religijnych, nie omieszkała być na niej. Na jakiś czas przed tym, gdy nowicjuszka była ubrana w świeckie szaty, rodzice chcieli się z nią pożegnać. Matka jej omdlewała z bólu, ściskając ją w swoich ramionach, wreszcie trzeba było się rozłączyć. „Nasza siostra wyznała potem, że ta ostatnia próba kosztowała ją więcej od wszystkich poprzednich. Płakała trochę, ale tak mało, że nie zauważyłam tego podczas ceremonii, zaś zwróciła moją uwagę powaga i skromność zadziwiająca w jej wieku”. Pobożna wdowa poszła wkrótce w ślady tej czternastoletniej nowicjuszki. Budowała się też bardzo swoją towarzyszką, widząc jak mimo delikatnego zdrowia z zapalem oddawała się nauczaniu dzieci, do czego Bóg dał jej szczególną łaskę.

„Jakże piękne dzieło można by napisać o przyjaźni w klasztorze!” - powiedział Montalembert. Maria, jak to zobaczymy w dalszym ciągu tego opowiadania, знаła te święte związki, zawarte niekiedy już w nowicjacie i trwające przez całe długie życie zakonne. Dołączmy tu tylko do poprzedniej osoby jeszcze imię s. Urszuli od św. Katarzyny - *kochanej Matki Urszuli*, jak ją nazywała Maria. Była to dusza apostołska, a serce szlachetne. Wstąpieniu jej nie towarzyszyły takie walki, jakie znosić musiała Maria de la Troche. Ojciec jej, pan de Joyüe, był jednym z najbardziej szanowanych obywateli z Tours; był też wielkim przyjacielem urszulanek i hojnością swoją przyczynił się do budowy klasztoru. Z całego serca ofiarował Bogu swoją córkę razem z dwoma innymi, obdarzonymi tym samym powołaniem.

Maria wspominała potem: „Podziwiałam w nowicjacie tę wielką liczbę młodych dziewcząt tak umartwionych oraz dokładnych w ścisłym zachowaniu reguły i uważałam się za o wiele gorszą od nich”, zaś one z początku obawiały się może towarzystwa trzydziestoletniej wdowy, szybko jednak były zachwycone jej uroczą prostotą. Ubiegały się o to, by były wybrane do pomocy Marii w pracach kościelnych, które na początku zostały jej zlecone przez przełożonych. Prócz naturalnego, wesołego i otwartego usposobienia Marii, jej ścisłe zjednoczenie z Bogiem emanowało z całej jej postaci nadprzyrodzonym wdziękiem, który jest oznaką świętości. Zapominając o swoim wieku, o światłach otrzymywanych od Boga, o zdolności do prowadzenia wielkich spraw, myślała tylko o tym, by zniknąć wśród sióstr; chętnie przyjmowała ich rady i odpowiadała, gdy nowicjuszki były kolejno pytane o sposób modlitwy.

Maria wspomina: „Wszystko, co widziałam w Zakonie, wydawało mi się prowadzone przez Ducha Bożego: reguły, ceremonie chórowe, klauzura i w ogóle wszystkie praktyki zakonne. Niektóre osoby ze świata, które widziały mnie zajętą interesami, spełniającą to z gorliwością, wyobrażały sobie, iż czynię to z upodobania, mówiły więc, że będzie mi brakowało dawnych zajęć. Te słowa tak podziały na mego szwagra, będącego wówczas w podróży, który napisał do mojej siostry, by zostawiła nadal interesy w moich rękach. Ani jedni, ani drudzy nie mieli pojęcia o wielkich łaskach i dobrodziejstwach, jakich dobroć Boża mi udzieliła w stanie, który przeżyłam, ani o tych, które otrzymywałam w Zakonie. Dusza moja czuła się jak osoba, która po ukończonej bitwie znalazła wypoczynek na kwiecistym łożu. Nie jest to właściwe porównanie, ale nie znajduję lepszego. Nawet wśród przykrości ze strony mego syna nasz Pan zostawił mi miłosne

zjednoczenie z Sobą i poufne obcowanie. Pewnego wieczoru podczas modlitwy zwróciłam się do Pana z ufnością, oddając Mu swoje serce. Wprawdzie było już całe Jego, ale ten dobry Pan pozwolił, iż wątpiłam, czy przyjmie tę ofiarę. I tak skończyłam modlitwę w niepewności, nie wychodząc jednakże ze zjednoczenia. Nazajutrz rano, ledwie uklęknęłam, powiedział mi wewnętrznie, jakby nie mogąc dłużej znosić mego cierpienia: »córkó, daj mi twoje serce«. Po tych słowach niespodziewanych a słodkich, poczułam, iż istotnie pociągał ku Sobie wszystko, co było we mnie, przyjmując za swoje na zawsze”. Było to jakby odnowienie łaski, przez którą kilka lat wcześniej Jezus raczył włożyć w swoje Serce, serce wiernej służebnicy.

Kto może stawiać granice hojności Pana? „Mali dają małe upominki - pisze Maria od Wcielenia - Bóg ubóstwia swoje dzieci i daje im przymioty godne Jego wielkiego majestatu”.

Nazajutrz po tych czułych zaprosinach naszego Pana, a kilka dni przed obłóczynami, Maria została wtajemniczona w nowe i jeszcze cudowniejsze prawdy. „Było to wieczorem, klęczałam na moim miejscu w chórze i właśnie dano znak na początek medytacji. Nagle doznałam zachwycenia. Trzy Osoby Boskie ukazały mi się po raz trzeci, pozwalając mi doświadczyć spełnienia swych zbawczych obietnic. *Jeśli Mnie kto miłuje, Ojciec mój umiłuje go i do niego przyjdziemy i mieszkanie u niego uczynimy.* W tej przepaści Bóstwa widziałam siebie jako nicość, którą Bóg wybrał za przedmiot swego bezgranicznego Miłosierdzia i usłyszałam słowa: »choć jesteś niczym i nicością samą, jesteś Moją«. Słowa te powtórzone zostały kilka razy – w miarę mego uniżania się. Im więcej się uniżałam, tym więcej widziałam się wywyższoną, a dusza moja doznawała czułości Boga, których nie można odczuć zmysłami ani opowiedzieć słowami ludzi. Wydawało mi się, iż Bóg będąc we mnie, był jednocześnie u Siebie. Ach! Któż może wypowiedzieć, z jakim poszanowaniem Bóg obchodzi się z duszą, którą stworzył na swoje podobieństwo, gdy Mu się podoba podnieść ją do swych boskich objęć”.

Zrozumiałam, iż łaska teraz mi wyświadczona, była wyższa od poprzednich objawień Trójcy Św.: „Gdy mi się ukazał po raz pierwszy, powiedział mi: »Miało to na celu pouczenie cię o tej cudownej tajemnicy; drugie objawienie miało na celu zaślubienie twojej duszy, przez Słowo Przedwieczne, natomiast teraz Ojciec, Syn, Duch Święty dają się, udzielają się tobie, by cię całkowicie pojąć«. To skupienie w Bogu i objawienie wewnętrzne trwało pół godziny. Po nim dusza moja była przepojona boskimi łaskami, tak jak to naczynie, które pozostaje wilgotne, chociaż się usunie płyn, jaki zawierało”.

Chociaż Marii udało się ukryć przed siostrami wielką łaskę, jakiej doznała, nie mogła jednak zataić jednego z wewnętrznych darów będących jej skutkiem, a tym było rozumienie Pisma świętego w języku łacińskim. Bez pomocy tłumaczeń francuskich, rzadkich wówczas między katolikami, czytała swobodnie wszystkie księgi święte i rozumiała liturgiczne nabożeństwa. Czasami mimo woli wypowiadała jakąś myśl pobożną na temat fragmentu z *Psalmów* lub *Pieśni nad Pieśniami*. Widząc to nowicjuszeki same ją prosiły, by udzielała im czegoś ze swego – ze swojej obfitości. »Siostro Mario, prosimy, powiedź nam kazanie«, żartowały na rekreacji. Wówczas mistrzyni nowicjatu, chcąc ją umartwić oznaką czci niemiłą dla jej pokory, kazała jej usiąść

przy sobie na krześle i odpowiadać na pytania sióstr. Maria musiała ustąpić, z czego jej słuchaczki były bardzo uradowane.

Maria pisała o tym etapie swego życia: „Chciałam wciąż śpiewać *Eructavit cor meum...*, aby ogłaszać wielkość i przywilej Słowa Wcielonego. Psalm 18 *Coeli enarrant gloriam Dei...* zachwycał mnie: Tak jest, mój Umiłowany – mówiłam - świadectwa Twoje są prawdziwe i same się potwierdzają. One dają mądrość ludziom pokornym, poślij mnie na cały świat, by je opowiadać tym, co ich nie znają. Po tych słowach dusza moja biegła do innego cytatu, i tak był to cykl nieskończony. Raz w tym zapale, jakim mnie przejmowały psalmy, zdarzyło mi się w chórze, że odmówiłam *Laudate* po francusku zamiast po łacinie. Tak byłam zajęta wewnętrznym chwaleniem uwielbionej Osoby Słowa, *przez które wszystko się stało, co się stało*”.

Około dwóch miesięcy po wstąpieniu, tj. około 25 marca 1631 roku, Maria otrzymała welon i habit nowicjuszek. Podczas ceremonii miała wyraz niebiański, który bardzo dziwił obecnych. Aby Klaudiusz nie zakłócił tej uroczystości, wysłano go przezornie na wieś, dzięki czemu wszystko odbyło się spokojnie.

Od tej chwili nowa urszulanka otrzymała pozwolenie dołączenia do swego imienia Marii, predykat „od Wcielenia” na pamiątkę ścisłego, a tak często odnawianego zjednoczenia ze Słowem Wcielonym. Radość Marii z tego, iż wreszcie nosiła znaki przynależności do swego Oblubieńca, była tak wielka, że patrząc na swój strój zakonny, czuła nieraz potrzebę dotknięcia swojej zasłony, ażeby się przekonać, iż się nie myli i ma rzeczywiście to szczęście.

Zdawałoby się, iż po zapewnieniach Zbawiciela, że będzie czuwał nad przyszłością Klaudiusza, nie należało się już niczego z tej strony obawiać. Ale nie tak się rzecz ma z duszami, których wiara ma się wznieść do heroizmu. Chłopiec zaczął martwić swych nauczycieli. Nie chciał się uczyć - pisze Maria od Wcielenia - i można było przypuszczać, że nic z niego nie będzie. „Szatan bardzo mnie kusił z tego powodu, tłumacząc, że to ja jestem tego przyczyną i że mam obowiązek powrócić, by temu przeszkodzić. Gdy się na to uskarżałam przed Panem, natchnął mnie, bym raczej prosiła o większe cierpienia znoszone w intencji mego syna. Powiedziałam wtedy: »O moja Miłości, ześlij mi wszystkie krzyże, jakie zechcesz, byleby to dziecko Cię nie obrażało. Wolałabym tysiąc razy widzieć go martwym niż grzeszącym i wymazanym z liczby Twoich wybranych«”.

Zobaczmy wkrótce, jak ta wielkoduszna umowa została wypełniona. Lecz zanim to się stało, uzyskała ona łaskawe wstawiennictwo arcybiskupa z Tours i o. Rajmunda u rektora jezuickiego kolegium w Rennes, o. Dinet. Był on tak wzruszony tym, co usłyszał o wstąpieniu Marii do zakonu, iż przyjął Klaudiusza jako ucznia i zabrał ze sobą, gdyż jezuici nie mieli wówczas kolegium w Tours. Stało się to około Wielkanocy i było zdarzeniem opatrnościowym, gdyż dziecko straciło potem swych naturalnych opiekunów, najpierw wuja, którego dom tak długo był dla Marii schronieniem, a który stał się drugim ojcem sieroty, potem dziadka, Floriana Guyart. Dobry ten starzec umarł świętobliwie otoczony powszechną czcią. Maria pisała o nim: „Mój ojciec przychodził często mnie odwiedzać u kraty i stosunki nasze były jak najlepsze, w czasie gdy się Bogu podobało zabrać go ze świata”. Jednakże złośliwe języki nie omieszczały przypisać śmierci

pana Guyart opuszczeniu go przez córkę. Czyż raczej nie zawdzięczał tej ofierze, którą mimo bólu zniósł po chrześcijańsku, największych pociech w ostatniej chwili?

W tym samym roku 1631 miasto Tours uległo klęsce głodu i zarazy, która zdziesiątkowała ludność. Urszulanki też tego doświadczyły. Pewna młoda siostra zaraziła się i umarła po kilku dniach. To skłoniło przełożonych do użycia nadzwyczajnych środków, aby ochronić resztę wspólnoty. Kilka zakonnic i wszystkie nowicjuszek zostały wysłane na wieś, do wili państwa Buisson, który to dom oddano im na cały czas trwania zarazy. Przy tej okazji ojciec Klaudiusz opowiada, że jego matka zawsze przezorna i dobra, starała się rozerwać swoje towarzyszek, obawiając się, by strach przed chorobą rzeczywiście jej nie sprowadził. Z kolei starsze matki, również się tam znajdujące, chciały żeby mimo istniejących trudności, ściśle zachowywano regułę. Aby więc zadowolić tak jedne jak i drugie, Maria wzięła na siebie obowiązek dzwonienia na wszystkie ćwiczenia i wszelkie obowiązki, w których mogła zastąpić młodsze siostry. W ten sposób zapewniła im więcej wolnego czasu, a sama bardzo dbała, aby nie ucierpiało na tym zachowywanie reguły. Fakt ten tym bardziej uwydatnia jej samozaparcie, bo nawet gdy brała udział w niewinnych rekreacjach, dusza jej doświadczała wewnętrznych cierpień. Było to wypełnieniem życzenia, jakie wyraziła poprzednio, by być całkowitą ofiarą, jeśli to było potrzebne dla zbawienia dziecka. „Bóg zawsze wysłuchuje, mówił jeden świątobliwy spowiednik, gdy go proszą o cierpienie”. Przez dwa kolejne lata z małymi przerwami Maria od Wcielenia była przygnieciona cierpieniem i doświadczeniem.

Maria wspomina: „W kilka tygodni po obłóczynach zewsząd zaczęły mnie napastować pokusy. Byłam w takim opuszczeniu, iż wydawało mi się, że spadłam z wysokiej góry w przepaść. Modlitwa była dla mnie udręką; właśnie na niej doświadczałam okropnych trudności; rzeczy, których nigdy nie lubiałam w świecie, napełniały mój umysł. Miałam myśli bluźniercze przeciw Bogu, Najświętszej Pannie, wątpliwości w wierze, dziwną obawę przed umartwieniami, jakbym nigdy o nich nie słyszała, a gdy trzeba było je spełniać, nie wiedziałam, jak się do tego wziąć. Wydawało mi się, że Dom Boży jest przyczyną moich udręk, gdyż w świecie, gdzie tyle rzeczy mogło mnie rozpraszać, żyłam w wielkim skupieniu. Natomiast gdy widziałam cnoty tylu służebnic Bożych, które mnie otaczały, dochodziłam do przekonania, że tylko ja sama jestem przyczyną mego cierpienia”.

„Do tych walk wewnętrznych przyłączyły się wielkie zewnętrzne upokorzenia. Umysł mój, był tak przyćmiony, iż nic nie pojmowałam jak należy: wszystko brałam na opak. Straciłam nawet pamięć, nie mogłam zapamiętać jednego zdania z medytacji, by zdać z niej sprawę, co mnie bardzo zawstydzalo wobec sióstr”.

„Cieszyłam się, gdy mogłam powtórzyć za jedną z nich formułę dziękczynienia, gdyż sama nie byłam do tego zdolna. O. Rajmund odwiedzał mnie i pomagał jak mógł. Dopóki on mówił, ufność, jaką w nim pokładałam, sprawiała, iż mu wierzyłam, ale gdy się oddalał, wydawało mi się, że go oszukiwałam. Tyle dziwnych obrazów i taki chaos napełniał moją wyobraźnię, że nabawiło mnie to bólu głowy, którego nie mogłam się pozbyć, a który zwiększała praca nad hałtem. Jednak Pan czuwał nade mną. Pośród tych przykrych wrażeń moja dusza była spokojna i

nie chciałam, aby choć na chwilę zmniejszyło się moje cierpienie. Lecz oglądać Boga, Czystość Nieskończoną i widzieć się w Jego obecności, pełną nędzy, będącej w sprzeczności z tą Czystością, to była dotkliwa męka. Pewnego dnia, doznając tego cierpienia, ofiarowałam je memu Boskiemu Oblubieńcowi, który mi odpowiedział. »Na kim, moja córko spocznie mój Duch, jeśli nie na pokornym?«. Słowa te bardzo mnie zawstydziły, bo wiedziałam, że w istocie nie miałam pokory, a tylko wielkie pragnienie tej cnoty”.

Według wyznania Marii od Wcielenia trzy rzeczy wlewały balsam pociechy w jej duszę. „Gdy myślałam, że jestem zakonnicą, wydawało mi się, że powinnam skakać z radości. Psalmi również uśmierzały na jakiś czas moje cierpienia, gdyż znaczenie słów i zdań przejmowało mnie zachwytem. Wreszcie inną przyczyną do radości było, gdy mistrzyni nowicjatu dawała mi sposobność do umartwienia.

W chwilach spoczynku mówiłam naszemu Panu: »Moja droga Miłości, nie jestem zmęczona cierpieniem – nie!«. Potem wracałam do mego cierpienia jeszcze więcej obciążona, oschła i otoczona pokusami, niż przedtem. Aby oderwać swą służebnicę od wszelkiego oparcia w ludziach, Bóg dozwolił, iż wśród tych doświadczeń o. Rajmund został wysłany z Tours do Feuilant w Langwedocji na stanowisko przełożonego. Pod jego roztropnym i energicznym kierownictwem Maria postępowała od lat dwunastu na drodze świętości, w nim pokładała zupełną ufność. Była to więc doskonała okazja do praktykowania tego zupełnego ogołocenia, do którego ją Boski Mistrz od dawna powoływał. Jednakże, jakby tego było jeszcze za mało dopuścił, iż zakonnik tej samej reguły, który zastępował o. Rajmunda, stał się dla Marii przyczyną prawdziwej męki. Opowiada ona: „Kiedy chciałam mu zdać sprawę z mojej modlitwy odpowiadał mi, że wszystkie moje cierpienia spowodowane są brakiem dostatecznego umartwienia, że cnota moja nie była ugruntowana i że łudziłam się, co do mojej modlitwy. Jeśli nasz Pan udzielał mi jakiejś nadzwyczajnej łaski czy pociechy, jak to się zdarzało od czasu do czasu i gdy mu o tym mówiłam, śmiał się z tego i pytał, czy nie sędzę, iż wkrótce będę czyniła cuda? I tak po wszystkich słowach tego dobrego ojca utwierdzałam się w przekonaniu, że wszystko, co było we mnie, nic nie było warte, i że miał słuszość uważając, że się łudziłam”. Nuda i niesmak opanowały jej duszę. Samotność, którą tak lubiła, jak wyznaje, była dla niej czyścem. „Nieznosnym mi było pozostawianie cały dzień w celi, nie widząc nikogo. Praca obowiązkowa budziła we mnie taki wstręt, iż musiałam sobie zadawać gwałt, by się nią zająć. Przyłączyło się do tego takie fizyczne zmęczenie, iż ledwie mogłam je znieść. Na modlitwie pierwszą moją myślą było przypominanie sobie wszystkich moich cierpień, co trwało aż do końca modlitwy i musiałam znosić wszystkie te trudności, jak pociśki gradu, tym więcej iż, gdy się starałam oddalić jedne, czułam natłok następnych. W tak to sposób Pan oczyszcza narzędzia wielkich swoich dzieł. „Uniżaj się, moja córko, rzekł Jezus pewnego razu, od Marii od Wcielenia. Uniżaj się, aż do głębi twojej nędzy, tak znajdziesz pokój”. Ten słodki głos Mistrza, któremu zawsze i mimo wszystko było powolną, skłonił pokorną nowicjuszkę do zastanowienia się, co by najskuteczniej zwalczyło jej miłość własną. Opowiada: „Otóż najwięcej lubiłam obowiązki siostry chórowej, a szczególnie śpiewanie psalmów oraz nauczanie dzieci, do czego miałam nadzieję, że mnie przeznaczą. Postanowiłam więc błagać naszą Wielebną Matkę, by mnie uczyniła siostrą konwerską, aby zawsze trwać w pokorze i wyniszczyć moja

pychę, która była tak głęboko zakorzenioną. W tym stanie moja miłość własna mogłaby zniknąć, podczas gdy przy obowiązkach siostry chórowej mogłabym w wielu rzeczach znaleźć zadowolenie, chociażby w rozmowie o rzeczach duchowych z osobami świeckimi i w klasztorze. Tak łatwo w nich popełniać niedoskonałości i ulec pysze. Czujna na wszelkie poruszenia łaski w duszy swojej drogiej córki, m. Franciszka od św. Bernarda pozostawiła ją przez kilka dni w przekonaniu, iż mogłoby dojść do tej zmiany, tylko rzecz wymaga namysłu. Po upływie tego czasu oświadczyła, iż Wolą Bożą było, by pozostała w pierwszym chórze. Pokorna nowicjuszka poddała się, obiecując sobie, że będzie trwała całe życie w pokorze, która jest źródłem wielu łask.

Maria pisała później do Klaudiusza na ten temat: „Radujesz mnie bardzo, mój drogi synu, że kochasz pokorę; oboje jej potrzebowaliśmy bardzo, bo świat wiele w nas wmawiał. Niech to stale będzie twą radością, iż jesteś sługą Bożym, a ja Jego służebnicą. To są najważniejsze i najbardziej godne upodobania i tytuły”.

Dwa lata nowicjatu Marii od Wcielenia miały się ku końcowi. Zbliżał się czas złożenia ślubów wiecznych, lecz ona nie śmiała się tym cieszyć, tak była przekonana, iż wspólnota widząc jej wady, nigdy się nie zgodzi na jej przyjęcie. Co więcej, o. Dinet napisał do niej w tym samym czasie, że Klaudiusz, będąc dotąd bardzo dobrym uczniem, zmienił się zupełnie na niekorzyść, stał się niekarnym, wobec tego szkoła nie mogła go dłużej zatrzymać. Biedna matka przyjęła tę smutną wiadomość jako słuszną karę za swoje grzechy, a ponieważ przyszłość jej syna była znowu niepewna, wydawało się jej niemożliwym, by ją dopuszczono do ślubów. Wszystko jednakże ułożyło się pomyślnie, jak to zwykle bywa, gdy osoba zdaje się na Opatrzność. Zakonnice zachwycone przykładami cnót, które widziały u gorliwej nowicjuszki, przyjęły ją, jak się wyraża jej historyk, jako największy dar, którym nasz Pan mógł obdarować wspólnotę. Nie były im znane jej wewnętrzne cierpienia, o tym wiedział tylko Bóg i przełożeni. Jakże byłyby zbudowane, gdyby się dowiedziały, za jaką cenę była wierna Bogu.

Maria pisze: „Wreszcie zostałam dopuszczona do profesji świętej. W tym czasie byłam przygnieciona takimi cierpieniami, że ledwo odczułam szczęście z powodu tej radosnej nowiny, jaką mi oznajmiono. Dopiero w wigilię tego dnia nasz Pan rozszerzył moje serce i nappełnił je niewymowną radością. »O mój Umiłowany! - mówiłam Mu - chociaż byłam dotąd Twoją Oblubienicą przez moje śluby, będę nią jeszcze bardziej, odnawiając je w tak święty sposób. Ty zaś będziesz moim Oblubieńcem, którego będę prosić o to, co zechcę. Czy zgadzasz się na to?«”. Nasz Pan ze swej strony ponowił obietnicę czuwania nad jej dzieckiem. Maria nie trapiła się już jego powrotem. Klaudiusz rzeczywiście powrócił do Tours na profesję swojej matki, ale wydaje się, że nie był odesłany z kolegium. O. Martène, który opisał jego życie, przypisuje opuszczenie Rennes innej przyczynie niż zmianie w zachowaniu Klaudiusza. Maria od Wcielenia zaznacza natomiast: „Mój syn był obecny przy mojej profesji, gdyż pamiętając, iż go oddalono w dzień obłóczyn, postarał się o to, by go nie zwiedziono po raz drugi. Nie miał jeszcze lat czternastu i wydawał się trochę uspokojony po rozłące”.

25 stycznia w 1633 roku, w drugą rocznicę wstąpienia, Maria dokonała u stóp ołtarza ofiary z siebie samej, tyle razy ponawianej w sercu. Wyznaje, iż podczas ceremonii była tak za-

topiona w Bogu, iż musiała skupiać uwagę, by wykonać zewnętrzne obrzędy. „Błagałam naszego Pana, by to nie było widoczne na zewnątrz i abym mogła spełnić to, co było potrzebne. Udzielił mi tej łaski, ale jak tylko przyszedłam do celi, działanie łaski było tak silne, że musiałam upaść na ziemię, nie mogąc tego znieść. Jezus dał mi wówczas do zrozumienia, iż chciał, bym wznosiła się ku Niemu, na wzór serafinów, którzy są najbliżsi Jego tronu. Droga miłości wydawała mi się tak prostą, iż sądziłam, że w przyszłości nic mi nie będzie trudne do zniesienia ze względu na Tego, któremu się ofiarowałam i oddałam na wszystko, co Mu się będzie podobało”. Lecz kielich cierpień wewnętrznych nie został jeszcze wychylony. W tydzień po profesji świętej nasz Pan podał jej nowy, a Jego zazdrosna miłość dodała do niego nowej goryczy. „Zdarzyło mi się wpaść w niedoskonałości, którymi się gorszyłam spostrzegając je u osób duchownych, a upokarzało mnie to tym bardziej, gdy nie mogłam zrozumieć, jak one mogły się zgadzać z gruntowną cnotą. Potem przyszły pokusy pychy, nasuwało mi się na myśl, by porzucić zajęcie, wskazane mi przez posłuszeństwo i iść powiedzieć naszej wielbnej Matce, że Bóg chce ode mnie czegoś innego, a nie bawienia się takimi drobiazgami. Innym razem wydawało mi się, że posiadam mnóstwo przymiótów i uważałam się za najdoskonalszą ze wszystkich sióstr”.

Pisała do o. Rajmunda: „Przypominasz sobie, mój ojcze, jakie światło Bóg dał mi na początku mego nawrócenia; widziałam wówczas wszystkie rzeczy stworzone poza sobą i biegałam ku Boskiemu Majestatowi, obnażona i wyzuta ze wszystkiego. Myślałam, że na tym koniec, że nie będzie mnie to więcej kosztowało i że wszystko tak łatwo pójdzie, niestety, nie wiedziałam jeszcze, ile we mnie jest rzeczy niepotrzebnych, które Pan nasz usuwa co dzień, bez względu na to co czuję”. W istocie, Boski Mistrz nie przestawał obcinać i obciosywać tego gorącego i szlachetnego serca. Zresztą Maria przyjmowała tę zazdrosną troskliwość i sama siebie pierwsza potępiała.

O. Rajmund przybył do Tours na jakiś czas, czym Maria od Wcielenia cieszyła się, korzystając z możliwości rozmawiania z nim. Lecz odwiedziny te były krótkie i suche, o czym pisała do niego w jakiś czas potem. „Wyznaję szczerze jak to zwykle czyniłam wobec ojca, że byłam bardzo zdziwiona jego postępowaniem wobec tej, która od pierwszego dnia, odkąd miała zaszczyt go poznać i poddać się jego kierownictwu, była tak wierna radom Ojca. Przygotowałam się jak niektóre inne siostry i sądziłam, że będę mogła Ojcu zdać sprawę ze wszystkiego, co przeżyłam od jego wyjazdu. Lecz zachowanie Ojca, tak nieprzystępne wobec mnie, zamknęło mi usta, do czego przyczyniło się jeszcze to, że Ojciec po zamienieniu kilku zaledwie słów, dwa lub trzy razy polecił mi odejść. Może byłam zanadto przywiązana do kierownictwa Ojca i nasz Pan chciał mnie od tego oderwać, jak to uczynił ze wszystkim, w czym mogłam szukać zadowolenia. Błagam Cię, mój Ojcze, kieruj się nadal względem mnie twą zwykłą surowością. Ja ją cenię, gdyż wierzę, iż mój Jezus działa przez Ojca i posługuje się Ojcem jako narzędziem swojej miłości ku mnie”.

To samo było z przełożoną. Spostrzegłszy, że pewne naturalne przywiązanie wmieszało się do szacunku i czci, jakim ją otaczała, umartwiała się w tym punkcie, zwlekając nieraz długo z

powierzeniem jej swoich wewnętrznych cierpień, obawiając się, by w tym nie było szukania raczej pociechy niż rady. Pan Jezus ze swej strony dopuszczał pokusy przeciw przełożonej.

Maria tak to przedstawia: „Wszystkie rozkazy przełożonej wydawały mi się niestosowne, gdyż sprzeciwiały się moim upodobaniom niezdolnym ocenić ich słuszość. Im więcej zwalczałam te myśli, tym więcej one się mnożyły, gdy stłumiłam jedną, powstawała druga. Pewnego dnia poszłam prosić przełożoną o pewne upokorzenie, ale sądzę, iż bardzo by mnie umartwiła, spełniwszy moją prośbę. Innym razem pod pozorem słuszości pozwoliłam sobie zwrócić jej uwagę, w gruncie rzeczy było to przejawem ukrytej pychy. Wreszcie wyznałam jej wszystkie moje negatywne uczucia wobec niej, jak i względem innych. Ale to mi nie ulżyło. Wpadłam w podejrzenia, że Matka może we mnie to uważać za dobrowolne, i że dlatego będzie mną pogardzać i poniżać mnie”.

I tak ta wielka dusza, sprzeciwiająca się wszelkim małostkom, pochodzącym z miłości własnej, musiała doznać tych słabości tak różnorodnych i subtelnych, aby umieć później kierować innymi. Jezus wskazał jej lekarstwo. „Ten Boski Oblubieniec dał mi poznać wewnętrznie, że chce, bym się przywiązała tylko do Niego, nie oczekując pomocy innej, jak tylko od Jego dobroci, i abym wyniszczała wszelkie naturalne uczucia, nie litując się wcale nad sobą. Zrozumiałam, że byłam przywiązana do naszej wielbnej Matki, ale też tę prawdę, jak bardzo te skłonności naturalne, a nie zwalczane dla dusz dążących do ścisłego zjednoczenia z Bogiem są prawdziwą trucizną”.

„Podczas Postu Wielkiego, który nastąpił wkrótce po jej profesji, Maria zasięgnęła po raz pierwszy rady i znalazła kierownika w jednym z ojców z Towarzystwa Jezusowego, któremu później tak dużo będzie zawdzięczała. „Często przychodziło mi na myśl, by zasięgnąć rady za pośrednictwem jezuitów, lecz obawiałam się, by tu nie wkradła się lekkomyślność, więc nic o tym nie mówiłam. W tym roku w katedrze podczas Adwentu i Wielkiego Postu miewał kazania o. Jerzy de la Haye. Przychodził też niekiedy z konferencją do naszego klasztoru. Choć czułam pociąg do rozmowy z nim, pozostawiłam jednak wszystko w rękach Opatrzności. Ona to natchnęła naszą wielbną Matkę do zaproponowania mi tego, o co sama prosić nie śmiałam”. Ojciec ten chętnie przybył do urszulanek i rozmawiał z Marią od Wcielenia. Z chwilą, gdy mu się zwierzyła, opuściły ją wszystkie próżne obawy, dręczące jej duszę. O. de la Haye nie zadawałając się kilkakrotną rozmową i zdaniem sprawy z działania Bożego względem niej od czasu jej dzieciństwa, nakazał jej spisać wszystkie te szczegóły, by mógł je osądzić z większą pewnością. Rozkaz ten był bardzo przykry dla pokornej zakonniczki; nie mogła się na to zdecydować, póki jej nie pozwolił spisać także wszystkich grzechów z całego życia. „Inaczej, mówi, uważałabym się za hipokrytkę, odsłaniając dobro, o którym chciano wiedzieć, a przemilczając zło, które było we mnie”. Bóg Najświętszy, chcąc dać jej poznać, iż miłą Mu jest ta praca, pomagał jej skutecznie swą łaską. Obdarzył Marię nadzwyczajnym skupieniem, w którym widziała jasno zarówno dobrodziejstwa Boże względem siebie jak i swoje niewierności.

Pisała o tym: „Po zapoznaniu się z tą relacją o. de la Haye zapewnił mnie, iż Duch Boży mną kierował i to bardzo zawiniłabym, gdybym przywiązywała się do kogo innego prócz Boga.

„Na te słowa wszystkie moje cierpienia ustały, jak gdyby mnie wyzwolono z więzienia. Odzyskałam spokój oraz łaski szczególne co do rozumienia Pisma św., które mi ten ojciec kazał wyłącznie czytać”. Ojciec de la Haye tak był zachwycony tym zeznaniem, z powodu opisanych w nim łask niebieskich, jak również jego jasnym, energicznym i czystym stylem, że starannie je przechował, a następnie oddał o. Klaudiuszowi Martin, który wykorzystał je, pisząc życiorys swej matki. Ten fakt tłumaczy nam pochodzenie fragmentów jej wewnętrznych wyznań, rozsianych w naszym opowiadaniu. Bez wyraźnego rozkazu Maria nie powierzałaby papierowi swoich wewnętrznych przeżyć i tajemnic swego życia wewnętrznego, którego nie podejrzewały nawet osoby z nią żyjące.

Ten dobry ojciec chciał również wiedzieć o wszystkim, co się tyczy młodego Klaudiusza Martin i zajął się dalszym jego kształceniem. Widzimy z korespondencji jego matki, że ta musiała walczyć o to z rodziną. Maria modliła się o powołanie kapłańskie dla niego i ufała, iż otrzyma tę łaskę; zaś jej krewni, kierując się ziemskimi pobudkami, chcieli go kształcić w dziedzinie handlu. Maria przewyciężyła jednak te trudności. O. de la Haye zabrał chłopca do kolegium jezuitów w Orleanie. Maria od Wcielenia opowiada: „Moja siostra zobowiązała się w pewnej mierze do poniesienia kosztów nauki i utrzymania, a miłosierny Ojciec dzięki swym przyjaciołom znalazł sposób dopełnienia reszty kosztów”.

Maria kończy relację o tych różnorodnych próbach, które przeszła, hymnem dziękczynnym, głosząc wartość i szczęście cierpienia. Błagała Pana Jezusa, by nadal umartwiał jej naturalne pragnienia i uczucia, aby się mogła za wszelką cenę pozbyć wszystkiego, co wstrzymuje lot ku Niemu.

ROZDZIAŁ VII

Wizja Kanady - Nauczanie nowicjuszek Serce Jezusa Pośrednikiem (1633 – 1636)

Było to po świętach Bożego Narodzenia 1633 roku. Pochłonięta rozważaniem upokorzeń Słowa Wcielonego w tej tajemnicy, Maria od Wcielenia nie przestała prosić Ojca Przedwiecznego, by rozszerzał królestwo Swego Syna. Miała wewnętrzne przeczucie, że coś wielkiego ją czeka. Otóż pewnego wieczoru, gdy się udała po jutrzni do celi, wydawało jej się, że opuściwszy zwykle miejsce swego pobytu, znalazła się w okolicy nadbrzeżnego miasta, gdzie się spotkała jakby przypadkiem z nieznaną sobie świecką panią. Maria opowiada: „Wzięłam ją za rękę i ra-

zem szliśmy pośpiesznie ku morzu w stronę przystani. Poruszałyśmy się jednak z wielkim trudem, gdyż przeszkody były liczne i prawie nie do przebycia. Wreszcie doszliśmy do pięknego miejsca, u którego wejścia stał biało odziany mąż, taki, jak zwykle malują apostołów. Był to stróż tego miasta. Nie powiedział ani słowa, ale wskazał ręką drogę, którą miałyśmy przejść z moją towarzyszką. Poszłyśmy więc za tą wskazówką. Weszłyśmy na piękny plac, którego sklepieniem było niebo; pokryty był brukiem alabastrowej białości, spojony pięknym czerwonym cementem. Lecz głównym urokiem tego miejsca była wielka cisza. Wokół wznosiły się zabudowania jakby klasztorne. Nie zatrzymując się przed żadnym z nich, poszłyśmy wprost do małego kościółka z białego marmuru, który się wznosił na lewo. Architektura jego wydawała mi się precyzyjną, a na szczycie podobnym do tronu siedziała Najświętsza Panna, trzymając w objęciach Dzieciątka Jezus. Poza tym placem, który znajdował się na wzniosłym wzgórzu, widać było okolicę, pokrytą górami i dolinami, przesłoniętą gęstą mgłą. Z tej mgły wyłaniał się tylko jeden budynek, a był nim kościół. Matka Boża patrzyła ze współczuciem na te obrazy dalekie i zamglone. Były one godne politowania, bo jedyna droga prowadząca do nich była trudna, wąska i otoczona przepaściami. Chociaż Najświętsza Dziewica wydawała mi się z początku nieczuła jak marmur, nie przestawałam się do Niej zbliżać. Gdy już byłam blisko, puściłam rękę mojej towarzyszki i w porywie miłości pobiegłam do tej dobrej Matki, wyciągając ku niej ramiona. W tej chwili ujrzałam jak Matka Boska pochyliliła się ku Dzieciństwu, jakby mu chciała udzielić jakiejś ważnej wiadomości. Wydawało mi się, że mu mówiła o tym kraju i że miała względem mnie specjalne plany. Z nieopisanym wdziękiem zwróciła się do mnie i uśmiechając się serdecznie ucałowała mnie, nie mówiąc ani słowa: potem zwróciła się znów do Swego Syna i znów mnie ucałowała. To się powtórzyło trzy razy, napełniając moją duszę niewymowną słodyczą. Nie jestem w stanie opisać piękności i zachwycającej słodyczy jej twarzy, wyglądała na piętnaście lub szesnaście lat. Moja towarzyszka zatrzymała się o kilka kroków stamtąd u wejścia do tego kraju i patrzyła na Matkę Bożą z boku. W tej chwili obudziłam się, cała przejęta wrażeniem pieszczot Maryi i mało brakowało do tego, abym z radości nie obiegrała całego klasztoru, by opowiedzieć o tym każdej z matek i sióstr”.

„Nie wiedziałam jednak, jak mi te rzeczy zostały ukazane i co to był za kraj, gdyż wszystko działo się w milczeniu. W każdym razie pocałunki Matki Najświętszej wywarły natchnieniem cudowny skutek. Od dzieciństwa miałam wielkie pragnienie poświęcenia się dla sprawy zbawienia dusz, co później skłoniło mnie do wyboru zakonu urszulanek. Jednakże ten pociąg był w rzędzie tych rzeczy, których się pragnie z pobożności dla większej chwały Bożej. Lecz po pieszczotach Matki Bożej zaczęłam czuć w sobie pożerający ogień wielkich pragnień. Chciałam w duchu przebiegać cały świat, szukając dusz odkupionych Krwią Syna Bożego. Nie przywiązując się szczerze do żadnego miejsca, towarzyszyłam intencją misjonarzom i łączyłam się z nimi w ich pracy, mówiąc Ojcu Niebieskiemu o tych tysiącach dusz, które Mu przedstawiałam: <Ojcie, czemu zwlekasz z Twoim miłosierdziem względem nich, gdy mój Umiłowany już tak dawno wylał Swą Krew za nie? Proszę w sprawie mego Oblubieńca, dotrzymaj Twego słowa, bo wszak Mu obiecałeś wszystkie narody jako dziedzictwo>”. I jak zawsze konkretna w wypełnianiu cnót, Maria od Wcielenia nie traciła czasu na próżne dochodzenie znaczenia tego tajemniczego snu.

Nie mówiła o nim nikomu, dopóki Bogu się nie spodobało okazać jasno swojej woli. Poddana działaniu otrzymanej łaski, starała się współpracować nią przynajmniej w czasie modlitwy, wylewając w ten sposób ten zapal apostolski, który usta Niepokalanej wsączyły w jej serce.

W kilka dni później przełożona zleciła jej nowe, wymagające zadanie, dzięki któremu - z braku innych perspektyw - mogła w klasztorze dzielić się swym duchowym bogactwem. Reguła urszulanek nie pozwalała powierzać młodym profeskom odpowiedzialnych urzędów przed upływem dwóch lat od złożenia ślubów. Jednakże cnoty Marii tak były widoczne, że m. Franciszka od św. Bernarda pragnęła jej zaraz powierzyć nauczanie nowicjuszek. Aby nie przekraczać reguły, mianowała ją socjuską mistrzynią, specjalnym zaś jej obowiązkiem było nauczanie ich religii. Mistrzynią, której obowiązki podzielała była m. Urszula de Joüye, droga jej towarzysza nowicjatu, o wiele jednak młodsza wiekiem.

Maria od Wcielenia przyjęła z prostotą to, czego wymagało od niej posłuszeństwo. Jak już powiedzieliśmy, miała ona wielką łatwość wysławiania się, gdy trzeba było mówić o Bogu i o rzeczach duchowych. Jak komentował Klaudiusz - wznosiła się ponad siebie tak, że trudno było wierzyć, że to mówi kobieta. Dwadzieścia do trzydziestu siostr nowicjuszek i młodych profesek słuchało nauk, których udzielała dwa razy w tygodniu, w ciągu trzech lat sprawowania tego urzędu. Maria opowiada: „Przed rozpoczęciem czytałam odpowiedni fragment z katechizmu Soboru Trydenckiego lub kardynała Bellarmina, ale nie długo. Gdy po wyłożeniu prawdy wiary przechodziłam do zastosowania, sama byłam zdumiona obfitością cytatów Pisma św., które mi przychodziły na pamięć dla poparcia tej prawdy. Nie mogłam zamilknąć, musiałam być posłuszna Duchowi, który mnie opanowywał”. Zapal i gorliwość czyniły ją wymowną. „Nie mogąc po świecie szukać dusz niewiernych, aby je nawracać, wynagradzałam to sobie w nowicjacie dostosowując się do zdolności osób, do których przemawiałam. Były tam wówczas dobre dusze, spragnione wszystkiego, co mogło je doprowadzić do doskonałości właściwej ich stanowi. Te młode siostry nalegały wciąż na mnie, bym dalej prowadziła wykłady, a ja również wiedziałam, że Bóg tego wymaga ode mnie, gdyż czułam wewnętrznie, że to Duch Boży dawał mi klucze do skarbów Słowa Wcielonego. To, co dawniej słyszałam lub czytałam, pobudzało moje dobre uczucia, lecz to było odmienne od wrażeń, jakich doznawałam, mówiąc do nowicjuszek. Przypominało mi się na przykład jakieś słowo z Pisma św., którego znaczenie było mi odkryte, słowo to przywoływało inne fragmenty, a rozumiałam je tak dobrze, iż wydawało mi się, że ktoś mnie naucza i odkrywa przede mną tę tajemnicę.

To tchnienie łaski działało na młode słuchaczki i napełniało je gorliwością, która wkrótce ogarnęła cały klasztor. Widziano starsze siostry, dopraszające się jak o łaskę, o pozwolenie bywania na konferencjach nowicjackich. Posiadamy jeszcze te nauki, wprowadzone niezupełnie w tej formie, w jakiej były przekazane, gdy Maria od Wcielenia mówiła do swych uczennic, ale takie, jak je sama spisała w późniejszym czasie i jak je znaleziono w jej pośmiertnych papierach. Syn Marii od Wcielenia zebrał je i wydał pod tytułem „Szkoła święta”, ale bardziej są znane pod nazwą „Katechizm Marii od Wcielenia”. W krótkim czasie wyszły dwa wydania tej książki /1684 – 1691/. Było to jeszcze za życia Klaudiusza Martin. O. Charlevoix pisał w 1724 r.: „Ten kate-

chizm jest może najlepszym z tych, które posiadamy w naszym języku. Nie ma przynajmniej drugiego, w którym przedmiot byłby wyjaśniony w takim porządku, z taką doskonałością i jasnością. Przy tym wybór i zastosowanie słów Pisma św. dają dowód, że Maria od Wcielenia była jedną z osób, które w tym czasie posiadały najlepszą znajomość Ksiąg świętych”.

W tych czasach herezji, gdy duch wolnomyślicieli we Francji podnosił i roztrząsał wiele kwestii, trzeba było, by wykształcenie religijne młodzieży było oparte na mocnych podstawach. To do nich Maria, jako prawdziwa urszulanka, kierowała swoje wykłady zwracając się zarówno do przyszłych nauczycielek, jak i stosując je do potrzeb uczennic pensjonatu. A wywiązywała się z tego z rzadką umiejętnością. Gdy sobie przypominamy, jakimi drogami prowadził Bóg tę duszę kontemplacyjną, nie możemy oprzeć się podziwowi dla jej przezorności i umiarkowania. To samo pióro, które tak swobodnie opisywało tajemnice życia mistycznego, z równą łatwością wyjaśniało na tych kartkach podstawowe doktryny chrześcijaństwa.

Z powagą słowa Maria od Wcielenia łączyła dobry przykład, ponieważ uważała najmniej-sze przepisy zakonne za skarby; była żywą Regułą dla nowicjuszek. Radością jej było uprzedzać ich potrzeby. Klaudiusz opowiada: „Nieraz w zimie wstawiała w nocy, by zanieść kołdrę na łóżko której z sióstr, o której wiedziała, że jest wrażliwa na zimno. Niektóre z nich kształciły się pod jej kierunkiem w delikatnych robotach hafciarskich i malarskich, które wykonywała dla ozdoby ołtarzy. Mimo wielu niedoskonałości, które popełniały, Maria zachęcała je do tych prac. „Proszę spojrzeć, mówiła do odwiedzających ją zakonnic, na pracę tej siostry. Ona jest zręczna i nauczy się, byleby miała wytrwałość”. Jeśli niezręczność danej siostry była zbyt widoczna, jak dobra Matka mówiła: „O czym myślisz, moje dziecko? Nie trzeba tak robić, popsułabyś wszystko, ale wiem, że na przyszłość będziesz już uważniejszą”. Zapewne podczas tych godzin pracy wypowiadała, stosownie do potrzeby i okoliczności, krótkie a głębokie zdania, w których uwidocznił się rodzaj jej cnoty. Można by przytoczyć różne wspomnienia, lecz wybierzemy przynajmniej niektóre. Mówiła na przykład: „Można iść za daleko w pragnieniu poznania, lecz nigdy w pragnieniu miłowania. Bóg przyjmuje serce ludzkie, jeśli Mu się szczerze oddaje, ale nie zmusza nikogo. Nie zbliżniamy ran miłości Bożej kiepskimi lekarstwami, tj. fałszywymi argumentami miłości własnej”.

Aby pobudzić do wielkich postanowień i zupełnego wyrzeczenia się, mówiła: „Gdy jakaś dusza prawdziwie chce czegoś, jeśli jest mężna, to już połowa dzieła wykonana, tym więcej, iż Bóg wspiera swoją łaską i daje wreszcie pokój i ucieszenie ducha. Nie ma krótszej drogi do doskonałości życia wewnętrznego niż zupełne usunięcie wszelkich rozważań, nie tylko nad tym, co nam może sprawić przykrość, ale i nad tym wszystkim, co nie prowadzi do Boga i praktyki cnoty. Wytrwała dobra wola zdobywa Serce Boże. Zgoda na cierpienie jest oznaką, że się jest blisko Boga i Jego miłosierdzia. Niepodobna opowiedzieć ani pojąć, jakiego pokoju się doświadcza, gdy się raz prawdziwie odda Bogu”.

O modlitwie mówiła: „Kto wiele mówi, nie będzie miał nigdy daru modlitwy, gdyż nie można mieć równocześnie otwartych ust i serca dla Boga oraz dla ludzi. Umartwienie i modlitwa to są dwie siostry, które nigdy nie powinny się rozłączać; gdy ustaje jedna, ginie druga. Modlić

się i cierpieć, oto wszystko, co możemy zdziałać na świecie tak dla siebie, jak i dla Kościoła tryumfującego, wojującego i cierpiącego”.

W tej szkole świętości wychowały się prawdziwe zakonnice klasztoru w Tours. S. Marie de la Troche, która w czternastym roku przywdziała habit zakonny, przez całe życie zadziwiała Marię szlachetnością i wypróbowaną cnotą. Obok niej s. Maria od Narodzenia Jezusa zasługiwała również na miłość swojej dobrej matki. W świecie nazywała się Marią Bluche des Béruries i należała do jednej z najlepszych rodzin z Tours. Miała zaledwie lat siedem, gdy będąc obecną na pewnym ślubie, obiecała sobie, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Po skończonym obrzędzie została w kościele i padłszy na kolana przed obrazem Maryi, poświęciła się na zawsze Panu Jezusowi przez ślub czystości. Obowiązki rodzinne zatrzymały ją w świecie do lat dwudziestu sześciu i wtedy dopiero została urszulanką. Pracując wśród młodych sióstr, które otaczały Marię, nie mogła się dość nasłuchać ani na nią napatrzeć. „Wydawało mi się, opowiadała później, że czyniła akty miłości za każdym ściegiem, nie mówiąc już o tym, co się wewnątrz jej działo”. Toteż jedynym jej pragnieniem było naśladowanie tego doskonałego wzoru. Ze swej strony Maria od Wcielenia, gdy zauważyła wielką gotowość do upokorzenia się i umartwiania, dopomagała działaniu łaski, upominając ją za najmniejszą niedoskonałość. Maria od Narodzenia weszła tak konsekwentnie na drogę zupełnego wyrzeczenia się, że za dewizę wzięła słowa, którymi zawsze się kierowała. „Mario Bluche, pamiętaj o tym, po co przyszedłeś, wstępując do zakonu, jesteś niczym i nic ci się nie należy”. Teraz już rozumiała, na czym polega prawdziwa cnota. „Ci, którzy dowodzą, że życie urszulańskie nie jest surowe, mawiała, nie znają go. Istnieją bowiem w naszych konstytucjach dwa punkty umożliwiające szybkie dojście do świętości. Pierwszy to ten, który nakazuje szukać umartwienia we wszystkich rzeczach; drugi to ten, który głosi, iż nie należy zaniedbać jakiegokolwiek okazji do doskonalenia się”.

S. Izabella de Vallière, w zakonie Aniela od Niepokalanego Poczęcia, poszła również w ślady Marii. Rodzina jej wslawiła się w Bourbonnaie i w Touraine, roztaczając od czterech stuleci blask waleczności, honoru i cnoty. Izabella miała siedmiu braci i cztery siostry. Dwaj z nich poświęcili się stanowi duchownemu, inni zajmowali wysokie stanowiska na dworze Ludwika XIII i w armii. Lecz te światowe zaszczyty nigdy nie pociągały jej serca, pragnęła bowiem wyższych rzeczy. Rodzice wcześniej oddali ją wraz z jedną z jej sióstr do pensjonatu urszulanek w Tours. Tam Izabella, daleka od szczytowania się rodowymi przywilejami, umiała stać się sługą swoich towarzyszek, które wkrótce nie nazywały jej inaczej, jak „święta”. Była tak skromna, iż mówiono, że przypomina wizerunki Matki Boskiej na obrazach.

Po powrocie do rodziny otrzymała po jakimś czasie pozwolenie na wstąpienie do nowicjatu św. Urszuli w dwunastym roku życia. Idąc za przykładem św. Anieli, kazała sobie ściąć piękne włosy i w ogóle starała się przyćmić urodę, która zyskiwała jej pochwałę świata. Gdy się jej to od razu nie udało, znalazła później sposób zupełnego ofiarowania się Panu w życiu nadzwyczaj umartwionym. Opatrzność przeznaczyła ją na dobrowolną ofiarę za jej sławną siostrzenicę Louise de la Vallière, której nawrócenie niejako wydarła niebu. Trudno wyrazić uczucia s. Angeliki dla ukochanej przez nią Marii od Wcielenia. Uważała za nadzwyczajną łaskę przeby-

wanie przez kilka lat pod jej kierownictwem. Spisywała jej nauki i notowała to, co ją zachwycalo w zachowaniu Marii. Można by jeszcze zebrać wiele innych imion wśród tych pierwszych urszulanek z Tours, współczesnych lub uczennic Marii od Wcielenia. Taką była s. Perrine od św. Kлары, konwerska, biedna dziewczyna, bez żadnego wykształcenia, ale tak spragniona rzeczy Bożych i tak je pojmująca, iż Maria od Wcielenia podawała jej z prawdziwą przyjemnością punkta do medytacji. Maria od Wcielenia została wkrótce wynagrodzona tym, że jej uczennica w krótkim czasie osiągnęła wysoki stopień cnoty.

Następnie możemy jeszcze wymienić młodą siostrę, Marię Pallu od św. Franciszka, osobę niezwykle uprzejmą i serdeczną, zawsze gotową do służenia innym. Jej ojciec, Stefan Pallu des Périers, autor sławnych *Obyczajów regionu Tours*, był również tak życzliwy klasztorowi urszulanek, że chętnie nazywał się jego przyjacielem i ojcem. Gdy klasztorowi zagrażała powódź, przełożona przesłała panu Pallu te kilka słów: „Pańskie córki są w niebezpieczeństwie”, a wystarczyło, by skłonić tego dzielnego człowieka do natychmiastowego udzielenia zakonnicom pomocy, na jaką go było stać.

Jednakże duch apostolski prowadził Marię od Wcielenia poza klasztor w Tours, gdzie według ludzkich przewidywań powinna była pozostać do końca życia. Maria pisze w swojej Relacji: „Od wstąpienia do urszulanek wewnętrzne przecucie mówiło mi, że dobroć Boża umieściła mnie w tym świętym domu jakby w depozycie, jakby w miejscu wypoczynku, dopóki nie użyje mnie do Swoich celów. Odpychałam zawsze te uczucia, obawiając się, by to nie było zasadzką szatańską, lecz powracały natychmiast. Nie zastanawiałam się jednak nad nimi, oddając się w ręce Boga, aby święte Jego zamiary we mnie się wypełniły. Gorliwość o zbawienie dusz, rozpalona w niej przez widzenie, o którym była mowa, pochłaniała ją wewnętrznie. „Ciało moje było w klasztorze, lecz duch złączony z Jezusem nie mógł w nim pozostać zamknięty. Przebiegałam w myśli obszary Indii, Japonii i Chin, wędrowałam ze Wschodu na Zachód, w najbardziej niedostępne strony północy, jednym słowem po całej zamieszkaney ziemi, gdzie były dusze nieśmiertelne, rozumne, należące do Jezusa Chrystusa, chociaż złe duchy nad nimi panowały. Na ten widok przejęta zazdrością, obejmowałam wszystkie te biedne dusze i zwracając się do Ojca Przedwiecznego, błagałam: „Daj mi, Panie, głos tak potężny, bym mogła być słyszana na końcu ziemi, bym mogła wszędzie powiedzieć, że mój Boski Oblubieniec jest godny królować i być kochanym przez wszystkie serca. Ośmielałam się nawet przedstawiać Mu fragmenty z Pisma św., które mówią o tym Boskim Królu narodów, szczególnie z Objawienia św. Jana. Przychodziły mi na pamięć bez studiów i poszukiwań, gdyż Duch Święty działający we mnie, sam je wygłaszał”. Te święte westchnienia Maria od Wcielenia wznosiła ku niebu w dzień i w nocy. Medytacje jej były pracą, podczas której łącząc się ze swym Zbawicielem w Getsemani, brała na siebie ciężar tych, których zbawienia za wszelką cenę pragnęła. Te usiłowania wyczerpywały jej siły fizyczne w takim stopniu, iż przełożeni rozkazali jej zmienić, o ile można, temat medytacji.

Maria wyznaje: „ Pewnego wieczoru, między ósmą a dziewiątą godziną, byłam w naszej celi, rozmawiając z Ojcem Przedwiecznym o nawróceniu dusz, pragnąc rozszerzenia Królestwa Jezusa Chrystusa. Wydało mi się, że Ojciec Przedwieczny nie słucha mnie, ani nie spogląda na

mnie jak zwykle łaskawym wzrokiem. Zasmuciło mnie to, ale w tej chwili usłyszałam wewnętrzny głos mówiący: »Proś mnie przez Serce Syna mego; wysłucham cię za Jego wstawiennictwem«. To Boże dotknięcie miało natychmiastowy skutek, całe moje wnętrze znajdowało się w relacji bardzo intymnej z godnym uwielbienia Sercem Jezusa, w taki sposób, że nie mogłam rozmawiać z Ojcem inaczej jak tylko przez Serce Jego Syna. Odczuwałam bez przerwy nowe łaski w Sercu Jezusa, które sprawiały że czyniłam wspaniałe rzeczy, dotyczące Królestwa Jezusa Chrystusa na ziemi, ale tego ani pióro ani język nie potrafią wyrazić».

Objawienie to miało miejsce w 1635 roku. Maria wspomina o nim swemu synowi w liście z 1661 roku i mówi o nim jako o wydarzeniu sprzed trzydziestu lat, co każe je umieścić w czasie, gdy wstąpiła do klasztoru. Cokolwiek by to było, musiało upłynąć jeszcze 40 lat do czasu, gdy Pan Jezus zlecił świętej Małgorzacie misję propagowania nabożeństwa do Serca Jezusowego. Dziewica z Paray-le-Monial ujrzy Boskiego Przyjaciela, przygniecione go niewdzięcznością ludzi, domagającego się od serc wiernych pośrednictwa i ich pokornego wynagrodzenia za grzeszników. W ten sposób w obu przypadkach niebo objawiało tak głębokie tajemnice. O. Ramière zauważa: „W czasie, gdy nabożeństwo do Najświętszego Serca było jeszcze nieznane, Maria od Wcielenia nie mogła się o nim dowiedzieć od ludzi”¹⁸. Zwłaszcza, że mówi o tym zupełnie jasno bez przerośnięć, a wszystkie jej uwielbienia i błagania zwracają się odtąd do Serca Jezusowego – Boskiego i ludzkiego zarazem. Ono jest jej ucieczką we wszystkich potrzebach. Maria zachęca nowicjuszek i wszystkich, z którymi ma do czynienia, by wielbili i prosili Boga Ojca tylko przez Serce Jego Syna.

Do znajomej pani tak pisze: „Weź z największym szacunkiem Serce Jezusowe i przedstawisz Je Ojcu Niebieskiemu, ofiaruj w tym Sercu, jak na ołtarzu wszystkie twoje dary tj.: intencje, uczucia, pragnienia, czynności twoich przyjaciół, ofiaruj również i mnie, bo ja cię tam również ofiarowuję”¹⁹. A do jednej ze swych siostr pisała: „O jak chciałabym móc cię umieścić w Sercu naszego drogiego Jezusa. W tym świętym przybytku odwiedzam cię i widzę codziennie. Ty mnie tam również odwiedzaj, proszę cię, abyśmy się wspólnie radowały, że Ono, będąc samo tak pełnym miłości, znosi i nasze zbliżenie się do Niego”²⁰.

W innym liście do tej samej siostry mówi: „Pragnę i życzę tobie, moja bardzo droga siostrze, mieć cię w tej przepaści miłości, w najgodniejszym uwielbieniu Sercu Jezusowym. Aby Bogu podobało się, byś była całkiem zagłębiona i strawiona w tych świętych płomieniach. Czy jest coś na świecie tak pięknego i dobrego lub miłego, co zasługiwało na jedno spojrzenie poza Bogiem, który zachwyca i zachwycać będzie wszystkich świętych”²¹. Wreszcie w liście do syna: „Żyjmy w naszym Jezusie, drogi mój Synu! Niech zbliżenie się nasze do Jego Najświętszego

¹⁸ *Messenger du Coeur de Jesus*, 1866, s. 166.

¹⁹ List z 1948 roku bez daty.

²⁰ List z 11.10.1649.

²¹ List z 13.08.1650.

Serca zleje na nasze serca prawdziwą świętość, bo z tego Świętego Serca pochodzą wszystkie skarby łaski i miłości, które pozwalają nam żyć Jego życiem i ożywiają nas Jego Duchem”²².

Trzeba by mnożyć cytaty, jeśli by się chciało przypomnieć wszystkie podobne fragmenty w listach i dziełach Marii od Wcielenia. Wspomnimy tu tylko o modlitwie, którą ułożyła, aby streścić swoje hołdy i prośby. Odmawiała ją codziennie przez trzydzieści osiem lat i przepisała ją dla syna na kilka lat przed śmiercią. Jest w niej zawarta odpowiedź wiernej duszy na słodki nakaz Ojca Niebieskiego: „Proś mnie przez Serce Jezusa, przez Nie cię wysłucham”. Przywołajmy ją w dosłownym brzmieniu, z wyjątkiem kilku fragmentów odnoszących się do potrzeb jej rodziny i misji.

„Przez Serce Jezusa, który jest moją Drogą, moją Prawdą i moim Życiem, zbliżam się do Ciebie, Ojcie Przedwieczny. Przez to Boskie Serce uwielbiam Cię za tych, którzy Cię nie uwielbiają, kocham Cię za tych, którzy Cię nie kochają, cześć Ci najgłębszą oddaję w imieniu wszystkich, którzy dobrowolnie trwają w zaślepieniu, gardząc Tobą.

Przez to Serce Boże chcę wynagradzać za nich wszystkich. Myślą przebiegam cały świat, i szukam dusz odkupionych Najdroższą Krwią mojego Boskiego Oblubieńca, aby za nie, przez Jego Serce zadośćuczynić Ci, Ojcie. Obejmuję te dusze, aby Ci je przedstawić i przez Serce Jezusa prosić o ich nawrócenie.

O jakżeż, Ojcie Przedwieczny, mógłbyś to znieść, że nie znają Jezusa i nie żyją dla Tego, który umarł za wszystkich ludzi? Wiesz, Ojcie, że jeszcze nie ma w nich życia; spraw, by ożyły przez Serce Boże.

W tym godnym uwielbienia Sercu, przedstawiam Ci wszystkich głosicieli Ewangelii, abyś przez Jego zasługi napełniał ich Duchem Świętym. W tym Najświętszym Sercu, jak na boskim ołtarzu, przedstawiam Ci szczególnie..... (wymienić intencję).

Maria modliła się: W tym Najświętszym Sercu, jak na boskim ołtarzu, przedstawiam Ci szczególnie Klaudiusza Martin, Twego małego sługę (mego syna) i Marię Buisson, twoją małą służebnicę (moją siostrzenicę). Błagam Cię w imię mego Boskiego Oblubieńca, abyś ich napełnił swym Duchem i aby pod sztandarem tego uwielbionego Serca na wieki pozostali Twoją własnością.

O Słowo Wcielone, mój Umiłowany, Ty wiesz wszystko, co przez Tve Boskie Serce i Twoją Boską Duszę chcę powiedzieć Ojcu. Mówiąc do Ciebie, wypowiadam to Jemu samemu, ponieważ Ty jesteś w Ojcu, a Ojciec w Tobie; Spraw więc, by wszystko to się spełniło I przyłącz się do mego wołania, by przez Twoje Serce przebłagać Serce Ojca.

Dotrzymaj swego słowa i spraw, by wszystkie dusze, które Ci przedstawiam, stanowiły jedno w Nim i jedno z Tobą jak Ty jesteś jedno z Ojcem. Amen”²³.

To gwałtowne pragnienie Marii od Wcielenia, skłaniające ją do ofiarowania się za zbawienie niewiernych i rozszerzenie Królestwa Jezusowego, zostało wreszcie wysłuchane. Pewne-

²² List z 23.10.1649.

²³ *Le Temoignage*, s. 309-310.

go dnia w rok lub więcej po tym tajemniczym śnie, którego znaczenia jeszcze nie rozumiała, wspomniała w rozmowie z o. Dinet, rektorem kolegium w Tours²⁴, o swoim zapale apostolskim i o tych nieznanych krajach, które jej były ukazane. Jakież było jej zdziwienie, gdy ojciec odpowiedział jej, iż ta daleka kraina mogła być misją kanadyjską i że to, co widziała, jest możliwe do urzeczywistnienia. Maria pisze: „Nie śmiałam zatrzymać się przy myśli, żeby nasz Pan chciał mnie istotnie mieć w obcym kraju, by Mu tam służyć, bo byłam zakonnicą klauzurową. Dotąd nigdy nie słyszano, by była jakaś Kanada na świecie, i sądziłam, że to słowo było tylko postrachem dla dzieci. W jakiś czas potem - mówi dalej - modląc się przed Najświętszym Sakramentem wpadłam na chwilę w zachwycenie i znowu ujrzałam ten obszerny kraj w tych samych okolicznościach, co za pierwszym razem. Wówczas Boski, godny uwielbienia Majestat, wyrzekł do mnie te słowa: „Moja córko, to, co ci pokazuję, to jest Kanada. Trzeba byś udała się tam, by wznieść dom dla Jezusa i Maryi”.

„O mój wielki Boże, odpowiedziałam, Ty możesz wszystko a ja nic. Jeśli zechcesz mi pomóc, jestem gotowa, przyrzekam Ci być posłuszną, czyń we mnie i przeze mnie Twoją Świętą Wolę. Nie było w tym ani rozumowania, ani zastanawiania się. Odpowiedź przyszła za rozkazem, moja wola od tej chwili złączyła się z Wolą Bożą”.

I tak tajemnicza zasłona powoli podnosiła się, lecz dla urzeczywistnienia tego wołania Boskiego Mistrza potrzeba było jeszcze prócz zezwolenia przełożonych, właściwych środków. Myśl, by zakonnica przepłynęła ocean i stała się misjonarką, była w tamtej epoce tak nowa i osobliwa, że nasza urszulanka po ludzku sądząc nie wiedziała żadnego sposobu osiągnięcia tego celu.

Tymczasem otrzymano w klasztorze pierwsze *Relacje*, wydawane przez dzielnych Jezuitów z Kanady, i odczytano je we wspólnocie. „Ileż dusz, wołał o. Le Jeune, przełożony tej misji, gubi się tu codziennie, ponieważ nikt nie zbiera i nie ofiaruje za nich Krwi Tego, który ją wylał za ich zbawienie. Dusza przejęta pragnieniem Syna Bożego, czyli pragnieniem cierpień, dodaje, znalazłaby zaspokojenie w naszej Kanadzie”. W końcu, idąc za wewnętrznym natchnieniem, wyraził życzenie, które musiało głęboko zapaść w serce Marii od Wcielenia. Jednym ze sposobów pozyskania sobie tych dzikich ludów byłoby założenie seminarium dla chłopców, a z czasem i dla dziewcząt, pod kierownictwem jakiejś dzielnej nauczycielki, która by tutaj przybyła z kilkoma towarzyszkami, równie jak ona zapalonymi gorliwością o chwałę Bożą i zbawienie dusz. Oby się podobało Bożemu Majestatowi natchnąć jakieś dusze podobnym zamiarem i odjąć im obawę właściwą ich płci przed przebyciem tylu mórz i przed życiem pośród barbarzyńców”.

Te kartki, ożywione duchem apostolskim, wzbudziły w klasztorze święte współzawodnictwo w ofiarach i modlitwach na rzecz misji w Nowej Francji, w pokutach, licznych Komuniach św. za nawrócenie „dzikich”. Maria od Wcielenia, uszczęśliwiona takim zapalem, podtrzymywała go według swych możliwości, lecz starannie ukrywała tajemnicę, zajmując wciąż jej duszę, „Nie widziałam innego kraju dla siebie jak Kanada. Chodziłam w myśli pośród Huronów, towa-

²⁴ Jezuici założyli kolegium w Tours w 1632 roku. Była to szkoła rozwojowa – nie miała od początku wszystkich klas.

rzyszac głosicielom Ewangelii. Łączyłam się duchem z Ojcem Przedwiecznym pod przewodnictwem Serca Jezusowego, by Mu zdobyć dusze. Zaklinałam Go, by mi dopomógł spełnić rozkaz, jaki mi dał, zbudowania Mu domu w Kanadzie, w którym by czczono Jezusa i Maryję. Prosiłam również, by nie odłączał od nich wielkiego świętego Józefa, bo miałam bardzo żywe odczucie, że On to był tym strażnikiem, którego widziałam u wejścia do tego kraju; Jezus i Maryja nie mogą być bez św. Józefa”²⁵.

Trzeba było jeszcze wiele gorących modlitw i ofiar, jak dalej zobaczymy, by przygotować tę, która pierwsza z kobiet miała pójść do tych dalekich ziem, by wspomagać pracę misjonarzy.

ROZDZIAŁ VIII

Nadzieje i doświadczenia związane z Kanadą (1636 - 1639)

Jedynie m. Franciszka od św. Bernarda i m. Urszula od św. Katarzyny podzielały zapał i pragnienia Marii od Wcielenia. Z początku wydawało się, że ich spełnienie wkrótce nastąpi. Przyczyną tego była ta okoliczność, że o. Rajmund przebywający już poza Tours, myślał również o wyjeździe do Kanady. Gdy wiadomość o tym doszła do Marii od Wcielenia, nie mogła powstrzymać swojej radości. Napisała do niego 20 marca 1635 roku: „Powiedziano mi, Wielebny Ojcze, że masz zamiar oddać się tak wielkiemu dziełu i że sprawa ta postąpiła już tak daleko, że masz się tam udać flotą, która popłynie po Wielkanocy. Boże mój, czy to prawda? Jeżeli tak jest w istocie, błagam, proszę mnie nie zostawiać, lecz zabrać ze sobą. Gorąco kocham te dzikie dziewczynki i zdaje mi się, że je noszę w sercu. Jakże byłabym szczęśliwa, mogąc je uczyć kochać Jezusa i Maryję. Muszę wyznać, iż od dziesięciu lat czuję zamięłowanie do pracy nad zbawieniem dusz i widzę tyle uroku i szczęścia w tym zajęciu, że ono wciąż na nowo rozpala moje pragnienie. Gdybym kochała tak, jak tego wymaga tak wysokie powołanie, to zdobyłabym już Serce Jezusa i zmusiłabym Je do wysłuchania mnie bez zwłoki – takie czuję pragnienie”.

O. Rajmund nie miał jeszcze zamiaru tak prędko wyjechać. Odpowiedział więc swej córce duchowej w ten sposób, aby jednocześnie zbadać jej usposobienie, i upewnić się, czy nie były to jedynie naturalne pragnienia związane z tak śmiałym projektem. Maria od Wcielenia odpisała mu: „Nie, nie mogłam doczekać końca tygodnia, by móc oświadczyć znów to, co chciałabym powtarzać kilka razy na dzień: Nasza Wielebna Matka potwierdza w załączonym liście, iż to, o czym pisałam Ojcu w sprawie Kanady, jest prawdą. Czy Ojciec sądzi, że mówiłabym Ojcu o rzeczach, których nie miałabym zamiaru się podjąć? O, Boże, jak dawno o tym myślę! Sumienie zmuszało mnie do powiedzenia tego, a posłuszeństwo, które winnam Jego Boskiemu Majestatowi, nie pozwalało mi dłużej milczeć. Jednakże umieram ze wstydu, gdy zastanawiam się, że to ja pragnę tak wielkiej rzeczy, ja, powtarzam, tak niewierna w małych rzeczach. Jeżeli jednak Pan Jezus odkryje Ojcu swoją Wolę, czyż mi Ojciec nie pomoże? Prowadziłeś mnie do Niego, gdy

²⁵ W 1624 roku wskutek uroczystego ślubu św. Józef został wybrany patronem Nowej Francji i z tej okazji miały miejsce w Québec uroczyste celebacje religijne, o czym Maria nie wiedziała.

byłam jeszcze w świecie, oddałeś mnie Jemu, pozwalając wstąpić do zakonu; przez miłość do Niego doprowadź mnie teraz do dobra, które uważam za najważniejsze. Moja Wielebna Matka Urszula odczuwa to samo pragnienie, a ponieważ jest to dusza niewinna, jestem pewna, iż pierwsza zostanie wysłuchana. Ale, co mnie pociesza, to to, że nie pojedzie sama, ufam, że jedność myśli i pragnień, jaka jest między nami, połączy nas znowu, by się nigdy nie rozłączyć”.

W pięć dni potem pod wrażeniem nowej przeczytanej *Relacji* Maria od Wcielenia pisze znów do o. Rajmunda: „Daleką jestem, by ten opis ochłodził mój zapal, przeciwnie, rozpałił tylko moje pragnienie i wzmógł odwagę. Nasz Pan ukazuje mi to przedsięwzięcie jako największe, najchwalebniejsze i najszczęśliwsze ze wszystkich zadań życia chrześcijańskiego. Żadne stworzenie nie jest godne podjęcia się go; Jego miłość sama swe narzędzie wybiera, a czyni to bez żadnej z ich strony zasługi. Obawiając się jednak, by to nie było zadowoleniem miłości własnej pod pozorem pobożności, wyobraziłam sobie wszystkie niebezpieczeństwa podróży morskiej i pracy w tym kraju; konieczność życia wśród barbarzyńców, niebezpieczeństwo śmierci z głodu lub zimna, możliwość narażenia się na uprowadzenie przez nieprzyjaciół naszej wiary i narodu, słowem wszystkie okropności możliwe dla zrealizowania tej misji. Jednakże po takich rozważaniach nie zawierających w sobie nic, co by mogło zadowolić naturę lub miłość własną, a przeciwnie wiele rzeczy mogących je przerazić, nie widzę żadnej zmiany w moich pragnieniach, ale raczej poczucie wewnętrzne mówi mi, że Pan Jezus, który wszystko może, da na pewno duszom narażającym się na te niebezpieczeństwa pełnię Swego Ducha i siłę”.

Te słowa, pełne wiary i pokory, przekonały o. Rajmunda, iż był w tym głos Boży. Wiedział, jakimi niezwykłymi łaskami dusza ta obdarowana była od dzieciństwa i nie wątpił, że Pan Bóg przeznacza ją do wielkich rzeczy. Widział z zadowoleniem, iż jako prawdziwa córka Kościoła doskonale posłuszna, nie opierała się wyłącznie na swoich widzeniach, choć tak wyraźnych, lecz poddawała swój sąd pod zdanie osób powołanych do tego od Boga, by one o tym zdecydowały.

Nie mając więc żadnych wątpliwości co do powołania Marii od Wcielenia, musiał jednak dać jej do zrozumienia, że na razie wyjazd jej jest niemożliwy, trzeba bowiem większych przygotowań do umożliwienia osiedlenia się zakonnic w Nowej Francji, i że on pierwszy udając się tam, przygotowuje jej drogę. Maria pisała: „Mój Wielebny Ojciec, mogłam spodziewać się tylko pomyślanej decyzji ze względu na dobroć Ojca. Wiedziałam, że Umiłowany naszych serc wzruszy serce Ojca i każe dla Jego miłości okazać nam pomoc. List, który otrzymałyśmy, przejął radością zarówno mnie jak i moją Matkę Urszulę. Lecz ponieważ na tym świecie nie ma radości bez umartwienia, znalazłyśmy je w tym, co Wielebny Ojciec pisze. Mówisz bowiem, Ojciec, o wyjeździe bez nas... Ten, który ongiś dał żarliwość św. Wawrzyńcowi, da ją i nam w Swoim Miłosierdziu. Chcę ci powiedzieć to, co święty ten mówił świętemu Sykstusowi, gdy ten ostatni siedł na męczeństwo: Nie zostawiaj twoich córek; czy obawiasz się dla nich cierpień, które sam masz ponosić? Wiem, że nie znajdziesz tam przygotowanego dla siebie mieszkania: i to jest właśnie chwalebne, a Ty nas chcesz pozbawić tej chwały? Nie wiem zresztą dokąd powinnam jechać, czy do Québec, czy gdzie indziej, ale w jakiej części Kanady by to nie było, uważam ten kraj za raj

ziemski, gdzie jak mi się zdaje, oczekuje mnie pełnia łask Ducha Świętego. Co do naszej Wielebnej Matki, to ma ona również to samo pragnienie. Zapewniała mnie, że oddałaby Bogu całe serce i co ma najdroższego dla pomyślności tego zamiaru, ufając, iż On sam postara się o resztę”.

Nadszedł maj, Maria od Wcielenia ufała, iż w lecie jakiś statek, dążący do Nowej Francji, zawiezie tam grupę urszulanek. Pisała do swego spowiednika: „Niech się Ojciec nie obawia, że narazi swoje powołanie, czekając nieco, aby spełnić uczynek miłosierdzia. Inaczej nie miałybyśmy o Rajmunda do pomocy... Słodki Jezus może okazać swą chwałę w małych rzeczach, marnych i godnych pogardy. Czyż nie chciałby Ojciec, by te słowa św. Pawła spełniły się we mnie? Boski Majestat większych rzeczy dokonał. Co do mnie, jestem pełna nadziei i wierzę, że da nam do tego mnóstwo łask. My jesteśmy tylko drobnymi muszkami, lecz czujemy dosyć odwagi, by latać z orłami Króla świętych. Jeśli nie będziemy mogły za nimi zdążyć, nieś nas będą na swoich skrzydłach, jak prawdziwe orły noszą małe ptaszki. Co do tego, co Ojciec mówił, iż św. Sykstus nie spełnił pragnienia św. Wawrzyńca, który chciał mu towarzyszyć w męczeństwie, ponieważ porównywałam się do tego świętego lewity, ty Ojcze możesz siebie postawić na miejscu jego biskupa i pojechać beze mnie do Nowej Francji. Zastanów się jednak, Wielebny Ojcze, że św. Sykstus wyprzedził św. Wawrzyńca tylko o trzy dni, po czym już łatwo było synowi iść za ojcem, gdyż drogi były przetarte. Z nami jest inaczej, gdyż będziemy musiały czekać jeszcze rok, a ta droga będzie dla nas zamknięta”.

Maria wiedziała, że to wielkie przedsięwzięcie powinno się prowadzić tak, jakby zależało od nas, ale też jednocześnie oczekując wszystkiego z góry. Jednak o. Rajmund obawiał się, lub udawał, że się obawia, by próżność nie wślizgnęła się w jej zamiary, więc przypominał jej przykład księcia Apostołów: „Bardzo się dziwiłam, drogi Ojcze, odpowiada żartobliwie Maria, że dotąd mi nic nie powiedziałeś o św. Piotrze i oczekiwałam tylko tej chwili, gdy usłyszę o nim. Wyznaję, iż niedowierzanie, jakie mam względem siebie, złączone z doświadczeniem, które mi dają ciągłe moje słabości, wznieca we mnie częste obawy, o których Ojciec pisze. Gdy zastanawiam się nad sobą, staram się wejść w to usposobienie, które mi doradzasz, oddając się w ręce Tego, który może mi dać moc swego Ducha i uspokoić moją gwałtowność. Ale czy Ojciec nie chce, bym mu powiedziała, co czuję w duszy? Czyż nie przyrzekłam Ojcu pełnej szczerości? Przykra odmowa, którą mi Ojciec dał poprzednio, skłoniła mnie do większej ostrożności w ujawnianiu moich myśli sądząc, iż może Bóg chce, bym zakończyła moje dni tak, jak je zaczęłam, pod kierownictwem tak dobrego Ojca. Jeżeli się spieszymy, nie może Ojciec nas potępić. Na listy wysyłane przez pocztę musimy długo czekać”.

Płomyk nadziei, jaki dzięki misjonarskiemu powołaniu o. Rajmunda do Kanady zapalił się dla urszulanek, był jednak coraz słabszy. Trudności nadchodziły ze wszystkich stron. Pewien człowiek, zdobyty przez jezuitów, którego imienia nie znamy, obiecał sfinansować fundację urszulańską w Nowej Francji. Wycofał się jednak w czasie podpisywania kontraktu. Bez zapewnienia odpowiednich funduszy przedsięwzięcie było niemożliwe i Maria od Wcielenia dobrze to rozumiała. Jednak Bóg przygotowywał drogę dla niej w swoim czasie. Zaś Maria w ciągu tych lat oczekiwania zbierała dla swej fundacji o wiele ważniejsze niż materialne skarby duchowe.

O. Salin z Towarzystwa Jezusowego był wówczas spowiednikiem urszulanek. Maria pisała: „Pan Jezus skłaniał mnie, bym mu się zwierzyła ze swoich zamiarów co do Kanady. Ojciec kazał mi zamilknąć po pierwszym słowie i zgromił mnie surowo, wyśmiewając moje próżne i dziwaczne fantazje. Trwałam w upokorzeniu, mówiąc Słowu Wcielonemu: »O moja Miłości, jeśli jest coś do zrobienia, Ty Sam działaj, gdyż nic nie jest dla Ciebie zakryte. Ty wiesz, iż jestem nicością, że mi nigdy nie uwierzą. Powiedzą, iż chcę oszukiwać innych, ulegając złudzeniu zwłaszcza w takiej sprawie, która wydaje się być niezgodna ze zdrowym rozsądkiem ze względu na moje powołanie zakonniczy klauzurowej. Mimo to chcę Ci być posłuszną«”.

Również o. Dinet który z początku udzielał jej wskazówek, po wyjeździe z Tours, pisał do niej, iż Pan Jezus rozbudził w niej miłość do Kanady, ale ona nigdy jej nie zobaczy jak tylko z nieba, gdy Bóg sam spełni to, czego od niej oczekuje. Wreszcie droga jej towarzyszka, m. Urszula de Joüye, musiała się wyrzec wszelkiej nadziei wyjazdu na misję, wobec stanowczej odmowy zezwolenia ze strony swego ojca. Bóg miał dla niej wielkie zadania i urzędy w klasztorze w Tours. Maria od Wcielenia nie zachwiała się wśród tych przeciwności. Napisała do o. Rajmunda dnia 2 października 1635 r.: „Bardzo ufam Matce Najświętszej i nie mogę pozbyć się myśli, iż ona kocha Nową Francję i że do niej trzeba mi się uciekać. Ona jest moją jedyną ucieczką. Lecz jestem tak niedoskonała, iż najmniejsze rzeczy sprawiają mi przykrość, a co byłoby w przypadku wielkich? Nasza Wielebna Matka mówi w swej dobroci, że na nic bym się przydała w Kanadzie i że jeśli Bóg wysłucha moich prośb to w celu ukarania mego zuchwalstwa. Ona ma słuszość, jestem jeszcze bardziej niedoskonała, niż ona mówi, ale pomimo to pragnę tego wielkiego dobra”.

Po otrzymaniu wiadomości, iż jej zamiary osobiste są niewykonalne, podczas gdy jej spowiednik miał jeszcze nadzieję co do swoich planów, wyraża mu w dwa miesiące później swoją rezygnację: „Zamiar przedsięwzięty dla Boga powinno się dla Boga porzucić zwłaszcza, gdy się widzi niemożność wykonania go. Ponieważ tak się rzeczy mają, poddaję się woli Bożej, nie tracąc ochoty do podjęcia tego zamierzenia, jeśliby Ten, który jest Wszechmocny usunął przeszkody. Dla Niego są to tylko słomki i pajęczynki, które może zniszczyć w jednej chwili. Nie mam już pragnień co do Kanady i nie mam nadziei posiadania tego wielkiego, drogiego, tak bardzo pożądanego dobra. Jednakże nie zaniecham interesów mego Jezusa, który wylał swoją Krew za te opuszczone dusze i nie zaprzestaną prosić za nimi Ojca Przedwiecznego, aby kiedyś miały udział w dobrodziejstwach naszego Odkupiciela. Jeśli nasz dobry Bóg nie pobudzi swoim Duchem wielkich dusz, nic się nie działo. Proszę Go oto kilka razy dziennie czując ku temu wewnętrzny pociąg i ufam, że natchnie je swą łaską. O jak szczęśliwe są te dusze tak obdarowane z nieba, które zostały wybrane do pracy dla tak świętej sprawy. Kocham je już teraz, ponieważ dobroć Boża daje im takie dowody swojej miłości.

„Co do Ciebie, Ojczy, który następną flotą wyruszysz, aby osiąść ten szczęśliwy kraj, jedź mój drogi Ojczy, niech Cię Bóg prowadzi. Niech Duch Święty kieruje Tobą przez Swe łagodne tchnienie; nie będę o to zazdrosna, gdyż uważam się za całkiem niegodną tego szczęścia i chcę wypełnić tylko Wolę Bożą, którą chcę kochać i uwielbiać całą siłą uczucia. Chociaż z Tobą

nie pojedę do Kanady, będę ci towarzyszyła duchem i nieodłącznie pozostanę twoją pokorną i posłuszną córką w Chrystusie”²⁶.

Te pobożne życzenia nie zostały spełnione. Bardzo ceniony w swoim zakonie o. Rajmund nie otrzymał od swych przełożonych pozwolenia, na które liczył, pragnąc poświęcić się misjom w Nowej Francji. I tak tyle starań i zachodów wydawało się na pozór zaprzepaszczone. Maria od Wcielenia pisała: „Widocznym jest, iż Bóg dał mu to pragnienie, aby go skłonić do pomnożenia modlitw za zbawienie dusz i aby ułatwić realizację mego misyjnego powołania i umożliwić wyjazd do Kanady, gdy nadejdzie sposobny czas. Gdyż jeśliby o. Rajmund potępił ten zamiar, nigdy nie pozwoliliby mi na to biskup Tours, który chętnie słuchał jego rad, ani też nie zgodziłaby się nasza wspólnota, która darzyła go szczególnym zaufaniem”. Dodajmy jeszcze, iż ten mądry kierownik duchowy, mogący lepiej niż kto inny osądzić usposobienie Marii, powiadomił o jej zamiarach ojców Towarzystwa Jezusowego w Québec tak, iż płomień jej gorliwości sięgnął poza ocean. Ułatwiło to nawiązanie z nimi bezpośrednich relacji.

Oczekując godziny wyznaczonej przez Opatrzność, która też miała być czasem bolesnego rozstania, m. Franciszka od św. Bernarda powierzyła swojej drogiej córce prowadzenie pensjonatu. Było to na początku 1636 roku. Wiemy z roczników klasztoru z Tours, iż wychowanie, jakie dawał ten dom, było uważanym za doskonałe i że zgłaszało wiele uczennic się. Klaudiusz często podkreśla łagodność swej matki względem pensjonek. „Obchodziła się z nimi z niezrównaną cierpliwością i dobrocią tak, że osoby, które widziały jej gorliwość w nauczaniu nowicjatu i wielkie wymaganie względem niego, były tym zdziwione. Gdy raz jej na to zwrócono uwagę, odpowiadała: „Uważam nowicjuszki za osoby rozsądne, powołane przez Boga do stanu wysokiego, wymagającego wielu cnót, w których wiernie powinny się ćwiczyć. To mnie zmuszało do prowadzenia ich drogą surowości. Odnosnie dzieci, to ich rozum nie jest jeszcze dość rozwinięty i nie są przyzwyczajone do wielkiej cnoty – trzeba je wznosić wyżej i z dobrocią i łagodnością zachęcać do dobrych czynów”.

Ta postawna zakonnica, skupiona, lecz zawsze uśmiechnięta, wzbudzała w tym małym światku szacunek połączony z serdecznym przywiązaniem. Ojciec de Charlevoix pisze: „Dawne uczennice Marii od Wcielenia mawiały, iż dość było spojrzeć na nią, by się zachęcić do praktykowania pobożności. Przekonanie o jej świętości było tak wielkie, że gdy ją widziały, całowały ze czcią jej habit, a chociaż nie zawsze starały się robić to dyskretnie, nigdy tego nie spostrzegła. Z tego faktu sądziły, że ich święta mistrzyni zawsze musiała trwać w zachwyceniu. „Nauczając postępowała również po macierzyńsku”. O. Klaudiusz Martin pisze: „Nasza Matka nie umiała nawet przynaglać lub niepokoić tych, nad którymi Bóg dał jej jakąś władzę. Gdy zaś ją pytano o powód, odpowiadała: »Nie mam wielu rzeczy do powiedzenia dzieciom, zadawałam się tym, by dopilnować, aby wszystkie spełniły swój obowiązek i nie wymagam nic ponad to«. Prócz nauki religii, której sama udzielała, Maria uczyła jeszcze modlitwy i medytacji, wpajając w nie pierwsze zasady wiedzy, której najwyższe tajemnice były jej objawione. Przypomniawszy im jakiś szczegół z życia lub Męki Pana Jezusa, pozwalała im zastanowić się nad nim w milczeniu jakiś

²⁶ List z Tours 16 grudnia 1635 r.

czas. Następnie z płomiennym uczuciem odmawiała głośno w ich imieniu akty miłości, pokory, pragnienia poprawy, po czym zachęcała je do postanowienia, jakie miało być owocem tego ćwiczenia. Między tymi dziewczętami była wówczas malutka, pełna wdzięku, jedna z siostrzenic przełożonej, jedyna córka ukochanej jej siostry. Zbawienie tego dziecka kosztowało Marię, jak to zobaczymy, wiele i to wielkich cierpień.

Tymczasem o. Le Jeune, przełożony jezuitów w Québec, przesyłał w dalszym ciągu do Francji coroczne *Relacje*, czyli dziennik swojej misji. Kartki te żywo poruszały pobożnych czytelników. Na jego życzenie, wyrażone w 1634 roku, aby przybyło kilka odważnych kobiet dla nauczania i katechizacji Indianek, kilka klasztorów zgłosiło chęć wyjazdu do Kanady, co go nappełniło radością. Między tymi listami wyróżnił ze zrządzenia Bożego list Marii od Wcielenia, na napisanie, którego uzyskała pozwolenie, a którego treści możemy się domyślić. Jednakże chcąc wypróbować cnotę tej gorliwej urszulanki, odpowiedział na jej gorące uniesienia dwoma listami najbardziej upokarzającymi, w których nazywał jej pragnienia nieznośną zarozumiałością, jeśli nie szatańską. Maria wcale się nie zdziwiła tym pogardliwym przyjęciem, przeciwnie – jak wynika z listu do o. Rajmunda - cieszyła się nim: „Mój Wielebny Ojciec, nie potrafię nie podzielić się z Tobą pocieszającą wiadomością. Otóż dostałam wieści z Kanady, ziemskiego raju Huronów. Wielebny Ojciec Le Jeune napisał do naszej matki przełożonej i do mnie; sądzą, iż dziękuje jej za to, że się z nim zgadzała w umartwieniu mnie i upokorzeniu. Co do mnie, nie mówi wcale o Kanadzie, lecz napisał długi list, równie upokarzający jak pierwszy. Czyż to nie jest dobry Ojciec? Podobny jest w tym do ciebie, Ojciec. Jestem mu nieskończenie wdzięczna, gdyż widzę, że mi dobrze życzy i gdybym była przy nim, obchodziłby się zapewne ze mną podobnie jak Ty”.

Bóg mimo wszystko czuwał nad swoim dziełem i imię Marii od Wcielenia było już znane i cenione wśród misjonarzy w dorzeczu św. Wawrzyńca, którzy przysyłali jej naglące wezwania. 26 października 1636 roku Maria pisze do swego kierownika: „Oto okazja tak sprzyjająca, że uważałabym, że działam przeciwko obowiązkowi, gdybym o niej milczała. Czy chciałby Ojciec zaraz pojechać do Kanady? Ojcowie Chastelain i Garnier, którzy się udali do Huronów, ponagla ją swoje wezwanie w stosunku do mnie. O. Le Jeune nosi się z zamiarem sprowadzenia zakonnic do Nowej Francji dla nauczania dziewcząt, a ci dobrzy ojcowie usłyszawszy o tym, poprosili go, by wziął mnie pod uwagę. O. Le Jeune im obiecał, że zrobi dla mnie wszystko, co będzie mógł. Jestem więc pełna nadziei i czekam. Gdyby Ojciec usłyszał, co mówią ci święci ojcowie, byłby zachwycony i starałby się o wykonanie swoich zamiarów. Jest godnym podziwu, iż te uprzywilejowane przez Niego dusze chcą myśleć o mnie codziennie - jak mówią. To musi być szczególne zrządzenie Boże i poczytuję to sobie za wielką łaskę”.

Tyle dowodów dobrej woli nie wystarczałoby bez środków materialnych, niezbędnych przy podobnym przedsięwzięciu. Relacja podaje: „Potrzeba, aby wezwane do Kanady zakonnice posiadały zbudowany i wyposażony dom, gdyż inaczej byłyby ciężarem dla Francuzów i niewiele zrobiłyby dla kraju. Ani Maria od Wcielenia, ani jej przełożona nie wiedziały, skąd zdobyć potrzebne środki. Maria pisała do o. Rajmunda w roku 1637: „Upłynęły dwa lata i nic nie wskazuje na to, by chwila działania nadeszła. Nie wiem, czy się nie łudzę lub może pochlebiam sobie,

ale wcale nie tracę nadziei co do Kanady. Będę oczekiwała od Boga tej łaski aż do końca. Jeśli Sprawiedliwość Boża chce nas ukarać, wezmę ten cios na siebie, choć jest bardzo ciężki dla tak słabego stworzenia, jakim jestem. Przynaglij Niebo i wyjednaj swymi ofiarami to, czego nie jesteśmy godne posiadać. Serce moje przygotowuje się od dawna do tego wielkiego zadania, lecz nie mogę zapewnić Ojca, że będzie ono tak stałe, jak zamierzam, gdyż często upadam. Weź me serce w Twoje ręce, a gdy trzymać będziesz Krew mego Boskiego Jezusa, zanurz je w Niej i proś Go, by mnie umieścił tam, gdzie mnie chce mieć”.

Podczas gdy Maria od Wcielenia w ten sposób wypowiadała swoje pokorne poddanie się, Bóg prowadził ku niej cudownymi drogami towarzyszkę, którą jej ukazał w widzeniu kanadyjskim i z którą odbyła swą tajemniczą podróż. Nazywała się ona Magdalena de Chauvigny. Urodziła się 4 lata po naszej urszulance, jako córka pana de Vaubougon, zajmującego wyższe stanowisko wśród szlachty Dolnej Normandii. Podobnie jak Maria od Wcielenia, uprzedzona łaską, wcześniej uczuła zamiłowanie do miłosierdzia względem ubogich, a niechęć do próżnostek światowych. Po zamążpójściu swojej jedynej siostry prosiła rodziców o pozwolenie na wstąpienie do klasztoru, lecz nadaremnie. Gdy jej wciąż odmawiano, postanowiła w tajemnicy opuścić zamek i udała się do sąsiedniego klasztoru pod pozorem odprawiania rekolekcji, lecz z postanowieniem nieopuszczania go więcej. Miała wówczas siedemnaście lat. Musiała jednak ulec naleganiu rodziny i powrócić do domu. Jej ojciec posunął się jeszcze dalej. Zmusił Magdalenę do oddania reki szlachcicowi z okolicy, Karolowi de Grivel, panu de la Peltrie. Młoda dziewczyna, jak niegdyś Maria Guyart, sądziła, że należy ulec woli rodziców, więc zdecydowała się na zamążpójście, lecz po pięciu latach owdowiała.

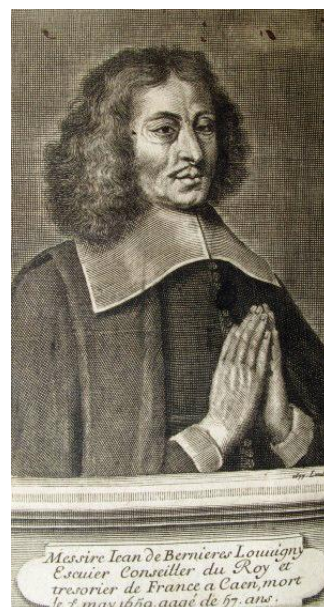
Magdalena de la Peltrie, nie mając dzieci, prócz córki zmarłej zaraz po chrzcie św., w bardzo młodym jeszcze wieku stała się panią swego majątku. W tych okolicznościach zastanawiała się, czemu się poświęcić? Jaki cel wyznaczyć sobie w życiu? „Wszystko jest Twoje, Panie - powtarzała bezustannie - moje serce, dobra i życie”. Tak upłynęło kilka lat. W duszy Magdaleny obok miłości ubogich, których uważała za swoje dzieci, zaczęło rozwijać się gorące pragnienie poświęcenia się dla zbawienia niewiernych. Mając trzydzieści trzy lata, czytała pewnego dnia jedną z *Relacji* misjonarzy kanadyjskich. Poruszona została wzruszającą skargą, do której o. Le Jeune zmusiły wielkie potrzeby: „Ach – woła - gdyby zbytki i bogactwa dam francuskich użyte zostały na założenie klasztoru w tym kraju, jakież błogosławieństwo ściągnęłyby one na swoje rodziny! Co za chwała przed aniołami zebrać Krew Syna Bożego i ofiarować ją za tych biednych niewiernych! Oto dziewice wątle i delikatne są gotowe narazić swoje życie na burze oceanu, aby pójść szukać dusz w surowym klimacie i podejmować prace, ciężkie nawet dla mężczyzn. Czyż nie znajdzie się jakaś szlachetna dama, któryby uposażyłaby im dom mający służyć dla Bożej chwały i Jego służby?”.

To wezwanie było dla młodej wdowy pierwszym promieniem światła – nie śmiała jednak przypisywać sobie tak wysokiego zadania. Niedługo potem, gdy była na modlitwie w dzień Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny, Boski Mistrz dał jej poznać wewnętrznie, iż rzeczywiście chce ją mieć w Nowej Francji i przeznacza dla niej szczególne łaski w tym barbarzyńskim kraju.

„To nie mnie, Panie, tak wielkiej grzesznicy i nędznemu stworzeniu należą się podobne łaski” - odpowiedziała za łzami. „Prawda, mówił dalej Pan Jezus, lecz to jest na większe uwielbienie mego miłosierdzia. Chcę się tobą posłużyć i mimo przeszkód, które powstaną, by uniemożliwić wypełnienie moich rozkazów, pojedziesz do Kanady i tam swoje dni zakończysz”!.

Nieśmiała z natury i niedowierzająca otrzymanemu światłu, Magdalena de la Peltrie modliła się, radziła się i wreszcie została przekonana o prawdziwości zamiarów Bożych względem siebie. Już miała się zabrać do dzieła, gdy nagle zachorowała. Lekarze nie dawali jej szans na przeżycie, szyto już habit Trzeciego Zakonu św. Franciszka, w którym pobożna kobieta miała być pochowana. Nagle poczuła wewnętrzne natchnienie, by wezwać pomocy św. Józefa, patrona Kanady. Obiecała więc temu wielkiemu świętemu, iż jeśli ją uzdrowi, uda się sama do tego kraju i poświęci cały swój majątek na założenie domu noszącego jego imię, w którym będą się uczyły tubylcze dziewczynki. Wypowiedziawszy ten ślub, usnęła. Po przebudzeniu gorączka zniknęła i była uzdrowiona. Lekarz, który ją odwiedził, sprawdził jej puls i zawołał, nie wiedząc jak ma wyrazić swoje zdumienie: »Rzeczywiście, gorączka pani poszła do Kanady!« /Kanada wówczas była modnym słowem, używanym we wszystkich okolicznościach/. Tak, Panie - odpowiedziała pani de la Peltrie z uśmiechem - lecz w innym sensie „Gorączka moja poszła do Kanady!”

Radość, jaką sprawiło panu de Voubougon niespodziewane wyzdrowienie córki, ożywiło w nim pragnienie, które często wyrażał, aby mógł ją widzieć wstępującą ponownie w związek małżeński. Nie ustawał w swoich naleganiach i sprawa zaszła tak daleko, że Magdalena nie wiedziała jak uspokoić dobrego starca. Pewien zakonnik Towarzystwa Jezusowego poradził jej, aby dla zyskania na czasie użyła niewinnego podstępu, który jak zobaczymy był w zamiarach Opatrzności Bożej.



Pan Jan de Bernières Lauvigny, urodzony w Caën 1602 roku, spełniał wówczas w tym mieście obowiązki podskarbiego Francji. Był to jeden z tych ludzi, którzy według słów apostoła „żyjąc wśród świata, jakby do niego nie należeli”. Wierny swoim obowiązkom i stosunkom towarzyskim, jakie z nich wynikały, umiał jednak urządzić sobie w mieście samotnię, znaną pod nazwą „pustelnia Caën”, do której udawał się jak mógł tylko najczęściej z kilkoma dobrymi przyjaciółmi. Posiadał on w wysokim stopniu dar modlitwy, a tajniki swej duszy przedstawił w książce, znanej jeszcze teraz pt. „Chrześcijanin wewnętrzny”. Pani de la Peltrie, idąc za udzieloną sobie radą, uprosiła tego pobożnego szlachcica, by poprosił ojca o jej rękę. Prośba ta bowiem, pozorną zresztą, uwolni ją od nalegań ojcowskich i pozwoli oddać się swemu dziełu apostołskiemu. Po gruntownym namyśle Jan de Bernières, widząc iż tu chodzi o chwałę Bożą, przychylił się do jej prośby, a jeden z jego przyjaciół przedstawił panu de Voubougon jego zamiary. Ten ostatni uszczęśliwiony, czekał już tylko na urzeczywistnienie tego związku, gdy nagle zmarł. „Święty człowiek z Caën”, uwolniony z niezręcznej sytuacji, pozostał jednak oddany interesom pani de la

Peltrie, którą zgon ojca naraził na inne kłopoty. Musiała prowadzić procesy z rodziną, bowiem krewni chcieli odebrać jej zarząd majątku i pozbawić części dziedzictwa z powodu „rozrzutności”, jak nazwali jej skłonność do rozdawania jałmużny. Skazana przez sąd w Caën, za radą pana de Bernières, apelowała do parlamentu w Rouen i tam nadspodziewanie, po odnowieniu ślubu złożonego św. Józefowi, wygrała sprawę. Teraz już ją nic nie zatrzymało w Normandii. Za sugestią swego mądrego doradcy udała się do Paryża, gdzie i Jan de Bernières miał się udać i tam wspólnie mieli podjąć decyzję, w jaki sposób urzeczywistnić zamierzoną fundację. Działo się to w październiku 1638 roku.

Wkrótce po przybyciu do stolicy dowiedziała się, iż krewni mimo decyzji sądu w Rouen poszukują jej, aby ją uwięzić pod tym samym pretekstem trwonienia majątku. W obawie przed nimi, musiała wychodzić z domu tylko rankiem i to w przebraniu służącej. Pomimo tych przeszkód, dzięki interwencji pobożnego podskarbiego z Caën, wszystkie sprawy załatwione zostały w ciągu kilku tygodni. Pani de la Peltrie, poddała swe powołanie do Kanady pod sąd o. de Condreu, generała oratorianów i ks. Wincentego, przełożonego lazarystów, który wkrótce miał być znany jako św. Wincenty a Paulo. Klaudiusz Martin dowodzi: „Obydwaj byli wówczas wyrocznią w nadzwyczajnych przedsięwzięciach. Oni to zachęcili młodą wdowę do trwania w swym zamiarze, zapewniając ją, iż pochodzi on pochodzi od Boga”.

Tymczasem pan de Bernières nawiązał relacje z o. Poncet z Towarzystwa Jezusowego, któremu były powierzone sprawy misyjne. Zakonnik ten, oddany całą duszą Kanadzie, korespondował od paru lat z Marią od Wcielenia. Maria pisze w swojej *Relacji*: „Nie wiedząc nic o moich przekonaniach co do tej misji, o. Poncet napisał i o moim powołaniu misyjnym. Przysłał mi nawet małą laskę pielgrzymią z wymownym obrazkiem, zachęcając mnie w ten sposób, bym szła służyć Bogu w Nowej Francji. Zdziwiona byłam tym zaproszeniem, gdyż on mógł nie wiedzieć, co się działo we mnie, bo utrzymywałam to w tajemnicy”.

Maria nie mogła jednak ukryć swoich pragnień. Gdy pani de la Peltrie przedstawiła mu swą sprawę, ten ostatni zaraz pomyślał o Marii od Wcielenia. Odpowiedział bez wahania, iż ma jakby kamień węgielny fundacji pod ręką. Zna zakonnicę, urszulankę z Tours, ożywioną tymi samymi pragnieniami i wie, że ona będzie zachwycona możliwością urzeczywistnienia swych pragnień. Wiadomość ta udzielona zacnej dobrodziejce sprawiła jej nieopisaną radość. Już samo imię Marii od Wcielenia wlewało w jej serce nieznany dotąd pokój nadprzyrodzony. O. de la Haye, znając wartość wielkiej urszulanki, po spotkaniu z o. Poncet, poparł jego wybór i zobowiązał go do natychmiastowego napisania do Tours. Pani de la Peltrie posłała jednocześnie naglące wezwanie do swej przyszłej towarzyszkii apostołstwa. Maria od Wcielenia tak o tym mówi: „Po otrzymaniu listów nasza Wielebna Matka, widząc, iż wybrano mnie do tego zadania i że ta pani chciała wyruszyć do Nowej Francji z pierwszą odchodzącą flotą, jak również, że domagała się mego przybycia dla założenia seminarium²⁷, była tym wszystkim nadzwyczaj zdumiona i jednocześnie wzruszona nowym dowodem prawdziwości mego powołania do Kanady, ponieważ Bóg

²⁷ To wyrażenie „Seminarium” było używane przez o. Le Jeune w *Relacji*, w której wyrażał pragnienie osiedlenia się zakonnic nauczających w Québec. Urszulanki posługiwały się również tą nazwą dla oznaczenia zakładu dla dziewczynek indyjskich.

dawał środki do jego wykonania. Przyszła więc do mnie i opowiedziała całą sprawę. Podziękowałyśmy obie Panu Bogu, potem kazała mi odpowiedzieć na listy, które otrzymałam”.

Pod wpływem pierwszego wrażenia Maria napisała do pani de la Peltrie: „Niech będzie błogosławiony Wielki Jezus! Jego zamiary są zawsze godne uwielbienia, szczególnie wtedy, gdy się dokonują. Czyż nasz Boski Mistrz chce Panią wprowadzić do tego ziemskiego raju Nowej Francji? Czy będzie Pani tak szczęśliwą, by płonąć tam świętym i boskim ogniem? Są tam wprawdzie lody, ciernie i kolce, lecz ogień Ducha Świętego ma moc strawienia tego wszystkiego, a nawet skruszenia skał. To ten ogień Boski umacnia i ożywia święte dusze, przeprowadza je przez największe trudy, on to sprawia, iż pogardzają same sobą i oddają swoje dobra i życie na podbój dusz, odkupionych Krwią Jezusa Chrystusa. O Pani droga, oblubienico prawdziwa mego Zbawcy, znalazłszy cię, znalazłam tę, która Go kocha prawdziwie, gdyż nie ma miłości prawdziwej, jak tylko oddać się temu, kogo się kocha, siebie samą i wszystko, co się posiada. A ponieważ spodobało się jego Miłosierdziu wlać w moje serce te same uczucia, wydaje mi się, że moje serce jest w twoim, albo raczej, że oba są wśród tych obszarów nieskończonych w jednym Sercu Jezusa, w którym obejmujemy małe Indianki, ucząc je jak należy kochać Tego, który jest najgodniejszy miłości. Czy chce Pani, uczynić mnie i moim towarzyszkom, które Bóg wybierze, tę łaskę, aby nas zabrać i przyłączyć do tego szlachetnego zamiaru? Od pięciu lat już czekam sposobności, aby odpowiedzieć na nagłące wezwania Ducha Świętego i mówiąc prawdę sądzę, iż to Boski Majestat chce posłużyć się Panią, bym mogła zakosztować tego dobra... Ach, gdybym mogła mieć Panią tutaj, by otworzyć serce i cieszyć się z tego wielkiego przedsięwzięcia. Jestem pewna, iż byłoby to miłe dla naszego dobrego Jezusa i wynagrodziłoby Pani hojnie ten trud sześćdziesięciomilowej podróży, którą podejmujesz. Lecz cóż mówię? Pani jest gotowa ich zrobić więcej niż tysiąc, wśród niebezpieczeństw, więc te sześćdziesiąt będzie niczym dla twego miłującego serca. O to ośmielam się błagać Panią właśnie przez tę miłość, która płonie w jej sercu. Jeżeli Pani zechce udzielić mi tej pociechy, zapewniam Panią, iż znajdzie tutaj dusze serdecznie życzliwe, które przyjmą ją jako posłanniczkę niebieskiego Oblubieńca. A ja najbardziej niegodna, ośmielam się prosić o udział w Pani modlitwach. Z Tours, listopad 1638 roku”.

Maria od Wcielenia w swojej *Relacji* wspomina: „Wszystko to pozostało ukryte przed wspólnotą aż do stycznia, gdyż pani de la Peltrie z obawy, by krewni jej nie przeszkodzili, nie chciała, by jej zamiar był rozgłaszany. Co do mnie to czułam wewnętrznie, iż chwila spełnienia obietnic Bożych się zbliża i to wcześniej zanim dowiedziałam się o podjętych w tej sprawie negocjacjach. Gdy stało się to wiadome, mogłyśmy już wspólnie z naszą Przewielebną Matką Urszulą podziwiać działanie Boże w tym opatrnościowym spotkaniu dobrej pani, ojca Poncet i pana de Bernières oraz wysławiać Boże Miłosierdzie. W rozmowach pełnych miłości powtarzałam Mu, iż jest nieskończenie wierny w swoich obietnicach i swych przedziwnych powołaniach”.

ROZDZIAŁ IX

Wyjazd z Tours – Paryż – Dieppe – Podróż morską - 1639 r.

Interesy Kanady były wówczas we Francji powierzone, protegowanemu przez kardynała Richelieu, specjalnemu Towarzystwu o nazwie „Stu Stowarzyszonych”, które zgodnie z ustawą miało przyczyniać się do nawracania dzikich ludów, ugruntowania potężnej kolonii i zapewnienia królowi posiadania Nowej Francji. Nic dziwnego, że stowarzyszeni, ożywieni patriotycznymi i religijnymi intencjami, z wielkim uznaniem podchodzili do projektu pani de la Peltrie i szczerze chcieli go poprzeć. Jednakże ponieważ termin wyruszenia floty był bliski, a wszystkie statki już były wynajęte, radzili jej odłożyć do następnego roku jej podróż lub przynajmniej zakonnic przeznaczonych do Kanady. Ta propozycja nie podobała się pani de la Peltrie. Ani ona, ani pan de Bernières nie chcieli o tym słyszeć.

Maria od Wcielenia opowiada: „Postanowiliśmy więc zebrać się w celu omówienia tej sprawy. Zebranie miało miejsce w domu pana Nicolasa Fouquet, radcy stanu. Byli na nim obecni ojcowie Binet, de la Haye, Karol Lallemant, ponadto komandor Sillery, pan Jan de Bernières, Magdalena de la Peltrie oraz wielu panów z towarzystwa „Stu Stowarzyszonych”. Oni to dowodzili, że pani de la Peltrie za późno oznajmiła im swój zamiar i że na statkach nie było już miejsca dla jej bagaży i zapasów, więc trzeba czekać na drugi wyjazd. Jednak w tej sytuacji Magdalena de la Peltrie oświadczyła, że woli wynająć statek na własny koszt. Po tym oświadczeniu nie robiono już trudności, chodziło tylko o to, skąd wziąć zakonnice dla wykonania tego zamiaru.

Założycielka nie wahała się pod tym względem. Postanowiła odwiedzić klasztor urszulanek. Pan de Bernières podtrzymywał ją w tym postanowieniu, sam bowiem żywił szczególną sympatię do tego zakonu, dopomógł nawet swej siostrze w założeniu domu urszulańskiego w Caën. Oboje z panią de la Peltrie brali pod uwagę Marię od Wcielenia. Magdalena de la Peltrie od chwili otrzymania od niej listu czuła się z nią duchowo związana i pragnęła z nią się złączyć. Zaproponowała więc, by prosić biskupa, jako przełożonego z Tours, o matkę Marię od Wcielenia i drugą zakonnicę jako jej towarzyszkę. Ojciec prowincjał zwrócił uwagę, że nie ma potrzeby tak daleko szukać urszulanek i że paryskie są znacznie odpowiedniejsze do tego zadania, gdyż kolonia bezpośrednio mogłaby się z nimi skontaktować. Oprócz tego ich konstytucje, różne od tych z klasztoru w Tours z powodu czwartego ślubu, wydawały mu się bardziej odpowiednie. Jednak pomimo to zebrani zachęcani przez o. la Haye oddanego Marii, powzięli postanowienie zgodne z życzeniem pani de la Peltrie i zobowiązali ją do jak najszybszego udania się do Tours. Oczekując na możliwość uskuteczenia tej podróży, Magdalena de la Peltrie zapragnęła poddać wątpliwości ojca prowincjała pod osąd Marii od Wcielenia, aby jej roztropność zaradziła tym trudnościom. Matka odpowiedziała z istic francuską szczerością, właściwą temu stuleciu, że te trudności nie były tak wielkie, by miłość nie mogła ich łatwo pokonać. Uznała, że najpierw potrzeba by urszulanek z jakiegokolwiek klasztoru przybyły do Kanady ze swoim duchem i strojem zakonnym, a gdy już będą na miejscu przeznaczenia, wtedy postarają się o Unię, stosownie do warunków kraju, których we Francji przewidzieć nie można. „Zresztą - dodaje w innym liście - trudno nam się zgodzić ze zdaniem wielbnych ojców, gdyż nasza Matka uważa i ja także, że nasze przepisy są równie dobre jak paryskie”. Pani de la Peltrie, przekonana tymi słusznymi argumentami, spędziła jeszcze kilka tygodni w stolicy na przygotowaniach do podróży, a wszystko jej sprzyjało. O. Karol Lallemant, który już odbył kilkakrotną podróż do Québec i miał tam jeszcze powrócić, służył

jej radami i w jej imieniu zajął się wynajęciem statku przeznaczonego dla niej i dla urszulanek. Wydatnie pomagał jej równie p. de Silery – Noël Brûlart de Sillery, generał zakonu maltańskiego, poprzednio ambasador i minister stanu za panowania Marii Medycejskiej. Wstąpił on do stanu duchownego w roku 1634, pragnąc swe dobra i swoje życie poświęcić szlachetnym делам. Jako członek towarzystwa Nowej Francji, obdarzał hojnie misje kanadyjskie, chętnie więc poparł prośbę posłaną do arcybiskupa z Tours celem pozyskania urszulanek z jego diecezji.

Maria od Wcielenia opowiada: „Dnia 23 stycznia 1639 roku, w dniu uroczystości Zaślubin Najświętszej Maryi Panny ze św. Józefem, otrzymałyśmy wiadomość, że nasze sprawy stoją dobrze w Paryżu. Nasza Przewielebna Matka oznajmiła wspólnocie całą tajemnicę w chwili, gdy siostry były zebrane w pustelni św. Józefa, aby modlić się z racji uroczystości Najświętszej Panny. Umyślnie nie byłam tam obecna. Wszystkie siostry były tak zdumione, że ledwo mogły uwie-



rzyć, bowiem nigdy nie przypuszczały, by mogła się stać rzecz tak niezwykła, by w naszym domu znajdowała się siostra zaszczycona podobnym Bożym wybraniem. Błogosławiły też Boga, wysławiały Go i dziękowały Mu”. Zdziwienie sióstr w tym, co dotyczyło Marii, nie było tak wielkie, jak ona sądziła; pomimo, że jej życie było proste na pozór i niczym się nie wyróżniało, przeczuwano, iż Bóg wyprowadzi kiedyś tę wielką duszę z ich klasztoru dla jakiegoś wielkiego dzieła ku Swojej chwale.

Wreszcie w lutym pani de la Peltrie wyruszyła do Tours w towarzystwie Jana de Bernières. Prócz życzliwości dla fundacji, kierowało nim także pragnienie porozmawiania o rzeczach Bożych z Marią od Wcielenia. Jego biograf pisze, że szukał on tak chętnie towarzystwa osób o bogatym życiu wewnętrznym, że podejmował nieraz długie podróże w tym jedynie celu, by znaleźć dusze święte i móc z nimi pomówić.

Maria relacjonuje: „Pewnego dnia kiedy miałyśmy otrzymać wiadomość o jego przybyciu, będąc wśród pensjonarek, którymi się wówczas zajmowałam, czułam się przynaglona porzucić wszystko, by iść do pustelni św. Józefa, aby podziękować temu świętemu patriarsze za łaskę, którą mi wyjednał. Nie usłuchałam początkowo tego natchnienia, gdyż sądziłam, iż nie będzie właściwym przechodzić przez ogród, w którym się znajdowali robotnicy. Wreszcie nie mogąc się oprzeć temu serdecznemu przynagleniu, wzięłam dwie pensjonarki i poszłam podziękować temu wielkiemu świętemu, a uczyniłam to z wyjątkową gorliwością ducha tak, iż potem wydało mi się, że jestem u celu swych pragnień. W godzinę później m. Urszula od św. Katarzyny przyszła do mnie wołając: »Ach moja droga Matko, ile Bóg wyświadcza Ci łask! Oto ta dobra pani przybywa do ciebie!« Droga Matka była tak wzruszona, iż ledwo mogła mówić, bo i ona żywiła gorące pragnienie udania się do Kanady, a mimo dotychczasowych zapowiedzi nie mogła uwierzyć, by kiedykolwiek stało się ono rzeczywistością. Co do mnie, wierzyłam w to, a Bóg w dobroci swojej, jak dobry Ojciec i Przyjaciół, dawał mi tego dowody. Bóg wierny był w swoich obietnicach i

powoli wypełniał swoje zamiary. Gdy tylko otrzymałam tę wiadomość, nie wątpiłam już, że moje natchnienie i przynaglenie do dziękczynienia św. Józefowi, pod którego wezwaniem miało być z czasem wzniesione seminarium, było prawdziwe”.

Dowiedziawszy się o zbliżającej się chwili wyjazdu, Maria od Wcielenia nie spieszyła się zbyt, gdyż od dawna była gotowa, ale zatopiła się w Bogu i trwając w oczekiwaniu uniazała się przed Nim w poczuciu swej niegodności. Pisała wtedy do o. Rajmunda: „Mój Wielebny Ojcie, brak mi słów do wysławiania miłosierdzia Bożego względem mnie, niegodnego stworzenia. Mówią mi zupełnie poważnie, iż trzeba jechać. Czy nie zdumiewa cię Ojciec ta wiadomość? Twierdzą, że za kilka dni trzeba być w Paryżu. Bardzo się cieszę, bo będę miała sposobność wypowiedzenia Ojcu tego, co czuję, choć bez tego wiesz o tym, ponieważ niedawno pisałam Waszej Wielebności w tej kwestii. Co do mnie, zapewniam Ojca, że tak jestem zdumiona tym, iż Bóg raczył wejrzeć na mnie, że to mi nieomal odejmuje mowę”.

Po przybyciu do Tours, 19 lutego, Magdalena de la Peltrie musiała najpierw zapewnić sobie opiekę i poparcie arcybiskupa d’Eschaux, którego jej mylnie przedstawiano jako dostojnika surowego i wymagającego. Ojciec Grandamy, rektor kolegium jezuickiego, pragnął jej to ułatwić i udał się do arcybiskupa, by mu przedstawić cel podróży pobożnej wdowy: „Jak to Wielebny Ojciec, przerwał Arcybiskup, czy to możliwe, by Bóg zażądał jednej z moich córek dla tak chwalebego zamiaru? Nie jestem godzien tej łaski, ale czy znajdzie się taka osoba, która będzie miała odwagę narazić się na podobne niebezpieczeństwa?” Gdy jednak ojciec zapewnił go o powołaniu Marii od Wcielenia do Kanady, dostojnik dodał: „Jeżeli tak jest, to zaprowadź tę panią do moich córek urszulanek i powiedz ode mnie przełożonej, by wprowadziła ją do klasztoru i przyjęła jak mnie samego. Daję jej m. Marię od Wcielenia i tę zakonnicę, która będzie miała odwagę jej towarzyszyć”. Po tak życzliwym przyjęciu pani de la Peltrie udała się już bez obawy do arcybiskupa.

Klaudiusz opowiada, że arcybiskup przyjął ją z niesłychaną uprzejmością i obiecał popierać jej przedsięwzięcie, jak tylko będzie mógł. Korzystając z udzielonego sobie przywileju, Magdalena de la Peltrie udała się natychmiast do klasztoru. Cała wspólnota wyszła na jej spotkanie do furty, po czym w kaplicy przy odgłosie dzwonów odśpiewano *Veni Creator*, a potem *Te Deum*. Maria wspomina: „Wydawało się, że pani fundatorka przynosi z sobą rajskie szczęście. Siostry ubiegały się o to, która pierwsza rzuci się do jej stóp, by ofiarować swą gotowość na dzielenie prac i znoju w dalekich krajach. Co do mnie, gdy ją ujrzałam, przypomniałam sobie tę panią, która mi była ukazaną, dostrzegłam na jej twarzy tę samą słodycz i prostotę. Poznałam, że to ona, chociaż jej strój był odmienny od tego, w którym ją wówczas widziałam. Czułam się z nią złączona sercem i duszą”.

Pani de la Peltrie miała w owym czasie trzydzieści sześć lat, była drobna i delikatna, ukrywała pod dziecięcą prostotą rzadką energię. Portret jej zachowany w Québec, wykonany jeszcze we Francji przed jej wyjazdem, dobrze oddaje jej rysy. Tchną one otwartością i przyjazną prostotą. Któż może wyśłowić radość tych dwu wybranych kobiet, gdy po uściskaniu się mogły sobie opowiedzieć nawzajem o doznanych łaskach Bożych. „To, co szczególnie skłaniało mnie

do wielbienia dróg Bożych - pisze dalej Maria od Wcielenia – to fakt, o którym się od niej dowiedziałam, że Bóg dał jej natchnienie co do Kanady w tym samym czasie, gdy mnie ją ukazał”.

Tymczasem w kaplicy urszulanek, w celu uproszenia światła Bożego co do wyboru drugiej siostry misjonarki, urządzono czterdziestogodzinne nabożeństwo. Przełożona była zarzucana prośbami swych córek. Każda chciała być wybrana. Wiedziano o tym, że nie podejmie się żadnej decyzji bez zasięgnięcia rady Jana de Bernières, gdyż pobożna fundatorka ze wszystkim się do niego zwracała. Jak opowiada Klaudiusz „siostry ubiegały się o rozmowę z panem de Bernières w rozmównicy, by mu przedstawić swe pragnienia i przechylić wybór na swoją stronę. Dawne nowicjuszki Marii, m.in. Siostra od Narodzenia Pańskiego, sądziły, że mają szansę być wybrane.

Jedynie pewna młodziutka zakonnica zachowała milczenie. Ze względu na swój wiek nie śmiała wyrazić prośby, tylko w sercu błagała Pana Jezusa i choć wszystko wydawało się temu przeczyć, nie mogła się oprzeć uczuciu nadziei. Była to Maria de la Troche od św. Bernarda, którą widzieliśmy jako prawie dziecko, dobijającą się do nowicjatu św. Urszuli. Liczyła obecnie dwadzieścia dwa lata i mimo wątłego zdrowia rokowała nadzieje, iż dzięki swoim cnotom stanie się podporą wspólnoty. Często rozmawiała o misjach kanadyjskich ze swą dobrą m. Marią od Wcielenia, nie myśląc jednak, by mogła kiedykolwiek oddać się pracy dla zbawienia dusz. Przypomniawszy to sobie czuwała, czekając na wynik obrad. Gdy Maria od Wcielenia, dowiedziała się o przyczynie jej niepokoju, dodała jej otuchy, potem zaś sama przedstawiła ją panu Janowi de Bernières, prosząc o wybadanie jej. Obdarowany specjalną łaską rozpoznawania duchów, odkrył w niej gruntowną cnotę, którą łaska rozwinęła w jej duszy. Uznał ją za znakomicie uzdolnioną do apostołstwa i obiecał poprzeć jej prośbę.

Tak upewniona poszła do swej przełożonej, jednak ta, daleka od tego zamiaru, poleciła jej zająć celę Marii od Wcielenia i zastąpić ją w urzędzie, który tamta opuszczała. Wśród tych przeciwności s. Maria od św. Bernarda nie traciła otuchy. Owszem, zwracając się do św. Józefa, patrona Kanady, ślubowała nosić jego imię na dowód wiecznej wdzięczności, jeśli będzie miała to szczęście wyjechać na misję. Tymczasem na drugi dzień rano znów rozpoczęły się narady. Siostry przedstawione poprzedniego dnia nie miały dostatecznej liczby głosów. Jedynie nasza młoda siostra miała, nawet w oczach przełożonej, odpowiednie warunki. Aby jednak mogła wyjechać, trzeba było pozwolenia jej rodziców mieszkających w Angers. Wysłano więc posłańca z listem. Państwo de la Troche przerazili się jego treścią i postanowili za wszelką cenę przeszkodzić wyjazdowi córki i w tym celu zamierzali udać się do Tours. Już konie były przygotowane, gdy niespodziewanie przybył pewien zakonnik – karmelita. Ten, gdy dowiedział się jak sprawy się mają, z taką siłą zaczął mówić o niebezpieczeństwie, na jakie się narażali, opierając się Woli Bożej, że stopniowo uspokoił się, a nawet wyrzekli pierwotnego zamiaru. Chcąc zaś zaoszczędzić odważnej córce trudnych chwil pożegnania, posłali jej wraz z pozdrowieniem upragnione błogosławieństwo.

Tak jawne dowody opieki Bożej przekonały wreszcie m. Franciszkę od św. Bernarda, która zgodziła się, by jej córka, obecnie Maria od św. Józefa, dołączyła do misji w Québec. Maria od Wcielenia opowiada: „Gdy wieść o wyborze rozeszła się we wspólnotcie, wszystkie siostry uwa-

żały ją za szczęśliwą i święcie jej zazdrościły. Niemniej jednak ubolewały nad niebezpieczeństwami, na jakie się narażała i ze łzami czyniły mi łagodne wymówki, że o nią poprosiłam”.

Trzy dni, które pani Magdalena de la Peltrie miała spędzić w Tours, upłynęły bardzo szybko. Maria pisze: „Przez cały ten czas Jezus pociągał mnie wewnątrz tak silnie, że z trudnością mogłam się temu oprzeć. Wszystko, co mnie miało spotkać w Kanadzie, ujrzałam bardzo wyraźnie, widziałam mnóstwo cierpień, bardzo bolesne wewnętrzne opuszczenie od Boga i od stworzeń. Zrozumiałam, że mam wejść w nieznane, ukryte życie i wydawało mi się, iż słyszę te słowa: »Idź, trzeba żebyś teraz służyła własnym kosztem, idź, by dawać mi dowody wierności, któreś mi winna przez współdziałanie z łaskami, jakie ci wyświadczyłem«. Nie umiem wypowiedzieć przerażenia, jakie wówczas mnie ogarnęło. Czułam się opuszczona, doświadczając już teraz tej okropnej samotności ducha, jaką później miałam znieść z Woli Bożej. To osamotnienie sprawiło, że tak dalece byłam jakby nieczułą, opuszczając nasz klasztor, siostry, rodzinę, przyjaciół, wreszcie całą Francję, że gdyby trzeba było udać się do Indii, Chin czy Turcji, pojechałabym tam bez wahania, gdyż mój duch był zjednoczony z Duchem Bożym, który łagodnie skłaniał mnie do wszystkiego. Nikt nie zauważył moich cierpień, tym bardziej, że z powodu przyspieszonego wyjazdu byłam zajęta wieloma interesami i pożegnaniem zarówno wewnątrz wspólnoty, jak i przy kracie. Siostra Marii od Wcielenia, Klaudia Buisson, wdowa od kilku lat, a opiekunka jej syna, bardzo się przejęła wiadomością o jej wyjeździe do Kanady. Klaudiusz wspomina: „Trudno mi opisać, ile wpływów poruszyła, by przeszkodzić mej matce w opuszczeniu Francji. Uciekała się do władzy kościelnej. Gdy zaś usiłowania jej spełzły na niczym, postanowiła wpłynąć na nią, odwołując się do jej najświętszych uczuć. Przypomniła jej więc obowiązki matki, o których ta zdawała się zapominać. Przedstawiała Marii, że syn podczas jej nieobecności zostanie opuszczony przez wszystkich, że ona sama pierwsza go opuści, a po jej wyjeździe nikt nie zechce o nim wiedzieć ani słyszeć”. Chłopiec był wówczas w Orleanie, w kolegium jezuitów, gdzie dzięki opłacie składanej przez ciotkę mógł uczęszczać na wydział filozoficzny. Myśl o przerwaniu nauk przez syna nie zachwiała odwagi Marii od Wcielenia. Była jej jednak bardzo przykłą, co Klaudia postanowiła wykorzystać.

Gdy więc wszystko w klasztorze przygotowano dla misjonarek, jej siostra przyszła do rozmównicy w towarzystwie notariusza. Ten miał w obecności Marii spisać akt odwołania posagu, zapewnionego niegdyś młodemu Klaudiuszowi jako dowód wdzięczności za usługi oddane przez Marię w ich przedsiębiorstwie. Cios był dobrze wymierzony. Biedna matka przewidziała wszystkie następstwa podobnego kroku; było to zniszczenie jedynej nadziei jej syna na świecie. Zwracając się wewnątrz do swego dobrego Mistrza, zapanowała jednak nad swoim wzruszeniem i odpowiedziała ze słodyczą, że opuszczając dziecko, by pójść za wezwaniem Ewangelii, powierza jego los Opatrzności a nie opiece ludzkiej. On zaś nigdy nie odwołuje swoich Boskich obietnic. Mówiła też, że nieraz już drżała na myśl o opuszczeniu go przez ludzi, lecz spodziewając się pomocy z Nieba, nie zawiodła się dotąd w swojej ufności, więc i nadal pozostanie jej wierna. Mimo to wspomniany akt został jednak spisany, Maria od Wcielenia wypila ten kielich goryczy, lecz nie zachowała żadnego żalu do siostry, która kierowała się w tej chwili źle zrozumianym przywiązaniem do niej.

Rankiem dnia 22 lutego arcybiskup Tours d'Eschaux przysłał swoją karetę do klasztoru po obie siostry misjonarki, by przybyły do jego pałacu po błogosławieństwo i pozwolenie na wyjazd. Matka Franciszka od św. Bernarda towarzyszyła im wraz z inną zakonnicą. Razem z nimi udali się również Jan de Bernières i pani de la Peltrie. Dostojnik ten, osiemdziesięcioletni starzec, przed siedemnastoma laty powołał urszulanki do Tours. Jakaż to była dla niego pociecha, gdy widział, że spośród wszystkich zakonów, jakie ze wszystkich stron Francji ubiegały się o oddanie zakonnic do Kanady, Bóg wybrał urszulanki z jego biskupiej stolicy. Toteż przyjął je po ojcowsku, a ponieważ z powodu słabnącego zdrowia nie mógł odprawić Mszy św. w swej kaplicy, więc wysłuchał jej wraz z nimi i przyjął Komunię św. Po zapoznaniu się ze wszystkim, co dotyczyło materialnych potrzeb fundacji, udzielił misjonarkom pozwolenia na wyjazd, po czym zwracając się do pana de Bernières i do pani de la Peltrie, rzekł w proroczym natchnieniu: „Oto dwa kamienie węgielne gmachu, który chcecie wznieść naszemu Panu w Nowym Świecie. W tym celu je wam oddaję. Niech staną się fundamentem. Niech ten gmach będzie zawsze miejscem bardziej obfitującym w pokój, łaski, błogosławieństwo aniżeli świątynia Salomona. Niechaj go nie przemogą wysiłki piekła, jak nie zdołają przemóc Kościoła Piotrowego. A ponieważ dla Boga wznosicie ten święty gmach, niech Bóg mieszka tam zawsze jako Ojciec i Oblubieniec nie tylko tych zakonnic, które wam daję, ale jeszcze tych, które im będą towarzyszyć i z nimi żyć aż do końca wieków”.

Ojciec Klaudiusz twierdził, że te słowa biskupa były jakby testamentem czcigodnego starca. Należy dodać, że ten testament, potwierdzony przez Opatrzność od dwóch z górą wieków, pozostaje dla urszulanek w Québec wspartym świadectwem opieki Bożej nad nimi. Poruszony natchnieniem, arcybiskup wyraził życzenie, by siostry zaśpiewały w jego obecności psalm wyzwolenia z Egiptu: *In exitu Israel*, a potem pieśń dziękczynną *Magnificat*. Maria wspomina: „Zrobiłyśmy to z łatwością, gdyż zakonnica towarzysząca przełożonej miała najpiękniejszy głos z całego klasztoru”. Po powrocie do klasztoru podróżniczki rozpoczęły pożegnanie z siostrami, przy czym nie obeszło się bez łez. Każda z nich pragnęła oddać jakiś drobiazg dla dzikich dziewczyn, ale o wiele chętniej każda byłaby siebie oddała im w darze. Nie zapomniano i o pensjonarkach. Od trzech lat Maria od Wcielenia poświęcała się dla nich i dzieliła swym doświadczeniem. Klaudiusz Martin opowiada: „tak sobie zyskała ich serca, że dzieci nie mogły długo pocieszyć się po jej wyjeździe”. Sama Maria od Wcielenia wyniosła ze swego klasztoru w Tours, w którym znalazła schronienie przez osiem lat, głębokie i słodkie wspomnienia. W pierwszym liście do wspólnoty Maria pisała: „Dzięki Bogu, że mi pozwolił napawać się tak doskonałym duchem, jaki panuje między siostrami. Z pewnością trwać będzie długo i udzielać się innym. Dobroć Boża buduje tam na dobrym gruncie. Nigdy nie zapomnę, co tam widziałam w okresie pierwszego kształtowania się tych dusz, które teraz uświęcają ten klasztor swą cnotą i wiernością regule”²⁸.

Wreszcie trzeba już było przestąpić próg klasztoru. J.E. d'Euschaux zdecydował, że przełożona wraz z socjuszka mają towarzyszyć siostrze misjonarkom aż do Ambloise, pod pozo-

²⁸ Klasztor w Tours został zlikwidowany w czasie Rewolucji Francuskiej. Po Rewolucji urszulanki nie odrodziły się w Tours. Klasztor był używany, jako małe seminarium. W ogrodzie znajduje się ermitaż św. Józefa, o którym często jest mowa w pismach Marii od Wcielenia.

rem załatwienia jednego interesu u tamtejszych urszulanek. W istocie jednak pragnął im zapewnić ostatnią pociechę. P. de Bernières, którego Maria od Wcielenia lubi nazywać *Aniołem Rafałem*, przyłączył się do grupy wraz z panią de la Peltrie. Ona to przywiodła niespodziewaną pomoc. W przeddzień tego dnia młoda wychowanka pani de la Peltrie, która jej nigdy odtąd nie opuszczała i przyrzekła towarzyszyć do Kanady, w ostatniej chwili wymówiła się. Ogromnie zmartwiona tym odstępstwem, odważna fundatorka napotkała przypadkowo na towarzyszkę godną siebie, pannę Karolinę Barré z Tours. Tę dziewiętnastoletnią pannę dawno już pociągał Pan Jezus do poświęcenia się dla sprawy zbawienia niewiernych w Nowej Francji. To też skorzystała ze sprzyjającej okoliczności. Maria wspomina: „Przyjęłyśmy tę dziewczynę jako podarunek pański. Miała ona nam towarzyszyć w podróży i wziąć udział w ofierze, którą miałyśmy zamiar złożyć jego Boskiemu Majestatowi z samych siebie”.

Podczas krótkiej podróży z Tours do Ambloise m. Franciszka nie szczędziła oznak czułości swym drogim córkom. „Gdy już wreszcie miałyśmy się rozłączyć, pisze Maria od Wcielenia, nasza matka bardzo cierpiała z tego powodu. Nie dziwiłam się temu, gdyż byłam przeświadczona że darzy nas uczuciem. Młoda s. Maria od św. Józefa okazała w tej okoliczności to, czego się można było spodziewać po jej heroicznym usposobieniu. Nie uroniła ani jednej łzy, choć serce jej pękało opuszczając tę matkę, która ją wychowała od najmłodszych lat”.

Nasi podróżni przybyli do Orleanu. Maria od Wcielenia nie miała wcale zamiaru odwiedzić swego syna, obawiając się nowych wzruszeń zarówno z jego jak i ze swojej strony. Nie uprzedziła go nawet o swym wyjeździe, jednakże troskliwość krewnych pokrzyżowała jej plany. Młody człowiek został powiadomiony o wszystkim przez swoją ciotkę i oto pierwszą osobę, jaką ujrzała po przybyciu do Orleanu, był syn. Zaznaczył on najpierw swoje zdziwienie, że widzi zakonnicę poza klasztorem i prosił, by mu powiedziała, dokąd jedzie. „Jadę na razie do Paryża, mój drogi synu, odpowiedziała”. „Czy pojedziesz dalej moja matko, dopytywał niespokojnie Klaudiusz. Może do Normandii?...” nie śmiała dokończyć. Łzy były dowodem, iż nie ma co ukrywać. Ciotka nie tylko powiadomiła go o zamierzonej podróży, ale jeszcze przysłała mu akt notarialny, o którym mówiliśmy. „O ileż podstępów używa szatan - wołała matka na widok tego papieru - by tylko przeszkodzić zamiarom Bożym”. Potem zwracając się do syna i ogarniając go wzrokiem pełnym czułości rzekła: „Mój drogi synu! Osiem lat temu opuściłam cię, aby się oddać Bogu, czy brakowało ci czegoś od tego czasu?” „Nie, matko”, odpowiedział. „A więc niech doświadczenie z przeszłości będzie ci pobudką do ufności na przyszłość. Gdy Cię opuszczałam z miłości dla Boga, prosiłam Go, aby zechciał być Twoim Ojcem i widzisz, że nim był ponad wszelkie nasze przewidywania, dając Ci nie tylko to, co Ci jest potrzebne, lecz okazał się względem Ciebie tak bardzo hojnym. Otrzymałeś wychowanie i wykształcenie o wiele wyższe niż wymagał tego twój stan. Zawsze tak będzie, gdyż Bóg jest twoim Ojcem, więc na niczym nie będzie Ci zbywać ... Co do mnie, mój synu, wyjeżdżam do Kanady, to prawda, że opuszczam cię po raz drugi, również na rozkaz Boży. Nie mógł mnie spotkać większy zaszczyt jak wybór do spełnienia tak wzniosłego celu. Jeżeli mnie kochasz, będziesz się cieszył razem ze mną i w ten sposób weźmiesz udział w tym zaszczycie”. Ten macierzyński głos, któremu zawsze był posłuszny, wrócił pokój jego młodemu sercu. Klaudiusz zrozumiał, że mając tak świętą matkę jako orędowniczkę

przed Bożą Opatrznością, nie powinien się obawiać niełaski ludzi, gdyż nie może ona mu zaszkodzić. Ponieważ rodzina go opuszczała, natychmiast zdecydował, że sam będzie się starał o swoje potrzeby i znajdzie sposób, by nie być ciężarem dla nikogo.

Podróżni przejeżdżali tylko przez Orlean, więc trzeba było pośpieszyć się z pożegnaniem. Towarzyszek Marii od Wcielenia, jak również pan de Bernières uszanowali to ostatnie pożegnanie matki i syna. Klaudiusz wyznaje: „W tej chwili złożyłem ofiarę Bogu z mojej matki, gdyż podczas pierwszego rozłączenia tak mało jeszcze rozumiałem, że nie wiedziałem, czy to jest dobrem czy nieszczęściem, gdy ją traćłem”. Maria łączyła łzy syna ze swym własnym cierpieniem i składała je w jednej ofierze. Jakiś czas przed tym Pan objawił jej jakby w widzeniu, że rodzący się tworzyły Kościół kanadyjski złożony był z osób ukrzyżowanych, także ona sama była między nimi, toteż nie skarżyła się, lecz zbierała po drodze pierwsze owoce swej ofiary.

Dnia 26 lutego przybyli do Paryża. Sprawy pani de la Peltrie miały tam zatrzymać naszych podróżnych przez kilka dni. Jeszcze tego samego dnia Maria od Wcielenia przesłała swej przełożonej kilka szczegółów z dalszej podróży. „Moja droga, Wielebna Matko, otóż z łaski naszego Pana jesteśmy w Paryżu. Czujemy się bardzo dobrze. Dom pana de Moules (Pan Moules miał wówczas córkę urszulankę w Tours), kamerdynera królewskiego, został nam otwarty z wielką gościnnością. Pan de Bernières będzie także tam mieszkał i tak dla niego jak i dla nas umeblują pokoje. Pani Poncet²⁹ przybyła z daleka i zmusiła nas, abyśmy resztę drogi odbyły w jej karecie. Pan de la Haye zaledwie dowiedział się o naszym przybyciu, odwiedził nas, wyrażając swą radość z bliskiego urzeczywistnienia naszych pragnień. Gdy spojrzał na s. Marię od św. Józefa, od razu uznał ją za odpowiednią do Kanady i powiedział, że wybór jest natchniony od Boga. Jutro będzie narada co do naszych spraw, o wszystkim napiszę Przewielebnej Matce”.



„Tutejsze urszulanki ofiarują nam swój dom, lecz sądzę, że im podziękujemy za gościnę, bo pani de la Peltrie chce być swobodna, a pragnie, byśmy się od niej nie odłączały. Utrzymujemy nasze przybycie w tajemnicy i urządzamy się tak, by nasz zamiar był znany tylko tym, którzy mu mogą sprzyjać, gdyż przewiduję, że obarczone byłybyśmy odwiedzinami, gdyby się dowiedzieli ci i owi”.

Następnie opowiada o swych pełnych oddania przewodnikach podróży. „Pan de Bernières zachorował, co nieco opóźni nasz wyjazd; bardzo wiele czynił dla nas, nie umiem wyrazić jak się stara o nasze sprawy. Podczas podróży zachowywał nasze reguły tak, że czułyśmy się w karecie, i w zajeździe jak w klasztorze.

Wydaje mi się, że dopiero co wyjechałam z Tours, tak regularnie i spokojnie upłynął czas. Cóż

²⁹ Zapewne matka ojca Poncet, jezuita, który miał jechać do Kanady z Urszulankami.

mam powiedzieć o pani de la Peltrie? Prawdziwie mnie zawstydzą swą dobrocią. Jest jak najlepsza matka i nie żałuje żadnych kosztów dla nas. Obawiam się nawet, że w tym przesadza, więc proszę Przewielebną Matkę, by napisała do niej i zgała ją za to. Przyjaźń Drogiej Matki dla niej pozwala na to, a wzajemnie jej życzliwość do Matki sprawi, iż chętnie przyjmie kilka słów prawdy”.

Nie sposób było urszulankom i pani de la Peltrie zupełnie uniknąć tego rozgłosu, którego się Maria obawiała. Ich historia krążyła z ust do ust, a następstwem tego były odwiedziny najznakomitszych osobistości Paryża. W ten sposób Opatrzność zapewniała klasztorowi przyjaciół i dobroczyńców. Królowa Anna Austriaczka poleciła im przyjść do Luvru. Pochwaliła ich zamiar, obiecała pomoc i życzyła sobie, by przed odejściem złożyły hołd następcy tronu. Ten mały zaledwie sześciomiesięczny książę to późniejszy Ludwik XIV. Wspominając później o królewskim dziecku, urszulanki wzruszyły niejedno serce wśród ludności kanadyjskiej, bądź co bądź szczerze francuskiej.

Bardzo interesująca dla czytelnika może być korespondencja Marii od Wcielenia, w której opisuje szereg wydarzeń z czasów pobytu w Paryżu. Píše: „Aż do uroczystości św. Józefa przebywałyśmy w domu pana de Moules, potem przeniosłyśmy się do urszulanek na przedmieście św. Jakuba. Tam dopiero poczułyśmy się w swoim żywiole, bowiem bardzo jest przykrym dla zakonnic pozostawać poza klasztorem. Użyłyśmy wszelkich starań, by pozyskać jedną z sióstr tego świętego domu. Ku wielkiemu zadowoleniu osób zainteresowanych powodzeniem naszej misji zaproponowano nam matkę od św. Hieronima. Ale wkrótce potem J.E. arcybiskup Paryża zmienił zdanie i cofnął pozwolenie udzielone tej siostrze. Maria od Wcielenia wraz z przełożoną swymi usiłowały zmieknąć serce dostojnika. Napisała ona do księżnej d’Aiguillon, siostrzenicy kardynała Richelieu, prosząc, by ta wpływowa pani za wstawiennictwem swego wuja uzyskała upragnione pozwolenie. Lecz wszystko było daremne. „Królowa dała znać, że chce nas jeszcze widzieć, dlatego też pani hrabina de Brienne zawiozła nas do Saint-Germain en Laye, gdzie znajdował się dwór. Królowa spojrzała na nas z wielką miłością, wyraziła wielką radość z powodu podróży do Kanady i budowała się ofiarnością pani de la Peltrie, która nie tylko swój majątek lecz i samą siebie poświęciła temu dziełu. Chciała wiedzieć, w jaki sposób zamiar nasz doszedł do skutku. Opowiedziałyśmy jej wszystko, a kiedy zaczęłyśmy opowiadać o J.E. arcybiskupie Paryża, błagałyśmy Jej Wysokość, by wymogła na tym dostojniku pozwolenie na wyjazd dobrej matki od św. Hieronima. Obiecała się tym zająć, lecz bez skutku, gdyż jak później dowiedziałyśmy się, arcybiskup, aby uniknąć prośb, ukrył się tak, że go nie można było znaleźć”.

Maria od Wcielenia pozostawała ze swoją młodą towarzyszką w klasztorze na przedmieściu św. Jakuba. Był to wówczas najważniejszy dom całego zakonu i posiadał wybitne zakonnice. Pobyt Marii od Wcielenia pozostawił tam głębokie wrażenie, podziwiano w niej prócz cnót zakonnych wiele zalet kobiety zdolnej do wielkich rzeczy. Szczególną uwagę zwracała jej bezinteresowność i szeroki pogląd na sprawy zakonne. Przełożona lubiła rozmawiać z nią na ten temat, zwłaszcza o zjednoczeniu poszczególnych urszulańskich kongregacji, czego obie gorąco pragnęły. Przy tym pierwszym wyjeździe na misje paryska wspólnota musiała wyrzec się chęci oddania

którejs z sióstr, lecz za to później pozostała jedną z najbardziej oddanych siostrom w Québec. Z kolei urszulanki z Pontoise, jak również z Rouen i Dieppe, ubiegały się o zaszczyt powiększenia wspólnoty misjonarek. Píše w tym Maria od Wcielenia: „Bóg sam wie, czy chce nam dać trzecią towarzyszkę, czy też mamy same jechać. Dowiemy się o tym wkrótce, gdyż On sam jest naszą ucieczką i sam oznajmia nam swoją Wolę”.

Wkrótce przed opuszczeniem stolicy list Klaudiusza Martin ucieszył niezmiernie jego matkę. Młody człowiek dobiegał już dwudziestego roku życia, a łaska zaczynała na niego oddziaływać. Wyrażał więc w liście życzenie wstąpienia do Towarzystwa Jezusowego, by tam oddać się pracy nad zbawieniem dusz. Żadne wyznanie nie mogło sprawić Marii więcej radości. Prowincjał był wówczas w Paryżu, uważała więc, że najlepiej będzie wezwać do siebie syna, by mógł być przyjęty do nowicjatu. Rzeczywiście Klaudiusz przybył. Jednakże sprawy nie ułożyły się tak pomyślnie, jak sądziła Maria. Opuszczała Francję z niepewnością i nadzieją urzeczywistnienia się pragnień jej syna. Nic jednak nie pisze w swoich wspomnieniach o tym ostatnim pożegnaniu, lecz dwadzieścia pięć lat później w poufnym zwierzeniu wyznała swemu synowi, że przy wyjeździe z Francji, gdy zostawiła go samego, zdawało się, że kości wychodziły jej ze stawów, tak boleśnie przeżywała rozstania się z nim.

Wreszcie pani de la Peltrie mogła podpisać wraz ze swymi towarzyszkami kontrakt w sprawie fundacji, lecz z powodu podstępnych knowań swych krewnych musiała wbrew swej woli zmniejszyć przeznaczoną sumę. Zapisała jednak urszulankom w Québec majątek Haranvilliers, pod Alençon, a pan de Bernières chętnie podjął się pobierania dochodów i bycia administratorem mienia przyszłej wspólnoty. Teraz pozostała podróż do Dieppe, skąd w pierwszych dniach wiosny miał wyruszyć wynajęty przez fundatorkę statek. O. Karol Lalement zajął się wysłaniem bagaży i zapasów. Dieppe, skąd wyruszyli pierwsi odkrywcy Nowej Francji jeszcze przed Jakubem Cartier, pozostało jednym z głównych ognisk wszelkich spraw kanadyjskich. Nasi podróżni przybyli tam na początku kwietnia. Tamtejsze urszulanki, uradowane możliwością goszczenia ich pod swoim dachem, ofiarowały na usługi nowej fundacji wzorową matkę Cecylię od Krzyża. Przyjęto ją z wielką wdzięcznością, tym bardziej, że Maria od Wcielenia przeżywała wówczas chwile pełne niepokoju z powodu swej młodszej towarzyszki. Państwo de la Troche zaniepokoiili się o swoją córkę, słysząc o Kanadzie jako o kraju dzikim, pełnym niebezpieczeństw grożących młodym misjonarkom. Wysłali więc rozkaz do s. Marii od św. Józefa, by natychmiast powróciła do swego klasztoru w Tours. Ona jednak wcale się tym rozkazem nie przeraziła. Napisała zaraz do swych rodziców, zapewniając ich, że jej jak również innym osobom nic nie grozi. Pomimo to rodzice nie przestali domagać się jej powrotu, dopóki nie zdecydowali się złożyć rozstrzygnięcia tej sprawy w ręce ojca Rajmunda, który specjalnie w tym celu przybył do Dieppe. Było to wprost opatrnościowe, gdyż nie tylko przywrócił im zupełny spokój, ale obie urszulanki z Tours miały te pociechy, że po raz ostatni na tym świecie ujrzały tego godnego zakonnika, któremu obie wiele zawdzięczały, i otrzymały jego błogosławieństwo na dalszą drogę. Wszystko już teraz było gotowe.

Maria od Wcielenia pisała dnia 18 kwietnia do swej przełożonej: „Moja Droga Matko!, już na dobre muszę się pożegnać, by iść tam, gdzie nasz Oblubieniec nas wzywa przez nieskończone swe Miłosierdzie. Dziś nasz statek zawija do przystani, po jego przybyciu będziemy już tylko oczekiwały pogody, by bezpiecznie do niego wsiąść. Domyślasz się zapewne, że te chwile są zbyt długie dla duszy pragnącej oddać życie Umiłowanemu. Jakże potężny jest Pan naszych serc. Gdybyś widziała Jego działanie w naszej kanadyjskiej gromadce, sławiłabyś po tysiącokroć Jego dobroć. Pani de la Ville-aux-Clercs obdarzyła nasz przyszły klasztor „tabernakulum”, cenną sukienką na puszkę i wielką liczbą haftowanych w kwiaty ozdób do kaplicy. Jest to nasza pierwsza dobrodziejka po Tobie. Ty jednak jesteś niezrównana, bo prócz innych dobrodziejstw dałaś nam nas samych, dlatego też będziesz zawsze moją jedyną matką, ja zaś będę twoją bardzo przywiązaną córką w Jezusie Chrystusie”.

Towarzystwo „Stu Stowarzyszonych” przez delikatność zarezerwowało dla pani de la Peltrie i jej towarzyszek statek admirański pod nazwą „św. Józef”. Był on bowiem bezpieczniejszy niż mały statek, na który załadowano ich dobytek. Do trzech urszulanek miały się dołączyć trzy siostry szpitalne, które pod protektorem księżnej d’Aiguillon miały założyć w Québec przytułek dla ubogich chorych. Tak więc pierwsze zakonnice wysłane do Nowej Francji miały urzeczywistnić cały program miłosierdzia chrześcijańskiego. Prócz tego ta sama flota unosiła ku brzegom św. Wawrzyńca pięciu ojców jezuitów, których rozmieszczono na kilku statkach. Ojciec Vimont mianowany przełożonym misji w Québec zgłosił się na statek św. Józefa.

Maria opowiada: „4 maja wyjechałyśmy z klasztoru urszulanek z Dieppe, by wysłuchać Mszy św. w głównym szpitalu i zabrać siostry szpitalne. Wśród tych podróży i przejazdów, od chwili wyjazdu z Tours, duch mój i serce były gdzie indziej niż ciało. Nie mogłam się doczekać chwili rzeczywistego narażenia życia dla Boga, by dać Mu ten drobny dowód mojej miłości w zamian za Jego wielkie Miłosierdzie nade mną, słabym stworzeniem. Widziałam, że życie moje jest niczym, lecz nicość ta do niczego więcej nie była zdolna prócz miłowania bez granic mej Jedynej Miłości i wyniszczenia się dla Niej. W uniesieniu ducha upadłam przed Najświętszym Sakramentem i pozostawałam tak jakiś czas, wielbiąc Boży Majestat i oddając Mu się na wieczną ofiarę. Gdy tak byłam zatopiona w Bogu, pani gubernatorowa z Dieppe przybyła, by nas odwieźć do portu swoją karocą. Ze wszystkich stron otaczali nas ludzie, jednak mój duch tak był zajęty Bogiem, że tylko z trudem mogłam się oderwać od zjednoczenia z naszym uwielbionym Oblubieńcem. Nikt nie mógłby tego nawet przypuścić, gdyż zajmowałam się sprawami wyjazdu z wielką swobodą. Wsiadając na szalupę, wydawało mi się, że wchodzę do raju... W duszy wyśpiewywałam hymn wdzięczności na cześć tak dobrego Boga, który mnie prowadzi z tak wielką miłością do upragnionego celu. Wreszcie podniesiono kotwicę, rozpięto żagle i wiatr nas uniósł. Tak opuściłam Francję z zamiarem nie powrócenia do niej już nigdy i poświęcenia życia na usługi dzikich narodów, by je przyciągnąć i poddać prawdziwemu Królowi i memu Boskiemu Oblubieńcowi”.

Pan de Bernières towarzyszył misyjnej grupie, był dla niej aniołem stróżem i chętnie towarzyszyłby jej aż do Kanady. Wrażenie, jakie sprawiło na nim przebywanie w towarzystwie

Marii od Wcielenia, zapisał w swoim pamiętniku, który przytacza o. Klaudiusz Martin: „Widywałem często urszulanki, powołane do misji w Québec. Rozmowa z nimi bardzo mnie budowała, zwłaszcza z Marią od Wcielenia. Przypominam sobie, z jaką wymową opowiadała ta matka o doskonałości życia apostołskiego i przytaczała bardzo często cudowne zdania wyjęte z Pisma św. na poparcie swych słów. Jest to dusza gruntownie cnotliwa, głęboko pokorna i płomienna w miłości Bożej, toteż zawsze złączona jest z Bogiem”. To świadectwo można by zestawzić ze zdaniem pewnego kapłana bardzo oświeconego w rzeczach duchowych, który znał nieco wewnętrzne usposobienie Marii od Wcielenia: „Francja nie podejrzewa nawet straty, jaką ponosi tracąc ją. Gdyby wiedziano jak wielka jest jej świętość i jak potężna jest jej modlitwa przed Bogiem, nie byłoby nikogo, kto by nie opierał się jej wyjazdowi i nie czynił wszystkiego, co byłoby w jego mocy w celu zatrzymania jej w granicach ojczyzny”.

W owych czasach trzeba było dwóch do trzech miesięcy, by przebyć przestrzeń z portów normandzkich do Québec. W dwa tygodnie po wyjeździe statek *św. Józef* dopłynął zaledwie do oceanu. Towarzyszący mu rybacy przywieźli listy podróżnych. Maria pisała do swej przełożonej: „Wyływamy z La Manch i dzięki Jezusowi doskonale się czujemy, chociaż obawialiśmy się, iż będziemy pojmane przez Hiszpanów i Dunkierczyków. Kilka dni temu ich flota, złożona może z dwudziestu statków, ukazała się na naszej drodze, lecz nasz kapitan, chcąc uniknąć spotkania przezornie skręcił ku Anglii. Od chwili wyjazdu co dzień przygotowujemy się na śmierć z powodu nieprzyjaciół jak i burz morskich. Jednak nasze serca nie zważają na niepokój żywiołów, gdyż Ten, którego Opatrzności się oddajemy, sprawia, że zapominamy o sobie i o wszystkim. Wszyscy ulegliśmy morskiej chorobie, ale to nic, obecnie czujemy się tak dobrze jak w klasztorze. Trudno o większy porządek, jak wśród załogi naszego statku, szczegóły o tym odkładam do listu, jaki napiszę z Québec. Nie mam też słów na określenie uprzejmości względem nas ojca Vimont. Najtroskliwsza matka nie opiekowałaby się tak nami, jak on to czyni, zarówno pod względem fizycznym, jak i duchowym. Pan Bontemps, nasz kapitan, jest pełen dobroci, daje nam wszystko, co najwygodniejsze, a czyni to tak uprzejmie, jakby tylko dla nas tę podróż przedsięwziął... Proszę, droga Matko, o powiadomienie o nas wszystkich naszych przyjaciół. Żegnaj, żegnaj, żegnaj! dnia 20 maja 1639 r. ze statku admirałskiego *Święty Józef* na morzu”.

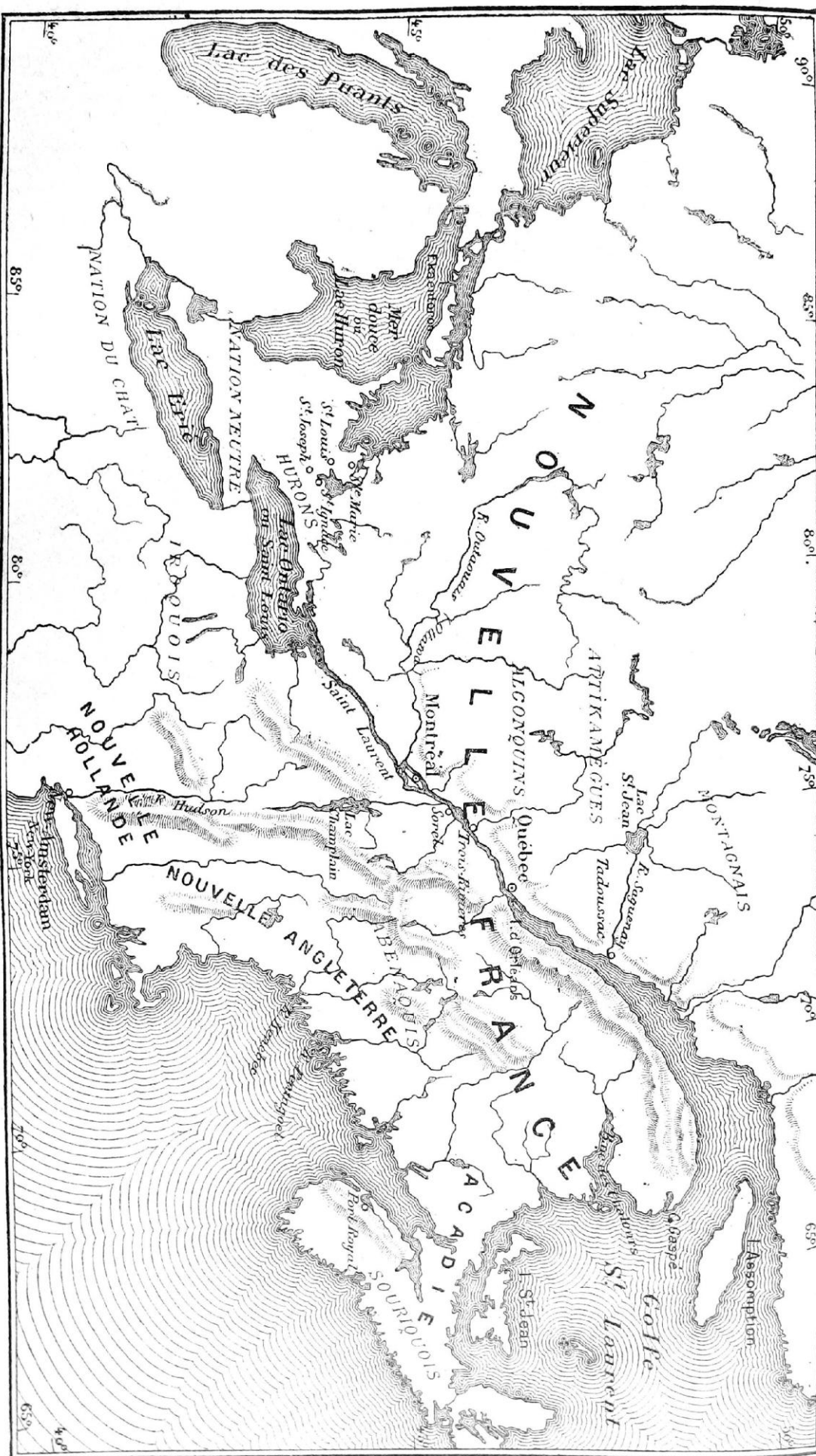
Maria napisała w swoich wspomnieniach: „Podczas całej podróży zachowywałyśmy ściśle Regułę św., gdyż miałyśmy wygodną kajutę. Mogłyśmy więc chóralnie odmawiać oficjum, podzieliwszy się na dwa chóry z siostrami szpitalnymi, tam też spałyśmy, przyjmowałyśmy posiłki, jedenaście osób doskonale tam się mieściło. Miałam też małe umartwienie, bo słodka woda zepsuła się, a ponieważ mój organizm nie znosi mocnych napoi, więc wydawało mi się, że umrę z pragnienia. Prawie wcale nie spałam podczas całej tej podróży, a bezsenności towarzyszył bardzo gwałtowny ból głowy. Mimo to duch mój i serce były zupełnie spokojne i trwały w zjednoczeniu z moim Najwyższym i Jedynym Dobrem. Miałyśmy też szczęście codziennie słuchać Mszy św. i przystępować do Komunii św. z wyjątkiem jedenastu dni, w których szalejąca burza z taką gwałtownością wstrząsała statkiem, że nie można było się utrzymać na nogach”.

Wielka burza zepchnęła nasz statek z obranej drogi i skierowała ku północy, gdzie o mało co nie został zgnieciony przez olbrzymią górę lodową, której z powodu gęstej mgły nie zauważono. Podróżni przeczuwali nieuniknioną zgubę. Pani de la Peltrie tuliła się do Marii od Wcielenia, aby umrzeć razem z nią. O. Vimont dał ogólną absolicję. Maria opowiada: „W owej chwili przypomniałam sobie wszystkie łaski wyświadczone mi przez Pana Jezusa na rzecz Kanady. Jego rozkaz, obietnice i Jego dalsze czuwanie nad nami. Chciałam zawsze spełnienia Jego Woli, a jak wszystko wtedy wskazywało, miała się wypełnić przez naszą śmierć. Nie widząc po ludzku wyjścia z tej sytuacji, ojciec przełożony złożył w imieniu wszystkich ślub Matce Najświętszej, a s. Maria od świętego Józefa rozpoczęła litanię do Matki Bolesnej, wszyscy głośno odpowiadaliśmy. Wtedy właśnie sternik przez nieuwagę zwrócił ster w inną stronę niż miał rozkaz... i to właśnie uratowało nas i nasz statek od tej okropnej góry lodowej. Wszyscy uznali ten fakt za cudowny”.

Po upływie prawie dwóch miesięcy żeglugi, przedłużonej o 700 mil z powodu niepomyślnych wiatrów, na dalekim horyzoncie ukazały się brzegi Ameryki. Maria od Wcielenia wspomina jeszcze o wyjściu pasażerów na najbliższą wyspę, ku której się zbliżono, aby podziękować Matce Bożej za ocalenie. W swej gorliwości spełnienia ślubu podróżni rzucili się nieostrożnie do szalupy iomalże nie potonęli. Nareszcie mimo wielkiej i gęstej mgły, z powodu której błakano się przez jakiś czas, *Św. Józef* przekroczył szczęśliwie ujście rzeki św. Wawrzyńca i zawinął do Québec.

Gravée par Erhard Frey

Carte de la Nouvelle-France au XVII^e siècle.



ROZDZIAŁ X

Kanada około 1639 roku. Przyjęcie urszulanek. Początki apostołstwa.

W 1536 roku pewien dzielny marynarz, Jakub Cartier, wysłany przez Franciszka I, zatknął na brzegu rzeki św. Wawrzyńca krzyż i sztandar francuski. Niedługo po tym zejściu Verrazani, żeglarz florencki, z ramienia tegoż króla, według podania miał nazwać ten kraj imieniem „Nowej Francji”, dotąd bowiem tubylcy nazywali ten wielki obszar Ameryki „Kanadą”, czyli zbiorom chat. Późniejsi królowie zajęci wojnami lub domowymi sprawami zdawali się nie pamiętać o zabiegach ich poprzednika. Wspomnienie Francji utrzymało się wśród ludów kanadyjskich jedynie dzięki marynarzom normandzkim, bretońskim, baskijskim, których handel futrami co roku ściągał na te dzikie wybrzeża. Wreszcie po wielu latach zawitał do Kanady Francuz, Samuel de Champlain, szlachcic z Saintonge, którego słusznie można nazwać „Ojcem Nowej Francji”. Wysłany przez pana de Mons, namiestnika obszarów kanadyjskich za Henryka IV, oddał się swemu posłannictwu z zamiłowaniem genialnego człowieka i gorliwego chrześcijanina. Za jego czasów widziano odnawiające się w Nowej Francji: *Gesta Dei per Francos* jak w czasach wojen krzyżowych. Świadkowie tamtej epoki mówią: „Champlain posiadał wszelkie zalety potrzebne dla założenia kolonii: stałość, wytrwałość, bezinteresowność, uczciwość, a nade wszystko gorącą wiarę, dzięki której więcej cenił zbawienie jednej duszy niż podbój cesarstwa. Płynąc w 1608 r. w górę rzeki, zatrzymał się u stóp przylądka uwieńczonego drzewami orzechowymi i winnicami. Tubylcy nazywali to miejsce „Kebbek”, tj. wąskie przejście, gdyż obszerna przestrzeń wodna ścieśniała się tu na chwilę, by później szeroko się rozlać. Roztropny żeglarz, ujęty zaletami tego terenu, uczynił z niego centrum Nowej Francji, jaką miał stworzyć w Ameryce. Przez 27 lat pracował nad realizacją swego planu³⁰.

³⁰ **Samuel de Champlain** (ur. w 1570 w Brouage k. Rochefort (Francja), zm. 25 grudnia 1635 w Quebecu) – francuski podróżnik, odkrywca, kolonizator Kanady. Pierwszy gubernator, zwany "ojcem Nowej Francji". Kontynuował odkrywcze dzieło Jacques'a Cartiera, jednocześnie prowadząc intensywną akcję kolonizacyjną i tworząc podstawy pod francuską dominację w Ameryce Północnej. Ojciec Champlaina, żeglarz, nauczył go podstaw nawigacji. W wieku około 20 lat zaciągnął się do wojska, w którym służył do 1598 roku. W następnym roku odbył rejs na francuskim statku handlowym do kolonii hiszpańskich w Ameryce Środkowej. W ciągu następnych dwóch lat odwiedził szereg wysp Morza Karaibskiego, Meksyk i Panamę. Po powrocie do Francji opublikował książkę, w której opisał wspaniałości miasta Meksyk i zaproponował przekopanie Przesmyku Panamskiego. Książka zwróciła uwagę króla Henryka IV, który pokładał nadzieje w podboju Ameryki i skłoniony Champlaina do wyjazdu do dzisiejszej Kanady. Tam, w roku 1603, na prośbę królewskiego namiestnika Nowej Francji Hermana de Clermont de Chastes wyprawił się w górę Rzeki Św. Wawrzyńca i stwierdził jej olbrzymie znaczenie komunikacyjne. Był jednym z pierwszych Europejczyków, którzy widzieli i opisali wodospad Niagara. W latach następnych badał dzisiejsze wybrzeża Nowej Anglii zakładając m.in. miasto Port Royal (dzisiaj Annapolis Royal w Nowej Szkocji). Wiosną 1608 roku wyruszył w kierunku Kanady. W lipcu tego roku nad Rzeką Św. Wawrzyńca założył fort Quebec, który, wraz z faktorią handlową, stał się załóżkiem kolonii francuskiej. Zimą tego roku była tak ostra, że spośród 24 ludzi Champlaina przetrwało zaledwie 8. Pomocni okazali się Indianie z plemion Algonkinów i Huronów, z którymi Champlain utrzymywał przyjazne stosunki, pomagając w wojnie z Irokezami. Ludzie Champlaina posiadali broń palną, wobec której Irokezi byli bezradni. W 1615 zapuścił się w górę rzeki Ottawa, docierając do jezior Nipissing i wielkiej wschodniej zatoki Jeziora Huron, Georgian Bay. Zatoka ta, usiana przez ponad 30 tys. malowniczych wysp i wysepek. U południowych brzegów zatoki, wśród przyjaznych mu Huronów, którym 4 lata wcześniej wysyłał nastoletnich chłopców, Francuzów, jako czeladników na tłumaczy, Champlain spędził zimę. Powrócił drogą przez Niagarę oraz jezioro Ontario.

W roku 1635, w dzień Bożego Narodzenia, założyciel Québec oddał Bogu swą duszę. Jeszcze za życia miał tę pociechę, że obok grodu Saint Louis, wznoszącego się nad przystanią, zamieszkało wówczas kilka rodzin, a Ewangelia zaczęła zwolna przenikać w głąb wielkich lasów. Po śmierci przybył na jego miejsce dzielny pan de Montmagny. Odznaczał się niespożytą energią, dzięki której zwyciężał napotymane trudności. Przybywszy do Québec, uklęknął wraz ze swymi towarzyszami u stóp krzyża stojącego obok drogi prowadzącej z portu do miasta i gorąco błagał Boga o pomoc dla siebie, swoich towarzyszy i tych, których Opatrzność Boża powierzyła jego pieczy w trzy lata po objęciu przez niego rządów nad Kolonią. Urszulanki przybyły wraz z siostrami szpitalnymi. Były to pierwsze zakonnice, które zobaczyła Ameryka Północna. Powiemy w kilku słowach, jakie pole do pracy, jaką ludność i jakie środki miały tam napotkać te bohater-skie kobiety.

W chwili przybycia urszulanek do Kanady, mimo że upłynęło już półtora wieku od odkrycia Ameryki, olbrzymi ten kraj był jeszcze zupełnie dziki. Québec składało się zaledwie z kilku domów francuskich otoczonych uprawnymi polami, cały zaś kraj pokrywały olbrzymie dziewicze lasy o różnobarwnym drzewostanie, przerywane tylko gdzieniegdzie polami na brzegach wielkiej rzeki lub jej dopływów rozlanych po całym kraju. Wśród tych olbrzymich puszczy mieszkwały pokolenia wędrownie, żyjące z polowania i rybołówstwa. Na północ od rzeki św. Wawrzyńca - Algonkini i Montanowie, zamieszkujący szczyty i zbocza skalistych gór, na południu - Irokezi, podzieleni na kilka gmin, w okolicy zaś wielkich jezior - Huroni, którzy posiadali więcej osiedli i mieszkali we wioskach.

Ludy te, na ogół dosyć inteligentne, lecz oddane wszelkim namiętnościom, jakie pociąga za sobą nieznajomość prawdziwego Boga, były tak zarozumiałe z powodu swoich zalet, że z politowaniem spoglądały na Europejczyków.

Kolonia francuska musiała więc liczyć się z tym usposobieniem ludności, zupełnie innym od usposobienia murzyńskich ludów Afryki lub Oceanii, które zdają się być stworzone do zależności. O. Le Jeune pisze: „Widzę wśród naszych dzikich głowy Pompejusza i Cezara”. Trzeba było nagiąć dumnych Indian do stóp Chrystusa i do przyjęcia wpływów francuskich. Jezuici poświęcali się temu dziełu od lat dwunastu i zbierali już owoce swej pracy. Niektórzy z nich pod przewodnictwem o. de Brébeuf osiedlili się w kraju Huronów. Rozwinęły się tam już dwie czy trzy osady chrześcijańskie, które miały podejmować chlubne walki. Blisko Québec, wzdłuż górnego biegu rzeki kilka rodzin algonkińskich i Montanów tworzyło osadę *Saint Joseph de Sillery*,

W 1615 na skutek jego namów na teren Nowej Francji przybyli do nawracania Indian i życia w ich społecznościach katolicy misjonarze: franciszkanie i jezuici. Różnie to się kończyło, na co wskazuje zaistnienie kościołów katolickich pod wezwaniem męczenników kanadyjskich.

W czasie wojny angielsko-francuskiej, która wybuchła w roku 1626, dostał się - po długim oblężeniu Quebecu - do niewoli angielskiej, w której przebywał w latach 1628-29. Po podpisaniu traktatu pokojowego w Saint-Germain-en-Laye (1633) Kanada została przyznana Francji, a Champlain otrzymał stanowisko pierwszego gubernatora. Był kawalerem Połączonych Zakonów Rycerskiego i Szpitalnego Św. Łazarza z Jerozolimy i Królewskiego Najświętszej Marii Panny z Góry Karmel. Samuel de Champlain zmarł w Kanadzie.

Napisał sprawozdanie ze swych wypraw pt. *Oeuvres de Champlain*; była to prawdopodobnie pierwsza książka opublikowana w Nowej Francji. Warto zaznaczyć jego przyjazne nastawienie do Indian i zrozumienie, z jakim traktował ich kultury jak i nazwy tubylcze, w odróżnieniu od wojskowych brytyjskich w Kanadzie, którzy przyszli po nim.

nazwaną tak na cześć hojnego założyciela pana de Sillery, tego samego, który pomagał urszulankom przy wyjeździe do Nowej Francji. Inni miejscowi ludzie, w liczbie około pięciuset, obozowali wokół miasta i oddalali się stamtąd jedynie tylko w porze polowań. Zadaniem Marii od Wcielenia i jej towarzyszek było wychowywanie córek tych nowo ochrzczonych i nauczanie prawd wiary ich żon. Szerzenie świętej wiary utrudniały jednak dwie okoliczności, a mianowicie: koczowniczy charakter życia tubylców oraz ciągnąca się z górą od stu lat wojna domowa, o której piszą roczniki kolonii. Irokezi, najdzielniejszy i najokrutniejszy lud amerykański, zbroili się od dawna przeciw Algonkinom i Huronom. Champlain był niejako zmuszony stanąć po stronie zagrożonych plemion. Z tego powodu Francuzi, pomimo fortów i armat, które miały ich bronić przeciw tym okrutnikom, ciągle mieli się na baczności. Jednakże mimo stałego niebezpieczeństwa, a także surowości klimatu życie w Québec, w tym złotym okresie zakładania kolonii, płynęło szczęśliwie. Około roku 1639 zamieszkiwało tam już dwunastu Francuzów, którzy tworzyli jakby jedną rodzinę pod ojcowskimi rządami gubernatora kolonii. Ludność francuska składała się z rzemieślników, rolników i starej szlachty, zaczynającej napływać z Normandii i zachodnich prowincji francuskich.

Pan de Montmagny naszkicował plan miasta, aby umożliwić regularną budowę. W tym zapadłym zakątku Nowego Świata zapanowało ożywienie. „Nasi dzicy, którzy nie są wielkimi wielbicielami wszechświata, sami dziwią się widząc tu, według ich wyrażenia, tylu wodzów i dzieci wodzów”. Religia łączyła serca i była najlepszą strażą bezpieczeństwa publicznego. Przepisy kolonii podtrzymywały i potwierdzały prawa Kościoła, zabraniając bluźnierstwa, pijaństwa, opuszczania Mszy św. w dzień Pański. Jezuici, jedyni przedstawiciele duchowieństwa w tej epoce, zaradzali wszelkim duchowym potrzebom i zbierali obfity plon pracy wśród swoich współziomków. „Oszustwa, zdzierstwa, kradzieże lub zabójstwa są tu nieznane, zdarzają się czasem raz na rok i to pod wpływem nowo przybyłych z dawnej Francji”.

Zwykle przez sześć miesięcy Kanada była pozbawiona wszelkiej łączności z krajem macierzystym. Chociaż leży na tej samej szerokości geograficznej co Francja, zima jest tam dłuższa i surowsza; gruba powłoka lodu pokrywa wszystko, wtedy to żegluga jest niemożliwa. Rzeka św. Wawrzyńca skuta jest grubą warstwą lodu. Lecz z nadejściem pierwszych dni maja, jak mówi Champlain w swych pamiętnikach, wiśnie rozwijają się, maliny kwitną i wszystkie zioła wychylają swe listki. Lato następuje szybko, po krótkiej wiośnie jest zwykle bardzo gorące. Zanim rolnictwo i przemysł mogły zużytkować bogactwa własnej ziemi, kolonia musiała zaopatrywać wszystkie swe potrzeby we Francji.

Ale wróćmy do naszych podróży, których zostawiliśmy w chwili przybycia do Kanady.

Po wyruszeniu z Dieppe na początku maja urszulanki i siostry szpitalne przybyły 15 lipca do Tadoussac, przystani odległej o 30 mil od Québec, tam bowiem zatrzymywały się wszystkie statki przybywające z Francji. Chociaż nasze podróżniczki cieszyły się z bliskiego już celu podróży, musiały zgodzić się na kilkudniową zwłokę z powodu budowy łodzi potrzebnej do przeprawy. W międzyczasie Maria od Wcielenia, błogosławiąc swego Boskiego Oblubieńca, podziwiała piękną przyrodę kanadyjską w całym uroku rozkwitu. Maria pisze: „Już od dawna duch

mój błdził wśród tych wielkich i obszernych lasów nowego świata, szukając sposobu uczynienia czegoś na chwałę Bożą i dla dobra dusz”.

W chwili wysiadania Marii od Wcielenia i jej towarzyszek kilku Indian znajdowało się na brzegu, ale ani ich opalona cera, ani zatłuszczone włosy nie zraziły misjonarek. „To spotkanie przyniosło nam wielką radość. Widząc po raz pierwszy kobiety europejskie, byli zdumieni i na znak zachwyty kładli ręce na ustach. Powiedziano im, że jesteśmy córkami wodzów (gdyż trzeba się było wyrażać ich językiem), które z miłości ku nim porzuciły kraj, rodzinę i wszystkie rozkosze Francji. To ich zachwycało, a zachwyt ten potęgowała wiadomość, że będziemy uczyły ich córki religii, aby nie zginęły w płomieniach piekielnych. Nie mogli uwierzyć, że to jest prawda i postanowili nam towarzyszyć drogą lądową aż do Québec”. Ten fakt podwoił niecierpliwość misjonarek, aby prędzej dotrzeć do swej nowej ziemi obiecanej; wyruszone wreszcie przy końcu miesiąca na łodzi rybackiej. Ojcowie jezuici i siostry szpitalne również przyłączyły się do nich. Jak opowiada dziennik sióstr szpitalnych, podróż można było przebyć tylko na pokładzie. Zabrało chleba, zbierano więc okruchy w komorze, w której było mnóstwo szczurów. Jedli te okruchy chleba z suszonymi rybami - stokfiszami³¹, bo nie było na czym gotować. Po 3 dniach uciążliwej żeglugi przybyli do wyspy Orleans, długiej na 6 mil, prawdziwego ogrodu zieleni. Zachodni kraniec tej wyspy jest oddalony od Québec o półtora mili. Wyspa była wówczas nie zamieszkała. Nasi podróżni zatrzymali się tam, by czekać na przypływ i pomyślny wiatr. Ponieważ musieli spędzić tam noc, zbudowano trzy chaty na sposób tubylców, jak wspominają dalej pamiętniki. W jednej zamieszkały zakonnice, drugą oddano ojcom jezuitom, w trzeciej zatrzymali się marynarze. „Odczuwałyśmy niewymowną radość, znajdując się pośród tych pięknych lasów, toteż składałyśmy tysięczne dzięki Bogu, że nas tak szczęśliwie przyprowadził do upragnionego celu”.

Z brzaskiem dnia wyruszone w stronę Québec. Czytamy dalej, że gdy zbliżono się do miasta, nadpłynęła szalupa zaopatrzona w żywność, którą wysłał gubernator, aby zabrać ojców jezuitów i dzielne zakonnice, i aby przyjąć ich z tym większymi oznakami czci. Równocześnie armaty na forcie i trąbka żołnierza rozniosły echem po lesie tę radosną nowinę. Było to 1 września około godziny ósmej rano.

Maria od Wcielenia pisze: „Pierwszą rzeczą, jaką uczyniłyśmy po opuszczeniu okrętu, było ucałowanie ukochanej ziemi, na którą przybyłyśmy, aby wyniszczyć swoje życie w służbie Bogu i naszym biednym tubylcom”. Pan de Montmagny, którego wiara uwidaczniała się we wszystkich czynach, starał się okazać Francuzom i tubylcom jak wielką wartość przypisuje przybyciu do kolonii tych dzielnych i odważnych kobiet. Oczekiwał je więc na brzegu w otoczeniu najznakomitszych przedstawicieli kraju oraz całego ludu z Québec, który nie ukrywał swej radości. Maria nadmienia: „Naczelnik przyjął nas jak i wielebnych ojców z oznakami uprzejmości, zapewniając o swej wielkiej życzliwości. Wszyscy tak cieszyli się naszym przybyciem, że zawieszono tego dnia wszystkie prace, aby zaznaczyć ogólną radość”.

Zakonnice udały się natychmiast, z licznym orszakiem ludzi z różnych warstw, do kaplicy Notre Dame de Recouvrance, zbudowanej przez pana Champlain niedaleko na szczycie góry koło

³¹ Ryby wysuszone a wolnym powietrzu w niskiej temperaturze po uprzednim usunięciu głowy i wypatroszeniu.

wału św. Alojzego. Ojciec Le Jeune zaintonował *Te Deum*, a cały tłum wtórował przy odgłosie wystrzałów armatnich. Po błogosławieństwie Najświętszym Sakramentem urszulanki i siostry szpitalne zebrały się w pałacu, gdzie pan de Montmagny ugościł je przy swoim stole i nie pozwolił odejść, aż wysłuchały wszystkich życzeń i podziękowań najznakomitszych osób kraju. W powrotnej drodze siostronom również towarzyszył orszak aż do miejsca tymczasowego pobytu, gdyż ani jedno ani drugie zakonnice nie miały wybudowanych klasztorów. Siostry szpitalne zajęły dom na „La Haute Ville”, dosyć obszerny i zupełnie nowy, należący do „Towarzystwa Stu”, urszulankom zaś wypożyczono małe mieszkanie na Bas Ville blisko rzeki, u stóp góry. Nie miały ani mebli, ani innych koniecznych rzeczy, gdyż prawie wszystko zostało w Tadoussac na statku. Naczelnik był tak uprzejmy, że posłał im pierwszą kolację. Siostry zamiast na łóżkach położyły się na gałązkach świerkowych – mimo to spały po królewsku.

Maria od Wcielenia pisze: „Nazajutrz o. Vimont, o. Le Jeune i inni ojcowie zaprowadzili nas i siostry szpitalne do wsi Sillery, niezbyt odległej od Québec, do naszych tubylców - bardzo kochanych braci. Doznałyśmy tutaj dużo pociechy, słysząc jak chwalili Boga w swoim ojczystym języku. Ach! Jak bardzo czułyśmy się szczęśliwe w otoczeniu tych neofitów, a i oni ze swej strony byli nie mniej uradowani”.

O. Le Jeune natomiast pisze w swojej *Relacji*: „Te dzielne zakonnice nie mogły ze wzruszenia powstrzymać łez. Opuszczając wieś odwiedzały miejscowe rodziny i te, które zamieszkiwały okolice. Pani de la Peltrie prowadziła grupę, nie było ani jednego dziecka, którego nie ucałowałyby na drodze, a czyniła to z taką czułością i serdecznością, że biedne dzieci stawały osłupiałe i zdziwione. Siostry czyniły to samo bez względu na to, czy dzieci były czyste czy brudne, nie pytając wcale, czy jest taki zwyczaj w tym kraju. Życzono sobie, aby świeżo przybyli ojcowie ochrztili zaraz kilku tubylców, których matką chrzestną została pani de la Peltrie”.

Maria od Wcielenia, odwiedzając osady kanadyjskie i obserwując kraj, radowała się w Panu, gdyż poznawała ze zdumieniem i radością te okolice z jednej strony jako zupełnie nowe, a z drugiej dobrze jej już znane. Pisze: „Poznawałam, że są to te same okolice, które Pan pokazał mi przed sześcioma laty. Te same wysokie góry, rozległe lasy, olbrzymie przestrzenie, które niegdyś widziałam tak wyraźnie, zapisane jeszcze w mej duszy, jak w chwili objawienia, tylko że obecnie mniej było mgły. To wszystko podwoiło zapał mojego powołania i pobudziło mnie do zapomnienia o sobie, do pragnienia cierpień i do czynienia tego wszystkiego, czego Chrystus żądał od mnie w tym powołaniu”.

Po powrocie ze wsi Sillery siostry szpitalne i urszulanki pożegnały się serdecznie i udały się do swych prowizorycznych klauzur, by tam rozpocząć pracę zgodną z swoimi regułami. Siostronom szpitalnym nie brakowało chorych, a wkrótce było ich więcej niż mogły pomieścić. Również i urszulanki rozpoczęły swą pracę. Najpierw oddano im sześć tubylczych dziewczynek jako pensjonarki, którymi dotąd zajmowali się jezuici. Nieco później przysłano dziewczęta eksternistki - zarówno Francuzki, jak i Indianki. W ten sposób dwa zakony klauzurowe założyły swe fundacje w rodzącej się kolonii. Zdawać by się mogło, że mury i kraty, za którymi zamknęły się te pobożne dziewice, utrudnią ich posłannictwo już i tak najeżone przeszkodami.

Stało się jednak inaczej. To zamknięcie, te kraty stały się właśnie „przynętą i przedmiotem podziwu dla niezależnych z natury Indian”. Często będą przychodzić, by podziwiać Bogu poświęcone dziewice, by nauczyć się czegoś dobrego od nich, i rozniosą ich sławę od szczepu do szczepu. Pan de Montmagny i jego rodzina zrozumieli dobrze, jakie znaczenie będzie miało dla dobra duchowego to dobrowolne więzienie, gdzie dusze czyste wyniszczają się w pracy i modlitwie na chwałę Bożą. W akcie zezwalającym urszulankom na osiedlenie się, pobożny naczelnik zaznacza, że „Spodziewa się po ich działalności wielkiej chwały Bożej i pożytku ogółu, a nadzieje swe opiera na wielkiej radości, jaką okazują z ich przybycia zarówno Francuzki, jak i tubylcy”.

Pierwsze prace apostołskie.

Maria sama wprowadza nas do domu na Bas-Ville, któremu dzięki staraniu nadała wygląd przypominający klasztor: „Nasze mieszkanie składa się z dwóch pokoi. Jeden z nich mający może szesnaście stóp kwadratowych służy za chór, rozmównicę, celę i refektarz, drugi to szkoła tak dla Francuzek, jak i dzikich dziewczynek. Na galerii, którą kazałyśmy zrobić, znajduje się kapliczka i zakrystia, a nawet kuchnia. Czujemy się tutaj lepiej, niż gdybyśmy zamieszkiwały jakiś pałac lub przebywały w Luwrze, bo posiadamy skarby, których przyszłyśmy szukać, mamy bowiem naszych kochanych neofitów”. Obok domu był prawdopodobnie ogród, ponieważ na początku tego rozdziału jest wzmianka o ogrodzeniu z grubych pali cedrowych.

Maria od Wcielenia, na mocy nominacji arcybiskupa z Tours przekazanej w dniu wyjazdu, była głową małej wspólnoty i teraz dopiero czuła, że doszła do rozkwitu wieku dojrzałego, gdyż można powiedzieć, że całe jej życie było przygotowaniem do obecnej chwili. W jej autobiografii czytamy bardzo głębokie zdania: „Najboleśniejsza chwila z pierwszych dni mej pracy misyjnej dotyczyła moich neofitów: Algonkinów, Montanów i Huronów, którzy od 10 lat są wydawani na pastwę swoich nieprzyjaciół. Nie mówię nic szczegółowo, ponieważ nie potrafiłabym wyrazić tego smutku i wewnętrznego ucisku, który odczuwam z ich powodu”. W ten sposób Stwórca już od dawna wybrał sobie tę duszę apostołską do nawracania biednych dzikusów kanadyjskich. Zobaczmy, jaki owoc świętości wydał z czasem ten nowy Kościół.

Obok Marii od Wcielenia jej młoda towarzyszką, s. Maria od św. Józefa wniosła do wspólnego dzieła swoje wybitne zdolności do nauczania i miłą wesołość właściwą jej wiekowi. Miała wówczas 22 lata. Jedna z sióstr pisała do Francji: „Często swym dowcipem rozśmieszała nas na rekreacji aż do łez i trudną rzeczą byłoby być smutną w jej towarzystwie”. Trzecią nieustrudzoną osobą w poświęceniu była matka od św. Krzyża, zakonnica z Dieppe, następnie panna Karolina Barré, która nie zawiodła zakonnic mimo swej szybkiej i wspaniałomyślnej decyzji natychmiastowego wyjazdu do Kanady. Pani de la Peltrie dzieliła ze wzruszającą pokorą ciasne mieszkanie i trudy zakonnic, biorąc na siebie rolę służącej. Na zewnątrz zaś wobec osób świeckich była ich przedstawicielką i brała udział we wszystkich dobroczynnych dziełach podejmowanych w Québec.

Pierwsze sześć seminarzystek, które oddano siostram jako pensjonarki, wkrótce dało im odczuć ich ofiarę. Nie było nic pociągającego w tych biednych, brudnych i zaniedbanych dzieciach z lasu. M. Maria od Wcielenia opowiada: „Codziennie wskutek ich nieporządku znajdowa-

łyśmy w naszych garnkach włosy, węgle i inne śmieci, czasem stary trzewik, co nam wcale nie odbierało apetytu. Osoby, które nas odwiedzały i którym wspominałyśmy czasem o tym dla rivalryi, nie mogły pojąć, że stopniowo przyzwyczaiłyśmy się do tego i że mogłyśmy jeszcze całować, brać na kolana i pieścić te małe dzikie sierotki, wydające nieprzyjemną woń z powodu tłuszczu, którym namaszczają ich się tubylcy. Mimo stałego starania i częstej zmiany bielizny długo nie można było oczyścić z robactwa zagnieżdżonego w obfitości tłuszczu. Mimo to każda z siostr ubiegała się jak o łaskę, o możliwość służenia tym biedakom i ta, której to przypadło w udziale, uważała się za szczęśliwą, inne zaś, wtedy odsunięte, uważały się za niegodne i upokorzone”.

Indianie zdumieni przyjazdem zakonnic, podziwiali je jeszcze bardziej widząc je przy pracy. Pewien Huron, znajdujący się wówczas w Québec, nie szczędził słów uznania dla nich, gdy po powrocie do swej osady opowiadał o tym, co widział, chcąc przez to przyprowadzić ziomeków do poznania prawdziwej wiary. „Ach, gdybyście wiedzieli - mówił im - co za miłość jest pomiędzy tymi, którzy wierzą w Boga, nie pozostalibyście takimi, jak dotąd jesteście. Choć się przedtem nie znali, tak się miłują, że zdaje się, iż jest tam jedno serce i jedna dusza. Byłem zachwycony ujrawszy, co się działo po przybyciu statku, który przywiózł dziewice czarno ubrane do Québec. Jedne z nich wzięły do siebie góralskie dziewczęta, karmiąc je i dając im piękne suknie, drugie zaś inaczej ubrane pielęgnują chorych przez cały dzień i noc. Przy ich przybyciu były takie uroczystości, że można było wyczuć, iż one stanowią jedno z mieszkańcami w Québec. O, jak nam daleko do tego!”.

W tym roku wyjątkowo uroczystości obchodzono w Québec dzień Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, tym bardziej, że podczas procesji dziękowano Królowej Nieba za przyjęcie ślubu uczynionego przez Ludwika XIII w celu otrzymania następcy tronu. Pani de la Peltrie również brała udział w procesji. O. Le Jeune opowiada: „Poza naszymi nowymi chrześcijanami szła pani fundatorka urszulanek, prowadząc trzy czy cztery „dzikie” dziewczynki ubrane według francuskiego zwyczaju. Za nią szły kobiety i dziewczynki indiańskie, a wszystko w wielkim porządku. Cała procesja udała się do szpitala, gdzie wszyscy tubylcy uklękli z jednej, a Francuzi z drugiej strony, duchowieństwo zaś pośrodku. Wszyscy wspólnie zaczęli modlić się za króla, dziękując Bogu za urodzenie się następcy tronu, potem za królową, wreszcie za Francuzów i za cały naród. Po ukończeniu modlitw procesja skierowała się do tymczasowego domku urszulanek. W drodze, gdy przechodziła obok fortecy, muszkietierowie powitali nas salwą, a oprócz tego grzmiała armata. Po przybyciu do urszulanek znów powtórzyliśmy te same błagania z zachowaniem ceremonii. Zakonnice zaśpiewały psalm *Exaudit*, którym do głębi poruszyły Indian, a uradowały Francuzów. Pobożni Francuzi cieszyli się, widząc dziewiczy chór śpiewający o wielkości Boga w tym nowym świecie”.

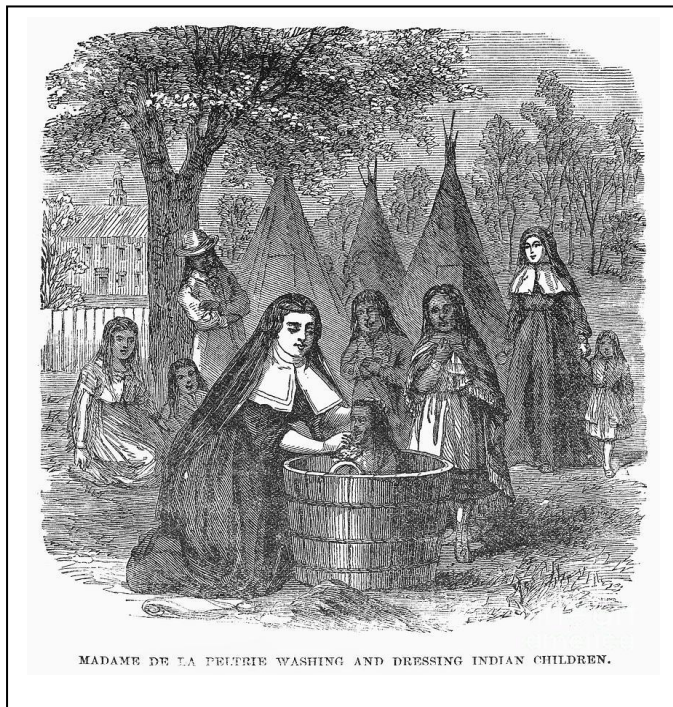
Procesji towarzyszyło sześciu wodzów z różnych plemion, ustrojonych w rozmaite wspańnię jedwabie, złote i aksamitne ubrania. Stroje te otrzymali w darze od Ludwika XIII, gdy jeden z nich przybył na audyencję na dwór królewski w Paryżu. Po zakończeniu religijnych uroczystości ci dzielni chrześcijanie pragnęli porozmawiać z naszymi misjonarzami. O. Vimont, jak opisu-

je *Relacja*, przybył do nich wraz z naczelnikiem kraju i panią de la Peltrie, która nie mogła nasycić się pobożnością tych pocziwych ludzi. Gdy już wszyscy usiedli, jeden z wodzów rzekł zwracając się do o. Le Jeune: »Uspokój się i uważaj na to, co ci powiem«. Po tym wstępie nastąpiła prostoduszna mowa, której celem było przypomnienie ojcom ich obietnicy sprowadzenia osadników z Francji, którzy pomogliby tubylcom w uprawie roli, w budowaniu domów, »abyśmy - kończył mówca - nie byli dłużej podobni zwierzętom szukającym pożywienia w lasach«. Niestety, aby skutecznie to słuszne życzenie, potrzeba było na to innych środków niż te, którymi rozporządzała kolonia. Naczelnik zapewnił wodzów, że uczyni wszystko, co będzie mógł. Za to pani de la Peltrie nie mogła powstrzymać natłoku swych uczuć. Zawołała, zwracając się do o. Le Jeune, który służył za tłumacza: „Mój ojciec, zapewnij tych pocziwych ludzi, że jeślibym mogła być im pomocna, uczynię to chętnie, będę się starała przynajmniej posadzić coś dla nich”. Na te słowa wszyscy wybuchnęli śmiechem, gdyż tubylcy twierdzili, że zboże, zasiane tak słabą ręką, byłoby spóźnione. Zaczyna fundatorka i jej zakonniczki miały wkrótce inną sposobność do okazania swego poświęcenia względem tego biednego ludu”.

Sierpień miał się już ku końcowi, a wyposażenie urszulanek w klasztorze było jeszcze bardzo skromne. Na nieszczęście wybuchła wśród Indian ospa, która ich dziesiątkowała. Urszulanki też jej nie uniknęły. Maria od Wcielenia napisała: „Nasz dom zamienił się wkrótce w szpital. Wszystkie nasze seminarzystki trzykrotnie uległy tej chorobie, a cztery z nich umarły. Byłyśmy już przygotowane na to, iż padniemy ofiarą zarazy, gdyż pielęgnowaliśmy chore dzieci dzień i noc, a szczupłość mieszkania zmuszała nas do ciągłego obcowania ze sobą. Lecz Pan Jezus tak nas skutecznie bronił, iż żadna z nas nie zachorowała. Nie miałyśmy nawet wtedy mebli, więc wszystkie posłania leżały na podłodze i musiałyśmy przechodzić wciąż koło chorych, ale Boski nasz Oblubieniec dodawał nam tyle mocy, że bez wstrętu do brudu pielęgnowaliśmy z największą miłością nasze biedaczki. Nasza fundatorka była nam wzorem, bo mimo swego słabego zdrowia z gorliwością podejmowała najpokorniejsze posługi”.

Epidemia trwała przez całą zimę. Maria od Wcielenia pisała do jednej wizytki z Tours: „Zapewniam cię, że Opatrzność opiekowała się nami nieustannie i w szczególny sposób. Mieszkańcy Québec dawali nam zimą jarzyny i inną żywność, tak że było nam aż nadto dobrze. Mimo szczupłego mieszkania, gdzie brakowało powietrza, nie chorowałyśmy wcale, a ja nigdy nie czułam się tak silna jak właśnie wtedy. Gdybyśmy we Francji odżywiały się jak tutaj słoniną i suszoną rybą, zaszkodziłoby to nam i ucierpiałyby nasze głosy, tutaj jednak czujemy się dobrze i lepiej śpiewamy niż we Francji. Powietrze tutaj jest wyborne. Kraj nasz to raj ziemski, gdzie trudności i ciernie są tak miłe, że im dotkliwsze, tym większą napęniają nas słodyczą”. Maria od Wcielenia i jej towarzyszkki miały tylko, jak się wydaje, jedną obawę, aby nie zmniejszyła się liczba pensjonarek, gdyż ich rodzice, jeszcze poganie, wyobrażali sobie, że przyczyną śmierci ich dzieci był chrzest i mieszkanie wśród Francuzów. Obawy ich były mylne. Indianie coraz liczniej przyprowadzali swe córki do klasztoru. Pielęgnowanie chorych nie przeszkodziło bynajmniej naszym gorliwym misjonarkom do przyłożenia się bez zwłoki do nauki języków używanych przez tubylców. Maria pisze: „Praca ta jest nadzwyczaj uciążliwa, gdyż specjalna mentalność tych narzeczy w niczym nie przypomina języków europejskich”.

Na obszarze kanadyjskim panowały wówczas dwa narzecza: hurońsko-irokieskie i algonkińskie. O. Charlevoix mówi, że język huroński posiada obfitość wyrażen, zwrotów, energię i



pewną szlachetność, jakiej nie spotykamy nawet w najpiękniejszych, znanych nam językach. Język algonkiński nie ma tyle siły, co huroński, ale za to cechuje go słodycz. Oba mają trafność wyrażen i zadziwiającą poprawność. Odmienia się w tych językach rzeczowniki i przymiotniki, są różne czasowniki dla wyrażenia tej samej czynności, stosownie czy się odnosi do istoty żywej czy martwej, czy czynność odbywa się na lądzie czy na morzu. Większość słów składa się tylko z samogłosek, niektórych spółgłosek brak w ich alfabecie. O. Le Jeune po dwóch latach studiów nad językiem algonkińskim stracił nadzieję opanowania go kiedykolwiek. „Ludzie,

którzy mówią tym językiem - pisze on - posiadają takie bogactwo zwrotów, że przekonuję się coraz bardziej, iż zawsze będę ubogi w wyrażenia właściwe temu językowi. Nadto jeszcze zupełna niemożność wyrażenia prawd wiary z braku odpowiednich pojęć”.

Pierwsi jezuici w Kanadzie dokonali naprawdę heroicznego dzieła, zaznajamiając się z językami tubylców. O. Brébeuf, apostoł Huronów, spędził trzy lata w zadymionej chacie, aby tylko nauczyć się ich języka. Tak samo o. Le Jeune miał tyle odwagi, że spędził całą zimę w gąszczach leśnych u Algonkinów, byle tylko zdobyć znajomość ich języka. Urszulanki także zmuszone były posiąść tę samą umiejętność. Nauczycielem ich był o. Le Jeune, który był równocześnie ojcem duchownym wspólnoty.

Codziennie przychodził do ich rozmównicy, gdzie zastawał trzy pilne uczennice. Maria od Wcielenia pisze: „Uczyłyśmy się w ten sposób języków tubylców, jak dzieci uczą się łaciny. Ponieważ już przeszło dwadzieścia lat nie uczyłam się języków, nauka ta sprawiała mi wiele trudności. Ucząc się na pamięć słówek i odmian, wydawało mi się, że przesuwają mi się kamienie po głowie. Ta trudność połączona z doświadczeniem szorstkości tego języka, zrodziła we mnie przekonanie, że się tego języka nigdy nie nauczę. Czyniłam serdeczne układy ze Zbawicielem, który mimo wszystkich tych trudności tak skutecznie mi dopomagał, że w krótkim czasie zrozumiałam, potem z łatwością nauczyłam się rozmawiać, a przy końcu tej nauki doznałam tak słodkich pociech i takiego podniesienia umysłu, jak gdybym czytała najwznioślejsze duchowe lektury. Nauka była mi modlitwą i czyniła ten język tak miłym, że wcale nie wydawał mi się dziki i wkrótce tak go opanowałam, że mogłam moim neofitkom w ich języku powiedzieć, co do zbawienia jest konieczne potrzebne. Dziewczęta widząc, jaką trudność sprawia ich nauczyciel-

kom wymawianie wyrazów w ich narzeczu, mówiły: » Ach, drogie Matki, jak chętnie oddałybyśmy wam nasze języki !«»

Nie upłynęło jeszcze dwa miesiące od przybycia sióstr, a już te odważne kobiety rozmawiały nie tylko ze swymi seminarzystkami, ale i z Indiankami i Indianami, gdy przychodzili do klasztornej furty. Maria od Wcielenia ze względu na przyszłość domu w Québec przywiązywała wielką wagę do znajomości języków. Pragnęła więc, by młoda i zdolna siostra Maria od św. Józefa zaczęła się uczyć narzecza hurońskiego, nawet sama zaczęła się go później uczyć, jak tylko uznała to za konieczne. Pisała do pewnej zakonnicy we Francji: „Śmieję się ze mnie, gdy mówię jak uciążliwa jest ta praca i tłumaczą mi, że gdyby tak rzeczywiście było, nie byłabym się go nauczyła w krótkim czasie. Ale wierz mi, że samo pragnienie mówienia tym językiem już dużo znaczy, bo chciałabym słowami wypowiedzieć to, co serce czuje i opowiedzieć naszym drogim neofitom o miłości Boga i Jezusa, naszego Mistrza”. W ten sposób zakończył się rok 1639, tak ważny dla Marii od Wcielenia i pełen prac przy urządzaniu domu.

ROZDZIAŁ XI

Smutny pobyt na Basse-Ville Seminarium indiańskie i neofici Marii od Wcielenia (1640 –1643)

Po srogiej zimie, którą, według zapewnienia Marii od Wcielenia, siostry tak dobrze zniosły jakby we Francji, na początku lipca urszulanki otrzymały niespodziewanie pomoc. Klasztor paryski chcąc naprawić odmowę, którą zmuszony był dać przy wyjeździe misjonarek do Québec, przysłał teraz dwie zakonnice: m. Annę Le Bugle od św. Klary i m. Małgorzatę Flécelles od św. Atanazego. Pierwsza liczyła trzydzieści lat, druga zaledwie dwadzieścia sześć. Obydwie dzięki swoim cnotom miały stać się silnymi filarami powstającej wspólnoty urszulańskiej. Gubernator i o. Vimont oczekiwali ich przybycia. Obok urszulanek przyplłynęły również tym samym statkiem jeszcze dwie siostry szpitalne. „Pani de la Peltrie wraz ze swymi małymi seminarzystami, ubranymi czysto i porządnie, uścisnęły je serdecznie na przywitanie i wprowadziły do małej kapliczki znajdującej się na wybrzeżu, ponieważ kaplica ojców jezuitów, służąca dotąd za kościół parafialny, spłonęła przed kilkoma dniami. Po nawiedzeniu Najświętszego Sakramentu udały się do urszulanek, aby się przywitać. Zakonnice z upragnieniem oczekiwały ich przybycia. Siostra od św. Klary pisze: „Rozmawiając z Marią od Wcielenia, uczułam bijącą od niej atmosferę świętości, która mnie bardzo podniosła”. Następnego dnia, podobnie jak pierwszego, misjonarki udały się do Sillery, a po powrocie zamknęły się w umiłowanej klauzurze.

Nowo przybyłe siostry odczuły od razu nie tylko ubóstwo, ale i prawdziwą radość betlejemską. Całą bieliznę oddano zaraz chorym pokrytym wskutek ospy jęczącymi się wrzodami. Miłosierna przełożona cały swój wolny czas poświęcała na szycie sukienek dla biednych dzieci

i przez parę miesięcy wyłożyła na nie całą gotówkę, która miała starczyć na dwa lata. Przybycie statków polepszyło trochę ich sytuację. Pewien pobożny mieszczanin z Tours, pan Marchand, który czcił bardzo Marię od Wcielenia, przysłał jej płótno i inne materiały oraz cyboryum i narzędzia do pracy. Urszulanki z Tours, z Paryża i z Loches również okazały się tak bardzo hojne, że siostra od św. Klary, piastująca wówczas urząd szafarki, dowcipnie pisała swej dawnej towarzyszce, iż nie może nadążyć z układaniem zapasów w magazynie i w piwnicy. Zapasów żywności chwilowo miały siostry pod dostatkiem, za to ciasnota mieszkania dawała im się coraz bardziej we znaki mimo różnych pomysłów, jakimi starano się powiększać pomieszczenie.

Maria pisała do jednej ze swych znajomych: „Opowiem pani, w jaki sposób może przebywać tyle osób w tak ciasnym mieszkaniu. Nasz pokój podzielony jest na cele deskami świerkowymi, bardzo lekkimi; aby zyskać miejsce, jedno łóżko umieszczone jest nad drugim tak, że prawie dotyka powały i trzeba wchodzić do niego po drabinie. Mamy własny kościółek z drewna, który dzięki swojemu ubóstwu jest bardzo miły. Nikt by nie wierzył, ile wydałyśmy na nasz kościółek, a mimo to przez szpary zaglądają gwiazdy i wciskający się wiatr gasi nam świece. Wśród tego ubóstwa żyjemy tak wesoło i szczęśliwie, jakbyśmy mieszkwały w najwygodniejszym pałacu francuskim. Wydaje mi się nieraz, że jednak za dobrze mieszkamy jak na Kanadę i przyznam się, iż spodziewałam się tylko chatki z chrustu. Moje drogie siostry mówią mi, iż jedyną ich przykrością jest to, że za mało doznają i odczuwają cierpień w Kanadzie. Obecność Stwórcy pod naszym dachem nakazywała tym gorliwym duszom za nic poczytywać sobie niewygody mieszkania, które przez trzy lata znosiły i które nazywały swoim *honorem i zaszczytem*”.

Tubylczych uczennic zwanych seminarzystkami było w tym czasie od piętnastu do siedemnastu, nie licząc tych, które czasowo przebywały w klasztorze. Inne dochodziły jako ekstermistki; urszulanki uczyły je w osobnej chacie zbudowanej tuż obok domu. O ile praca urszulanek z młodymi, nielicznymi w tym czasie w Québec Francuzkami nie pozostawiła, jak się wydawało, trwałych śladów w tych dziecięcych duszach, o tyle czyniła to w sercach młodych Indianek. Kilka z nich, przebywających stale w klasztorze, było córkami chrzestnymi znakomitych pań francuskich, a przełożona przyjmowała je bardzo chętnie. Maria od Wcielenia pisze do jednej z tych hojnych matek chrzestnych: „Może znudziłabym panią, gdybym chciała opisać każdą z tych dziewcząt, ale powiem tylko ogólnie, że kochają nas więcej niż swoich rodziców i nie okazują żadnych skłonności, by ich naśladować, co się rzadko zdarza u tubylców”.

„Gdy odprawiamy ćwiczenia duchowne, zachowują się bardzo cicho, milczą zupełnie, a czasem nawet nie śmieją podnieść oczu, by nam nie przeszkadzać. Ale gdy tylko skończymy nasze ćwiczenia, wtedy okazują nam tyle serdeczności i miłości, czego w stosunku do rodzonych matek nigdy nie czynią. Cztery z naszych dzieci przystąpiły na Wielkanoc do Pierwszej Komunii św. Oczekiwały tej chwili z takim pragnieniem zjednoczenia się ze swym Zbawcą, że wykrzykiwały na kilka dni naprzód: »Ach! kiedyż nadejdzie ta chwila, w której Jezus przyjdzie do naszych serc!« O. Pijart, który je chrzczył i przygotował do Komunii św., widząc ich nienaganne zachowanie, nie mógł się powstrzymać od łez”.

„Często słyszymy je rozmawiające o Bogu. Raz pytały się nawzajem, za co która jest najbardziej wdzięczna Bogu. Jedna odpowiedziała, że za to, iż Bóg z miłości ku nam stał się człowiekiem i poniósł śmierć, aby nas wybawić od piekła, druga znów za to czuła największą wdzięczność, że Bóg uczynił ją chrześcijanką i zaliczył w poczet swych dzieci. Jedna z najmłodszych, licząca zaledwie dziewięć lat, która już półtora roku przyjmuje Komunię św., dołączyła swój głosik i powiedziała, że ona za to najbardziej kocha Pana Boga, że Jezus oddaje się jej codziennie jako pokarm w Sakramencie Ołtarza.

Czy to nie jest godnym podziwu u dzieci, które wychowywały się w lasach? Ci, którzy widzieli je przedtem biegające jak dzikie zwierzęta po lesie, są zdumieni widząc je teraz łagodne jak baranki, przystępujące do ołtarza, by przyjąć Pana Jezusa, najczystsze Baranka. Niektóre z nich wślizgują się niepostrzeżenie do naszego chóru i tam się modlą cichutko, inne znów trzymając książkę, starają się we wszystkim naśladować nas w czasie oficjum, czyniąc te same pokłony,

co my. Ponieważ umieją jednak tylko hymn *Ave maris Stella*, śpiewają go dwadzieścia lub trzydzieści razy dziennie i cieszą się, że sprawiają nim Bogu wiele przyjemności. Naiwność ta jest doprawdy wzruszająca”.

O. Le Jeune tak pisze o życiu tubylców, których poznał przebywając zimą w dzikiej algonkińskiej rodzinie: „Dzieci wybiegając rano ze swej chaty, krzyczą na całe gardło: »Przyjdźcie świnie, prosięta, przyjdźcie bobry!« Albo też zwracają się do bóstw „Manitou i Dobrej Mądrości” krzycząc: »Dajcie nam jeść!« Oto ich cały poranny pacierz”.

Maria nie mogła również wyjść z podziwu nad działaniem łaski Bożej w tych jeszcze tak dzikich dzieciach. Pi-

sze: „Dziewczynki nasze nigdy nie zapominają o rachunku sumienia i o wzajemnym napominaniu się, a czynią to z taką prostotą, że można podziwiać. Same proszą czasem, aby je karać, by mogły w ten sposób odpokutować za swoje grzechy na tym świecie. Gdy jedną z nich surowo ukarałam, a potem zapytałam, co myślała o tym napomnieniu, odpowiedziała: »Myślałam, że muszą mnie bardzo lubić, że tak mnie strofują, aby mi dać trochę rozumu, którego nie mam. Jestem o wiele bardziej winna niż moja towarzyszka, bo ja byłam pouczona, a ona żyje jeszcze w ciemności i nieświadomości«. Największa ich przyjemność to taniec według krajowego zwyczaju. Lecz czynią to tylko za szczególnym pozwoleniem. Gdy pewnego razu przyszły mnie prosić o



pozwolenie w piątek, powiedziałam im, że w tym dniu Pan Jezus umarł i że to jest dzień smutku, a to im wystarczyło. »Nie będziemy tańczyły w tym dniu i będziemy poważne, ponieważ Pan Jezus tego dnia umarł«. Tak łatwo pozwoliły prowadzić się te pocziwe dzieci, zarówno siedemnastoletnie, jak siedmio i pięcioletnie”.

Wychowawczynie odkryły w nich wiele zdolności, również i do gry na instrumentach muzycznych. Matka od św. Józefa umiała uprzyjemniać im chwile różnymi rozrywkami. „Nasze dzieci naśladują nas we wszystkim, zupełnie dobrze udają się im ukłony, zwłaszcza gdy chcą naśladować panią de la Peltrie. W Wielki Piątek, gdy zauważyły, że zakonnice zdejmują obuwie i oddają pokłony przy adoracji krzyża, dziewczynki również pościagały swe buciki i naśladowały wszystkie ruchy, które zauważyły u Matek. Gdy czasem nasza fundatorka prowadzi je do mieszkania św. Józefa, wspinają się na paluszkach to z tej, to z tamtej strony, pragnąc zobaczyć swych rodziców, ale na pierwszy dany znak przybiegają ochotnie do mistrzyni i okazują jej jeszcze większe pieszczoty niż własnym rodzicom. Pewnego dnia, gdy pani de la Peltrie dwie z nich zostawiła, a sama udała się do Sillery, dzieci przez cały czas płakały i wołały: »Przyjdź Matko, przyjdź droga pani!« Pani de la Peltrie dodaje: „Nie będę opowiadała o tych wszystkich pieszczotach, którymi mnie po powrocie obsypały. Kiedy tylko zauważyły mnie z daleka, chciały przeskoczyć przez płot otaczający ogród, aby jak najprędzej połączyć się ze mną. Doprawdy, gdyby to były moje własne dzieci, nie mogłabym je więcej kochać”.

Wychowanie, które te dziewczynki otrzymały w pierwszych latach od swych rodziców, wcale nie przysposobiło ich do posłuszeństwa i uległości. Wzrastały w zupełnej niezależności, rodzice nie mogli im uczynić najmniejszej uwagi i w żaden sposób nie można było je poprawić, bo w sercach ich tkwiło instynktowne zamięłowanie do życia koczowniczego. Maria od Wcielenia niejednokrotnie zaznacza to spostrzeżenie w swych listach i na ten temat opowiada różne przykłady, z których jeden tu przytaczamy.

Maria Negabama, jedna z tych sześciu dziewczynek, które zostały powierzone urszulanom zaraz na początku, była córką przywódcy Algonkinów Noël Negabamat. Był on pierwszym Indianinem, który się osiedlił i nawrócił w Sillery. Dzięki dobroci pani de la Peltrie dziecko dało się zwabić do klasztoru, a przebrane na sposób francuski zdawało się przez kilka dni zapomnieć o miłej swobodzie i wolności. Po upływie paru dni dziewczynka wyznała swej towarzysze: „Smutno mi, bo nie słyszę już śpiewu ptaków z Sillery, nie mogę skakać po skałach ani bawić się z wiewiórkami, ja tu chyba umrę”. Odezwała się w niej dzika natura. Przedarła się przez ogrodzenie i pobiegła w stronę lasu. Po dwóch godzinach przybyła do domu ojca, ten jednakże gorliwy chrześcijanin, zobaczywszy ją przed sobą w czerwonej pięknej sukience, podartej w strzępy na skutek ucieczki, rzekł surowo: »Moja córko, czy pozwoliłem ci opuścić dom dziewic? Idź niewdzięczna, wracaj z powrotem do domu Jezusa, gdyż nie zostaniesz tutaj !« Dziecko jednak pobiegło w stronę strumyka, by się pobawić. O. Le Jeune, zauważywszy ją z daleka i chcąc ją zmusić do posłuszeństwa, udawał, że chce ją wrzucić do wody. Przerażona wołała: „Ojczy, puść mnie, a zobaczysz, że będę posłuszna”. Nazajutrz, gdy tylko słońce wzeszło, Negabamat odprowadził uciekinierkę do jej wychowawczyń, które przyjęły ją z otwartymi rękami. Maria już odtąd

się nie sprzeciwiała. W siedem lat później wyszła dobrze za mąż, a urszulanki z Paryża i Québec sprawiły jej sute wesele.

Inna z seminarzystek, imieniem Katarzyna, również z tęsknoty uciekła pewnego dnia z klasztoru i udała się do lasu, do swych rodziców. Ci, zdziwieni jej przybyciem, pytali czemu to zrobiła. „Ponieważ mi tam smutno” - odpowiedziało dziecko. Matka nie pytając się już więcej, pozwoliła jej zostać w domu. Po kilku dniach Katarzyna zmieniła swe przekonanie. „Wrócę do dziewic, gdyż mi już nie jest smutno. Doprawdy byłam niemądra, że uciekłam”. „Idź, rzekła matka, i nie wracaj chyba, że same ci rozkażą!” Dziecko udało się w drogę do urszulanek. W czasie podróży przyszła jej na myśl, że może Maria od Wcielenia okaże się surowa i nie zechce ją wpuścić. Mimo to Katarzyna nie czuła się zbита z tropu, wślizgnęła się ze swymi przychodnimi koleżankami w chwili, gdy te wchodziły przez furtę. Potem wszystko jej wybaczone.

Nasze małe uciekinierki, które pociągał z daleka zapach kwiatów i lasów, wkrótce po powrocie ze swej pierwszej wycieczki, poprawiły się. Inne cudem łaski dawały się podporządkować pobożnej atmosferze klasztoru. Do nich należała Agnieszka, której imię tak często powtarza się w korespondencji Marii od Wcielenia. Pisze ona w 1640 roku: „Agnieszka została nam oddana w tym samym czasie, co Maria Negabamat. Imię Agnieszki bardzo do niej pasuje, gdyż swą słodyczą i prostotą przypomina jagnię. Na krótko przed przyjściem do pensjonatu była w lesie zajęta obcinaniem gałęzi. Wtem nadszedł ojciec de Quen. Agnieszka zobaczywszy go, odrzuciła siekierę i zawołała: »Naucz mnie o Bogu!«. Jej słowa wypowiedziane z prostotą, głęboko wzruszyły kapłana. Przyprowadził ją do nas wraz z dwiema jej towarzyszkami. Tutaj były tak pilnym uczennicami, że w krótkim czasie można im było udzielić chrztu. Agnieszka, która liczy zaledwie dwanaście lat, czyni wielkie postępy w poznawaniu prawd wiary jak i w nauce, w robotach ręcznych, a zwłaszcza w obyczajach. Czyta, gra i posiada dużo sprawności w innych zajęciach”.

Dwa lata później Agnieszka i jej dwie towarzyszki zmuszone były spędzić zimę u rodziców, aby im pomóc w polowaniu. Maria opowiada: „Z wielką przykrością wyruszały w tę podróż, ponieważ były pozbawione codziennej Mszy Świętej i sakramentów św. Rodzice ich należeli do najznakomitszych chrześcijan, więc nie można im było tego odmówić. Zaopatrzone przez nas we wszystkie możliwe rzeczy, na które pozwalało nasze kanadyjskie ubóstwo, opuszczały nas ze łzami w oczach. Głównym ich zajęciem miało wyznaczenie pacierzy i ćwiczeń chrześcijańskich, co u tubylców uchodziło za bardzo wielki zaszczyt. W czasie swej nieobecności pisały do nas, tzn. do Wielebnego Ojca, przełożonego domu i do mnie. Tematy ich listów były tak miłe i zawsze nacechowane pobożnością, że wszyscy podziwiali ich zdolności. Gubernator po przeczytaniu listów dziękował nam w szczególny sposób, że w tych dzikich dziewczynkach wychowywanych wśród lasów i śniegów rozbudziły się takie uczucia pobożności i bystrości umysłu, co rzadko się spotyka nawet wśród dobrze wychowanych Francuzek. W listach dzieliły się tęsknotą za Sakramentami św. i prosiły, by skrócić im ich czas pobytu. Pierwszą ich czynnością po powrocie było nawiedzenie Najświętszego Sakramentu oraz ofiarowanie Matce Najświętszej i małemu Jezusowi wonnych wianków z pierwszych kwiatów wiosennych. Wkrótce potem spotkało je nowe nieszczęście. Usłyszały pogłoskę, że rodzice chcą je odebrać, bo uważają, że są już do-

syć wykształcone. Agnieszka i jedna z jej towarzyszek, Anna-Maria, próbowały odwieść swych rodziców od tego zamiaru. Napisały więc dwa listy pełne delikatności i prostoty, do których dopisała się też Maria od Wcielenia. Agnieszka pisała: „Bracie mój, powzięłam niezłomne postanowienie pozostać dziewicą i kochać jedynie Tego i służyć jedynie Temu, który wszystko uczynił. Pragnę całe moje życie mieszkać tutaj i nauczać dziewczynki mojej narodowości. Pociesz się, mój Bracie, moje serce, ponieważ już nie wrócę do ciebie. O tobie, jak długo żyć będę, nie zapomnę. Modlić się będę za ciebie do Boga w tym domu modlitwy”. Anna-Maria w podobny sposób wyrażała swe uczucia. Ale o. de Quen, który prawdopodobnie był powiernikiem tych dwu dziewczynek, radził im, by poszły za wolą rodziców, gdyż to nie przeszkodzi spełnieniu ich zamiaru, jeśli on od Boga pochodzi.

Agnieszka umarła w krótkim czasie jako dziewica w szesnastym roku życia, ale niestety daleko od Québec, pozbawiona wszelkiej pociechy religijnej. Umarła jednak pięknie, pocieszając się aż do ostatniej chwili śpiewem pobożnych pieśni, jakie umiała.

Żadne jednak z tych tubylczych dziewcząt nie pozostawiło takiego głębokiego wspomnienia jak Teresa Huronka. Jej imię zapisane jest w aktach męczenników kanadyjskich. Rodzina Teresy należała do tych, które pierwsze przyjęły prawdziwą wiarę w tym odległym kraju Huronów. Była to rodzina świętych. Józef Taondechorin, który Teresę przyprowadził do urszulanek, cieszył się szczególnymi względami Marii od Wcielenia. Na wiosnę 1640 roku przyprowadził trzynastoletnią Teresę i oddał ją siostram. W krótkim czasie Teresa stała się apostołką. Maria opowiada: „Dwaj Hurońscy neofici, spędzając zimę w Québec w celu przygotowania się do chrztu, przychodzili codziennie do furty, by słuchać pięknych opowieści zarówno małej Tereski, jak i siostry od św. Józefa, która już wówczas mówiła po hurońsku. Zachwycali się obydwoma i nie mogli sobie wytłumaczyć, skąd siostra od św. Józefa, która nigdy nie była w ich kraju, potrafi mówić ich językiem. Z drugiej strony, skąd ich rodaczka zna tyle pięknych rzeczy o Bogu i nowej religii. Słuchali ich z nadzwyczajną uwagą.

Pewnego razu, kiedy jeden z neofitów, który już niedługo miał być ochrzczony, udawał, że nie wierzy w Boga i nie chce nawet słyszeć o chrzcie, Teresa cała podniecona zawołała: »Jak możesz tak mówić. Widzę, że szatan pomieszał ci wszystkie zmysły, by cię zagarnąć dla siebie. Kto wie, czy dziś nie umrzesz i nie pójdziesz do piekła, by się tam piec w ogniu z szatanami!« Neofici zaczęli się śmiać z tych gróźb, co pobudziło tylko Tereskę do nowych argumentów. Na koniec widząc, że dowody jej nie skutkują, przybiegła do nas i ze łzami w oczach opowiedziała swe zmartwienie. »Ach, on już jest zgubiony. Porzucił świętą wiarę i nie chce być ochrzczony. Taką przykrość odczułam, gdy mówił przeciw Bogu, że gdybym mogła przełamać kraty, zbiłabym go porządnie«. Poszliśmy zaraz zbadać usposobienie neofity, ale on zapewnił, że to tylko żart i chęć wypróbowania wiary i gorliwości Teresy. Chrześcijanie ci, powróciwszy do swego kraju, nie szczędzili pochwał swej rodaczce i mówili do misjonarzy: »Ona będzie z pewnością najznakomitszym umysłem między Huronami, gdy do nich powróci, zaś ta, która ją tego wszystkiego nauczyła, jest najznakomitszym umysłem między Francuzami«”. Po upływie dwu lat spę-

dzonych w klasztorze na Basse-Ville rodzice przyszli ją odebrać. Troje z jej rodziny przybyło prosić o nią przełożoną.

Maria od Wcielenia opowiada: „Tak pięknymi słowami o nią prosili, że byliśmy wzruszone. Poczciwi ci ludzie uważali to za cud, że Teresa umie czytać i pisać i mówi dwoma czy trzema językami. Nie wiem, kto odczuł więcej bólu - czy ona opuszczając nas, czy my tracąc to drogie dziecko”. Lecz o. Jogues swym przemówieniem o posłuszeństwie skłonił wreszcie dziewczynkę do opuszczenia klasztoru.

„Przykrość, jaką odczułyśmy z powodu jej wyjazdu, powiększała jeszcze tajemnicza obawa, która się wnet spełniła. O. Jogues, który towarzyszył wyprawie Huronów, umieścił Teresę na jednej z większych łodzi, gdzie byli trzej jego słudzy. Zaledwie odpłynęli piętnaście mil, gdy napadła na nich banda Irokezów. Huroni bronili się dzielnie, lecz byli mniej liczni i zostali zmuszeni do ucieczki. Teresa spędziła w niewoli trzy lata i była świadkiem męczeństwa odważnych misjonarzy”.

Józef, wuj Teresy, któremu udało się zbiec z niewoli, przybywszy do Québec opowiadał siostrze wiele szczegółów: „Teresa nie wstydzi się wyznać, że jest chrześcijanką, modli się publicznie, spowiada się przed O. Jogues i rozmawia z nim, ile razy go spotka. Smuci się czasem, że musi mieszkać między swymi nieprzyjaciółmi. Dużo wycierpiała tej zimy z powodu mrozów, zachorowała nawet ciężko, lecz Bóg w dobroci swej przywrócił jej zdrowie. Często jej powtarzałem: »Miej cierpliwość, twoje cierpienia i trudy skończą się wkrótce, a jeśli wytrwasz, żyć będziesz szczęśliwie przez całą wieczność w niebie«. Biedactwo nie ma nawet różańca, modli się na palcach lub nabierawszy odpowiednią liczbę kamyczków upuszcza je po każdym *Ave Maria*. Często wspomina o was, Drogie Matki, i mówi: »Gdyby dziewice widziały mnie w tym stanie, ulitowałyby się nade mną. Cierpię bardzo, bo muszę żyć wśród okrutnych Irokezów«”. Przełożonej urszulanek to wystarczyło, by zająć się oswobodzeniem swego dziecka. Potrafiła tak zręcznie zainteresować losem Teresy najwyższą władzę kraju, że na wielkim zebraniu tubylców, które odbyło się w Trois-Rivières w 1645 roku panu de Montagny udało się - między innymi pokojowo załatwionymi sprawami - wykupić Teresę za pewną sumę.

O. Le Jeune, świadek poświęcenia urszulanek, tak pisze w swej *Relacji*: „Nigdy nie widziałem matek tak zatroskanych o dobro swych dzieci jak pani de la Peltrie i urszulanki o swoje małe seminarzystki. Wydaje się, jakby serca i ręce miały na to stworzone, by pielęgnować te małe roślinki i czynić je godnymi ogrodu, jakim jest Kościół Katolicki”. Następnie opisuje ich ubogie mieszkanie, zawsze zapełnione Indiankami: „Każdy może sobie wyobrazić niedogodności spowodowane ciasnotą ich mieszkania, lecz śmiało mogę powiedzieć, że go nawet nie odczuwają. Na widok ich ofiarności każdy odczuwał, że chętnie zniosłyby jeszcze większe trudy, byleby tylko doprowadzić do nieba wszystkie te dusze. W następnym roku miały więcej już niż 50 seminarzystek”. Maria pisze: „Nasz dom zaludnia się zwykle zimą, gdyż Indianie udają się wtedy na sześciomiesięczne polowanie, zostawiając nam swe córki na wychowanie. Czasem ten pobyt jest dla nas bardzo cenny, bo w lecie matki zatrzymują swe dzieci w domu i zatrudniają je pracą w polu”.

Nieunikniona zmiana miejsca pobytu: w zimie w klasztorze, a w lecie w domu oraz usposobienie dzieci, pomogły zrozumieć Marii od Wcielenia, w jaki sposób nauczyć je zasad wiary, utwierdzić w cnotach i wyrobić w nich mocny chrześcijański charakter tak, by umiały w przyszłości znosić cierpliwie i pobożnie swój los w nędznych chatkach w lesie. Niejednokrotnie zalecano Marii od Wcielenia, by wpływała na dzieci i zmuszała je niejako do poddania się mentalności francuskiej. Wielka urszulanka uważała jednak, że stosowanie tej metody do ogółu jest niemożliwe i przyszłość wykazała słuszość jej zapatrywań. „Życie dzikich z powodu wielkiej swobody, jaką się cieszą jest im tak drogie, że chcąc ich zmusić do życia według europejskich zwyczajów, trzeba by wprost cudu. Kobieta u Indian, jak i u wielu pogańskich ludów, jest cała oddana pracy, podczas gdy zajęciem mężczyzny jest polowanie, żegluga lub wojna. W czasie wojny w wyprawach biorą udział zarówno mężczyźni, jak i kobiety, nie tylko żony, ale i córki, gdy tylko podrosną. Kobiety zajmują się gospodarstwem, obdzierają z skóry upolowaną zwierzynę, przyprawiają mięso i ryby, rąbią drzewo, przygotowują szałas i niezbędne sprzęty domowe, nawet kołyski dla dzieci, wyrabiają specjalny rodzaj obuwia, sanki i łodzie z kory. Mężczyzna po powrocie do szałasu z polowania lub wyprawy zapala fajkę i spokojnie przypatruje się pracy swej żony i córek. Można stąd wnosić jak wielkiej pracy i czasu potrzeba, by zmienili zupełnie swój sposób życia, który stał się ich drugą naturą”.

Mimo to dzięki wpływom wychowawczym urszulanek na ich seminarzystki udało się rozszerzyć styl francuski i pogłębić poziom religijny. Dziewczęta te dopomagały siostram w innym jeszcze apostołstwie nie mniej ważnym - w pouczeniu kobiet i dziewcząt indiańskich, które przybywały na kilka dni do klasztoru, by się lepiej przygotować do chrztu św. czy przyjęcia Komunii św. Misję tę spełniały często i wobec mężczyzn cisnących się do furty klasztornej. Liczba tych wizyt powiększała się z roku na rok i dochodziła nawet do ośmiu tysięcy rocznie. Maria od Wcielenia pisze: „Jaka to niewypowiedziana przyjemność widzieć się otoczoną gromadką tych biednych kobiet, odzianych w grubą skórę lub kawałek materiału, dalekich od elegancji pań francuskich. Ale za to szczerść ich i prostota są tak wzruszające, że aż trudno to określić. Często widzę u swoich stóp klęczących sławnych naczelników, którzy wyciągając błagalnie ręce proszą mnie, bym ich nauczyła modlić się do Boga. Wtedy mogę im mówić, co tylko chcę, pewna wpływu na ich dusze.”

W liście z dnia 30 września 1641 roku Maria od Wcielenia donosi: „Wczoraj rozmawiałam z jednym z naczelników, który zapomniał się tak dalece, że udał się na polowanie z poganami. Po powrocie złożył mi wizytę, więc go zapytałam: »Czy i nadal chcesz urządzać takie złośliwości jak dotychczas? Powiedz mi, czy wierzysz w Boga? Czy chcesz Mu być posłuszny?« Odpowiedział mi: »Och, tak, bardzo kocham Boga! Postanowiłem Mu być posłuszny i wierzę w Niego. Aby Mu to lepiej okazać, opuszczę tę kobietę i osiade między chrześcijanami. Bardzo mnie boli, że zagniewałem Tego, który wszystko dla mnie uczynił«. Dałam mu krótkie upomnienie, pocieszyłam go i pochwaliłam jego zamiar, który był rzeczywiście szczerzy. Głośno wyznawał swe grzechy, nie zważając na obecność innego tubylca. Przyjmował zaś z taką pokorą moje uwagi, że każdy widząc to wzruszyłby się na pewno”.

Maria od Wcielenia miała między gorliwymi chrześcijanami jakby dzieci duchowe, z którymi lubiła utrzymywać korespondencję. Wspomina: „Lubię słuchać rozmawiającego Karola, Pigaroucha, Noëla, Negabanata i Trigalina. Nie opuściłabym tej przyjemności, chociażbym miała do wyboru sposobność słuchania europejskiego mówcy. W ich rozmowach przebija taka ufność w Boga, tak wielka wiara i żarliwość, że pobudza do zachwyty i czulej pobożności. Zawsze są gotowi oddać życie dla Jezusa, chociaż jako dzicy, z natury obawiają się bardzo śmierci. Niedawno Pigarouch tak mówi: »Nie żyję już dla zwierząt ani dla pięknej odzieży ze skórek bobrów, jak to dawniej czyniłem, ale żyję i należę do Jezusa. Gdy idę na polowanie, powtarzam: Mój Jezus, wielki Naczelniku, ufam Ci zupełnie, rób ze mną, co Ci się podoba – zatrzymaj zwierzęta, by nie uciekały przede mną, ale jeśli chcesz, bym umarł z głodu, chętnie na to się zgodzę«. W swoich potrzebach zwykle modlił się: »Dobrze czynisz, masz słuszność nie dając mi tego?».

W jednym ze sprawozdań z 29 września 1642 roku, Maria od Wcielenia w następujący sposób opisuje stałość pewnego młodego neofity: „Dosyć długo wypytywałam go o tajemnice wiary św. i byłam zachwycona widząc, iż on zna je głębiej niż tysiące chrześcijan uważających się za uczonych. Nadano mu na chrzcie imię Augustyn. Raz podczas polowania był zmuszony przestawać ze swymi rodakami, jeszcze poganami, którzy są najbardziej skłonni do występku. Swymi namowami nie tylko nie zdołali go zachwiać w jego przekonaniach, ale dali mu sposobność do utwierdzenia się w wierze i cierpliwości. Gdy wrócił na święta Wielkanocy, zapytałam go, jak przeżył ten czas. Odpowiedział mi: »Szatan strasznie mnie kusił«. A co uczyniłeś, by go odpędzić?. »Trzymałem w ręku szkaplerz, który mi dałaś, robiłem znak krzyża św. i powtarzałem: »Jezu, miej litość nade mną, gdyż Ci ufam. Ty mnie będziesz sądził, odpędź więc szatana, by mnie nie kusił«. Tak przez modlitwę zwyciężył ten dobry neofita swoich wrogów, zarówno wewnętrznych, jak i zewnętrznych.

Jeszcze jedno wspomnienie z tego czasu jest jakby dalszym ciągiem tego samego opowiadania: „Olbrzymia rzeka św. Wawrzyńca, tego roku zupełnie pokryta lodem, ułatwiała naszym tubylcom przechodzenie na drugą stronę. W Wielką Sobotę rano przebiegli prawie bez tchu przez rzekę, by się wyświadczyć i przyjąć Komunię św. Ponieważ mieszkamy tuż nad brzegiem św. Wawrzyńca, spostrzegłszy nas z daleka pytają: »Powiedzcie nam, czy to dziś jest dzień Wielkiej Nocy, której Jezus zmartwychwstał? I czy dobrze zrozumieliśmy nasze „masanoigan“? (Jest to papier, w którym się zaznacza dni i miesiące). Odpowiedziałyśmy im: „Tak, lecz już jest późno i możecie nie zdążyć na Mszę Świętą”. Na te słowa poczęli jeszcze szybciej biec i przyszli do kościoła. Jak jeleń spragniony do źródła, tak każdy z nich biegł do Stołu Pańskiego, ponieważ przez cztery tygodni pozbawieni byli tego szczęścia. Przychodzili też do naszego kościoła, by oddać pokłon utajonemu Panu i prosili nas, byśmy im pomogły dziękować Bogu za obfity połów w czasie polowania”. Poczciwy Karol, o którym kilkakrotnie wspomina Maria od Wcielenia, pochodził z Tadoussac. *Relacja* jezuitów wyraża się o nim jak o świętym. Ochrzczony zaledwie przed sześcioma miesiącami, chodził od osady do osady, wszędzie głosząc naukę Jezusa Chrystusa, od Québec aż do Saguenay. Maria mówiła, że jedno jego kazanie wywierało większy wpływ niż kazania stu mówców wygłaszanych przez szereg lat. Maria pisze: „Przed dwoma dniami miałam znów przyjemność rozmawiać z nim, opowiadał mi o swoich przemowach i o sposobie, ja-

kiego używa, by nakłonić dzikich do słuchania nauk o. Le Jedne. By go jeszcze więcej zachęcić na tej drodze, powiedziałam: „Dam ci obrazek i świecę, byś miał się przed czym modlić w czasie polowania rano i wieczór”. Uradowany pokazał mi zaraz, w jaki sposób będzie się modlił do Boga. Porozkładał swe obrazki, ukląkł, pobożnie uczynił znak krzyża św. i modlił się dosyć długo i z takim zapalem, że mi się wydawało, iż jest w zachwyceniu. W czasie misji opiekował się o. Le Jeune, obawiając się, by dzicy nie zrobili misjonarzowi czegoś złego. „Mój Ojciec - mówił do niego - noszę przy sobie rewolwer, by cię w razie potrzeby obronić. Będę chodził za tobą krok w krok, ponieważ jest dużo złych, którzy nie chcą przyjąć Dobrej Nowiny”.

Innym razem znowu przyszedł odwiedzić urszulankę i rzekł: „Proszę cię, pożycz mi krzyżyk, ale dość duży, zrobię sobie pudełko, by go nie zniszczyć”. Maria relacjonuje: „Gdy go spytałam, co z nim zamierza zrobić, odpowiedział: „Chcę iść pomagać w nawracaniu mojego ludu. Są miejsca na drodze do ich osad bardzo niebezpieczne, trzeba skakać przez rzekę lub czołgać się na kolanach, ale ja odważę się na tę podróż. Pójdę nawracać swych braci”. Pochwaliłam jego zamiar i dałam mu mój krzyżyk, który on ze czcią ucałował i uściskał”.

Wróciwszy z tej podróży Karol przybiegł zaraz do urszulanek. Maria od Wcielenia pisze o tym: „Gdy mnie zobaczył, wykrzyknął wesoło. „Czy wiesz, co ja zrobiłem? Uczyłem małych i dużych, mężczyzn i kobiety, młodych i starych, gdzie tylko kogo spotkałem. I tak do nich mówiłem: »Porzucicie już wasze szaleństwa. Takie postępowanie jak wasze do tej pory byłoby zrozumiałe, gdybyście się sami stworzyli lub gdybyście na ziemi mieli żyć wiecznie. Ale jest Bóg, który stworzył niebo i ziemię, i wszystko, co istnieje. Wybierajcie. Są dwie drogi: jedna prowadzi do piekła, tam, gdzie mieszkają szatani, a druga wiedzie do nieba, tam, gdzie przebywa Ten, który wszystko stworzył. Mnie nie obchodzą bogactwa tego świata, wszystko mi jedno, czy jestem ubogi czy bogaty, głodny czy zmęczony, czy mam żyć, czy mam umrzeć, bo wszystkie te rzeczy przechodzą bardzo szybko. Gdy będziemy umierać, musimy i tak wszystko opuścić«. Potem zwracając się do mnie, rzekł mi: „Ci wszyscy, których pouczałem, nie są jeszcze ostatecznie oświeceni, ale poczekaj trochę, a oni uwierzą”.

Wymieniamy jeszcze jednego z codziennych gości urszulanek. Był to niejaki Wiktor, który dzielił wraz z Karolem gorliwość o chwałę Bożą, ale z powodu słabej pamięci nie mógł tak jak tamten szerzyć ukochanej nauki. O. Vimont mówi: „Widziałem, jakie czynił nadludzkie wysiłki, by się nauczyć pacierza tak, że mimo chłodnego dnia pocił się biedak, trudząc się powtarzaniem pacierzy. Mimo słabej pamięci, żyje w ciągłej obecności Bożej i w wielkim zjednoczeniu ze swym Stwórcą, a uważa się za złego chrześcijanina, bo jak mu się wydaje, nie czyni tego, co inni”. Maria od Wcielenia pisze o nim: „W swej pokorze przychodzi często do naszej furty i mówi: »Niestety, znów zapomniałem pacierza. Naucz mnie modlić się«. Z wielką cierpliwością słucha, gdy mu się dziesięć lub dwanaście razy powtórzy modlitwę. Przekonany, że już umie, odchodzi do chaty, ale ledwie tam dojdzie, wszystko zapomina, wraca znów do nas, naśmiewając się ze swej głupoty i prosi, byśmy go zaczęły uczyć na nowo”.

Opowiadanie to jest podobne do historii pewnej tubylczej kobiety. W chwili, gdy zakonnica męczyła się bezowocnie, by ją nauczyć pacierza, ta upadła do jej nóg i rzekła: »Nie wstanę

prędzej, dopóki się nie nauczę». Bóg rzeczywiście pobłogosławił jej gorliwość, gdyż pacierza łatwo się nauczyła i wszystkich innych prawd wiary. Inna znów Indianka tak przejęła się przykładem Zbawiciela, że publicznie kazała się biczować za jakiś występki. Wkrótce jednak poznano się na jej niewinności, gdyż wcale nie popełniła tego występkę i udzielono jej chrztu św. W dniu oznaczonym przyszła wczesnym rankiem do mnie i rzekła, że tu będzie czekać na księdza: »Tak, chciałam znieść to upokorzenie, by się lepiej przygotować do chrztu i zniosłam wszystko w cichości, bo Jezus to samo dla mnie wycierpiał«. Kazałam dać jej imię naszej Matki Anieli, ponieważ Bóg nawrócił ją w domu jej córek».

Maria donosi swemu syna: „Nie mogę ci wszystkiego opisać o tych nowych roślinkach naszego Kościoła. Jesteśmy bardzo wzruszone objawami łaski Bożej, ale powoli przyzwyczajamy się do nich. Francuzi natomiast, widząc wilki zmieniające się w baranki, płaczą i śmieją się z radości. Naczelnik tubylców osiadłych w Sillery zanim wyruszył na wojnę, przyszedł do mnie mówiąc: »Moja Matko, przychodzę do ciebie, aby ci powiedzieć, że idziemy na wojnę przeciw Irokezom, którzy nas już od dawna napadają. Obojętne mi czy zginę, ale muszę bronić ciebie, naszych przyjaciół Francuzów i tych, którzy nas uczą. Idziemy na wojnę nie dlatego, że nas napadają, ale że zabijają naszych przyjaciół. Módl się za nami, bo obraziliśmy Boga i On nas teraz karze«».

Te wszystkie wizyty przy furcie i nauki duchowe nie odbywały się bez uczynków miłości co do ciała. Maria pisała: „Przychodzą czasem miesiące głodowe na tych biedaków tak, że umierają prawie z głodu. Wędrują nieraz dwie albo trzy mile, by znaleźć trochę jagód lub korzonków, których nikt z nas by nie jadł. Martwimy się, widząc ich w tym stanie. Osądź sam, czy jest możliwe, aby człowiek widząc taką nędzę mógł odesłać tych biedaków bez posiłku?» I dalej dodaje: „Zresztą bardzo proste są obiady, które otrzymują. Dajemy im porcje *sagamité*, zrobione z mąki indyjskiej i grochu. Potrawa ta uchodzi u dzikich za wielki przysmak. Podajemy im potrawy w miseczkach z drzewa lub kory, które służą również ich naczelnikom. Zamiast łyżeczek mają duże łyżki jak do nalewania wody. Ponieważ tylko głód wskazuje im godzinę posiłku, dlatego musimy mieć zawsze pożywienie w pogotowiu dla tych, którzy jeszcze mogą nadejść». Po spędzeniu drugiej zimy w Québec Maria od Wcielenia tak pisze do ukochanej matki Urszuli: „Opatrzność Ojca Niebieskiego zaradziła cudownie potrzebom tak, że gdy jeden kocioł się opróżnił, drugi już był przygotowany».

Od czasu do czasu urządały urszulanki wspanialsze uczty. Jedną z nich mamy opisaną przez naszą Świętą: „Aby przyjąć od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu tubylców, potrzebujemy dwa kosze czarnych śliwek, cztery bochenki sześćofuntowego chleba, cztery miarki mąki grochowej lub ze zboża indyjskiego, dwa lub trzy funty słoniny i tuzin świec łojowych. Wszystko musi być bardzo tłuste, by było według ich upodobań. Radość ich jest tym większa, gdy w uczcie biorą udział francuscy kapitanowie, których uważają za książęta. Taka biesiada, przy której widzą się złączeni, jest dla nich najdroższą chwilą. W ten sposób przy pomocy materialnych środków zyskuje się te dusze dla Boga». Uroczyste uczty odbywały się z okazji chrztu lub ślubu tubylców w kaplicy urszulańskiej. Indianie ze swej strony pragnęli także odwzajemnić się. Maria

tak pisze o tym: „Po zakończeniu polowania przywożą wielkie sztuki mięsa, które przyjmujemy, by ich ucieszyć, ale ledwie możemy znieść nieprzyjemny zapach tego mięsa, które oni prawie na surowo z największą przyjemnością spożywają”.

Aby dopełnić opowiadania o obyczajach tubylców, dodajemy jeszcze parę słów z listu Marii od Wcielenia do swego syna z dnia 26 sierpnia 1644 roku, w którym opisuje sposób ubierania się Indian. „Ubierają się oni latem w skórę łosia, kwadratową jak koc, przyczepiają ją w ten sposób łańcuszkami, że ramiona są zupełnie wolne. Ciało ich jest prawie brązowe od słońca i tłuszczu, którym się pocierają. Twarz i tułów są pomalowane w czerwone i niebieskie pręgi. Ubranie zimowe, uszyte w ten sposób co letnie, składa się z kilku skór i ma rękawy. Spodnie są również ze skóry. Czasem nakładają kaftan bobrowy, a na głowę czerwoną czapkę. Ubiór kobiet jest bardzo skromny. Składa się z długiej, aż po kostki sięgającej sukni, opatrzonej długimi rękawami i kołnierzem, a przepasanej pasem. Głowę okrywają czepkiem lub czapką bobrową. Włosy zwieszają nad twarzą i wiążą na głowie. Kobiety indiańskie są bardzo skromne i trzymają się na uboczu. Nasze wychowanki ubieramy w rodzaj tuniki i czesemy na sposób francuski. Gdyby nie ubiór, trudno by było odróżnić kobietę od mężczyzny, gdyż rysy twarzy i cera nie różnią się wcale. Buciki ich są zupełnie podobne do tych, jakie noszą u nas w górach. Jest to kawał garbowanej skóry łosia, na czubku ściągniętej rzemykiem i przymocowanej nim do nogi. Koloniści francuscy noszą zimą takie samo obuwie”.

Przez trzy lata spędzone w Kanadzie Maria od Wcielenia myślała nieustannie o spełnieniu polecenia danego jej przez Pana Jezusa zaraz po widzeniu tego kraju. „Trzeba, mówił jej wówczas Pan Jezus, abyś się udała do Kanady i wzniosła tam dom Jezusowi i Maryi”. Głos ten powtarzał się często i pomagał jej zwalczać wszelkie przeszkody, zapominać o sobie i swych potrzebach. „Zrozumiałam, że Bóg nie tyle pragnie przybytku materialnego, lecz aby położyła fundament pod nową wspólnotę, która przez wychowanie dzieci rozprzestrzeniałaby życie chrześcijańskie i podtrzymywała je w kolonii”.

Jedną z trudności w zbawiennym działaniu była przynależność sióstr do dwóch różnych kongregacji: paryskiej i burdygalskiej. Stąd też wynikały różnice w ich Konstytucjach i zwyczajach, które trzeba było ujednolicić. Zawsze jest rzeczą trudną i odpowiedzialną zmienić cokolwiek w zakonnych zarządzeniach, gdyż Kościół sam udziela różnych wskazówek i wchodzi w najdrobniejsze szczegóły życia zakonnego. Maria od Wcielenia, przeświadczona o trudności powierzonego jej zadania, umiała jednak swą pobożnością, zakonnością i roztropnością skutecznie to w krótkim czasie. O. Vimont w zastępstwie biskupa, którego Kanada jeszcze nie miała, otrzymał decyzje wspólnot z Tours i Paryża. Tak więc w nowej wspólnocie pogodzone wszelkie różnice, wynikające z przepisów macierzystych klasztorów. Zakonnice z Tours przyjęły czwarty ślub urszulanek paryskich, obowiązujący je do kształcenia młodzieży, a paryskie siostry zgodziły się na przyjęcie ubioru używanego w Tours, nieco odmiennego od stroju kongregacji paryskiej.

Akt Unii z dnia 8 września 1644 roku przewiduje wszelkie przyszłe trudności, a mianowicie, czy to z powodu rozwiązania wspólnoty w Québec, czy to z powodu powrotu sióstr do Francji. Akt reguluje także warunki przyjęcia nowych profesek przybywających do Kanady i stwier-

dza, że nowe Konstytucje mogłyby być zmienione tylko po gruntownym zbadaniu i zgodzie sióstr wyrażonej przez głosowanie.

Cały ten akt tchnie duchem Marii od Wcielenia, która mu dała początek. Wiele mówiono o nim we Francji, tak w zgromadzeniach zakonnych jak i wśród duchowieństwa. Uważano odtąd Marię od Wcielenia za pełną zasług, a Akt Unii za podwalinę późniejszej unii urszulanek w całym państwie. Mimo wzrastających trudności, Maria od Wcielenia trwała przy swym przedsięwzięciu i w duszy żywiła nadzieję, że kiedyś połączą się wszystkie córki św. Urszuli w jedną całość, czyli w jedną rodzinę.

Gdy wojna i głód zagroziły nowej kolonii i wspólnocie, Maria tak odpowiedziała arcybiskupowi z Tours, który namawiał swą duchowną córkę do powrotu do Francji: „Nic ziemskiego nie zdoła mnie oderwać od mego środowiska, od mego raj, nic, co nie ma na celu połączenia naszych Kongregacji, ponieważ dla Bożego dzieła poświęciłam wszystko i poświęcę nadal prócz zbawienia duszy i dopuszczenia się grzechu”. Po załatwieniu wszystkich spraw mała wspólnota w Québec zabrała się z nowym zapałem do pracy nad własnym udoskonaleniem i zbawieniem dusz. Maria wyrażała raz po raz siostronom we Francji radość z powodu gorliwości swej wspólnoty. Píše: „Odbieramy przedziwne łaski, które łączą nas coraz ścisłej z naszym Zbawicielem”.

One to pomagały siostronom w znoszeniu cierpień i trudności spowodowanych ciasnotą mieszkania. Aby Zakon mógł działać bardziej owocnie na zewnątrz, potrzebował do tego większego i obszerniejszego pomieszczenia dla dziewcząt i dla sióstr. Towarzystwo „Stu Stowarzyszonych”, już od roku 1637, przeznaczyło urszulankom obszar ziemi niedaleko morza. Urszulanki przyjęły miejsce, gdzie z czasem miał stanąć klasztor. Maria od Wcielenia chwali tę okolicę i pisze, że jest najpiękniej położona w całym kraju i bardzo zdrowa. Ale z obszaru nie można było od razu skorzystać, gdyż był zalesiony i trzeba było tysiąca rąk, by go oczyścić i wykarczować. Robotników sprowadzono z Francji na dwa lub trzy lata za bardzo wysoką opłatą. „Prosiłyśmy o nich w 1640 roku, lecz nie przysłano nam ani jednego, a nawet zaznaczono, że nie miałybyśmy ich czym żywić, utrzymując seminarzystki. Tak więc pozostaniemy jeszcze w naszej chacie, dopóki dobroci Bożej spodoba się nas wesprzeć. Nasza fundatorka pragnie nam pomóc, lecz krewni nie pozwalają jej skutecznie tych dobrych zamiarów”.

Maria od Wcielenia, natchniona mądrością z góry, nakreśliła plan budowy klasztoru, przewyższający wszelką roztropność ludzką. Obszar pod fundamenty miał wynosić 92 stopy długości, 28 szerokości. Przestrzeń ta była bardzo duża, zwłaszcza dla Québec, a całość kosztów budowy miała wynosić 50 milionów.

Już w roku 1641 pani de la Peltrie, ku wielkiej radości całej kolonii żywo zainteresowanej tym wszystkim, położyła pierwszą cegielkę pod budowę klasztoru. W owym czasie pieniądź był rzadkością w Kanadzie, zwłaszcza u urszulanek. W trudnych latach dochody, z których czerpała m. Maria od Wcielenia nie przynosiły więcej niż dwa tysiące rocznie i nawet, aby uzyskać tę kwotę, zmuszona była zwracać się kilkakrotnie do swych przyjaciół we Francji.

Maria od Wcielenia pisała do jednej ze swych przełożonych: „Czcigodna Matko, pragnienie zbawienia dusz naszych dzikich dziewcząt zachęca mnie do błagania o litość dla nich po wszystkich ulicach waszych miast i proszenia o jałmużnę od drzwi do drzwi. Jeśli uda się zebrać między znajomymi choćby małą sumę, to prześlij ją pobożnemu panu de Bernières, który zajmuje się troskliwie budową naszego domu”. Inna z zakonnic tak pisze: „Prawdą jest, Matko, że nam potrzeba przynajmniej pięć tysięcy, by spłacić robotników i materiał budowlany, a także przygotować choć małe zapasy żywności. Potrzeba ta zmusza nas do obejścia się tego roku nawet bez najpotrzebniejszych rzeczy, by tylko skłonić naszych przyjaciół do przesłania nam potrzebnej kwoty”.

Pomimo tych kłopotów finansowych i zawieszenia pracy w niedogodnych porach roku, większą część budynku wzniesiono w ciągu dwu lat. Doświadczenie Marii zdobyte w przedsiębiorstwie swego szwagra przydało się teraz w uciążliwych latach pracy w Kanadzie. Sama o tym pisze: „Dzięki Miłosierdziu Bożemu umysł mój i serce są w takim pokoju, jakbym nie miała nic do czynienia i jakbyśmy były bardzo bogate. W tym stanie duszy utrzymuje mnie Opatrzność Boża, odkąd tylko pamiętam. Doświadczyłam już tego w dzieciństwie, opierając się na słowach Zbawiciela, że kto zaufa Bogu, ten nigdy nie będzie zawiedziony”.

ROZDZIAŁ XII

Cierpienia wewnętrzne. Nagroda niebieska.

Dwa powołania – (1640 – 1643)

Maria od Wcielenia pisała do syna zaraz w pierwszych dniach pobytu w Québec: „Nie myśl, że na twą prośbę, bym ci opisała szczerze, co cierpię, będę ci mówiła o rzeczach materialnych, o niewygodach i troskach. O nie, to wszystko jest słodkie i o tym się nie myśli, choć tego jest bez liku. Widzę wszędzie róże i czuję się aż za dobrze tak, że radość, którą odczuwam, budzi we mnie nieraz wyrzuty sumienia. Nie rzeczy przemijające, ziemskie sprawiają cierpienia, lecz doświadczenia Boże, które On zsyła na duszę. One to sprawiają więcej przykrości niż męczarnie i tortury”. Te wyznania pozwalają nam trochę wnikać w duszę naszej Świętej i w istotę tajemniczych nawiedzeń niebieskich, które stanowiły ważną fazę w jej życiu wewnętrznym. Święta wzrastała duchowo i dusza jej nabierała nowych blasków, a cierpienia wyjawione synowi prowadziły ją do stóp Chrystusa.

W jednym z listów do syna czytamy: „Moje serce nie może nie ukryć przed tobą, ponieważ chcesz wiedzieć, ile cierpię z twojego powodu, to przyznam ci się, że w obawie, którą odczuwam, widząc cię wśród tylu niebezpieczeństw w świecie, uczyniłam umowę z Bogiem, prosząc Go, by mi pozwolił przecierpieć karę za twoje grzechy jeszcze w tym życiu, aby ciebie tylko nie pozbawił tych dóbr, o które dla ciebie błagam. Nie twierdzę wszakże, że ty sam jesteś przyczyną moich krzyży, mój synu, gdyż sama z powodu moich grzechów zasłużyłam na tysiące pie-

kieł, lecz prawdą jest, że gdy będzie potrzeba, gotowa jestem cierpieć, mój synu, aż do końca świata, byleby cię Bóg pozyskał. Chętnie zgodziłabym się na to, bo Boska Opatrzność dała mi silne tego pragnienie”.

Łaski Ducha Świętego obficie zraszające nowy Kościół kanadyjski udzieliły wybranym osobom, stanowiącym jego fundament, niezmiernego pragnienia odnowienia się w świętości. „Wydaje się, mówi o. Vimont, że pragnienie oddania się Bogu wzrasta z myślą osiedlenia się w Kanadzie”.

Maria od Wcielenia, dla której już było wyznaczone miejsce między duszami wybranymi, pod wpływem tego uczucia, zaofiarowała się na wszystkie oczyszczające cierpienia, jakie podobałoby się Bogu na nią zesłać. Píše: „Nie mogę zrozumieć, jak można żyć na tej nowej błogosławionej ziemi bez odnowienia się duchowego”. Jakaś konieczność zmuszała ją, by została świętą. Albo umrzeć, albo zezwolić na to cudowne zjednoczenie, jakim obdarzyło ją Słowo Wcielone i kompletne oddanie się Bogu, co sprawiło Mu szczególną radość, nie wykluczyło jednak cierpień i doświadczeń, które zaznaczyły początek jej posłannictwa. Wyznaje: „Czułam się jakby obnażona ze wszystkich darów łaski, ze wszystkich przywilejów zewnętrznych i wewnętrznych, których dawniej udzielał mi Bóg. Uważałam się za stworzenie najniższe i najędzniejsze na świecie, nie mogłam przestać jednak podziwiać dobroci i pokory sióstr, które mnie znosiły i uzależniały się ode mnie. Przygniecioną tym zawstydzeniem, nie śmiałam prawie oczu podnieść i spełniałam najprostsze czynności, nie czując się godną zrobienia czegoś lepszego. Niemniej zmuszałam się w czasie rekolekcji, by uniknąć zwracania na siebie uwagi; ale na zewnątrz wszystkie zajęcia mego urzędu spełniałam z prostotą i swobodą”. „Gdybyś znała, czci-godna Matko, stan mej duszy przez te trzy lata, odkąd cię opuściłam, to zdrętwiałabyś z pewnością. Wiesz, jak nędznym jest stan tych najbiedniejszych wzgardzonych od świata, opuszczonych i którzy mają takie samo o sobie mniemanie. Otóż ja w tym stanie czułam się rzeczywiście tak nieudolna, że ta iskra rozumu, która, jak mi się wydawało, pozostała, zmusiła mnie do milczenia. Przysłuchiwałam się z podziwem i w milczeniu rozmowom sióstr uważając się za bezrozumną. Jednak nie zaniedbywałam naszych spraw, a Bóg doprowadzał je szczęśliwie do końca, chociaż były bardzo zawile. Sama nie wiem, w jaki sposób, gdyż wszystko, co czyniłam, wydawało mi się cześć i bezrozumne”.

Oprócz tego stanu, w którym Maria mogła zaledwie znieść samą siebie, musiała jeszcze - i to przez wiele lat - staczać walki z pokusami nieustannych uprzedzeń i nieżyczliwości dla pewnych pobożnych i świętych osób. Podczas gdy wszyscy uważali ją za łagodną i cierpliwą, ona wyrzucała sobie swe usposobienie prędkie i drażliwe.

Pewnego dnia, gdy była w tym stanie udręczenia, oddano jej w czasie rekolekcji list napisany przez młodego piętnastoletniego chłopca, którego Maria pouczyła o prawdziwej wierze. Udawał się on do Huronów, by oddać się na usługę misjonarza. List napisany z drogi z Trois-Rivières był ułożony bardzo oryginalnie, co mocno zaciekało siostry. Matka, chcąc zaspokoić pragnienie swych córek, zaczęła go głośno odczytywać. Ale nie tylko sposób ułożenia listu był oryginalny, również i treść budziła największe zainteresowanie. Chłopiec dostał przypadkiem

dzieło św. Franciszka Salezego i z przeczytanych fragmentów złożył małe kazanko, które jedynie mogło pochodzić od Ducha Świętego. Młodzieniec pisze:

„Droga Matko! Ach, jak dobrze zrozumiałem teraz, czym jest świat. Miłość własna wygasa dopiero ze śmiercią ciała. Dopóki tu żyjemy, wciąż od niej cierpieć musimy, wystarczy by na jej poruszenia nie zezwolić świadomie i dobrowolnie. Ten brzydki nawyk, który odczuwasz, jest dobrą sposobnością, jaką Bóg ci nastęcza, by cię wyćwiczyć w wierności. Jeżeli zaś upadniesz, natychmiast staraj się błąd ten naprawić przez jakiś akt miłości czy pokuty względem tych osób, do których odczuwasz wstręt, by ich pokochać i chętnie im służyć. Ponieważ nieprzyjaciele z tej strony najwięcej cię atakują, potrzeba, byś się dobrze umocniła i stawiała im opór. Ukrzyżuj więc wszystkie swe uczucia, najbardziej te nieokiełzane, przez unikanie sposobności, które je wywołują. Przede wszystkim - podkreśla młodociany mówca - trzeba mieć serce pełne miłości bliźniego, nawet gdyby on nam był uciążliwy i niemiły, gdyż i wtedy możesz kochać w nim obecnego Chrystusa, a to czyni miłość o wiele lepszą i godniejszą Boga. Poza tym nie mam nic więcej do przekazania. Napisałem i wykończyłem w Trois-Rivières”.

Walcząc wewnętrznie, by się utrzymać w pokoju, Maria skończyła list, a nawet podzielała żartobliwy nastrój sióstr, który z okazji przeczytanego listu trwał aż do końca rekreacji. Oddając list jednej z sióstr, która nie była na wspólnym czytaniu, rzekła do niej: „I ty będziesz się śmiała z listu tego małego klasyka”. Dziwny ten wypadek był jednak moralnym ciosem dla Marii od Wcielenia, miażdżącym ją we własnych jej oczach. Bóg dawał jej odczuć słabość, a równocześnie trzymał ją jakby w zawieszeniu nad podwójną przepaścią swej nieskończonej sprawiedliwości i świętości.

Wyznaje: „Ta przedziwna czystość Boga była dla mnie bodźcem do ciągłego wyniszczania się, znoszenia wszystkiego dla Boga i wzgardzenia wszelką chwałą i zaszczytami. O! któż zdoła zrozumieć drogi świętości Bożej i to, czego Bóg wymaga od duszy powołanej do życia prawdziwie wewnętrznego. Nie można nawet tego wypowiedzieć, jak przenikliwa, jak nieubłagana jest miłość Boża dla tych dusz. Natura posiada różne zakątki, wykrety, istny labirynt, który jedynie Duch Boży zdoła przeniknąć. W tym doświadczeniu dusza moja nie traci jednak sprzed oczu Słowa Wcielonego”.

Ten, który przedtem wydawał się jej tylko miłością i tulił ją w swych objęciach, jest teraz Tym, który ją krzyżuje. Bez ujmowania jej przywileju oblubienicy, chciał ją teraz doświadczyć bez litości według swej Boskiej sprawiedliwości, zakrywając przed nią skutki i długość trwania tych doświadczeń.

Promienie niebieskie, które pokazywały Marii od Wcielenia najmniejsze niedoskonałości jako olbrzymie góry, nie dozwalały jej jednak poznać łask, którymi była zasypana, ani cnót, które z pomocą Bożą wypracowała. Stąd też powstała pokusa rozpaczki znana nawet najświętszym duszom. Przygniatający ciężar tej strasznej pokusy Maria od Wcielenia długo znosiła. Tak o tym opowiada: „Upadłabym pod ciężarem tych myśli, gdyby mnie jakaś tajemnicza siła nie powstrzymywała. Mało korzystałam wówczas z obecności o. Le Jeune, gdyż nie byłam w stanie otworzyć przed nim swej duszy, ale on znał ją na tyle, by współczuć i przewidzieć skutki tego nowego doświadczenia”.

„Stojąc pewnego razu przed Najświętszym Sakramentem, zobaczyłam olbrzymi płomień wychodzący przez okno piwnicy, który wydawał mi się wejściem do piekła. Powodowana moją porywcznością już byłam skłonna przybliżyć się, by sprzeciwić się Bogu, gdyż pokusa pchała mnie do nienawiści Pana. Jego miłosierdzie zatrzymało mnie jednak i w jednej chwili znikło wszystko. Dla zadośćuczynienia sprawiedliwości Bożej zgodziłam się na piekło ze wszystkimi jego wiecznymi mękami, byleby tylko nie być pozbawioną miłości Bożej”. Gdy dusza jej doznała trochę ulgi, wtedy w pokornych zeznaniach wynurzyła się przed swym Mistrzem: „Ty wiesz, mój Boski Oblubieńcze, że przez moje niewierności i nadużycia Twojej łaski dałam pierwszeństwo naturze. Rozmawiając zaś z osobami duchownymi traciłam czas i pozwoliłam sobie na rozculanie się nad sobą, protestując niejako przeciw tej opiece, którą mnie otaczasz. Przyjemność, jaką mi te rozmowy sprawiały, spowodowały dalsze chętne wynurzanie się, a to jest ciężką winą, chociażby się mówiło tylko o rzeczach duchowych. Twoja łaska dała mi poznać całe ich niebezpieczeństwo; bez jej światła popadłabym w wielkie opuszczenie się. Ach ! To jest prawdą, że Ty nie chcesz, bym zbaczała z drogi czystej miłości... I oto przyszłam zbrukać Twój nowy Kościół moimi wewnętrznymi sprośnościami. Sama wykopałam kanały pełne błota zarażającego mnie i gotowego zgubić wszystkich naokoło mnie”.

Pod wrażeniem ponownego wyboru na przełożoną w 1642 roku tak pisze: „Niestety, ciężar włożony mi znów na barki to z pewnością kara za moje grzechy; brzemie to nie pozwala mi zająć się moimi drogimi neofitami. Jedyną ulgą w moich cierpieniach byłaby możliwość poznania i ukochania Ciebie, obowiązki przełożenstwa wydzierają mi to szczęście. O, ześlij na mnie raczej wszystkie możliwe kłopoty, a nie dozwól ostygnać w miłości dla tych dusz”.

W jej relacji znajdziemy dalej następujące zwierzenia: „Nareszcie Bóg powrócił mi dawny stan duszy i pozwolił mi na ufne obcowanie z Sobą... Lecz spodobało Mu się zostawić buntownicze namiętności i niechęć do bliźnich, o których już wspominałam. Mógłby mnie kto zapytać, jak mogę zgadzać się na te brzydkie poruszenia w tym wielkim zjednoczeniu? Sama na to daję odpowiedź, uwzględniając rozwój życia duchowego. Dusza wstępująca na drogę doskonałości pobłaża jeszcze swym namiętnościom i upada często na skutek grzesznych nawyków. Dusza już bardziej posunięta nie zatrzymuje się przy tym, czego żąda skryta namiętność i znosi pokusy jako chłostę bolesną i upokarzającą. Czasem jednak wskutek słabości ludzkiej potyka się, np. o spotkanie się z zaufaną osobą i pozwolenie sobie na słowo żalu lub skargi. Powiedziano mi to lub tamto, spotkała mnie ta obelga itp. Lecz gdy się spostrzeże, czuje się tak zawstydzona, że upadek ten staje się wyborną nauką na przyszłość”.

Maria wyszła z tych pokus pouczona bardziej niż kiedykolwiek o świętości Boga. Pisze ona do swej ukochanej m. Franciszki od św. Bernarda: „Nędzny stan mej duszy i ubóstwo, w którym żyję od trzech lat, niemało mi pomogły do poznania słabości ludzkiej, którą się pojmuje stokroć lepiej w świetle własnej ułomności niż na medytacjach choćby najwznioślejszych”. Z przeżyć wewnętrznych Marii od Wcielenia można by wywnioskować, że Stwórca potwierdził jej ofiarę złożoną za swe jedyne dziecko. Niemożliwe więc było, by syn tylu łez i modlitw, nie mniej oplakany niż św. Augustyn przez św. Monikę, miał marnie zginąć. W chwili, gdy Maria od Wcie-

lenia opuszczała Paryż, Klaudiusz udał się do Orleanu. Jego prośba o przyjęcie do Towarzystwa Jezusowego, chociaż poparta przez wielu ojców jemu oddanych, nie została przyjęta. Jako powód podawano słabe zdrowie, a może uważano, że nie ma dostatecznie rozwiniętego powołania. Ta odmowa wywołała w jego umyśle, już i tak przygniecionym odjazdem Matki, zniechęcenie do wszystkiego. Żadna kariera nie miała dla niego uroku. Jego krewni, obawiając się, by nie był im ciężarem, życzyli sobie, by wyjechał do Kanady. Napisali więc w tej sprawie do Marii od Wcielenia.

Maria odrzuciła ten projekt, pisząc, że Klaudiusz nie ma zdrowia potrzebnego do mieszkania w Nowej Francji. Księżna d'Aiguillon, która prowadziła wtedy korespondencję z Marią od Wcielenia, dowiedziawszy się o smutnym losie jej syna, przyrzekła nim zająć się. Uderzona jego kulturą i bystrością umysłu, w czasie rozmowy z nim ponowiła swe przyrzeczenia. A tymczasem, jak to zwykle bywa, czas upływał, a obietnica się nie spełniała. To wyczekiwanie w stolicy Francji było bardzo niebezpieczne dla młodego Klaudiusza i jego morale dość ucierpiało. W tym czasie jego matka w odległości 15 000 mil, w cichym klasztorze na Basse-Ville wyniszczała się dla niego.

Pewnego dnia 1640 roku, gdy Klaudiusz leżał jeszcze w łóżku, usłyszał nagle kilkakrotne pukanie do drzwi swego pokoju. Narzucił szybko ubranie, otworzył drzwi, lecz nie znalazł nikogo. Gdy jednak powrócił do swego pokoju, pukanie powtórzyło się. Wyjrzał, lecz nikogo nie było. Pokój jego wychodził na długi korytarz, na którym nie mógłby się ukryć żaden tajemniczy gość. Nagle nasunęła mu się myśl, że to jego matka pobudza go do odmiany życia i zajęcia się swym zbawieniem. Równocześnie łaska silniej działająca skłoniła go do tego, że postanowił zupełnie odmienić życie. W tym usposobieniu duszy udał się do o. Rajmunda od św. Bernarda, kochającego go jak syna, i opowiedział mu całe zdarzenie. „Czy czasem ciebie nie pociąga życie duchowne?” – zapytał ojciec. „Nie znajduję żadnego zgromadzenia, które by mi się podobało” – odparł Klaudiusz. Na to ojciec natchniony światłem z nieba zaczął wychwalać benedyktynów z kongregacji św. Maurycego, nowo zreformowanych i liczących we Francji 180 opactw.

Ta rozmowa wywarła wielki wpływ na duszę młodego człowieka. Nie zwierając się nikomu ze swych uczuć, udał się potajemnie do klasztoru benedyktynów de Saint-Germain, gdzie wówczas przebywał generał tego zakonu. Ten słyszał wiele o Marii od Wcielenia, toteż przyjął serdecznie jej syna. Klaudiusz pozyskany przez łaskę i uwolniony od wszelkich wątpliwości, oświadczył, że pragnie wstąpić do zakonu i został przyjęty bez żadnych trudności.

Zaledwie powrócił do mieszkania, przybył tam o. Rajmund od św. Bernarda rozpromieniony i zawołał: „Otóż kard. Richelieu ofiaruje ci posadę podsekretarza, potrzebny mu jest człowiek zdolny, dyskretny i wybór padł na ciebie”. „Ojciec - zawołał młody człowiek – dotąd szukałem świata, a on mnie nie chciał, teraz on mnie szuka, lecz ja go nie chcę”. Przezorny zakonnik udając, że myśli iż jego protegowany uważa tę posadę za niską, rzekł: „Czyż nie wiesz, że tą drogą możesz dojść do wysokiego stanowiska?” „Nie wątpię o tym, lecz oświadczam ci, że znalazłem jeszcze bardziej zaszczytne miejsce, które mi otwiera bramy do zbawienia”. Opowiedział o swej wizycie w St. Germain des Pres i o przyjęciu do kongregacji św. Maurycego. O. Rajmund

wzruszony i uradowany uściskał go jak syna godnego takiej matki i zachęcał go do wytrwania. Posunął swoją ojcowską troskę tak dalece, że wystarał się nawet o konie, które zawiozły młodzieńca do Vêndome, gdzie był nowicjat. Dnia 15 stycznia 1641 roku, w dzień św. Maurycego, rozpoczął Klaudiusz swe życie zakonne, swój „raj ziemski”, jak się wyraża jego historyk. Cały ten rok upłynął w zupełnym zapomnieniu o świecie. Pierwszy jego list do matki, który się zachował, nosi datę 4.IX, lecz kilka miesięcy wcześniej doszła już do matki ta radosna wiadomość. „Mój najdroższy i najukochańszy synu, twój list sprawił mi tak wielką przyjemność, że trudno ją opisać. Wiadomość ta przewyższała moje oczekiwania względem ciebie. Więc naprawdę Boska Opatrzność umieściła cię w zakonie tak świętym, który czczę niezmiennie”. I otwiera dalej przed nim swe serce i nie kryje się już, z całym zaufaniem mówi o tym, co spowodowało jego wewnętrzną przemianę. „Podczas mojego pobytu w Paryżu łatwiej byłoby mi umieścić cię u kogoś, gdyż księżna d’Aiguillon i hrabina de Brienne, które mi były już wtedy przychylnie, nie odmówiłyby mi tego. Ale obawiałam się, że gdybyś zyskał wpływy na świecie, twojej duszy groziłoby wielkie niebezpieczeństwo, zresztą nie pragnęłam nigdy ani dla ciebie, ani dla siebie innego dziedzictwa nad ubóstwo Jezusa Chrystusa. Postanowiłam polecić cię pod opiekę Matki Dobroci, którą obrałeś sobie za Matkę zaczynając studia. Czy mogłeś spodziewać się od Niej większego dobra nad to, które ci udzieliła? Miejsce i korzyści, które cię czekały w Paryżu, miały jakieś znaczenie, lecz byłyby bez porównania mniejsze od tych, którymi się dziś cieszysz”. I dając się unieść uczuciu nadziei oraz działaniu łaski, tak dalej pisze: „Mój najdroższy synu, jesteś więc w milicji! W imię Boga i ze słowami Chrystusa, bo ten, kto ujawszy za pług wstecz się ogląda, nie jest godzien Królestwa Bożego. Niechże z pierwszą flotą otrzymam tę pocieszającą wiadomość, że śluby moje, złożone przed 25 laty Boskiemu Majestatowi, zostały przyjęte przez Niego. Tutaj widzę cię pełnego świętych postanowień i to mnie pociesza, że dobry Bóg, który rozpoczął swe dzieło, da ci też i siły do wytrwania. Nie mija ani jeden dzień bez tego, bym ciebie przez Serce Jego Boskiego Syna nie poświęciła Jego miłości. Niech się spodoba Jego Boskiej Dobroci uczynić cię całopalną ofiarą na swym ołtarzu”.

Macierzyńskie życzenie zostało wysłuchane – dnia 3 lutego brat Klaudiusz został dopuszczony do profesji świętej. Maria od Wcielenia otrzymała o tym kilka miesięcy później listowną wiadomość, lecz w chwili dostąpienia tej łaski przez jej syna miała o tym jasne przeczucie. W czasie trwania nowicjatu Klaudiusza Bóg dał jej poznać pewne przeszkody, które były zdolne wyprowadzić go z klasztoru. Matka cierpiała tak gwałtownie, że jak później wyznaje swojemu synowi, była zmuszona wstać od stołu, by go raz jeszcze ofiarować Bogu. „Porównując te listy z tym, co mi się wydarzyło, zauważyłam, że z chwilą twej profesji zniknęły wszystkie me krzyże”.

Młody zakonnik został zapisany na studia teologiczne, które odbywał w opactwie Jumièges. W tym to właśnie czasie, 1 września 1643 roku, Maria od Wcielenia napisała do niego piękny list, który jak wiele innych zaginął: „Wierz mi, drogi mój synu, że na wiadomość o twojej profesji, przez którą cały już należysz do Boga, moje serce więcej doznało pociechy niż z jakiegokolwiek innej wiadomości w ciągu całego mojego życia. Miłosierdzie Boże udzieliło mi tej łaski, dając mi ciebie i nim się narodziłeś, ofiarowałam cię Bogu. Gdy miałeś 12 lat, Bóg mi przyrzekł opiekować się tobą, co nappełniło moje serce niewymowną radością i pokojem. Lecz gdy dorasta-

jąc stawaleś się swawolny, znosiłam z tego powodu wielkie niepokoje, które zmuszały mnie do bezustannego uciekania się do Boga. Wiedziałam wprawdzie, że On cię nie opuści, lecz ty przez swoje wady mogłeś zniweczyć jego plany, a raczej ja mogłam być tego powodem. Wtedy codziennie przez ręce Najświętszej Maryi Panny i św. Józefa ofiarowywałam cię Boskiemu Majestatowi. Czy myślisz, mój synu, że nie wiedziałam, iż serce twoje było zamknięte, gdy ci mówiłam o Bogu, o życiu zakonnym i o szczęściu tych, co służą Bogu? Widziałam twoje usposobienie i ono było powodem moich największych krzyży, gdyż wydawało mi się, że co chwilę możesz wpaść w przepaść. Lecz jakaś tajemnicza intuicja mówiła mi, że Bóg powoła cię w odpowiednim czasie do swojej służby i z tego, co mi donosisz, widzę, że spełniły się moje nadzieje”.

Maria odpowiedziała mu jeszcze na kilka kwestii dotyczących życia duchowego, o które ją pytał, a widząc, że jego dusza zatapiała się w kontemplacji i szukaniu samotności, radziła mu,



by się oddał pod posłuszeństwo: „Mój drogi Synu, jakże ważną jest rzeczą zależność i poddanie się woli Bożej! Jest to sekret wielkich świętych i konieczność, jeśli ktoś chce zostać świętym i pożytecznym dla drugich. Mówisz mi o twej samotności, prawdą jest, że takie odosobnienie jest słodkie i że nigdy nie obcuje się lepiej z Bogiem jak w milczeniu. Błogosławię Jego dobroć, że cię powołała do tak świętego zgromadzenia, gdzie ta cnota kwitnie w całej pełni i gdzie możesz działać więcej dla siebie i bliźnich niż uczyniłbyś słowem...”. Następnie wyjawia swoje przeżycia: „Co do mnie, nigdy nie jest mi lepiej jak wtedy, gdy z miłości ku Niemu opuszczam własny spokój i idę rozmawiać z tubylcami, ucząc ich zasad

chrześcijańskich. Piszę ci o tym, by cię upewnić, że ten różny od twego sposób życia daje mi więcej siły niż mogę to wypowiedzieć, gdyż moim powołaniem jest kochać bliźniego ponad wszystko. Gdyby mnie zwolniono z przełożęństwa i czuwania nad budową nowego klasztoru, żyłabym jedynie dla neofitów. Może to jednak miłość własna mówi przeze mnie, lecz bez względu na moje zachcianki pragnę spełnienia woli Bożej. Dla ciebie zaś zewnętrznym obowiązkiem jest przyjmować gości z miłością i uprzejmością. Jeśli zbytnio kocha się swą celę, dobrze jest być jej pozbawionym na pewien czas”. I dalej wynurza się z miłością matki: „Pytasz mnie, mój drogi synu, czy się jeszcze zobaczymy na tym świecie. Nie wiem tego, lecz Bóg jest tak dobry, że pozwoli na to, o ile to powiększy Jego chwałę i posłuży ku dobru naszych dusz. Pozwólmy Mu jednak działać, pragnęłabym tego niemniej niż ty, lecz niczego nie chcę inaczej jak tylko w Nim i dla Niego. Porzućmy nasze pragnienia dla Jego miłości. Codziennie widzę cię w Nim i kiedy wieczorem jestem na matutinum, myślę wówczas, że i ty również jesteś na modlitwie, ponieważ zostajemy w chórze aż do 8.30, a u was jest 6 godzin wcześniej, więc razem śpiewamy chwałę Bogu”.

Nie można oddzielić nawrócenia jej syna od drugiej łaski tego samego rodzaju, którą Maria od Wcielenia otrzymała nieco później dla swej siostrzenicy, córki tej siostry, której dom przez dłuższy czas uważała za własny. „Wiesz, mój Boże - pisze w swojej relacji - ofiarowałam się za dwie dusze, prosząc, aby one nie były dla tego świata i zgodziłam się wówczas znosić wszystkie troski i skutki win, które pozbawiłyby je możliwości oddania się na Twoją służbę”.

Będąc jeszcze w Tours, pobożna ciotka przeczuwała niebezpieczeństwa, jakie zagrażają młodej dziewczynie. W domu była nieustannie chwalona i podziwiana z powodu swych nadzwyczajnych zdolności i talentów, którymi była obdarzona. Przeczucia te, niestety, aż nadto się spełniły. Gdy dziewczyna skończyła zaledwie 16 lat, jej niewinność, a nawet osobiste bezpieczeństwo, narażone były na niechybną zgubę. Tymczasem w chwili największego niebezpieczeństwa, z początkiem 1643 roku, wskutek nagłego wypadu umarła jej matka. Cios ten boleśnie dotknął Marię od Wcielenia, która bardzo kochała swą siostrzenicę i była zaniepokojona o jej los. Zaraz pierwszą flotą wysłała do niej list kondolencyjny, w którym starała się również otworzyć jej oczy na naukę, jaką jej Bóg daje przez tę niespodziewaną żałobę. Pisała do niej: „Próżność oślepia wiele dziewcząt w twoim wieku, a one dając się zbyt łatwo oświecić, pozbawiają się przez swe upadki wielu łask, których Boska Opatrzność chciała im użyczyć, a które później zlewa na inne wierniejsze dusze”. I dalej przedstawiając miłosierne uczynki i cnoty jej matki, które dla niej stały się przykładem, tak pisze: „Gdybyś była ze mną, moje drogie i kochane dziecko, pocieszając ciebie sama bym się pocieszała, lecz ponieważ jest to niemożliwe, pociesz się z moimi przyjaciółmi. Zajmij moje miejsce i odwiedzaj często, tak jak ja bym to czyniła, m. Franciszkę od św. Bernarda, przełożoną z Tours, która jest moją najlepszą przyjaciółką”.

Łagodne słowa ciotki, którą uważała za swoją drugą matkę, były jakby pierwszym uderzeniem w duszę dziewczyny. Bóg pokierował nią w ten sposób, że nawet ci, od których zależała, radzili jej, by się schroniła na pewien czas do tego klasztoru, aby uwolnić się od sił świata, który na nią zastawiał. Poszła za tą radą, lecz z postanowieniem, że nie zostanie długo na tym wygnaniu, które wcale nie było w jej guście. Lecz za Boskim zrządzeniem łaska tak odmieniła światową pannę, że gdy tylko weszła do klasztoru, uczuła taki błogi pokój, że szczerze znienawidziła zabawy i postanowiła wstąpić do nowicjatu. Przez pamięć dla jej czcigodnej ciotki została przyjęta pod imieniem Marii od Wcielenia. Ta ze swej strony nie ukrywała w listach wielkiej radości, jaką odczuła z powodu tego wydarzenia.

Do przełożonej w Tours pisała: „Pierwszą rzeczą, jaką spostrzegłam otwierając list Przewielebnej Matki było to, że Boska Dobroć skierowała wzrok swój na drogą siostrzenicę, a raczej na mą drogą córkę, gdyż zawsze nosiłam ją w sercu. Uczułam wielką radość i wdzięczność względem mego Boga. Jakże błogosławię z całego serca miłosierdzie Boże nad tą duszą, podziwiając sposób, jakim się posługiwało, aby zdobyć sobie to serce, które Mu było tak przeciwnym. Nie potrafię ci powiedzieć, moja Droga Matko, wszystkiego, co myślę. Zachwyca mnie to, co mi opowiadasz o pierwszych pracach łaski w tej duszy, a jeżeli będzie wierna, spodziewam się wielu jeszcze innych cudownych rzeczy. Proszę się nie bać w imię Boga sprawić, by umarło w niej to,

co jest zbyt żywotne, bo ta śmierć natury przyczyni się do tego, że w sposób podwójny będzie żyć jej dusza”.

Te dwa nawrócenia: syna i siostrzenicy były bardzo ważnymi wydarzeniami w życiu Marii od Wcielenia. Wydaje się, jakby Stwórca ze wzruszającą delikatnością chciał w ten sposób wynagrodzić już tu na ziemi jej gorliwość o zbawienie dusz. Lecz w tym samym czasie, w którym odbierała tak pocieszającą wiadomość, niespodziewany wypadek dotknął ją i jej wspólnotę.

Pewien szlachcic, gorliwy chrześcijanin i dzielny żołnierz, pan de Maisonneuve przybył w sierpniu 1641 roku z liczną grupą kolonistów do Québec. Mieli założyć w Montrealu nową osadę francuską. Wraz z nimi przybyła pewna cnotliwa osoba, pani de Mance, która miała być jakby ich matką, opiekującą się biednymi chorymi. Zima zawsze ostra w Kanadzie zatrzymała naszych kolonistów w Québec, gdzie chciano ich przyjąć. Pani de la Peltrie szybko zaprzyjaźniła się z panią de Mance. Ogarnął ją wielki zapal z powodu tych pobożnych i dzielnych ludzi, odznaczających się nabożeństwem do Królowej Nieba. Już od kilku miesięcy klasztor wydawał się jej zbyt małym polem do działania. Urządzała więc częste wycieczki do Sillery lub innych posiadłości Indian. Projekty nowo przybyłych były więc po jej myśli, zdecydowała się więc udać z nimi w odległe strony dla szerzenia chwały Bożej. Toteż gdy flota odpływała do Montrealu, pani de la Peltrie wyruszyła z nimi, nie zdając sobie sprawy z tego, jakich kłopotów i przykrości przysporzy urszulankom.

Maria od Wcielenia tylko jeden raz porusza tę sprawę w „liście od serca”, jak go nazwała, do pani Chevreuse, dobrodziejki swego klasztoru: „Nasza fundatorka, opuszczając nas, aby się udać do Montrealu, zabrała ze sobą swe meble i inne rzeczy, które nam przedtem podarowała. Pozwoliłyśmy zabrać wszystko bez najmniejszej urazy i mówię ci szczerze, że oddając jej rzeczy czułam dziwną radość. Wyobrażałam sobie, że Pan Jezus w swej dobroci obchodzi się z nami tak, jak ze św. Franciszkiem, którego ojciec opuścił, a święty oddał mu z radością nawet ubranie. Jej wyjazd tak nas ogołocił, że możemy utrzymać zaledwie trzy seminarzystki, podczas gdy przedtem miałyśmy ich czternaście, a nawet więcej. I tym możemy dać zamiast łóżek tylko deski pokryte skórą, wypożyczonymi z magazynu, bo na więcej w naszym ubóstwie nas nie stać. Nie mogę powiedzieć, żeby pani de la Peltrie niewłaściwie postąpiła. Ponieważ jest od nas daleko, nie może nam pomagać, a z drugiej strony nie możemy się uskarżać, że nam zabrała meble, bo te przydadzą się jej tam, gdzie się udała. Wreszcie znając jej pobożność i bojaźń Bożą nie wątpię, że jej zamiary są święte i dobre. Lecz co mnie najwięcej martwi, to niebezpieczeństwo od band łupieskich Irokezów, na jakie jest wystawiona w Montrealu. Wyjazd pani de la Peltrie wpłynął jeszcze dlatego niekorzystnie na sytuację klasztoru, ponieważ pan de Bernières zawiadomił nas, że skromny dochód 9.000 lirów nie wystarczy na nasze potrzeby. Matki szpitalne mają trzy miliony, a przy tym księżna d’Aiguillon bardzo skutecznie im pomaga, a mimo tego z trudem tylko się utrzymują”.

Co uczyni teraz Maria od Wcielenia? Kolonia sama była biedna i nie mogła przyjść im z pomocą. Z drugiej strony zależało im na tym, by czynu pani de la Peltrie nie rozgłaszać we Francji, gdyż ten w następstwach mógł być bardzo szkodliwy dla ich dzieła. Maria od Wcielenia,

pozbawiona ludzkiej pomocy, ze spokojem i pogodą właściwą świętym, dalej prowadziła rozpoczęte prace.

Pisze dalej w tym samym liście: „Pokładając całą nadzieję w miłosierdziu naszego Pana, postanowiłam nadal utrzymywać seminarzystki i wspomagać biednych Indian aż do końca. Zatrzymałam również robotników przy budowie klasztoru, ufając mocno, że nie po to nas tu Bóg przyprowadził, by nas zniszczyć i zmusić do powrotu do Francji. Gdyby jednak Jego dobroć i sprawiedliwość chciały tym ukarać moje grzechy, jestem gotowa przyjąć to upokorzenie i zawstydenie za moje grzechy. Nie ważne jest, co mnie spotka, byle tylko Bóg miał z tego chwałę! Po tym, co mi pan de Bernières napisał, będzie zdziwiony, gdy zobaczy, że go proszę nie tylko o prowianty, lecz przysyłam kwit na 6 000 lirów, które zostały zużyte na zapłacenie robotników i materiał budowlany, nie mówiąc już o opłacie za statek, gdyż na to wszystko mamy z Opatrzności naszego Pana”.

Niedługo po swoim przybyciu do Montrealu pani de la Peltrie napisała do Marii od Wcielenia list pełen serdeczności, w którym jej donosiła, że zajmuje się przygotowaniem do budowy drugiego klasztoru urszulańskiego, jeśli będzie mogła tylko rozporządzić wszystkimi swoimi dochodami, których jej na razie rodzina nie chce przyznać. Jasnym jest, że ta zacna kobieta działała w najlepszej wierze, ulegając jedynie pragnieniu czynienia coraz więcej dobra dla bliźnich.

Maria pisze znowu do pani Chevreuse: „Co do mnie, nie wierzę jeszcze temu postanowieniu, a bardziej mnie poruszają niebezpieczeństwa, na jakie naraża swą osobę niż wszelkie jej obietnice”. Delikatnym wspomnieniem kończy wreszcie ten list: „W Québec miały się zacząć procesje”. Maria od Wcielenia przypomina sobie, że ich pobożna fundatorka prowadząc koło siebie małe seminarzystki, kroczyła na czele kobiet i dziewcząt indiańskich. „Dziś zaś będąc z dala od nas pozbawiona jest tej przyjemności”.

Jak długo miało trwać to dobrowolne wygnanie pani de la Peltrie? Czcigodna Maria od Wcielenia powierzyła tę sprawę Opatrzności Bożej. Nie mogła jednak wątpić, że szczegóły tego bolesnego wypadku odpowiadały wizji w Kanadzie, toteż wiedziała, że jej towarzyszka oddaliła się od niej na krótko do odległego kraju pokrytego gęstymi zaroślami. Do najdrobniejszych szczegółów wypełniała się wizja proroka. Wkrótce jeszcze inne wydarzenie potwierdziło jej nadzieję. Mimo przeszkód, jakie zachodziły przy budowie klasztoru, można było w nim zamieszkać na początku zimy 1642 roku. Maria od Wcielenia i jej córki duchowe postanowiły opuścić ubogie mieszkanie, w którym od trzech lat dokonywało się tyle dobra. Wspomnienie o nim pozostawało im zawsze drogą.

„Nasze następczynie – pisze jedna z siostr – które nie zastaną tak wielkich niedogodności, jakie przeżyłyśmy w tym małym schronieniu, gdzie trzeba było wypełniać wszelkie obowiązki wielkiego klasztoru, może nie docenią naszych przeszłych trosk i radości”.

ROZDZIAŁ XIII

Pierwszy klasztor na Haute-Ville 1645-1650

Dnia 21 listopada 1642 roku, w uroczystość Ofiarowania Matki Boskiej, urszulanki przekroczyły w towarzystwie swych seminarzystek ogrodzenie oddzielające klasztor od ulicy. Na czele orszaku kroczyli o. Vimont, przełożony misji i opat Faulx, który od roku był kapłanem wspólnoty. Ludność Québec powiększyła ich orszak. Klasztor był zbudowany w odległości osiemdziesięciu kroków od fortu Saint-Louis. Wyróżniał się białymi liniami na tle ciemniej zieleni lasów. Po przybyciu do klasztoru zakonnice wysłuchiwały uroczystej sumy, w czasie której śpiewały z nieopisaną radością. Maria od Wcielenia przepełniona była wdzięcznością, widząc wreszcie wzniesiony dom Boży, który polecono jej zbudować dla Jezusa i Maryi. Święty Józef był stróżem domu i seminarium. Dom jednak daleki był od wykończenia. Stały dopiero mury pod dachem. Zamiast podłogi były grube deski i to było całe wewnętrzne urządzenie. „Pozostaje więcej do wykończenia niż to, co jest już zrobione” – pisał o. Vimont w swym sprawozdaniu. Jednak cierpliwością wszystko się osiągnie, a ta cnota jest jakby cudem Kanady. Lecz jak się sam ojciec wyraża, seminarium będzie ozdobą Kanady i to jedną z najpiękniejszych i wielką pomocą w nawracaniu niewiernych.

Pierwsza zima przeżyta w tym pustym i ledwie przykrytym budynku była bardzo przykra. Jeden jedyny piec musiał starczyć na ogrzanie wszystkich cel odgrodzonych od siebie belkami. Zimno dokuczało zwłaszcza w nocy, dobrze jednak, że łóżka były zamknięte w pewnego rodzaju szafach. Jednak mimo zimna i ciągłej obecności robotników, którzy nieustannie tam pracowali, zakonnice z wielką gorliwością odprawiały wszystkie swe ćwiczenia, zaczynając dzień o godz.4 rano.

Aby jeszcze wyraźniej zaznaczyć swą opatrność nad klasztorem, Bóg dozwolił, że w najtrudniejszej chwili dla domu dotknęła urszulanki wielka strata materialna. Maria od Wcielenia pisze dnia 1 września 1643: „Oto, co mi właśnie doniesiono – statek wiozący najlepszą część naszych zapasów żywności i innych rzeczy należących tak do wspólnoty jak i do seminarzystek, zaginął. Rzeczy wielebnych ojców jezuitów i matek szpitalnych również tam się znajdowały. Zachowujemy jednak taki spokój ducha, jakby ta strata wcale nas nie dotyczyła, pomimo że ta strata wartości 10.000 lirów doprowadziła nas do ostatecznej biedy. Niech jednak błogosławiony będzie nasz Boski Mistrz, niech zawsze będzie błogosławiony! On żywi ptaki niebieskie i zwierzęta ziemi, czyż dozwoli nam zginąć?”.

Mimo wszystko Maria od Wcielenia prowadziła dalej rozpoczęte dzieło i nie przestawała otwierać ramion i furty biednym dziewczętom indiańskim, napływającym do domu „Bogu poświęconych dziewic”.

Wśród tych doświadczeń jasnym promykiem była wieść, którą doniesiono Marii od Wcielenia i jej córkom. Otóż pani de la Peltrie, wreszcie przekonana o niemożliwości założenia nowej fundacji w Montrealu i widząc, że pani Mance ma dostateczną liczbę osób do pomocy, powróciła

do Québec, gdzie miała tylu przyjaciół, a zwłaszcza ukochane swe zakonnice, dla których miała być odtąd nieodłączną towarzyszką. Nieobecność jej trwała osiemnaście miesięcy. Radość z powodu jej powrotu była wielka, tak u urszulanek jak i w mieście. W charakterze cnotliwej fundatorki było tyle prawości, dobroci i szlachetności, że jej oddalenie się, jakkolwiek przykre w swych następstwach, nie zerwało wcale jedności serc. „Małe Indianki, wierne swym uczuciom, przybiegały do niej jak do rodzonej matki, która je zawsze bardzo kochała i pieściła” – pisze o. Vimont. Ona zaś ze swej strony przyjęła przy dzieciach stanowisko sługi, uważając je za nadmiar zaszczytu. Jedna zakonnica konwerska, s. Laurencja, którą urszulanki z Dieppe odstąpiły niedawno siostrze z Kanady, pomagała teraz pani de la Peltrie. Maria od Wcielenia donosiła: „Pocziwa ta siostra jest chodzącą cnotą i doskonałym wzorem urszulanki konwerski, która znajduje Boga w pracy i w ten sposób współdziała z pracą wychowawczą siostr chórowych dla dusz odkupionych Krwią Syna Bożego”. Była to cenna pomoc, lecz w domu ofiarowanym córkom św. Urszuli potrzeba była jeszcze więcej rąk do pracy. Maria od Wcielenia prosiła usilnie wspólnoty we Francji o siostry, które by się dobrowolnie zgłosiły. Nie omieszkła przedstawiać trudności połączonych z powołaniem do Kanady, obawiając się, aby nie wzięto za głos z nieba pierwszego zapału, który później cofa się przed twardą rzeczywistością.

Do swojej dawnej przełożonej pisała: „Mówię ci Matko, nieraz można się mylić w sprawie powołania. To, co mówi błogosławiony biskup Genewy [Franciszek de Sales], jest wielką prawdą, że każde natchnienie jest myślą, ale nie każda myśl jest natchnieniem. Nieraz człowiek sobie wyobraża, że przelotny zapał jest już powołaniem, niestety, tak nie jest i dopiero okoliczności odkrywają pomyłkę. A zresztą nic tu nie schlebia naturze. Bóg żąda serc tak wyzutyk ze wszystkiego, że jeżeli nie szukają tylko woli Bożej, to wszystko staje im się uciążliwym. Te, które przybywają do Kanady tylko dla powodów ziemskich, nie znajdą nigdy szczęścia, ale tylko te, które pragną tutaj oddać życie dla Jezusa Chrystusa. Z drugiej strony trzeba było uważać na wiek, siły i zdolności potrzebne, by nauczyć się języków tak niezmiernie trudnych”. Wydawało się Marii od Wcielenia, że wszystkie te warunki posiadały zakonnice, które przyjęła w tym czasie: m. Anna od Serafinów z klasztoru z Ploërmel, m. od św. Cecylii i m. od Matki Bożej z Tours. Te dwie ostatnie zostały jej przysłane przez m. Franciszkę od św. Bernarda, zawsze hojną w zaopatrywaniu misji w Kanadzie. „Z wielką radością przyjęłyśmy te dwie twoje córki – pisze do niej Maria od Wcielenia. One ze swej strony są w najwyższym stopniu zadowolone, że wreszcie osiągnęły upragnioną przystań. Zostały przyjęte przez wszystkich z wielką miłością”

W ten sposób powoli wzrastała rodzina zakonna, której rozwój, zarówno jak i pomyślność samej kolonii, nie inaczej miały być osiągnięte jak tylko przez walki i doświadczenia.

Maria pisała: „Odczuwamy tutaj, co to znaczy miłować sprawy Syna Bożego”. Urszulanki z Québec musiały wspierać świętością swego życia pracę misjonarzy i zaszczytne posłannictwo Francji katolickiej w Kanadzie. Aby im dopomóc, Bóg postawił na ich czele w osobie Marii od Wcielenia uosobioną regułę, tak doskonałą, a przy tym tak przystępną. Z chwilą jej przybycia do Nowej Francji Bóg dał zrozumieć Marii od Wcielenia, że będzie musiała prowadzić życie apostołskie proste i jednostajne. Zachwyty i inne zapały nadzwyczajne zostały jej odjęte, a jej

poufne zjednoczenie ze Słowem Wcielonym ujawniało się na zewnątrz jedynie nadzwyczajnymi cnotami.

Wierna najdrobniejszym przepisom zakonnym zdawała się dwoić i troić, by móc zadośćuczynić równocześnie sprawom zewnętrznym związanym z doglądaniem budowy, a przy tym być zawsze pierwszą na wszystkich ćwiczeniach duchownych. Gdy była w rozmównicy, choćby z najdostojniejszą osobą kraju, a usłyszała dzwonek zwołujący na ćwiczenia, przepraszała swoich gości, że musi odejść. W ogóle, gdy widziała, że zbliża się pora na dzwonek, starała się jak najprędzej zakończyć rozmowę. Aby się nie wyróżniać, chętnie poświęcała nawet codzienną Komunię św. oraz godziny modlitw prywatnych, w których dawniej miała tyle upodobania³². Za to spędzała nieraz długie godziny nocne na rozmowie z Bogiem, gdyż spała mało i miała sen bardzo lekki.

Słodycz i pokora panowały w całym zachowaniu tej wiernej uczennicy Serca Jezusowego. Były w niej ogromna uprzejmość i prostota w rozkazywaniu, które bardzo ułatwiały jej rzędy, co sprawiało, że jeszcze ściślej jednoczyła ją ze swym Zbawicielem. Pełne miłości zjednoczenie ze Słowem Wcielonym przynosi duszy jakieś namaszczenie, które się nie da zupełnie wytłumaczyć; pobudza ono do działania z prostotą, szczerością, otwartością i do unikania wszystkiego, co jest mniej doskonałe; wreszcie wyciska w duszy miłość Krzyża i tych, którzy są przyczyną prześladowania.

Siostry twierdzą, że nie słyszały nigdy u Marii od Wcielenia słowa przeciwko miłości bliźniego; co więcej osoby, które ją obraziły, były jej droższe od najmilszych przyjaciół. Łączyła ona w sobie roztropność z pewną prostotą, która pozwalała jej wierzyć temu, co jej mówiono, tłumacząc wszystko od dobrej strony, zwłaszcza to, co ją zasmucało. Jeżeli chodziło o rzecz drobną, mało znaczącą, wołała być w błędzie niż kogoś podejrzewać. Dużo ją kosztowało, jeśli musiała kogoś upokorzyć lub zawstydzić, do tego stopnia, że uważała pracę jakąś za dobrze wykonaną, choć inni byli przeciwnego zdania. Gdy czyniono jej uwagi, że błędy są jawne i że je widzi lepiej niż inni, odpowiadała: „To prawda, lecz ta osoba zrobiła jak mogła najlepiej. Byłoby więc niesłuszne sprawić jej przykrość, ganiąc ją za to, czego lepiej wykonać nie potrafi”.

W przypadkach trudnych, dotyczących dobra duchowego wspólnoty, wypowiadała swoje zdanie dobitnie i wyraźnie – gdy jednak jej zaprzeczano, nie wydawała dalszego sądu. Pewnego razu jedna z sióstr, która była przy tym obecna, powiedziała: „Matko, czy uczyniłaś ślub posłuszeństwa tym osobom i czynienia wszystkiego, co one zechcą?. Nie ślubowałam im posłuszeństwa - odparła ze słodyczą - lecz uczyniłam ślub poświęcenia wszystkiego w celu zachowania pokoju i zgody”. Pomimo licznych zajęć, z niesłychaną cierpliwością i spokojem słuchała wszystkiego, co jej mówiono, nieraz po dwadzieścia razy przerywała pisanie, którym była zajęta. Mimo godności urzędu, jaki piastowała, niczym nie odróżniała się od poddanych. Zwykle wstawała pierwsza, aby żadna z sióstr nie uprzedziła jej w obowiązku dzwonienia na budzenie. Sprzątanie, zmywanie i inne ciężkie prace były jej codziennym zajęciem. Często zdarzało się, że sama

³² Przed wstąpieniem do klasztoru Maria miała pozwolenie na częste przejmowanie Komunii św. i dłuższe modlitwy myślnie. W klasztorze musiała dostosować się do zwyczajów wspólnoty i programu dnia.

napiekłszy cały zapas chleba dla wspólnoty i służby, czuła się tak zmęczona, że ledwo mogła się poruszać. To jednak nie przeszkadzało jej w punktualnym stawianiu się na oficjum i na inne ćwiczenia, które zawsze odmawiała w nadzwyczajnym skupieniu. Każdego rana można było zobaczyć Marię od Wcielenia zajętą myciem, ubieraniem i czesaniem swych małych dzieci. Czyniła to z taką radością, jak gdyby stworzona była jedynie do tego zajęcia.

Pani de la Peltrie pisała do o. Klaudiusza: „Mogę zapewnić, że Zbawiciel nie przestaje obsypywać nowymi łaskami naszej ukochanej Matki od Wcielenia. Doprawdy to szczególna łaska Boża, że ją mamy w naszym małym domku, który dzięki jej przykładowi i słowu z dnia na dzień wzrasta w cnocie i świętości. Okazuje nam ona tyle dobroci i miłości już w tym, że codziennie miewa dla nas wykłady w celu pouczenia nas, jak mamy postępować na drodze doskonałości. Uważam cię za bardzo szczęśliwego, że mogłeś obcować z osobą tak świętą i wierną każdemu poruszeniu łaski. Co do mnie, to czuję niezmierną wdzięczność Bogu, że mi pozwolił jej towarzyszyć i współpracować z tak świętą służebnicą swoją”.



Zanim jeszcze ukończono dom, urszulanki zmuszone były otworzyć oprócz indiańskiego seminarium jeszcze i pensjonat, którego domagały się potrzeby koloni. Z początku liczba dzieci nie była wielka, aż do roku 1650 i nie miały więcej nad 18-20 uczennic. Były to córki pierwszych, odważnych kolonistów jak: Marselot, Repentigny, de la Poterie, Bourdon, Godefroy i wielu innych, których potomkowie żyją dotychczas i są chlubą Kanady francuskiej. Dwie z tych uczennic, które uczęszczały jeszcze do dawnego klasztoru na Haute-Ville, znane nam są z listów Marii od Wcielenia do syna.

Na przykład dnia 15 września 1644 roku pisze: „Jeden z najbardziej zacnych obywateli, adiutant naczelnika a nasz najlepszy przyjaciel, wyjeżdża w sprawie państwowej do Francji i przyrzekł mi odwiedzić ciebie. Jego dom znajduje się niezbyt daleko od naszego i urządzony jest zupełnie na wzór domu zakonnego. Dwie jego córeczki są naszymi pensjonarkami: to są dwie panienki, które odziedziczyły cnotę po swej matce, duszy bardzo pięknej i czystej. Mówię ci to wszystko, mój synu, abyś z jak największą uprzejmością przyjął pana de Repentigny i żebyś poznał, że w Kanadzie są zacni i dobrzy ludzie”.

W innym zaś liście relacjonuje: „Tutaj bardzo się starają o wychowanie dziewcząt francuskich. Niektórzy rodzice zostawiają nam córki tak długo, póki nie dorosną czy to dla świata, czy to dla życia zakonnego. Inne znowu dziewczynki bardzo krótko pozostają w pensjonacie, toteż trzeba, żeby nauczycielki ze szczególną gorliwością się nimi zajęły. Nieraz przez jeden rok trzeba dziecko nauczyć czytać, pisać, rachować, modlić się i w ogólne wszystkiego, czego się wymaga od dobrze wychowanej dziewczynki”. Roczniki klasztorne z tego czasu wykazują, że przyjmowano na pensjonarki dziewczynki trzy lub czteroletnie, zarówno Francuzki, jak i Indianki. S.Laurencja była zobowiązana nimi się zajmować wtedy, gdy inne zakonnice odmawiały nie-

szpory lub matutinum. Otoczona gromadką, którą nazywała swoją pociechą, krzątała się koło gospodarstwa. Gdy zaś musiała odprawić swe ćwiczenia duchowne, dawała każdemu dziecku bułeczkę anyżową; doskonale je sama wypiekała i tym sposobem potrafiła utrzymać towarzystwo w wielkiej ciszy i spokoju. Nie tylko w Québec, ale i z okolicy oddalonej o 60 mil rodzice powieriali swe dzieci urszulankom. Choć byli to ludzie bardzo majątni, właściciele wielkich posiadłości, jednak większość z nich nie mogła zapłacić za pensjonat pieniędzmi, czynili to więc prowiantami. Dawne rachunki klasztorne wykazują ciekawy sposób płacenia: np. odebrano za pensję baryłkę solnych piskorzy albo parę wiązek drewna na opał, garnek masła lub też tłustą świnkę. Troška, by dać swoim córkom dobre wychowanie, jest właściwa dla obyczajów ludności kanadyjskiej, która odznacza się wrodzoną uprzejmością. „Prostactwo, czy to w sposobie życia, czy też w mowie, nie jest tutaj wcale znane nawet w najbardziej oddalonych wioskach” – pisze o. de Charlevoix w swej „Historii Nowej Francji”. Nigdzie nie mówią tak pięknym i czystym językiem. Spodziewając się jeszcze większych widoków na przyszłość, Maria od Wcielenia rozmyślała o roli kobiet w kolonii. „Nie patrzę na obecną chwilę, lecz w przyszłość” – mawiała, badając rozciągłość wpływu francuskiego na te rozległe okolice. „Czuję się szczęśliwa, że jestem użyta do współpracy nad wznoszeniem tego pięknego dzieła, zarówno ze względu na Francuzów, jak i na Indian, bo przecież dusze tak jednych, jak i drugich są drogie Synowi Bożemu. Gdyby nie wykształcenie, które dajemy dziewczynom francuskim, byłyby one gorsze niż dzikie dzieci”. Píše do syna: „Zapewniam cię, że gdyby tutaj nie było urszulanek, te dziewczęta byłyby ciągle narażone na utratę zbawienia, a to wskutek wielkiej wolności i swobody, jaką im zostawiają. Do zakładu uczęszczały one tylko jako eksternistki. Były to córki kupców, rzemieślników, rolników, na stałe osiadłych w Québec. Te dzieci kosztują nas dużo pracy, a i tak nie możemy jeszcze korygować ich zachowania tak, jakby się to czyniło, gdyby były w klauzurze”.

Mimo tych przeszkód wpływ klasztoru był wielki. Ojcowie jezuici, którzy rozprzestrzeczali się po całym kraju, widzieli te zbawienne skutki. Jeden z nich pisze w *Relacjach*:

„Przypatrując się gospodarstwu Kanady i każdemu poszczególnemu domowi, po chrześcijańskim wychowaniu dzieci łatwo można poznać, która z matek wychowana była u urszulanek”.

Z prawdziwą radością Maria od Wcielenia oczekiwała chwili, w której miała złożyć ciężar przełożenstwa, gdyż według ustaw zakonnych nie mogła dłużej niż sześć lat z rzędu pełnić tego obowiązku. W liście pisanym 3 września 1645 roku do jednej ze swych sióstr, która ją zapylała, jak można żyć święcie na świecie, tak odpowiada: „Składając mój urząd przełożonej, pozbędę się równocześnie wielu kłopotów z nim związanych. Będę więc odtąd starała się praktykować te rady, które ci daję; przede wszystkim oddanie się na całopalną ofiarę Ojcu Przedwiecznemu. Chcę, by to było moją główną wewnętrzną pracą, gdyż zewnętrznie cała podporządkowuję się posłuszeństwu”. Kilka dni później osiem sióstr urszulanek, które wówczas stanowiły całą wspólnotę, obrały nową przełożoną m. Saint-Athanase, przybyłą z Paryża w rok po Marii od Wcielenia. Mimo jej młodego wieku, liczyła bowiem dopiero 31 lat, Maria od Wcielenia miała do niej wielkie zaufanie. Píše do matek z Tours: „Dziękujcie Bogu, że ją nam dał. Jest to dusza, która doszła do bardzo głębokiego zjednoczenia z Panem Jezusem i umarłaby raczej niżby się

miała sprzeniewierzyć Bogu”. Nieco później dodaje „Nasza matka przełożona i ja tak się rozumiemy, jakbyśmy stanowiły jedno serce”.

Matka Saint-Athanase zaraz na wstępie miała wiele ważnych spraw do załatwienia, w których po Bogu wielką jej podporą była Maria od Wcielenia. Chodziło o ostateczne opracowanie konstytucji dla urszulanek w Québec. Pierwszą rzeczą, jak wiemy, było zniesienie różnicy, jaka istniała między siostrami należącymi do kongregacji paryskiej i burdygalskiej, co Maria od Wcielenia dokonała szczęśliwie już w drugim roku swych rządów. Z powodu tego aktu unii powstało wielkie niezadowolenie. Sprawa oparła się nawet o Stolicę Świętą. Maria od Wcielenia pisała do swej ukochanej m. Urszuli: „Musiałam w tej sprawie stoczyć wielkie walki i pokazać, że w rzeczy tak ważnej jestem nieugięta. Zachowywałam się z całym szacunkiem, ale także z siłą i stanowczością. To był jeden z najcięższych krzyży w moim życiu, gdyż nie rozumieć się z osobami, do których się czuje wielką ufność i miłość, być innego zdania, jednym słowem być zmuszoną sprzeciwiać się im, jest nieznośną męką”.

Zdanie Marii od Wcielenia w końcu zwyciężyło i nawet jeden z jej przeciwników lubił mawiać, że ta urszulanka łączyła żelazną cierpliwość z łagodną słodyczą. Natomiast jej starania w sprawie uzyskania z Rzymu bulli, potwierdzającej osiedlenie się urszulanek zakończyły się niepowodzeniem. Prośba, chociaż oparta na protekcji królowej Anny Austriaczki, została odrzucona, a to z tego powodu, że Kanada nie miała jeszcze biskupa, na którego ręce można by posłać bullę. Tak miały się sprawy, gdy o. Lallement³³, przełożony misji hurońskiej, został wysłany do Québec jako zwierzchnik wszystkich misji w Nowej Francji. Równocześnie został kierownikiem duchownym urszulanek; było to czasie, gdy m. Saint-Athanase objęła swój urząd.

Maria od Wcielenia pisze: „Zbawiciel dał mi poznać, że wybrał tego świętego zakonnika, aby mi dopomógł w prowadzeniu mej duszy, jak i też dlatego, by ujął w swe ręce sprawy naszej wspólnoty. W krótkim czasie zaznajomił się z naszymi interesami. W Paryżu niejednokrotnie miał do czynienia z podobnymi, a nawet jeszcze bardziej zawiłymi sprawami. Prosiłyśmy go, aby opierając się na zdobytym doświadczeniu, przystosował nasze konstytucje i ustawy zarówno do potrzeb naszej unii, jak i kraju. Poczciwy ojciec zabrał się do dzieła z całą miłością i przychylnością względem nas tak, że nie było rozdziału, którego by każda siostra nie przeczytała przynajmniej trzy razy i o którym by z nim nie rozmawiała. Trzeba przyznać, że nie było lepiej opracowanego programu niż nasz. Byłyśmy tak bardzo wdzięczne temu miłosiernemu ojcu, że nam zostawił tak drogocenny skarb, pełen światła Bożego i zasad Ewangelii świętej”.

W uroczystość św. Ignacego, 31 lipca 1647 roku, w dniu tak drogim dla urszulanek z Quebec, konstytucje zostały uroczyście przyjęte. Dowiedziano się także, że bez bardziej szczegółowej bulli, a tylko za aprobatą prałata urszulanki mogły dopuszczać nowicjuszek do profesji świętej i spełniać, tak jak we Francji wszystkie obowiązki zakonne. Parę miesięcy później m. Saint-Athanase otworzyła nowicjat i to na prośbę Karoliny Barré, która już od swego wyjazdu z

³³ Ojciec Hieronim Lallement był bratem ojca Karola Lallement, o którym mówiliśmy w związku z wyjazdem misjonarek z Francji, i wujkiem czcigodnego męczennika, ojca Gabriela Lallement, zamordowanego razem z ojcem de Brébeuf w 1649 roku.

Tours nosiła się z myślą poświęcenia się Bogu w misji kanadyjskiej. Pani de la Peltrie pragnęła także podzielić losy swej młodej wychowanki, prosiła nawet o przyjęcie, lecz przełożeni odmówili jej, gdyż uważali, że choćby tylko ze względu na swoją działalność powinna pozostać w świecie. Poddawała się z pokorą tej decyzji i postanowiła prowadzić jednak życie zakonne, choć bez habitu. Żyła więc w klasztorze w świeckim ubraniu, niezwiązana żadnymi ślubami, ale tak wierna regule i wszystkim ustawom, że nigdy nie chciała żadnych względów i przywilejów oprócz tego, by zawsze zajmować ostatnie miejsce. Nie zapomniała także postarać się o posag i z macierzyńską dobrocią doglądała wyprawy s. Karoliny, która przyjęła teraz imię s. Ignacji. Ta pierwsza profeska w Québec złożyła swe śluby na ręce o. Hieronima Lallemant dnia 21 listopada 1648 roku. Podziwiając już od dziewięciu lat umartwione życie założycielek, potrafiła później formować wiele urszulanek, które po niej wstąpiły. Klasztor w Kanadzie zaczął się powoli powiększać. Kilka dni po pani Barré profesję złożyła siostra konwerska Katarzyna Lesceau, urodzona w tym kraju. Następnie pod koniec tego roku zgłosiła się do postulatu chórowego pani Gertruda de Boulogne. Już od wielu lat czyniła wiele dobra dla kolonii, a pragnienie pracowania nad zbawieniem dusz przyprowadziło ją do klasztoru. Idąc za przykładem swej siostry pani de Ailleboust, żony trzeciego gubernatora Nowej Francji, znając język indiański mogła już od pierwszej chwili wstąpienia do urszulanek zacząć swą pracę wśród biednych tubylczych dzieci. W szkole Marii od Wcielenia nowicjuszki miały doskonałą sposobność wdrożenia się w życie zakonne. Nim jednak ta czcigodna matka przyjęła urząd mistrzyni, najpierw wyznaczono ją na urzędniczkę wszystkich materialnych spraw domu. Podobało się Opatrzności, jak niegdyś tak i teraz, umieścić wśród ogólnego wiru spraw zewnętrznych duszę, która tak dobrze potrafiła łączyć życie zewnętrzne z wewnętrznym i we wszystkim znajdować Boga.

Maria od Wcielenia pisze do m. Franciszki od św. Bernarda: „Spełniam Jego świętą wolę, a mój słodki Jezus zajmuje mnie przy tych pracach. Jestem zadowolona i jakkolwiek licznych doświadczam krzyży, nie chciałabym opuścić swego stanowiska”.

Usprawiedliwiając się przed swym synem ze swego zbytniego pośpiechu, Maria pisze: „Wybacz mój błąd, lecz jestem biednym stworzeniem, obciążonym pracą zarówno dla Francji, jak i dla naszego klasztoru. Ci, którzy zajmują się wysyłaniem towarów, przez trzy miesiące nie mają odpoczynku. W tym samym położeniu jestem i ja. Ponieważ z Francji musimy wszystko sprowadzić, skutecznie zapłaty weksłami, gdyż nie ma pieniędzy w tym kraju, układać się z marynarzami, aby nasz towar wyładowali, wreszcie starać o tysiące innych rzeczy, o których ci już nie mówię. Wszystko to sprawia, że nie mogę ci już tak dokładnie opisywać, jak bym chciała”. W innym liście pisze: „Biskup Genewy mówi, że są ptaki, które fruując odżywiają się. To samo i ja czynię w życiu duchownym, gdyż w wirze zajęć, w których się z konieczności znajduję, czerpię nieustannie pożywienie dla duszy”.

Główną troską Marii było dokończenie budowy klasztoru, której koszty przekraczały możliwości kolonii. Maria pisze do swych przyjaciół we Francji: „Mieszkańcy kraju są pełni dobrych chęci, aby nam pomóc, lecz wszystko jest bardzo drogie. Każdy prawie jest w biedzie, a zostaje w Kanadzie jedynie z litości lub z pragnienia czynienia dobra”. Okazywano urszulankom

wzruszające akty życzliwości, gdy te z powodu braku środków były zmuszone zawiesić prace przy budowie. Wspomnienia klasztorne z roku 1646 zaznaczają, że gdy siostry były już bez żadnych środków finansowych i nawet nie mogły opłacić jednego służącego, wtedy to zaofiarował się im na ogrodnika pewien zacny człowiek, „brat Jakub” i rzeczywiście bardzo upiększył i odnowił ogród. Następnego roku pewien malarz, Pierre Moreau zaoferował wspólnocie swe usługi. „Od sześciu miesięcy pracował za pieniądze, a teraz pracował bezinteresownie, nie żądając nawet od nas 190 lirów, które byłyśmy mu winne”.

W ten sposób przy pomocy Bożej około roku 1648 prace zostały ukończone. Maria opisuje: „Nasz dom jest największy i najpiękniejszy w Kanadzie. Jego długość wynosi 32 stopy, jednak w tym mieści się kaplica, która ma 17 stóp. Jest ona bardzo mała, lecz wielkie mrozy nie pozwalają na większą; nieraz księża byliby narażeni na odmrożenie sobie palców i uszu. Budynek ma trzy piętra; w środku znajdują się nasze cele, zbudowane na wzór francuski. Całość domu nie jest z kamienia ciosanego, lecz tylko z bloku, z pewnego rodzaju marmuru, prawie czarnego, który tutaj w dużych blokach wykopują”.



Opis ten można uzupełnić przez dawny szkic tego pierwszego klasztoru na Haute-Ville, który jest bardzo starannie przechowywany w Québec. W głębi ogrodu wśród zieleni widać klasztor ze swymi jedenastoma oknami i zgrabną kopułą, ponad którą wznosi się krzyż. Przed domem rozpościera się pole otoczone dziką palisadą wysoką na dwa lub trzy metry. Na lewo wzdłuż tego pola ciągnie się wąska ścieżka, która prowadzi do lasu. Około sto kroków od klasztoru wznosi się dom, który kazała zbudować pani de la Peltrie po swoim powrocie z Montrealu, a który odtąd z powodu różnych okoliczności stał się bardzo sławny. Artysta nie zapomniał też uwzględnić zwyczaju, jaki miała Maria od Wcielenia i przedstawił ją siedzącą pod jesionem i uczącą katechizmu zgromadzone wokół niej dzieci³⁴.

³⁴ Przy klasztorze w Québec istnieje do dzisiejszego dnia jesion, pod którym Maria od Wcielenia uczyła uczennice.

Maria od Wcielenia, przy pełnym zaangażowaniu w prace budowlane, prowadziła jednocześnie - pod kierunkiem nowego przełożonego misji, o. Hieromima Lallemant - intensywną wewnętrzną pracę nad sobą. Czyniła o tak jak gdyby dotąd nic w tym względzie nie zrobiła. O. Hieromim, będąc doskonałym kierownikiem, a także głębokim teologiem, prowadził Marię przez blisko ćwierć wieku po szczytach, na które łaska ją pociągała. Lubiła wspominać o wielkich dobrodziejstwach, które ten czcigodny ojciec dla niej uczynił: „To on właśnie wprowadził ten nadzwyczajny porządek, który panuje w kościele w Québec. Zdaje się być obznajomiony ze wszystkimi ceremoniami, co się zwykle nie spotyka u jezuitów”. Co do jego kierownictwa Maria pisze: „Od samego początku miałam do niego zaufanie i czułam zupełną swobodę w zdawaniu mu sprawy ze swej duszy, a on ze swej strony poczuwał się w obowiązku szczególnego zaangażowania się w prowadzenie mnie. Moje cierpienia bardzo zmniejszyły się, gdyż ten sługa Boży był dla mnie drugim o. Rajmundem, któremu dusza moja była zupełnie uległa, aby iść za głosem Bożym”.

Najboleśniejszym ciężarem, jaki wówczas Maria doświadczyła, były pokusy przeciwko bliźnim, uprzedzenia i nieżyczliwości, które od siedmiu lat nie ustępowały. „W czasie oktawy Bożego Narodzenia 1645 roku przyszło mi na myśl, że jeśli się zobowiązę ślubem we wszystkim szukać większej chwały Bożej i wybierać to, co doskonalsze, Boska Opatrzność mnie wspomóż. Powiedziałam o tym o. Lallemant, który wysłuchał mnie i polecił całą sprawę Bogu, po czym pozwolił mi uczynić ślub, ujmując go w ten sposób: czynić i cierpieć, myśleć i mówić wszystko, co będę uważała za doskonalsze i co może przynieść większą chwałę Bogu; albo też powstrzymać się od czegoś, również z tych samych powodów”. Prócz tego uczyniła zobowiązanie, że będzie bezwzględnie posłuszna spowiednikowi, aby mógł ją prowadzić pod opieką Matki Bożej. Niezadowolona jeszcze z tej ofiary, podjęła następujące postanowienia, których wypełnienie, jak pisze swemu synowi, można uznać jako ostateczne zwycięstwo łaski nad naturą.

„I. Oskarżona o popełnienie czegoś złego nie będę się bronić, nawet gdybym była niewinna. Nie będę też dla własnego usprawiedliwienia wyjawiać winnych, chyba że - według zdania kogoś kompetentnego - chodziłoby o chwałę Bożą³⁵

II. Czuwać będę nad swym umysłem i sercem, by nie pozwalać sobie na słowa skargi czy oburzenia wobec pozornej lub rzeczywistej obrazy, krzywdy odtrącenia i upokorzenia poprzez czyjeś słowa lub czyny.

III. Nie będę nic mówić na swoją pochwałę ani wpływać w sposób milczący lub jawny na umniejszenie pochwały skierowanej ku komuś innemu. Raczej zgodnie z zasadą miłości pochwalę i powiem coś dobrego.

IV. Unikać będę współzawodnictwa i zazdrości, jeśli chodzi o dobra materialne i powodzenie innych w dziedzinie wewnętrznej lub zewnętrznej. Raczej cieszyć się będę z osiągnięć innych i uważać się za niegodną osiągnięcia tego samego.

³⁵ Do osądzenia przez osoby kompetentne - przełożonego lub kierownika duchowego.

V. Wyrabiać będę w sobie postawę pełną szacunku i życzliwości względem osób, do których czuję naturalną antypatię. Przyjmować będę ich czyny bez uprzedzenia i oceniać ich intencje zgodnie z wymogami miłości.

VI. Ćwiczyć się będę w cierpliwości względem bliźnich, tak jak każą zasady Ewangelii.

VII. Będę się starała nie rozczulać się nad sobą i nie rozważać nadmiernie tego, co może się przykrego zdarzyć.

VIII. Starać się będę usilnie o osiągnięcie słodyczy wewnętrznej i zewnętrznej, o łagodność i ewangeliczną pokorę serca.

IX. Nie będę pochopnie snuć podejrzeń ani zrażać się drobnymi pozorami i nie będę poddawać się niepokojom.

X. Znosić będę z miłością i łagodnością dolegliwości ciała i udręki ducha, upokorzenia i doświadczenia pochodzące ze strony Boga i ludzi.

XI. Umartwiać będę przeróżne małe zachcianki i skłonności naturalne we wszystkim, co możliwe bez szkody dla ducha i ciała.

XII. Słuchać będę wiernie poruszeń i natchnień Bożych i we wszystkim, o czym była mowa wyżej, kierować się będę posłuszeństwem wobec dyrektyw ojca duchownego”³⁶.

O. Klaudiusz pisze: „Nie można się dziwić, że po uczynieniu tak surowych postanowień i wypełnianiu ich z całą dokładnością Maria od Wcielenia była niezrównana w miłości dla swych nieprzyjaciół, wszystkie słabostki natury były w niej unicestwione, wreszcie była to dusza wybrana i pełna łaski. Nawet po uwolnieniu od pokus, zachowała na zawsze szczególne upodobanie do swych zasad i nie przestawała być wierna podjętym postanowieniom. Można powiedzieć, że z chwilą, gdy je sprecyzowała, sposobności do ich wypełnienia stały się częstsze niż kiedykolwiek. Wszystko jakby się sprzyściło, aby ją w ćwiczyć w cnocie. Przez kilka lat otoczona była jakby atmosferą niechęci i nieufności, której nie można byłoby sobie wytłumaczyć, gdyby się w tym nie widziało dopuszczenia Bożego. Nawet przełożeni przyczyniali się do tego, aby wypróbować jej nieustanne zjednoczenie z Bogiem i niezamącony pokój, który zachowywała w każdej okoliczności”. Jej historyk twierdzi, że podejrzewania w stosunku do niej dotyczyły przedstawionych przez nią rachunków przed pierwszym ustąpieniem z przełożenia. Zapewne nietrudno byłoby jej uwolnić się od tych zarzutów, jednak tego nie uczyniła i zachowała pokorne milczenie. Nawet jakaś radość wewnętrzna jaśniała na jej obliczu, kiedy osoby, które bardzo poważała, okazywały jej tylko niechęć i obojętność. W liście do syna, który w tym czasie pisał, przedstawia to wielkie szczęście duszy pokornej, nie zważającej zupełnie na swój stan wewnętrzny:

„Mój drogi Synu, w sercu wyzutym z wszystkich rzeczy i które przez świętą nienawiść siebie znajduje przyjemność w pokonywaniu swej zepsutej natury, panuje królestwo pokoju. Gdy dusza dobrze zrozumie tę prawdę, nie zrzuca już więcej winy na kogoś innego, choćby ten naprawdę zawinił, lecz wszystko przypisuje sobie, a nadto jest przekonana, że jeszcze więcej w niej

³⁶ List CXIII, 7.09.09.1648, *Correspondance*, s. 341.

zła niż to, którego jest świadoma i które inni w niej odkrywają. Stąd wnioskuje, że sama zasłużyła na karę zarówno ze strony Boga, przez utratę Jego największych łask, jak i ze strony stworzeń, które nas krzyżują, każde na swój sposób”.

Ogromna wielkoduszność w tej walce przyniosła Marii od Wcielenia zupełne zwycięstwo. Wydawało się jej, że została uwolniona z jakiegoś bardzo ciężkiego i przygniatającego ubrania. Píše: „Łaska ta udzielona mi została przez wstawiennictwo Najświętszej Maryi Panny w dzień Wniebowzięcia 1647 roku. Poznałam wtedy wielkość Miłosierdzia Bożego i zniknęły te wielkie krzyże wewnętrzne i straszne pokusy, które znosiłam prawie osiem lat.... Byłoby niemożliwym opisać ten błogi pokój, w którym dusza moja pograżyła się, widząc się wolną od wszelkich więzów oraz wzbogaconą znowu tym wszystkim co, jak się jej wydawało, już utraciła. I przekonała się, że nie tylko nie poniosła żadnej szkody, lecz zrozumiała nadto, że uzyskała niewypowiedziane skarby. Nie mogłam się dosyć nadziękować Bogu, że mi pozwolił przejść przez tyle dróg wąskich i ciernistych i przepraszałam Go, że nie byłam dość wierna w czasie moich pokus. Wydaje mi się, że słowa Zbawiciela: »czyńcie dobrze tym, którzy wam źle czynią«, Bóg zapisał w moim sercu z wielką mocą i miłością”.

O. Lallemant jeszcze przez dłuższy czas nie przestawał próbować cnoty Marii od Wcielenia, która wspomina: „Pewnego dnia mówił mi i popierał to przykładami, że nie jestem godna obcować z Bogiem w tak ścisły i przyjacielski sposób, a to ze względu na moje liczne niedoskonałości. Mówił prawdę i byłam o tym sama przekonana, czułam się jeszcze o wiele nędzniejsza niż on o mnie sądził. Powtarzał: „Jak można obcować w ten sposób z tak wielkim Majestatem. Chcieć Go całować ustami? U stóp Jego się czołgać – i tak to jeszcze za wiele dla ciebie”. Aby korzystać z Jego uwag, zadawałam sobie wielki gwałt, by w inny sposób obcować z moim Zbawicielem i prosiłam Go z pełną miłości pokorą o łaskę posłuszeństwa temu, który mi zastępował Go tu na ziemi. Lecz w tej samej chwili, nie zdając sobie z tego zupełnie sprawy, byłam znowu w słodkim niewymownym zjednoczeniu z Bogiem i w zachwycie mówiłam: »O, słodka moja Miłości, muszę być posłuszna temu, który mi Ciebie zastępuje. On tego żąda. Ty przecież wiesz, że chcę być posłuszna«. Tak więc stawałam przed Nim skrępowana i związana posłuszeństwem, a Jego nieskończona dobroć patrzyła z miłością na te więzy. Jego wzrok spoczywał na mnie, a mój utkwiony był w Nim. Mimo moich więzów ta wzajemność napępiała mnie niewymownym pokojem. Żyłam w tym stanie jakiś czas i choć przekonałam się, że Słowo Wcielone znajdowało upodobanie w moim posłuszeństwie, powracałam jednak do ścisłej z Nim łączności, co sprawiło, że mój spowiednik pozostawił mi wolność podążania za natchnieniem Ducha Świętego”.

Obok Marii od Wcielenia jej towarzyszyła, s. Maria od św. Józefa biegła również szybkim krokiem do doskonałości, a dotknięta śmiertelną chorobą płuc, zbliżała się już do osiągnięcia korony męczeńskiej. Często w swych listach Maria od Wcielenia wypowiadała swój podziw dla jej wzrastającej cnoty. Do urszulanek w Tours pisała: „Nasza droga siostra jest ciągle chora, lecz zawsze pełna cierpliwości. Jeżeli umrze, będzie to nieoceniona strata dla nas. Jest tak pokorna, że się uważa za najbardziej nieużyteczną i nędzną na całym świecie. Według mnie jest już owocem dojrzałym do nieba i Bóg przygotowuje ją do śmierci, gdyż jest to dusza, która czyni niezwykle

postępy w doskonałości”. W innym liście pisała do rodzonej siostry s. Marii od św. Józefa, która pragnęła jej powrotu do Francji: „Wiem, że pani de la Troche ma zbyt wiele pobożności i miłości, by nie pozwoliła tak drogiej swej córce dopełnić jej ofiary. S. Maria od św. Józefa nie jest ani ciężarem, ani nieużyteczną dla naszego małego seminarium, jak sądzi, lecz raczej bardzo nam jest pomocna dzięki swojej cnocie i dobremu przykładowi; prócz tego w chwilach szczególnej gorliwości jest zdolna do wszystkich zajęć. Nie oszczędza się przy swych drogich Indianach”. Mówiąc doskonale po hurońsku i algonkińsku, nazywając te języki *językami świętymi*, nieraz była otoczona czterdziestoma lub pięćdziesięcioma Huronami, zarówno mężczyznami, kobietami, jak i dziećmi. Wszyscy słuchali jej z niesłychaną uwagą, a ruchami i gestami dawali jej do zrozumienia, że znajdowali upodobanie w tym, co im mówiła. Nazywali ją nie inaczej jak „świętą dziewczicą”. „A ja - mówi Maria od Wcielenia - z upodobaniem nazywam ją *świętą matką*, gdyż ona ich kocha i pociesza jak matka swoje dzieci”.

Wśród wszystkich absorbujących zajęć, a także i niebezpieczeństw grożących kolonii Maria od Wcielenia sercem towarzyszyła swemu synowi, który stał się jej pociechą. Gorliwość, jaką okazywał w nowicjacie, nie ostygła wcale podczas studiów, którymi się zajmował przez pięć lat. Jego dobra matka podtrzymywała go swymi wspaniałymi listami, o których będziemy mówić. Aby jej sprawić przyjemność, nie omieszkął przysłać jej swego planu dnia.

2 września 1644 roku Maria napisała do syna: „Teraz, gdy znam godziny twych ćwiczeń, towarzyszyć ci będę wszędzie, aby wraz z tobą czcić Boskiego Mistrza. Nie brak ci także zajęć fizycznych i umysłowych, a to wszystko ożywione duchem wewnętrznym wystarczy, by zostać świętym. O mój drogi i ukochany synu, bądź godnym naśladowcą tych, którzy nas już poprzedzili. Nie obawiaj się strawić swego życia w służbie Temu, który nie oszczędził swego dla nas”.

Pragnęła również być wtajemniczona we wszystko, co dotyczy Reguły św. Benedykta, a w szczególności kongregacji św. Maura. Przyjemność sprawiało jej uczestniczenie w dobrach duchowych tej rodziny zakonnej, gdyż jak mówiła do swego syna, rodzice zakonników św. Benedykta mają prawo do tych samych łask, co i jego członkowie. „Czytam to, co dotyczy waszego zakonu i nie mogę wyrazić, jaką czuję radość w duszy, że Bóg cię do niego powołał. Pytasz się mnie o moje zdanie? Otóż mówię ci, że wszystkie zasady doskonałości są tam zawarte i że nie ma w całym Kościele żadnego zakonu, który by nie wziął od św. Benedykta i jego dzieci wszystkiego, co jest najświętsze i najdoskonalsze. Proszę, pisz mi o nowościach i zmianach, jakie u was nastąpiły, gdyż bardzo mnie to interesuje. Czuję niezmierną wdzięczność dla wszystkich twych wielbnych ojców, że raczą w swych modlitwach pamiętać o mnie. Zapewnij ich, że modłę się za nich całym sercem i ofiaruję za nich swe drobne zajęcia. Uważam ich wszystkich za moich dobrych ojców i rzeczywiście są takimi, ponieważ są twoimi. Zresztą, nie inaczej myślę o twym zgromadzeniu jak tylko z wielką czcią i szacunkiem”.

Nareszcie nadszedł czas, gdy Klaudiusz Martin ukończył studia teologiczne i miał zostać sługą ołtarza Jezusa Chrystusa. Maria wyznawała mu: „Ucieszyłam się bardzo, gdy się dowiedziałam, że Bóg błogosławi twoim studiom”. Święcenia kapłańskie otrzymał 11 listopada 1646 roku w uroczystość św. Marcina, patrona jego kraju i klasztoru. „Nie można wątpić, pisze o. Mar-

tène, że święty arcybiskup Tours, do którego Klaudiusz czuł szczególną miłość, wyprosił mu w chwili, gdy odprawiał pierwszą Mszę św., coś z tej żarliwości świętych, z którą sam w ciągu życia sprawował Najświętszą Ofiarę”. Niestety, nie posiadamy listu Marii od Wcielenia, który z pewnością napisała do syna, dowiedziawszy się o tej radosnej nowinie. Jej syn będzie odtąd największą jej podporą, wstawiając się za nią w czasie sprawowania Mszy świętej.

ROZDZIAŁ XIV

Matka Maria od Wcielenia i epoka męczeństwa w Kanadzie (1642 – 1650)

Podczas wydarzeń, o których mówiliśmy Kościół w Kanadzie był świadkiem przelewu krwi jego misjonarzy i neofitów. Wielu ginęło od ciosów Irokezów. Maria od Wcielenia, ukryta w murach klasztoru, głęboko przeżywała te klęski, które dotykały jej kraj; towarzyszyła myślą dalekim wyprawom i chwilom męczeństwa synów św. Ignacego. Większość z nich znała osobiście, widziała w nich prawdziwie apostołską gorliwość. Te wewnętrzne przeżycia świętej urszulanki odnajdujemy na każdej stronicy jej listów pisanych w tym okresie. Oddana jest w nich era męczeństwa w Kanadzie z następującymi po sobie okresami spokoju i walki.

O dwieście mil od Québec, w kraju Huronów, znajdowało się kilka ośrodków chrześcijańskich założonych i utrzymywanych kosztem największych niebezpieczeństw. Ukoronowaniem kilkuletniej pracy misjonarzy było siedem tysięcy chrztów ludzi dorosłych. Jednakże nienawroćeni wodzowie i czarownicy, wszechmocni u tych łatwowiernych ludów, stale prześladowali chrześcijan. Nawracanie Huronów oznaczało prawie pewną śmierć, a jednak tak silna była wiara Francuzów, że liczni młodzi ludzie, nie należący do zakonów ani zgromadzeń, z własnej woli towarzyszyli apostołom posyłanym do tego ludu. Byli oni ludźmi wybranymi przez Boga, przeobrażeni w Jezusie Chrystusie.

Maria od Wcielenia pisała we wrześniu 1640 roku do pewnej zakonnicy we Francji: „Wielkiego prześladowania doświadczyli u Huronów nasi ojcowie, którzy byli przygotowani na to, że są w przededniu męczeństwa. O. Ragneneau wszedł do chaty, aby ochrzcić pewną biedną kobietę, która tego pragnęła, a wtedy jej mąż sprzeciwił się temu. Rycząc jak dzikie zwierzę, chwycił topór i zamierzył się na ojca, chcąc mu rozplatać głowę. Topór jednak zatrzymał się na włosach nie mogąc wbić się dalej. Mimo to jednak połamano kij na jego plecach. Sam ojciec mi to wszystko opowiedział: »Myślałem, że będę miał rozplataną głowę, tymczasem nic mi się nie stało i nie wiem, jakim sposobem«. Odpowiedziałam: »Mój Ojcie, czy to nie dobrze i czy nie jest Ojciec zadowolony, że się tak łagodnie z nim obeszli?« Odrzekł: »Wolałbym, aby się dalej posunęli«. Oto jego uczucia, które są uczuciami prawdziwego apostoła. Wszyscy tutaj zazdroszczą mu tego szczęścia, które go spotkało. To samo odnosi się do o. Chaumonot, który widząc jak podnoszono topór na jego towarzysza, zawołał: »I ja chcę podzielić ten los«”.

W kilka dni potem, opisując m. Urszuli z Tours niektóre szczegóły tego prześladowania, mówi: „Im bardziej się prześladowuje naszych misjonarzy, tym bardziej są oni zuchwali: szydzą z nich, biją, a oni poczytują to sobie za chwałę. O. Pijart przybył w tym roku z ziemi Huronów do Québec w sprawie swojej misji. Tubylcy w ciągu całej podróży zmuszali go do wiosłowania w tak niehumanitarny sposób, że gdy przybył ledwie mógł się utrzymać na nogach i z wielką trudnością odprawił Mszę Świętą. Opowiedział mi o cierpieniach, które ojcowie muszą tam znosić; są one niepojęte, a pomimo to serce jego jest przepełnione taką chęcią powrotu, że zapomniał o wszystkich trudnościach podróży, aby szukać umiłowanych krzyży, których nie zamieniłby na raj chyba, że z woli Bożej. Nie można go nigdy namówić, by wziął na drogę coś orzeźwiającego. Nie wiem, jaki będzie jego los, ani ojców, którzy mu towarzyszą, ponieważ oskarżenia skierowane przeciw nim mają pewne pozory prawdy. Uważani są za czarowników, gdyż gdziekolwiek poszli, Bóg dopuścił, że towarzyszyła im zaraza, prawdopodobnie, aby wiara tych, co się nawrócą, była czystsza. Błagam, moją bardzo drogą Matkę, o wzmożenie modlitw za te oddane Bogu sługi. Posyłam Matce jako swej najdroższej przyjaciółce listy, które do mnie pisują, żeby je Matka przeczytała i zachowała je z szacunkiem jako pochodzące od wspaniałych apostołów, szerzących Ewangelię na niwie Bożej”.

Maria od Wcielenia, dla której nic na świecie nie istniało prócz spraw jej Boskiego Oblubieńca, nie przestawała podziwiać tak żarliwej gorliwości. Píše do swego syna: „Jestem zachwycona, że widzę tu świętych – gdyż tak nazywam naszych misjonarzy – w tak strasznym ubóstwie. Naprawdę do nich mogą być zastosowane słowa apostoła: »Umarliście, a wasze życie z Chrystusem jest ukryte w Bogu«. Nie mam słów, aby wyrazić to, co widzę”. A w innym liście: „Każdy stara się być wyznaczony do miejsc najbardziej niebezpiecznych, gdzie nie ma żadnej ludzkiej pomocy. Życzenia składane sobie wzajemnie są tutaj następujące: »Idźcie, to cudowne, że zostajecie wysłani do opustoszałego kraju. Dałby Bóg, żeby wam rozplątano głowy toporem«. Odpowiadają: »To za mało. Trzeba być odartym ze skóry, palonym i przejść przez męki najokrutniejsze, jakie potrafi wymyślić dziki barbarzyńca. Chętnie to zniesiemy dla miłości Boga i zbawienia dzikich« – Jeżeli tak się stanie, mówię, zaśpiewamy *Te Deum*”.

Relacje jezuitów w tych latach obfitują w podobne zeznania, tak bardzo podobne do tych z czasów Nerona lub Dioklecjana. O. Lallemant mówi: „Jest wielkim błogosławieństwem, widzieć odwagę i żarliwość tych kochanych ojców odjeżdżających do Huronów. Taka radość maluje się na ich obliczach, że wydawałoby się, że wszyscy jadą, aby objąć tron lub koronę”. Jeden z nich wyznał, że im więcej przewidują tam krzyży, tym bardziej serce się cieszy i do tego wyrывa. „Co za szczęście, nic więcej swoimi oczami nie oglądać jak dzikich, krzyże i Jezusa Chrystusa”.

Pomimo chwilowego prześladowania misjonarzy przez to plemię, pomimo małych zasobów w kraju, wydawało się, że kolonia na wiosnę 1642 roku wchodzi w okres spokoju i stabilizacji. O. Vimont pisał pod tą datą: „Każda rodzina robi sobie małe zapasy pszenicy, żyta, grochu i innych ziaren koniecznych do życia; jedni więcej, inni mniej. Robota jest dobrze zaczęta, potrzeba jeszcze pomocy, lecz znacznie posuwa się naprzód, dzięki Bogu. Co więcej, widzi się w

każdym domu dużo zdrowych dzieci, z dobrym nastawieniem umysłu, a co najważniejsze, we wszystkich spostrzega się gorące pragnienie zbawienia i szczególne umiłowanie cnoty”. Opatrzność dopuściła, że właśnie w tym momencie nasze zakłady zaczęły znosić uderzenia Irokezów, tych „Filistynów Nowej Francji”, jak ich nazywano.

Champlain, można powiedzieć, był zmuszony stanąć po stronie plemion indiańskich: Algonkinów, Montanów i Huronów, uciemiężonych przez dzikich wojowników z Pięciu Kantonów. Ci ostatni obejmowali wspólną nienawiścią Francuzów i ich protegowanych. Wszystko to, co miało jakiś związek z religią Francji, było dla nich odpychające; dlatego też stosowali wobec chrześcijańskich jeńców tortury przewyższające wszystko to, o czym słyszało się u plemion najbardziej barbarzyńskich. Osiedleni na południu od św. Wawrzyńca w stronę jeziora Ontario, gdy śniegi stopniały, opuszczali swoje wsie pozostawiając je pod opieką kobiet i starców, a sami robili się po wielkiej rzece i sąsiednich lasach, aby tam zaskoczyć swoich nieprzyjaciół. Dotychczas żaden z Francuzów nie wpadł w ich ręce; pierwszą ważną zdobyczą tych barbarzyńców był o. Jogues i jego mała eskorta, która udawała się wraz z nim do kraju Huronów. To zdarzenie miało miejsce 2 sierpnia 1642 roku.

Na kilka dni przed pojmaniem świętego misjonarza Maria od Wcielenia miała okazję do porozmawiania z nim; jemu to powierzyła młodą Huronkę Teresę, którą miał odwiedzić do jej kraju. Píše do pewnej urszulanki z Tours: „Może sobie siostra wyobrazić, jaką boleść sprawiła nam ta wiadomość o tym nieszczęściu. Nie znano jeszcze takiego wypadku w Kanadzie, odkąd naucza się naszej świętej religii. Gdyby jednak Bóg zachował o. Jogues i naszych chrześcijan wśród Irokezów, mogłoby to otworzyć drogę do nauczania Ewangelii w tym kraju niewiernych. Tak się też stało; przez rok ten męczennik za wiarę pozostawał w rękach barbarzyńców jako ofiara przeznaczona na męczeństwo. Holendrzy osiedleni w Nowym Amsterdamie, dzisiejszym Nowym Jorku, ułatwili mu ucieczkę, na którą zgodził się tylko pod warunkiem, że pewnego dnia powróci, aby swych oprawców nauczać Ewangelii. Zawieziony do Francji, niedługo tam zabawił i za parę miesięcy zjawił się znowu w Québec”.

Maria donosiła swemu synowi: „O. Jogues powrócił tutaj jak prawdziwy, żywy męczennik, noszący na swym ciele znamiona Jezusa Chrystusa. Opowiadał mi, jakimi drogami prowadził go Bóg podczas niewoli. Tysiące męczenników umarło na pewno kosztem mniejszych cierpień”. A potem po przytoczeniu niektórych okropnych mąk, jak: odcinanie palców lub odrywanie ich zębami, okładanie kijami, przypalanie ogniem wszystkich części ciała, Matka dodaje: „Ten człowiek, apostoł, potrafił dzięki sakramentowi Chrztu św. posłać do nieba wiele dusz spośród nieprzyjaciół. Teraz kiedy tu powrócił, wyraźnie widać, że po męczeństwie jest to człowiek z innego świata, jego pokora jest tak wielka, że nie potrzeba już innych dowodów jego świętości. Podczas jego pobytu u Irokezów ta jego wyjątkowa skromność wzbudziła podziw u barbarzyńców i przekonała ich, że o. Jogues był więcej niż człowiekiem”. Ucieczka jeńca tak zasłużonego, którego jednak postanowili stracić na stosie, rozgniewała tych okrutników. Dalej pisała Maria od Wcielenia pod datą 2 sierpnia 1644 roku: „Dzisiaj ich bandy znajdują się w całej okolicy przy rzece, poczynając od 4 mil powyżej Québec aż do 60 lub więcej. Na całej tej przestrzeni nacierają

na tubylców i Francuzów, którzy starają się ukryć jak mogą przed ich wściekłością. Trzystu tych biednych tubylców szukało schronienia tej zimy koło naszego klasztoru, nie mając odwagi powrócić do swoich stron, skąd uciekli w obawie przed wpadnięciem w ręce Irokezów. Niektórzy podczas ucieczki przeszło trzydzieści dni żywili się tylko łodygami; można sobie wyobrazić jak byli wygłodniali, gdy tu przybyli”. Kończąc w kilka dni później inny list pełen bolesnych rozważań, ale także i nadziei co do rozwoju wiary, Matka pisze: „Nie przestawaj, mój bardzo drogi synu, módl się u stóp Króla narodów; On umarł za wszystkich, a nie wszyscy jeszcze żyją! Ach, gdybym była godna spieszyć wszędzie, by móc zdobywać dla Niego dusze, moje serce byłoby zaspokojone. Czyż nie jest to rzeczą poruszającą widzieć, jak szatani wywierają tak przełożny wpływ na tyle ludów? Idźmy, idźmy razem w duchu przez wszystkie te kraje niewiernych, starając się zdobyć niektóre z nich dla naszego Zbawcy. Możesz w swojej samotności zdziałać tyle samo, ile byś uczynił pracując w duszpasterstwie. Ojciec Przedwieczny objawił pewnej osobie, że jeśli Go o coś poprosi przez Serce Jego Syna, prośba zostanie spełniona. Prośmy Go więc o dusze przez to Boskie Serce dla powiększenia Jego Królestwa. Żałujemy, że Jego nieprzyjaciół opanował te dusze, gdyż to On podnieca Irokezów, którzy po mojej grzeszności są w tej chwili w tym kraju największymi wrogami chwały Bożej”.

Pragnienia tej apostołskiej duszy częściowo zostały spełnione. W następnym roku, 12 sierpnia 1645 roku, w Trois – Rivières nastąpiło uroczyste zawarcie pokoju. Matka jako Francuzka i zakonnica, której zadaniem było zbawienie dusz, interesowała się w najwyższym stopniu wszystkimi szczegółami tego wydarzenia. Zanim *Relacje* jezuitów zawiozły nowinę jej synowi, miała tę radość przesłać mu krótkie sprawozdanie sporządzone na podstawie słów świadka lub też notatek użyczonych jej przez ojca. List napisany 14 września 1645 roku daje prawdziwy obraz sytuacji i jest porywającą lekturą. Dowiadujemy się z niego, że zawarcie pokoju możliwe było dzięki szlachetnemu postępowaniu pana de Montmagny, który otoczywszy względami kilku jeńców irokeskich, jednego z nich obładowanego prezentami odesłał do swoich, aby tam prowadził układy celem zawarcia trwałego porozumienia. Jeniec ten powrócił wkrótce z dwoma posłami ze swego narodu, którzy zostali przyjęci w porcie Trois-Rivières przez gubernatora kolonii i towarzyszącego mu o. Vimont.

Maria od Wcielenia opowiada: „U dzikich wszystko ma swoje znaczenie: ich czyny są równie znaczące jak słowa. Najwymowniejszy z posłów Kiotseaton, wzięwszy do ręki naszyjnik z porcelanowych paciorków³⁷, rzekł zwracając się do pana de Montmagny: „Słuchaj uważnie moich słów, Ononthio³⁸; moje usta są ustami całego mego kraju; kiedy mnie słyszysz mówiącego, słyszysz wszystkich Irokezów. W moim sercu nie ma zła. Mam tylko dobre chęci. Mamy u nas wiele pieśni wojennych, ale wszystkie rzuciliśmy na ziemię i dzisiaj znamy tylko pieśni radośne”. Tu zaczął śpiewać, a jego ziomkowie mu odpowiadali. Przechadzał się jak aktor na scenie

³⁷ Kawalki porcelanowe u Indian w Ameryce Północnej były używane jako pieniądze, ozdoby i zabezpieczenie w traktatach pokojowych; ziarenka były zrobione z masy perłowej niektórych muszli morskich.

³⁸ Ononthio tzn. Wielka góra. Jest to tłumaczenie w języku Huronów nazwiska Montmagny (Mons magnus). Od tego czasu wszyscy gubernatorzy Québec nosili to imię wśród plemion indiańskich. Także król francuski nazywał się wielkim Ononthio.

po podwórzu portu, gdzie odbywało się posiedzenie, robiąc tysiące gestów, patrząc w niebo i pocierając sobie ramiona, jak gdyby chciał wydobyć z nich moc, która je ożywia w walce”.

Każdy z siedemnastu darów ofiarowanych przez posłów miał symboliczne znaczenie przedstawiane za pomocą prawdziwej pantomimy. Jeden z darów torował drogę z miejsca zamieszkania Francuzów do Irokezów. Inny usuwał przeszkody na wodospadach i spadkach rzek. Kiotseaton zapewniał Ononthio, że Irokezi nie mają już urazy za śmierć ich ludzi zabitych podczas wojny. Kiotseaton powiedział: „Słyszałem głos moich przodków zamordowanych przez Algonkinów, którzy wiedząc, że myślę ciągle o zemście, zawołali do mnie głosem pełnym miłości: »Potomku, usiądź, nie wpadaj we wściekłość, nie myśl już o nas, ponieważ nie ma sposobu, by odebrać nas śmierci. Myśl tylko o żywych, to jest najważniejsze; odciągnij ich od miecza i ognia, które mogą posłać tam, gdzie my jesteśmy; człowiek żywy wart jest więcej niż kilku zmarłych«. Kiedy słyszałem ten głos, poszedłem dalej i przychodzę do was, aby uwolnić tych, których jeszcze trzymacie w niewoli”. Panu de Montmagny nic nie pozostawało innego, jak na te dary odpowiedzieć takimi samymi podarunkami, które wyrażały – jak tłumacz objaśniał Indianom – pragnienie zawarcia pokoju. Porozumienie to przypieczętowały tańce i uczty przyjaźni, przy których spotkały się wrogie sobie plemiona. Noël Nagabamat, jeden z neofitów Marii od Wcielenia, zabrał głos w imieniu swych ziomeków i ofiarował dla zacieśnienia więzów przyjaźni kilka skór łosia, aby z nich zrobić obuwie dla posłów, by nie poranili sobie nóg w drodze powrotnej. Na zakończenie dodał, że ma jedno serce ze swym starszym bratem Ononthio, a więc ich podarunki są wspólne”. Kiedy trzeba było opuścić Francuzów, Kiotseaton nie wiedział, jak wyrazić swą wdzięczność za ich szlachetne postępowanie. Wołał do nich będąc już w łodzi: „Żegnajcie bracia, należę do waszej rodziny, zawiozę dobre wieści do mojego kraju”. Potem szukając wzrokiem gubernatora, rzekł do niego: „Ononthio, twoje imię jest wielkim na całej ziemi! Nie myślałem, że uniosę bezpiecznie swą głowę, którą ryzykowałem, ani że będzie mogła wyjść z waszych drzwi, ale nie tylko jej nie straciłem, ale powracam obsypany honorami i życzliwością. Bracia moi, mówił dalej zwracając się do dzikich, słuchajcie Ononthia i Francuzów, ich zamiary są dobre i nie możecie lepiej uczynić, jak postępować według ich rad”.

Kilka tygodni później nasi dawni wrogowie posunęli się do tego, że prosili ojców o nauczanie ich wiary chrześcijańskiej. Pokój z tymi barbarzyńcami – pisała wówczas Maria – może być uważany za cud Nieba, gdyż po ludzku myśląc, nie można było mieć na to nadziei również z powodu wielkich sprzeczności w ich postępowaniu. „Winniśmy więc wdzięczność Bogu, który w ten sposób otwiera drzwi Ewangelii dla tych wszystkich ludów. Możecie więc z tego sądzić, ile mamy niewypowiedzianych radości płynących z tak wielkiej łaski, że jesteśmy w przededniu oglądania rozszerzania się królestwa Jezusa Chrystusa na wszystkie niewierne ludy naszej Ameryki. Proście Boga o trwałość tego pokoju, gdyż diabeł, którego wypędzą z jego państwa, robi, co będzie mógł, by go zakłócić, co byłoby gorsze niż poprzednio”. Przywołajmy jeszcze wydanie, który dobrze odmalowuje naszą gorliwą urszulankę: „Ojcowie Poncet i Bressani³⁹ udali

³⁹ Przybył z Rzymu do Québec w 1642 roku.

się do kraju Huronów⁴⁰. Ten, który tyle wycierpiał od Irokezów, wyprosił materiały na ubrania dla swych tyranów; uszyliśmy je, a on je im przesłał. On gorąco ich kocha i pragnie, by los padł na niego i by mógł iść do nich ze słowami życia wiecznego w zamian za życie doczesne, którego chcieli go pozbawić. Mamy nadzieję, że będziemy miały dziewczynki irokeskie wraz z naszą uwięzioną Teresą, którą powinni nam oddać. Jeżeli ten dobry ojciec przywiezie te małe jędze⁴¹, które przyczyniły się do jego męczarni, będziemy je czule kochać, ponieważ pomogły temu wielkiemu Słudze Bożemu w zdobyciu tylu wieńców; chcemy bowiem wniknąć w jego ducha i pokazać naszym nieprzyjaciołom, że nie potrafimy się inaczej mścić, jak odpłacając dobrem za zło”.

O. Bressani mógł istotnie jak o. Jogues ubiegać się o honor powrócenia do tej misji Irokezów, którą oblał swoją krwią. Jednakże Opatrzność przeznaczyła na tę placówkę innego. Maria od Wcielenia pisała 10 września 1646 roku, że to o. Jogues: „Pojechał objąć swą ukochaną misję, uświęconą już jego cierpieniami i heroicznymi cnotami, o których dowiemy się dopiero w dniu sądu, gdyż ten święty zakonnik pokrywa je skromnym milczeniem. Jednakże nawet te trochę cnót, które mogli ludzie zobaczyć, zachwyciły jego tyranów, gdy zobaczyli, że po powrocie z Francji udaje się do ich kraju. Przyjęli go jak anioła z nieba i uważają go za Ojca”.

Maria kontynuuje: „Podczas tej podróży odnalazł naszą Teresę, rozmawiał z nią na osobności i zachęcał do odwagi, ponieważ nadszedł czas jej wybawienia, przywoził bowiem okup za nią, który posłałyśmy. Wprawdzie nie dlatego, aby ją wykupić, ponieważ według zawartego traktatu powinni byli nam ją oddać, lecz aby zapłacić za jej utrzymanie tym, którzy ją żywili przez cztery lata. Zapewniła ona o. Bressani, że nie zachwiała się w wierze, modliła się do Boga codziennie, a najgorętszym jej pragnieniem było powrócić do nas, aby nabrać nowego i głębszego odczucia spraw Boskich i pobożności”.

Kłamliwe wieści przeciw chrześcijanom, rozsiewane przez niektórych Huronów u Irokezów, a także wielka śmiertelność, która ich nawiedziła, roznieciły nagle ich dawną nienawiść. Od zawarcia pokoju z Francuzami upłynęło około dwunastu miesięcy. O. Jogues, przyjęty początkowo z szacunkiem, gdy powrócił po krótkiej nieobecności, zastał zupełną zmianę nastrojów. Zaledwie wszedł do pierwszej wsi irokeskiej, został napadnięty i zamordowany ciosem topora, a wraz z nim młody Francuz, który mu towarzyszył. Stało się to 18 października 1646 roku. Wystawiono ich głowy jako trofea na palisadzie otaczającej osiedle, a ciała wrzucono do rzeki. Maria od Wcielenia pisze: „W taki to sposób ten wielki Sługa Boży dopełnił swej ofiary. Czcimy go jako męczennika, a jest nim istotnie, ponieważ był zamordowany z nienawiści do naszej świętej wiary i do modlitwy, którą ci przewrotni ludzie biorą za czary i klątwy. Wydaje się, że Bóg przyobiegał mu tę wielką łaskę, gdyż natchniony duchem proroczym napisał do jednego ze swych przyjaciół: »Pójdę i nie powrócę już«. Oto dlaczego oczekiwał tego błogosławionego momentu ze świętą niecierpliwością. Och, jak słodko jest umierać dla Jezusa”.

⁴⁰ Dwa lata wcześniej został zatrzymany w pobliżu Trois-Rivières przez bandę Irokezów i wzięty do niewoli. Tam przez kilka miesięcy znosił niesłychane męczarnie, następnie był wykupiony przez Holendrów i odesłany do Francji zupełnie okaleczony, mając tylko jeden cały palec na obu rękach. W następnym roku ten męczennik wiary powrócił do swej ukochanej misji, pracował jeszcze pośród Huronów i opuścił ją w 1650 roku na wyraźny nakaz posłuszeństwa, aby powrócić do Włoch.

⁴¹ W wioskach irokeskich dzieci obojga płci, według relacji misjonarzy, były wzywane, aby torturować więźniów.

Wszystkie listy Marii od Wcielenia są napełnione wspomnieniami o tym znakomitym wyznawcy wiary. Pisz do swego syna: „Nie wątpię, że tak pragniesz mego dobra, iż życzysz mi również śmierci, takiej jak śmierć o. Jogues, lecz niestety, nie jestem godna na to zasłużyć. Wydaje mi się, że byłoby to największą pociechą, jaką można sobie wyobrazić; jednakże mam wielkie powody do niedowierzania sobie. Może odwróciłabym się od cierpienia, podczas gdy on przyjął je jak prawdziwy uczeń Jezusa”. W niebezpieczeństwie grożącym kolonii Maria ucieka się do jego orędownictwa. Pisz do m. Urszuli: „Mamy w niebie naszego świętego męczennika, który się za nas modli, i odczuwamy skutki jego orędownictwa w tylu niebezpieczeństwach, których się uniknęło i w tylu nawróceniach od czasu jego śmierci. Co do mnie, mówię to Matce szczerze, nie boję się niczego i chociaż jestem najnędzniejsza na świecie, jestem gotowa udać się na krańce świata, jakiegokolwiek by były dzikie, jeśli tylko zechcą mnie tam wysłać; ale nie jestem godna tak wielkiego posłannictwa”.

W tym samym roku misja w Québec straciła ojców de Noüe i Ennemond Masse. Jeden z nich zmarł w śniegach jako ofiara miłości bliźniego, drugi zgasł wyniszczony wiekiem i pracą. Maria od Wcielenia donosiła o tym swemu synowi: „Ponieważ znałam bardzo dobrze tych zakonników, ich śmierć ogromnie mnie przejęła, ale w taki radosny sposób, że wydawało mi się, iż odczuwam ich chwałę tak, jak odczuwałam żarliwość ich cnót, kiedy byli jeszcze pośród nas żywi”.

Irokezi zaraz po zamordowaniu o. Jogues i zerwaniu tym samym pokój, pojawili się znowu, okrutniejsi niż kiedykolwiek, na ziemiach Francuzów, Algonkinów i Huronów. Ponieważ wiadomość o zmianie ich uczuć jeszcze się nie rozeszła, nikt nie spodziewał się ataku. Maria opowiada: „Zaskoczyli naszych dobrodusznych chrześcijan i neofitów, w chwili gdy ci opuszczali swe chaty, aby posuwać się głębiej w las. A ponieważ byli obciążeni kobietami, dziećmi i bagażami, nie mogli się skutecznie bronić. Znajdowało się tam kilku stałych gości urszulańskiego klasztoru: zacny Jan Baptysta, jeden z najbardziej znanych uczniów m. Marii od św. Józefa i Bernard, którego cnoty Maria od Wcielenia bardzo ceniła. Zginął on w tej walce.

„Nazajutrz inna banda wrogów przybyła na to samo miejsce, prowadząc pojmanych jeńców, wrzeszcząc i gwiżdżąc, co zawsze u nich towarzyszy prowadzeniu niewolników. Wszyscy nasi chrześcijanie złączeni we wspólnej niedoli, powiązani, pobici, pokryci ranami, nie mogli ze sobą rozmawiać, porozumiewali się tylko spojrzeniami wyrażającymi współczucie. Potem opuścili głowy mając serca przepełnione bólem i goryczą. Jednak jeden z nich, Jan Taouicharon, stanął odważnie pośrodku pojmanych i patrząc pewnie rzekł głosem stanowczym: »Odwagi bracia, nie porzucamy wiary ani modlitwy, duma naszych nieprzyjaciół wkrótce będzie złamana; nasze męczarnie jakkolwiek ciężkie, nie będą długo trwały, a gdy je zniesiemy cierpliwie, będziemy mieć w niebie odpoczynek bez końca. Niech nikt więc nie zachwieje się w wierze, chociaż jesteśmy nędzarzami, nie znaczy to, byśmy byli opuszczeni przez Boga. Padnijmy na kolana i prosimy Go, aby nam dał odwagę i cierpliwość w naszych cierpieniach«. Na te słowa nie tylko chrześcijanie i katechumeni, ale także ich rodzice uklękli i jeden z nich zaczął głośno mówić modlitwy, a inni głośno za nim powtarzali. Następnie śpiewali kantyki, aby pocieszyć się w tym

wielkim strapieniu, które Opatrzność Boża na nich zesłała. Dowiedzieliśmy się, że ci barbarzyńcy, okrutniejsi niż dzikie zwierzęta, przed odejściem z tego miejsca ukrzyżowali małe trzyletnie dziecko niedawno ochrzczone. Rozciągnęli jego ciało na grubej korze i przebili rączki i nóżki ostrymi kijami. O, jak szczęśliwe jest to dziecko, że zasłużyło będąc w stanie niewinności na zaszczyt śmierci podobnej do śmierci Jezusa Chrystusa! Któż nie będzie zazdrościł temu świętemu niewinnemu dziecku, moim zdaniem, szczęśliwшему niż ci, którzy śmiercią uczcili narodzenie naszego Boskiego Zbawiciela”. Ciągając dalej opowiadanie o aktach męczeństwa Maria od Wcielenia mówi: „Ta nieszczęsna gromada została zaprowadzona do kraju Irokezów, gdzie została przyjęta tak, jak się przyjmuje jeńców wojennych, to znaczy uderzeniami kijów i gorącymi głowniami, którymi przypiekano im boki. Potem, gdy już się nimi nabawili, dorośli i dzieci, zaprowadzono ich po kolei do trzech wiosek tego plemienia. W jednej z nich wyrwali im paznokcie, w drugiej przypiekali, a wszędzie bili dodając nowe rany do tych dawniejszych. Kobiety i dzieci pozostawiono przy życiu, ale mężczyźni i młodzieńcy zdolni do noszenia broni, zostali przydzieleni do poszczególnych wiosek, aby tam być spalonymi, ugotowanymi lub usmażonymi. Chrześcijanin, o którym mówiłam, że odmawiał głośno modlitwy, był męczony z najstraszniejszym okrucieństwem. Zaczęto się nad nim znęcać przed zachodem słońca i przez całą noc palono jego ciało od stóp do pasa. Nazajutrz palono od pasa do szyi, pozostawiając palenie głowy na następną noc. Jednakże tyrani widząc, że sił mu już brakuje, rzucili jego ciało do ognia, gdzie się spaliło. W czasie tych męczarni nie usłyszano, by wypowiedział choć jedno słowo skargi lub okazał jakiegokolwiek przygnębienie. Wiara dawała mu tę siłę wewnętrzną i pozwoliła, by głośno odmawiał akty poddania się woli Bożej. Możecie go nazwać męczennikiem lub innym imieniem, jak wam się podoba, jednakże jest pewne, że modlitwa była przyczyną jego cierpień i jeżeli był okrutniej męczony niż inni, to dlatego, iż odmawiał ją głośno w imieniu pojmanych. Dowiedzieliśmy się o tych wszystkich szczegółach od kilku kobiet, które się uratowały, a przede wszystkim od zacnej Marii, żony Jana Baptysty”. W późniejszym liście, opowiadając synowi o nowej rzezi chrześcijan, mówi: „Jeden z nich wyróżniał się swą gorliwością i zapałem; miał około 22 lat i był moim duchowym synem, który kochał mnie jak rodzoną matkę lub więcej niż ją. Przez trzy dni i trzy noce był potwornie męczony i musiał znosić urągania wierze, którą głośno wyznawał do ostatniego tchnienia. Barbarzyńcy mówili z kpinami: „Gdzież jest twój Bóg? Wcale ci jakoś nie pomaga”. Pomimo to, ten odważny sługa Boży tym więcej się modlił i chwalił Tego, dla którego tak cierpiał; śpiewał donośnie i to wściekało dzikusów. Nazywał się Józef i był wychowany od dziecka w wierze chrześcijańskiej przez o. Le Jeune. Czy twoim zdaniem nie jest on moim dobrym synem? Właściwie jest raczej mym ojcem i adwokatem przed Bogiem. Kochając go jestem bardzo szczęśliwa, że dostał tak wielkiej łaski trwając z taką wiernością przy wierze. Był młodzieńcem bardzo przystojnym i nadzwyczajnie skromnym, ale ja chwale go głównie za jego wierność. Gdybym słyszała to samo o tobie, mój drogi synu, nie potrafiłby nikt wypowiedzieć radości, której bym doznała. Ale tak wielkie łaski nie zależą od naszego wyboru. To są łaski, których Bóg udziela tylko duszom wybranym”. Krew tych szlachetnych chrześcijan zamieniła się na deszcz łask spadających na Kościół w Kanadzie. Nie mówiąc już o ludach oddalonych, które zwracały się ku Ewangelii. Wśród nawróconych Indian zamieszkałych w Québec powstało współzawodnictwo w cnocie, o czym Maria od Wcielenia nie mówi inaczej jak z rozrzewnie-

niem. „Ten widok jest zawsze dla mnie nowością. Myśl o tym, czym byli ci dzicy zanim poznali Boga i o tym, czym są teraz, gdy Go poznali, wzrusza mnie w stopniu, którego wyrazić nie potrafię. Ci z Sillery są tak przepełnieni gorliwością, że wybuchają płaczem podczas kazania, przerywając ojcu, który je wygłasza, aby głośno wypowiedzieć uczucia przepełniające ich serca. Stale widzimy zza naszej kraty spełniane akty cnoty prawie nie do wiary. Huronowie, którzy tu przybywają, są ciągle w naszej rozmównicy, gdzie ich nauczamy. Jest to posłannictwem naszej kochanej m. Marii od św. Józefa, która zna ich język, toteż ci zacni neofici i katechumeni uważają ją za swoją matkę. Jeden z nich, gdy niektórzy jego ziomkowie nalegali, by szedł z nimi na polowanie, odpowiedział, że nie może tego uczynić bez pozwolenia swej dobrej matki i przewodniczki. »Ach! Nie jest mężczyzną lecz kobietą!« - zawołali z oburzeniem i pogardą. Na te słowa biedny człowiek spuścił oczy nic nie mówiąc, jednak poczuł się tym bardzo dotknięty. Poszedł opowiedzieć o zmartwieniu swej nauczycielce. Ta zachęciła go do zniesienia zniewagi jak przystało na prawdziwego chrześcijanina, który powinien okazywać cierpliwość i miłość do nieprzyjaciół. Odpowiedział wzdychając: »Ach, Mario, jak ciężko jest mężczyźnie być uważanym za kobietę. Jednak ponieważ chcę być chrześcijaninem, muszę naśladować Jezusa Chrystusa«. Widząc jego nastawienie poradziła mu, aby poszedł z nimi, co też uczynił z uległością.

Inny Huron, Michał, którego pamięć urszulanki czcą, przyprowadził do klasztoru małą seminarzystkę. Ponieważ nie mógł powrócić do swego kraju, zamieszkał przez pewien czas przy klasztorze w domu kapelana. Matka od św. Józefa, widząc jak czystym jest jego życie, zapytała pewnego dnia, czy często przystępuje do stołu Pańskiego. „Bardzo tego pragnę – odpowiedział - lecz mówię sobie: nie jestem godny. Gdyby Maria uważała mnie za godnego powiedziałaaby: Michale idź do komunii. Ponieważ jednak nic nie mówi, to znaczy, że nie powinienem tego robić”. Trzeba jeszcze wspomnieć o Janie Baptystcie, wodzu cieszącym się nadzwyczajnym szacunkiem wśród Huronów, który padł ofiarą Irokezów w 1647 roku. Ponieważ Maria od św. Józefa z powodu rozlicznych zajęć nie zawsze mogła zejść do rozmównicy zaraz jak była proszona, Jan Baptysta czekał na nią całymi godzinami, nigdy się nie zrażając. Takim bowiem pałał zapalem dla prawd, które dotychczas były mu nieznane. Pewnego dnia, gdy pozwolił sobie na słowa niecierpliwienia, a jego spowiednik, o. Lallemant był nieobecny, przybiegł do swej ukochanej matki. Spieszył się, ponieważ udawał się na polowanie: „Mario - rzekł do niej - powiedz mojemu spowiednikowi, jak wróci, że Jan Baptysta zgrzeszył, rozgniewał się, bardzo tego żałuje i będzie się miał na baczności, by się to więcej nie powtórzyło”. To powiedziawszy pobiegł za towarzyszami. Po przejściu dwóch mil, gdy dowiedział się jednak, że misjonarz powrócił, porzucił swych towarzyszy, udał się do Québec, by się wypowiadać, a potem lekki na duchu i zadowolony powrócił do nich.

Naród Huronów, który liczył wielu gorliwych chrześcijan, miał być doszczętnie zniszczony przez swych nieubłaganych wrogów. Ci ostatni palali nie tylko nienawiścią do wiary, lecz również żądzą zemsty na narodem, który ich kiedyś pokonał. W lipcu 1648 roku zadali mu pierwszy straszliwy cios. Irokezi niespodziewanie napadli na osadę *Saint Joseph*, dość oddaloną od ośrodka misyjnego i wymordowali całą ludność wraz z o. Antonim Daniel, który padł przeszyty strzałami. Następnej wiosny znowu napadli, spalili wtedy i zatopili we krwi kwitnące ośrodki

chrześcijańskie *Saint Ignaces* i *Saint Louis*. W tym ostatnim miasteczku sławny o. de Brébeuf, apostoł Huronów i o. Gabriel Lallemant zdobyli palmę męczeństwa po straszliwych męczarniach, przed opisem których wzdryga się nawet pióro”.

Maria od Wcielenia relacjonuje: „Zaprowadzono ich na miejsce kaźni, tam padli na kolana dziękując Zbawicielowi za zaszczyt, który im czyni uważając za godnych cierpienia dla Jego miłości. Przywiązali ich do pala; jedni ucięli im stopy i dłonie; inni wyrwali z rąk i nóg kawały ciała, które smażyli, aby je zjadać w ich obecności. Jeszcze żyli, gdy barbarzyńcy pili ich krew. Po tym okrutnym czynie wkładali gorące głownie do ich ran, na szyi zawiesili zamiast naszyjników topory rozpalone do czerwoności w ogniu i raz po raz polewali wrzącą wodą ich głowy, naśmiewając się w ten sposób z chrztu św. O. Lallemant miał oczy wzniesione do nieba i znosił te męki milcząc, bez słowa skargi. Natomiast o. de Brébeuf ciągle mówił o wielkości Boga, co tak złościło jego katów, że z wściekłości odcięli mu usta i przebili język. O. Lallemant był męczony przez piętnaście godzin, o. de Brébeuf umarł po trzech i w ten sposób wyprzedził swego towarzysza w chwale, tak jak go wyprzedził w pracach w misji”.

Opowiadając swojemu synem o tych bohaterach Kościoła w Kanadzie i o ojcach Garnier i Chabanel, którzy zginęli wkrótce potem w tej samej rzezi, Maria zaznacza: „To pokora czyni świętych, jak to widać na przykładzie pięciu sług Bożych, których zamęczono u Huronów. Byli tak pokorni przed swym męczeństwem, że wzbudzali podziw u tych, którzy mieli szczęście żyć w ich towarzystwie. Wszyscy oni byli obdarzeni Duchem Słowa Wcielonego. Przez swą szlachetną odwagę w sposób najdoskonalszy okazali, że ich serce było tym Duchem przepełnione i że ukochali krzyż swego Pana”. Matka dużo zawdzięczała o. de Brébeuf, który będąc w Québec podczas zakładania klasztoru urszulanek, z wielkim oddaniem i miłością, wspomagał ją swymi radami. Pisała: „Trzeba grubej księgi, by opisać życie tego świętego zakonnika. Był wyjątkowo pokorny, cichy, posłuszny, pełen cnót nabytych dzięki wielkiej pracy nad sobą. Przyjemnie było widzieć w życiu skutki tych cnót. Był w głębokiej relacji z Bogiem i codziennie z Nim obcował”.

Nieustająca pogoń Irokezów nękająca Huronów, którzy uniknęli ich ciosów, nie pozwoliła temu plemieniu odzyskać dawnego stanu. Wielka liczba tych nieszczęsnych rozbitków, po przejściu wielu okrutnych cierpień, zdecydowała się szukać schronienia wśród Francuzów pod osłoną fortu Québec. „Trzy domy zakonne tego miasta, jak również kilka litościwych osób - pisze Maria od Wcielenia – złożyło się, by żywić tych biednych wygnańców. Zmuszone jesteśmy uczyć się języka huronńskiego, do czego się jeszcze nie przykładałam. Może będziecie się śmiać z tego, że mając 50 lat zaczynam się uczyć nowego języka; należy jednak wszystko podjąć dla służenia Bogu i zbawienia bliźniego. Od pięciu miesięcy o. Bressani z największym poświęceniem był moim nauczycielem. Ponieważ możemy uczyć się języków tylko w zimie, spodziewam się, że jakiś inny ojciec zawita do nas jesienią, aby udzielić nam tej samej pomocy. Módlcie się do naszego Pana, by zechciał oświecić mój umysł dla Jego chwały i abym mogła oddać Mu choć małe usługi”. Z powodu zniszczenia misji kilku jezuitów, którzy byli tam zatrudnieni, powróciło do Francji. Marię od Wcielenia przejmowało żalem oddalenie się tych świętych misjonarzy. Jedyną w tym pociechę było zapewnienie, że zawiozą osobiście pozdrowienia od niej jej ukocha-

nemu synowi. W liście do o. Klaudiusza czytamy: „Nie chciałam pozwolić wyjechać o. de Lionne zanim go nie ubłagałam, by odwiedził cię przejeżdżając przez Rouen; obiecał, że to uczyni i opowie ci o nas. Nie tylko jego jednego ujrzysz, gdyż wszyscy z misji powracający do Francji obiecali mi uczynić tę samą łaskę. Przyjmij, proszę, te święte osoby jako żyjących męczenników, którzy podjęli pracę i wycierpieli krzyże, przechodzące wszelkie wyobrażenia, dla tych, którzy nie mają doświadczenia w misji hurońskiej. Porozmawiaj z nimi na ten temat, a zapewniam cię, że doznasz wielkiej pociechy i będziesz błogosławił Boga wraz z Jego sługami”.

A w innym liście: „O. Daran udaje się w podróż po Francji, zanim go nie zawezwą z powrotem w przypadku, gdy sprawy Kanady wrócą do poprzedniego stanu; bardzo go wszyscy tutaj żałują. Ja go również żałuję. Ulżyj więc memu strapieniu przyjmując go, jak na to zasługuje. Ojcowie Ragueneau i Pijart także jadą, aby prosić Jego Królewską Mość o pomoc. Pierwszemu z nich zwłaszcza na niej zależy, ponieważ jest przełożonym misji dla Huronów. Jest jednym z wybitniejszych ludzi i najgorliwszych misjonarzy Nowej Francji. Ja jednak cenię go bardziej za wielką świętość niż za dary przyrodzone, które otrzymał. Mamy nadzieję ujrzeć go znowu w przyszłym roku”. Następnie, powracając do listu, którego pisanie na chwilę przerwała, donosi: „Kiedy kończyłam ci opowiadać o o. Ragueneau, przyszli mnie zawiadomić, że właśnie on chce się ze mną widzieć, by mnie pożegnać. Na pewno zobaczy się on z tobą, gdyż zapisał sobie, gdzie się znajdujesz. Jest jednym z największych przyjaciół naszego seminarium i dobrze zna wszystkie łaski, którymi Boska dobroć je obsypuje”. Wreszcie nie przytaczając już kolejnych faktów, pisze dalej do swego syna: „Oto parę słów, które ci ode mnie doręczy o. Bressani. Powinieneś w nim widzieć żywego męczennika, o którym pewnie słyszałeś, szczególnie o jego niewoli u Irokezów. Staraj się niepostrzeżenie spojrzeć na jego ręce zupełnie okaleczone i prawie bez jednego całego palca. W tym roku dostał jeszcze trzy strzały w głowę, które o mały włos nie zapewniły mu korony męczeńskiej i zakończenia jego prac. Ciosy, które mu zadawano, doprowadziły do tego, że stracił jedno oko. Błagam go, aby ten list przesłał ci zaraz po swym przyjeździe, żebyś mógł powitać o. Hieronima Lallamant, przełożonego wszystkich naszych misji, który osobiście udaje się do Francji w celu zaradzenia tym wszystkim opresjom, w których się Kościół znajduje. Ojciec ma być u ciebie, jednakże bardzo by mi na tym zależało, byś go – ze względu na jego zasługi – w tym uprzedził. Jest najbardziej świętym człowiekiem, jakiego znam od czasu, gdy żyję. Proszę cię więc, byś go przyjął jak tylko potrafisz najżyczliwiej i podziękował za wszystkie dobrodziejstwa, które wyświadczył naszej wspólnotie, a mnie w szczególności. Nie przypuszczam, by przywiązanie, które żywię do wielbnych ojców, skłaniało mnie do wypowiadania takich pochwał: nie, ja nic nie przesadzam, raczej wszystko, co mówię, nie oddaje wystarczająco ich cnót i zasług”.

Ważne powody skłoniły kolonię do wydelegowania do Francji tak znacznych obrońców jej interesów. Zniszczenie narodu Huronów, od dawna sojusznika Francuzów, mogło stać się zgubne dla francuskich zakładów w Kanadzie. Czy Irokezi, stworzywszy naokoło siebie przez ciągłe plądrowanie szerokiej niezamieszkałej przestrzeni, nie skoncentrują wszystkich sił od strony Francuzów? Maria od Wcielenia pisała do swego syna 17 marca 1650 roku: „Dotychczas nie podchodzili oni do Québec bliżej niż 40 mil, lecz nagle zjawili się o 3 mile stąd, gdzie zaatako-

wali domostwo jednego z naszych mieszkańców, zabili dwóch służących, rozproszyli całą rodzinę i splądrowali dom i budynki. Przed tym napadem spalili dom porządnego szlachcica, który mieszkał nieco dalej. Te wypadki napędziły strachu naszym Francuzom, osiadłym bliżej i dalej z powodu swych interesów. Mówią, że barbarzyńcy zbroją się w wielkiej liczbie, by nas zaatakować, ale nie bój się o nas; nasz dom jest nie tylko bardzo solidny, lecz jest zabezpieczony przez armaty z fortu. Nie w tym jednak nasza ufność i siła: nasz dobry Jezus jest wszystkim”.

W liście z sierpnia tegoż roku znajdujemy wzmianki o nowych klęskach. Słowa świętej Matki, która o nich opowiada, oddają dobrze jej wiarę, trafność sądu i prawdziwie francuskie serce. Tak pisze: „W tej chwili Irokezi próbują zawładnąć Trois-Rivières i zauważ proszę, że jest wśród nich kilku Holendrów, którzy im pomagają. Jednego rozpoznano w walce, co więcej Huron, który się uratował, zapewnił nas o tym. Kiedy zdobędą Trois-Rivières, są zdecydowani - tak ludzie mówią - nas zaatakować. Otóż, chociaż pozornie nie ma się czego obawiać w naszych domach, które są mocno zbudowane, to jednak wszystko to, co się stało w miasteczkach Huronów zniszczonych ogniem i bronią, daje Francuzom podstawę do lękania się podobnych wypadków, o ile nie nadejdzie szybka pomoc. Co się zaś tyczy tej pomocy, to oczekujemy jej tylko z Francji, ponieważ w całym tym kraju nie ma dostatecznych sił, aby się przeciwstawić barbarzyńcom. Jeśli więc Francja nas zawiedzie, trzeba będzie wkrótce albo stąd wyjechać, albo umrzeć. Jednak ponieważ wszyscy Francuzi, których jest tutaj powyżej dwóch tysięcy, nie będą mieli możliwości wycofania się, wyginą z powodu nędzy lub z powodu okrucieństwa wrogów. Co więcej, jeśli mają porzucić mienie, które tutaj zdobyli i być wyzutymi ze wszystkiego we Francji, wybiorą raczej śmierć w tym kraju niż nędzę w innym”.

Potem dając się unieść porywowi swej gorliwości apostołskiej, kontynuuje: „Co się tyczy nas, mój bardzo drogi synu, mamy inne powody przez miłosierdzie naszego Pana. Nie powstrzymują nas od wyjazdu dobra tego świata, lecz raczej resztki naszych zacnych chrześcijan, między którymi uważałybyśmy za szczęście umierać milion razy, gdyby to było możliwe. Oni są naszymi skarbami, braćmi duchowymi, dziećmi, które miłujemy ponad życie i wszystkie dobra tu na ziemi. Cieszę się więc, że jeżeli umrzemy, dostaniesz wiadomość, że nasza krew i popioły zmieszały się z ich krwią i popiołami. Jest prawdopodobne, że się tak stanie, jeżeli te tysiące Irokezów, którzy odłączyli się, by udać się na tereny neutralne, znowu przyłączą się do tych, którzy stoją u naszych bram”.

O kilka linii dalej czytamy: „O. Ragueneau, który z doświadczenia zna wściekłość i siłę tych okrutników, zapewnił mnie, że jeżeli nie nadejdzie szybka pomoc lub jeżeli Pan Bóg nie zechce w nadzwyczajny sposób nas uratować, wszystko stracone; to nie jest urojenie. Ja, opierając się na wiadomościach, twierdzę to samo. Na razie jesteśmy wszyscy, jak widzisz, zdani na Opatrzność. Jeśli chodzi o mnie, mój bardzo drogi synu, czuję się tak dobrze, a mój duch i serce tak zaspokojone, że nie można bardziej. Ponieważ nasz nowy kościół jest w wyraźnym niebezpieczeństwie, bądź łaskaw pomodlić się przed obrazem Najświętszej Dziewicy, aby zechciała wziąć nas w swoją opiekę. Ach, jakże bym była szczęśliwa, gdyby całe to prześladowanie zakończyło się na mojej osobie. Przedłóż naszej najlepszej Matce i to moje pragnienie”. Zresztą kończy

ona proroczo: „Mimo że nasze sprawy są w opłakanym stanie, nie niepokój się o mnie: nie mówię tu o męczeństwie, chociaż przywiązanie twoje sprawia, że go dla mnie pragniesz, lecz o innych zniewagach, których możemy się obawiać ze strony Irokezów. Nie widzę żadnego powodu do lęku, gdyż o ile się nie mylę, wszystkie krzyże, które teraz Kościół znosi w Kanadzie, staną się powodem do wyniesienia”. Zdaniem o. Lallemant, te dusze, ożywione taką ufnością, podtrzymywały kolonię. Wyliczając prowincjałowi Towarzystwa Jezusowego powody do nadziei, które uczyniły, że złej sercem opuszczał Québec, mówił on: „Jednym z pocieszających faktów, które widziałem w tym biednym spustoszonej kraju, jest odwaga i szlachetność naszych zakonnic, tak sióstr szpitalnych, jak urszulanek. Uważam je za jedną z rękoi utrzymywania tego kraju, nie mogąc uwierzyć, by Bóg opuścił dusze tak święte i miłosierne. Wydaje mi się, że wszyscy aniołowie kraju przybiegliby im na pomoc, jeżeli mieszkańcy ziemi nie potrafiliby zabezpieczyć ich istnienia w tym nowym świecie”.

ROZDZIAŁ XV

Pożar klasztoru i jego odbudowa

Świątobliwa śmierć Matki Marii od św. Józefa (1651 – 1654)

W czasie, gdy w Québec myślano tylko o grożącej napaści Irokezów, również u urszulanek niespodziewanie ręka Boża ciężko dotknęła tę zakonną rodzinę i wydawało się, że ją zupełnie zniszczy. Najlepiej zrobimy oddając głos Marii od Wcielenia, która w wielu listach do swojego syna opowiada szczegółowo o tym bolesnym zdarzeniu. Píše ona w Oktawie Bożego Narodzenia: „Trzydziestego dnia grudnia 1650 roku nasz Pan zechciał dać nam udział w cierpieniach i ubóstwie swego żłóbka. Jedna z pocciwych sióstr, nowicjuszka konwerska, mając nazajutrz piec chleb, przygotowała zaczyn i zostawiła żarzące się węgle w dzieży z obawy, by on nie zamarzł. Miała zamiar wyjąć je przed pójściem spać, jednak ponieważ zwykle węgli nie kładła, łatwo o nich zapomniała. Dzieża była tak szczelnie osłonięta, że jedna z sióstr, która była tam o ósmej wieczorem, niczego nie spostrzegła. Tymczasem około północy węgiel wysuszył dzieżę zrobioną z drewna sosnowego, przesiąkniętego żywicą i zajęła się ona ogniem, który w jednej chwili przerzucił się na piekarnię i piwnicę, gdzie były schowane wszystkie nasze zapasy na cały rok. Wkrótce płomienie dosięgły podłogi i ogarnęły schody pod seminarium, gdzie spała Matka Anna od Serafinów wraz z naszymi dziećmi. Trzask ognia obudził ją, zerwała się na równe nogi, gdyż wydało się jej, że ktoś do niej mówi: Wstawaj prędko, ratuj swe dzieci, inaczej spłoną żywcem. I rzeczywiście płomienie już ogarnęły pokój oświetlając go tak, że było jasno jak w dzień. Widząc to krzyknęła przerażona do dzieci: »Uciekajcie, uciekajcie«; następnie pobiegła do sypialni budzić wspólnotę, co czyniła głosem tak żalosnym, że w jednej chwili każda znalazła się na swoim miejscu. Jedna pobiegła do dzwonu, aby sprowadzić pomoc, inne rzuciły się gasić ogień. Ja zaś zamiast się do tego przyłączyć pobiegłam powiedzieć siostrom, że trzeba wszystko porzucić, ponieważ na to zło już nie ma lekarstwa. Chciałam się dostać do składu, gdzie znajdowały się mate-

riały i inne rzeczy potrzebne naszym zakonnikom, które wybiegły na wpół nagie i przecież trzeba je było w coś przyodziać. Bóg jednak odwiódł mnie od tej myśli, a spowodował, że zajęłam się ratowaniem papierów i dokumentów naszej wspólnoty. Wyrzucałam je z okna mojego pokoju wraz z tym, co się znajdowało pod ręką. Zajęło mi to bardzo mało czasu, gdyż nie upłynęło jedno *Miserere*, a ogień już się ukazał nie tylko w miejscu, dokąd chciałam iść i tam pozostać, lecz ogarnął dach domu i biura na dole. A więc byłam ujęta między dwa ognie, a trzeci biegł za mną jak potok. Aby mu się wymknąć, musiałam przejść pod dzwonem, z którego ciekł roztopiony metal; myślałam wtedy, że pod tym dzwonem zginę. Matka Maria od św. Józefa z naszą s. Laurencją wyłamały kratę w rozmównicy, która była na szczęście z drewna, aby wybiec z częścią dzieci; tylko najstarsze się tam znajdowały, najmłodsze były jeszcze w niebezpiecznym miejscu. S. Ignacja, nie zważając na niebezpieczeństwo, wpadła do pokoju, gdzie się znajdowały te małe, niewinne dzieci, uratowała je, a w tej samej chwili zawaliły się ściany. Ja pozostałam w sypialni i widząc, że już nie było dla mnie ratunku, pochyliłam się przed swym krucyfiksem, zdając się na wolę Opatrzności Bożej i wyrzekając się wszystkiego. Kiedy schodziłam, natknęłam się na pomoc, którą przyprowadził ojciec superior jezuitów. Jednak dowiedziawszy się, że góra jest nie do uratowania, zeszli oni do kaplicy, gdzie z wielkim trudem udało się im uratować Najświętszy Sakrament wraz z kilkoma przedmiotami z zakrystii. Wszyscy ojcowie, bracia i służący narażali dla nas swe życie. Między innymi jeden zacny brat chcąc wynieść coś z zakrystii, o mało nie pozostał tam na zawsze. Nasza dobra m. Saint-Athanase, która pierwsza wyszła, by otworzyć drzwi, a potem trzymała się na uboczu na śniegu nie dostrzegając żadnej z nas, przeżywała śmiertelne męki. Wołała na nas rozpaczliwie, wreszcie nie widząc nas i nie słysząc, rzuciła się do stóp Najświętszej Panny i uczyniła ślub na cześć Niepokalanego Poczęcia. Nie mogę stanowczo twierdzić, jaki był skutek tego ślubu, jednakże przypisuję to prawdziwemu cudowi, że żadna z nas ani z naszych dzieci nie ucierpiała w pożarze tak rozległym i gwałtownym. Wreszcie, po wielu przejściach, wszystkie nasze siostry znalazły się przy Matce, która odetchnęła z ulgą. Martwiła się jednak tym, że mnie nie widzi. Nasze pensjonarki i seminarzystki też stanęły przy niej. Wszystkie myślały, że zamarzną na śmierć, gdyż były w samych tylko koszulach, a wszystkie ich suknie i rzeczy zostały spalone. Najbardziej przeraziła nas świadomość, na jaką niewygodę będzie narażona nasza biedna chora m. Maria od św. Józefa. Gdyby miała tyle siły co odwagi, uratowałybyśmy, ona i ja, część rzeczy znajdujących się w sypialni, lecz była tak słaba, że gdy chciała poruszyć swój materac, zabrakło jej sił w rękach. Wobec czego uratowałam tylko swój i to, co na sobie miałam, a co się teraz dla niej bardzo przydało. Wyrzuciłam habity przez okno, lecz zaczepiły się o kratę refektarza i spaliły jak wszystko inne. W ten sposób byłam prawie naga, jak i inne siostry, do których się przyłączyłam, gdy modliły się klęcząc na śniegu i patrząc na to straszliwe palenisko. Widać było po ich twarzach, że Bóg wypełniał ich serca, tak były spokojne i uległe w tym wielkim ubóstwie, które na nas Opatrzność zesłała. Noc była spokojna, niebo usiane gwiazdami, mróz duży, ale bez wiatru. W czasie pożaru zerwał się lekki wietrzyk, który skierował płomień w stronę ogrodu i pól. Gdyby się tak nie stało, dom ojców i inne sąsiednie domy byłyby w niebezpieczeństwie. Mniej niż w godzinę stanęło w płomieniach i to co posiadałyśmy z ubrania, zapasów, mebli, itd.. Wszystko spłonęło. Ci, którzy się tam znajdowali, nie mogli powstrzymać łez widząc nas w takiej nędzy. Z powodu pożaru było widno jak w dzień i każdy mógł

zobaczyć, w jakim jesteśmy stanie. Wszyscy starali się zrobić, co było możliwe, by nam pomóc. Jakiś pocziwy człowiek, nie mogąc pojąć, jak można znieść taki cios nie okazując na zewnątrz cierpienia, zawołał: »Te kobiety albo są szalone, albo bardzo kochają Boga«”. Ten, który nas dotknął, wie najlepiej, jaka jest Jego dobroć i czego dokonała wtedy w naszych duszach. Widząc, że ludzie już się zgromadzili, ojciec superior zarządził przeniesienie naszych dzieci częściowo do domu, gdzie zamieszkiwała nasza służba, a częściowo do domu jednego z sąsiadów. Wszystkie one były na wpół zamarznięte, a potem niektóre ciężko chore. Co się tyczy nas, to zaprowadził nas w takim stanie, w jakim się znajdowałyśmy, do swojego domu i umieścił w sali, gdzie przyjmowano świeckich. W drodze dostałyśmy dwie lub trzy pary obuwia dla tych z nas, które były boso. W ich liczbie była nasza fundatorka, gdyż udało jej się wynieść tylko bardzo zniszczoną bluzę, a co do reszty to, tak jak my, straciła wszystko, co miała w Kanadzie. Siostry szpitalne, gdy dowiedziały się, gdzie jesteśmy, przysły po nas, by nas umieścić w swym domu, a ojciec superior, uważając to mieszkanie za bardziej odpowiednie dla osób naszego stanu, sam nas tam zaprowadził. Te dobre matki bardziej się przejmowały naszymi warunkami i wyglądem niż my same. Zaraz nas ubrały w swoje szare habity, dostarczyły bieliznę i inne konieczne rzeczy wszystkim ile nas było, tj. piętnaście, ponieważ nie miałyśmy nic i potrzebowałyśmy wszystkiego”.

Maria od Wcielenia zwierzyła się swemu synowi z uczuć przepełniających jej duszę podczas pożaru w intymnym liście do niego i w autobiografii duchowej, którą mu pozostawiła. Jej pokora sprawiła, że za przyczynę tego wypadku uważała własne grzechy i zrobiłaby wszystko, aby cały ciężar tego spadł na nią samą, a siostry były od tego uwolnione. „Jednakże, przepełniona spokojem i nie odczuwając żadnego smutku, żalu lub niepokoju; czułam się – wyznaje - ściśle związana z Duchem i ręką, która dopuściła i dokonała na nas tego głębokiego cięcia. Podczas ratowania wyposażenia klasztoru miałam tak swobodny umysł, jakby się nam nic nie przydarzyło; wydawało mi się, jakby głos wewnętrzny mówił mi, co powinnam ratować, a co pozostawić ognioni... W jednej chwili ujrzałam nicość wszystkiego, co ziemskie i Bóg dał mi tak wielką łaskę wyrzeczenia się, że nie potrafię wyrazić tego wrażenia ani słowami ani piórem. Mój umysł i moje serce powtarzały bez przerwy: »Uczyniłeś tak, mój Boski Oblubieńcze, bądź za to błogosławiony! Zrobiłeś dobrze, ach, wszystko, co robisz, jest dobre!«. Dusza moja w tym nieszczęściu wielbiła Boga tak często, jak częstymi były moje oddechy i nie była w stanie wyjść z tego miłosnego działania i złączenia z wolą Bożą. Radowałam się, że ona się spełniła przez nasze unicestwienie, szczególnie względem mnie, ponieważ to ja wybudowałam ten dom, włożyłam dużo starań w prace i znieść musiałam mnóstwo przeciwności, by go doprowadzić do stanu, w którym się znajdował. Otóż, będąc przekonana, że popełniłam w tym przedmiocie wiele niedoskonałości, starałam się patrzeć na to od strony sprawiedliwości Bożej, składając dziękczynienie za wszystkie wydarzenia, w których chciał mnie zniesławić dla swego zadowolenia, szczególnie zaś za to, które miałam przed oczyma. Wydaje mi się, że odbłask tej nieziemskiej rezygnacji przepełniał wszystkie dusze dotknięte tym samym ciosem. Jedna młoda wdowa, która niedawno przyszła do klasztoru jako służąca, obudziła się dopiero w chwili, gdy płomienie otaczały ją ze wszystkich stron. Nie pozostało jej nic innego, jak wyskoczyć przez okno swego pokoju położonego na naj-

wyższym pięttrze. Po upadku na ubity i zlodowaciały śnieg powinna była ponieść śmierć, tymczasem była tylko nieco oszołomiona i poszła uspokoić zakonnice, które z powodu jej cnót były do niej szczególnie przywiązane. Opowiadała potem o. Ragueneau: „Ofiarowałam swe życie Bogu i umarłabym szczęśliwa pośród tych płomieni. Lękałam się, że to nieszczęście, które spadło na te święte dziewice było karą za moje grzechy; jestem bowiem niegodna żyć w ich towarzystwie”. Jednej z seminarzystek, imieniem Genowefa, nie można było z początku odnaleźć. Szukano ją bezskutecznie przez dwie godziny. W chwili nieszczęścia przybiegli rodzice, aby ją stąd zabrać. Przypuszczając, że się spaliła, gorzko płakali, lecz jako chrześcijanie klęcząc składali swą ofiarę Bogu. «Ach - mówił zrozpaczony ojciec - Bóg nas ciężko doświadcza, ale i tak okazał nam swoje



miłosierdzie dając wiarę. Córka moja jest teraz w niebie, ponieważ była ochrzczona, a my za nią pójdziemy, gdyż chcemy umrzeć jako dobrzy chrześcijanie». Genowefa odnalazła się jednak przed końcem tej okropnej nocy i może ich poddaniu się zawdzięcza łaskę powołania do życia zakonnego wśród sióstr

szpitalnych, które odkryła później”.

Maria od Wcielenia opowiada dalej: „Nazajutrz po pożarze wielebny ojciec superior w towarzystwie gubernatora zaprowadził nas, aby popatrzeć na żalosną rudę, a raczej okropne pogorzelisko, do którego nie można było jeszcze podejść. Wszystkie kominy pospadały, mury przedzielające były zburzone, a główne mury całe popękane i wypalone do fundamentów. Odbudować klasztor z tych ruin wydawało się niemożliwością. Wszystkie fundusze, którymi dysponował nasz zakład były niewystarczające, a zresztą byłyśmy dalekie od myśli naprawiania naszych budynków, ponieważ aż do chwili przybycia statków nie miałyśmy nawet z czego żyć. To wszystko skłaniało naszych przyjaciół do przypuszczenia, że będziemy chciały powrócić do Francji. Jednak każda z nas czuła się tak umocniona w powołaniu i otrzymywała takie łaski pozwalające się zgodzić z wolą Bożą, że nie miała najmniejszej ochoty powrócić do swej dawnej ojczyzny. I tak w obliczu tych ruin wszystkie oświadczyły, że nie opuszczą Kanady i uczynią, co tylko będzie w ich mocy, by przywrócić działalność ich instytutu. To postanowienie, o którym się wkrótce całe miasto dowiedziało, ogromnie przypadło do gustu jego mieszkańcom. W interesie całego kraju, mówią *Relacje*, leży odbudowanie się tych zakonnic, szczególnie ze względu na ich seminarium, gdyż z doświadczenia wiemy, że skutki pobytu dziewcząt u urszulanek widoczne są przez całe życie”.

Tylko chwilowo mogły urszulanki korzystać z serdecznej gościnności sióstr szpitalnych, przez które były przyjęte z wielką miłością. Przez trzy tygodnie spędzone w szpitalu biedne ofiary pożaru tworzyły z gospodyniami jedną rodzinę: te same ćwiczenia, posiłki i te same prace przy chorych. Z wszystkich stron napływały subtelne dowody sympatii. Te, które otrzymały od swych

pocziwych Indian też dotkniętych tym nieszczęściem, wzruszyły je do łez. „Nasi chrześcijanie, Huroni - mówi o. Ragueneau - naradzili się i nie mając innych bogactw, jak tylko dwa naszyjniki z porcelany, każdy złożony z tysiąca dwunastu ziarenek, poszli do matek urszulanek, znajdujących się w szpitalu i zanieśli im te dwa naszyjniki w darze”. Przemówienie wypowiedziane w imieniu wszystkich przez jednego z wodzów w obecności dwóch zgromadzeń i superiora jezuitów powinno być przytoczone w całości, bo tyle w nim wiary i podniosłych uczuć.

„Święte dziewice - mówił orator - widzicie tu same trupy, pozostałości narodu, który był kiedyś kwitnący, a który nim już nie jest. W kraju Huronów zostaliśmy wyniszczeni przez wojnę i głód. Te trupy tylko dlatego stoją, że wy je podtrzymujecie... Niestety, okropny wypadek, który się wam przydarzył, odnawia wszystkie nasze bóle i sprawia, że na nowo płyną łzy, które zaczynały już wysychać. Patrząc na palący się dom Jezusa, na to jak się zamienia w popiół to siedlisko miłości bliźniego... To nam przypomina pożar, który zniszczył wszystkie nasze domy, wszystkie miasteczka i całą naszą ojczyznę. Czy ogień ten wszędzie za nami iść będzie? Święte dziewice, oto jesteście doprowadzone do takiej samej nędzy jak wasi biedni Huroni, dla których miałyście tyle tkliwego współczucia. Oto jesteście bez ojczyzny, bez domu, bez zapasów i bez innej pomocy jak z Nieba, którego nigdy z oczu nie tracicie. Lękamy się tylko jednej rzeczy i to jedno byłoby naszym nieszczęściem. Lękamy się, by wiadomość o klęsce, która was dotknęła, zanesiona do Francji, nie poruszyła waszych krewnych silniej niż was same; lękamy się, by was nie wezwali z powrotem i byście nie dały rozczulić się ich łzami... Aby zaś umocnić wasze postanowienie pozostania z nami, oto składamy dar tysiąca dwunastu ziaren z porcelany, który powinien tak mocno wcisnąć wasze stopy w ziemię tego kraju, żeby ani miłość waszej rodziny, ani ojczyzny nie mogła ich poruszyć. Drugi dar, który prosimy przyjąć, to taki sam naszyjnik z tysiąca dwunastu ziarenek porcelany, niechaj posłuży do położenia fundamentów budynku, który będzie domem Jezusa, domem modlitwy i szkołą, w której będziecie mogły nauczać nasze małe hurońskie dziewczynki...”

Czyż można było opierać się tak usilnym naleganiom? Zresztą urszulanki z nie mniejszym zapalem pragnęły zebrać rozproszone z konieczności uczennice. Dlatego też pod koniec stycznia opuściły szpital, aby zamieszkać w małym domku pani de la Peltrie, który chociaż oddalony tylko o trzydzieści metrów od klasztoru, ocalał. Musiały się te zacne zakonnice pożegnać z wszelkimi wygodami i wprowadzić się do mieszkania tak nieodpowiedniego dla ich potrzeb. Składało się ono z dwóch pokoi, które razem liczyły dziesięć na sześć metrów. Trzeba było w nich zmieścić trzynaście osób, nie licząc kilku pensjonarek. Wykorzystano więc przemyślnie sposoby stosowane wcześniej w małym klasztorze w Basse-Ville. Dwa łóżka, zwykłe półki z drewna, umieszczono wzdłuż ścian piętrowo, jedno nad drugim. Mężna Matka od św. Józefa, która ciągle coraz bardziej marniała, uważała się pomimo to za szczęśliwą, mogąc dzielić z wszystkim wspólny los. Co się zaś tyczy szkoły, to umieszczono ją na razie do lata w lepiance z kory zbudowanej na podwórzu. Zima była ostra, statki miały przybyć dopiero za parę miesięcy, a więc na żadną inną pomoc ta mała rodzina nie mogła liczyć, jak na miłosierdzie biedaków.

Maria od Wcielenia pisze do swego syna: „Przywiązanie, jakie żywią do nas tutejsi mieszkańcy, było dla nas wielką pociechą. Nasze kochane gospodynie poza kosztami, które poniosły, gdy byłyśmy u nich, pożyczyły nam przeszło 500 funtów różnych potrzebnych rzeczy tak dla nas, jak i dla naszej służby. Nie mówię już o naszych wielbnych ojcach, którzy wspomagali nas, jak tylko mogli, aż do przysyłania nam materiałów, które mieli na swe habity, aby nas przyodziać. Poza tym dali nam żywność, bieliznę, kołdry i pomoc w pracy przysyłając na całe dnie braci i służących. Bez tej ich wyjątkowej dobroci umarłybyśmy z głodu i nędzy” . W *Relacjach* jezuitów przytoczonych w rocznikach urszulanek w Québec znajdujemy fragment, który do tych szczegółów dorzuca jeszcze jeden pełen uroku. Czytamy tam: „2 stycznia 1651 roku powzięto uchwałę wyrzeczenia się legumin, aby wspomóc te dobre matki, które bardziej potrzebują słodkich potraw niż my”. Jezuita sami przed dziesięcioma laty przeszli przez straszną próbę pożaru, który w kilka godzin strawił ich główny dom, doprowadzając ich do skrajnej nędzy.

Maria pisze dalej: „Wreszcie nawet wśród zupełnie biednych powstało współzawodnictwo w przychodzeniu nam z pomocą; jeden ofiarował nam serwetę, inny koszulę, ten płaszcz, tamten kurę lub kilka jaj albo coś podobnego. Te dowody współczucia niezmiennie nas wzruszały. Znasz biedę tego kraju, ale jego dobroczynność jest jeszcze większa”. Podania mówią na ten temat, że Huroni, gorliwi uczniowie Matki od św. Józefa, przynosili czasami Marii od Wcielenia trochę ze swego polowania: »Masz, Matko, mówili ci poczciwi ludzie, oddaj ptaki świętej dziewicy Marii, aby żyła i mogła nas dalej uczyć«. Trzeba było jednak, by urszulanki wśród nędzy, w której żyły, pomyślały o swej przyszłości. Matka Saint-Athanase rozmawiała o tym z Marią od Wcielenia, która odznaczała się niezwykłą przezornością i nigdy niesłabnącą odwagą. Pierwszą jej myślą było powiększenie domku pani de la Peltrie o drewnianą dobudówkę, co wystarczyłoby na tak długo dopóki nie będą miały środków. Jednakże jakiś wewnętrzny instynkt mówił jej, że Bóg żąda od nich więcej ufności i że na nią samą spadnie ciężar zagospodarowania własności. Z jedenaścieletniego doświadczenia wiedziała, że Kanada jest krajem szczególnie przez Opatrzność strzeżonym i że zarówno w sprawach ogólnych, jak i w każdej poszczególnej rodzinie, kiedy wszystko zdaje się stracone, człowiek znajdujący się na dnie przepaści, znowu staje na nogi (list z 1 września 1652 roku). I tak też się stało w tych trudnych okolicznościach. Maria pisze: „Gubernator, ojcowie z misji i wszyscy nasi przyjaciele uważali, że nie należy czekać już dłużej z podjęciem decyzji. Po dokładnym rozpatrzeniu spawy wszyscy byli zdania, że powinniśmy klasztor odbudować, gdyż bez tego nie będziemy mogły utrzymać się w tym kraju. Co się zaś tyczy wykonania i środków, postanowili między sobą pożyczyć nam na rozpoczęcie budowy i wspomagać nas według możliwości pracą i kredytem. Po wyrażeniu nam swoich uczuć i zaofiarowaniu tak miłosiernych usług powiedzieli, byśmy nad tym naradziły się między sobą. Wszystkie zakonnice z radością zgodziły się na propozycję odpowiadającą tak bardzo ich życzeniom. Ponieważ fundamenty dawnego klasztoru położone na skale okazały się wystarczająco mocne, aby wytrzymać nową budowę, stanowiło to już wielki krok naprzód”. Maria od Wcielenia relacjonuje dalej: „Miałam polecone zarówno wewnętrznie przez Boga, jak zewnętrznie przez przełożonych, którym winna jestem posłuszeństwo, zająć się tą budową. Gubernator zechciał sam sporządzić plan klasztoru i jako ojciec doczesny wspólnoty czuwać nad całością przedsięwzięcia.

Sklaniało go do tego nie tylko miłosierdzie, lecz i sympatia, ponieważ na miesiąc przed wypadkiem, który się nam przydarzył, odbyła się w naszym klasztorze profesja siostry jego żony, pani Ailleboust”.

Po przygotowaniu wszystkiego Maria od Wcielenia, pomimo mrozu i śniegu, rozpoczęła z pomocą swych sióstr uprzątanie gruzów z fundamentów i składanie materiałów budowlanych. Kilka życzliwych osób, wzruszonych taką gorliwością, przyłączyło się do grupy. Klaudiusz pisze: „Tym sposobem nie było większego pośpiechu nawet wśród Irokezów, gdy odbudowywali świątynię Boga, jak tutaj przy dźwiganiu tego sanktuarium z ruin”. 19 maja 1651 roku pani de la Peltrie położyła kamień węgielny nowego gmachu. W następnym miesiącu, ponieważ zakończył się sześćioletni okres przełożństwa M. Saint-Athanase, Maria od Wcielenia została na nowo obrana jej następczynią. Ten urząd był w tym czasie, więcej niż w każdym innym, ciężkim krzyżem. Rozmawiając o tym ze swym synem mówiła: „Widzisz, mój bardzo drogi synu, jaki to ciężar na tak słabe ramiona w kraju biednym i wśród niewygód spowodowanych takim przypadkiem jak nasz. Jednak nie przypuszczaj, że to wszystko mnie przygnębia, o nie. Gdy rozpoczęłam tutaj budowę naszego zakładu, opierałam się na Boskiej Opatrzności. Nasza fundacja dawała nam tylko środki na utrzymanie; resztę, aby móc budować i wspierać naszych tubylców, zesłała nam łaskawa Opatrzność. Czuwa ona zawsze, a jeśli chwilowo cofnęła swą rękę, może ją zawsze nad nami wyciągnąć, aby obsypać dobrodziejstwami. Ufam, że doda mi sił przy spełnianiu prac, które podejmę tylko dla Bożej chwały, gdyż co do mnie, zapewniam cię, że jestem bardzo niemądrą istotą i właśnie dlatego tym bardziej jaśniej wspaniałość Jego chwały”.

Istotnie, niebo wspomagało w sposób cudowny tę dzielną przełożoną, która jak sama wyznała w swojej relacji: „Mój duch był napełniony odwagą i siłą pozwalającą pracować dzień i noc nad przywróceniem klasztoru do dawnego stanu, co uważałam za sprawę przede wszystkim Matki Bożej, naszej Dobrej Matki Przełożonej. Nazywam ją tak dlatego, ponieważ kiedyś przed pożarem nasza przełożona, M. Saint-Athanase, pod wpływem natchnienia postanowiła złożyć swój urząd w Jej ręce, co uczyniliśmy bardzo uroczyście. Uważałam Ją więc w tym przedsięwzięciu za swoją kierowniczkę i moje wszystko po Bogu. I rzeczywiście, ledwie zaczęłam, a już odczułam Jej pomoc w sposób nadzwyczajny; towarzyszyła mi stale wszędzie, gdzie poszłam i we wszystkim, co robiłam. Nie widziałam Jej oczami, lecz w sposób, w jaki najbardziej godne uwielbienia Słowo Wcielone czyni mi zaszczyt objawiania się, tzn. przez zjednoczenie miłości i ciągle obcowanie, czego jeszcze dotychczas nie doświadczałam w stosunku do Najświętszej Dziewicy, Matki Boga, chociaż miałam zawsze do Niej wielkie nabożeństwo. Czułam Ją przy sobie, towarzyszyła mi wszędzie, gdy chodziłam tam i z powrotem po całym gmachu, od chwili gdy zaczęto burzyć zgliszcza aż do końca robót. W drodze rozmawiałam z Nią: »Chodź, moja Boska Matko – mówiłam - pójdziemy zobaczyć, co robią nasi robotnicy«. I stosownie do potrzeby szłam po rusztowaniu bez żadnej obawy na górę, w dół, ciągle z Nią rozmawiając w ten sposób. Często zwracam się do Niej tymi słowy: »Matko, chroń, proszę, wszystkich naszych robotników«. Istotnie, tak dobrze ich chroniła, że podczas budowania klasztoru ani jeden nie był ranny”. Ci poczciwi ludzie, jak mówią o tym dokumenty z tamtych czasów, sami odczuwając obec-

ność i kierownictwo Maryi, pracowali nad odbudową domu Boga nie tylko przez pobożność, lecz i we własnym interesie.

W przyszłości zakonnice mogły przyjąć większą liczbę uczennic. Młode panny Francuzki jak również dziewczęta indiańskie chętnie uczęszczały do tej nieocenionej szkoły. Maria od Wcielenia, pochłonięta sprawami swego urzędu i pilnowaniem gmachu, mogła tylko w przejściu zatrzymać się na chwilę wśród tego małego światka. W tym czasie we wspomnieniach z klasztoru jest mowa o jej ukochanej uczennicy, Joannie Godefroy, córce jednego z pierwszych i najodważniejszych kolonistów w Nowej Francji. Dziewczynka ta liczyła wtedy około ośmiu lat. Rodzice powierzyli ją urszulankom przed trzema laty, ponieważ chcieli dla niej wychowania możliwie najbardziej pobożnego. Na pierwszą wiadomość o pożarze pan Godefroy przybył pośpiesznie z Trois-Rivières, aby sprowadzić do domu rodzicielskiego „swe najdroższe dziecko”; jednakże z chwilą, gdy matki zaczęły na nowo prowadzić szkołę, zaraz oddał ją z powrotem. Później odnajdujemy małą Joannę wśród nowicjuszek Marii od Wcielenia.

Urszulanki nie mogły dotąd dać znać do Francji o swym nieszczęściu. Przezorna przełożona przewidywała, że z chwilą, gdy oznajmi o takiej ruinie, będzie przynaglana do jak najszybszego opuszczenia Kanady. Już i tak jej syn, jego przyjaciele i kilka klasztorów tego zakonu, dowiedziawszy się, że Irokezi zagrażają Québec, napomykali o tym w listach. Musiała więc, uspokajając ich co do tego ostatniego, zawiadomić jednocześnie o pożarze klasztoru i jego odbudowie rozpoczętej bez pieniędzy, jedynie z wiarą w Opatrzność. Ciężkie było to zadanie, gdyż należało uważać, aby nie zranić ich uczuć i nie zmniejszyć zainteresowania jej dziełem. Toteż odwołuje się do wiary, a jednocześnie z największą subtelnością oświeca i urabia sobie te zacne serca. „Powiedz może, tak jak kilku naszych przyjaciół, że lepiej zrobiłybyśmy powracając do Francji niż narażając się na tak wielkie i ryzykowne wydatki, tym bardziej, że napady Irokezów czynią przyszłość niebezpieczną. To prawda, że według rozumowań ludzkich powinniśmy byli tak postąpić. Jednak powiem, że ku chwale Bożej otrzymałyśmy tak wielką pomoc w łaskach i odwadze, że im bardziej огоłocone byłyśmy z dóbr ziemskich, tym obficiej obdarzone byłyśmy łaskami. Co więcej, powinienes wiedzieć, że domy zakonne są tutaj najbardziej znaczącą częścią kolonii. Gdyby jeden z nich opuścił ten kraj, mogłoby to osłabić ducha u większej części mieszkańców. Dodam jeszcze, że dziewczęta francuskie pod pewnym względem bardziej potrzebują wychowania, które im dajemy, niż dziewczęta tubylców, gdyż przy tych ostatnich mogą nas zastąpić wielebni ojcowie, czego być nie może w stosunku do Francuzek z powodu, który sam rozumiesz”. Tak samo zwracając się do swej siostrzenicy, zakonnicy urszulanki z Tours, mówi: „Mam specjalny dług wdzięczności dla wszystkich moich matek za dobroć, którą mi okazują namawiając do powrotu do Francji i zapewniając o serdecznym przyjęciu mnie i moich sióstr do siebie. Ty mnie o to samo prosisz, mój syn również; wszyscy okazujecie mi więcej niż na to zasługuję. Proszę Boga, aby był waszą nagrodą. O. Lallemant pewnie was trochę uspokoi, jeśli chodzi o obawy, jakie o nas żywicie; jest to bowiem rzeczą cudowną widzieć, w jaki sposób Bóg kieruje tym krajem. Kiedy wszystko wydaje się być w stanie rozpaczliwym, porusza On sprężyny ukryte przed okiem ludzkim i w ten sposób przyprowadza do porządku i łagodzi wszystkie sprawy”.

W innym miejscu pisze: „Jestem także pewna, że Boski Majestat zechciał naszego odbudowania się, tak jak tego, że kiedyś umrę. Jednakże wydaje mi się, że moja dusza jest przygotowana na opuszczenie Kanady w każdej chwili, jeśli taka jest wola Boża, z tego czerpię mój pokój i ukojenie”. Już te fakty wystarczyłyby, aby usprawiedliwić postępowanie tej duszy pełnej wiary; dzięki jej niesłabnącej energii, pomimo przeszkód zdolnych zachwiać najbardziej stanowczych i pewnych siebie, budowa nowego klasztoru szybko postępowała naprzód. W około dziewięć miesięcy po pożarze Maria od Wcielenia przedstawiła synowi stan robót na budowie: „Nasz budynek ma już wszystkie mury, teraz stawiają kominy, a wkrótce za osiem dni zaczną się roboty ciesielskie. Gdyby statki przybyły, mogłybyśmy zrobić ten wysilek, żeby wypożyczyć robotników od naszych przyjaciół, którzy ich sprowadzają z Francji i wtedy można by się wprowadzić do klasztoru za cztery lub sześć miesięcy. Jednak bez tej pomocy zamieszkamy w naszym domu dopiero w przyszłym roku o tej porze. Jest rzeczą zadziwiającą, jak drogo płaci się tutaj rzemieślnikom i robotnikom, niektórzy biorą od nas 45 do 50 sous dziennie, inni 30 z utrzymaniem ich. Ponieważ nasz wypadek zdarzył się tak niespodziewanie, nie miałyśmy możliwości przygotowania robotników w takiej liczbie, jaka nam była potrzebna, dlatego kosztują nas drożej. Ale kiedy zachodzi tego potrzeba, sprowadzamy robotników z Francji za cenę o wiele bardziej przystępną; wynajmuje się ich na trzy lata i w ten sposób to się opłaca im i nam też. Teraz bywają dni, że wypłacamy po 30 franków za dniówki robocze, nie licząc prac na akord. Cztery woły używane przy naszych pracach przewożą drewno i piasek, kamień wydobywamy na miejscu. Tak oto załatwia się sprawy w tym kraju. Ci wszyscy, którzy oglądają naszą budowę, nie mogą wyjść z podziwu, bo ma się wrażenie jakby ten dom sam się budował i pracowała nad nim ręka Boska. Cała okolica jest uradowana, że jesteśmy w przededniu rozpoczęcia nauczania w warunkach poprzednich a nie w chatce, jak dotychczas to ma miejsce”. Co prawda, długi wzrastały, lecz według słów Marii od Wcielenia oczekiwała ona przejęcia ich przez Opatrzność. Tak pisze w owym czasie: „Nasi wielbni ojcowie pożyczili nam osiem tysięcy franków, lecz teraz winnyśmy im już dobre piętnaście, a zanim budowa naszego gmachu będzie ukończona, dojdziemy do dwudziestu tysięcy, nie mówiąc już o wykończeniu wnętrza i meblach”. Niedostatek był okolicznością zwiększającą trudności, które Maria przewidywała na najbliższą przyszłość. Zwierzała się swojemu synowi: „Wydaje się, jakoby Bóg chciał zatriumfować nad nami, doprowadzając nas do ostatecznej nędzy. Czy uwierzysz, że na czterdzieści do pięćdziesięciu osób, razem z robotnikami, mamy mąki tylko na trzy wypieki chleba, a żadnej wieści o statkach, które przywożą żywność do tego kraju. Nie mogę nic innego uczynić jak tylko cieszyć się ze wszystkiego, co ta miłość ojcowska nam ześle. Niech będzie na wieki błogosławiona”. I w tym wypadku jej ufność nie została zawiedziona.

W ciągu lata urszulanki zdobyły wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy, a kiedy nadeszła jesień, niespodziewanie obfite, prawie cudowne zbiory zaspokoili z nadwyżką ich potrzeby. Zakonnice posiadały mały folwarczek, nazwany lennem św. Józefa, którego nie miały wówczas możliwości dobrze zagospodarować tak, aby mieć z niego dochód. Otóż, pewien zacny kapłan, ksiądz Vignal, który od trzech lat pełnił obowiązki kapelana w ich klasztorze, podjął się obsiania tych pól; pracował przy tym sam osobiście wraz z kilkoma służącymi, a Pan Bóg tak sownie

wynagrodził jego pełną poświęceń pracę, że zakonnice zebrały nadzwyczajną ilość zboża, grochu i jęczmienia. W tym czasie tę małą wspólnotę dotknął cios dotkliwszy niż niedostatek materialny. Matka Maria od św. Józefa, która pełniła obowiązki asystentki, zmarła w wieku zaledwie trzydziestu sześciu lat. Podczas całej zimy 1652 roku mogła jeszcze, choć z trudem, uczestniczyć we wspólnych modlitwach i nauczać swych ukochanych Indian. Kiedy namawiano ją, by się oszczędzała, odpowiadała z pogodą: „Moja choroba jest śmiertelna i z niej już nie wyjdę; czy nie lepiej umrzeć wcześniej i służyć wiernie Bogu do końca niż starać się dawać ciągle ulgi ciału, które ma wkrótce zakończyć życie?” Swoim krewnym, którzy błagali ją, by powróciła do Francji, oświadczyła: „Wolałabym przez całe życie żywić się tylko *sagamité* tubylców i umierać tysiące razy, ile by to było możliwe, niż postąpić tak tchórzliwie i nie dotrzymać wierności Naszemu Panu”. Jednak od 2 lutego musiała położyć się do łóżka i już więcej prawie nie wstała. Maria od Wcielenia pisze: „Noce przy niej upływały spokojnie, a Bóg błogosławiąc naszym małym pracom pozwolił, by żadna z nas się nie zaraziła, co nie mogło nie nastąpić bez specjalnej łaski, ponieważ powinnyśmy były być wszystkie chore, śpiąc w tym samym pokoju”. Dalej szczegółowo opisuje cierpienia swej drogiej towarzyszki: „Do bólów związanych z chorobą dołączyły się wielkie niewygody, które musiała znosić z powodu miejsca, gdzie mieszkaliśmy. Mieszkanie było bardzo ciasne; nie można było się dostać do kaplicy inaczej jak przechodząc obok jej łóżka. Stuk drewnianych sandałów o podłogę również drewnianą, krzyki dzieci, chodzenie tam i z powrotem; hałasy z kuchni, od której odgrrodzone byliśmy tylko cienkimi deskami; zapach węgorza, który przenikał wszędzie tak, że podczas największych mrozów trzeba było mieć otwarte okna odświeżając powietrze; stały prawie dym w pokoju; wreszcie dzwonki, śpiewy, głośnie modlitwa – to wszystko było dla niej ogromnie dokuczliwe i zwiększało jej przygnębienie. Kaszlała bez przerwy. Jednakże znosiła te niewygody z cierpliwością iście bohaterską i nie tylko nie skarżyła się na nie, lecz starała się nas przekonać, że to ją bawi. Dziękowała Bogu za to, że na skutek pożaru naszego klasztoru była umieszczona w miejscu, gdzie mogła dostąpić pociechy słuchania z łóżka Mszy św., nabożeństw oraz kazań i w ten sposób żyć normalnie aż do śmierci”. Wkrótce do innych cierpień dołączyła się wodna puchlina. Lekarze, chcąc jej ulżyć robili głębokie nacięcia na nogach, lecz od razu w rany, które stąd powstały, wdała się gangrena. Dalej pisze Maria od Wcielenia: „To podczas Wielkiego Tygodnia nasz Pan pozwolił swej służebnicy a mojej drogiej towarzyszce, dostąpić tego zaszczytu uczestniczenia w Jego cierpieniach. Mówiła do mnie: «Ach, jakżeż jestem szczęśliwa, że znajduję się w mieszkaniu tak ubogim i umieram pozbawiona rozkošy i wygod Francji. Proszę powiadomić biskupa de la Rochelle⁴², nasze matki z Tours i moich krewnych oraz zapewnić ich, że umieram szczęśliwa, iż opuściłam ich wszystkich, aby stać się biedną zakonnicą w misji urszulanek w Kanadzie». Gubernator, który wiedział, jak kochała ten kraj i jak zależało jej na rozszerzeniu i wzmocnieniu kolonii francuskiej, prosił o. Lallemant, by w jego imieniu odwiedził ją i błagał o modlitwę za niego i za sprawy ogólne Kanady, gdy matka będzie w niebie. Odpowiedź jej była pełna szacunku i pobożności”.

Wreszcie w Wielki Czwartek, 4 kwietnia 1652 roku około 8 wieczorem, ta przeczysta dusza połączyła się ze swym Boskim Oblubieńcem. „Umarła tak cicho, że zaledwie to spostrzegły-

⁴² Był bratem pani de la Troche.

śmy. Wydając ostatnie tchnienie miała wyraz tak słodki i anielski, że zamiast boleści z powodu jej odejścia czułyśmy radość i wewnętrzne namaszczenie objawiające nam chwałę, której dostąpi. Uznałyśmy, że możemy w naszych potrzebach odwoływać się do niej i byliśmy wysłuchane. W celu zdobycia lepszych warunków do urządzenia uroczystości pogrzebowych, przeniosłyśmy ją zaraz tego samego wieczora do naszego nowo wybudowanego gmachu, w którym jeszcze nie mieszkaliśmy i było to pierwsze jego użytkowanie. Złożenie do grobu naszej drogiej odbyło się nazajutrz. O. Lallemant odprawił ceremonie wyjątkowo uroczyście. Nie widziano nigdy tak pięknego konduktu pogrzebowego, od kiedy w tym kraju zamieszkali Francuzi. Wszystkie znakomite osoby były obecne, wielcy i mali, Francuzi i tubylcy. Huroni już przed tym odprawili na wyspie Orleans uroczystości pogrzebowe na cześć Matki, jako znak ich wdzięczności dla niej. Wreszcie, ponieważ była ogólnie kochana i szanowana przez wszystkich, nie było osoby, która by nie chciała przy tej sposobności okazać swego przywiązania i żalu”.

Listy Marii od Wcielenia z tego okresu są przepełnione wspomnieniami o jej ukochanej Marii od św. Józefa. Píše do urszulanek z Tours: „Nasza droga siostra była owocem, który dojrzał dla nieba. Ludzie nie mogli na to wpłynąć, by nasz Pan nie zerwał go i nie zawezwał do siebie swej drogiej Oblubienicy. Nie przesadzam mówiąc, że pozostawiła nam przykłady bardzo rzadkiej cnoty i wrażenie wielkiej świętości. Nasz Pan połączył nas obie węzłem miłości, którego śmierć nie zdoła rozerwać. Teraz, od kiedy żyje ona w Bogu, choć jest ode mnie tak oddalona, więcej z nią duchowo obcuje, niż to miało miejsce za jej życia. Ona jest moją potężną orędowniczką i wspomaga mnie w sposób jeszcze bardziej skuteczny niż to czyniła przez swe rady i pomoc tu na ziemi, jakkolwiek były one cenne. Im więcej o niej myślę, tym więcej ją kocham, a wspomnienie o niej jest mi równie słodkie, jak w chwili, gdy ją straciłam. Nazywałyście ją waszym aniołem, mogę równie dobrze nazwać ją moim, ponieważ była mi wierną towarzyszką w podróżach i pracach. Modlę się do niej codziennie; inni czynią tak samo z pobożnością i z dobrym skutkiem. Jednym słowem, jej pamięć tutaj jest czczona”. Nie zadawałając się krótkimi wzmiankami rozsianymi w jej listach, Maria od Wcielenia postanowiła, pomimo swych zajęć, zebrać i ułożyć w jedną całość wszystko, co wiedziała o czynach, a szczególnie o cnotach swej ukochanej towarzyszki. Przeznaczała tę pracę dla wspólnoty w Tours, gdzie jedna z siostr zmarłej była zakonnicą. Píše przesyłając im to pismo: „Zdaję sobie sprawę, że w tym krótkim sprawozdaniu, sporządzonym tak pospiesznie, znajdziecie więcej uczucia niż treściwego ukazania jej życia. Pragnieniem mego serca było wyrazić kochanej Matce nasze prawdziwe uczucia względem osoby, która była im tak droga i którą tak chętnie oddały misji w Kanadzie”.

Z tego krótkiego opisu jej życia, włączonego przez Klaudiusza Martin do korespondencji jego matki, wyłania się dusza cudownie czysta, nie doceniająca swej własnej wartości, a pożerana gorliwością w pracy dla chwały Boskiego Nauczyciela. Czytamy tam: „Nasz Pan często przemawiał do niej wewnętrznie. Pewnego dnia, kiedy podczas Mszy św. śpiewała *Credo*, przy słowach: *per quem omnia facta sunt* ogarnęła ją wielka radość na myśl, że wszystko jest dziełem jej Ukochanego. Radość, którą odczuwała, prawie doprowadzała ją do omdlenia. »Tak moja córko« - powiedział do niej Jezus - »wszystko zostało uczynione przeze Mnie, lecz i Ja zostanę przeistoczony w ciebie«. Te słowa obiecujące jej ni mniej ni więcej jak świętą przemianę w Tego, któ-

rego życiem żyła więcej niż swoim, obezwładniły ją zupełnie. Sześć lat przed jej śmiercią ukazał jej Jezus duszę pod postacią zamku cudownie pięknego, który nie miał innego dachu jak niebo. Sam Jezus stojąc przy drzwiach, zwrócił się do niej z następującymi słowami: »Moja córko, pilnuj strony zewnętrznej, a ja będę strzegł wnętrza«. Jednak, podczas gdy doznawała od swego Boskiego Oblubieńca wiele dowodów miłości, jakaś żałobna krepa rozwinęła się przed nią i zasłoniła postać Chrystusa. Było to zapowiedzią tego, co wkrótce potem wyraźniej objawił, a mianowicie, że »odtąd żyć będzie tylko wiarą i cierpieniem«. Te cierpienia Matka od św. Józefa - mówi jeszcze jej pobożna powiernica - ofiarowywała zawsze za trzy wielkie sprawy, które leżały jej na sercu i które nie przestawała polecać Bogu: nawrócenie się ludów Ameryki, wzmocnienie kolonii francuskiej i uświęcenie się jej wspólnoty. »Nie mogę, zwierzała mi się, uczynić czegośkolwiek dla tego biednego kraju inaczej jak wewnątrz. Wydaje mi się, że Bóg tylko tego ode mnie żąda«. Można było o niej powiedzieć, że nosiła w swym sercu wszystkich Francuzów i wszystkich tubylców. Odczuwała ich radość i cierpienie. Nic bardziej nie mogło ją przejąć jak świadomość, że nad kolonią zawisła groza jakiejś klęski, która mogła prowadzić do jej ruiny. Mówiła wtedy: »Boże mój, jak możesz, wymaż mnie z księgi życia i raczej weź z tego świata niż byś miał dopuścić do rozpadnięcia się kolonii francuskiej«.

Jej wspomnienie pośmiertne okazało się tak budujące, że jezuici dołączyli je do swoich *Relacji* 1652 roku. Czcigodna przełożona, której zdania nie zasięgano w tej sprawie, cieszyła się, że przyczyniło się to do chwały Bożej, lecz równocześnie była bardzo zmartwiona. Píše do swego syna, że o. Le Jeune nie skreślił jej imienia na tytułowej stronie tej pracy.

Chociaż zabrana z tego świata tak wcześnie, m. Maria od św. Józefa zawsze będzie wspominana z dwoma założycielkami urszulanek z Québec, czcigodną Marią od Wcielenia i panią de la Peltrie, których była godną towarzyszką. Kiedy w dziewięć lat po jej śmierci ekshumowano jej zwłoki, by przenieść je do kaplicy drugiego klasztoru, unosił się od nich słodki zapach i nastąpiło w oczach całej wspólnoty szereg cudownych zdarzeń, o których znajdujemy wzmianki w kilku listach Marii od Wcielenia: „Bóg dopuścił, aby ta dzielna urszulanka wyzionęła ducha w niewygodzie zbyt ciasnego mieszkania prawie w chwili, gdy odbudowany klasztor miał otworzyć swe podwoje dla innych sióstr. Ona, której przypadła w udziale lepsza część, uśmiechnęła się z nieba tego dnia, 29 maja 1652 roku, gdy wraz z przebudzeniem natury powróciły urszulanki do swego klasztoru”.

Maria od Wcielenia przez pocztę wysłaną pierwszymi statkami donosiła: „Jesteśmy w nowym gmachu od Zielonych Świątek. Z parafii podąża procesja przy współudziale wielkiej liczby ludzi. Przybyli oni, by przenieść Przenajświętszy Sakrament z miejsca, gdzie zamieszkiwałyśmy. Rozpoczęto czterdziestogodzinne nabożeństwo, które trwało do wtorku po Zielonych Świątkach. Wszystkich ogarnęła radość, że widzą nas znowu tam, gdzie byliśmy przedtem, i że jesteśmy uwolnione od wielkich niewygód, któreśmy znosiły od czasu pożaru. Podczas tych trzech dni księża z parafii wraz ludem przybyli z procesją śpiewając litanie. Ledwie siedemnaście miesięcy upłynęło od tej niezapomnianej nocy, podczas której zakonnicie ujrzały się nie na kupie gnoju, jak Hiob, lecz na śniegu - bez ubrania i dachu nad głową. A teraz Bóg postępuje z nami jak z Hio-

bem, podnosząc nas jeszcze wyżej niż wtedy postawił”. Można dodać, że rodzina św. Urszuli zwycięsko wyszła z ciężkiej próby, nie tylko przed Bogiem, ale i przed kolonią, będącą świadkiem oddania się zakonnicy jej sprawom i przyszłości.

Najświętsza Panna, która raczyła sama kierować wszystkimi pracami, okazała się nie mniej szczodłą w uiszczaniu długów. Nieco później pisze Maria do syna: „Dziwisz się temu, co powiedziałam, że naszą odbudowę zawdzięczamy cudowi, ale rzeczywiście tak było. Straciłyśmy wszystko wskutek pożaru, wyzute zostałyśmy ze wszystkich rzeczy; jednak odbudowałyśmy nasz klasztor; jesteśmy odziane i umeblowane na nowo, dlatego musiałyśmy ponieść wydatki dochodzące do trzydziestu tysięcy franków. Pożyczono nam osiem tysięcy, które mają tutaj mniejszą wartość niż sześć we Francji. Z jałmużny zebrałyśmy bardzo mało, z czego jedna część została zużyta na ubrania, a druga na zakup ziarna. Z tego pozostaje nam tylko cztery tysiące do zapłacenia, a poza tym osoba, której jesteśmy winne tę sumę, daje nam swe dobra po swej śmierci, zachowując jedynie dożywocie. Wreszcie mamy dwadzieścia cztery tysiące zesłane przez Opatrzność, gdyż nawet nie potrafiłabym powiedzieć, skąd przyszły”. Te mury wzniesione pod kierunkiem i za sprawą Królowej Niebios, że tak powiemy, stoją jeszcze dzisiaj przypominając urszulankom w Québec dobrodziejstwa Maryi i wiarę ich pierwszych matek.

Pani de la Peltrie chętnie podjęła się odbudowy klasztornej świątyni; nie mogła jednak dokonać tego od razu, ponieważ jej dochody były dosyć skromne. W dzień Wniebowstąpienia 1656 roku pan de Lauson, ówczesny gubernator Nowej Francji, uroczyście położył kamień węgielny nowego gmachu. „W imię Jezusa, Maryi i Józefa”, jak o tym mówi sprawozdanie z tej ceremonii. Maria od Wcielenia pisała wkrótce po tym: „Jestem teraz zajęta budową małego kościoła, który nam nasza założycielka funduje i chce, abym pokierowała jego budową. Zajmuje mi dużo czasu, ponieważ wszystko trzeba zrobić własnymi rękoma, żywić robotników i wykonywać wiele innych prac, chociaż nasze budynki są skromne i małe”.

Sposób życia wspólnoty jak również budynki nie miały w sobie nic z wystawności. Obawa przed Irokezami paraliżowała wszelkie działania handlowe i każdy kolonista starał się własną pracą zaopatrzyć we wszystko, co mu było potrzebne. Matka Maria wyjaśnia: „My także uprawiamy pole, ile tylko można, zarówno ze względu na żywność dla nas jak i na paszę dla naszego inwentarza. Chleb tutaj jest smaczniejszy niż we Francji, ale nie jest tak biały, ani tak pożywny dla ludzi pracy. Sporządza się go mieszając groszek ze zbożem. My mamy cztery woły, które są używane do zwózki i orki oraz sześć krów, które zaopatrują nas w masło i główne nasze pożywienie podczas lata, kiedy żyje się prawie samym mlekiem. Opieka Boska sprawiła, że bydło podczas pożaru klasztoru było w naszym folwarku *Saint Joseph* i dzięki temu ocalało. Nasi ludzie posiadają w celach obronnych trochę broni palnej, której dotychczas nie używali przeciwko Irokezom, lecz na gołębie i kaczki w okresie polowań, a także w celu zdobycia mięsa dla chorych. Poza tym nie przejmujemy się grożącymi niebezpieczeństwami. Służba zatrudniona jest przy zajęciach bardziej użytecznych, które są konieczne w naszym gospodarstwie. Tak oto wygląda nasza gospodarka w tym kraju, bez której ani my ani inni nie mogliby się utrzymać, jakkolwiek byłaby pomoc dawana nam ze strony Francji”. Owa pomoc z Francji była zresztą bardzo

problematyczna. W tym samym roku, w którym urszulanki przeniosły się do nowego klasztoru, statek załadowany żywnością osiadł na mieliźnie w pobliżu Québec. Maria pisała: „Cała nasza mąka, jak i inna żywność zostały zamoczone, co znacznie zmniejszyło ich wartość i cenę”.

Odbudowanie klasztoru i zagospodarowywanie go na nowo przez wspólnotę wydawało się po ludzku myśląc tym bardziej zdumiewające, że nad Kanadą wisiała ciągle groźba całkowitego zniszczenia. Matka Maria od św. Józefa na łożu śmierci przepowiedziała swej ukochanej Matce Marii od Wcielenia jeszcze cięższe krzyże. Ogólne klęski, ściśle związane z interesami religii, nie należały do najłżejszych z tych prób. Maria od Wcielenia mówiła po jednym z takich niepokojących przesileń: „Chociaż pragnę tylko tego, co Bóg chce, przyznaję jednak, że kiedy widziałam chrześcijaństwo o krok od ruiny, moje serce cierpiało tak strasznie, iż tego wypowiedzieć nie potrafię. Nie ma tak ciężkich krzyży jak te, które pochodzą z pragnienia chwały Bożej związanej ze zbawieniem dusz”.

Tymczasem Irokezi coraz bardziej pustoszyli kraj i popełniali nowe zbrodnie. 10 maja 1652 roku posłali do nieba nowego męczennika, o. Buteux, apostoła Attikameków⁴³. W trzy miesiące później pan de Plessis, gubernator Trois-Rivières, zginął wraz z kilkunastoma Francuzami w bitwie, którą niebacznie wydał. Maria od Wcielenia pisała o tym do swego syna: „Ta klęska jest poważną sprawą nie tylko sama przez się, lecz i w następstwach. Dotychczas wydawało się Irokezom, że nic nie osiągną, ponieważ nie mieli przewagi nad naszymi żołnierzami. Jednak dzisiaj, gdy zabili gubernatora Trois-Rivières wyobrażają sobie, że są panami całej Nowej Francji, gdyż ci ludzie nie orientują się w sytuacji i stają się przez to zuchwali w najwyższym stopniu. W miejscach zaludnionych nie są groźni, natomiast w miejscach oddalonych i domach położonych blisko lasu należy ich się obawiać. Z doświadczenia wiadomo, że nic się nie uzyskuje przez ściganie ich, więc nasi koloniści zachowują tylko stanowisko obronne i to jest najlepsze. Gdyby pan de Plessis tego się trzymał, nie spotkałoby ani jego, ani jego rodziny to nieszczęście, odwaga go zgubiła. Prawdą jest, że mieszkańcy Montrealu wkrótce potem pomścili klęskę wycinając w pień wielką liczbę barbarzyńców; ich męstwo wzbudziło taki postrach wśród pozostałych przy życiu, że wykrzykiwali w swoim symbolicznym języku: «Wszyscy umarliśmy»”.

W następnym roku znowu smutne wieści napływały do Québec. Maria od Wcielenia pisała: „Oto sześcuset Irokezów otoczyło Trois-Rivières i nasz bardzo drogi o. Poncet jest w ich rękach. Udawał się niedaleko Québec, by nieść pomoc biednej wdowie, gdy został pojmany przez naszych nieprzyjaciół. Jak tylko się wieść o tym rozeszła, mieszkańcy, którzy go kochali jak ojca, chwycili za broń i pobiegli w pogoń za barbarzyńcami, by go z ich rąk wydobyć. Nacierali na nich tak ostro, że mało ich nie doścignęli, spóźnili się jednak nie więcej niż jakie trzy godziny, gdyż zastali w miejscu opuszczonym przez Irokezów palące się jeszcze ognisko. Jednak dowiedziano się, że ojciec wraz z towarzyszącym mu kolonistą zostali wprowadzeni do kraju ognia i płomieni, jak jeden z misjonarzy nazywał te straszne kolce. Jeśli nawet nie zginęli, to w każdym razie doświadczyli na sobie barbarzyństwa zwycięzców.

⁴³ Plemię z rodziny Algonkinów.

O. Poncet musiał znosić upokarzające bicie kijami. Jeden z okrutników schwycił go za prawą rękę i zamierzał odciąć wskazujący palec. Ojciec, który miał przeczucie, że nie będzie zamordowany, zaczął prosić Boga, aby raczej okaleczono rękę lewą tak, by mógł sprawować świętą ofiarę. I został w tym wysłuchany. Podczas okrutnego zabiegu, dzielny apostoł nie przestawał śpiewać, następnie oddano go jakiejś pocziwej staruszce, która przyjęła go za swojego brata. Po dwóch miesiącach niewoli Irokezi, którzy zaczynali już pragnąć pokoju, odesłali go do Québec, gdzie został przez wszystkich powitany z radością.

Maria od Wcielenia oznajmiła: „Nareszcie, w sierpniu 1653 roku zaczęto układy w celu wprowadzenia stałego pokoju. Okrutni Irokezi poczynili takie spustoszenia w tych okolicach, że wydawało się, iż nie pozostaje nic innego, jak powrócić do Francji. Uciekanie się do tej ostateczności byłoby rzeczą godną pożałowania, gdyż ponad dwa tysiące Francuzów, którzy ponieśli wielkie wydatki, aby się w tym kraju osiedlić, znalazłoby się bez środków do życia, ponieważ nie posiadali w innym miejscu żadnego mienia. Co więcej, chrześcijanie-tubylcy, nie mogąc stawiać oporu Irokezom, byłiby ciągle narażani na utratę życia, a może i wiary”.

A w kilka dni później pisze: „Jeśli nasi nieprzyjaciele mówią prawdę i jeśli zapanuje pokój, którego jakoby pragną, otworzy to wrota Ewangelii u wszystkich narodów tej Ameryki. Jednakże, według reguł ostrożności nie można im zaufać, gdyż dotychczas ich postępowanie cechowała tylko zdrada i wiarołomstwo. Na szczęście Bóg nas przed nimi chroni; zaślepia ich, aby nie widzieli swej siły, a naszej słabości. Gdyby widzieli, jak rzeczy stoją, wkrótce by nas wymordowali. Sprawa pokoju i wojny rozstrzygnie się w terminie miesięcznym, o który prosili, ponieważ muszą pojechać zasięgnąć rady starszyny w swoim kraju. Bóg daje nam ten czas na przeprowadzenie żniw. Gdyby Irokezi w dalszym ciągu palili zboże, jak to już zaczęli robić, byłibyśmy doprowadzeni do śmiertelnego głodu. Zwracają uwagę trzy lub cztery cuda Opatrzności w stosunku do nas we wszystkim, co się zdarzyło podczas ostatnich napadów. Mówię: wyraźnych cudów, które podnoszą nas na duchu, wskazując, że od prześladowania uwolni nas nie przemysłowość ludzka, lecz jedynie dobroć Boża, która zdolna jest przemienić serca kamienne w serca ludzkie, aby z tych barbarzyńców uczynić dzieci Abrahama”.

Pokój tak przez wszystkich upragniony podpisany został w 1654 roku. Maria od Wcielenia, której serce wyrывa się do wszystkiego, co może umożliwić przyjsie Królestwa jej Boskiego Oblubieńca śpieszy opowiedzieć o tym synowi i podaje różne, ciekawe szczegóły dotyczące zawarcia pokoju i jego konsekwencji. Mianowicie, do Irokezów posłano misjonarzy, a o. le Moyne znalazł wśród nich dusze chętne do poznania prawd Ewangelii. Mordercy ojców de Brébeuf i Garnier sami przyszli do niego oddać książki, które zabrali tym świętym męczennikom i które od tego czasu przechowywali jako bardzo cenne przedmioty. W głównym miasteczku ojciec odnalazł wśród niewolników żarliwych chrześcijan przypędzonych tu niegdyś z kraju Huroków. Dalej Maria pisze: „Podziwiał, drogi synu, cudowne drogi Opatrzności. Bóg dozwolił, by ci biedni chrześcijanie zostali wzięci do niewoli przez barbarzyńców dla zbawienia plemion irokeckich, gdyż to oni właśnie uczyli te ludy poznawać Boga i zasiali w ich duszach pierwsze ziarno wiary”. Następnie dzieląc się z nim wiadomością o obietnicy, którą jej uczyniono, a mianowicie,

że liczne dziewczęta irokeskie będą oddane do urszulanek, kończy: „Plon będzie obfity i sądzę, że będziemy musiały starać się o robotnika”.

W czasie zwiększania się potrzeb seminarium indiańskiego Marię od Wcielenia jako przełożoną, dotknęła boleśnie strata dwóch jej zakonnic, matki Anny od Serafinów i matki od św. Cecylii, które z powodu zdrowia powróciły do swych klasztorów we Francji. Matka przyznaje, że ten wyjazd tak długo przez nią zwalczany, był jednym z najcięższych krzyży, które musiała znieść podczas drugiego okresu przełożęństwa. Píše poufnie: „Nie jest tak, aby to nie były dobre zakonnice, które opuszczają nas cicho i spokojnie z pozwoleniem otrzymanym ze względu na ich autentyczne cierpienia. Niemniej jednak byłoby nam o wiele łatwiej widzieć je umierające na naszych rękach za przykładem naszej drogiej zmarłej niż pozwolić, by popełniły czyn, który może stać się dla wielu przykładem i zaszkodzić chwale Bożej i dobru naszej wspólnoty”. Ten fakt braku wytrwałości, zresztą usprawiedliwiony, nie powtórzył się już nigdy więcej. Rodzina urszulańska w uszczuplonym gronie z nowym zapalem oddała się pracy misyjnej w Nowej Francji.

ROZDZIAŁ XVI

Matka i syn (1647 – 1660)

Widzieliśmy już, kosztem jakich ofiar zdobyła Maria od Wcielenia dla syna swojego nie tylko łaskę nawrócenia, lecz także powołania do życia zakonnego i poświęcenia się stanowi kapłańskiemu. Aby dobrze poznać tę mocną kobietę o wielkodusznym i kochającym sercu, konieczne jest wydobyć na światło dzienne i wniknięcie w jej korespondencję, której nie przestawała przez przeszło trzydzieści lat utrzymywać ze swym drogim synem, tak jak ona oddanym tylko Bogu. Te listy, które wydają się być pisane z nieba, nabierają w omawianym okresie jeszcze bardziej wzniosłego charakteru. Maria od Wcielenia dochodziła do pięćdziesięciu lat życia. W ciągu swego prawdziwie świętego życia zebrała istne skarby doświadczenia i światła, które przebłyskiwały czasami wbrew jej woli wśród różnorodnych tematów poruszanych w listach. Rozłąka była ciężką ofiarą dla jednej i drugiej strony. Tylko raz do roku okręty przybywające z Québec przywoziły listy z Francji i zabierały te z Kanady. Trzeba było śpieszyć się, by odpisać na otrzymane listy dopóki statki przebywały w porcie. Maria od Wcielenia, do której obowiązków należało załatwianie całej korespondencji wspólnoty, potrafiła pomimo tego obszernie odpisywać swemu drogiemu synowi benedyktynowi. Maria donosi 30 września 1653 roku: „Piszę do ciebie w nocy z powodu pośpiechu w wysyłaniu listów, gdyż statki mają odpłynąć. Mam tak zmęczoną rękę, że z trudem mogę te słowa kreślić, muszę więc kończyć. Proszę byś mi wybaczył, jeśli mnie nie odczytasz”. A innym razem mówi: „Jestem tak pochłonięta kłopotami zewnętrznymi, że piszę do ciebie tylko dorywczo i ukradkiem. Chociaż staram się czynić to prędko, mija już przeszło dwie godziny jak zasiadłam do tego liściku. Ciągłe mi przeszkadzają i co wezmę pióro do ręki nie mogę dokończyć”.

Należało się liczyć z tym, że szereg listów zginie z powodu długiej podróży i grasujących na oceanie piratów. Klaudiusz Martin w pierwszych czasach swego nowicjatu, nie otrzymując w ciągu całego roku żadnych wiadomości z Québec, zwierzył się ze swej troski przełożonej urszulanek w Tours. Te skargi syna doszły do Marii od Wcielenia i ogromnie ją wzruszyły: „Napisałam do ciebie obszerny list w zeszłym roku, bo odpisuję natychmiast, lecz to co się powierza morzu jest zdane na przypadek. Dlatego też, mój drogi i ukochany synu, postanowiłam wysyłać listy tak długo, jak będę żyła, dwoma różnymi statkami, aby o ile jeden zaginie, przynajmniej drugi przywiózł ci wieści ode mnie. Uczyn tak samo, jeśli posłuszeństwo ci na to pozwala. Możesz bowiem sobie wyobrazić, że nasza radość będzie wtedy obopólna”. Ta dobra matka nie zadawała się jednak pisanem tylko dwóch listów rocznie, lecz korzystała z każdej nadarzającej się okazji w okresie od lipca do października. Zwierza się synowi 12 października 1655 roku: „Czułabym się źle, gdybym widząc, że wiatr północno-wschodni wstrzymuje odjazd statku z naszego portu, nie postarała się o dodatkową wolną chwilkę, by ci choć słówko powiedzieć o dobroci Boga dla nas i dla tego kraju”. Te nieoczekiwane okazje były dla niej zawsze wielką przyjemnością. „Przesyłając to małe słówko przez statek rybacki, aby się pospieszyć, mam poczucie, że dzielisz się ze mną tą pociechą, gdyż ty i ja jesteśmy jedno w naszym Zbawicielu. Wysyłam ten list na los szczęścia, ponieważ nie wypróbowałam jeszcze tej drogi; jeżeli go otrzymasz, potwierdź jego odbiór, abyśmy nie pominęli żadnej możliwości, aby ze sobą korespondować”. Można wyczuć, że ta głęboka i szlachetna czułość pochodziła z nieba i powracała do Boga. W dniu 27 lipca 1657 notuje: „Nie potrafię wyrazić słowami pociechy, której co roku doznaję, kiedy otrzymuję wieści od ciebie i dowiaduję się o twym pragnieniu oddania się zupełnie Jezusowi i Jego świętej Matce na drodze do prawdziwej świętości. Jeżeli doznałeś radości otrzymując moje listy, nie wątp, że i ja miałam taką samą czytając twoje. Widzę w nich Opatrzność, miłość Boga i Jego miłosierdzie w stosunku do ciebie, za które wiecznie będę Go chwalić”. Innego dnia pisze: „Te kilka linijek mają ci dać choć trochę pociechy, jeśli tak jest, że ją czerpiesz z moich listów. Ale raczej, mój bardzo drogi synu, szukajmy jej u Tego, który jest Ojcem miłosierdzia i Bogiem Pocieszycielem. Odwiedzam cię w Nim parę razy dziennie i ciągle mówię o tobie Jezusowi, Marii i Józefowi”.

Nie ukrywa zresztą przed synem tej macierzyńskiej trwogi, którą napawają ją spóźnienia statków lub zbyt rzadkie listy od niego. Pisze 24 czerwca 1656 roku: „Otrzymałam twój jedyny list, w którym obiecujesz napisać jeszcze przez inną okazję. Tymczasem już pięć statków nadeszło do naszego portu, a nic więcej nie dostałam. Muszę ci wymówić pewne lenistwo. I chociaż chwilowo to, czego się od ciebie dowiedziałam i od innych, wystarcza mi, nie powinienes jednakże zadowalać się przesyłaniem wiadomości tylko jedną drogą, gdyż w ten sposób narażasz mnie, że mogę być ich pozbawiona”. A innym razem pisze: „Chciałam właśnie napisać do ciebie, aby samą siebie pocieszyć, ponieważ nic od ciebie nie dostałam. Wreszcie spadła mi z serca troska w związku z tobą, a czy nie miałam do tego powodu widząc, że cztery statki przybyły już dosyć dawno i dwa inne właśnie przypływają, a ja nie mam żadnej wiadomości o osobie najdroższej na świecie”. List w ostatniej przesyłce z każdego roku często kończy się jakimś serdeczniejszym zwrotem ze względu na długie milczenie, które po tym nastąpi: „Żegnaj mój bardzo drogi synu, długo bym mogła jeszcze z tobą bez zmęczenia gawędzić, lecz trzeba wreszcie kończyć i

pożegnać się z tobą na ten rok”. Można w listach Marii od Wcielenia napotkać wiele takich zwrotów pełnych prostoty i subtelności, charakterystycznych dla matczynego serca. Kiedyś, gdy jeden ze służących klasztoru pochodzący z Normandii powracał do Francji, poleciła mu zawieźć list do Klaudiusza Martin. Pisała w nim: „Żalisz się, mój synu, na to, że nie widziałeś nikogo, kto by ze mną mówił od czasu jak jestem w Kanadzie, dlatego też sprowadziłam tego pocziwego młodego człowieka i odsłoniłam przed nim twarz, aby mógł ci opowiedzieć, że mnie widział i że ze mną rozmawiał. Będzie on o trzy mile od ciebie i obiecał mi, że cię odwiedzi i ustnie o mnie powie. Może ci także opowiedzieć o położeniu naszego klasztoru i jak wygląda ten kraj”. W 1654 roku pisze: „Zdrowie mi dosyć dopisuje i nie odczuwam jeszcze wielu dolegliwości związanych z wiekiem, z wyjątkiem tego, że wzrok mi słabnie. Aby temu zapobiec, używam okularów, przez które widzę na razie tak wyraźnie jak w wieku dwudziestu pięciu lat. Poza tym przynoszą mi one ulgę w moich codziennych bólach głowy, które się przez to bardzo zmniejszyły”. Syn jej napisał list współczujący z powodu klęski pożaru, odpowiada mu tymi słowami: „To wszystko co na ten temat napisałeś, było mi tak bardzo miłe i napędzające otuchą, że odczytuję twój list od czasu do czasu, aby go na nowo w pamięci odświeżyć”.

W okresie, gdy okręty irokeskie zaczynały być dostępne dla Francuzów Maria, interesująca się wszystkim, w liście do swego drogiego korespondenta czyni mimochodem wzmiankę o produktach otrzymywanych z tych nowych ziem. „To, że w zeszłym tak chwaliłam dynię iroeską sprawiło podobno, że nabrałeś do niej apetytu. Posyłam ci więc jej nasienie, które przywieźli nam przybyli stamtąd Huroni. Nie wiem tylko czy wasza gleba nie zmieni jej smaku. Przyrządza się dynię na różne sposoby, robi się z niej zupę z mlekiem lub smaży się. Można ją także upiec jak gruszki; w ten sposób smakuje jak prawdziwe pieczone renety”.

Nie mając nic do ofiarowania swej matce, młody zakonnik martwił się tym i przeproszał za swoje ubóstwo. Odpowiedziała: „Mój dobry synu, bądź pewien, że więcej cię kocham jako biednego zakonnika niż gdybyś był królem całego świata; jest to dla mnie nadzwyczajną pociechą widzieć cię tak ubogim. Czy nie jesteśmy już dość bogaci posiadając Jezusa? Nie chcę więc, abys starał się cokolwiek mi przysyłać. Znam dobroć twego serca, lecz także wiem, że osoby zakonne nie mogą robić wszystkiego, co by im ich dobroć podpowiadała z powodu ubóstwa, które ślubowały. Jeżeli jak Daniel jesteś człowiekiem pragnącym, otwórz usta twojego serca, a nasz dobry Jezus je napelni”. Kiedy wojna lub straty materialne doprowadziły urszulanki z Québec do skrajnej nędzy, obawiając się, by jej syn nie martwił się, że nie może jej dopomóc w niczym, mówiła do niego delikatnie: „Gdy ci piszę o naszym ubóstwie, nie przypuszczaj, że cię o cokolwiek innego proszę niż o modlitwy, które uważam za prawdziwe bogactwo”.

Często kończy te matczyne zapewnienia powtarzając na nowo obietnicę, że wszystko jest między nimi wspólne, co dotyczy dóbr duchowych: „Jeśli Bóg jest z moich małych prac zadowolony, to przecież są one tak samo twoje, jak moje, a jeżeli towarzyszysz mi przy wykonywaniu moich skromnych funkcji, to ja tak samo jednoczę się z tobą przy twoich. Najświętsze Serce mego Jezusa jest w środku pomiędzy sercem twoim a moim, a Jego Boski Duch jest łącznikiem w naszym obcowaniu. To z Nim rozmawiam o wszystkim, co się ciebie tyczy i o wszystkim, co

mnie dotyczy. Łączę w jedno sprawy twoje i moje lub mówiąc dokładniej, robię z nich jedną ofiarę, aby była pochłonięta przez ogień płonący na Boskim ołtarzu”. „Pytasz mnie, czy polecam cię Bogu w moich modlitwach? Tak, robię to z całego serca, gdyż pragnę, byś należał do Niego w sposób, jaki On tego pragnie”.

O. Klaudiusz Martin okazał się godnym synem tak doskonałej matki. Zapał, z jakim się poświęcił życiu zakonnemu i w nim trwał, wyraźnie mówi o tym, jak wierny był łaskom, o które dla niego prosiła. Zawsze pamiętał o tym, mówi autor jego życiorysu, że jego matka uczyniła go synem Opatrzności Bożej, ponieważ nigdy nie pragnęła dla niego innych dóbr jak tylko ewangelicznego ubóstwa. Już od czasu nowicjatu jego przełożeni dostatecznie oceniali jego cnoty, by odnosić się do niego jak do duszy mocnej. Pewnego dnia otrzymał z Québec krzyżyki i różaniec, które miłość synowska czyniła podwójnie drogocennymi. „Bracie, powiedział do niego przeor, wybierz, co wolisz, gdyż tylko jeden z przedmiotów wolno ci zachować”. Klaudiusz wziął krzyżyk, który był bardzo skromny, a zostawił różaniec, który przedstawiał pewną wartość. Ojciec w tej chwili oddał go pewnemu chłopcu, który tamtędy przechodził, a nowicjusz nie zaprotestował ani słowem przeciwko postępowaniu tak obrażającemu jego uczucia⁴⁴. „Raduję się, pisała matka do niego dowiedziawszy się może o tym drobnym fakcie, że twój przełożony ćwiczy cię w umartwianiu się. Jest to dowodem, że cię kocha i chce twego dobra. Spuść się na Boga i swoich przełożonych i wierz w to, że Jego dobroć postawi cię tam, gdzie On chce cię mieć dla swojej chwały a twojego uświęcenia”.

Te ostatnie słowa zawierają aluzję do pobożnych pragnień, o których gorliwy benedyktyn pozwolił sobie napomknąć w listach do matki, a mianowicie duchem ulatywał do dalekich misji i pragnął tam dostąpić męczeństwa. Maria od Wcielenia łagodnie temperowała entuzjazm młodości, w którym zresztą pokładała wielką nadzieję. Odpowiada mu: „Błogosławię Boga za to, że ci daje pragnienie męczeństwa. Jesteś jeszcze tak młody, mój kochany synu. Jeżeli chcesz pozostać wierny łasce, przejdiesz przez długie męczeństwo pozostając zamknięty w swej samotności. Niech to twoje pragnienie pobudza cię do życia pokutnego, pełnego umartwień i dyscypliny; to jest właśnie męczeństwo, przez które musisz przejść i którego Bóg od ciebie żąda. Wierz mi, nic innego nie czyn, jak tylko idź za wolą Bożą; chcę przez to powiedzieć, że powinienes poddać się Jego kierownictwu ze słodką ufnością i czekać w spokoju serca, co Jego zamiary względem ciebie gotują”. A w innym liście pisze: „Chcesz, bym wymodliła dla ciebie od Boga dar modlitwy myślniej? Ja zaś proszę Go dla ciebie o pokorę i zaparcie się siebie, bez których nie ma modlitwy ani prawdziwego życia wewnętrznego”. W ten oto sposób kierowała ona wzloty tej duszy ku celom praktycznym. Pisała do niego: „Tak, mój bardzo drogi synu, Bóg chce, byś Go kochał; zaoferuj więc to czynić i dzisiaj myśl, że wczoraj Go nie kochałeś prawdziwie, ponieważ stopnie tej

⁴⁴ Inny fakt podany przez autora życiorysu Klaudiusza Martin świadczy, że duch wyrzeczenia się zapuścił mocne korzenie w duszy tego doskonałego zakonnika. Będąc w wieku lat czterdziestu siedmiu przeorem opactwa Bonne Nouvelle w Rouen, został wezwany do Dieppe w ważnej sprawie. Otóż, przez całe swoje życie pragnął zobaczyć morze; ta podróż dawała mu tę możliwość, co więcej port w Dieppe przypominał mu wyjazd jego świętej matki do Kanady. Jednakże ten podziwu godny uczeń krzyża był zachwycony, że się nadarza tak doskonała okazja do umartwienia swych zmysłów; wyrzekł się tego widoku, a Bóg w nagrodę pozwolił, iż tak poruszył serce jednego człowieka z wyższego towarzystwa, z którym miał do czynienia, że ten wkrótce wstąpił do klasztoru.

świętej miłości mają to do siebie, że widzi się doskonale to tylko, co jest przed sobą, a uważa się to za niedoskonałość to, co przeszło. Idziesz śladami świętych, którzy cię wyprzedzili i zamieszkujesz cele uświęcone przez ich cnoty; biegnij więc bez wytchnienia za nimi, aż przybędziesz do Króla świętych, który pragnie ciebie bardziej niż ty Jego. Kilka razy miałam ochotę dowiedzieć się, czy serce twoje doświadcza tych słodkich wzruszeń i na jakim stopniu Bóg cię postawił. Pozostaję jednak nadal w nieświadomości i zadowalam się tylko proszeniem Go o tę łaskę dla ciebie, którą uważam za cenną w dążeniu do doskonałości”. Zachwycony radami swej matki, Klaudiusz Martin od początku życia zakonnego wyjawiał jej wszystkie swoje trudności, nic przed nią nie ukrywał. Rozmowa o Bogu była ich wspólnym szczęściem. Maria pisze: „Czerpię wielką pociechę, widząc cię w nastroju tak odpowiednim do twego stanu i zupełnie się z tobą zgadzam, że nasze rozmowy powinny zmierzać do celu, do którego zdążamy”.

Zadziwiająca jest powściągliwość, z jaką urszulanka wypowiada swoje poglądy na temat duchowości, szczególnie od momentu, gdy jej syn został wyświęcony na kapłana. Odsyła go delikatnie do jego własnych doktorów mówiąc: „Masz doskonałych nauczycieli, którzy potrafią wyjaśnić wszystkie twoje wątpliwości tak, że byłoby zarozumiałością z mojej strony chcieć ci coś więcej o tym powiedzieć”. Odważa się czasami napisać: „Jeśli śmiem wyrazić, co myślę”. A żartując z drobiazgowości, z jaką analizował jej listy, mówiła: „Naprawdę podziwiam uwagi, które robisz o tym, co do ciebie piszę; bądź przekonany, że ja nigdy nie zastanawiam się nad takimi szczegółami. Jeśli moje słowa potrafią cię poruszyć, to dlatego, że nasz dobry Bóg zatuszował ich niedoskonałości. Natomiast prawdą jest, że to moje serce do ciebie przemawia”. „Poza moją nieudolnością i zamętem, w którym żyję, praca nie pozwala mi na dłuższe rozpisywanie się. Może będę musiała spędzić noc na pisaniu w ciszy wszystkiego tego, co ci mam do powiedzenia. Ale czegoż bym nie chciała uczynić dla ciebie, mój bardzo drogi i ukochany synu! Nie żebym miała się podjąć dawania ci pouczeń; moja płęć i moja ignorancja nie pozwalają mi na to ze względu na twój stan; jednakże czuję się niezdolna do odmówienia ci czegokolwiek. Idę więc za głosem serca, wnikać w twoje pragnienia miłości Bożej, która nas z sobą łączy - oprócz istniejących już więzów naturalnych - w sposób, jaki wypowiedzieć nie zdołam”.

Bóg chciał istotnie zarówno ze strony syna, jak i ze strony matki tych intymnych zwierzeń, które - po opublikowaniu listów - stały się pożyteczne dla wielu dusz, jak również i dla korzyści, jakie odniósł z nich Klaudiusz Martin dla pełnienia swego posłannictwa⁴⁵.

Przeznaczony do zajmowania przez prawie pół wieku wysokich stanowisk w swym zakonie, Klaudiusz musiał być umocniony w pokorze. Pokusa była tym sposobem, którego użył Bóg, by go w niej utrzymywać. O. Martène podaje, że musiał zmagać się ze straszliwymi pokusami, a nawet za przykładem św. Benedykta miał odwagę pewnego razu okupić zwycięstwo nad nimi, tarzając się podczas nocy na polu pełnym cierni. Napisze do niego później Maria od Wcielenia: „Te cierpienia, których doświadczyłeś, były dla ciebie zbawienne, a poza tym mogą ci bardzo pomóc w prowadzeniu dusz. Bóg przeważnie daje ciężkie próby tym, których przeznacza do kie-

⁴⁵ Tylko listy Marii do syna były opublikowane, listy zaś syna do matki nie. Nie posiadamy ani jednego listu Klaudiusza Martin.

rowania duszami innych, aby znając z własnego doświadczenia choroby swych podwładnych, potrafili zastosować najodpowiedniejsze lekarstwo”. Poza tymi gwałtownymi napadami pokus Klaudiusz podlegał także skrupułom, zniechęceniu i smutkowi duszy. Maria od Wcielenia pisała, widząc go wydanego na pastwę swego rodzaju cierpienia: „Odważy, mój drogi synu, nasz dobry Bóg cię kocha. Po co tak się lękać? To jest właśnie tą pokusą lub próbą, które Bóg dopuszcza, aby cię oczyścić. Często postępuje tak z duszami, które chce posunąć naprzód w życiu duchowym. Jeżeli jednak nie uważają na siebie, mogą z powodu tego, co im było dane dla wzrostu duchowego ponieść szkodę, ponieważ nie potrafiły wykorzystać tej próby według zamiaru Bożego. Zamiast upokorzyć się i zupełnie poddać Jego kierownictwu, nie dociekając tego, co się z nimi stanie, tracą czas na zbyteczne rozmyślanie i w tym właśnie czai się pokusa. Mój bardzo drogi i ukochany synu, Bóg obdarza niezmierzoną dobrocią proste dusze, takie, które Jemu ufnie się oddają. Pozbądź się więc tego pragnienia, które zaprowadziłoby cię na rozdroża. Co wreszcie zdołasz uczynić w swej bezsilności? Co do mnie, to kiedy czuję, że jestem w tym stanie, staram się zagubić w Bogu; robię, co tylko mogę, aby zapomnieć o sobie i widzieć tylko Jego i jeżeli moje serce zdoła to uczynić, rozmawiam z Nim poufale. Dlaczego tak się ociągać przed zatraceniem się w Bogu, który chce nas oczyścić, jeżeli rzucimy się w Jego ramiona z ufnością pełną miłości i śmiałości?”

Pewnego razu pisała do niego ze wzruszającą obawą: „Wydaje mi się, że mi nie mówisz wszystkiego, co ci leży na sercu. Ach, dlaczego nie starasz się zbliżyć do Boga tak dobrego i kochającego? Wyznam ci, że jeśli patrzymy na Niego jak na strasznego sędziego, powinniśmy się ukryć w głębi przepaści; jeżeli uważamy Go za Ojca, winniśmy Mu szacunek i posłuszeństwo; ale On jest naszym Oblubieńcem i jako taki, jak mówi św. Bernard, chce naszej miłości. Miejmy odwagę zbliżyć się do Niego z ufnością, wszak On jest *najpiękniejszy z synów ludzkich*. Gdybym ci mogła szeptać do ucha, powiedziałabym ci o wiele więcej, jako swemu bardzo drogiemu synowi, przed którym nie chciałabym nic ukryć z tego, co czuję, ani też łask Boskich, których doznaję, ani mojej niewierności wobec Niego”.

Podnosiła go też na duchu poruszając sprawę przygnębienia i tych codziennych uchybień, od których sprawiedliwi nie są wolni na tej ziemi. Pisała: „Czy myślisz, że zawsze czujemy ogień, który zapala? Mówię tu o tym Boskim ogniu zapalonym przez Serce Jezusa. Nigdy nie bylibyśmy pokorni, gdybyśmy nie doświadczali słabości i dobrze jest, gdy nie czujemy płomienia miłości, aby tym czyściej się spalać. Zawsze musimy tępić w sobie to coś z naszego *ja*, które się urodziło razem z nami i bez którego bylibyśmy już w tym życiu błogosławionymi. Padamy, podnosimy się; to fakt jak to, że małe chmurki zakrywają na chwilę słońce i rzucają półcienie, które szybko przechodzą. Padamy, podnosimy się, a nawet kiedy się pada, trzeba Bogu mówić o tym nędznym *ja*, które sprawia, że robimy coś, czego byśmy nie chcieli, jak to stwierdza św. Paweł: «Czynię zło, którego nie chcę»”.

Maria od Wcielenia wraz ze swym synem często odmawiała hymn dziękczynny za powołanie ich obojga do stanu zakonnego. Wiedziała, że wdzięczność za dobrodziejstwa Boże jest najpewniejszym środkiem przeciwko jadowi miłości własnej. Mówiła do syna: „Oddajmy razem

chwałę i dziękczynienie naszemu Dobrocyńcy za ten nadmiar miłosierdzia nad nami! Wyznamy, że wszystko otrzymaliśmy za darmo. Nic z naszej strony nie mogłoby usposobić Go do obdarowania nas tak wspaniale. Jakkolwiek jest, należysz do Niego! Jestem szczęśliwa; żyjmy i umierajmy w Jego świętej służbie”.

Uczyła syna błogosławić Boga za wszystkie wspólne ofiary, które stale ponosić musieli w swych uczuciach: „Od dawna już, mój dobry synu, zdałam się w zupełności na wolę Bożą, jeśli chodzi o mnie i o ciebie. Jego godnym uwielbienia zamiarem jest, abyśmy się nie widywali i nie żyli ze sobą w tym życiu inaczej niż tylko w taki sposób, jak nasz Boski Zbawiciel zaleca w Ewangelii. Lecz jeśli naprawdę zatracimy się w Nim, odnajdziemy się pewnego dnia w rozkoszach Tego, który z taką miłością wprowadza nas w pełnienie swych Boskich nakazów; będziemy wówczas mieć całą wieczność, aby się widywać i rozmawiać”.

Kiedy Klaudiusz Martin jeszcze zajęty studiami zaczął się wprawiać w kaznodziejstwo, jego matka nie posiadała się ze szczęścia. Jeszcze jako dziecko chciała całować ślady tych, którzy głosili Słowo Boże; dzisiaj syn jej był zwiastunem tego Słowa. Pisała mu 1 września 1643 roku: „Zrobiłbyś mi wielką przyjemność, przysyłając jedno z twoich przepisanych kazań. Czy nie mam prawa wymagać tego od ciebie, gdy wiesz jak wielką pociechą będzie dla mnie przynajmniej przeczytać to, czego usłyszeć nie mogę?” A w kilka lat później - z powodu otrzymania od syna panegiryku o św. Benedykcie - pisze do kaznodziei: „Ta przemowa bardzo mi się podobała, dobry syn chwala swego ojca. Gdyby nasz drogi o. Poncet wpadł w ręce Irokezów, posłałabym mu ją, aby zrobić mu przyjemność pracą dawnego ucznia”.

Obawiając się „wypaczyć przez zanadto staranne dobieranie wyrazów czystości Boskiego Ducha”, w delikatny sposób daje synowi do zrozumienia, co na ten temat myśli: „Zrobiłeś mi wielką przyjemność przysyłając kazania, które wygłosiłeś o wielkości Jezusa i masz zupełną słuszość mówiąc, że jest to temat, za którym przepadam. Tak jest w istocie, gdyż zawsze wszystko, co mówi o wielkości naszego tak godnego uwielbienia Jezusa, podoba mi się bardziej niż to potrafię wyrazić. Możesz sobie wyobrazić, jak się cieszę otrzymując coś w tym rodzaju od swojego syna. Praca jest piękna i dobrze ujęta we wszystkich częściach; obawiam się jednak, że te wielkie pompatyczne przemowy zanadto cię męczą i są częściowo powodem twego wyczerpania. Widzę w niej, jak wielką pracę w to włożyłeś, jest w niej jednak i słodycz ducha. Gdybym była jak ci święci, którzy słuchali kazań z oddali, miałabym wielką przyjemność usłyszenia cię, ale nie jestem godna takiej łaski i należy przypuszczać, mój kochany synu, że zobaczymy się raczej na tamtym świecie niż na tym”. „Niech wiedza nie wbija cię w pychę, nie staraj się nic wiedzieć dla siebie, lecz dla Boga. Nauczając innych, ucz siebie samego w świętym zamiarze czynienia tego, czego nauczasz. Jeśli będziesz tak postępował, zobaczysz co Bóg zdziała w twej duszy. Proszę Go o błogosławieństwo dla twych słów i o to, aby włożył w twoje usta i twoje serce dzieła Swego Ducha tak, aby Jego prawda nie była w tobie skrępowana przez względy czysto ludzkie”.

Klaudiusz Martin oddawał się zresztą kaznodziejstwu tylko przejściowo. Bóg go przeznaczył do innych zadań. W wieku lat trzydziestu został mianowany podprzeorem klasztoru Vêndo-

me, a w roku następnym przeorem w Meulan. W owym czasie benedyktyni z Saint Maur byli powołani do przeprowadzenia reform w większości dużych opactw Królestwa. Pomiędzy znakomitymi członkami tej gałęzi wielkiego zakonu, jak Mabillon, Martène i wielu innych, syn czcigodnej Marii od Wcielenia wyróżniał się przede wszystkim rzadkimi cnotami i umiejętnością rządzenia. Rady jego świętej Matki, która sama była wzorową przełożoną, niemało przyczyniły się do wyrobienia go pod tym względem. Kiedy rozpoczął swe urzędowanie, cierpienia duchowe, którym podlegał i trudności, wobec których stanął, prawie podcięły jego odwagę.

Maria pisała do syna: „Dlaczego, mój bardzo drogi synu, tak lękasz się cierpień, które cię dotyczą, skoro są one tylko dla twego dobra? Co do mnie, uważam, że jest to stan przejściowy i że to nowe zajęcie w połączeniu z nastawieniem do osób, którymi masz kierować przyczyniły się do tego. Musisz się z tym pogodzić, jeśli bowiem jesteś przeznaczony do rządzenia i powołany jednocześnie do życia prawdziwie duchowego, przechodzić będziesz różne próby”. I dodawała słusznie, „że chceć uwolnić się od ciężkich obowiązków, by obrać drogę, gdzie mniej cierpienia, to zmusić Boga do odejścia i pozostawienia nas własnemu rozumowi, co może być dla nas tylko zgubne”. Jedną z rzeczy, która najbardziej martwiła tego gorliwego zakonnika, był ciągły nadmiar spraw zewnętrznych wynikający z jego przełożenstwa. Możemy przypuszczać, że często rozmawiał on o tym ze swą matką, sądząc z licznych jej wypowiedzi na ten temat. Należałoby przytoczyć wszystkie, zadowolimy się jednak kilkoma wyjątkami.

„Nie mów mi już więcej, mój kochany synu, że wolisz samotność i spokojne życie nad urzędy i stanowiska; nie kochaj ich dlatego, że dają znaczenie, lecz dlatego, że są wyrazem woli Bożej. Czy jesteś wywyższony, czy poniżony, bylebyś tylko był pokorny, a będziesz szczęśliwy i zawsze zadowolony. Kiedy Bóg powołuje duszę do zadań zewnętrznych, daje jej podwójnego ducha, aby mogła działać na wewnątrz i na zewnątrz w Nim i dla Niego, dla Jego miłości, zarówno wtedy, gdy nas podniósł do przełożenstwa i musimy rozkazywać, jak i wtedy, gdy jesteśmy zależni i musimy słuchać”. Dalej wyznaje: „To ja mam powody do mówienia, że jestem bezgranicznie roztargniona, popełniam niezliczoną ilość niewierności względem Boga. Nie, nie uważaj swego życia za marne, ponieważ tkwisz w interesach. Święci często doświadczali podobnych kłopotów, a nawet o wiele bardziej przykrych. Kiedy będzie dla ciebie pożyteczne poczucie stałej obecności Boga, które wydaje ci się nie do pogodzenia z tyloma zajęciami, On ci je da”.

Boże łaski prowadziły Klaudiusza do życia w zjednoczeniu z Chrystusem. Maria od Wcielenia od dawna już doświadczająca tego błogosławionego stanu lubiła mu powtarzać, że wszystko, co jest wolą Bożą, może do tego prowadzić. Pytała go: „Nie wiem, czy nie zaznajesz takiej słodyczy w zjednoczeniu, że czynności zewnętrzne wydają się twemu umysłowi roztargnieniem? O ile są spełnione w Duchu Jezusa Chrystusa, są rodzajem modlitwy, ponieważ wszystko jest od Boga i na Nim się kończy. A więc nie martw się swymi urzędami i nie staraj się dociekać, co jest najdoskonalsze na tym stanowisku, na którym jesteś i na które nie sam siebie naznaczyłeś”. A innego dnia pisze: „Nie można zajmować się na tym świecie sprawami doczesnymi bez wkładania w nie starań zgodnych z rozumem i rozważą. Będąc jednocześnie zjednoczonym z Bogiem w najwyższej części duszy nie traci się Jego świętej obecności i nieustannego obcowania z Nim.

Poza tym nie dziw się, że spostrzegasz tyle niewdzięczności, niedociągnięć w swoich czynach. To stan zjednoczenia, do którego powołuje cię Duch Boży, otwiera ci oczy. Im więcej ten Duch da ci światła, tym więcej będziesz w sobie widzieć nieczystości. Będziesz próbował poprawić się z jednej, potem z innych i jeszcze innych, ale zauważysz, że są one coraz głębsze; z tego bowiem rodzaju niedoskonałościami jest inaczej niż z tymi, które się dawniej popełniało z powodu przywiązania lub przyzwyczajenia. Są one głębsze, trudniejsze do uchwycenia; Duch Boży, który nie może znieść nic nieczystego, nie daje żadnego wytchnienia duszy, dopóki nie uda się jej przejść z tego, co jest czyste do tego, co jest jeszcze bardziej czyste. Cierpieniami, które Bóg dopuszcza dla oczyszczenia są często kłopoty w interesach, w czym prawie ciągle tkwię; uważaj, znajdziesz to samo w sobie”.

Bardzo ceniony przez wszystkich przełożonych zakonu o. Klaudiusz Martin zarządzał lub przeprowadzał reformy kolejno w kilku klasztorach. W 1654 roku był przeorem klasztoru Blanc-Manteaux w Paryżu, a w cztery lata później w Compiègne. Klasztor w Compiègne był położony niedaleko zamku, gdzie często przebywał dwór królewski; przeor zmuszony był wtedy występować w obronie dóbr klasztornych przeciwko pewnym roszczeniom królowej Anny Austriackiej. Uczynił to, jak pisze o. Martène, ze zwykłą sobie stanowczością i łagodnością, ale w końcu musiał ustąpić, ponieważ o wiele bardziej pociągało go obcowanie z Bogiem, z daleka od świata, niż z potężną królową; gorąco pragnął w tamtym czasie być zwolnionym z ciężaru przełożenstwa.

Maria od Wcielenia pisała do syna: „Piszesz mi, że jeśli tylko wybudują oddzielne cele dla zakonników waszego zakonu chcących żyć w samotności, będziesz jednym z pierwszych, który się tam zamknie. Nie wierzę, aby Bóg tego od ciebie żądał. Musisz obecnie spuścić się na Jego wolę kosztem swego wypoczynku. Ponieważ Bóg sprawia, że wasze zgromadzenie tak się pomyślnie rozwija i należy przeprowadzić reformy w tylu klasztorach, potrzebuje ono wielu robotników; co więcej, Bóg obdarzył cię duchem zarządzania, a więc staraj się wykorzystać te zdolności tak długo, jak tego posłuszeństwo będzie od ciebie wymagać. Jednakże, mój drogi synu, bądź posłusznym przez pokorę, rozkazuj przez posłuszeństwo. W waszym dążeniu do odnowy spotykacie się z prześladowaniem. To może właśnie dzięki temu rozwijacie się tak pomyślnie. Niech spotykane krzyże nie odbierają ci odwagi; dopóki bowiem Bóg będzie miał sługi na tej ziemi, świat będzie zawsze przeciwko nim. Jesteśmy tutaj na końcu świata, a nie przestajemy się przekonywać o prawdziwości tego”.

Z Compiègne przeszedł o. Martin do Angers, gdzie po otrzymaniu zarządu nad opactwem Saint-Serge przeprowadził reformę opactwa Saint Aubin ku wielkiemu zadowoleniu sławnego biskupa Henryka Arnauld. Pozostawił w tym mieście wspaniałe wspomnienie swej mądrości i cnót, a opuścił je dopiero, gdy został przeniesiony na wyższe jeszcze stanowisko, jak to zobaczymy później. W Angeres zapadł na ciężką chorobę wywołaną, jak mówiono, umartwieniami, które dodawał do tych przepisanych przez regułę. „Odczuwam głęboko twe ułomności - pisała matka - i lękam się, żeby to wielkie osłabienie, które odczuwasz, nie powiększało się coraz bardziej, lecz niechaj Bóg będzie błogosławiony! Należysz do Niego więcej niż do mnie, a twoje życie i moje jest w Jego rękach”. A kiedy dowiedziała się o jego wyzdrowieniu, pisze: „Przyję-

łam ze szczególną radością twoje trzy listy utwierdzające mnie w mniemaniu, że Pan nasz przywróci ci zdrowie. Przyznaję, że bałam się, by ta choroba nie okazała się śmiertelna i aż zrobiłam ofiarę ogołacając serce z tego, co najbardziej na ziemi kocham, aby być posłuszną Boskiemu Majestatowi. No, ale wracasz do zdrowia; pracuj więc godnie nad Jego chwałą i życie oddaj służąc Mu”. Może najbardziej wzruszające w tych wypowiedziach matki i syna jest zaufanie, z jakim urszulanka odkryła swemu synowi, który stał się sługą Jezusa Chrystusa, tajemnicę swego życia wewnętrznego. Ona, tak powściągliwa w tym względzie, tak mało znana ludziom, którzy się z nią codziennie stykali, czuła, że powinna w tej kwestii ustąpić naleganiom syna, który ją o to błagał w imię ich wspólnej szczerości. Co prawda, miała to nakazane pod posłuszeństwem zakonnym. Widać z tego, co na ten temat mówi, że sama miłość macierzyńska nie wystarczała, by ją do tego nakłonić. Napisała więc nieco o łaskach, którymi Bóg opromienił całe jej życie; tę pracę właśnie skończyła, kiedy nastąpił pożar klasztoru. Przypominamy sobie, że w czasie niebezpieczeństwa jakiś głos wewnętrzny mówił Marii od Wcielenia, co należy ratować, a co pozostawić na pastwę ognia. Píše do syna: „W ten sposób pozostawiłam moje papiery i wszystko, co służyło do mego osobistego użytku. Papiery te były tymi, o które mnie prosiłeś. Gdyby nie ten wypadek, miałam zamiar przesłać je tobie pod warunkiem jednak, żebyś je spalił po zapoznaniu się z ich treścią. Przyszło mi na myśl, aby wyrzucić je przez okno, jednakże obawa, żeby nie wpadły w nieodpowiednie ręce, skłoniła mnie do dobrowolnego oddania ich na pastwę płomieni. Pozostawiłam je, chcąc być posłuszną Duchowi Bożemu, gdyż zapewniam cię, nie chciałabym za nic na świecie, aby je ktoś oglądał. Teraz, mój bardzo drogi synu, nie trzeba o tym myśleć, to już skończone”.

O. Klaudiusz Martin nie chciał o tym słyszeć; błagał swoją matkę, by na nowo wzięła się do tej pracy i w końcu otrzymał obietnicę, że się tym zajmie. Tłumaczyła mu: „Muszę ci powiedzieć, że w zimie pisuje się tu tylko przy ogniu i wobec wszystkich obecnych osób. Ponieważ nie jest wcale wskazane, aby ktokolwiek wiedział, co się w tych papierach mieści, pomimo chęci dogodzenia ci byłam zmuszona zabrać się do pisania dopiero w maju. Od tego czasu aż do sierpnia napisałam trzy zeszyty, każdy po 16 kartek *In quarto* w chwilach, które mogłam uszczknąć z moich codziennych zajęć. Ponieważ Bóg tego chce, jestem na ślepo Mu posłuszna; nie wiem, jakie są Jego zamiary, ale obowiązuje mnie ślub coraz większego doskonalenia się, więc nie mogę się przeciwstawiać temu, który Go zastępuje. Zresztą jest dużo rzeczy, a mogę powiedzieć, że prawie wszystkie są tego rodzaju, które opisać dokładnie byłoby dla mnie niemożliwe, ponieważ na drodze życia wewnętrznego, którą mnie Bóg prowadzi, są łaski tak intymne i wrażenia tak czysto duchowe, że ich się nie da wypowiedzieć. Częściowo z tego powodu z niechęcią poruszam sprawę, chociaż jest dla mnie rozkoszą nie móc znaleźć dna tej głębokiej otchłani i być doprowadzoną do niemożności ujęcia tego w słowa, gubiąc się w tym sama. Im bardziej się człowiek starzeje, tym bardziej staje się niezdolny do pisania o tym, gdyż życie duchowe upraszcza duszę w trawiącej ją miłości tak, że nie znajduje się słów, by to wypowiedzieć”. A po wytłumaczeniu mu, dlaczego zachowała milczenie o niektórych cierpieniach w życiu wewnętrznym, które znieść musiała w Kanadzie, dodaje: „Gdybym mogła powiedzieć ci szeptem do ucha, nie byłoby tajemnicy w moim sercu, której nie chciałabym ci powierzyć. Chętnie odbyłabym przed tobą spowiedź

ogólną i szczegółową, ponieważ Bóg nazaczył cię swym znamieniem świętości. Widzisz więc z tego, mój drogi i ukochany synu, że jestem zupełnie szczerą wobec ciebie i że tylko odległość jest przeszkodą w naszych duchowych zwierzeniach. Jakkolwiek jest, nie ciesz się z tego, że jak mówisz, masz matkę, która służy Bogu bez zastrzeżeń i wiernie, lecz po dziękczynieniu za tę niewypowiedzianą dobroć i za łaski, którymi mnie obsypuje, proś o przebaczenie moich grzechów”.

Właśnie w roku 1654 Maria od Wcielenia nadesłała synowi swoją relację duchową tak bardzo przepełnioną Duchem Bożym, na podstawie której o. Klaudiusz Martin opracował potem historię jej życia. Po skończeniu relacji napisała: „Nie mam czasu na czytanie jeszcze raz tego, co ci posyłam, a tym bardziej na zrobienie odpisu. Jeżeli jednak statek opóźni swój odjazd, będę musiała przez posłuszeństwo wobec o. Lallemant prosić o sporządzenie kopii moją drogą Matkę Saint-Athanase, która była moją przełożoną i do której jedynie mogę mieć takie zaufanie. Będzie to jednakże dla mnie wielkim umartwieniem, ale przejdę ponad tym, ponieważ gdyby te pisma zaginęły, mógłbyś domagać się ode mnie drugiej takiej pracy, której wykonania nie mogłabym się już może podjąć”.

Aby dobrze wykazać, do jakich nadprzyrodzonych wyżyn wzniosła się Maria od Wcielenia pisząc te stronicę, przytoczmy jej list, który był do nich dołączony:

„Mój bardzo drogi i ukochany synu, niech miłość i życie Jezusa będzie naszym życiem i naszą miłością teraz i w wieczności. Od kilku lat nalegasz ze świętą szczerością, abym opowiedziała ci wszystko o tym, jaką drogą podobało się Bogu prowadzić mnie, i abym odkryła łaski i względy, którymi mnie obdarzył od chwili, gdy raczył mnie powołać do swej świętej służby. Jeżeli musiałeś długo na to czekać, jeżeli nie od razu zaspokoiliam twe pragnienie, chociaż wypływało ono z prawdziwej pobożności, nie było to z braku uczucia z mej strony. Jednak nie mogąc przewyciężyć się, aby zwierzyć się z tej kwestii przed kimś innym niż przed Bogiem lub tym, który mi Go tutaj na ziemi zastępuje, zmuszona byłam zachować milczenie w stosunku do ciebie i umartwiać siebie samą nie spełniając twej prośby. To opóźnienie, które uważałeś za milczącą odmowę, nie zraziło cię i na nowo zacząłeś mnie błagać, przytaczając najbardziej ważne i wzruszające powody, czyniąc mi lekkie wymówki co do mego przywiązania do siebie, dowodząc mi, że opuściłam cię, gdy byłeś tak mały, iż zaledwie znałeś matkę i nie dość, że cię już opuściłam, to jeszcze wyjechałam z Francji i rozstaliśmy się na zawsze, że kiedy byłeś dzieckiem, nie mogłeś korzystać z mych pouczeń, a dzisiaj gdy jesteś starszy, nie powinnam odmawiać, lecz dać ci poznać światła, które Bóg mi udzielił, że ponieważ poświęciłeś się stanowi podobnemu do mojego, należymy i ty i ja do Boga, a więc nasze dobra duchowe powinny być wspólne. W stanie, w którym jesteś, nie mogę ci odmawiać. Byłoby to niesprawiedliwością i nieczułością, bo to może być dla ciebie pociechą i pomóc ci w osiągnięciu doskonałości, do której dążysz. Wreszcie, że gdybyś doznał ode mnie takiej pociechy, pomógłbyś mi błogosławić Tego, który udzielił mi tyle ze swych łask niebiańskich. Przyznaję, że ten ostatni argument wzruszył mnie i że od kiedy moje serce zostało poruszone, czułam się zmuszona do rozmawiania z tobą w listach na temat niektórych aspektów życia duchowego. Ale to nie było to, czego pragnąłeś; przypuszczałeś słusznie, że zachowałam w stosunku do ciebie pewną powściągliwość, co rzeczywiście miało

miejsce z powodów, które ci podam. Wreszcie, pod naciskiem tych przekonań i zwyciężana twymi prośbami powiedziałam o tym pragnieniu temu, który kieruje moją duszą, przedstawiając mu, że już nie jestem w stanie, jeśli chodzi o moje nastawienie, zachować wobec ciebie nadal takiej powściągliwości i jeżeli jest to jednak konieczne, musi mi dać taki rozkaz. On zaś nie tylko uważał za stosowne, żebym ci taką pociechę dała, ale wprost nakazał mi to uczynić. Dlatego po zwróceniu się o pomoc do Ducha Świętego i uzyskaniu błogosławieństwa mego kierownika zabrałam się do pisania. Nie przypuszczaj, że w tych zeszytach, które ci posyłam, znajdziesz wszystko w takim porządku, jak to ma miejsce w dobrze przemyślanych pracach. W chwili, gdy brałam pióro do ręki, jeszcze nic nie wiedziałam, co mam powiedzieć, ale w miarę pisania Duch łaski prowadzący mnie spowodował, że napisałam, co Mu się podobało, pomimo częstego przerywania pracy i wielkiego rozgardiaszu naszych spraw domowych. Jeśli czytając te słowa pytać się będziesz, co mogło skłonić dobroć Bożą do zsyłania mi tak wielkich łask i obdarzenia w taki sposób błogosławieństwem swej świętej słodyczy, odpowiem ci, że często się nad tym zastanawiam i po dłuższym namyśle nic w sobie nie widzę poza nędzą i niegodziwością. Jeżeli zaś jest jakaś przyczyna, to nie mogę podać innej, jak ty, mój bardzo drogi synu, którego opuściłam dla Jego miłości w czasie, gdy według ludzkiego rozumowania najwięcej mnie potrzebowałeś.

Przyjmij więc ten dar, który ci składam, o ile niepewne warunki na morzu pozwolą, by do ciebie dotarł. Kiedy będziesz czytać, co Bóg działał w mej duszy, zadrżnij za mnie, ponieważ złożył On swe skarby w naczyniu z gliny, najbardziej nietrwałym na świecie. To naczynie może upaść, a spadając stłuc się i zniszczyć bogactwa, które w nim są zawarte. Wreszcie, nie ma nic pewnego w tym życiu, chociaż byśmy mieli pozory wielkiej świętości. Jestem pewna tylko jednej rzeczy: że Bóg ze swej strony nigdy mnie nie zawiedzie, natomiast ja mogę zagubić siebie tyśiątkrotnie przez sprzeniewierzenie się Jemu. Z tego powodu proszę cię, byś zechciał dbać o moje zbawienie, pamiętając o mnie u stóp ołtarza oraz prosząc Boski Majestat o zesłanie mi raczej męki niż gdyby miał pozwolić, bym się kiedyś okazała niewierną, a przede wszystkim, aby zechciał mnie uczynić godną dźwigania ciężaru pokory. Modłę się o to samo dla ciebie korząc się u stóp Jezusa Najwyższego Mistrza i Pana, będąc zobowiązana wystarać się dla ciebie o trwanie w Jego łasce i miłości, o to samo dobro, co dla mnie, która jestem, mój bardzo drogi i kochany synu, twoją bardzo pokorną oddaną matką. Siostra Maria od Wcielenia, R.U.J. Québec, Nowa Francja, 9 sierpnia 1654 roku”.

Maria od Wcielenia, nie zadawałając się tymi godnymi podziwu radami, przesłała Klau-diuszowi Martin przez tę sama okazję jeszcze inny list, w którym błaga go o zachowanie wszelkich możliwych środków ostrożności, aby te papiery były tylko przez niego samego czytane. „Gdybyś zachorował i twojemu życiu groziłoby niebezpieczeństwo, każ je spalić lub raczej żebym była tego pewniejsza, prześlij je mojej siostrzenicy, która mi je dostarczy, jeśli cię przeżyję. Stawiam dużo warunków, ale mój bardzo drogi synu, jestem przewrażliwiona na tym punkcie, a ty jesteś na tyle uświadomiony, by rozumieć, że mam słuszość taką być”. Już przy innej okoliczności wyraźnie mu powiedziała, że pragnie, by nikt nigdy nie oglądał tego, co kiedyś napisała, gdyż, dodała, powtarzając za pewnym świętym: „Dopiero wtedy będziemy prawdziwymi sługami Jezusa Chrystusa, gdy świat nic z tego, co nasze, nie będzie widzieć”.

W jednej z pochwał o życiu Maria od Wcielenia zauważono, że nie mając do pozostawienia synowi nic poza dobrami duchowymi, ustanawia go głównym spadkobiercą swoich wyznań wewnętrznych, aby w nich uczestniczył jako jej syn, a osądził jako jej ojciec⁴⁶. Klaudiusz Martin ze swej strony stwierdza, że te wielkie łaski, którymi podobało się Bogu obdarzyć Marię od Wcielenia, miały na celu również jego oświecenie i zainspirowanie do pójścia w jej ślady. Jak „orla matka” – mówi on - zachęca swe orlęta do latania za nią. To ubogacenie Klaudiusza powiększało się stale w ciągu osiemnastu lat, które Maria jeszcze przeżyła, z powodu wielkiej liczby listów, w których nadal nie przestawała mu się zwierzać ze stanu swej duszy.

Pomiędzy rozmowami duchowymi, które jak gdyby tworzą tło tej korespondencji, znajdujemy tysiące szczegółów o rozwijającej się kolonii i o młodym Kościele w Kanadzie, który narodził się przy Marii od Wcielenia i z którym jej dusza się utożsała. Stąd istnieje cała seria listów, które według Klaudiusza Martin, można by nazywać historycznymi. Zauważyć można, że Maria przywiązywała wagę do tego rodzaju opowiadań tylko z punktu widzenia interesów religijnych Nowej Francji. Pisała swojemu drogiemu benedyktynowi: „Moje pragnienie, abyś się sam modlił i zachęcał innych do gorących modłów za ten kraj, skłania mnie do powiedzenia ci coś niecoś o łaskach, którymi Bóg nie przestaje obdarzać naszych nowych chrześcijan. Będzie to bezsprzecznie dla ciebie podniecią do wielbienia ich Dawcy i do proszenia Go o wytrwałość dla nich i o łaskę prawdziwego nawrócenia się”. A na zakończenie długiej relacji tego rodzaju pisze: „Ponieważ piszę ci przez wszystkie lata, mój bardzo drogi synu, o łaskach i błogosławieństwach, którymi Bóg obsypuje ten nowy Kościół, sprawiedliwą rzeczą jest, bym cię powiadomiła o zmarłtwieniach, które dopuszcza”. Okazuje się, że Maria od Wcielenia szybko orientująca się w sytuacji i posiadająca łatwość przekazu, pozostawiła cenne materiały do historii tego kraju. Ksiądz Ferland twierdzi, że jedynie dzięki Marii od Wcielenia, przebywającej w samym centrum misyjnym w Kanadzie, zachowały się jasne i dokładne szczegóły dotyczące niektórych wydarzeń w latach: 1654, 1655 i 1656. Jej listy wraz z kilkoma rękopisami są jedynymi dokumentami, które nam pozostały i mogą służyć do wprowadzenia pewnych uściśleń w tej części naszej historii.

ROZDZIAŁ XVII

Stosunki z Francją – Przyjaciele i rodzina

Poświęcając na korespondencję z synem najwięcej czasu, Maria od Wcielenia utrzymywała też stałe relacje z wieloma przyjaciółmi we Francji. Mając sobie powierzone na przemian jako przełożona lub jako administratorka sprawy duchowe i materialne wspólnoty musiała załatwiać liczne interesy, nie mówiąc już o listach do rodziny i przyjaciół, których jej wierne serce nie pozwoliło nigdy zaniedbywać. Pisała zresztą z taką łatwością, że często w krótkim czasie zdarzyło się jej wysłać około dwustu listów i to bez uszczerbku dla jej ćwiczeń zakonnych. Wydaje się, że Bóg specjalnie błogosławił wszystkiemu temu, co wychodziło spod jej pióra. Posia-

⁴⁶ Pochwała M. Loisel, doktora Sorbony, kanclerza uniwersytetu paryskiego.

dała ona cudowną umiejętność dostosowania języka do potrzeb i rodzaju osób i zawsze potrafiła do zagadnień czysto materialnych wtrącić słowo z wyżyn, na których jej dusza przebywała. Jeden z tych pobożnych korespondentów, przypuszczalnie pan Jan de Bernières mówił do Klaudiusza, że „kiedy czytał listy jego świętej matki, miał ją przed oczyma piszącą pełną zachwyty w Bogu”. Całkowity zbiór składa się z dwustu pięćdziesięciu jej listów, których kilka o wiele przekracza objętość zwykłego listu – jest to jednak o wiele za mało w stosunku do wielkiej liczby tych, co zaginęły. Szczególną stratą są te, które wymieniała przez dwadzieścia lat z tym samym panem de Bernières, sławnym dobrodziejem urszulanek z Québec i zarządzającym ich interesami we Francji. Ten wielki chrześcijanin, który posiadał w wysokim stopniu dary dar modlitwy myślniej, przyznawał, że „nigdy nie słyszał, aby ktokolwiek mówił bardziej duchowo na ten temat niż Maria od Wcielenia”. Obiecał on Klaudiuszowi Martin, że pozostawi mu w spadku drogocenną korespondencję. Jednak nagła jego śmierć temu przeszkodziła i pomimo starannych poszukiwań Klaudiusza nie odnalazła się żadna jej część.

Słyszeliśmy już Marię od Wcielenia rozmawiającą ze swoim synem. Takie same zalety serca i ducha charakteryzują jej listy do innych osób, chociaż żartuje z tego w innym miejscu, że „musi być dziką na swym końcu świata przez trzy czwarte roku”. Nie można być jednak bardziej francuską, jeśli chodzi o przywiązanie do ojczyzny i sposób wyrażania się. Najlepiej poznajemy ją z listów. Jawi się w nich jeszcze bardziej żywo i wszechstronnie niż w innych pismach.

Nieszczęścia, które sprowadziły na Królestwo Fronda⁴⁷ i jej następstwa, odbijały się boleśnie w duszy Marii od Wcielenia: „Niedawno pisałam o naszych biedach - pisała do jednej ze swych siostr w 1651 roku - ale kiedy dowiedziałam się o niepokojach i wojnach, które nękają Francję, poczułam w duszy ból, który przysłonił mi wszystkie krzyże przez nas tutaj noszone, tak że myślę tylko o tym, co się w waszych stronach dzieje. O mój Boże! Co za ohyda, co za grzechy! Jaka zniewaga względem Boga a niesprawiedliwość względem ludzi z powodu spraw bez znaczenia, znikomych i przemijających!”. Jako katoliczka i Francuska interesowała się losem nieszczęsnego Karola I Angielskiego, którego żoną była córka króla Francji i który w roku 1649 zginął zamordowany przez sekciarzy.

Na krótko przed tym faktem pisała: „Proszę Boga, aby nawrócił Anglię i pocieszył tego biednego króla, oraz całą jego rodzinę. Nieszczęścia ich, o których mi piszesz, są wielkie; może są one karą za ich sprzeniewierzenia”. Kiedy z zawarciem pokoju w Pirenejach⁴⁸ nastąpiła we Francji era wytchnienia, Maria od Wcielenia z radością powitała to wydarzenie, oczekując, że Nowa Francja skorzysta z niego nie mniej niż dawna.

Maria od Wcielenia pisała do przełożonej w Tours: „Wszystkie zgodnie uczestniczyliśmy w radości z powodu nowin o pokoju, ponieważ powinno nas obchodzić wspólne dobro. Mamy więc nadzieję, że nasza kolonia odczuje skutki wolności. Dzięki wzmożonej komunikacji mor-

⁴⁷ **Fronda**, bunt, ruch polityczno-społeczny rozwijający się we Francji w latach 1648-1653. Głosiła program reform politycznych i finansowych, domagała się zwiększenia roli mieszczaństwa w życiu politycznym Francji. Upadek Frondy wzmocnił absolutyzm we Francji i jej potęgę w Europie w XVII w.

⁴⁸ **Pokój pirenejski** został zawarty 7 listopada 1659 roku pomiędzy Hiszpanią a Francją i zakończył dwudziestoczteroletnie walki na pograniczu francusko-hispańskim związane z wojną trzydziestoletnią.

skiej zwiększy się handel i może ich królewskie Moście przysłać nam posiłki przeciw naszym nieprzyjaciołom”.

W jednym z listów od dawnej nowicjuszki Marii od Wcielenia, m. Angeliki de Vallière znajdujemy wzruszające wyznanie, które ma swą wymowę. Ta zakonnica, o której wyrażaliśmy się pochlebnie w innym miejscu, nie przestawała prosić Boga o nawrócenie swej bratanicy Ludwiki, znanej we Francji i w całej Europie, bardzo sławnej księżnej de Vallière. Przed Marią od Wcielenia wylewała gorycz przepelniającą jej serce na widok córki jej najstarszego brata, prawdziwego chrześcijanina, zaplątanej w złote sidła, a przez to trudne do zerwania. Maria od Wcielenia pisała do niej 19 sierpnia 1664 roku: „Wszyscy Matki bliscy bardzo mnie obchodzą i to, co tak Matkę martwi jest i moim zmartwieniem. Dowiedziałam się o tym w oddalonym kraju, gdzie, powiem Matce, postanowiłyśmy odprawić w ciągu dziesięciu tygodni uroczyste nabożeństwa i wielkie pokuty na cześć Męki naszego Pana, aby Jego dobroć zechciała uregulować tę sprawę i doprowadzić do zbawienia tę duszę. Niezależnie od tego wszystkiego ja wzięłam specjalnie blisko do serca tę sprawę. Niechaj to pocieszy moją kochaną Matkę, dźwigającą ten ciężki krzyż”. W taki sposób te dzielne urszulanki zagubione w odległym kraju, z drugiej strony oceanu, do swego życia już tak pełnego krzyży dodawały dobrowolne cierpienia i przyczyniły się do triumfu łaski w duszy przyszłej karmelitanki, s. Ludwiki od Miłosierdzia.

Trzeba jeszcze usłyszeć Marię od Wcielenia niepokojącą się i biadającą nad złem, które doktryny jansenistów wyrządziły Kościołowi we Francji. Rzecz dziwna, ale w czasie przybycia swego do Kanady utrzymywała ona serdeczne stosunki z opactwem Port-Royal, jak o tym świadczą dwa bardzo ciekawe listy ogłoszone po raz pierwszy w 1876 roku⁴⁹. Jeden z 4 września 1641 roku jest adresowany do samej m. Angelique Arnauld. Drugi z datą roku następnego do jej siostry m. Agnieszki, która pełniła wtedy tymczasowo funkcję ksieni. Należy przypuszczać, że Maria od Wcielenia, gdy przejeżdżała przez Paryż zetknęła się z tymi nieprzeciętnymi kobietami, których cnoty były znane wśród pobożnych ludzi. Zainteresowały się one fundacją urszulanek w Québec i w dowód życzliwości ofiarowały dary w naturze. „Nasze małe seminarium - pisze Maria od Wcielenia do m. Angliques - składa Waszej Wielebności cały milion podziękowań za jej szczodrość, zapewniając, że codziennie pamięta o niej będzie w swoich modlitwach. Moja wielce szanowna Matko, wyświadczyła nam Matka wielką przysługę tym, co jej się podobało nam dać, gdyż habity i płótna są tutaj rzadkością. W istocie ten kraj jest bardzo ubogi w dobra materialne, ale jest bogaty w dobra duchowe, jako że dobroć Boska hojnie je rozsiewa”.

W roku 1642 odpowiadając m. Agnes Maria, pisze: „Nie zasłużyłam na to, aby Wasza Wielebność raczyła wziąć pióro do ręki i zaszczyścić mnie tym listem. Jestem niezmiernie zażenowana, że tyle świętych dusz patrzy tak życzliwym okiem na biedne zakonnice z Kanady, które mają o sobie inne zupełnie wyobrażenie”. Następnie opisuje coś niecoś z prześladowań doświadczanych przez misjonarzy i dziękuje ksieni i córkom za nowe hojne dary.

W tym mniej więcej czasie urwały się stosunki urszulanek z Québec z klasztorem w Port-Royal. Nic w przyszłości nie mogło skłonić Marii od Wcielenia, której zdanie tak wysoko cenio-

⁴⁹ W nowym wydaniu listów Marii od Wcielenia, o. Richaudeau t. 2, Casternau, Tournai.

no, do pochwalenia w czymkolwiek jansenizmu. „Co zaś tyczy się doktryn, które narobiły dzisiaj tyle hałasu we Francji, pisała swemu synowi w roku 1648: „Ani myślę wtrącać się mówiąc o tym, ani tym bardziej pisać w jakikolwiek sposób o moich uczuciach lub czyichś innych odnośnie do sprawy pana Arnauld. Gdy pewna osoba z Francji bardzo w to zaangażowana napisała o tym do mnie, nie odpowiedziałam jej wcale, by nie dawać jej powodu do pisania do mnie w przyszłości. Proszę Boga parę razy dziennie, abyś wytrwał w drodze do prawdziwej świętości, szczególnie teraz, gdy za dużo plew miesza się z dobrym ziarnem i kiedy kłamstwo chce uchodzić za prawdę pod oszukańczymi pozorami. Niechaj Bóg ześle raczej tobie i mnie śmierć najbardziej męczeńską na świecie niż pozwoli, abyśmy kiedykolwiek uwikłali się w te sidła!”.

W kilka lat później, powracając do tego samego tematu, zdaje się wskazywać na *Provinciales*, które się niedawno ukazały. W październiku 1659 roku pisała: „Dowiedziałam się, mój bardzo drogi synu, że nowe i złe doktryny trwają nadal we Francji i są silniejsze niż kiedykolwiek; to mnie niezmiernie zasmuca. Doniesiono mi także, że jest w sprzedaży książka bardzo szkodliwa dla moralności, w której broni się doktryny autorów rozwiązłych. Mój Boże! Czy jest możliwe, aby znalazły się umysły tak nierozważne, które wyciągają na światło dzienne rzeczy nie tylko niepotrzebne, ale szkodliwe dla zbawienia? Proszę Boga, aby w to wglądnął i oczyścił swój Kościół, kalany w tak różnorodne sposoby. Gdybym była godną przejść przez ogień dla odpokutowania za te wszystkie zaburzenia, uczyniłabym to bardzo chętnie. Jeśli o nas chodzi, nie bierzemy w tym udziału; nienawidzimy tej złej moralności, jak również fałszywych dociekań; chcemy iść za tymi, które są najbardziej zgodne z Duchem Jezusa Chrystusa i Kościoła, Jego Oblubienicy”.

To przejście się poważnymi sprawami Francji nie przeszkodziło Marii od Wcielenia pamiętać o przyjaznych sercach, które tam pozostawiła. Z jej trzech sióstr, jedna – jak to już zostało powiedziane - umarła wkrótce po jej przyjeździe do Kanady, dwie inne nie przestawały korespondować ze swą drogą urszulanką. Czasami miała ona przyjemność przekazania im swych pozdrowień przez któregoś z misjonarzy z Québec. W 1642 roku pisała do nich: „Otrzymałam wasze dwa listy z rąk o. Le Jeun, który zapewnił mnie, iż złożył wam wizytę; wielką pociechą było otrzymać wiadomość od tych, których najbardziej kocham”. Dzieliła ona z nimi ich troski i radości, nakłaniając swymi radami do doskonałości życia chrześcijańskiego w świecie. Do jednej z nich, wdowy z kilkorgiem dzieci, pisze: „Bardzo byłam poruszona i głęboko odczułam twój ból z powodu straty mego kochanego brata. Umarł tu na ziemi dla ludzi, ale wierzę, że w obecności Boga żyje w niebie”. Potem po zapewnieniu o pamięci w modlitwie dodaje serdecznie: „Byłam nieco dotknięta, że mi nie napisałaś o stanie swoich interesów, gdyż musisz wiedzieć, że wszystko co ciebie dotyczy, dotyczy i mnie, chociaż jestem od ciebie daleko, nie przestaję polecać cię Bogu i całej twojej rodziny. Nie jestem w stanie wyrazić, jak bardzo cię kocham”. Gdy ta sama siostra błagała ją, by ją nauczyła jak należy uświęcić wdowieństwo, Maria od Wcielenia odpowiada, korzystając z własnego doświadczenia: „O Boże, moja bardzo droga siostro, nie wiem doprawdy, co mam powiedzieć, gdyż całe moje życie było jednym wielkim pasmem niedoskonałości i niewierności. Co się tyczy łaski, to ci wyznam, że Bóg uczynił mnie bogatą i dawał mi wszystko tak, że gdybym była mu zupełnie posłuszną, byłabym teraz wielką świętą. Ponieważ

jednak chcesz koniecznie wiedzieć zdradzę ci, że staram się oczyścić moje serce z miłości do rzeczy znikomych tego świata i nigdy nie myśleć o nich dobrowolnie... Czy ty nigdy nie oddajesz się modlitwie myślniej? To by ci bardzo pomogło nawet w kierowaniu rodziną i sprawami domowymi. Im bardziej się człowiek przybliży do Boga, tym jaśniejsze ma rozeznanie w sprawach doczesnych i dzięki temu załatwia je o wiele doskonalej. Nie wiem, co mnie dzisiaj tak poniosło, ale zupełnie bezwiednie się wywnętrzam i mówię o wszystkim, co mam w sercu”.

Zaufanie, jakim obdarzały ją siostry, często powodowało zwierzenia tego rodzaju: „Dziękuję swoją odpowiedź na dwie części, aby pomnożyć przyjemność rozmawiania z wami. Dlaczego, moja przyjaciółko od serca, nie miałabym ci życzyć wszelakiego dobra w łasce i chwale, skoro chcesz należeć ciałem i duchem do godnego najwyższej adoracji Słowa Wcielonego! Moja droga siostrzo, czy powiedziałam kiedyś jakieś słowo, które skłoniło cię do zrobienia prawdziwego i czystego aktu miłości w stosunku do Boskiego Zbawiciela? Byłoby to dla mnie bardzo wielką radością, gdybym mogła podsunąć ci myśl o czymś, co by się obróciło na Jego chwałę. Niech więc tak się stanie, żebyś czerpała pokarm duchowy z Jego świętych słów. Duch Święty w nich przebywa i to właśnie rozplócenia serca i ogień trawi je stopniowo, dopóki nie staną się godne zamieszkiwać w świętym i bezpiecznym miejscu, o którym mi mówisz, czyli w Najświętszym Sercu Jezusa. Kiedy się już doszło do tego przebywania, serce się tym syci i znajduje upodobanie w Nim, który mieszka między liliami. Wtedy rozwija się życiodajna więź duszy z Jezusem, dająca nowe życie, które niszczy życie zmysłowe, związane z przywiązaniem do rzeczy ziemskich. Boski Nauczyciel nie opuszcza nigdy tych, którzy uważają Go za przyjaciela i wynoszą ponad wszystkie rzeczy ziemskie i siebie samych”.

Matka często powracała do ulubionego tematu a mianowicie do zjednoczenia z Bogiem przy jednoczesnym prowadzeniu koniecznych spraw ziemskich: „Proszę Go, aby was wszystkich uczynił świętymi - mówiła do swych sióstr i ich dzieci – do tego musimy dążyć i pracować nad tym bez przerwy, ponieważ to jedynie jest dla nas konieczne. Te starania nie przeszkadzają jednak działalności, do której was Bóg powołał na tym świecie, byleby ta działalność skierowana była do tego ostatecznego celu. Do pewnej pobożnej damy pisała: „Proszę myśleć o drobnych sprawach domowych, ale bez nadmiernej gorliwości. Proszę sobie wyobrazić, że Jezus Panią widzi i że On zupełnie inaczej postępował w swym wędrownym życiu, niż Pani to czyni. Proszę więc mówić Mu z miłością – »Mój drogi Jezu, robię to dla Twojej miłości. Jakże daleka jestem od Twojej czystości. Jesteś moim wzorem, jednak nie naśladowuję Cię w doskonałości, której ode mnie żądasz. Moja wina! O mój Jezu«. Innym razem proszę mu jeszcze powiedzieć: »Mój dobry Jezu, przez Twe święte czyny uświęć moje, pragnę niezłomnie, by one do Ciebie należały i były dla Ciebie«”.

Zwracając się do wszystkich swoich siostrzeńców, Maria od Wcielenia pisała: „Moje drogie dzieci, obejmuję was wszystkie w Sercu naszego łaskawego Jezusa, w którym często się z wami spotykam. Gdybyście mogli widzieć moje serce, ono by wam powiedziało, że kocham was najbardziej szczerą miłością; ale kocham was dla nieba, gdzie mam nadzieję kiedyś was ujrzeć. Piszę do wszystkich razem, nie mogąc uczynić tego do każdego z osobna, gdyż jestem tak utru-

dzona swymi zajęciami”. A nieco później donosi: „Odebrałam wszystkie wasze listy z wielką radością, że mam o was wiadomości. Piszcie mi nadal, nie możecie mnie bardziej zobowiązać, niż mówiąc mi o waszych upodobaniach i projektach. Wasze sprawy są moimi sprawami. Bóg wam będzie błogosławił, jeżeli nadal będziecie Mu służyć, tak jak mówicie, że to robicie. Codziennie ofiarowuję was Bogu, abyście byli poświęceni Boskiemu Majestatowi. Czyńcie to samo w stosunku do mnie, moje bardzo drogie dzieci, które kocham i obejmuję z najtkliwszym przywiązaniem”. Te dzieci, jak również ich rodzice wyobrażali sobie cuda dotyczące tego wszystkiego, czego dostarczała Kanada, jeszcze mało uprawiana w owym czasie: „Prosisz mnie o nasiona i cebulki kwiatowe z tego kraju - odpowiadała w 1650 roku Maria od Wcielenia jednej ze swych siostr. My same sprowadzamy z Francji nasiona do naszego ogrodu, gdyż nie ma tu ani rzadkich ani pięknych kwiatów. Wszystko tu dzikie, kwiaty tak samo jak ludzie”.

Największą jednak pieczołowitością iście matczyną otaczała Maria od Wcielenia swą siostrzenicę, która wstąpiła do urszulanek w Tours. Znała do głębi tę młodą dziewczynę, dorastającą na jej oczach. „Będzie ją to kosztowało dużo trudu - pisała do jednego ze swych kuzynów - stać się dobrą zakonnicą, bo zawsze była przyzwyczajona czynić swoją wolę... A jednak z wielu powodów powinna należeć do Boga. Przybyła na ten świat dopiero na skutek wielu ślubów, modlitw i dobrych uczynków spełnianych, aby ją wyprosić. Była ofiarowana Matce Bożej, która po wydobyciu jej z omamień świata prawdopodobnie chce ją dać jako oblubienicę swemu Synowi”. Maria Buisson szczęśliwie doszła do profesji. Długie listy jej ciotki przepełnione poważnymi radami zachęcały ją do utrzymywania się na drodze doskonałości. Jednego razu ciocia przestrzegła ją przed „obżarstwem duchowym” dusz debiutujących, które gdy są przepełnione niebieskimi pociechami, delektują się nimi, nie troszcząc się o praktykowanie cnót. Innym razem pouczała ją z rozbrajającą prostotą, w jaki sposób można się poprawić z niektórych wad zewnętrznych.

„W 1646 roku Maria od Wcielenia pisała od młodej urszulanki: „Dwie niedoskonałości, o których mi piszesz, że są twą słabą stroną, nie będą nigdy doskonale skorygowane, jak tylko w miarę rozwoju twego życia duchowego. Jedna i druga mają fundament w twojej naturze i dlatego będzie trudno, wymagają więcej cnoty i umartwienia. Powiedziano ci prawdę, że masz w tym coś ze mnie, ponieważ w swej młodości byłam osobą, która najbardziej na świecie chciała się innym podobać i do tej pory jeszcze mam w sobie tę żywotność natury. To wszystko może obrócić się w dobro, jeśli przyzwyczaisz się do życia z większą świadomością. Czuwaj więc nad sobą: jeśli chcesz się podobać, niech to będzie pragnienie, by podobać się Jezusowi, a jeśli chodzi o stworzenia, nie staraj się im przypodobać jak tylko w porządku miłości. Trzeba przejść ponad pragnieniem ludzkiego szacunku. Mówisz mi, że miłość do tego próżnego szacunku jest w tobie żywotna. Niestety moja droga córko, dobra refleksja nad sobą przekona cię natychmiast, że szacunek, jaki się ma do siebie, i pragnienie, by być szanowanym przez innych, jest największą niedorzecznością świata. Nędze, które każda doświadcza w sobie, są tego przekonywującym dowodem”. „Widzisz, moja droga córko, chodzi o to, byś praktykowała prawdziwą i solidną cnotę, bo wtedy błogosławieństwa nieba zejść na ciebie w obfitości. Chodzi o to, byś stała się świętą”.

Młoda siostra często mówiła swojej cioci o swym pragnieniu wyjazdu do Québec, ale ta nie śpieszyła się z przychylną odpowiedzią. „Boję się - pisała do syna - że ten zamiar wynika z przywiązania czysto ziemskiego, gdyż kocha mnie jak matkę. Jednak bardzo by się zawiodła, gdyby była tu ze mną, umartwiałabym ją więcej niż każdą inną, chociaż nie mam skłonności do umartwiania”.

W 1646 r. napisała do siostrzenicy: „Rób we Francji to, co robiłabyś tutaj. Jeśli jesteś w klasie, czyn wśród dziewcząt francuskich to, co robiłabyś wśród Indianek ofiarowując Bogu twe intencje. Nie martw się o twe powołanie do Kanady. Jeśli jest z Boga, udoskonali się i Jego dobroć je poprowadzi i zrealizuje w czasie, kiedy On zechce, dla swej chwały, dla twego dobra i na naszą pociechę”.

W kilka lat później (1652) Maria od Wcielenia pisała do swego syna: „Bardzo pragnęłam, by przysłano mi moją siostrzenicę Marię od Wcielenia, o której pisano mi wiele razy, że jest mądra i pełna cnót i że ma wielkie powołanie. Nawet opisałam jej o naszej pracy i o tym kraju. Ale boję się, że nie będzie zadowolona i że narażę ją na ewentualny powrót. To mnie powstrzymało. Oto, co myślę o mojej siostrzenicy, chociaż chciałabym ją usatysfakcjonować. Miałabym też pociechę, której mogłam się spodziewać, że będąc oddaloną od ciebie i nie mogąc Cię widzieć, ona byłaby dla mnie jakby drugim tobą, ponieważ jesteście obydwie osobami, dla których mój duch najczęściej podróżuje do Francji”.

Projekt ten nie został nigdy skuteczny, bądź z powodu choroby oczu, która dotknęła młodą urszulankę, bądź z powodu braku dostatecznej pewności co do prawdziwości jej powołania do Kanady.

Klasztor w Tours, w którym Maria od Wcielenia z daleka śledziła życie swej siostrzenicy, zajmował do końca ważne miejsce w jej uczuciach. „Nic z nowin mnie bardziej nie porusza - pisała do towarzyszek, które tam pozostawiła - jak wiadomości o moich bardzo drogich Matkach z Tours, z którymi obcuje duchowo; myśleć i mówić o nich jest dla mnie zawsze rzeczą słodką i przyjemną”. W stosunku do nich miała te same serdecznie niepokojące co do syna. „Dwa okręty stojące w porcie od dwóch miesięcy - pisała w sierpniu 1662 roku - nie przywiozły nam żadnego listu od ciebie, ani od naszych Matek z Tours. Dowiedziałyśmy się tylko, że klęska głodu i choroby śmiertelne rozpowszechnione w całej Francji, poczyniły szczególne spustoszenia na rzece Loarze. Pogłoski rozsiewane przez pasażerów dały mi podstawę do myślenia, że ty i nasze Matki ulegliście tak powszechnej śmiertelności, ale wreszcie twoje listy zdjęły mi ten ciężar z serca i dowiedziałam się z nich, że żyjesz i one także”. Wszystko, co pochodziło z tej kolebki jej życia zakonnego, było dla niej nad wyraz cenne, jak to pokazuje następujący fragment listu z 27 września 1644 roku, który odzwierciedla znany nam już jej żywy temperament: „Jestem nadzwyczaj wdzięczna Jego Ekscelencji, waszemu biskupowi za wydrukowanie i zaakceptowanie waszego zwyczajnika. Kiedy się o tym dowiedziałam, z niecierpliwością oczekiwałam chwili zobaczenia go i gdy przy otwieraniu pak książka ta wpadła mi w ręce, musiałam zaspokoić swoją ciekawość, nie odkładając tego na później. To, co tam wyczytałam, wydaje mi się doskonałe i bardzo mądre.

Ale nie zadawałam się tym pierwszym czytaniem. W wolnych chwilach przestudiuję ją dokładnie, by móc powiedzieć wam, co o niej myślę i podziękować Jego Ekscelencji za ten wielki dar dla was”.

Prowadząc korespondencję ze swą kochaną m. Franciszką od św. Bernarda, po kilku latach od jej wyjazdu do Kanady wyznaje: „Moje serce odczuwa stale tę samą czułość do tej, która pozostanie na zawsze moją prawdziwą Matką. Tak czuję stale Matki obecność, że wydaje mi się, że jestem jeszcze w Tours, gdzie uczucie Matki dawało mi tyle zadowolenia i Matka - jak byłam do tego przyzwyczajona - niespodzianie zachodzi do mojej maleńkiej celi. Matka mówi, że jej wizyty w Québec bardzo są częste, moje w Tours również. Sprawiają to nasze dobre anioły, rozmawiamy więc za ich pośrednictwem, a raczej za pośrednictwem naszego najłaskawszego Jezusa, który wie, że cała nasza miłość jest w Nim, od Niego i przez Niego”. Następnie pozwalając jej czytać w swej duszy, jak za pierwszych dni życia zakonnego, mówi dalej: „Moja więcej niż dobra Matko, mój Boski Mistrz obdarza mnie taką miłością, że nie mogę się powstrzymać, aby tego nie powiedzieć na samym wstępie. Jego miłość prowadzi mnie drogami podobnymi do tych, które Matka widziała i знаła, gdyż moje serce nie mogło nic przed nią zataić. Dzisiaj zrozumiałam o wiele lepiej niż w tamtych czasach, dlaczego Jezus prowadził mnie tyloma różnymi drogami...”⁵⁰.

Kiedy kolonii zagrażały niebezpieczeństwa ze strony okrutnych Irokezów, Maria od Wcielenia starała się przez pisanie długich i uspakajających listów do swej dawnej przełożonej, zmniejszyć jej niepokój.

„Uważałam za swą powinność - mówi delikatnie w jednym ze swych listów - szczerze powiedzieć wszystko, co mi się tu zdarzyło w związku z Irokezami, aby uprzedzić to, co inni mogliby napisać i co wzniesiłoby obawy Matki ze względu na jej czułe serce w stosunku do jej córek”.

Wiele pięknych myśli znalazłoby się w tej korespondencji z Tours, owianej ożywym duchem świętej przyjaźni, uświęconej przez wiele lat życia zakonnego. Wspomnijmy tutaj m. Urszulę de Joüge, tak blisko złączoną z Marią od Wcielenia, która chociaż nie była fizycznie w Kanadzie, była Kanadyjką sercem. Kilka razy powoływana była do sprawowania urzędów w klasztorze w Tours „Nie byłam wcale zaskoczona, moja przewielebna Matko - pisała jej przyjaciółka po jednej z takich elekcji - spodziewałam się takiej wiadomości i złożyłam moje pokorne dziękczynienie Temu, który już Matkę wybrał w niebie zanim te, co dały na nią głosy, poszły za Jego Boskim nakazem”. Dziękując jej za hojne dary relacjonuje: „Materiały zostały zużyte na zrobienie sukien dla naszych seminarzystek, które były z nich bardzo dumne, gdyż nie były przyzwyczajone do takich strojów. Zostały zaproszone na wspólną biesiadę, na której byli nasi Wielbni Ojcowie i którzy naszą hojność wykorzystali w celu okazania im, jak wielkim uczuciem otaczają je we Francji. Jest rzeczą pewną, że wszystko w tym domu do was należy; nasze serca, modlitwy i życzenia należą do Matki, nie wyłączając naszych małych prac. Piszę do Matki nocą, zamknięta w naszym pokoju jak w kufrze, z powodu zimna. To zimno jednak nie może zmienić moich uczuć w stosunku do Matki, gdyż moje serce jest zawsze przepełnione miłością do serca

⁵⁰ List do m. Franciszki od św. Bernarda z 27 września 1644 roku.

Matki, o którym wiem, że Jezus w nim mieszka. Żegnaj moja droga Matko; nie jestem oddalona tyle duchem, co ciałem. Obie kochamy najwyższą Istotę, w której obie żyjemy i w której także Matkę widzę i ściskam, przez zjednoczenie, które nas w Nim łączy”.

Maria od Wcielenia podtrzymywała na duchu w trudnościach swą dawną gorliwość nowicjuszkę, Marię od Narodzenia, która gdy została przełożoną, uważana była przez niektóre za surową i wymagającą. „Czyż naprawdę jest Matka za surowa? Śmieję się mówiąc to, bo nie mogę sobie tego wyobrazić. Widocznie biorą dokładność za surowość, chociaż jedno różni się tak bardzo od drugiego. Ale wydaje mi się prawdą, że umysły terazniejsze nie lubią tego, co je krępuje, ani tego, co może naprostować ich spaczony skłonności. Nie, moja tak mi bliska Matko, proszę nie mieć w duszy ani skruchy, ani bólu z tego powodu. Natura się starzeje i jest u swego schyłku; to dlatego podłość ciał i umysłów chce zapanować i z trudnością daje się zniszczyć. Jest rzeczą godną politowania, że nauki Jezusa Chrystusa obracają się w niwecz w duszach, które wybrał i powołał. Nie płaczmy nad tym nieszczęściem i starajmy się je zatrzymać, choć przez nasze pragnienia, jeśli tego nie możemy uczynić naszymi słowami, ani naszym przykładem”⁵¹.

Rok później widząc, że choroba dołączyła się do jej innych cierpień, pisze do tej samej zakonniczki: „Odwagi, moja miła Matko, ponieważ poza cierpieniami cielesnymi dotykają Matkę liczne duchowe, do których przyczyniają się bliźni. O jakie to zachęcające, ile dobrego Pan Bóg Matce zsyła. Ale jeżeli sam Bóg się w to wmiesza i Jego ręka Matkę dotknie, to będzie zupełnie co innego. Droga Matko, jeżeli On poprowadzi tą drogą, trzeba wtedy wzywać Jego Imienia, bo tylko On może temu zaradzić. Błogosławmy naszego Przewodnika, bardzo łaskawego Oblubieńca, który nas chce mieć zawsze przed sobą, abyśmy dźwigali Jego Krzyż. Jeżeli w przyszłym roku będziemy jeszcze żyli, proszę przysłać mi wiadomości o sobie, a ja uczynię to również. Jest to jedyna możliwość, w której mogę się całym sercem wypowiedzieć i zapewnić, że dusza moja pozostanie zawsze złączona z duszą Matki”.

Pomińmy milczeniem inne klasztory św. Urszuli, z którymi Maria od Wcielenia korespondowała tak we Francji, jak i w Holandii. Z przyjemnością widzi się, czytając te stronicę, jak załatwiała wszystkie sprawy w świetle Bożym i w myśl miłości Serca Jezusowego.

Wydaje się, że klasztor wizytek w Tours był dla niej specjalnie drogi; pozostawiła w nim kilka przyjaciółek, pomiędzy innymi s. Gillette Roland, której imię często wymyka się spod jej pióra. „W moim sercu nadal gości miłość ofiarowana s. Gillette, o której lubimy mówić jako o osobie, której pamięć jest dla nas zawsze droga”. Innego dnia rozpoczynając list długim pozdrowieniem w języku ku Algonkinów „ni Misena eriouc onasa itd” dodaje przyjaźnie: „To mi się niechcący wyrwało, znaczy to w naszym języku, ‘moja siostrze, chociaż jesteś bardzo daleko, jednakże zawsze cię kocham i nawet więcej niż gdybym cię widywała. Ściskam cię mocno i dlatego, że kochasz Boga, kocham cię’”. Musiałam wstawić tę frazę do mojej kochanej s. Gillette i powiedzieć jej w przybliżeniu to, co zwykle mówi się naszym drogim neofitkom”⁵². Dowiedziawszy się od tejże samej zakonniczki o odejściu do nieba założycielki wizytek, m. Joanny de Chantal

⁵¹ List z 9 września 1667.

⁵² List z 4 września 1640.

(1641), odpisuje: „Świątobliwa śmierć m. Joanny de Chantal jest owocem jej świętego życia; niechaj Bóg będzie zawsze błogosławiony w swych świętych”.

Z listów Marii od Wcielenia poznajemy sekret jej uniwersalnej miłości bliźniego, obejmującej wszystkie dusze, które może osiągnąć: „Pozdrawiam Panią w łaskawym Sercu naszego dobrego Jezusa” - pisała pewnej strapionej matce. Dowiedziałam się, moja bardzo droga siostrze, że to cierpienie było dla Pani wonną mirrą i chętnie nosiłaś go w swym sercu. Dlaczego Pani ukrywa przede mną te krzyże, które podoba się Bogu jej zsyłać? Czy przypuszcza Pani, że nie mam dość odwagi lub chęci, aby pomóc je dźwigać?”. A potem poruszywszy temat, który był powodem smutku tej Pani, mianowicie lekkie prowadzenie się jej córki, pisze dalej: „Zapewniam Panią, że wszystko, co ją dotyka, silnie odczuwam i dlatego ta wiadomość jest dla mnie bardziej bolesna niż wszystkie inne, które od dłuższego czasu miałam. Straty doczesne mało mnie obchodzą, gdyż Bóg może podnieść każdą istotę, ale jest inaczej, gdy dusza mu się sprzeciwia i wiąże Jego ręce przez swój bunt. Trzeba się modlić bez zwłoki i ufać Jego wielkiemu miłosierdziu. Kochajmy naszego Boskiego Oblubieńca, podczas gdy inni go nie kochają. Ukryjmy się w Nim, tak zranionym przez ludzkie grzechy”.

Maria od Wcielenia umiała w sposób najbardziej delikatny łączyć szacunek i zaufanie w stosunkach ze szlachetnymi dobrodziejkami jej seminarium. Panna de Chevreuse należała do grona tych osób: „Pani się skarży, że o nic nie proszę - pisze pewnego dnia na jej szlachetne propozycje - ale Pani świadczy nam tyle dobra, że nie ośmielałabym się prosić o więcej z obawy nadużycia Jej dobroci, z której bez przerwy korzystamy. Poza tym potrzebujemy wszystkiego, jak Pani widzi, a przede wszystkim środków na budowę. To właśnie powstrzymywało mnie w zeszłym roku od proszenia Panią o materiały, w czym uchybiłam, przywiązaniu Pani do naszych seminarzystek. To Opatrzność natchnęła Panią, by nakazem zmusić mnie do powiedzenia, co by się nam najbardziej przydało. A więc pozwalam sobie śmiało odpowiedzieć, że materiał czerwony i szary, mocny, oraz zwykłe płótna, które są tak rzadkie, a jednak tak konieczne w tym kraju. Zwierzam się w ten sposób tylko dlatego, by być pani posłuszną. Jeżeli jednak nasz Boski Nauczyciel odwróci Pani serce w inną stronę, proszę robić to wszystko, co On powie, gdyż wszystko to będę kochać”.

Na zakończenie musimy powiedzieć, że korespondencja Marii od Wcielenia, rozpatrywana jako całość, nosi wyraźnie piętno XVII wieku, kiedy to myślano i wyrażano się tak pięknie. Jest ona wspaniałym dokumentem pomiędzy dziełami religijnymi, ale może literackimi z pierwszej połowy tej wielkiej epoki.

ROZDZIAŁ XVIII

Relacje Marii od Wcielenia z kolonią (1654 – 1663)

Wydawało się w roku 1654, że nastał czas wychnienia dla kolonii, która podpisała pokój z Irokezami. Również urszulanki cieszyły się pokojem w nowo odbudowanym klasztorze. „Jeżeli pokój będzie trwały - pisała w tym czasie Maria od Wcielenia - kraj ten będzie bardzo dobry i odpowiedni dla osadnictwa Francuzów, którzy bardzo się mnożą i dobrze sobie radzą z uprawą roli. Ziemia staje się lepsza, wycina się te ogromne lasy, które czyniły ją taką zimną. Po trzech lub czterech latach uprawiania jest tak samo dobra, a nawet miejscami lepsza niż we Francji. Hoduje się więc bydło, aby żyć i mieć nabiał. Pokój sprawił, że zwiększył się handel, szczególnie skórkami bobrów, których jest w tym roku wielka ilość, ponieważ można było bez obawy wszędzie polować. Ale praca ewangelizacyjna jest radością tych, którzy przebyli morza, aby zdobyć dusze dla Jezusa Chrystusa. Można się spodziewać obfitego żniwa wraz z otwarciem kantonów Irokeskich”.



Moim wielkim krzyżem - zwierzała się m. Franciszce od św. Bernarda - była totalna zagłada Kościoła i tylu dusz, które wskutek jego zniszczenia pozostawałyby w zaślepieniu. Z tego powodu wycierpiałam wewnętrzne męczeństwo, gdyż oddałam siebie Bogu jako ofiarę, abym przeszła przez te cierpienia, których dopuściłaby na mnie Jego sprawiedliwości dla prześlania Jego gniewu”.

Takie nadzieje żywiła Maria od Wcielenia. Podczas ostatnich klęsk przeżywała ona męki. „Moim wielkim krzyżem - zwierzała się m. Franciszce od św. Bernarda - była totalna zagłada Kościoła i tylu dusz, które wskutek jego zniszczenia pozostawałyby w zaślepieniu. Z tego powodu wycierpiałam wewnętrzne męczeństwo, gdyż oddałam siebie Bogu jako ofiarę, abym przeszła przez te cierpienia, których dopuściłaby na mnie Jego sprawiedliwości dla prześlania Jego gniewu”.

Bóg pozwolił, by Maria od Wcielenia i jej siostry miały pociechę oglądania własnymi oczami wpływu chrześcijaństwa na dzikich Irokezów. Ci ostatni słyszeli od hurońskich jeńców opowiadania o cudach miłosierdzia dokonywanych w Québec przez dziewice: siostry szpitalne i urszulanki. Wtedy gorąco zapragnęli przekonać się naocznie o prawdziwości tych faktów. Ich posłańcy przybyli kilkakrotnie do Québec i nie omieszkali odwiedzić jednych i drugich. „Wodzowie irokescy przyszli nas zobaczyć, pisała Maria w 1654 roku. Podziwiali nasze indiańskie seminarzystki, wychowane na sposób francuski. Jednak co ich jeszcze bardziej poruszyło, to fakt, że chociaż te dziewczynki są dla nas obce, bardzo je szanujemy kochając i pieszcząc tak, jak kochają i pieszczą matki swe dzieci. Ponieważ dzicy lubią śpiew, zachwyceni byli słysząc je śpiewające chwałę Bożą w trzech różnych językach i na znak przyjaznych uczuć odwzajemnili się śpiewem na swój sposób, który nie miał jednakże prawidłowego rytmu”.

Według traktatu pokojowego Irokezi powinni byli oddać urszulankom pięć córek żon wodzów, aby były wychowane na modłę francuską. „Te córki wodzów - wyjaśnia Maria od Wcielenia - są kobietami dostojnych rodów, które biorą udział w naradach Dzikich i mają decydujący głos na równi z mężczyznami. To one wydelegowały pierwszych posłów do pertraktacji o pokój. Ach, jakże chciałabym już ujrzeć wśród naszych seminarzystek grupę dziewcząt irokeskich. Jak bardzo będziemy je kochać dla miłości Tego, który przelał swą Krew zarówno za nich, jak i za nas. Jest poza tym ważne, abyśmy je miały jako zakładniczki, z powodu Wielebnych Ojców, którzy się udają do ich kraju”. Ta klauzula traktatu nie mogła być jednakże natychmiast wykonana.

W następnym roku wielu innych wodzów przybyło do klasztoru; w ich obecności odbył się rodzaj egzaminu dla młodych dziewcząt hurońskich i algonkińskich. Maria opowiada: „Podczas swego pobytu w Québec odwiedzali nas oni kilka razy jak również i pewna kobieta – wódz, wraz z całym swym towarzystwem. Gościłyśmy ich dwa razy według ich zwyczaju, gdyż w ten sposób najlepiej dają się przyciągnąć. Ze specjalną przyjemnością oglądali i słuchali naszych dziewcząt, między innymi małą, dziesięcioletnią Huronkę, którą wychowujemy w duchu francuskim. Umie ona czytać, pisać i śpiewać po łacinie, francusku i hurońsku. Po przeegzaminowaniu swych koleżanek z religii, miała ona potem krótką przemowę do wodza, wyrażającą radość z powodu pokoju. Prosiła go także o przysłanie dziewcząt irokeskich, obiecując uważać je za swoje siostry. On zgodził się na jej propozycję, przyjął upominek, który mu dała i szczerze zachwycił się rozumem i zręcznością tej dziewczynki. Ta ostatnia obdarowała też żonę wodza, która obiecała przywieść jej swoją córkę i zasypała dziewczynkę pieszczotami, co jest rzeczą nadzwyczajną u dzikich”.

W *Relacjach* jezuitów znajdujemy jeszcze inne szczegóły dotyczące tego wydarzenia: „Ta kobieta chciała zobaczyć młodziutką Marię, bez przegrody i kraty pomiędzy nimi. Wyprawiono więc dziewczynkę poza klauzurę; wtedy kobieta wzięła ją i ucałowała, nazwała swoją córką i skłoniła, by jadła z nią z jednego talerza. Dziecko, któremu nie brak ani sprytu, ani zręczności, poprosiło o pozwolenie zrobienia prezentu swojej matce; gdy dostała takowe, poszła po piękny nóż, który ofiarowała Wielkiemu Wodzowi Irokezów. Jego żonę obdarowała złożonym puzderkiem przybranym jedwabną wstążką”.

W kilka dni później o. Chaumont ochrzcił w kaplicy urszulanek dwóch z tych Indian, którzy byli pierwszymi nawróconymi ze szczepów irokeskich. „Osądźcie więc sami - wykrzyknęła Maria od Wcielenia - czyśmy nie miały powodu śpiewać całym sercem Te Deum podczas tej ceremonii! Uczyniłyśmy to ze łzami w oczach, a radością w sercu, gdyż ci którzy niedawno niszczyli chrześcijaństwo, teraz przyjmują je z taką pobożnością i stają się dziećmi Bożymi”.

Ten sam ojciec, powracając z Indianami do kraju pięciu kantonów, napisał do przełożonej urszulanek ciekawy list, również przytoczony w *Relacjach*: „Żona naszego wodza w drodze słucha moich nauk wraz z sześcioma innymi mężczyznami i kobietami. ... Prosiła, bym do Matki napisał, że dotrzyma słowa i przyśle, nie swoją córkę, która jest za mała, lecz jedną ze swych siostr w wieku Marii, waszej małej Huronki. Ta żona wodza miała krewną w Montrealu. Jak tylko tam przybyliśmy, zaraz poszła się z nią zobaczyć i przyprowadziła do nas, aby ją nauczyć mo-

dlitwy. W mojej obecności objaśniła jej tajemnice wiary, o których się od nas dowiedziała. Dałby Bóg, iżby to samo uczyniła w swoim kraju i zdobyła dla Ewangelii wszystkich pozostałych krewnych! Ona jeszcze prosi, bym Matce powiedział, moja Wielebna Matko, że nie będzie gniewać już Tego, który wszystko stworzył i że z całego serca chce zostać chrześcijanką. Pozdrowia swoją przybraną córkę Marię oraz wszystkie Matki”.

Maria od Wcielenia nie ufała bez zastrzeżeń obietnicom pokoju: „Nie dają one żadnej pewności, mówiła, gdyż Irokezi i inne dzikie narody nienawidzą się do najwyższego stopnia z powodu rzezi, które czynili jedni u drugich. Stąd to zło dotyczące Francuzów, ponieważ będąc zmuszeni wspierać hurońskich i algonkińskich chrześcijan, są oni często wmieszani w zatargi dzikich”. Te lata były jednak bardzo pomyślne dla dzieł apostołatu urszulańskiego. Siostry musiały troszczyć się i wspomagać biedne rodziny hurońskie, które się schroniły w Québec. Córki ich w liczbie 70 – 80 uczęszczały do szkoły jako eksternistki. „Po nauce i modlitwach rozdawano dzieciom *sagamité*⁵³. Każda z nich powinna była zaopatrzyć się w talerzyk z kory i łyżkę. Po posiłku i modlitwie dziękczynnej powracały one do swych lepiarek, zanosząc rodzicom resztki swego posiłku. Ich rodzice byli zresztą także na utrzymaniu wspólnoty. Maria od Wcielenia nie odmawiała bowiem nikomu swej pomocy. Otóż zdarzyło się kilka razy, według opowiadania naocznych świadków, że chleb się rozmnażał w miarę jak go rozdawała. Ona sama pierwsza to spostrzegła. Pisała: „Myślę, że Bóg rozmnaża chleb przez wzgląd na tych biednych ludzi i aby ich wyciągnąć z nędzy”.

Koszty utrzymania dziewcząt, tubylczych pensjonarek, były z powodu ich napływu coraz większym ciężarem. Maria pisała: „Od chwili naszego powrotu do odbudowanego klasztoru seminarium bardzo się rozrosło, a my tak byłyśmy przemęczone, że musiałam z żalem odmówić przyjęcia kilku. Które odchodziły ze łzami w oczach, podczas gdy ja płakałam w swym sercu”.

„Bogatsze jesteśmy w dobra duchowe niż w doczesne - mówiła jeszcze Matka - a przyznaję, że musimy walczyć z niewypowiedzianymi trudnościami, aby się utrzymać, po tylu ciężkich przejściach, z których z trudem podnosimy się do dziś. Pytają mnie czasami, czy rozporządzam jakąś fundacją dla utrzymania naszego seminarium. Odpowiadam, że mamy takową – Opatrzność Bożą; w istocie w Niej tkwi moja siła i Ona jeszcze mnie nigdy nie zawiodła”.

Sposób postępowania Matki, tak wzniosły i szlachetny, odpowiadał w zupełności jej słowom. Pewnego dnia, gdy o. Lallemand przyszedł odwiedzić małe seminarzystki, te ostatnie naiwnie skarżyły mu się, że nie są godne i nie dostaną tak pięknych sukienek jak Francuzki. Słowa dzieci zostały powtórzone Marii od Wcielenia, jedynie w celu jej zabawienia, lecz to kochające serce zupełnie inaczej się do nich odniosło. Natychmiast poszła po sztukę pięknej czerwonej serży⁵⁴ i wykroiła z niej dziewięć czy dziesięć sukienek wraz mitynkami z tego samego materiału. Sama Matka z znacznej części uszyła te ubrania i dodała do nich pończochy i obuwie. Poza motywami miłości bliźniego podała jako powód swego postępowania: „Te dzieci przebywają w

⁵³ Posiłek z kukurydzy okraszony tłuszczem z dodatkiem wędzonych ryb lub mięsa, jarzyn lub cukru.

⁵⁴ Serża - trwała tkanina obustronnie diagonalna, samodziałowa, (ba)wełniana, jedwabna albo płócienna, używana gł. na garnitury, płaszcze i suknie.

klasztorze tylko dlatego, aby otrzymać ziarno wiary; ważne jest, by je otrzymywały z radością, gdyż żal mógłby przeszkodzić temu nasieniu zapaść głębokie korzenie”.

Wzruszające wspomnienie o tych młodych Huronkach, wychowywanych w tamtych czasach przez urszulanki, przechowało się w *Relacjach* jezuitów. Działo się to w roku 1663, podczas największego nasilenia wojen irokeskich. Dwaj Francuzi wpadli w ręce wrogów i poddani byli przez nich strasliwym torturom; potem na skutek zmiany nastroju dość częstego u dzikich, oświadczone im, że są wolni i dano im przewodnika, który miał ich doprowadzić do Trois-Rivières, ale przewodnik niecznie ich opuścił i pozostawił samych pośrodku puszczy. Nieszczęśliwym, opuszczonym, wycieńczonym przez rany i ból, nie pozostawało nic innego jak oczekiwać na śmierć. Jednakże oddawszy się w opiekę Matce Bożej, dowlekli się do wsi irokeskiej, którą, niestety, znali jako najbardziej zażartą przeciwko Francuzom. Nie śmiejąc wejść do wsi, skierowali się zupełnie przypadkowo do samotnej chaty, aby prosić o pomoc. Natychmiast wyszła z niej młoda kobieta, doszła do nich mówiąc dobrym francuskim językiem, zaprosiła do siebie, uspokoiła i zaczęła obsługiwać tak jakby to robiła ich matka. Zdziwienie tych dwóch wygnańców nie miało granic. Wreszcie na ich pytanie odpowiedziała: „Jestem Małgorzata Haouenhoutona, Huronka, dobrze znaną Czarnym Sukniom, którzy mnie ochrzczili, i świętym dziewicom, matkom urszulankom z Québec, u których byłam wychowana. Otrzymałam tam tak dobre nauki, że mimo mej nieszczęsnej niewoli nigdy nie wyrzeknę się wiary, której mnie nauczyły. To one nauczyły mnie mówić po francusku, czyż nie jest więc słuszną rzeczą, że was pocieszam teraz w waszym języku i jestem dla was tak dobra jak one były dla mnie? To, co dla was teraz robię, jest niczym w porównaniu z tym, co od nich dostałam. Małgorzata dalej opowiadała swoim gościom o szczęśliwych latach spędzonych u dobrych matek. Oni zaś podziwiali w tej młodej kobiecie przeobrażenie, jakie dokonało w niej wychowanie chrześcijańskie. Kiedy powrócili wreszcie do swych rodaków, z radością dawali świadectwo owocom, które przynosiła dawna apostolska działalność urszulanek.

W czerwcu 1657 roku po raz drugi z Marii od Wcielenia zdjęty był ciężar przełożństwa, które przeszło na m. Saint-Athanase. Obwieszczając te wiadomość synowi, nie ukrywała swej radości. Maria pisała: „Od kilku miesięcy nie jestem już przełożoną, co jest dla mnie specjalną pociechą, ponieważ zawsze miałam więcej skłonności do słuchania niż do rozkazywania. Wydaje mi się, nie jest to żadną moją cnotą, gdyż wewnętrznie czuję się zawsze podwładną, jaką teraz jestem. Co prawda mam zajęcia bardzo rozpraszające, jakim jest w Kanadzie troszczenie się o sprawy materialne, ale znajduję wypoczynek w pracy, myśląc, że Bóg jest wszędzie i że nie ma miejsca ani zajęcia, które by mogły szkodzić w miłowaniu Go”.

Do swojej kochanej m. Franciszki od św. Bernarda pisała: „Wzdycham do wypoczynku, aby się przygotować do śmierci; duch mój pragnie samotności i życia odosobnionego. Śmieją się ze mnie, kiedy o tym mówię, ponieważ widzą, że z radością zajmuję się naszymi interesami jak osoba, która lubi życie czynne. Nie widzą głębi mojej duszy, w której panuje chęć kochania swego Jedyne Dobra, dlatego mam pogodną twarz, spełniając Jego rozkazy”.

Maria od Wcielenia przyjęła tak samo pogodnie chorobę, która nawiedziła ją prawie zaraz po tej zmianie i o mało o śmierć ją nie przypawiła. Już dziesięć lat temu groziło jej to samo z powodu ciężkiej choroby, o której pisała: „Ponieważ dzięki Panu naszemu nie jestem kaleką, więc nie mam dużego doświadczenia w chorobach”. To doświadczenie długiego kalectwa miała dopiero zdobyć w przyszłości. Na razie Bóg zwrócił jej jeszcze siły, dając jej większy stopień zjednoczenia z Nim i poddania się Jego świętej woli. „Mój Ukochany - mówiła do Jezusa podczas największego nasilenia choroby - znasz wszystkie moje sprawy, załatw je za mnie. Wiesz także, iloma duszami zajęłam się, aby je codziennie na Twym Boskim Sercu ofiarować Twojemu Ojcu. Dzisiaj jestem tak chora i bez sił, że nie potrafię tego zrobić. Oto jestem zdana na Twoją łaskę. I rzeczywiście zostałam uwolniona od wszystkich mych kłopotów”.

Te dążenia, które uwzględniła w swojej relacji autobiograficznej, są zgodne ze słowami skierowanymi do syna: „W największej gorączce wypowiadałam wszystko naszemu Panu, przez jedno spojrzenie na Jego Boską dobroć, w najbardziej głębokim zakątku mej duszy, w której On był stale obecny. Ostateczność, w której się znalazłam, sprawiła, że pojęłam bardziej niż kiedykolwiek, iż należy pracować dla Boga i praktykować cnotę, kiedy się jest zdrową, a przede wszystkim, że trzeba zachować swe sumienie czyste i być pokorną”.

Względny pokój, którym cieszyła się kolonia, sprzyjał powiększeniu się małej wspólnoty. Kilka nowicjuszek kanadyjskich zgrupowało się wokół Marii od Wcielenia, która prawie zawsze, kiedy nie była przełożoną, miała powierzane kierownictwo nowicjatu. Większość tych dziewcząt wyrastała w pensjonacie pod kierownictwem pobożnych założycielek, które pragnęły naśladować. Taką była panna Joanna Godefroy, którą poznaliśmy jako małe dziecko przyprowadzone wkrótce po pożarze klasztoru. Między nimi były też Genowefa i Anna Bourdon, córki królewskiego prokuratora, o którym Maria od Wcielenia wyraża się bardzo pochlebnie: „Pan Bourdon został mianowany na to stanowisko z powodu swojej uczciwości i zasług. Łączy mnie z nim specjalna relacja duchowa, gdyż on żyjąc jako człowiek świecki, żyje życiem najbardziej świątobliwym w ciągłym zjednoczeniu z Bogiem. Ten miłosierny człowiek poświęca swe życie dobru innych, jest ojcem ubogich, pocieszycielem wdów i sierot, przykładem dla wszystkich”. Nieco później panna Maria de Lauson, wnuczka gubernatora tegoż nazwiska, stanęła pod sztandarem św. Urszuli. Pani d'Aillebonte, wdowa po innym gubernatorze, była przez jakiś czas w postulacie z tymi młodymi nowicjuszkami, ale przekonała się, że Bóg raczej chce, by oddawała się pełnieniu dobrych uczynków poza klasztorem.

Przeglądając nazwiska pierwszych urszulanek w Québec, widzimy, że nasz Pan wybierał je spośród rodzin, które były przybytkami honoru i wiary i zapuściły głębokie korzenie nad brzegami rzeki św. Wawrzyńca. Stąd między klasztorem a władzami, nawet świeckimi, coraz bardziej zacieśniały się więzy i stosunki pełnej szacunku przyjaźni. Należy w tym względzie zapoznać się z niektórymi aktami, listami lub umowami z tej epoki, przechowywanymi w archiwum wspólnoty. Nie wiadomo, co więcej podziwiać, czy uczucia chrześcijańskie, czy ducha rodzinnego, który się w nich objawia.

Sekretarz Towarzystwa „Stu Stowarzyszonych”, pan Cheffault, pisząc w 1653 roku do Marii od Wcielenia, ówczesnej przełożonej, w sprawie długu zaciągniętego przez urszulanki mówi: „Wielebna Matko, z radością dowiaduję się wszystkiego o Matce i o tym, że za łaską Bożą odbudowujecie się powoli i stosownie do waszych sił. Co do naszego Towarzystwa, to proszę liczyć na naszą pomoc, a jeśli chodzi o te 252 franki, które jesteście winne magazynowi, ta suma została wam darowana, jak widzę w swoich rejestrach. Proszę więc nie lękać się, że będzie Matka niepokojona z tego powodu, a jeśli ktokolwiek by tę sprawę poruszył, proszę tylko pokazać mój list... Jeżeli chodzi o sytuacji w kraju, przyznaję, że mnie to bardzo przejmuję, ale nie tracę nadziei. Wszystkie sprawy Boże są tak pokrzyżowane, że jeśli Bóg nie zechce, żeby się przeszło ponad tym, trzeba zastosować się do Jego świętej woli. Wydaje mi się zbyt czynnym polecać Matkę gubernatorowi, gdyż i tak Matkę bardzo lubi, a ponieważ kraj ten was potrzebuje, nie przypuszczam, aby to mogło się wam na coś przydać. Niemniej tak zrobię, ponieważ Matka tego pragnie. Polecam wszystkich naszych panów, intendentów i dyrektorów modlitwom Matki i proszę nie zapominać o ich służbie, którzy jest Matce serdecznie oddani. A Cheffault”⁵⁵.

Tego samego roku, na mocy aktu podpisanego przez gubernatora i jego radę, oddano urszulankom „miejsca połowu węgorzy przy Przylądku Diamentowym”, co do których wysuwała swoje prawa parafia w Québec. Ta koncesja jest udzielona „pod warunkiem oddawania parafii beczki świeżych węgorzy jako rocznej zapłaty”. Na odwrotnej stronie znajduje się następujący zapis: „My niżej podpisani: proboszcz i prowizorzy kościoła parafii w Québec oświadczamy, że z chęcią odsprzedamy powyższą należność, jeżeli Wielebne Matki dadzą parafii biały piękny ornat, który by służył na wielkie święta w roku”. A nieco poniżej: „Ja niżej podpisany Hieronim Lallemant, pełniący obowiązki proboszcza tej parafii, oświadczam, że otrzymałem powyższy ornat, piękny i w doskonałym stanie. Québec, 12 listopada 1654 roku”.

Już sam charakter misji urszulanek przyczynił się do stopniowego rozwoju kolonii, którą chciano oprzeć przede wszystkim na fundamencie religijnym. Można powiedzieć, że Maria od Wcielenia wniknęła o wiele wcześniej niż ktokolwiek inny w życie tej nowo powstającej społeczności. Jej wielka inteligencja, ujmujący charakter, stosunki wynikające z jej kierowniczego stanowiska we wspólnocie, doprowadziły ją, chociaż nie rościła do tego żadnych pretensji, do doskonałego orientowania się w zagadnieniach kanadyjskich. Czytając jej listy, można stwierdzić, jak gorąco biło jej do głębi francuskie serce, pełne aspiracji, gdy chodziło o pomyślność Nowej Francji.

Maria pisała do syna w 1658 roku: „Nasza kolonia tak się rozwija, że kraj jest zupełnie nie do poznania, jeśli chodzi o liczbę mieszkańców. Bóg pobłogosławił oraczom na roli; ziemia daje dobre zboża i w wystarczającej ilości, aby wyżywić ludność. Powietrze jest łagodniejsze teraz, odkąd ziemia jest odkryta i mniej zacieniona przez te gęste lasy, które czyniły ją tak zimną. Zima jednak była długa w tym roku i ponieważ siewy były spóźnione, jeszcze w październiku jest zboże do żęcia; oczywiście śnieg zaskoczył leniuchów”.

⁵⁵ Urszulanki z Québec, s. 95.

A nieco później, z powodu sprawozdania przedłożonego Ludwikowi XIV przez czcigodnego Kanadyjczyka, pana Boucher, gubernatora Trois-Rivières, Maria pisała synowi: „Pan Boucher powiedział królowi, że z Kanady można zrobić królestwo piękniejsze i większe niż we Francji. Takie jest przekonanie tych, którzy uważają, że się na tym znają. W kilku miejscach znajdują się kopalnie, ziemie są urodzajne. Przede wszystkim jest wielka liczba dzieci; to był jeden z punktów sprawozdania, co do którego król najwięcej się pana Boucher wypytywał. Rzeczywiście jest rzeczą zadziwiającą jak wiele jest tu pięknych i dobrze zbudowanych dzieci, bez żadnych ułomności, chyba że z powodu wypadku. Taki biedny człowiek miewa ich ośmioro i więcej; zimą chodzą boso, z odkrytą głową i kurteczką na plecach; żywią się tylko węgorzem i chlebem, a pomimo tego są duże i pulchne”⁵⁶.

Porównując stan koloni z tym sprzed lat dwudziestu, Maria od Wcielenia pisze: „Kiedy przybyliśmy do Kanady, w Québec nie znajdowało się więcej niż sześć domów, tylko dwa z nich z kamienia; nawet forty były z drewna. Cały kraj pokrywały wielkie lasy pełne gąszczów”. Przewidywała ona, że uprawa roli i połowy ryb na wielką skalę mają większe widoki powodzenia niż tylko handel futrami. Czyni dalej rozsądną uwagę: „W zasadzie, gdy mieszkańcy zabawiają się handlem futrami bobrów, nie poprawia swych interesów tak, jakby to mogli zrobić, uprawiając ziemię i oddając się połowom i wyrobowi olejów z wilków morskich i morświnów lub zdobywając inne podobne produkty, które zaczynają wprowadzać do handlu wymiennego”.

Tego typu poglądy często znajdujemy w jej listach. Miała nadzieję, że francuska Kanada rozciągać się kiedyś będzie aż do tych najbardziej na północy położonych okolic, do których stale zwracała swe spojrzenie, pragnąc, „aby otworzono tam drzwi robotnikom Ewangelii”. Pisała do syna: „Ponieważ jest to sprawa wielkiej wagi, polecam ją tobie i tym wszystkim, którzy chcą powiększenia Królestwa i chwały Jezusa Chrystusa”. Cierpiała, gdy dowiedziała się, że Holendrzy osiedlili się na południu kantonów irokeskich. Dostarczali Irokezom broni palnej za ich trofea myśliwskie. Pisała: „Irokezi łatwo wchodzą w układy z Holendrami, każąc im znosić tysiące niedogodności, których nasi Francuzi nie byliby w stanie ścierpieć. Ale przywiązanie do dóbr doczesnych i chęć posiadania skórek z bobrów jest powodem, że Holendrzy wszystko znoszą”.

A oto jeszcze jeden dowód jej troskliwości odnośnie do drobnych i wielkich spraw tego kraju. Chodziło o zbadanie, przez jakiegoś eksperta we Francji, przydatności miejscowej rośliny w przędzalnictwie. Maria od Wcielenia próbowała załatwić to w Tours, za pośrednictwem m. Urszuli: „Mam polecane przez gubernatora i o. Le Jeun przesłać ci taką roślinę podobną do bawełny, aby wypróbować na różne sposoby, co by się dało z niej zrobić. Przypuszczam, że trzeba będzie ją trzepać i gręplować, by przekonać się, czy można uprząść nić. Jest ona bardziej po-

⁵⁶ Jedenaście lat później (październik 1669 roku) Maria od Wcielenia zwracała uwagę swego syna na to specjalne błogosławieństwo, które stało się udziałem rodzin francusko-kanadyjskich: „Ci, którzy dawno osiedlili się w tym kraju, mają tyle dzieci, że to jest nadzwyczajne, wszędzie ich pełno”. Nowa Francja liczyła wtedy zaledwie 2.500 mieszkańców, z których tylko 800 mieszkało w Québec. W niecałe 100 lat później, w 1759 roku, podczas podboju angielskiego, ludność pochodzenia francuskiego osiągnęła liczbę 65 tysięcy; dzisiaj jest powyżej 1.5 miliona! Prawdopodobnie jest to jedyny przykład w historii tak szybkiego wzrostu ludności w narodzie. Dzięki klimatowi bardzo zdrowemu, choć ostremu, dzięki zasadom religijnym i moralnym ludności, stuletni staruszkowie nie są rzadkością w Kanadzie.

datna do przędzenia niż jedwab. Błagam cię więc o przekazanie komuś, co się na tym zna, a jeśli nadaje się do przeróbki, proszę o przesłanie nam tych próbek. Będziemy mogli propagować uprawę tej rośliny, jeśli okaże się, że jest pożyteczna”⁵⁷.

Mówiliśmy już o tym, jaki rodzinny duch panował w kolonii między różnymi władzami i zgromadzeniami zakonnymi. Często gubernatorzy byli jakby doczesnymi ojcami klasztoru urszulanek. Panowie Charles Jacques Huault de Montmagny i Louis d'Ailleboust de Coulonge pomagali w początkowym okresie jego istnienia; wicehrabia d'Argenson pozostawił po swoim zbyt krótkim okresie administrowania kolonią (1658-61) wspomnienie, którym Maria często dzieli się z synem. „Gubernator każdego dnia okazuje swoją gorliwość w utrzymaniu i rozwijaniu tego kraju. Stara się być sprawiedliwym dla wszystkich; jest to człowiek wielkiej cnoty i bez skazy. Często wyświadcza mi zaszczyt i odwiedza mnie poza wizytami, które składa naszej wielbnej Matce. Przy nim zawsze można skorzystać, gdyż poza koniecznym załatwieniem naszych spraw, które mu przedkładałam jako osobie zaufanej i pełnej miłości bliźniego, mówi głównie o Bogu i o cnocie. Bierze udział we wszystkich nabożeństwach publicznych, ponieważ on jest tym, który daje przykład Francuzom i nowym chrześcijanom”. Wiemy z innych źródeł, że pan d'Argenson ze swej strony był pełen czci dla Matki od Wcielenia i uważał ją za swą duchową matkę.

To za jego rządów pomiędzy Rzymem a Ludwikiem XIV została uzgodniona sprawa mianowania arcybiskupa dla Kanady. Kilka razy wydawało się, że podjęte w tym celu starania doprowadzą do pomyślnego załatwienia sprawy, ale godzina wyznaczona przez Opatrzność jeszcze nie nadeszła, o czym Maria od Wcielenia pisała synowi w 1646: „Jestem przekonana, że Bóg nie chce na razie biskupa w Kanadzie, ponieważ kraj nie jest dostatecznie umocniony. Co więcej, skoro ojcowie jezuiti wprowadzili chrześcijaństwo, wydaje się konieczne, aby sami pracowali nad jego rozwojem jeszcze jakiś czas, bez obawy, że ktoś im będzie przeszkadzał w ich zamiarach”. Zawiadomiona przez swych przyjaciół z Francji, że został wreszcie wyznaczony biskup, dzieli się tą wielką nowiną z Klaudiuszem Martin dnia 24 sierpnia 1658 roku: „Pan de Bernières donosi mi, a o. Lallemant potwierdza, że chcą nam przysłać na biskupa księdza de Montigny⁵⁸, o którym mówią, że jest gorliwym sługą Bożym. Byłoby to wielkim dobrodziejstwem dla kolonii mieć stałego przełożonego i już wielki czas, aby tak się stało, byleby był w zgodzie z jezuitami, jeśli chodzi o gorliwość w krzewieniu wiary, w przeciwnym bowiem razie nie byłoby to korzystne dla chwały Bożej i zbawienia dusz. Ci, którzy twierdzą, że ci zakonnicy krępują sumienia w tym kraju, mylą się - zapewniam cię, gdyż żyje się tu w świętej wolności ducha. Prawdą jest, iż tylko oni kierują duszami, ale nikogo nie zmuszają i ci, którzy szukają Boga i chcą żyć według Jego nauki, mają pokój w sercach. W niektórych przypadkach jednak może zdarzyć się potrzeba odwołania się do innych; dlatego właśnie pragnę tutaj biskupa. Bóg nam daje świętego przez swe miłosierdzie”.

⁵⁷ List z 13.09.1640 roku.

⁵⁸ Franciszek de Montmorency Laval, właśc. fr. *François de Laval* zwany także de Montigny od zamku, gdzie się urodził.

Pragnienia Marii od Wcielenia miały być w zupełności spełnione. Jezuici sami wysunęli i zatwierdzili tego pierwszego biskupa Nowej Francji, pod rządami którego ich wspaniałe dzieło apostołskie miało się coraz bardziej rozwijać. Co się tyczy świętobliwości tego kapłana, Rzym potwierdził świadectwa, które były składane przez lud kanadyjski od dwóch wieków⁵⁹.

Franciszek de Montmorency Laval (fr. *François de Laval*) (ur. 30.04.1623 w Montigny-sur-Avre we Francji, zm. 6.05.1708 w Québec w Kanadzie) był pierwszym wikariuszem apostołskim Nowej Francji i pierwszym biskupem diecezji Québec⁶⁰. Miał zaledwie trzydzieści siedem lat, gdy został powołany na biskupa. Zaszczyty, które dzięki nazwisku i rodzinie mógł zdobyć na dworze, nie zdołały go zachwiać w zamiarze całkowitego poświęcenia się służbie Bożej. Nominacja zastała go w pustelni Cean w towarzystwie pana de Bernières i kilku pobożnych kapłanów, gdzie ćwiczył się w cnotach kapłańskich i miłości bliźniego. Oddajmy teraz głos Marii od Wcielenia, która opowiada o jego przyjeździe do Québec i nadziejach, które jego pierwsze posunięcia wzbudziły w całym kraju.

Pisze ona we wrześniu 1659 roku: „16 czerwca przed przybyciem listów, które zapowiadały jego przyjazd, powitaliśmy naszego biskupa. Jednakże była to ze wszech miar miła niespodzianka. Poza szczęściem, które przypadło kolonii w udziale z posiadania dostojnika kościelnego, jest jeszcze większą pociechą mieć człowieka o zaletach osobistych tak rzadkich i wyjątkowych. Jest to człowiek prawdomówny, który każdemu mówi prawdę przy spotkaniu. Jednym słowem życie jego jest tak przykładne, że cały kraj nie przestaje go podziwiać. Jest najbliższym przyjacielem pana de Bernières, z którym mieszkał przez cztery lata, prowadząc pobożne życie; nie należy więc się dziwić, że przez uczęszczanie do takiej szkoły osiągnął najwyższy stopień cnoty. Jeden z siostrzeńców pana de Bernières chciał mu towarzyszyć. Jest to młody szlachcic, który zachwyca wszystkich swoją pobożnością; chce się cały oddać Bogu za przykładem wuja i przygotowuje się do otrzymania święceń kapłańskich z rąk naszego nowego biskupa”⁶¹.

⁵⁹ Sprawa beatyfikacyjna mgr de Laval, pierwszego Biskupa Québec złożona została w Św. Kongregacji 23.08.1890 roku.

⁶⁰ Franciszek pochodzi z jednej z najpotężniejszych, arystokratycznych rodzin francuskich *de Laval*. Otrzymał gruntowne wykształcenie w kolegium jezuickim i w 1647 i został księdzem. Choć, ze względu na rodzinne koneksje, dostępne mu były najwyższe zaszczyty francuskiego Kościoła, marzeniem jego było zostać misjonarzem. Dlatego też skorzystał z okazji wyjazdu do misji w Nowej Francji (dzisiejsza Kanada). W 1658 został mianowany pierwszym wikariuszem apostołskim Nowej Francji. Rok później przybył do Nowego Świata, by objąć swą misję.

W 1674 po podniesieniu wikariatu apostołskiego Nowej Francji do rangi diecezji i zmiany nazwy na *diecezja Québec* został w niej biskupem. W czasie swej posługi dokonał podziału administracyjnego diecezji na szereg parafii oraz ufundował seminarium duchowne w Québec, które w 1852 przekształciło się w *Université Laval*. François de Laval z racji swej pozycji był członkiem rady kolonii, w której często reprezentował odmienne poglądy niż Gubernatorowie Nowej Francji. Sytuacja taka prowadziła do częstych konfliktów. Jako, że Laval posiadał silne poparcie we Francji, konflikty te kończyły się częstymi zmianami na stanowisku Gubernatora.

Laval, ze względu na pogarszający się stan zdrowia, opuścił kolonię w 1688 rezygnując jednocześnie z biskupstwa. Zmarł 6 maja 1708 roku. 22.06.1980 został beatyfikowany przez papieża Jana Pawła II. 3.04.2014 papież Franciszek włączył go w poczet świętych poprzez kanonizację równoważną.

⁶¹ **Jean de Bernières** (Caen 1602 - 1659) Skarbnik Króla Francji. Członek trzeciego zakonu św. Franciszka. Pod koniec życia założył w Caen ermitaż, gdzie wiele osób, pod jego kierownictwem, prowadziło intensywne życie duchowe. Wspierał misję w Kanadzie. Zmarł w 1659 pobłogosławiony przez swego siostrzeńca udającego się do Kanady. Ten młody ksiądz był pierwszym kapłanem wyświęconym w Kanadzie. Swą pierwszą Mszę św. odprawił uroczystie w kaplicy urszulanek 19.03.1660 roku. Przez 40 lat budował przykładem swych cnót kapłańskich

„Mówiłam już, że nie oczekiwaliśmy biskupa w tym roku, toteż nic nie było przygotowane na jego przyjazd. Wypożyczyliśmy mu nasze seminarium (dom pani de la Peltrie), który jest obok naszego klasztoru, blisko parafii. Będzie tam miał piękny ogród ku wygodzie i przyjemności. Abyśmy żyli według świętych kanonów, kazał zrobić parkan odgradzający. Będzie to krępujące dla nas, gdyż musimy umieścić seminarzystki w naszym własnym domu, ale sprawa tego warta i znosić będziemy z radością te niewygody, do czasu, aż dom biskupa będzie gotowy”. Biskup Franciszek de Laval mieszkał około dwóch lat u urszulanek. Podczas tego czasu prawie codziennie odprawiał Mszę św. w ich kościele.

Miłość biskupa do bliźnich ujawniła się od razu. W dniu jego przybycia ochrzcił jedno dziecko hurońskie, które właśnie się urodziło. Jeden z okrętów przywiózł zarazę morską, która objęła całe miasto i szpital był przepełniony. „Jego Ekscelencja, nasz biskup, jest ciągle przy chorych, spełnia przy nich posługi i ściele ich łóżka. Robi się, co można, aby go od tego powstrzymać ze względu na jego bezpieczeństwo, ale żadne perswazje nie są w stanie odwieść go od pełnienia tych aktów pokory”.

W rok później w liście od syna Maria od Wcielenia dodaje jeszcze inne szczegóły świadczące o jej wielkim szacunku do biskupa: „Nasz biskup jest taki, jak ci pisałam w poprzednim liście, a więc gorliwy i nieugięty; gorliwy w nakazywaniu przestrzegania wszystkiego, co jego zdaniem powinno zwiększyć chwałę Bożą, a nieugięty w tym, że nie zgodzi się na nic, co jest jej przeciwne. Nie widziałam nikogo, kto byłby tak stanowczy jak on w tych sprawach. Jest to drugi św. Tomasz z Villeneuve, jeśli chodzi o miłość bliźniego i pokorę, gdyż oddałby się cały biednym. Zachowuje dla swoich potrzeb niezbędnych tylko rzeczy najgorsze i jest niezmordowany w pracy. To jest naprawdę najbardziej surowy na świecie człowiek i oderwany od dóbr tego świata. On nie będzie sobie pozyskiwał przyjaciół, aby dojść wyżej i zwiększyć swoje dochody – on już umarł dla tych spraw. Może (bez ujmy dla jego postępowania), gdyby taki nie był, interesy lepiej by szły, gdyż tu na ziemi niczego zdziałać nie można bez pomocy władzy świeckiej; ale mogę się mylić, każdy idzie własną drogą do Boga. Wprowadza on w czyn ubóstwo w swoim domu, w sposobie odżywiania się, w meblach, służbie. Ma tylko jednego ogrodnika, który służył u pana de Bernières i którego wypożycza biednym ludziom, kiedy tego potrzebują. Chce mieszkać tylko w wynajętym domu, mówiąc, że gdyby trzeba było wydać tylko pięć susów na wybudowanie własnego, nie dałby ich. Jednakże w sprawach dotyczących godności i powagi jego stanowiska chce, aby w każdej okoliczności wszystko odbywało się z odpowiednim splendorem, na jaki kraj może sobie pozwolić”.

Biskup de Laval wysłany został do Kanady w charakterze wikariusza apostolskiego z tytułem biskupa *in patribus de Petra*, gdyż diecezja biskupstwa w Québec została utworzona dopiero piętnaście lat później. Trudności czynione papieżowi przez Ludwika XIV w tej sprawie były też sposobem, którym Pan Bóg się posłużył, aby tę nową diecezję uczynić bezpośrednio zależną od Rzymu. Od samego początku wszystko tam było rzymskie: liturgia, ceremoniał, a przede wszystkim duch kleru, który dzięki temu nie ulegał nigdy wpływom gallikańskim.

Jako bezpośredni przełożony urszulanek, ten pobożny dostojnik zechciał już w pierwszych miesiącach swego pobytu w Quebec przeprowadzić wizytację biskupią w ich klasztorze. Bóg pozwolił, by przy tej okazji pragnienie większej doskonałości natchnęło go do zarządzeń, które przeraziły małą wspólnotę, a szczególnie Marię od Wcielenia. Chodziło o prawie zupełną zmianę Konstytucji ułożonych tak mądrze po długim rozeznawaniu przeprowadzonym przez o. Lallemant. Zwierzając się na ten temat m. Urszuli w Tours, Maria wyznała jej z zupełną szczerością, że zmienione w ten sposób regulaminy będą odpowiedniejsze dla karmelitanek, niż dla urszulanek: „Jego Wysokość dał nam do namysłu osiem miesięcy lub rok, ale sprawa jest już rozważona i rezolucja powzięta; my jej nie przyjmujemy, chyba, że w ostateczności, gdy wymagać będzie tego posłuszeństwo. Jednakże nie wypowiadamy się ani jednym słowem, aby nie zadrażniać sytuacji, gdyż mamy do czynienia z kapłanem, który będąc nadzwyczajnie pobożnym, jeżeli raz powziął przekonanie, że tu chodzi o chwałę Bożą, nigdy się nie cofnie. Będziemy musiały to znieść, co będzie ze szkodą dla naszych reguł. Mało brakowało, a zniesiony byłby nasz śpiew; pozostawia nam nieszpory i Ciemną Jutrznię, które śpiewamy tak jak w Tours. Obawia się on, byśmy śpiewając nie stały się próżne i nie znajdowały przyjemności w popisywaniu się na zewnątrz. Przypisuję to wszystko gorliwości tego czcigodnego kapłana; ale Matka droga wie, że jeśli chodzi o regulaminy, doświadczenie powinno brać górę nad teoriami. Jeżeli jest dobrze, należy się tego trzymać, ponieważ ma się pewność, że jest dobrze; natomiast zmieniając nie wie się czy będzie dobrze, czy źle”⁶².

Jednakże Opatrzność sprawiła, że powrócił do Québec ten sam o. Lallemant, którego wyjazd opłakał cały kraj, a szczególnie urszulanki. Potrafił on tak dobrze wpłynąć na biskupa de Laval odnośnie do projektowanych zmian, że ten zmienił swoje nastawienie i zatwierdził bez żadnych zastrzeżeń pierwotne Konstytucje.

Podczas gdy nominacja biskupa wydawała się wszystko wzmacniać w naszej kolonii, okrzyki wojenne szerzyły grozę aż po brzeg Wielkiej Rzeki. Kilka faktów dało powód do tego poruszenia. Przychylając się do prośb posłów irokeskich, gubernator Québec i superior jezuitów porozumieli się w celu założenia misji lub miasteczka francuskiego na ziemiach indiańskich. Pięćdziesięciu kolonistów w towarzystwie sześciu czy siedmiu ojców poświęciło się temu zadaniu, które pomimo zapewnień pokoju, nie przestawało być zadaniem nadzwyczaj niebezpiecznym. Było to jedno z tych śmiałych i szlachetnych posunięć, jakie często spotykamy w historii Kanady. Rozmaite kantony irokeskie, zazdrosne jeden o drugi, mogły - przy okazaniu przez Francuzów choćby najmniejszych względów któremuś z nich - posunąć się do ostatecznych ekscesów.

Maria od Wcielenia pisała w sierpniu 1656 roku: „Wyruszyli stąd w maju z gorliwością i niezrównanym zapałem. W tym towarzystwie znajdowało się też kilku żołnierzy garnizonu, których Zachariasz Dupyu, komendant portu w Québec, zaofiarował się poprowadzić. Kiedy zaszczylił mnie swym pożegnaniem, zapewnił z zapałem prawdziwego wojkowego, że chętnie naraża swe życie i uważałby za wielkie szczęście umrzeć za tak wielką sprawę”.

⁶² List z 13.09.1661 roku.

Kiedy po ciężkich trudach przybyli na miejsce położone około 150 mil od Québec, odważna grupa ludzi rozdzieliła pracę między sobą, podczas gdy misjonarze troszczyli się o dusze. Wszystko szło gładko przez osiemnaście miesięcy; jednakże młodzi wojownicy z pięciu kantonów, znecierpliwieni tak długim odpoczynkiem, uknuli zamiar wymordowania swych gości Francuzów. Byliby wykonali ten projekt, gdyby nie Irokez chrześcijanin, który wykawił im ten spisek. Uprzedzeni na czas nasi misjonarze i koloniści, pozornie nie zmieniając swojego postępowania, przygotowali się w tajemnicy do opuszczenia tego miejsca. Należy przeczytać w jednym z listów⁶³ Marii od Wcielenia bardzo ciekawy opis tej ucieczki: uczta z jedzeniem wszystkiego,⁶⁴ wydana dla dzikich w chwili odejścia Francuzów, aby odwrócić uwagę Indian; wypływanie nocą tej małej gromadki na płaskich łodziach, zbudowanych w tajemnicy, wreszcie zdziwienie Irokezów, gdy rano przekonali się, że wieś jest pusta i ich przekonanie, że Francuzi wyfrunęli.

Chcąc uprzedzić wszelkie represje ze strony Francuzów, wojownicy natychmiast weszli na ścieżkę wojenną i rozproszyli się po całej kolonii. Urszulanki odczuwały na sobie pierwsze ich uderzenia. Kilku Irokezów napadło niespodziewanie pewnego wieczora na ich folwark, z którego czerpały dochody, położony niedaleko klasztoru. Jedyne sługa znajdujący się tam uciekł na widok dzikich, aby wezwać pomoc, ale przybyła ona za późno. Dom był w ogniu, a pięć wołów zniknęło. Urszulanki jednak odnalazły je, z wyjątkiem jednego, którego znaleziono pokłutego nożami.

W roku przybycia biskupa Fr. de Laval Maria pisała: „A więc jesteśmy w takim stanie jak przed pokojem. Gdy wydawało się, że nie mają złych zamiarów, nieoczekiwanie Irokezi wzięli do niewoli dziewięciu Francuzów. Spalili żywcem jednego z jeńców i będzie cudem, jeśli z innymi lepiej się obędą. W chwili, kiedy to piszę, nasz gubernator wyruszył, aby ich ścigać. Skłoniło go do tego to, że kilku Irokezów, których więził w solidnych murach zamkniętych żelaznymi drzwiami, dowiedziawszy się, że ich naród zerwał pokój i przypuszczając, że nie omieszkają ich samych spalić, przemocą wydostało się z więzienia i przeskoczyło przez mury fortu. Warta widząc ich dała o tym znać i zaraz puszczono się w pogoń; nie wiem czy ich ujęto, gdyż ci ludzie biegają jak jelenie”.

Maria znowu zapewniała swego syna, że pomimo tych alarmów i tego, że bezpieczeństwo w tym kraju jest jak liście na drzewach miotane wiatrem, ani ona, ani jej siostry nie opuszczą Québec, jak o to z Francji błagano je usilnie.

Jednakże te obawy były aż nadto uzasadnione. W środę po Zielonych Świątach 1660 roku jeniec irokeski, poddany torturom przez Algonkinów w Québec, wykawił, że tysiąc dwustu ich wojowników szykowało się do napaści na miasto; chcieli w konsekwencji zniszczyć mieczem i

⁶³ 4.10.1658 roku

⁶⁴ Przy tego rodzaju ucztach etykieta dzikich nakazywała biesiadnikom zjeść wszystko, co im podano bez względu na ilość potraw i to pod karą ściągnięcia największych nieszczęść na tego, który ich podejmował. Zmuszeni do częstych i długich postów biedni Indianie łapczywie korzystali z podobnej okazji. Pan d'Argenson tak opisuje ucztę wydaną dla dzikich wkrótce po jego przyjeździe do tego kraju: „Ta uczta składała się z 7 kotłów gromadzkich, pełnych indiańskiego zboża, grochu, slipek, jesiotrów, węgorki i tłuszczu. Ci wszystko pożarli po śpiewach na swoją modłę. Używali oni wiosł do dobrego wymieszania całego tego jadła”. Ks. Ferland.

ogniem całą kolonię. „Możesz sobie wyobrazić, jak ta wiadomość nas zaskoczyła. Natychmiast postanowiono zrobić przegląd wszystkich domów zakonnych, by się przekonać, czy będą w stanie wytrzymać atak. Gubernator i paru ekspertów zwiedzili nasz klasztor i postawiono tam wartownię. Jednakże zbliżanie się tego dużego wojska spowodowało niepokój biskupa o to, by zakonnic nie spotkało nieszczęście. Kazał przenieść Najświętszy Sakrament z naszego kościoła, a nam rozkazał iść za sobą. Nigdy nie byliśmy bardziej zdziwione, gdyż nie mogliśmy uwierzyć, aby były powody do obaw w domu tak mocnym jak nasz. Jednak musieliśmy usłuchać. Tak samo postąpiono z siostrami szpitalnymi. Przenajświętszy Sakrament zabrano również z parafii. Ja dostałam pozwolenie na wychodzenie, aby nie pozostawić naszego klasztoru na pastwę tylu wojskowych, którym musiałam dostarczać zapasów żywności. Trzy jeszcze inne siostry pozostały ze mną. Ale przyznaję ci, że byłam bardzo poruszona, gdy ujrzałam, iż zabierają nam Najświętszy Sakrament i pozostawiają nas bez Niego. Jedna z naszych sióstr, nazwana imieniem św. Urszuli, płakała gorzko, nie mogąc się pocieszyć. Wspólnota nasza, jak i siostry szpitalne zostałyśmy zaprowadzone do ojców jezuitów, którzy dali nam mieszkania oddzielone od ich głównego gmachu. Ta budowa przypomina fort, otoczona mocnymi murami, za którymi nie należy się niczego obawiać. Indianie – chrześcijanie mieszkali w chatkach na podwórzu, bezpieczni od napaści swych nieprzyjaciół. Kiedy mieszkańcy zobaczyli nas opuszczające nasz dom, wydawałoby się tak bezpieczny, przerazili się i przypuszczali, że wszystko stracone. Opuścili swe domostwa i schronili się: jedni w porcie, inni u ojców, kilku u Wielebnego Biskupa, a inni u nas, gdzie miałyśmy sześć czy siedem rodzin mieszkających tak ze służbą, jak i w rozmównicach i w innych pomieszczeniach. Reszta mieszkańców zabarykadowała się ze wszech stron w Niskim Mieście, gdzie ustawiono kilka wart”.

Tymczasem nieprzyjaciół, na którego oczekiwano w postawie bojowej, nie pojawił się. Nazajutrz i podczas ośmiu następnych dni urszulanki przychodziły do swego klasztoru na cały dzień, ale powracały wieczorem do schroniska, które im było wyznaczone. W czwartek Bożego Ciała biskup de Laval zwrócił im Przenajświętszy Sakrament i pozwolił, by z klasztoru już nie wychodziły, ale klasztor pozostawał w stanie gotowości. Przy wjeździe wybudowano reduty, okna, które stały się strzelnicami, były zaopatrzone w belki i do połowy zamurowane. Maria opowiada: „Mieliśmy osiemdziesiąt ludzi podzielonych na trzy warty, którzy obchodzili naokoło posterunki pomostami łączącymi jedno mieszkanie z drugim. Pomimo tego czuwałam i choć zamknięta byłam w sypialni, ciągle nadśluchiwałam alarmu, aby być zawsze gotową podawać naszym żołnierzom naboje konieczne w razie ataku. Wreszcie skończyło się na strachu, ale nie działałam żadnej z nas wytraconej z równowagi. Nawet hałasy straży nie wprowadzały nas w roztrągnięcie. Nasi ludzie wchodzili do klauzury dopiero wieczorem, a wychodzili rano, aby powrócić do swej pracy. Wszystkie aleje prowadzące do podwórza były zabarykadowane, a oprócz tego dwanaście wielkich psów broniło drzwi zewnętrznych i obecność ich przedstawiała większą bez porównania wartość, jeśli chodzi o dzikich niż obecność ludzi. Indianie boją się francuskich psów nie mniej niż ludzi, ponieważ te zwierzęta rzucają się na nich i rozrywają”.

Ochronę Québec i całej kolonii zawdzięcza się bohaterskiej odwadze siedemnastu Francuzów z Montrealu, którzy w towarzystwie czterdziestu neofitów indiańskich postanowili zrobić

wypad przeciwko Irokezom. Wszyscy dobrze zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa takiej wyprawy, toteż przygotowali się na śmierć, przyjmując święte sakramenty i przysięgając przed ołtarzem, że pozostaną zawsze w jedności i nie poproszą nigdy o darowanie życia. Wyruszyli oczekiwać nieprzyjaciela w małym opuszczonym forcie, który znaleźli przy rzece Ottawa. Tutaj prawie przez cały tydzień ta garstka walecznych, dowodzonych przez młodego wojskowego nazwiskiem Daulas, trzymała w szachu wojsko Irokezów, składające się z siedmiuset wojowników, których dziesiątkowały kule francuskie. Z chwilą gdy odparli atak, pierwszym ich odruchem było paść na kolana, aby podziękować Bogu i błagać o dalszą opiekę. Jednakże palisada, za którą się chronili, została w końcu zwalona; tylko czterech Francuzów i czterech Huronów przeżyło ten atak. Zostali oni wzięci do niewoli.

Te szczegóły opowiedział Marii od Wcielenia jeden z jeńców, Ludwik, dobry chrześcijanin, któremu udało się uciec wraz z towarzyszem: „Bez informacji podanych przez tych dwóch zbiegów nikt by nic nie wiedział o losie naszych Francuzów, ani naszych Indian, jak również o wojsku nieprzyjaciela. Ci ostatni pośpiesznie wrócili do swego kraju, dumni ze zwycięstwa, chociaż nie jest ono wielkie samo w sobie. Czyż siedmiuset ludzi może pysnić się tym, że pokonali taką garstkę nieprzyjaciół? Jest jednak zwyczajem Indian zawracać nawet, gdy wezmą lub zabiją dwudziestu ludzi, aby popisać się tym u siebie. Z góry przewidywano, że wynik tej sprawy będzie taki, jakim się okazał, a więc że ofiara naszych siedemnastu Francuzów i dobrych chrześcijańskich Indian uratuje cały kraj. Jest bowiem pewne, iż bez tego spotkania bylibyśmy niechybnie zgubieni, ponieważ nikt nie miał się na baczności, ani nie podejrzewał, że dzicy mogą nadejść. Powinny byli być tutaj na Zielone Świątki, a ponieważ ludzie zajęci byli pracą na roli, zastaliby nas nie przygotowanych do obrony”.

„W taki to sposób Bóg odwraca burze, które są gotowe zwalić się na nasze głowy. Jesteśmy tak przyzwyczajeni do opieki Opatrzności, że jeden z naszych służących, któremu kazałam pracować przy fortyfikowaniu domu, powiedział z zapalem pełnym ufności: »Proszę sobie nie wyobrażać, moja Matko, że Bóg pozwoli nieprzyjacielowi nas zaskoczyć; przyśle na pewno posłów Matki Bożej, jakiegoś Hurona, który da nam wszelkie informacje potrzebne dla naszego ocalenia. Matka Boża ma zwyczaj wyświadczenia tej łaski we wszystkich okolicznościach, uczyni więc to samo i w przyszłości«. To powiedzenie bardzo mnie wzruszyło i sprawdziło się tego samego dnia lub nazajutrz, gdy dwaj Huroni, cudownie uratowani za wstawienictwem Matki Bożej, przynieśli wiadomość o wzięciu do niewoli naszych Francuzów i o cofnięciu się nieprzyjaciela do swego kraju. Na skutek tej wieści zdjęto wszędzie strażę z wyjątkiem fortów; upłynęło już pięć tygodni, w których nie zaznano wypoczynku ani dniem ani nocą, tak z powodu umacniania się jak też i strażowania.

Irokezi obiecali sobie skądinąd powrócić na wiosnę lub na jesieni roku przyszłego, bądź dla przeszkodzenia w siewach, bądź dla zniszczenia zboża. Na razie zadowolili się okrutnym torturowaniem swoich jeńców. Jeden ze zbiegów z kraju Irokezów doniósł nam o śmierci naszych Francuzów i Huronów-chrześcijan, którzy byli zabrani zeszłej wiosny. Mówi on, że wszyscy byli spaleni wśród straszliwych katuszy i pohańbienia, przyjęli śmierć z bohaterstwem, co

drażniło ich tyranów. Ostatni z tych nieszczęśników, któremu po trochu odrąbywano palce, rzucał się na kolana za każdym odciętym kawałkiem, by podziękować Bogu i błogosławić Go. Był przecież już na wpół upieczony, gdyż palono ich na wolnym ogniu, ponieważ ci barbarzyńcy są straszniejsi w okrucieństwie od samych diabłów”.

Nie można było już dłużej polegać na obietnicach tak wiarołomnego ludu i chociaż w swej dumie Irokezi wyobrażali sobie, że ich „zniszczenie pociągnie za sobą przewrót na całej ziemi”, trzeba było unicestwić ich jako naród. Francuzi postanowili nie liczyć się z niczym, wszystkich jeńców ujętych oddano Algonkinom, naszym sprzymierzeńcom, którzy postąpili z nimi według ich barbarzyńskich obyczajów.

Maria pisała do syna: „Dziwisz się temu postanowieniu, mój bardzo drogi synu i twierdzisz, że to jest przeciw duchowi Ewangelii i Apostołów, którzy narażali swe życie dla ratowania niewiernych, a nawet swych własnych katów. Jego Ekscelencja, nasz biskup, z początku osądził to tak jak ty, nakazał nawet księdzu de Bernières poznać języka Irokezów, aby ich nauczać. Wiesz dobrze, ile razy nasi wielbni ojcowie chodzili do nich w tym samym celu. Ostatnio próbowali zrobić jeszcze jeden wysiłek, ale powstrzymano ich prawie siłą, gdyż niebezpieczeństwo grożące im było zbyt oczywiste. Jego Ekscelencja zmienił teraz zdanie i zgadza się z tym, wraz ze wszystkimi rozsądnymi ludźmi tego kraju, że trzeba ich wytępić, o ile to możliwe, inaczej chrześcijaństwo i wszyscy chrześcijanie w Kanadzie wyginą. Kiedy już nie będzie ani chrześcijaństwa, ani misjonarzy, jakąż można mieć nadzieję na zbawienie Indian?”

Maria kończy: „Bądź pewien i zapewnij nasze Matki z Tours, że gdyby groziło nam rzeczywiste niebezpieczeństwo, Jego Ekscelencja, nasz biskup, nie zawahałby się ani chwili i kazał umieścić na tym samym okręcie i siostry szpitalne i urszulanki i odesłałby nas do Francji. Ale dzięki Bogu nie jest jeszcze tak źle i chociaż intencją Irokezów jest zniszczenie nas, przypuszczam, że zamiarem Boga jest pozostawienie nas i triumf tego nowego Kościoła nad Jego nieprzyjaciółmi”.

Jednak ten triumf się odwlekał. Wiele pożałowania godnych rozłamów powstawało w łonie samej kolonii, co paraliżowało wysiłki tych, którzy chcieli ją ocalić. Pan d'Argenson padł tego ofiarą i zrzekł się swego stanowiska. Maria od Wcielenia bolała nad prześladowaniami, które dotyczyły także biskupa na równi z gubernatorem.

Pisała do Francji: „Niektóre osoby piszą do Francji, do panów z Towarzystwa rzeczy fałszywe przeciwko najbardziej świątobliwym i najbardziej cnotliwym osobom, a nawet rzucają oszczerstwa na tych, którzy stoją na straży sprawiedliwości. Ponieważ zadają te ciosy po kryjomu, nie można im zapobiec; a ponieważ zepsuta natura ludzka jest skłonniejsza do uwierzenia w zło niż w dobro, łatwo dają wiarę tym sprawozdaniom. Stąd się bierze to, że w chwili, kiedy się najmniej tego spodziewamy, dostajemy rozkazy i wyroki bardzo przykre. To wszystko obraża Boga i wyświadczyłby On nam wielką łaskę, gdyby oczyścił kraj z tych ludzi drażliwych i przekornych”.

W październiku 1661 roku Maria pisała swemu synowi: „Pan wicehrabia de Argenson nas opuścił. Co się nas tyczy, to tracimy wiele przez jego ustąpienie, gdyż był wyjątkowo dla nas życzliwy i nie przepuścił żadnej okazji, by nam to okazać. Ponieważ ze względu na ciebie często wyświadczał mi zaszczyt, odwiedzając mnie, mamy wspólny dług wdzięczności. Proszę więc, byś mu wyraził podziękowanie swoje i moje”.

Ten wysoce rozumny administrator nie mógł, pomimo największych starań ze swej strony, wytepić w kolonii tego, co było źródłem wszystkich niepokojów i ciągłego pogarszania sytuacji, a mianowicie handlu napojami alkoholowymi wśród Indian. Niektórzy Francuzi bez sumienia oszukiwali Indian i wyludzali tym sposobem skóry bobrów za niską cenę⁶⁵. Maria od Wcieleń uważała tę plagę za największe cierpienie.

Pisała do syna 10 sierpnia 1662 roku: „Alkohol gubi naszych dzikich: mężczyzn, kobiety, chłopców i nawet dziewczęta, gdyż wszyscy od razu się upijają i stają się jakby furiami, stąd morderstwa oraz potworna i niesłychana brutalność. Kiedyśmy naszym indiańskim dziewczętom, uczęszczającym jako przychodnie do szkoły, przedstawiły zło, w jakie się wpędzają, naśladując rodziców, od tego czasu noga ich u nas nie postąpiła”.

Następnie po przedstawieniu wszystkich wysiłków biskupa de Laval w celu powstrzymania tego niegodnego handlu włącznie z narzuceniem klątwy na tych, którzy się tym zajmowali, Maria pisała: „Ponieważ sprawy doszły do ostateczności, nasz biskup wyjeżdża do Francji, aby znaleźć sposoby dla zapobieżenia tym nieporządkom, które pociągają za sobą tyle niepotrzebnych wypadków. Biskup o mało nie umarł ze zmartwienia z tego powodu, chudnie w oczach. Przypuszczam, że o ile nie uda mu się uzyskać tego, co chce, już do nas nie wróci, co byłoby stratą nie do naprawienia dla Kościoła i dla wszystkich biednych Francuzów. Wyzbywa się on swych majątności, aby im pomagać. Aby jednym słowem wyrazić to, co myślę o jego zasługach, powiem, że nosi wszystkie znamiona i cechy świętego. Proszę cię, mój bardzo drogi synu, polecaj sam Bogu tak ważną sprawę i proś innych, by to robili, aby Bóg zechciał powrócić nam naszego dobrego biskupa, ojca i prawdziwego pasterza dusz, które są mu powierzone”.

Wyjazd biskupa i to z takiego powodu zasmucał wszystkich wiernych. Nieokreślone obawy nękały kolonię. W tym czasie Ludwik XIV dał swym poddanym w Nowej Francji obietnicę dostarczenia w krótkim czasie pomocy przeciwko ich okrutnym wrogom. W 1662 roku Maria pisała: „Król planuje przysłanie tutaj w przyszłym roku jednego pułku z lekkim statkiem dla załogowania na Agneronons, rzecze Irokezów, których Jego Królewska Mość chce zniszczyć, aby stać się panem całego kraju”. W Québec skądinąd panował spokój. Dzicy pojawiali się tylko w okolicach Montrealu. Zamordowali oni w tym czasie zacnego pana Vignal, dawnego jałmużnika urszulanek, szlachetnego dobroczyńcę, który im pomagał w czasie głodu po pożarze.

W czasie gdy przeplatały się nastroje nadziei i strachu, nagle odezwał się głos Boży za pośrednictwem strasznego wstrząsu w naturze. Mówimy tu o trzęsieniu ziemi, które w tym czasie było odczuwane w Kanadzie i dalej na przestrzeni 40 000 mil kwadratowych. Pierwszy

⁶⁵ Tę zbrodnię popełniali przede wszystkim Anglicy w Ameryce, których nic nie powstrzymało w handlowaniu whisky.

wstrząs nastąpił 5 lutego 1663 roku około godziny 17.30. Był to tłusty poniedziałek, niektórzy przygotowywali się już do zabaw zapustnych. Maria opowiada: „Było cicho i pogodnie. Z początku gdzieś z daleka dał się słyszeć huk, jakby wielka liczba karet toczyła się po bruku. Hałas ten zwrócił uwagę, gdy usłyszano pod ziemią, na ziemi i ze wszystkich stron głuchy podmuch fal i bałwanów, które przejmowały grozą. Nagle jakby grad kamieni spadł na dachy, strychy i do pokojów. Wydawało się, że marmury, z których zbudowany jest ten kraj, otworzą się i rozlecą się w kawałki, aby nas pochłonać. W powietrzu unosił się wszędzie gęsty kurz, drzwi otwierały się lub też zamykały same z siebie, dzwony w naszych kościołach dzwoniły same jak również i były zegary. Dzwonnice i domy chwiały się jak drzewa na wietrze, zrobił się straszliwy nieład: meble się przewracały, kamienie leciały, podłogi się rozchodziły i mury pękały. W tym rozruchu słychać było ryczenie zwierząt domowych; jedni wybiegali z domów, inni wbiegali. Jednym słowem przerażenie było takie, że przypuszczano, że jesteśmy w przededniu sądu Bożego, gdyż widziano jego znaki. Kiedy ten pierwszy wstrząs, który trwał około pół godziny, się skończył, zaczęliśmy swobodniej oddychać, ale nie na długo, gdyż około ósmej wieczorem nastąpił nowy wstrząs. Odmawialiśmy wtedy jutrznię w chórze, którą częściowo recytowaliśmy klęcząc w postawie pokory i zdając się zupełnie na wszechpotężną moc Bożą.

Wstrząsy powtarzały się w różnych odstępach czasu przez siedem miesięcy. Ponieważ byliśmy do nich nieprzyzwyczajone, robiły na nas bardzo różne wrażenie. Jedne wybiegały na zewnątrz w obawie, żeby uniknąć zasypania w ruinach domu, który chwiał się jak domek z kart; inne udawały się przed Najświętszy Sakrament, aby umrzeć u stóp ołtarza. Jedna zacna siostra konwerska doznała pewnego razu takiego lęku z powodu wszechpotęgi Bożej, że dygotała na całym ciele przez godzinę, nie mogąc się od tego powstrzymać. Zakonnice kładły się spać ubrane na sienniczkach położonych w sali zgromadzenia i za każdym wstrząsem padały na kolana, odmawiając *Miserere*”.

Maria od Wcielenia pisze dalej: „Kończę tę relację dnia 20 sierpnia, nie wiedząc wcale jak zakończą się te wszystkie huki, gdyż wstrząsy ciągle trwają. Ale w tym wszystkim cudowne jest to, że w tej ogólnej i strasznej ruinie nikt nie zginął, ani nawet nie został ranny. Jest to wyraźnym znakiem Boskiej opieki nad Jego ludem, co nam daje słuszne podstawy do przypuszczenia, że gniewa się na nas tylko, aby zbawić”.

W jednym z późniejszych listów, wyliczając cuda łaski działane przez plagi, Maria pisze: „Jeden z duchownych zapewniał nas, że on sam wysłuchał ośmiuset spowiedzi generalnych. Możesz sobie wyobrazić, co się działo u naszych Wielebnych Ojców, którzy dnie i noce spędzali w konfesjonale. Nie przypuszczam, aby w całym kraju znalazł się choć jeden mieszkaniec, który nie odbył spowiedzi generalnej”.

Z kolei w *Relacji* jezuitów czytamy: „Te trzęsienia ziemi nie mniej wstrząsnęły zatwardziałymi sercami niż największymi skałami i zrobiły większe poruszenie w sumieniach niż w naszych lasach i górach”.

Z kilku bardziej poufnych zwierzeń Marii od Wcielenia do syna dowiadujemy się o jej odczuciach podczas tego przerażającego kataklizmu. „Co do mnie, nie byłam wcale poruszona,

gdyż Pan nasz obdarzył mnie uczuciem zupełnie odmiennym od strachu. Miałam ochotę oddać się Jego Boskiemu Majestatowi, aby być ofiarą za grzechy, które zmusiły Go do spuszczenia na nas kary, jaką mieliśmy przed oczyma. Nawet chciałam, aby te straszne rzeczy wydały się oczom ludzkim jako moje własne winy. Oddałam się cała temu pragnieniu, nie mogąc czynić nic innego, jak tylko błogosławić Najwyższą Wszechmoc Bożą w stosunku do natury i serc, kiedy chce nimi wstrząsnąć. Wielkie góry i pokłady marmuru, z których składają się nasze okolice, są w Jego rękach leciutką słomką i wiele osób, których nie zdołały skruszyć gromy Kościoła, zmiało i zmieniło się w jednej chwili”.

Nie mogliśmy przytoczyć szczegółowo kilku nadzwyczajnych zjawisk, które według opowiadania Marii od Wcielenia poprzedziły i towarzyszyły trzęsieniu ziemi w roku 1663. Znajdziemy to w jej listach. Należy tylko zaznaczyć, że najwybitniejsi historycy kanadyjscy, m.in. o. de Charlevoix i opat Ferland cenili jej świadectwo w tej sprawie. Tylko pan Garneau uznał za przesadne niektóre okoliczności przez nią przytoczone. Ale w takim razie trzeba by było to samo powiedzieć o *Relacji* jezuitów z 1664 roku, o Rocznikach szpitala w Québec i paru innych pismach, które w ten sam sposób opowiadają o tych strasznych zjawiskach. Bóg jest ponad wszystkimi prawami natury i jak to twierdziła Maria od Wcielenia, drogi Jego Opatrzności względem kraju kanadyjskiego często mogły wprowadzić w zdumienie roztropność czysto ludzką.

ROZDZIAŁ XIX

Ostatnie przełożenie – stan kraju i klasztoru (1663-1670)

Rok 1663 miał pozostać pod każdym względem sławny w rocznikach Kanady. Podczas gdy ręka Boża pracowała nad oczyszczeniem tego nowego Kościoła, zsyłając zbawienny postrach, otwierała równocześnie dla niego erę dobrobytu. Właśnie wtedy Ludwik XIV, po rozwiązaniu prywatnego Towarzystwa *Stu Stowarzyszonych*, które rządziło Nową Francją, wcielił tę ostatnią do administracji dóbr państwowych. Wkrótce dały się odczuć zbawienne tego skutki – instytucje prywatne, świeckie i zakonne rozwijały się pomyślnie. Maria pisała na ten temat: „To wszystko brzmi pięknie i zaczyna się dobrze, ale tylko Bóg zna końcowe wyniki, bowiem doświadczenie nas uczy, że wyniki nie zawsze są takie, jakich się spodziewamy”. Tym razem przewidywania ludzkie okazały się słuszne. Kanada wchodziła w okres dojrzałości.

Na ten ważny okres historyczny Kanady przypada ostatnia kadencja przełożenia Marii od Wcielenia w klasztorze w Québec. Maria przeżywała razem z krajem zmienne koleje losu już od dwudziestu czterech lat. Pole działania miało się rozszerzyć i Bóg chciał, aby ta, która kierowała nim podczas jego trudnych początków, nadal to czyniła w latach zapowiadających się pomyślnie. Co do niej, pragnącej bardziej niż kiedykolwiek ciszy i samotności, lękała się tego stanowiska pomimo swego zupełnego oddania się Bogu.

Pisała swemu synowi 18 października 1663 roku: „Muszę ci powiedzieć, że odbyły się u nas wybory i że brzemień odpowiedzialności za wspólnotę spadło na moje barki. Jest to wielki

ciężar, tutaj trudny do niesienia, ale trzeba wytrzymać do końca. Dwudziestego ósmego tego miesiąca skończę sześćdziesiąt trzy lata. Czyż nie miałam racji opierać się temu wyborowi, aby w spokoju przygotowywać się do śmierci? Jednak nic już więcej nie powiem, doskonalszą rzeczą jest milczeć i poddawać się rozkazom Bożym i tych, którzy Go wobec nas zastępują”.

Jednym z powodów pocieszenia Marii od Wcielenia był powrót biskupa de Laval, który przybył do Québec. Maria pisze: „Król, który bardzo go ceni, z powodu jego zasług i zalet chciałby go zatrzymać we Francji, ale miłość tego zacnego kapłana do swego ludu skłoniła go do ubłagania Jego Królewskiej Mości, by mu pozwolił powrócić”. Biskup przywiózł ze sobą kilku księży, którzy stali się załącznikiem seminarium w Québec, założonego w tym samym roku. „Mam nadzieję, powiedział biskup de Laval, że ten mały zakład będzie się ciągle rozwijał”. Słowa te okazały się prorocze. Przez wspólnotę dóbr i jeszcze bardziej przez zjednoczenie woli zaszczepiał on prawdziwego ducha Ewangelii.

Jednakże rozwój dzieł i postępy kolonii zależały od pomocy obiecannej przez króla Ludwika XIV, aby móc zaatakować Irokezów w ich własnym kraju i położyć kres nieustannym rabunkom. Na tę pomoc trzeba było czekać jeszcze dwa lata. Indianie, przerażeni prawdopodobnie nieznanym im trzęsieniem ziemi, podczas tego okresu nie przedsięwzięli żadnych znaczących wypraw wojennych.

Maria od Wcielenia na nowo zabrała się do dzieła, przykładem swym zachęcając córki do pracy. Ludność Québec i okolic zwiększyła się wówczas w znacznej mierze dzięki przybyciu kolonistów: rzemieślników i rolników, których król przysyłał wraz z całymi rodzinami. Urszulanki korzystając z tego przyjmowały do szkoły większą liczbę dzieci.

Jedno ze wspomnień z zimy 1664 roku, przekazane w listach Marii, mówi o pewnej uczennicy, Alkonkince, którą często sama uczyła za pomocą prywatnych pogadanek. Była to biedna wdowa w starszym wieku imieniem Genowefa, którą na skutek jej gorących prośb przyjęto z łaski do seminarium. Wtajemniczona już w podstawowe zasady wiary, spełniała akty odwagi i dawała dowody zaufnia Bogu. Ponieważ mąż jej umarł wśród dzikich plemion, Genowefa wybrała się w długą podróż (500 mil), wioząc łódką lub niosąc na plecach ciało zmarłego, aby go pochować na chrześcijańskim cmentarzu w Trois-Rivières.

Maria pisała: „Ta zacna staruszka podziwiała wszystkie nasze czynności zakonne, widząc w nich coś świętego i patrząc na nas mówiła Bogu: »Zachowaj, proszę Boże, te święte dziewice, które od rana do wieczora są zawsze przy Tobie i nic innego nie robią, jak tylko Ci służą«. W Wielki Piątek była silnie wzruszona Męką Zbawiciela. Podczas naszej Ciemnej Jutrznii zalewała się łzami, przeżywając miłość, jaką Bóg okazał ludziom, znosząc dla nich tak przerażające męczarnie. Kiedy się nieco uspokoiła, powiedziała: »Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale nigdy nie doświadczyłam czegoś podobnego. Czyżby diabeł chciał mnie omamić?« Zaprowadziłam ją do naszej celi, aby z nią porozmawiać o tej wielkiej tajemnicy. Tam Bóg za moim pośrednictwem napełnił ją doświadczeniem cierpienia i pociechy”.

W tym samym czasie biskup de Laval miał bierzmować w kaplicy urszulanek. Genowefa nie jeszcze o tym sakramencie nie słyszała. Maria pisała: „Widziała ona, że przygotowywano kilka naszych pensjonarek do przyjęcia tego sakramentu, a powaga, z jaką się odnoszono do tego faktu, przekonała ją, że to jest coś świętego i bardzo ważnego. Chodziła ona po całym domu, szukając kogoś, kto mógłby jej udzielić pewnych wyjaśnień. Nie znalazła nikogo, bo wszyscy byli zajęci. Powiedziała: »Niestety mnie nie uczą tak, jak uczą dzieci!«. Zająłem się więc nią, aby pouczyć o tym, czego pragnęła. Wszystko, co jej mówiłam, wprawiało ją w zachwyt, szczególnie, że przez ten sakrament stanie się silniejszą w walce z pokusami i że jego znamię nosić będzie w niebie, podobnie jak znamię chrztu. Z chwilą, gdy otrzymała bierzmowanie, prosiła mnie o pozwolenie udania się do Sillery, aby podzielić się swym szczęściem z rodziną i przyjaciółmi”.

Zaledwie upłynął rok od chwili wyboru Marii na przełożoną, gdy Bóg przygotował ją w sposób przedziwny i łaskawy, według jej wyrażenia, na próby, które zamierzał jej zesłać. Opowiada sama: „Zobaczyłam we śnie naszego Pana rozciągniętego na krzyżu, pokrytego ranami na całym ciele. Jęczał żałośnie, niesiony przez dwóch młodych ludzi, i miałam głębokie przeświadczenie, że szukał jakiejś wiernej duszy, aby prosić ją o ulgę w Jego strasznych bólach. Wydawało mi się, że jakaś pani podeszła do Niego z tym zamiarem, ale wkrótce odwróciła się, odeszła od Niego i porzuciła Go wśród cierpień. Co do mnie, to szłam za Nim, widząc Go ciągle w tym opłakanym stanie i patrzyłam pełna współczucia. Więcej już nic nie zobaczyłam”. Po tym śnie nie trzeba było długo czekać na zapowiadany krzyż. Ciężka choroba lub nawet komplikacje w całym szeregu cierpień doprowadziły w krótkim czasie Marię od Wcielenia do ostatecznego wyczerpania. Najpierw nastąpiło wylanie żółci w całym ciele z towarzyszącymi temu ostrymi bólami, potem skurcze nerwów, co powodowało ogólne drżenie, ponadto wystąpiły inne jeszcze bardziej alarmujące symptomy.

Nie tylko wspólnota, ale i całe miasto było w rozpacz. Matka przyjęła ostatnie sakramenty i nie było nadziei uratowania jej żadnymi środkami ludzkimi. Zwierzyła się potem synowi: „Wszystkie leki, jakie przyjmowałam, służyły tylko do zwiększenia mych bólów. To zdecydowało, że lekarze pozostawili mnie w rękach Bożych, ponieważ, jak mówili, skumulowanie się tylu chorób równocześnie było rzeczą niespotykaną i widoczne były one zesłane tylko w tym celu, abym cierpiała. Ponieważ lekarze mnie opuścili, wszystkie dobre dusze tego kraju zanosili modły do Boga i odprawiały nowennę w intencji mego powrotu do zdrowia. Nalegano na mnie, abym i ja razem z nimi o to prosiła. Jednakże nie mogłam tego zrobić, nie pragnąc ani życia ani śmierci, jak tylko woli Bożej. Jego Ekscelencja, nasz bogobojny biskup, nalegał na mnie, ale odpowiedziałam mu, że nie mogę go usłuchać. Ten bardzo dobry i miłosierny kapłan wyświadczył mi zaszczyt i odwiedził mnie kilka razy. O. Lallemand udzielił mi pociechy jak dobry ojciec. Nasza droga asystentka m. Saint-Athanase, na której z powodu mej choroby spoczywał ciężar zajmowania się całym domem, zechciała jednak być moją pielęgniarką; ani ona, ani żadna z sióstr, dzięki Boskiemu miłosierdziu, chociaż czuwały przy mnie w dzień i w nocy, nie zachorowała ani nie poczuła się źle”.

Ten stan cierpienia w mniej lub bardziej ostrej formie przeciągnął się do roku. Czas ten upłynął wiernej oblubienicy Chrystusa jako nieustanny hymn oddania się i wdzięczności. „Nasz Pan zawsze łaskawy i zawsze pełen dobroci w stosunku do mnie, wyświadczył mi łaskę i zaszczyt ciągłego obcowania ze mną w czasie moich cierpień, jak za czasów, gdy byłam zdrowa. Dzięki Bogu długa choroba wcale mnie nie nużyła. Nie odczuwałam ani jednego odruchu zniecierpliwienia. Całą chwałę tego trwania w cierpliwości zawdzięczam obecności mego Ukrzyżowanego Jezusa. Jego Boski Duch nie dopuścił, bym pragnęła chwili wytchnienia w moich cierpieniach, lecz chciałam doświadczać ich aż do dnia sądu”.

W lipcu 1665 roku pisała: „W chwili obecnej czuję się lepiej, gorączka mnie opuściła, choć od czasu do czasu powraca. Chodzę po domu opierając się na lasce i biorę udział w ćwiczeniach zakonnych, z wyjątkiem modlitw, które odmawiane są o czwartej rano, ponieważ w tym czasie moje bóle dają mi się we znaki”.

W kilka lat przed śmiercią Maria pisała: „Kiedy myślę o śmierci lub o niej słyszę, moje serce rozpiesza radość”. Wyznawała zresztą, że w największym nasileniu choroby cieszyła się, iż pójdzie do nieba i zobaczy swoją ukochaną Marię od św. Józefa, chociaż powinna być od niej oddalona z powodu mniejszych zasług.

Pomimo że choroba ze stanu ostrego przeszła w łagodniejszy, pozostały jednak przykre cierpienia, które z jej życia uczyniły prawie ciągłe męczeństwo. W 1667 roku pisała swemu synowi: „Nie mogę powrócić do zdrowia po mojej ciężkiej chorobie, następstwa jej są bardzo przykre dla organizmu, chociaż przyzwyczajam się do nich. Jem mało a jedzeniu towarzyszy dziwne obrzydzenie, wszystko wydaje mi się gorzkie jak piołun i to ciągle przypomina Mękę naszego Pana. W ten sposób mój stan staje się dla mnie miły i kocham go, ponieważ to Bóg obdarzył mnie tą łaską”. A w innym liście zauważa: „Mówi się, że osoby chore na wątrobę łatwo wpadają w złość. Ja jednak taka nie jestem i serce moje nie zachowuje żadnej goryczy. Chociaż dawnej budowę ciała i usposobienie miałam zdrowe i silne, dzisiaj cały mój organizm jest słaby. Inni twierdzą, że to zbyt ciężka praca tak go popsuła, a ja mówię, że to dobroć Boża zesłała na mnie chorobę, za którą dziękuję mu z całego serca, jako za dowód miłości, którą mnie obdarza”.

Przyjmowanie pokarmów stało się dla niej męczarnią, taki miała do nich wstręt, jednakże starała się odżywiać jak cała wspólnota. »Nie znacie mnie - odpowiadała delikatnie na nalegania swych córek - to wspólne posiłki dają mi życie, a wyjątki mogą mnie doprowadzić do śmierci«. Kiedy siostra zajmująca się zakupami na swoją odpowiedzialność postanowiła podawać jej bułeczki na maśle z anyżkiem, Maria przez kilka dni przyjmowała je z uległości i aby nie zasmucać tego dobrego serca. Wreszcie jednak, by przerwać te wyjątki, znalazła sposób, aby na to stanowisko wyznaczyć inną siostrę i nakazała jej nie robić dla niej żadnych wyjątków. »Nie zasługuję na wyjątki, a chociażby Pan Bóg zesłał mi tysiąc razy więcej cierpień, to i tak mnie nie skrzywdzi i nie będę miała powodu do narzekania«.

Nie tylko nie wyszła z jej ust żadna skarga, ale zaczęła się obawiać, aby zanedbnie nie ukochać swych słabości. „Dzięki łasce jestem do nich przywiązana i boję się, że moje nikczemności zmuszą Pana Jezusa do złagodzenia ich. Te bóle są dla mnie tak drogocenne, że przedkładam je

ponad wszystkie skarby i przyjemności tej ziemi, nawet najbardziej niewinne. Bóg daje mi łaskę, że wszystkie te wypadki nie przeszkadzają mi przestrzegać naszych reguł”. „W naszym chórze mamy krucyfiks. Kiedy na niego patrzę, mówię: »To Ty, mój Umiłowany, to Ty zsyłasz mi cierpienia«. Potem me serce rozplywa się w małych cierpieniach, szczególnie w tej goryczy o smaku żółci i piołunu, gdyż wszystko pozostałe wydaje mi się różami w porównaniu z tym ostatnim”.

Zdarzyło się, że w tym czasie i Klaudiusz Martin nie był zdolny do pracy z powodu konsekwencji długiej choroby, która go dotknęła w Angers. Nie można sobie wyobrazić nic bardziej delikatnego, niż troskliwość jego dobrej matki, gdy się o tym dowiedziała, podczas gdy sama dla siebie nie miała żadnych względów: „Dowiaduję się, mój bardzo drogi i kochany synu, że jesteś cierpiący i niebywale osłabiony. Chciałabym wiedzieć, jakie to cierpienie i czy jest ono stałe czy przejściowe? Co do cierpień przejściowych to nie należy się nimi przejmować, kiedy chodzi o spełnienie tego, co Bóg żąda; natomiast należy się obawiać stałych. Na pewno przemęczasz się sprawując swój urząd, chociaż dobrze zdaję sobie sprawę, że Bóg cię zaszczyca, dając ci tak wzniosłe zajęcia. Jeśli chcesz oddawać usługi naszemu Panu, musisz się wzmocnić i starać utrzymać w zdrowiu. Wydaje mi się jednak, że jesteś znużony życiem. Ale dlaczego? Skoro jest ono tak dobrze użyte na chwałę Bożą. Kiedy dowiedziałam się, że jesteś chory i osłabiony, myślałam, że moglibyśmy się spotkać na drodze do wieczności, ale w tej chwili inna myśl mnie opanowała, a mianowicie, że gdyby się tak stało, to wyprzedzasz mnie w czasie, ponieważ nie posiadam wcale cnót, a ty mnie już wyprzedziłeś, w stanie, do którego Bóg cię powołał. Mam tylko o dziewiętnaście lat więcej niż ty i właśnie te lata wprowadzają mnie w zakłopotanie. Byłeś już zakonnikiem, nie mając lat dwudziestu, a ja miałam trzydzieści jeden, kiedy porzuciłam świat. Wreszcie, mój bardzo drogi synu, więcej pracowałeś ode mnie. Dokończ więc, a raczej Bóg w swej dobroci niech dokończy dzieła w tobie. Módl się, by okazał mi miłosierdzie i nie pamiętał wszystkich moich ułomności. Jednakże żyję w wielkim spokoju, ponieważ mam do czynienia z dobrym Ojcem, który zawsze obsypywał mnie łaskami. Ufam, że i nadal mi ich nie poskąpi, a po śmierci przyjmie mnie na swoje łono za pośrednictwem swej Matki. Kiedy otrzymasz wiadomość o mojej śmierci, staraj się wyzebrać ile tylko będziesz mógł Mszy świętych w mojej intencji. Błagam się o to i ufam ci pod tym względem”.

Maria od Wcielenia potrafiła w czasie swej choroby i cierpienia wziąć w ręce interesy klasztoru, narażone na szwank przez niesprawiedliwe sprawozdania. Urszulanki dzieliły pod tym względem los biskupa i prawie wszystkich uczciwych ludzi w kolonii, którzy wycierpieli dużo podczas osiemnastomiesięcznych rządów pana Augustina de Saffray Mézy (1663-1665). Maria pisała ze smutkiem: „Nie można uwierzyć jak wielu oszczerców wystąpiło przeciwko naszemu Biskupowi, przeciwko Wielebnym Ojcom, przeciwko nam i kilku osobom zasłużonym; a to wszystko przeważnie z powodu dóbr doczesnych. Napisano listy szkalujące, które doszły aż do króla. Ale Jego Królewska Mość wykrył oszustwa oszczerców i niewinność sług Bożych”. Co się tyczy wspólnoty urszulanek, to chodziło tu o koncesję ziem nieuprawnych, które zostały jej przyznane przez Towarzystwo Stu Zjednoczonych, a do użytkowania których nie chciano sióstr dopuścić. Największymi były dobra lenne tak zwane Sainte-Croix, położone na prawym brzegu rzeki w odległości 36 mil od Québec. Z roczników klasztornych można wnioskować, że zakonnice nie

miały wówczas z tych gruntów żadnych dochodów oraz że nawet w przyszłości szczęśliwi koncesjonariusze „płacili ogółem w pomyślnych latach sto czterdzieści jeden lirów czynszu”. Nie było więc czego zazdrościć.

Maria pisze dalej: „Chciano odebrać nam naszą koncesję mówiąc, że nasze dokumenty są fałszywe, chociaż są prawnie potwierdzone. Debaty nad tym toczyły się właśnie w chwili, gdy byłam prawie u progu śmierci; jednakże nasz Pan uczynił mi tę łaskę, że mogłam napisać odwołanie przeciwko tym panom. Posłałam papiery do pana gubernatora, błagając, aby odroczył sprawę aż do przyjazdu pana de Tracy, który po zapoznaniu się ze wszystkim ją załatwi. Gubernator wyświadczył mi tę łaskę pomimo sprzeciwu jego rady, która w dziwny sposób wystąpiła przeciwko mnie”.

Maria słusznie przewidywała, że nowy przedstawiciel Francji przywiezie pokój i sprawiedliwość. Wszyscy oczekiwali jego przyjazdu. Wiadomo było, że Ludwik XIV udzielił mu specjalnych pełnomocnictw „tak szerokich - pisała Maria po zapoznaniu się z nimi - że nie mogły być poważniejsze, chyba gdyby był monarchą absolutnym”. Markiz de Tracy przybył do Kanady jako Namiestnik Generalny Jego Królewskiej Mości w Ameryce Północnej, a za nim mieli przyjechać panowie de Courcelles i Talon: pierwszy przeznaczony na gubernatora, drugi na intendenta. Dnia 5 czerwca 1665 roku, po zwiedzeniu Gujany i innych amerykańskich kolonii, do portu w Québec przybył pan de Tracy. Miasto, w którym było siedemdziesiąt domów, wykoszowało się, aby godnie go przyjąć, ale on nie chciał tych honorów. Pierwszą wizytę złożył w kościele, gdzie podczas hymnu dziękczynnego ten szlachetny chrześcijanin klęczał na kamiennej posadzce sanktuarium jak najskromniejszy marynarz z załogi.

Québec był następnie świadkiem przybycia kolejno dwudziestu czterech kompanii pułku z Carignan, wyborowanych żołnierzy, którzy rok wcześniej wyróżnili się w walkach przeciwko Turkom w bitwie o Saint-Gothard.

O. Ferland pisze: „Francuzi urodzeni tutaj i Indianie patrzyli jak na nowe i cudowne zjawisko na to regularne wojsko, poprzedzone przez orkiestrę wojskową, defilujące z rozwianymi sztandarami i manewrujące ze sprawnością, o jakiej nie miało się pojęcia w Kanadzie”.

Maria od Wcielenia wkrótce doświadczyła życzliwości królewskiego wysłannika pana de Tracy. Pisała w sierpniu 1665 roku: „Zapoznał się on z naszymi sprawami, obiecał zaopiekować się nami, czeka on na przyjazd pana intendenta, aby wszystko załatwić”. A widząc, z jaką gorliwością zajmował się sprawami dobra ogólnego, pisała: „Już opracował bardzo piękne regulaminy; wierzę, że jest to człowiek przez Boga wybrany w celu solidnego umocnienia tego kraju dla wolności Kościoła i dla zaprowadzenia wymiaru sprawiedliwości. Okazuje on wielką pobożność; całe jego otoczenie, oficerowie i żołnierze idą za jego przykładem. Chociaż liczy już sześćdziesiąt trzy lata, chce sam dowodzić wojskiem przeciwko Irokezom, aby niczego nie brakło, co może zapewnić powodzenie tej wyprawy. Dokonał on cudów na wyspach Ameryki, gdzie zmusił wszystkie ludy do posłuszeństwa królowi. Mamy nadzieję, że uczyni to samo z narodami Kanady”.

Ponieważ zbliżała się zima, główną wyprawę odłożono do następnego roku. Na razie w całym kraju budowano forty, przygotowywano wielką liczbę płaskich statków, zdolnych przepływać wodospady i progi rzeczne. Kilka mniejszych wypraw dało odczuć Irokezom, jaki los ich czekał. Co jest interesujące we wspomnieniach z tego okresu, to odwaga żołnierzy. Maria pisała do swego syna: „Cała armia jest zdecydowana dać dowód swej wiary i odwagi. Powiedziano żołnierzom, że jest to święta wojna, w której chodzi tylko o chwałę Bożą i zbawienie dusz i w której można więcej korzyści sobie w niebie zapewnić niż majątku na ziemi. Wreszcie, aby ich do niej zachęcić, starają się wpoić im uczucia prawdziwej pobożności. W tym względzie nasi Wielebni Ojcowie dokonują cudów. Pięćset osób wpisało się od szkaplerza Matki Bożej. My te szkaplerze z wielką radością przygotowujemy. Ci żołnierze odmawiają codziennie różaniec Świętej Rodziny z taką wiarą, iż Bóg za pomocą cudów okazał, że ich gorliwość jest mu miła”. Odmawianie różańca Świętej Rodziny było praktykowane przez bractwo świeżo założone pod tym imieniem przez biskupa de Laval.

Wyruszenie wojska poprzedził szereg uroczystości religijnych, jakich Québec nigdy jeszcze dotąd nie oglądał, co przyczyniło się do odświeżenia w duszach pobożności. Urszulanki były tym zainteresowane. Maria napisała swemu synowi: „Brałyśmy i my też pośrednio udział w przeniesieniu relikwii św. Flawiusza i św. Felicyty, ofiarowanych przez papieża naszemu biskupowi dla tego kraju. Dołączono do nich także inne sławne relikwie. Czterdziestu siedmiu duchownych w komżach, kapach, ornatach i dalmatykach brało udział w procesji. Ponieważ należało zanieść relikwie do czterech kościołów w mieście, miałyśmy pociechę oglądania tej wspaniałej ceremonii. Wicekról pan de Tracy, gubernator, pan de Courcelles oraz dwóch najpoważniejszych przedstawicieli szlachty nieśli baldachim. Najwyżsi dostojenstwem wśród księży podjęli się dźwigania czterech wielkich relikwiarzy, ustawionych na bogato przystrojonych noszach. Procesja, wychodząc z kościoła, pozostawiała tam jeden z relikwiarzy. Orkiestra nie przestawała przygrywać, tak podczas drogi, jak i podczas postojów. Biskup szedł w procesji ze świętymi relikwiami w stroju pontyfikalnym. Kilka dni wcześniej poświęcił bardzo uroczyście kościół katedralny i obiecuje sobie poświęcić nasz w roku przyszłym. Nigdy bym nie ośmieliła się przypuszczać, że ujrzę taką wspaniałość Kościoła w Kanadzie, gdzie w chwili mego przybycia wszystko było nieokrzesane i dzikie. Przyjemnie jest widzieć, że pan de Tracy udaje się pierwszy na te święte ceremonie, nie chcąc stracić ani chwili. Zauważono, że przez sześć godzin z rzędu przebywał w kościele. Jego przykład sprawia, że ludzie idą za nim, jak dzieci za ojcem. Dzięki autorytetowi, jakim się cieszy, przez swą pobożność podtrzymuje wiarę w innych”.

Wojska wyruszyły 14 września 1666 roku, w święto Podwyższenia Krzyża Świętego. To motywy religijne podyktowały wybór tego dnia. Korpus ekspedycyjny składał się z tysiąca dwustu Francuzów i stu Indian. Pierwszy miał być zaatakowany kanton Agniers, jako najbardziej wiarołomny i zdraziecki z pięciu plemion irokeskich. Jeden z wodzów tego kantonu był wówczas więźniem w Québec w forcie Saint-Louis. Maria opowiada w liście: „Kiedy wojsko już ustawiało się do wyruszenia, pan de Tracy rozkazał, by przedefilowano przed tym Indianinem. Łzy płynęły z jego oczu, gdy widział oddziały w tak pięknym szyku. Ononthio powiedział: »Widzę, że jesteście zgubieni, ale nasza zagłada drogo cię będzie kosztować. Uprzedzam cię, że po-

zostawisz tam wielu ze swych młodzieńców, gdyż nasz naród bronić się będzie do upadłego. Proszę cię tylko, ocal moją żonę i dzieci». Obiecano tak zrobić, jeśli to będzie możliwe”.

W kilka dni po wyruszeniu wojsk, którym towarzyszyły modlitwy urszulanek, Maria pisała: „Nieprzyjaciół posiada dobre forty i armaty, jest odważny i bezsprzecznie trudno go będzie pokonać. Ale nasi francuscy żołnierze są też pełni zapału, nie boją się niczego i są zdecydowani na wszystko. Postanowili na swoich plecach przenosić przez wiry armaty, a nawet szalupy, co jest rzeczą niesłychaną. Wydaje się tym wojskom, że idą oblegać raj i mają nadzieję, że zdobędą go i wejdą tam, ponieważ walczą za wiarę i religię. Odebrałyśmy właśnie te wiadomości i poza tym zapewniamy nas, że całe wojsko cieszy się dobrym zdrowiem, że pan gubernator prowadzi przednią straż, a pan de Chambly straż tylną; pan de Salières dowodzi pułkiem, a pan de Tracy, jako generalissimus – całym korpusem. Nasi nowi chrześcijanie Indianie idą z armią wraz z młodymi Francuzami – Kanadyjczykami, którzy są bardzo waleczni i umieją biegać po lasach jak dzicy. Wiadomości o walkach nie będziemy mieli wcześniej niż za piętnaście dni. Pomimo tego całe miasto pogrążone jest w modlitwie i rozpoczęło czterdziestogodzinne nabożeństwo, które będzie się odbywało kolejno w czterech kościołach, ponieważ od pomyślnego lub niepomyślnego wyniku tej wojny zależy dobra albo zła dola całego kraju”.

Wreszcie 12 listopada Maria od Wcielenia donosiła o szczęśliwym wyniku kampanii. Nie możemy tu przytoczyć więcej, jak tylko kilka fragmentów tego listu, w którym w sposób żywy i barwny opisuje zapał towarzyszący zwycięstwu: „Naszych tysiąc trzystu ludzi szło do walki jak po zwycięstwo. Przemaszerowali przez miejsca najtrudniejsze, jakie sobie można wyobrazić, gdyż trzeba przechodzić w bród kilka rzek i iść ścieżkami, które nie są szersze od szerokości deski, pełnymi wystających kamieni i wybojów. Sto pięćdziesiąt mil dzieli Québec od fortów pobudowanych na rzece Irokezów; ta część drogi jest dosyć łatwa, ponieważ można płynąć łodziami lub szalupami, nie będąc zatrzymanym przez zbyt liczne wiry. Natomiast posuwanie się dalej wymaga już cudu zważywszy, że trzeba nieść na plecach żywność, broń i bagaże. Dowódcy zresztą niosą ciężary tak samo jak inni, gdyż żadne zwierzę nie mogłoby przejść przez miejsca tak wąskie i tak niebezpieczne. Znajdowali się oni czasami w wielkim niebezpieczeństwie. Pewien żołnierz chciał przenieść przez rzekę pana de Tracy, który jest jednym z najwyższych ludzi jakiego kiedykolwiek widziałam. Kiedy był pośrodku rzeki, gdzie szczęśliwie napotkał na skałę, zrzucił na nią pana de Tracy, ponieważ był bliski omdlenia; widząc to jeden z Huronów, mocny i odważny, rzucił się w tej chwili do wody, aby wyratować pana de Tracy z niebezpieczeństwa i przeniósł go na drugi brzeg.

Wojsko zbliżyło się do wsi Irokezów w dzień św. Teresy. Pogoda była tak okropna, że zwątpiono, czy da się to zrobić. Jednak pan Tracy nie tracił ducha i kazał wojsku maszerować przez całą noc. Wkrótce popłoch ogarnął Irokezów, którzy aby móc się lepiej bronić, pośpiesznie odesłali dalej kobiety i dzieci. Nasi ludzie szli naprzód z biciem w bębny, zdecydowani zaatakować ich otwarcie polegając tylko na swojej zręczności i odwadze i polecając się opiece Bożej. Widząc ich zbliżających się w porządku i bez strachu, Irokezi tak się przerazili, że nie czekając ataku opuścili swą wieś i cofnęli się do innej. Gdy nasi żołnierze tam weszli, splądrowali ją, spa-

lili i udali się w pogoń za nieprzyjacielem. Wódz z drugiej wsi nie czekał już na nadejście Francuzów, ale pierwszy umknął. Wszyscy poszli za jego przykładem tak, że w czterech miasteczkach nie pozostał ani jeden człowiek, natomiast tyle żywności, naczyń i różnego rodzaju rzeczy, że nic im nie brakowało. Spodziewano się zastać chaty i szałas pasterskie, a wszystko było takie piękne i przyjemne, że pan Tracy i wszyscy byli zdziwieni, znajdowały się tam chaty długości na sto dwadzieścia stóp, odpowiednio szerokie, mogące pomieścić każda osiem lub dziewięć rodzin”.

Pierwszą rzeczą, jaką uczyniono, było zaśpiewanie *Te Deum*, aby uwielbić Boga za to, że sam pokonał swych wrogów napełniając ich strachem. Czterech księży, którzy towarzyszyli wojску, odprawiło Mszę świętą. Potem ustawiono wszędzie krzyże z herbami Francji, aby wszystkie te krainy przejść w posiadanie Jego Królewskiej Mości. Na znak radości podłożono ogień pod cztery miasteczka i forty i spalono całe zboże zarówno zebrane, jak i to jeszcze na polu. Chaty i spichlerze były tak zapełnione żywnością, że było tego dosyć, aby wyżywić całą Kanadę przez całe dwa lata. Po uprzednim wydzieleniu zapasów koniecznych do wyżywienia armii wszystko spalono. W jednym z miasteczek znaleziono staruszka, który schował się pod łóżkiem, a pan de Tracy łaskawie darował mu życie. Maria od Wcielenia pisze dalej: „Ten człowiek wyjawiał, że gdy mieszkańcy jego wsi zobaczyli wielką armię, która wydawała im się, że liczy powyżej czterech tysięcy ludzi, tak się przerazili, że wódz powstał i powiedział do nich: »Bracia, ratujmy się, cały świat jest przeciwko nam, po czym rzucił się do ucieczki, a wszyscy za nim«. Nieprzyjaciel nie mylił się co do liczebności armii. Wydawała się ona taką nawet naszym, a pan de Repentigny, który dowodził siłami francusko-kanadyjskimi, zapewnił mnie, że gdy wszedł na wzgórze, by przekonać się, czy nie ma gdzie jeszcze Irokezów i spojrzał na nasze wojsko, ujrzał je tak liczne, iż przypuszczał że dobrzy aniołowie się do niego przyłączyli. Z wrażenia był zupełnie oszalały. To są jego dokładne słowa”.

Maria od Wcielenia kończy tymi słowami: „Nasz Pan wysłuchał w swojej dobroci modlitwy, któreśmy tutaj zanosili w intencji powodzenia w tej wojnie. Nabożeństwo czterdziestogodzinne odprawiało się bez przerwy od 1 października do 2 listopada, kiedy to dostaliśmy wiadomość o wojsku. W każdej poszczególniej rodzinie modlono się tak samo nieprzerwanie jak w kościołach publicznie. Jednakże otrzymawszy wiadomość o ucieczce nieprzyjaciela zamieniliśmy nasze suplikacje w modlitwy dziękczynienia. *Te Deum* zostało odśpiewane z wielką okazałością i bardzo uroczyście. Posyłam ci, mój drogi synu, to krótkie streszczenie, abyś mógł błogosławić Boga za Jego wielką opiekę nad naszymi Francuzami, którzy powrócili wszyscy w dobrym zdrowiu”.

Ta porażka dumnego szczepu Agnierów skłoniła sąsiednie kantony do proszenia o pokój bez żadnych warunków, a raczej zgadzając się na wszystko, czego od nich wymagano. Aby otrzymać misjonarzy musieli przysłać do Québec kilka rodzin jako zakładników. Urszulanki na tym korzystały, mogąc wreszcie zająć się córkami Indian, którzy do niedawna byli zagrożeniem dla kolonii. I rzecz dziwna, te właśnie dzieci z rasy szczególnie okrutnej okazały się najbardziej podatne na przyjęcie zasad cnoty i dobrego wychowania. Maria pisze: „Jedna z kobiet irokeskich

dała nam swoją córkę pod warunkiem, że będzie Francuzką jak my. To dziecko, które jest bardzo roztropne, tak zasmakowało już w tajemnicach wiary i naszych zwyczajach, że nie chce powrócić do swoich rodziców. Z usposobienia podobna jest do kobiet swego plemienia, które są stworzeniami najbardziej uległymi i łagodnymi na świecie”.

Wydaje się, że Maria od Wcielenia miała słabość do tych małych córek Irokezów. W liściach wielokrotnie daje wyraz radości z powodu możliwości ich nauczania. „Są one najłagodniejszymi i najuległejшими z naszych uczennic”. Pan Tracy sam powierzył urszulankom kilka takich dziewczynek wraz z innymi dziewczętami indiańskimi, które dotychczas znajdowały się w niewoli w kraju pokonanym, a które dzięki jego staraniom odzyskały wolność.

Pomiędzy tymi ostatnimi były dwie młode Francuzki, Magdalena Bourgeri i Anna Bailargeon, porwane dawniej w okolicy Québec przez Irokezów. Roczniki klasztoru mówią: „Dobry pan de Tracy wykupił je, zaadoptował jako swoje dzieci i umieścił w naszym pensjonacie, zobowiązując się płacić za ich utrzymanie czterdzieści osiem talarów rocznie”. Kiedy weszły do klasztoru po raz pierwszy, miała miejsce wzruszająca scena. Spostrzegłszy w sali zgromadzenia portret Marii od św. Józefa⁶⁶, Anna szalenie się tym przejęła i prawie nieprzytomna z wrażenia wykrzyknęła: »Ach to ona, to ona do mnie mówiła. Miała ten sam strój na sobie«. Zakonnice, bardzo zdziwione tymi słowami, chciały dowiedzieć się czegoś więcej. Wtedy dziewczyna opowiedziała, że po wzięciu jej do niewoli, gdy miała dziewięć lat, tak zasmakowała swobodnego życia wypełnionego włóczęgą po lasach, że postanowiła pozostać u dzikich do końca życia. Kiedy Francuzi zmusili Irokezów do oddania wszystkich jeńców, ukryła się w lesie z obawy, by nie odebrano jej rodzinie, która ją przyjęła za swoje dziecko. Jednakże w momencie, gdy przypuszczała, że uniknęła poszukiwań, zjawiła się przed nią jakaś zakonnica, której rysy rozpoznała teraz na obrazie, która groziła jej surowymi karami, o ile nie powróci do Francuzów. Przejęta strachem, wyszła z lasu i przyłączyła się do innych jeńców, których uwalniano”.

W tym czasie nawet sławny poseł irokeski Garakontié dał urszulankom sposobność do wykazania ich pełnej miłosierdzia gorliwości. Obdarzony delikatnością uczuć i prawością charakteru potrafił zyskać szacunek i wdzięczność Francuzów, gdyż wielu z nich wyrwał z rąk swych ziomków, uwalniając od spalenia i osobiście przywiózł ich do kraju. Historia klasztoru opowiada: „Garakontié znał dobrze drogę do klasztoru, jak również hojną kuchnię naszej pani fundatorki. I tak za każdym razem, gdy przybywał do Québec, można było być pewnym, że zjawi się przed kratą wraz z towarzyszącą mu świtą dzikich wojowników, których wyczyny tak często przerażały naszą kolonię. Podczas jednej z takich wizyt Maria od Wcielenia podarowała mu haftowany pas. Ten podarunek uważał za wspianiały i od tej pory nie przestawał pokazywać się w nim ku zachwytowi ziomków, co stwierdzają pisma misjonarzy”.

⁶⁶ Portret Marii od św. Józefa był przysłany z Francji do Québec. Maria pisała w 1653 roku do m. Franciszki od św. Bernarda: „Obiecuję nam Matka portret naszej drogiej Siostry. Znowu więc ją ujrzymy, obraz ten będzie pociechą dla tych, które ją widziały, a przedmiotem czci dla tych, co po nas przyjdą”.

Garakontię był już chrześcijaninem w sercu i postanowił zerwać z pogaństwem. Maria pisała w 1670 roku: „Wielebny nasz biskup ochrzcił tego sławnego wodza, gubernator był jego ojcem chrzestnym i nadał mu imię Daniel”.

Wszystkie okoliczności sprzyjały wtedy francuskim akcjom w Kanadzie. Nieprzyjaciele zmuszeni do poddania się, przyjmowali nauczanie zasad wiary i tworzyły się wśród nich wzorowe gminy chrześcijańskie. W plemieniu Agnierów miał wkrótce Pan Bóg zebrać plon w postaci świętej Irokeski, Katarzyny Tekakwitha (1656-1680), dziewiczego kwiatu (*Lily of the Mohawks*)⁶⁷.

W przyszłości wojownicy z Pięciu Kantonów, podburzeni przez swych sąsiadów Anglików, podnieśli jeszcze raz przeciwko Francuzom topory wojenne. Zostali bezpowrotnie rozgromieni dopiero w 1696 roku za czasów hrabiego de Frontenac, gubernatora Nowej Francji. Maria od Wcielenia nie była już świadkiem tych ponownych krwawych walk. Przy końcu swego życia mogła rozkoszować się szczęściem tak drogo okupionego spokoju. Przeglądając korespondencję z lat 1665-1671, z przyjemnością czyta się fragmenty wyrażające jej radość i podziw dla wzrastającego dobrobytu kraju oraz jej nadzieje związane z szerzeniem wiary.

Wkrótce po przybyciu pana de Tracy pisała ona: „Pieniądz, który był rzadki w kolonii, jest teraz pospolity, gdyż ci panowie przywieźli go pod dostatkiem. Płacą pieniędzmi za wszystko co kupują – jest to bardzo wygodne dla naszych mieszkańców. Jest rzeczą zadziwiającą patrzeć, jak kraj się zaludnia i rozwija. Jego Królewska Mość nie skąpi niczego, zachęcony przez przybyłych szlachciców, którzy uważają pobyt tutaj za zachwycający w porównaniu z pobytem na wyspach Ameryki, skąd przybyli i gdzie upał jest okropny. To prawda, że te wyspy są bogate z powodu uprawy cukru i tytoniu, które eksportują, jednakże nie można tam uprawiać zboża. Tutaj natomiast uprawa zboża, jarzyn, i różnych rodzajów ziarna doskonale się udaje. Ziemia jest ziemią pszeniczną, im bardziej odkrywa się ją wycinając lasy, tym bardziej staje się urodzajna. Jednakże ta urodzajność nie zapobiega temu, że jest tu duża liczba biednych. Powodem tego jest to,

⁶⁷ Jej matka była chrześcijanką z plemienia Algonkinów, natomiast ojciec poganinem Mohawkiem. Kiedy Tekakwitha miała 4 lata, została osierocona w czasie epidemii czarnej ospy. Przeżyła ospę, ale pozostały jej blizny na twarzy i uszkodzony wzrok. Następnie została adoptowana przez wuja. W 1676 r. została ochrzczona przez misjonarza jezuitę. Na chrzcie otrzymała imię Kateri na cześć św. Katarzyny ze Sieny. Z powodu jej wiary obrzucono ją obelgami, a w końcu nawet jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Zmuszona była do ucieczki ze swojej osady. Dotarła do oddalonej o ok. 200 mil (ponad 360 km) wioski Sault-Sainte-Marie niedaleko Montrealu, gdzie była katolicka misja. Podróżowała wraz z jednym z Indian z jej plemienia, przeważnie szlakami wodnymi, rzeką i jeziorami i po części tylko lasami. Podróż ta zajęła im około dwóch tygodni. Zamieszkała w chacie Anastazji Tegonhatsihonga, chrześcijanki pochodzenia indiańskiego. Tam w Sault-Sainte-Marie, w 1677 w Boże Narodzenie przyjęła pierwszą Komunię Świętą, a w 1679 w święto Zwiastowania Pańskiego złożyła ślub czystości. Ofiarowała się również Matce Najświętszej. Zasłynęła z pobożności, prostoty i licznych umartwień. Swoje dalsze życie poświęciła nauczaniu dzieci modlitwy i opiece nad chorymi. Jej grób w rezerwacie Kahnawake w prowincji Québec w Kanadzie stał się miejscem pielgrzymek chrześcijan Indian i francuskich kolonistów. Atrybutami św. Katarzyny Tekakwitha są: *biała lilia*, jako symbol czystości, *krzyż w rękę*, jako wyraz jej miłości do Chrystusa i *żółw*, jako symbol jej klanu. Jest czczona przez Kościół Katolicki jako opiekunka ekologii, przyrody i środowiska naturalnego. Jest także patronką wygnańców, sierot, ludzi wyśmiewanych z powodu ich pobożności.

Była pierwszą Indianką chrześcijanką z Ameryki Północnej, wobec której rozpoczęto proces beatyfikacyjny w 1884 za pontyfikatu Leona XIII. 3.01.1943 Pius XII ogłosił, że córkę wodza Mohawków można nazywać Sługą Bożą. Beatyfikował ją 22.06.1980 Jan Paweł II jako pierwszą Indiankę – chrześcijankę. 19.12.2011 zatwierdzono cud niezbędny do kanonizacji bł. Katarzyny. Kanonizowana 21.10.2012 w Rzymie przez Benedykta XV.

że kiedy rodzina zaczyna się budować, potrzebuje dwu lub trzech lat czasu zanim stanie się samowystarczalna. Gdy jednak te pierwsze trudności przeminą, nasi ludzie żyją w dostatku i jeśli umieją roztropnie postępować, z czasem stają się bogatymi. W tej chwili jest tu wiele pięknych miasteczek, wsi i wiosek na przestrzeni powyżej stu mil, nie mówiąc już o domostwach pojedynczych i rozproszonych”.

Bóg i Francja są tymi dwoma siłami, od których Maria uzależniała wszystko, co się działo w kolonii. „To, do czego się tu najbardziej dąży, to chwała Boża i zbawienie dusz; nad tym się pracuje”. Maria spoglądała też z zazdrością na te żyzne okolice położone na południe od rzeki św. Wawrzyńca, dzisiaj najgęściej zaludnione i najbogatsze w Stanach Zjednoczonych. Pisała w 1667 roku: „Gdyby Nowa Holandia, obecnie zajęta przez Anglików, należała do króla francuskiego, stalibyśmy się panami wszystkich ludów, które nas od niej oddzielają i można byłoby stworzyć cudowną francuską kolonię. Forty, które nasi żołnierze wznieśli na rzece Irokezów, będą utrzymane z ich garnizonami. Dużo się karczuje, szczególnie w fortach Chambly i Sorel. Ci panowie, którzy są ludźmi bardzo uczciwymi, z pozwoleniem króla zakładają tam małe kolonie. Utrzymują się z gospodarstwa, gdyż mają woły, krowy i drób; są tam też piękne jeziora obficie zarybione, a zwierzyna jest liczna o każdej porze roku”. W innym miejscu pisze do syna: „Rzeczą cudowną jest słuchać opowiadań o piękności i doskonałości tego kraju. Wielka przestrzeń jest już uprawiona, znajdują się tam piękne łąki, gdzie trawa wyrasta na wysokość człowieka. Zboże indyjskie dochodzi do dwunastu i trzynastu stóp wysokości; kłosa są długie i każdy kłos daje powyżej czterystu ziaren”. Opowiadając o hojności króla w stosunku do kolonistów w Nowej Francji, Maria pisała: „Jego Królewska Mość przysyła do Kanady konie, kłaczki, kozy i owce, aby zaopatrzyć kraj w zwierzęta domowe. Nam przeznaczono dwie piękne kłaczki oraz konia do pługów i do przewożenia”.

W dwa lub trzy lata później pojawiły się nowe niespodzianki, gdy Pan Talon, zajmujący się robotami publicznymi, otworzył w Québec przemysły dotychczas nieznane. Maria pisze: „Wydał on zarządzenie, aby przerabiać konopie i wyrabiać płótna i serże. Już to zaczęto robić i przemysł ten rozwija się powoli. Kazał on wybudować halę targową, browar i garbarnię z powodu wielkiej ilości skór zwierzęcych w tym kraju. W przeszłości takie fabryki nie były znane w Kanadzie. Jeżeli to się powiedzie, zmniejszą się w znacznym stopniu wydatki, które musimy robić, aby wszystko ściągać z Francji. Namawia się kobiety i dziewczęta, by uczyły się prząść. Chcą, abyśmy w tym kształciły nasze seminarzystki, Francuzki oraz Indianki i w tym celu dostarczają nam materiałów”.

Markiz de Tracy, który trzymał w swym ręku wszystkie te przedsięwzięcia, przebywał tylko dwa lata w kolonii. Maria pisała do syna w październiku 1667 roku: „Tracimy pana de Tracy. Król, który wzywa go do Francji, przysłał wielki okręt wojenny, by go przywiózł ze wszystkimi honorami. Ten nowy Kościół i Kanada w ogólności tracą w nim więcej niż można to wypowiedzieć, gdyż szczęśliwie przeprowadził ekspedycje, których nigdy nie ośmielono by się przedsięwziąć. Bóg dał to powodzenie z powodu religijności swego sługi, który pozyskał wszystkich swymi uczynkami i przykładem cnót i pobożności. My szczególnie dużo tracimy, gdyż buduje

nam kaplicę, która będzie go kosztowała powyżej 2.500 lirów. Jest on najlepszym przyjacielem, jakiego miałyśmy od czasu, gdy jesteśmy w tym kraju”.

Ta kaplica była przybudówką do kościoła klasztornego, który pani de la Peltrie właśnie odbudowała na swój koszt. Szlachetny markiz de Tracy położył tam kamień węgielny w kwietniu 1667 roku. Na kilka dni przed wyjazdem zechciał dać urszulankom ostatni dowód swej pamięci, biorąc udział w poświęceniu ich kościoła.

Maria pisała dalej: „Nasz biskup na prośbę pana de Tracy z nadwyzajną wspaniałością konsekrował kościół pod wezwaniem św. Józefa. Wszystko było zachwycające, a ceremonie dokładnie według ceremoniarza rzymskiego”.

W tym czasie Maria od Wcielenia bez przerwy znosiła cierpienia, o których już mówiliśmy i często skarżyła się, że źle spełniała obowiązki przełożonej. Jednakże w roku 1667 została zatwierdzona na tym urzędzie na następne trzy lata. Pisała o. Poncetowi: „Przypuszczałam, że wspólnota zlituje się nade mną i zwolni mnie z przełożenstwa. Moje modlitwy nie zostały wysłuchane i w ten sposób musiałam znosić to ciężkie jarzmo i dołączyć ten ciężar do moich cierpień. Niech wola Boska się spełni! Bóg wkłada na mnie te obowiązki, gdy liczę już sześćdziesiąt siedem lat życia; da mi więc siły, abym im mogła podolać, gdyż czuję w sobie nowy przypływ energii przy załatwianiu naszych interesów, chociaż niektóre z nich są bardzo trudne”.

Pisała do syna: „Całą moją nadzieję pokładałam w opiece Matki Bożej, naszej Boskiej Przełożonej. To Ona wspiera naszą rodzinę w sposób niewidoczny, lecz skuteczny; to Ona prowadzi wszystkie nasze sprawy, to Ona jest tą, która nam pomogła dźwignąć się po pożarze i po wielu innych wypadkach, pod ciężarem których powinniśmy byli się załamać. Ponieważ nie mogliśmy w ostatnich latach mieć zakonnic z Francji, dała nam sześć nowicjuszek z tego kraju, aby pomóc nam w wypełnianiu naszych obowiązków, które rosną z dnia na dzień”.

Wspólnota w Québec składała się wówczas z dwudziestu dwu zakonnic, w tym czterech siostr konwerek. Maria od Wcielenia, jako przełożona zamknęła niedawno oczy m. Dominiki, siostry pani d'Aillerboust, która miała szczęście formować się w życiu zakonnym pod jej kierunkiem. A teraz groziła jej utrata s. Laurencji, o której pozostawiła tak piękną opinię, przytoczoną przez nas na innym miejscu. Siostra ta mówiła na łożu śmierci: „Gdybym posiadała wszystkie królestwa świata, oddałabym wszystkie, aby kupić sobie tytuł siostry konwerski w jednym z domów św. Urszuli”.

Liczba osób zamieszkujących w klasztorze wynosiła wraz z uczennicami, pensjonarkami i służącymi powyżej pięćdziesięciu – w tamtych czasach i w tamtym kraju była to liczba znaczna. Maria od Wcielenia nie była jednak dosyć zasobna, aby zakładać nowe fundacje.

Maria pisała do biskupa Tours: „Był zamiar osadzenia nas w Montrealu, jednakże sprawa ta została odroczone, a opat Queylus, który jest kierownikiem duchownym i od spraw doczesnych panów z Saint-Sulpice, obiecuje nam swe poparcie, gdy sprawa dojrzeje. Nie martwimy się

tą zwłoką, nie mając jeszcze dostatecznych środków do objęcia tak znacznego zakładu. Jego Eks-celencja, który zawsze postępuje rozważnie, jest także tego samego zdania”⁶⁸.

W oczekiwaniu na moment przyszłej fundacji, czego Maria nie miała już ujrzeć na ziemi, pracowała nad umocnieniem w swoim klasztorze ducha Instytutu. Czyniła nadzwyczajne wysiłki dla rozwinięcia podwójnego apostołatu – dla młodych Francuzek i dla dziewcząt indiańskich. Co się zaś tyczy tych ostatnich, to sama przygotowywała nauczycielki, które mogłyby je nauczać. Pisała do swego syna w 1668 roku: „Moim stałym zajęciem podczas poranków zimowych jest nauczanie naszych młodych sióstr tego, co sama umiem z języków tutejszych. Niektóre doszły do tego, że znają prawidła i potrafią analizować wyrazy, gdy tłumaczę im z dzikiego języka na francuski; ale nauczanie się słownictwa jest dla nich niezmiernym trudem – to są dla nich ciernie! Ponieważ te rzeczy są bardzo trudne, postanowiłam przed swoją śmiercią spisać największą ich ilość, jaką tylko będę mogła. Od początku Wielkiego Postu do Wniebowstąpienia napisałam po algonkińsku *Historię Świętą* i inne rzeczy święte. W zeszłym roku napisałam gruby słownik francusko-algonkiński i drugi algonkińsko-francuski⁶⁹. Mówię ci o tym, mój drogi synu, abyś się przekonał, że dobroć Boża daje mi tyle sił, abym moim siostronom stworzyła podstawy do pracy w Jego służbie”.

Wiele hałasu narobił w owym czasie projekt Ludwika XIV, który postanowił przez wychowanie młodzieży zfrancuszczyć plemiona indiańskie Kanady. Misjonarze mieli wychowywać na sposób francuski pewną liczbę chłopców, a urszulanki miały tak samo postępować z dziewczętami. Dobrze znająca od trzydziestu lat charakter tych dzieci lasu Maria od Wcielenia wiedziała, co myśleć o powodzeniu tego planu. Jeżeli przez słowo zfrancuszczyć rozumiano złagodzenie obyczajów lub nabycie cnót pod wpływem chrześcijaństwa, to był cel, do którego ona i jej córki stale dążyły i prawie zawsze go osiągały. Co się tyczy zaś zupełnego nagięcia Indian do zwyczajów narodów cywilizowanych, to w listach do syna wypowiadała dużo zastrzeżeń.

Pisała do syna: „Ponieważ Jego Królewska Mość tak chce, jesteśmy gotowe to uczynić z powodu posłuszeństwa, które jesteśmy mu winne, a przede wszystkim dlatego, że nie chcemy niczego odmówić, co jest dla większej chwały Bożej. Jednakże jest rzeczą prawie niemożliwą zfrancuszczyć ich w ten sposób. Doświadczenie wykazało, że z tych wszystkich dziewcząt, które przeszły przez nasze ręce, zaledwie potrafiłyśmy ucywilizować jedną na sto. Uważamy, że są uległe i sprytne, jednakże w chwili, kiedy się najmniej spodziewamy, wdrapują się jak wiewiórki na naszą palisadę i uciekają do swych rodzin w lasach, gdzie znajdują więcej przyjemności niż w naszych domach francuskich. Taki jest charakter dzikich. Nie mogą być skrepowane. Jeżeli są,

⁶⁸ Urszulanki nigdy nie osiedliły się w Montrealu, gdzie wkrótce rozwinęło się zgromadzenie sióstr Notre Dame, których celem było również wychowanie dziewcząt. Ich założycielką jest s. Małgorzata Bourgeois przybyła z Francji do Kanady w 1653. Podobnie jak urszulanki musiała przechodzić przez ciężkie próby w tych trudnych czasach i zmarła w 1700 roku w opinii świętości. Jej zgromadzenie świetnie się rozwinęło. Sprawa beatyfikacyjna s. Małgorzaty Bourgeois złożona została w Rzymie w roku 1978, rok po sprawie Marii od Wcielenia. Kanada potrafiła docenić zasługi tych odważnych kobiet, które umocniły na jej ziemiach dobrodziejstwa chrześcijańskiego wychowania.

⁶⁹ To, co pozostało z tych drogocennych rękopisów po drugim pożarze, który zniszczył klasztor w 1686, zostało oddane przez urszulanki z Québec na początku tego stulecia udającym się na ewangelizację dzikich plemion na Północy.

stają się melancholijne, a melancholia doprowadza je do choroby. Zresztą Indianie nadzwyczaj kochają swe dzieci; kiedy widzą, że są smutne, nie cofną się przed niczym, by je odebrać i musimy je wtedy oddać”.

Mówiąc o Irokezkach, które objawiały większe skłonności, dodaje: „Nie wiem, czy łatwiej dadzą się ucywilizować niż inne i czy zachowają nadal uprzejmość francuską, w której je wychowujemy. Nie oczekuję tego po nich, gdyż są dzikie, a to wystarcza, aby nie mieć takich nadziei”.

Następnie trzeba było ubrać te dzieci na sposób francuski i zaopatrzyć je we wszystko, „ponieważ ich rodzice uważają, że wyświadczają nam wielką łaskę powierzając je za darmo. Z chwilą, gdy wchodzi one do seminarium, rodzice śpiesznie zabierają ich nędzne łańchmany i zostawiają je nagie. Z tego powodu mamy duże obciążenia”.

Po trzydziestu jeden latach pobytu w tym kraju Maria od Wcielenia mogła napisać w 1670 roku: „Od kiedy jesteśmy w tym kraju, zapomnieliśmy o rozkoszach dawnej Francji, bez których potrafimy się obejść”. A opisując szczegółowo synowi o tym, co dawał im wówczas ogród klasztorny mówi: „Zbieramy jarzyny podobnie jak zboże, aby móc z nich korzystać przez całą zimę, aż do końca maja, gdy śnieg pokrywa ziemię. Co zaś się tyczy drzew, to mamy śliwy, które dobrze okadzone i pielęgnowane dają nam pod dostatkiem owoców przez trzy tygodnie. Nie suszy się tych śliwek w piecu, gdyż pozostaje pestka pokryta skórą, natomiast robi się z nich marmoladę z cukrem, co jest doskonałe. My naszą robimy z miodem i ta przyprawa wystarcza dla nas i dla dzieci. Smażymy też agrest oraz *piminan*, rodzaj bardziej dzikiego owocu, który z cukrem jest pyszny. Zaczynają pojawiać się jabłka: renety i kalwile, bardzo piękne i bardzo dobre, ale sadzonki ich zostały sprowadzone z Francji. Oto nasze gospodarstwo i nasze przysmaki, które we Francji nie uważane byłyby za coś szczególnego”.

Trudności duchowe i dotkliwy brak środków utrzymania wydają się koncentrować Marię od Wcielenia coraz bardziej na apostołacie, które umiłowała całym sercem. Seminarium indiańskie w 1670 rozwijało się jeszcze pomyślnie. Pisała: „Mamy pięćdziesiąt dziewcząt z czterech tubylczych narodów. Dziewczeta te cieszą nas swoją uległością; to jest rozkosz naszych serc, bo dzięki tym uczennicom doświadczamy w pracy wiele radości, których nie zamieniłybyśmy na królestwa”.

A w innym liście pisze: „Zfrancuszczyliśmy kilka z nich i wydałyśmy za mąż za Francuzów. Bardzo są z nich dobre małżeństwa. Jedna z nich pisze i czyta doskonale tak po hurońsku jak po francusku. Nikt nie mógłby przypuścić, że urodziła się dzikuską. Pan intendent był tak tym zachwycony, że nakłonił ją do napisania czegoś w swoim języku i naszym, aby zawieźć to do Francji i okazać jako rzecz nadzwyczajną. Pan Talon miał zresztą w klasztorze grupkę swych protegowanych, które tam umieścił i których postępami stale się interesował.

W tym okresie tak liczne niegdyś plemiona indiańskie zostały zdziesiątkowane przez wojny i głód. Urszulanki, planując przyszłość, myślały o zmniejszającej się liczbie ludności tubylczej. Inaczej przedstawiała się sprawa ich posłannictwa wobec dziewcząt francuskich, które

miało rozwijać się z każdym dniem. Maria pisała: „Wszystkie one przechodzą przez nasze ręce. To reformuje kolonię i sprawia, że religia i pobożność panują we wszystkich rodzinach. Codziennie siedem sióstr zajmuje się ich nauczaniem, nie licząc sióstr konwerek zajmujących się pracami zewnętrznymi. W tym zajęciu nie potrzebna nam jest żadna inna nauka jak tylko znajomość naszych reguł. Z takim programem, ułożonym przez Marię od Wcielenia, urszulanki realizowały zasady solidnego, dobrego wychowania. Maria pisała o dziewczętach urodzonych w Kanadzie: „Głowy są tutaj otwarte, a charaktery łagodne i łatwe do prowadzenia”.

Największym szczęściem Marii od Wcielenia było pokorne ukrywanie dobra, które spełniała jej wspólnota. Odpowiadając synowi, który ją o to pytał, pisze: „Oto owoce naszej pracy. Chciałam coś niecoś odkryć, abyś miał odpowiedź na to, co słyszałeś, a mianowicie że urszulanki są zupełnie niepotrzebne w tym kraju, bo *Relacje* o nich mało mówią. Nasi Wielebni Ojcowie i Jego Eksceleńcja nasz biskup są zachwyceni naszym wychowaniem. Pozwalają naszym uczniom przystępować do Komunii św. w wieku 8 lat, uznając, że są tak wykształcone jak tylko możliwe. To, co robimy, mój drogi synu, widzi Bóg, a nie ludzie. Nasza klauzura ukrywa wszystko i trudno jest mówić o czymś, czego się nie widzi. Ale wreszcie, gdy zrobimy wszystko, co będziemy mogły, musimy się uważać za niepotrzebne służebnice i małe ziarnka piasku w wielkim gmachu tego nowego Kościoła”.

Przedstawiając stan klasztoru po trzydziestu latach od założenia, nie zapominajmy o Pani de la Peltrie, która za przykładem urszulanek i według słów pewnego misjonarza pragnęła pracować bardziej owocnie niż czynić wiele hałasu. Nadal, podobnie jak w pierwszych dniach, pełniła funkcję służebnicy, mając zlecone dożywotnie zajmowanie się biednymi. Zawsze jak najchętniej dawała to, o co ją proszono, usprawiedliwiając się przy tym, że nie może czynić tego lepiej. Litość dla nieszczęśliwych czyniła ją nieczułą na jej własne potrzeby. Gdy pewnego dnia jedna z sióstr przekonywała ją, że ma zniszczone suknie, nadające się do oddania biednym odpowiedziała: „O ileż bardziej wolałabym dać im nowe”. Przez pokorę starała się brać udział w umartwieniach na równi z nowicjuszkami i nigdy godziny codziennych zajęć nie były tak regularnie wydzwaniane niż wtedy, gdy tym się zajmowała pani de la Peltrie. Pewnego razu przyszedł do niej małe pensjonarki prosić ją o błogosławieństwo z okazji Nowego Roku. Odpowiedziała: „Moje biedne dzieci, do kogo się zwracacie? Do osoby najbardziej niegodnej na tym świecie?”

Maria od Wcielenia, najlepszy sędzia w sprawach cnoty, w 1667 roku napisała do o. Poncet, na temat szacunku, jaki żywiła względem tej szlachetnej duszy: „Nasza pani fundatorka zdążyła szybkimi krokami na drodze do świętości; jestem tym zachwycona, a gdyby ojciec ją zobaczył, to byłby równie uszczęśliwiony jak ja”. A dwa lata później napisała o swej pobożnej przyjaciółce do przełożonej klasztoru w Mons.

Kłopoty związane z przełożnictwem, jak również ciężar starości, nie zmniejszyły w Marii od Wcielenia czułości matki do syna. W miarę jak zbliżała się do kresu życia, odczuwała raczej coś jeszcze bardziej serdecznego i wzniosłego w wyrażaniu miłości matczynej. 19 października 1667 roku napisała do niego: „To są ostatnie okazje, przez które w tym roku będziesz mógł otrzymać moje listy. W tym krótkim czasie, jaki mi pozostaje w tym życiu, nic mnie więcej nie

pociąga jak rozmowa z tobą”. W dziesięć dni później, korzystając z niespodziewanie nadarzającej się okazji, napisała: „Zrobiłam sobie tę przyjemność napisania do ciebie przez kilka okazji. To słówko piszę tylko po to, aby zapewnić cię o serdecznej przyjaźni, jaką żywię względem twej osoby, która jest dla mnie najdroższa na świecie”.

Wspominała wraz z nim, po upływie czterdziestu lat, ten straszny ból rozstania, teraz powód do radości w Bogu. „Kiedy widziałam, jak przychodziłeś płakać w naszej rozmównicy i przykracie naszego chóru; kiedy wsuwałeś głowę przez okienko do Komunii św.; wchodziłeś na nasze podwórze widząc drzwi do klauzury otwarte dla robotników, a kiedy kazano ci wyjść cofałeś się tyłem starając się mnie zobaczyć, moje siostry nie mogły odgadnąć ogromu cierpienia przepełniającego moje serce z powodu ciebie.... Ostatecznie, mój bardzo drogi synu, oto ty jak i ja doświadczamy nieskończonego miłosierdzia Boga, naszego dobrego Ojca; pozwólmy Mu działać, a zobaczymy wielkie rzeczy, jeśli pozostaniemy Mu wierni”. Kilka stron dalej czytamy to wyznanie, które wyrwało się z serca matki: „Dlaczego, mój kochany synu, prosisz, abym ci wybaczyła, to co nazywasz swymi wybrykami młodości? Trzeba było, abyśmy przez to przeszli, abyśmy potem mieli prawdziwe powody do błogosławienia Boga. Szczerze mówiąc, czułam się winną, że ci wyświadczyłam tyle zła, nawet od czasu, kiedy jestem w Kanadzie”.

Przyjaciele Matki byli przyjaciółmi syna. Ponieważ stosunki między Kanadą i Francją coraz bardziej się zacieśniały, lubiła kierować do niego ludzi, którzy zawozili od niej wiadomości. Kiedy pani Bourdon, żona prokuratora królewskiego, jechała z synem do Francji, Maria pisała do syna: „Proszę cię, abyś przyjął jak najserdeczniej doręczyciela niniejszego listu, gdyż jest to rodzina, którą kocham bardziej niż jakąkolwiek w tym kraju. Nie chcieli odjechać, bez kilku choćby słów moich do ciebie, aby mieć tę pociechę widzenia cię i porozmawiania”. A w innym miejscu donosiła: „Otrzymałam dokładne wiadomości od ciebie przez panie N. i N., którym usta się nie zamykały, kiedy o tobie opowiadały, gdyż tak były szczęśliwe, że cię widziały”.

O. Klaudiusz Martin, gdy był jeszcze przeorem w Angers, w 1664 roku został wysłany jako definitór na Kapitułę Generalną swego Zakonu. Maria od Wcielenia dowiedziawszy się o tym napisała: „O mój bardzo drogi synu, kto mógłby przypuszczać, kiedy zostawaliśmy sami po stracie twego ojca, że Bóg przeznaczy cię do tego nieocenionego szczęścia, jakim jest stan kapłański, a nawet po to cię na świat sprowadził, byś miał zleczone tak zaszczytne prace i wyznaczony był na tak wysokie stanowiska! ... Czy pamiętasz to, co ci kiedyś powiedziałam, że o ile cię opuszczę, On zaopiekuje się tobą i będzie twoim Ojcem?”

W cztery lata później ten pobożny i wykształcony benedyktyn został asystentem generała kongregacji św. Maura, domu Audeberta. Równocześnie polecono mu sprawować funkcję inspektora nad wszystkimi nowicjatami, seminariami młodych profesorów i kursami teologicznymi Zakonu we Francji. Słowa jego matki w tych okolicznościach były wspaniałe: „Nie dziwię się, mój drogi i ukochany synu, że byłeś zaskoczony wyborem twojej osoby na te wysokie stanowiska, ponieważ istotnie musimy zawsze zdawać sobie sprawę, czym jesteśmy naprawdę. Jednakże pozwól się prowadzić Bogu, nie myśląc o swojej bezsilności. Nigdy byś się z tej otchłani sam nie wydostał, ponieważ nigdy nie jesteśmy w stanie zgłębić całej naszej nicości. To wszystko, czego

Syn jej przekroczył wtedy pięćdziesiąt lat i miał poza sobą długie lata życia zakonnego. Maria pod wpływem wdzięczności przepelniającej jej serce pisała do niego: „Podziwiam dobroć Bożą w stosunku do ciebie, iż dał ci siły pozwalające do dzisiejszego dnia znosić umartwienia twego Zakonu, gdyż byłeś dość delikatnej budowy ciała”. Maria zawsze kończy „Niech Jego święte Imię będzie błogosławione za Jego prowadzenie na drodze twojej i mojej”.

ROZDZIAŁ XX

Modlitwa, życie wewnętrzne i cnoty Marii od Wcielenia

Wśród rozlicznych i absorbujących zajęć Maria od Wcielenia dochodziła do coraz ściślejszego zjednoczenia z Bogiem. Ta łaska zjednoczenia i poufnego obcowania ze Stwórcą, która została jej udzielona już w dziesiątym roku życia, była charakterystyczną cechą jej świętości. A ponieważ modlitwa jest podstawą tak wzniosłego stanu, dlatego można powiedzieć, że życie Marii od Wcielenia było nieustanną modlitwą. Będąc w pięćdziesiątym czwartym roku życia, przedstawiła synowi najgłówniejsze fazy swego życia wewnętrznego; ujmuje je jako stopnie modlitwy i jako takie je nazywa⁷². Wszystko u niej zmierzało do tego celu, wszystko ją podnosiło do Boga, zarówno zajęcia zewnętrzne, jak i ćwiczenia duchowne. Klaudiusz Martin pisał: „To, co czyniła na modlitwie, czyniła ciągle i na każdym miejscu. To nie znaczy jednak, aby w czasie swych ćwiczeń duchownych nie była jeszcze ściślej zjednoczona z Bogiem, gdyż wtedy wydawało się, jakby nie była sobą, lecz cała zatopiona w Bogu; nic nie widziała, nic nie słyszała, a oblicze jej pałające, pełne skupienia, zdradzało, do jakiego stopnia jej dusza przepelniona była miłością”.

Pozostawiła po sobie wiele pism, które chyba sam Duch Święty jej podyktował. Z jej dzieł moglibyśmy wykazać, że Maria od Wcielenia była wielką mistyczką swego wieku, nową Teresą wtajemniczoną w najwyższe stopnie kontemplacji. Należałoby wspomnieć, że wtajemniczała w swe życie wewnętrzne, oprócz przełożonych, także swego syna, który również powołany był do wysokiej doskonałości. List pisany do jej ukochanego benedyktyna z 1565 roku, w przededniu jej ciężkiej choroby, zawiera w streszczeniu kilka myśli, zawartych później w jej pamiętnikach.

Rozwodzi się tutaj nad modlitwą wlaną, tzn. niezależną od wysiłków człowieka, która jest darem darmo nam danym przez dobroć Bożą. „Poruszyłeś, mój drogi synu, kilka bardzo delikatnych kwestii, na które postaram się odpowiedzieć, o ile stać będzie na to moją nędzę. W modlitwie wlanej odróżniamy trzy stany, które po sobie następują i które mają swoją specjalną doskonałość. Są dusze, które nie przekraczają pierwszego, inne podniesione są aż do drugiego stopnia, zaś tylko nieliczne dochodzą szczęśliwie do trzeciego. Lecz w każdym z tych stanów są jeszcze stopnie, po których Duch Święty według swej woli podnosi duszę, a czyni to zawsze z wielką miłością i delikatnością, właściwą tylko Bogu najmiłszemu”. Następnie, tłumaczy pierwszy z

⁷² List z 26.10.1653.

tych stanów, który jest modlitwą odpocznienia, w której rozum bez żadnej współpracy ze swej strony jest podniesiony do uwielbienia i podziwiania dobroci Bożej. Dusza czuje się jak gąbka w tym wielkim oceanie, gdzie nie widzi nic więcej prócz Boga. Milczenie jest jej mową; ona nawet sama nie przemawia do Tego, który ją trzyma w tej słodkiej niewoli, gdyż nie ma na to ani sił ani możliwości. Jeżeli ta dusza wierna jest w pełnieniu cnoty, której Bóg od niej żąda, pójdzie dalej i stosunek jej do Boga stanie się głębszy i bliższy”.

Następnie mówi o modlitwie zjednoczenia: „Często towarzyszą jej ekstazy, widzenia wewnętrzne, zachwyty i inne szczególne łaski, których można prędzej doświadczyć niż je wypowiedzieć, gdyż zmysły nie mają tu udziału. Między duszą a Bogiem zawiązuje się nierozzerwalny węzeł, tu Bóg Miłości pragnie być absolutnym Panem duszy, którą posiada i którą podoba Mu się pieścić i zaszczycać w ten sposób. Jeżeli osoba ma liczne zajęcia, ona zajmuje się nimi nie przestając jednak podlegać działaniu Bożemu, a praca przynosi jej nawet ulgę, gdyż zmysły są ciągle zajęte, czyniąc duszę swobodniejszą. Nieraz jednak zajęcia zewnętrzne, a nawet samo życie jest uciążliwe, a to z powodu ciągłych relacji, jakie musi utrzymywać ze stworzeniami; skarży się wtedy Swemu Panu słowami oblubienicy: „Uciekajmy, mój Najmilszy, idźmy szukać samotności”. Te skargi miłosne jedną jej Serce Oblubieńca, który ją obsypuje swymi łaskami i spełnia się na niej wtedy obietnica: »Jeżeli Mnie kto miłuje i Ja go miłuję i Ojciec mój Niebieski umiłuje go i przyjdziemy do niego i mieszkanie uczynimy w nim«. W innym miejscu mówi, że ta modlitwa zjednoczenia jest bardzo pożyteczna, jeżeli kończy się gruntownym praktykowaniem cnót, gdyż choć się człowiek nie zastanawia nad tą lub tamtą cnotą w szczególności, jednakże Bóg, jeżeli On rzeczywiście działa, pozostawia w duszy pociąg do dobrego o wiele silniejszy, niż gdyby mogła to uczynić zwykła modlitwa”.

Wreszcie trzeci stan, najwyższy ze wszystkich, to zaślubiny mistyczne duszy z Bogiem. „Zmysły - mówi czcigodna Matka - są tutaj tak wolne, że dusza, która do tego stanu doszła, może zajmować się bez żadnych rozproszeń tym wszystkim, co jej stanowisko od niej wymaga. Jednakże potrzeba jej wielkiej odwagi, gdyż natura musi do tego stopnia obumrzeć, by Bóg stał się niejako treścią jej istoty. Jest to stały stan, w którym dusza pozostaje w ciszy i w spokoju tak, iż nic nie może jej zaniepokoić, jej pragnienia należą do jej Ukochanego w sposób najczystszy, jaki może być tu na ziemi. Ona doświadcza, czym jest prawdziwe ubóstwo duchowe, nie mogące chcieć nic innego, jak tylko tego, czego chce jej Boska Miłość. Jedna rzecz tylko ją martwi, a mianowicie, że zawsze w tym życiu podlegać będzie niedoskonałościom i że zmuszona jest nosić wszędzie ze sobą swą zepsutą naturę, lecz znajdzie tutaj pole do upokarzania się. Gdy już dusza dojdzie do tego stanu, ani praca, ani cierpienia nie zdołają jej odłączyć od jej Miłości. Jeżeli musi znosić cierpienia, choroby, wznosi się ona niejako ponad ciało i znosi wszystko jakby to ciało było od niej odłączone albo należało do kogoś innego. Maria kończy pokornie: „Wydaje mi się, mój drogi synu, że ci już na wszystkie punkty odpowiedziałam w sposób, w jak stać było na to moją nędzę. Nie wiem jednak, czy to, co ci mówiłam, jest dobre z powodu mej niewiedzy i braku czasu, jak i ze względu na moje wielkie osłabienie, które mi nie pozwala poświęcić się jakiegokolwiek pracy z należytą pilnością”.

Już od dawna Maria od Wcielenia znajdowała się w tym ostatnim stanie, „w którym wszystko jest pokojem i jasnością”. I jak sama się wyrażała, „Duch Święty prowadził ją nieustannie, od prostego do coraz prostszego”. To też coraz łatwiej jej przychodziło spisywanie tych nadzwyczajnych łask. „Po tych wszystkich świętych niepokojach, które miotają mą duszę - pisze w jednym liście - nastał głęboki pokój, który, jak uczy doświadczenie, już nie może być niczym zakłócony. Liczne zajęcia, napady szatana, rozproszenia, jakie sprawiają stworzenia, krzyże i inne cierpienia nie zdołają zamącić tej ciszy, w której Bóg mieszka i wydaje mi się, że nawet dobrowolna niedoskonałość nie mogłaby tego uczynić”. Następnie zauważywszy, że ten głęboki spokój przewyższa wszystkie pociechy, którymi Bóg nieraz obsypuje, tak dalej mówi: „Dusze te znalazłszy swój cel, rozkoszują się w głębi serca Tym, którego kochają. Zaś to wszystko, co poza tym odczuwają, jest tylko nadmiarem nieskończonej miłości Bożej. Cokolwiek się wydarzy, one są spokojne i zadowolone, nie pragną niczego jak tylko spełnienia Przenajświętszej Woli Bożej. Jeżeli są zajęte zewnętrznymi pracami, nie potrzebują czynić tak wiele refleksji, by znaleźć należytą odpowiedź, gdyż Ten, który kieruje nimi wewnątrz, daje im natychmiast natchnienie, co mają powiedzieć lub czynić. Wszystko w ich sposobie działania wskazuje na prostotę i kierownictwo Ducha Bożego. To nie znaczy, by nie prosiły o radę tych, którzy nimi kierują tu na ziemi, gdyż Bóg ma upodobanie w tej zależności i chce, byśmy jej podlegali. Jednakże trudno jest im zdać sprawę z życia wewnętrznego, gdyż stan, w którym się znajdują, jest nacechowany ogromną prostotą; one gubią się w Bogu, który jest Jednością i samą Prostotą. Zanim dojdiesz do tego stopnia, mój drogi synu, wciąż musisz śpieszyć się i biec naprzód w objęciach Boskiej Mądrości”.

W innym liście pisanym do o. Poncet, który towarzyszył jej w podróży do Kanady i spędził kilka lat w Québec, tak mówi: „Co mam pisać, drogi Ojciec, o tej biednej grzesznicy, która zawsze jest taka sama, jaką ją znałeś? Pełno jest we mnie błędów i brakuje mi cnót, bym mogła dojść do tego stopnia, na którym Bóg chce mnie mieć... W tym wszystkim Jego nieskończona dobroć nie pozwala mi cierpieć w stanie zjednoczenia, w jakim się znajduję od wielu lat. Pan utrzymuje mnie ze Sobą w zjednoczeniu, z którego ani na chwilę nie mogę wyjść. Jeżeli zajęcia zewnętrzne nasuwają jakieś obrazy wyobraźni, to są to tylko małe chmurki, podobne do tych, które nieraz pokrywają słońce. Bóg przez ten czas świeci w głębi duszy i pozostawia ją w oczekiwaniu tak jak osoba, która się zagada, gdy rozmawia z kimś innym, nie tracąc sprzed oczu tego, z którym rozmawiała przedtem. Piszę to wszystko, gdyż Ojciec sobie tego życzy, lecz proszę o tajemnicę i spalenie tego listu natychmiast po przeczytaniu.”

Te nadzwyczajne łaski nie przeszkadzały jednak Marii od Wcielenia odczuwać całego ciężaru naszej zepsutej natury. Często oskarżała swoją nieopanowaną wyobraźnię, która, „biegając z jednego miejsca na drugie, przywodziła jej na pamięć przedmioty i wspomnienia próżne i ciekawe”. A zresztą, jak to nieraz często powtarzała, tylko dzięki nieustannemu wyniszczaniu się tak wewnętrznemu, jak i zewnętrznemu utrzymywała to ściśle zjednoczenie z Bogiem. „Byłoby czym zatruwić duszę - pisze dalej - gdyby jej te ofiary ukazano na początku drogi i nie miałyby sił do dokończenia rozpoczętego dzieła, gdyby tajemna moc jej nie podtrzymywała”. Daleka od przewidywania łask, które zwykle otrzymywała na modlitwie, z równą gorliwością przygotowy-

wała się do niej. Nie wiedziała czy będąc prowadzona drogą, na której Bóg wszystko w niej sprawiał, Stwórca nie sprowadzi ją na ścieżkę zwykłą i przeciętną. „Czy wezmę jakikolwiek temat na medytację, czy go sama przeczytałam, czy też słuchałam z największą uwagą, natychmiast wszystko zapominam. To nie znaczy, bym z początku go nie pojmowała, bo niezdolna jestem do medytacji; gdyż w jednej chwili nie zdając sobie sprawy z tego, w głębi duszy zatapiam się w Bogu”.

Dyskrecja Marii od Wcielenia, dotycząca tych wzniosłych rzeczy, odsłania się jeszcze bardziej, gdy się zbierze z jej korespondencji te wszystkie mądre rady, dalekie od wszelkiej nadzwyczajności, które ona daje na temat modlitwy. Do pewnej pobożnej pani pisała: „Dobrze robisz, gdy medytujesz nad tajemnicami z życia i Męki Chrystusa Pana. Gdyż jak można zbliżyć się do Ojca, nie przechodząc przez drzwi, które do Niego prowadzą, to znaczy przez Jego Najświętszego Syna? Przede wszystkim, droga siostró, przygotuj zawsze twój umysł do medytacji, wybierając z góry jakiś temat. Gdy serce twoje już będzie poruszone i będziesz się czuła przyciągnięta do Boga, do kochania Go i rozmawiania z Nim, podziwiaj z szacunkiem, pełnym miłości to, co Jego Boski Majestat raczy Ci ukazać”.

Im więcej Maria od Wcielenia otrzymywała światła, tym bardziej rozumiała, że doskonałość polega na przejęciu się duchem Jezusa Chrystusa zawartym w Ewangelii. Píše na końcu swej relacji: „Obawiam się, że powtarzam się w opowiadaniu tych Boskich zasad, na których zawsze wspierało się moje życie duchowne. Duch Święty bez mojej współpracy podsuwał mi je nieustannie jako wskazówki, zdobywałam je nie przez naukę, ale w formie błyskawic, które rozświetlają ciemności”.

Gdy rozmawiała z synem o tym nadzwyczajnym darze rozumienia ducha Ewangelii, wydawało się, jakby nie mogła przestać o tym mówić. „Jest to dar, którego nie nabywa się w czasie medytacji. Bóg zwykle go udziela po długich oschłościach w Jego służbie i wielkiej wierności łasce. Polega on na zrozumieniu tego, co mówił, czynił, cierpiał nasz najśłodszy Mistrz i Zbawiciel oraz na gotowości woli pójścia za tym światłem. Rozważaj jakikolwiek szczegół z życia ukrytego Boga - Człowieka, tam tyle świętości, którą najwyżsi serafini uwielbiają, uważając siebie za atomy i nicości w porównaniu z tą Boską doskonałością naszego Zbawiciela. To samo można powiedzieć o trzech latach Jego nauczania wśród ludzi, o Jego naukach, Jego cierpieniach i wreszcie o Jego śmierci. Zwłaszcza precudne Kazanie na Górze i przemowa w czasie Ostatniej Wieczerzy są siłą i obroną dla dusz, którym Bóg udzielił tego daru. Są tylko dwie rzeczy - pisze dalej - które zadawałają duszę oczekującą już tylko szczęśliwej chwili uwolnienia się z ziemskiego życia: pierwsza to praktykowanie zasad Ewangelii, albo przynajmniej nieustanne usiłowanie, by je praktykować; druga to słodkie obcowanie z Bogiem, który przez swoje poruszenia pozwala duszy z Sobą rozmawiać, chociaż ona czuje się pyłem i prochem w Jego obecności. Bez tych dwóch pomocy nie mogę zrozumieć, jak można żyć na tym świecie wśród tylu cierni i niebezpieczeństw, które tylko czują na to, by stłumić ducha Bożego w duszy. Lecz dusza w swym spokoju widzi nagle w Jezusie cnoty, które On praktykował, widzi to w sposób tak pociągający, że postanawia we wszystkich swoich czynach naśladować ten Boski wzór. Nigdy bym nie uwierzy-

ła, mój drogi synu, że życie najbardziej wzniosłe składa się z tych dwóch rzeczy, gdybym nie była w tym upewniona w sposób, o którym tutaj wspomnieć nie mogę. Zewnętrznie sądząc, ekstazy i zachwycenia wydają się być czymś wyższym, lecz to nieprawda. Życie naszego ukochanego Zbawcy, Matki Najświętszej i świętych apostołów jest niezbitym dowodem, że tak nie jest. Choć te nadzwyczajne łaski są święte i dobre, skoro pochodzą z Ducha Bożego, są one niczym w porównaniu z cnotami i stanami duszy, o których poprzednio mówiłam i które są przez całe moje życie siłą i podporą. Duch Święty - pisze dalej - tłumaczy, przekonuje i pociąga w sposób tak przedziwny, iż jest niemożliwością cokolwiek Mu odmówić, gdyż działa On w duszy tak, jak w domu, który zupełnie do Niego należy. To słodkie przekonywanie jest Jego mocą, a odpowiedzią duszy jest pozwolić się nieść miłości. Są to wzajemne spojrzenia i porozumiewanie się tak czyste, że nasze słowa są zbyt nieudolne, by mogły to wyrazić. Dusza czuje się spokojna nawet w chwilach trudnych i uciążliwych, pomimo że nasza słaba i nieudolna natura wzdyga się z powodu krzywd i złorzeczeń, które nas dotykają. Pokój i namaszczenie wewnętrzne skłaniają ją nawet do kochania tych, którzy nam uczynili krzywdę i tak się dzieje ze wszystkim. Dusza zachowuje się pokornie, lecz w sytuacjach, gdzie chodzi o sprawiedliwość i słuszość ma odwagę nie kierowania się względami ludzkimi, jednak zawsze z pełnym poddaniem się sądowi tych, którzy nią kierują....Ona należy do Ukochanego, a jej Ukochany do niej. To sprawia, iż gotowa jest na wszystko dla Jego większej chwały. Mimo licznych krzyży, jakie napotyka, wiernie praktykuje cnotę pełnego wyniszczenia się, aby sama była niczym, a jedynie Bóg był nade wszystko uwielbiony”.

Widzimy teraz, na jakim gruncie Maria od Wcielenia budowała swe wzniosłe i niewzruszone cnoty, o których niejednokrotnie była już wcześniej mowa. Pozostaje nam tylko dodać jeszcze kilka szczegółów. Przede wszystkim uderza nas w tej niezwyklej, dzielnej niewieście umiejętność łączenia życia wewnętrznego z życiem czynnym, co tak rzadko spotyka się u dusz zakonnych. Jej życie ukazuje, że „nie tylko pobożność jest potrzebna do wszystkiego”, lecz - jak to sama nie raz mówi - „im bardziej zbliża się do Boga, tym jaśniejszy ma sąd o sprawach doczesnych” i że „nic się nie traci na jednoczeniu ze źródłem łaski i światła”.

Nosząc wszędzie ze sobą - według słów *Naśladowania Jezusa* - swoją Miłość, nie czuła się nigdzie nie na swoim miejscu. Czy to rozmawiała ze znakomitymi osobami, z naczelnikami o sprawach kolonii, czy też kupcami, czy pouczała swe siostry o drogach doskonałości, wszystko to czyniła z wielką swobodą i prostotą. „Widziało się ją - mówi m. Saint-Athanase - kierującą pracami robotników, rzeźbiarzy i malarzy zajętych przy odnawianiu ołtarza w naszym kościele, którym doradzała bardzo trafnie i z wielkim gustem, gdy oddalali się od reguł sztuki sakralnej. Ona sama pozostawiła zarówno w Tours, jak i w Québec wiele zachwycających dzieł malarskich, złotniczych, hafciarskich, które są podziwiane przez koneserów. To bogactwo naturalnych talentów było darem Bożym, podobnie jak dar nadzwyczajnej modlitwy; lecz jej cechą szczególną była nieustanna troska, by oddawać się wszystkiemu, bez przywiązywania się do czegokolwiek. Jezusici, jej kierownicy duchowni, mówili: „Wydawało się, jakby Maria od Wcielenia miała dwie dusze, z których jedna tak była zjednoczona z Bogiem, jakby nic innego nie czyniła prócz uwielbiania Go, a druga tak oddana rzeczom zewnętrznym, jak gdyby tylko nimi była zajęta”. To oderwa-

nie się od rzeczy ziemskich, które jest prawdziwym ubóstwem duchowym było, jak sobie przypominamy, pierwszym żądaniem Boga w chwili doświadczenia śmierci męża i utraty majątku. „Od samego początku – wyznaje - miałam pociąg do tej cnoty, która według mnie zajmowała pierwsze miejsce w życiu Syna Bożego. Uważałam, że wszystkie inne były zamknięte w tej jednej cnocie świętego ubóstwa i widziałam, że ono prowadzi duszę do tej doskonałej miłości, która niczego nie pragnie, jak tylko samego Boga”.

Dotkliwe ubóstwo i niedostatek, jakie siostry znosiły w Kanadzie, były dla niej skarbem, który - jeśli tak można powiedzieć - obawiała się utracić. Gdy po spaleniu klasztoru jej siostrzenica nalegała, by napisała, co im najbardziej potrzeba, Maria od Wcielenia tak na to zareagowała: „Przyznam ci się szczerze, że nie potrafię na to odpowiedzieć, gdyż straciwszy wszystko, na



wszystkim nam zbywa, a jednak mnie się zdaje, że mi nic nie potrzeba. To pewnie spokój ducha, jaki obecnie odczuwam, czyni mnie ślepą na własne potrzeby, choć widzę doskonałe braki, jakie inne siostry doświadczają. Mój Boże, jakże miłą i dobrą jest rzeczą wyzuć się wewnątrz i zewnątrz ze wszystkiego! Zapewniam Cię, że nie zamieniłabym mego obecnego stanu na żadne zaszczytne stanowisko w Europie”.

W innym liście pisze: „Dziękuję Bogu, że nas umieścił w takim kraju, gdzie więcej niż gdziekolwiek indziej trzeba się uzależnić od Boskiej Opatrzności. W tym to niedostatku umysł mój znajduje pokój. Mimo wielkiego ubóstwa nigdy się przecież nie zdarzyło, byśmy nie miały co jeść lub w co się ubrać, wydaje mi się raczej, że zawsze jeszcze mamy za dużo. Być ubogą w tym znaczeniu lub być pokorną to jedno i to samo, gdyż dusza tak wyzuta ze wszystkiego, zmierza z całych sił swoich do Boga. Łaska wybraństwa, którą zaszczycona

była Maria od Wcielenia, nie wynosiła ją wcale w jej własnych oczach, przeciwnie, pogłębiała w niej coraz bardziej poczucie swej nicości – „tak jak drzewa obciążone owocami - pisze Klaudiusz Martin - schylają do ziemi gałęzie. Jak mało jest dusz w historii świętych - pisze dalej - które były tak uprzywilejowane i pieszczone przez Boga, jak jej dusza, lecz mało też było tak pokornych i pograżonych w poczuciu swej nicości jak ona”. „Ach - powtarzała często w swych pismach - gdybym odpowiadała tej wielkości i niezmierzonej dobroci Bożej, uczyniłabym większe postępy na drodze świętości, na której naprawdę jeszcze ani kroku nie postąpiłam. Rozważając pewnego dnia słowa proroka Izajasza: »Jako żeś spadł z nieba, Lucyferze, któryś rano wschodził«, pozostałam cała drżąca. Widziałam te dary niebieskie, które Bóg na mnie zlewał i nie chciał, bym je marnowała. Uciekając się do Ojca Przedwiecznego, powtarzałam Mu ze sto razy te

słowa: »O mój wielki Boże! Ojciec małych i pokornych, udziel mi tej łaski pokory i daj, bym służyła z bojaźnią i ze drżeniem, jak Ty tego pragniesz«. Następnie schroniwszy się pod skrzydła Ducha Świętego powtarzałam moją prośbę: »O Wielki Duchu, pełen miłości Duchu Święty, Niewysłowny Duchu Święty, udziel mi pokory. Ty jesteś moim, a ja cała Twoja!«.» Błagała swego syna, by jej wyprosił łaskę wytrwania w powołaniu i by po jej śmierci bardzo się modlił, żeby jak najprędzej wyszła z czyśćca, na który przez swoje grzechy tak bardzo zasłużyła. We wrześniu 1670 pisała do niego: „Przyznam ci się z prostotą, że czuję się w domu Bożym jak przyjęta z łaski. Wydaje mi się, że jestem niepotrzebna, że jestem niczym i w porównaniu z innymi siostrami nic nie czynię, że jestem najbardziej nieudolną na całym świecie i choć je pouczam, one jednak więcej wiedzą ode mnie. Nie mam dzięki Bogu żadnych próżnych myśli ani dobrego mniemania o sobie. Jeżeli moja wyobraźnia przedstawia mi, że coś dobrego zrobiłam, widok mojej nędzy zaraz ją przytłumia”.

Gdy nieszczęścia publiczne niepokoiły kraj albo jakieś niebezpieczeństwo zagrażało klasztorowi, uważała, że działo się to z jej winy. Była przekonana, że jej grzechy były największą przeszkodą w rozszerzaniu się chrześcijaństwa w Kanadzie i że napady Irokezów mniej szkodziły krajowi niż jej przestępstwa. Ta pokora była jednak pełna odwagi i ufności. „Gdy pomyślę, że jestem grzesznicą – pisze – i wskutek tego mogę tak nisko upaść, że pozbawię się przyjaźni mego Boga, wtedy ogarnia mnie wielki wstyd, a zarazem obawa, by to mnie nie spotkało. Gdyby ten lęk dłużej trwał, nie mogłabym chyba żyć, gdyż oddziela mnie on od mego Boga Miłości i Dobroci, od którego odebrałam więcej łask niż jest ziarenek piasku na brzegu morskim. Jedno jednak spojrzenie ku Niemu rozprasza tę obawę i sprawia, że z całą ufnością rzucam się w ramiona mego Boskiego Oblubieńca, by u Niego znaleźć pokój”. Mówiąc o pokoju, jaki zażywa dusza podniesiona do tego ścisłego zjednoczenia z Bogiem, tak pisze: „Taka dusza nie troszczy się czy ją chwala, czy też gania, gdyż Ten, który w niej mieszka, daje jej poznać, że ona sama i wszystko, co posiada, do Niego należy”. Takie było zwykłe usposobienie Marii od Wcielenia. Gdy była przełożoną, tylko od czasu do czasu posyłała jezuitom sprawozdanie z prac dokonanych w seminarium, które oni umieszczali w swych gazetach, lecz było jej to zawsze niemiłe.

Maria od Wcielenia pisała kiedyś w tej sprawie do o. Vimont: „Pragnęłabym, by Ojcowie nic o nas nie wspominali. Wystarczy, że Bóg, który jest naszym Ojcem wie, z jaką miłością służy nam naszym neofitom. Cieszymy się, że nasze małe utrudzenia jedynie oko Boskiego Mistrza widzi”. Jej historyk zauważa: „Ponieważ ta zasłużona Matka za nic uważała to, co sama czyniła, dlatego nie trudno jej było znieść, gdy inni nie aprobowali jej dzieł lub jej postępowania. Gdy spostrzegła, że nie zgadzano się z tym, co mówiła lub czyniła, natychmiast ustępowała i zgadzała się na to, co inni chcieli, choć jej sąd i zdanie były zawsze najlepsze. W ten sposób postępowwała nawet w stosunku do młodszych siostr. W czasie ogólnych prac jedna z nowicjuszek ośmieliła się raz powiedzieć: „Moja Matko, nie tak się to robi”, „Pokaż mi więc, moje dziecko - odparła pokornie Matka - i zaczęła pracę tak, jak jej nowicjuszka wskazała”. Nie o to chodzi, czy praca jest tak, czy inaczej wykonana - twierdzi, pisząc na ten temat - lecz liczy się to, byśmy były pokorne i ubogie duchem, a przez to byśmy należały do grona prostaczków, którym obiecane jest Królestwo Boże”. W tym samym duchu pokory oceniała i zalecała swym córkom zwykle umartwienia,

które praktykuje się w domach zakonnych jak: całowanie nóg innym siostrom, oskarżanie się publiczne ze swych zewnętrznych uchybień, modlenie się z rozkrzyżowanymi ramionami itp. „Te praktyki umartwiają ciało – pisze – lecz tłumią także pychę i jeżeli się je wykonuje w duchu wiary, większe można odnieść z nich korzyści niż wypełniając najcięższe pokuty”. Będąc zajęta sprawami materialnymi wspólnoty, Matka od Wcielenia nieraz nie mogła natychmiast zadośćuczynić potrzebom sióstr. Przepraszała je wtedy z wielką pokorą. W czasie ciężkiej choroby, gdy siostra pielęgniarka nieostroźnie jej usługiwała, rzekła z uśmiechem: „Moja Siostrzyczko, nie należysz do najzręczniejszych w przynoszeniu ulgi chorym”, lecz spostrzegłszy, że te słowa mogły zabołec infirmerkę, uczuła taki żal, że nie tylko sama ją najpokorniej przepraszała, lecz prosiła inne siostry, by to jeszcze za nią uczyniły. Innym razem o. Lallemant zgromił dość surowo nowicjuszkę konwerską za brak uległości względem Matki od Wcielenia. „Czy to ładnie – mówił - żeby taka mała siostra nowicjuszka, która nie jest warta nawet jednej pary butów, zachowała się krnąbrnie wobec Matki, która jest poważana i czczona w całej Francji?” Te słowa pochwały były dla Marii od Wcielenia wielkim umartwieniem i więcej ją zabołały niż jakakolwiek obelga. Oczywiście nic w jej oczach nie miało znaczenia, jak tylko chwała Jej Boskiego Oblubieńca. Można powiedzieć, że żaden ambitny człowiek nie był nigdy tak żądny bogactw i zaszczytów jak ta święta urszulanka pragnęła rozszerzenia się Królestwa Chrystusowego. Wprowadziła zwyczaj, aby każda z zakonnic przez cały rok ofiarowywała swoje modlitwy i prace za jedną z narodowości amerykańskich, którą wybierały losowaniem. Marii od Wcielenia nie wystarczała troska o jeden naród. Ona przebiegała myślą cały wszechświat, szukając dusz odkupionych drogą Krwi Jezusa Chrystusa, aby zadośćuczynić za ich winy przez zasługi Najśłodszego Serca Jezusowego. „Ponieważ nasza klauzura - pisze do jednej siostry z Tours - nie pozwala mi towarzyszyć robotnikom Chrystusowym, jednak będąc tak przejęta sprawami naszego Kościoła, dzięki miłosierdziu naszego Zbawcy, duchem wciąż jestem przy nich, pracując wraz z nimi nad zdobywaniem dusz”. „Ach, jak szczęśliwe były te niewiasty, które towarzyszyły Zbawicielowi i Apostołom, mówiła w innym miejscu. Podobnym szczęściem byłoby dla mnie, gdybym mogła dzielić wraz z naszymi misjonarzami krzyże i męczeństwa, na które są codziennie narażeni”. Prawie wszystkie jej listy kończą się tym wezwaniem: „Współczujcie z duszami, które nie znają naszego Najśłodszego Jezusa. Ach, jak ich jest dużo w tej Ameryce”. „Przejmij się sprawą naszego Mistrza - pisze do jednej ze swych sióstr - i nie daj spokoju Ojcu Przedwiecznemu, dopóki ci nie da choć parę dusz odłączonych od Królestwa Jego Syna. Nie trzeba się zniechęcać w sprawie tak ważnej, trzeba wciąż wołać i szturmować do nieba, dopóki się tam samemu nie przyjdzie”. Gdy dochodziły ją pomyślne wiadomości o którejś z misji kanadyjskich, nie mogła ukryć swej radości. „Dowiedziałam się - pisze do syna - że wielka liczba dzikich z narodowości północnych udała się do Tadossac, by przyjąć chrzest święty. Tak są przejęci uczuciami religijnymi i wykonują tyle czynów chrześcijańskich, że nas zawstydzają i przewyższają w pobożności. Na wiadomość, że jakieś szczepy Algonkinów i Montanów osiedlą się w okolicach Québec i przyjmą wiarę chrześcijańską, tak mówi: „Czy nie można by umrzeć z radości na taką wiadomość! Wszystko to podnosi nasz zapał i skłania nas do podjęcia codziennie nowych postanowień, by nie oszczędzać ani naszych prac ani naszego zdrowia dla Tego, który wylał za nas swą Najświętszą Krew”. Jedna pociwi chrześcijanka z Sillery, mająca już sześćdziesiąt lat, udała się jako apostołka do pewnej

wioski odległej od Québec o sto mil. Maria pisze o tym: „Udała się w tę podróż w lutym, w czasie największych mrozów i śniegów, przedzierając się przez lasy i wdrapując się na niebezpieczne skały. Czy na podjęcie się takiego czynu nie trzeba wielkiej miłości Boga i pragnienia zbawienia bliźniego? Bóg wie, z jaką miłością ją powitam”. Pod koniec swego życia, widząc rozkrzewiające się chrześcijaństwo na przestrzeni 1500 mil od Québec w stronę Morza Lodowatego i wielką liczbę jezuitów, rozproszonych we wszystkich stronach Kanady, z młodzieńczym zapałem opisywała synowi ich podróże i prace.

„Każdy zmierza do tego, co lubi - pisze w innym miejscu do syna - kupcy do zyskania jak najwięcej pieniędzy dzięki handlowaniu skórą, a Wielebni Ojcowie i my do ratowania dusz nieśmiertelnych”. W sprawach wzrostu handlu spowodowanego regularną wymianą pomiędzy Québec a Antyllami i Francją stwierdza: „Z czasem kraj ten będzie zdolny bardzo wzbogacić kupców. My już nic więcej nie potrzebujemy, jesteśmy częścią Jezusa Chrystusa, a Jezus jest naszym dziedzictwem. Naszym zyskiem jest dojść do posiadania Jezusa Chrystusa przez chętni i dobrowolne praktykowanie reguł”. Powodowana tymi uczuciami, mówi w swojej relacji, że często ofiarowywała się Bogu na cierpliwe znoszenie trudów życia, aż do dnia sądnego, gdyby to miało być większą Jego chwałą, choćby nawet przez ten cały czas nie miała nic innego do roboty, jak uczyć małe dzieci kochać Matkę Najświętszą”.

Pisząc o świętym posłuszeństwie, Matka od Wcielenia często powtarzała, że nie może zrozumieć, jak dusza zakonna, która chce kochać Boga i być przez Niego kochaną, nie miłuje posłuszeństwa. „Co do mnie – wyznawała - gdyby mi przełożeni rozkazali się rzucić w ogień, uczyniłabym to natychmiast, nie pozwoliłabym sobie nawet na zastanowienie się, czy rozkaz jest mądry czy nie. Wystarczyłoby mi wiedzieć, że tego w tej chwili ode mnie żądają. Umysł mój, tak jest obecnie skłonny do posłuszeństwa, że gdy mi przełożeni objawiają swą wolę, nie mam żadnego powodu sprzeciwić się, w przypadku trudności odnowiłabym swój ślub posłuszeństwa. Nie potrafiłabym inaczej postąpić, musiałby chyba Bóg uczynić wielką zmianę we mnie”.

Te zasady Maria od Wcielenia zawsze wprowadzała w czyn. Każąc odbudować kościół klasztorny, umówiła się z architektem o cenę i wymiar, miano bowiem przybudować małą kapliczkę, wynoszącą dwanaście stóp kwadratowych. Lecz o. de Quen, ówczesny przełożony misji, a tym samym i wspólnoty, uważał tę przybudówkę za zbyt kosztowną ze względu na ubóstwo klasztorne. Maria od Wcielenia wyjaśniła mu, że już wszystkie przygotowania zostały poczynione i że cena nie będzie wynosiła więcej niż 400 lirów. „Wszystko jedno - odparł przełożony - suma 400 liwrów jest zbyt wielką dla tych, którzy nic nie posiadają”. Na te słowa Maria od Wcielenia zamilkła, następnie rozkazawszy zaniechać pracy poleciła robotnikom zamurować otwór projektowanej kaplicy. Jednakże Bóg wynagrodził w przyszłości ten akt posłuszeństwa. Pan de Tracy, zwiedzając klasztor, zauważył cegły poustawiane z jednej strony kościoła i zapytał, na co były one przeznaczone. Odpowiedziano mu jak się rzecz miała. Był tym tak wzruszony, że postanowił natychmiast własnym kosztem wystawić kaplicę. Widzieliśmy, że dotrzymał swego przyrzeczenia.

M. Saint-Athanase pisała o Marii od Wcielenia jako o swojej podwładnej: „Nasza czcigodna Matka była najbardziej posłuszna w całym domu. Zdawała mi sprawę ze swego życia wewnętrznego z tą samą szczerością jak najmłodsza nowicjuszka”. Maria pisała do swej siostrzenicy: „Zawsze dobrze mi było, gdy traktowałam mych przełożonych jako zastępców Pana Jezusa. Lecz jest pewien objaw miłości własnej, który nieznacznie wkrada się do młodych dusz, jeżeli się tego nie strzegą. Mianowicie wyobrażają sobie one, że kierownictwo duchowe przełożonych nie jest dość pewne i szukają innego. Ten tajemny występki skłania je do tego, że powoli lekceważą sobie tę, która kieruje nimi z woli Pana Jezusa i która prowadziłyby je w duchu ich Instytutu i tak powoli tracą tego ducha”. W innym miejscu mówi: „Nigdy nie ufałabym takiej zakonnicy, która zamykałaby swoją duszę przed przełożoną”. O Marii jej biograf napisał: „Gdy rozkazywała, czyniła to w duchu miłości nadprzyrodzonej i zjednywała sobie łatwo serca sióstr, gdyż nie było w jej rządach nic ludzkiego. Była osobą łagodną, o twarzy nieco uśmiechniętej, lecz zarazem i poważnej, zwłaszcza, gdy mówiła o Bogu i rzeczach duchownych. Łatwo ją było zadowolić, a błędy innych znosiła z niesłychaną dobrocią. Nieraz wystarczało, by spojrzała tylko na siostrę, która niewłaściwie postępowała, a ta natychmiast się poprawiała”.

Jednak jej niezwykła dobroć i łagodność nie przeszkadzały temu, by nieraz surowo postępować, gdy zachodziła tego potrzeba. Jedna z sióstr, zapomniawszy się pewnego razu na rekreacji, zaczęła opowiadać o pewnej rodzinie francuskiej, że miała ona zwyczaj płacenia swemu proboszczowi tylko siedemnastą lub dziewiętnastą część należytej dziesięciny. Maria od Wcielenia, będąc bardzo delikatną na punkcie miłości bliźniego, obawiając się, by jeszcze większej nie zwrócono na to uwagi, nie zgromiła natychmiast danej siostry. Później na osobności dała jej odpowiednią naukę: „Gdyby któryś z członków tej rodziny przeniósł się do Kanady lub ktoś z kolonii powrócił do Francji, mogłyby mu te słowa przynieść ujmę.”

Maria od Wcielenia okazała się jeszcze surowszą w innych okolicznościach, gdy chodziło o żarty czynione kosztem pewnego księdza, zewnętrze bardzo brzydkiego i niezgrabnego. Rozkazała, by winna natychmiast publicznie się oskarżyła, następnie po skończonej rekreacji zawołała ją do swej celi i przedstawiła jej w sposób najbardziej wzruszający i przekonywujący, jak bardzo takie żarty mogą zboleć Pana Jezusa i ubliżają zakonnic.

Bóg dał jej szczególniejszy dar pocieszania osób strapionych. Jej słowa, a nieraz samo spojrzenie rozpraszały wszystkie smutki. Jedna z jej zakonnice, trapiąca pokusami i innymi cierpieniami wewnętrznymi, które przed nią ukrywała, nie mogąc sobie dać rady, przyszła wreszcie otworzyć jej swą duszę. Po wejściu do celi Matki w pierwszej chwili nie mogła ani słowa wymówić, taka ją ogarnęła trwoga. „Wielkie jest twoje strapienie, córko moja - rzekła do niej Matka - pomódlmy się razem do Boga, by nas raczył oświecić”. Skupiwszy się chwilę, tak znów zaczęła: „Czemu się boisz odkryć taką a taką rzecz? Czy jestem ci tak obca? I poczęła jej wymieniać pokusy i sposoby ich pokonania. W miarę jak Maria od Wcielenia mówiła, siostra czuła, jak ciężar jej trosk powoli zmniejszał się i nie prędzej opuściła celę, aż się zupełnie uspokoiła.

To serdeczne współczucie zasłużonej przełożonej rozciągało się nawet poza klasztor, na wszystkich potrzebujących. Przede wszystkim okazywała litość tym, którym ogień wszystko

zniszczył, co bardzo często zdarzało się w Kanadzie, gdyż domy były po części z drewna. Przypominała sobie, że niedawno z siostrami znajdowała się w podobnym położeniu i doświadczenie własnej nędzy czyniło ją wrażliwą na nieszczęście bliźnich. Najbardziej jednak widoczna była miłość Marii od Wcielenia w darowywaniu i zapominaniu wszelkich uraz. Było dla niej wprost niemożliwe przechowywać w sercu jakąkolwiek niechęć. Pewien ojciec rodziny, mieszkający w okolicy klasztoru, któremu Maria z konieczności musiała jednej rzeczy odmówić, napisał o Marii od Wcielenia bardzo niemiły list i począł po mieście rozszerzać fałszywe wieści o niej i jej wspólnocie. Całą zemstą Marii było zwiększenie uprzejmości względem niego i branie go w obronę uzasadniając, że w biedzie mówi się i czyni nieraz to, czego by się nie chciało. Jedna z jej córek duchowych, nie mogąc zrozumieć tej nadzwyczajnej łagodności i spokoju w przeciwnościach, rzekła pewnego dnia: „Moja Matko, czy nie widzisz, w jaki sposób te osoby obchodzą się z tobą? Doprawdy dziwię się, że się tym wcale nie przejmujesz”. „Nie zważam na to - odparła Maria od Wcielenia - gdyż nie przypominam sobie, by mi one kiedykolwiek sprawiły przykrość lub nieprzyjemność. Wiem tylko, że gdy byłam u nich zadłużona, a nie miałam czym należności spłacić, obawiałam się uczynić im przykrość. Gdy rozmyślałam, jakby temu zaradzić, otrzymałam niespodzianie list z Francji, który zanim otworzyłam, zaniósłam do stóp Matki Najświętszej. Jej bowiem zawsze nasze sprawy polecałam. Z tego listu dowiedziałam się, że królowa przysłała nam 2 000 lirów jałmużny. W ten sposób byłam uwolniona od mojej troski, a to dzięki opatrności naszej Dobrej Matki.”

Jednak to nie znaczy, by nie zwracała uwagi na karygodne występki. Donoszono wprowadzie fałszywe wieści urszulankom z Tours, zarówno o klasztorze quebeckim, jak i o jezuitach, którzy byli jego przełożonymi. Maria od Wcielenia, po udzieleniu synowi odpowiednich wyjaśnień, tak dalej pisze z pokorą: „Widzisz moją niemoc, drogi synu, pomyśl, że spotwarzają niesłusznie i to z powodu nas osoby czyniące nam tyle dobrego zarówno pod względem duchowym, jak i materialnym. Sprawia mi to wielki ból, lecz jest też sposobnością do praktykowania cnoty. Bóg daje mi tę łaskę, iż nie chowam żadnej urazy do tych, którzy mnie obrażają, powtarzam sobie tylko, że wszyscy powinniśmy z większą prostotą i szczerością obcować ze sobą. Swej siostrzenicy, która jej donosiła o tych fałszywych pogłoskach, odpowiada w ten sposób: „To wszystko jest tak niskie, że mówię i piszę o tym jedynie z konieczności i zawsze z wielkim przymusem. Bóg czuwa nad tym, aby u nas w klasztorze nie wymawiano jakiegoś słowa przeciw miłości. Wyciągnijmy stąd przynajmniej tę naukę, że trzeba sobie bardzo cenić czystość serca, pokój i milczenie”.

Sprawozdania z tego czasu mówią, że jeśli zdarzyło się, iż ktoś był przeciwnego zdania niż Maria od Wcielenia i dotknął ją jakimiś niegrzecznymi słowami, stawała się natychmiast pokornie poważną, wyraz przedziwnej słodyczy rozlewał się na jej twarzy, dając poznać, że w jej sercu panuje głęboki, radosny pokój.

M. Cecylia od św. Krzyża, żyjąca z nią przez lat trzydzieści, nie przestawała podziwiać w Marii od Wcielenia, że potrafiła łączyć lwią odwagę w pokonywaniu największych trudności z łagodnością jagnięcia w obcowaniu z bliźnimi. Było to realizowaniem tego, czego nauczała in-

nych w pismach: że zjednoczenie ze Słowem Wcielonym pobudza do miłości całego świata i zachęca do okazywania jej tym, od których doznało się jakiejś przykrości. Trzeba by jeszcze coś powiedzieć o jej sumiennym wykorzystywaniu czasu, co pozwalało jej zajmować się tak licznymi i trudnymi pracami. Lubiła powtarzać: „Chwilę mamy na pracę, wieczność na odpoczynek”. Jej nadzwyczajna skromność wszystkich zachwyciła. „Wystarczyło na nią spojrzeć, by zapalić się do pobożności i skupienia. Im bliżej się ją poznawało, tym bardziej się ją podziwiano. Nie można myśleć bez podziwu o tym wielkim i prawie nieustannym milczeniu, jakie zachowywała. Toteż często słyszano, jak mówiła, że nie rozumie, jak może dusza wylewać się na stworzenia, gdy ma w sobie Boga, z którym może nieustannie rozmawiać i doznawać w tych rozmowach pociech nieskończenie wyższych od wszelkich radości ziemskich.”

List pani de Peltrie, pisany do ojca Klaudiusza Martin w 1655 roku, jest niejako streszczeniem tego, co wyżej powiedzieliśmy. „Mogę cię zapewnić, mój Przewielebny Ojczy, że pomimo iż Ty pod pewnym względem może więcej wiesz o łaskach, jakie Stwórca udziela naszej Drogiej Matce, to jednakże pod innym względem ja znów więcej wiem. Chcę tu mówić o jej cnotach w życiu wspólnym, codziennym, opierającym się na przykładzie naszego Zbawiciela, gdyż przede wszystkim cenię w niej tę wielką wierność i dokładność. Matka od Wcielenia okazuje szczególną miłość osobom, które jej sprawiają przykrość, znajduje upodobanie w wyświadczeniu im drobnych usług i znosi te osoby z wielką słodyczą. Żyje w nadzwyczajnym oderwaniu od wszystkiego, co nie jest Bogiem i w zupełnym z Nim zjednoczeniu, pośród tych wszystkich trudności i wydarzeń, jakie ją spotykają na tym krańcu świata. Można ją zawsze widzieć skupioną, pełną pokory i pełną niczym niezmaconego pokoju serca. Nigdy nie traci sprzed oczu obecności Bożej, a jej skupienie wewnętrzne jest tak nadzwyczajne, że nawet największe sprawy i trudności, które tu nas nieraz spotykają, nie pozbawiają jej tego. Co mam jeszcze więcej powiedzieć? Ach, gdybym posiadała choć dziesiątą część jej cnót, byłabym bardzo szczęśliwa. Przede wszystkim pragnęłabym posiąść tę jej nadzwyczajną cnotę miłości nieprzyjaciół i tak jak ona okazywać zawsze życzliwość tym, którzy mnie obrazili. Jej usposobienie pełne miłości skłaniało ją zawsze do czynu”.

Natomiast Maria od Wcielenia pisze w swej relacji: „Zbawiciel tak jasno odkrył mi cuda swej miłości do nieprzyjaciół, że nie potrafię tego zupełnie wyrazić”. I dalej: „Dziwiłam się, gdy słyszałam jak mówiono, że trzeba trzymać na wodzy swój rozum, by go poddać wierze i tak nieraz mówiłam do Boga: »Mój Boże, wydaje mi się, że ja już nie mam wiary, gdyż bez niej znam wszystko, o czym mnie ona poucza«. Z tego Boskiego pokarmu czerpałam siły, aby oprzeć się tym wszystkim trudnościom i krzyżom, które Zbawiciel na mnie zsyłał. Czułam się nieraz tak ściśle z Nim zjednoczona po Komunii świętej, że to silne zjednoczenie trwało nawet wśród najliczniejszych i najbardziej zawiłych spraw”. „O mój najdroższy synu - pisała do Klaudiusza, gdy był jeszcze nowicjuszem - gdybyśmy tak raz prawdziwie chcieli naśladować Jezusa, nasze Życie i nasz Wzór, to po przyjęciu Go w Komunii św. od razu stalibyśmy się świętymi. My jednak jesteśmy tak słabi i nędzni, że odbieramy to, co już Mu daliśmy. Nasza nieszczęsna miłość własna nie może znieść tego całkowitego wyzucia się, jakiego Bóg żąda od dusz powołanych do naśladowania Go”. Kto zdoła wyrazić, do jakiego stopnia to zupełne wyzucie z samej siebie doszło w

Marii od Wcielenia? Pisała już pod koniec swego życia: „Zbawiciel w sposób coraz mniej odczuwalny, lecz coraz głębszy odnawia w mej duszy przez Komunię św. łaskę miłosnego zjednoczenia, o którym mówiłam. Wzrasta też coraz bardziej moje poufne z Nim obcowanie, jednym słowem, mówię z Nim o wszystkim, jak z najlepszym przyjacielem, który wie, że moje małe serce do Niego należy i że żyje jedynie dla Niego!”

ROZDZIAŁ XXI

Ostatnie apostołstwo

Śmierć Matki Marii od Wcielenia (1670 – 1672)

Już niedługo miał nadejść koniec ziemskiego wygnania czcigodnej Matki. Jej wiek, choroba, a przede wszystkim wewnętrzne wezwania Boskiego Oblubieńca oznajmiały jej tę radosną dla niej nowinę. „Cieszę się - pisze do swej drogiej m. Marii od Narodzenia Bożego - że tracimy powoli świadomość spraw ziemskich, by obcować jedynie z mieszkańcami Nieba. Ze zdrowiem moim jakby lepiej, lecz wątpię, by to długo trwało. Wiem tylko, że osoba siedemdziesięcioletnia już niedługo pożyje i sprawia mi to wielką radość, gdyż nareszcie uwolnię się od licznych nieprzyjaciół mej duszy”. Do innej ze swych dawnych towarzyszek tak znów pisze: „Twój list zastał mnie jeszcze na tym świecie. Niech Bóg sprawi, by to było na większą Jego chwałę. Jestem Jego całopalną ofiarą. On mnie zabierze, gdy zechce. Jestem na to w każdej chwili gotowa, mój wiek mnie do tego zmusza. Pytasz, jak się czuję? Całą zimę byłam dość zdrowa, Bóg udzielił mi nawet tej łaski, że mogłam nawet ściśle pościć cały Wielki Post. Dwa tygodnie później jednak osłabłam, co bardzo przeraziło moje siostry. Gdy mnie widzą trochę chorą, zaraz myślą, że umrę. Dzięki lekarstwom przyszedłam wkrótce do siebie, zmniejszyła się także gorączka w ustach, którą odczuwałam ciągle od ostatniej ciężkiej choroby. Tyle, co się tyczy mego zdrowia, droga Matko, co zaś do mej świętości, to wlokę się do niej żółtym krokiem, choć naprawdę już wielki czas, bym nad nią zaczęła pracować. Proś naszego Dobrego Jezusa, by użyczył mi do tego łaski”.

Zima 1669 roku przyniosła Marii od Wcielenia, już tak bardzo osłabionej, wiele dotkliwych cierpień. Wnioskujemy to z jej listu pisanego mniej więcej w tym samym czasie. „Zimy w ogóle są w tym kraju bardzo ostre, lecz tego roku była szczególnie ciężka, zarówno co do ostrości mrozu, jak i co do jego trwania. Chyba jeszcze nigdy takiej nie przeżywałyśmy. Wszystkie nasze wodociągi i studnie zamrzły, miałyśmy więc wiele kłopotu. Z początku topiłyśmy śnieg, by otrzymać wodę, zarówno do swego użytku jak i dla zwierząt, lecz trzeba było tak wielkiej ilości, że tego zaniechałyśmy. Postanowiłyśmy posłać po wodę do odległej studni kogoś z naszymi wołami, które o mało się wtedy nie zabiły, gdyż góry są tu bardzo strome i śliskie. Jeszcze w czerwcu był lód w naszym ogrodzie. Nasze drzewa, które dawały wspaniałe owoce, zupełnie zmarzły. Cały kraj poniósł szkody, zwłaszcza siostry szpitalne, których sad należał do najpiękniejszych w całej Ameryce. Dzikie drzewa owocowe nie zmarzły, tak więc Bóg pozabawiając nas delikatesów, a zostawiając to, co potrzebne, chce byśmy żyły w umartwieniu i obeszyły się bez wszelkiej słodczy. Dnia 11 marca 1670 roku, w przeddzień złożenia po raz

ostatni swego urzędu przełożeńskiego, Maria od Wcielenia przedstawiła całej swej wspólnoty stan materialny klasztoru. Czyniła to w sposób tak ujmujący, pokorny, że wszystkie siostry - pisze Klaudiusz Martin - były ogromnie wzruszone. Zamiast wielkich bogactw pozostawiała wszędzie nadzwyczajny ład i porządek, co było zawsze cechą jej rządów. Pragnęła lepiej zabezpieczyć przyszłość swej rodziny duchowej, lecz czy to już nie było cudem, że klasztor utrzymał się aż do tej chwili w kraju tak prymitywnym? „O moje dziecko - mówiła poufnie do jednej ze swych sióstr - od trzydziestu lat, a nawet dłużej, odkąd jestem tu w Kanadzie, ileż razy oblewałam rześystym potem swe skronie i nie mało się natrudziłam, nim nareszcie doprowadziłam wszystkie rzeczy do tego stanu, w jakim je teraz pozostawiam. Proś jednak Boga, by mi przebaczył wszystkie moje grzechy i bym już teraz o niczym nie myślała, jak tylko o tym, by się dobrze przygotować na śmierć. Nigdy nie odczuwałam takiej radości, że składałam swój urząd przełożeński jak teraz”. „Nie jest to małą rzeczą - pisała do jednej urszulanki z Tours - rządzić w imieniu Jezusa Chrystusa, gdyż ci, którzy rządzą, będą musieli zdać dokładny rachunek ze wszystkiego”. Przemawiając zaś do m. Saint-Athanase, która obejmowała po niej rządy, tak mówiła: „Błogosławić będziesz Boską dobroć, odczuwając ten głęboki pokój jedności i miłości, jaki panuje w naszym klasztorze. Pewną jest rzeczą, iż Bóg zakłada swe mieszkanie tam, gdzie panuje miłość i zgoda, stąd musimy wierzyć, iż On mieszka wśród nas; na tej nadziei polega nasze szczęście, które cenimy nad wszystkie skarby tego świata”.

Z urzędem asystentki musiała Maria od Wcielenia przyjąć opiekę nad profeskami i nowicjuszami. Szczęśliwe te dusze, na które spływać będą te ostatnie uczucia rozmiłowanego serca, tak już zupełnie przemienionego w Serce Jezusa. Nieustanne cierpienia, znoszone już od sześciu lat, nie zmniejszały jej zapału i gorliwości w działaniu. Nie można tego wprost wyrazić - pisała jej przełożona - z jaką słodyczą i poddaniem znosiła te cierpienia. Jej dobroć i prostota, które zawsze wszystkich zachwyciły, przybrały pod koniec życia jeszcze coś bardziej uroczego, co mogło wypływać jedynie z gruntownej i dojrzałej cnoty. To też nie była przykra ani surowa dla sióstr, które ją otaczały, pomimo że wiele z nich było jeszcze bardzo młodych. Panna Maria Magdalena Pinguet, pensjonarka, mająca czternaście lat, usilnie prosiła, by ją przyjęto do nowicjatu, a ponieważ Maria od Wcielenia z tym się ociągała, mówiąc, iż trzeba, by jeszcze trochę urosła, mała postulanka nie zrażając się tym kazała sobie podwyższyć obcasy i z wielką dumą pokazała się przełożonej. Nie można było dłużej opierać się jej prośbom i przyszłość pokazała, że jej powołanie było rzeczywiście gruntowne i pewne. Ten sam zapał widzimy u Marii Lauson, która w piętnastym roku życia rozpoczęła życie zakonne i służyła Bogu sześćdziesiąt lat.

Notatki kronik klasztornych poświęcone tym młodym siostrą i ich towarzyszką dowodzą, z jaką skwapliwością pochłaniały one nauki swej drogiej i jedynej matki. „Każda pragnęła naśladować tę cnotę, która ją najbardziej w niej uderzała”. Jeden szczegół z wielu maluje nam doskonale jej matczyzny stosunek do swego młodego otoczenia. Zdarzyło się, że pewnego dnia okazała wobec nowicjuszek niezwykłą radość, a gdy te pytały naiwnie, co było przyczyną jej szczęścia, odparła z prostotą: „Miałam wielką potrzebę wypowiedzenia się, gdyż pozwoliłam sobie na rozproszenie podczas całego dziesiątka różańca i oto otrzymałam przebaczenie”. „Prostota - lubiła im powtarzać - jest drogą do doskonałości; jest rzeczą niemożliwą, by dusza była

kiedykolwiek zjednoczona z Jezusem, dopóki ta cnota nie oczyści jej zupełnie z miłości własnej”. W radach, które dawała swej siostrzenicy, gdy ta była nowicjuską, odnajdujemy naukę i zasady, którymi karmiła dusze powierzone jej pieczy. „Nie po stopniu odczuwanych pociech poznać, czy postępujecie po drodze doskonałości - mawiała im - lecz po tym, czy jesteście cierpliwe, łagodne, uległe i dokładne w zachowaniu świętej reguły, przede wszystkim zaś, czy jesteście pokorne w czasie trudności i oschłości. Dodam jeszcze: jeżeli się staracie unikać przyjaźni partykularnych i wystrzegać się humorów, narzekania, rozczulania się nad sobą, któremu człowiek z łatwością ulega w cierpieniu... Dusza miłująca Jezusa powinna mieć zawsze jedno oko zwrócone na Niego, a drugie na samą siebie i na swoją małość. To znaczy, że jeżeli nasze zjednoczenie z Jezusem jest prawdziwe, nie zamyka nam ono oczu na samych siebie, lecz przeciwnie, otwiera je w miarę, gdy przybliżamy się do tej niewysłowionej Czystości i w ten sposób stajemy się pokornymi i uważamy się za nędznych we własnych oczach. Strzeżcie się bardzo - mówiła dalej młodym siostrzom - chcieć od razu wszystkie zasady, które poznałyście, wprowadzić w czyn. Byłoby to próżnym przedsięwzięciem, gdyż nędza ludzka nie pozwala nam tego dokonać od razu, braliście bowiem wtedy teorię za czyn. Najpierw pracujcie przez miesiąc wyłącznie nad jedną rzeczą, nad drugą tydzień, według tego, jak będzie potrzeba, nie zwracając przy tym uwagi na zepsutą naturę, która nie omieszka nieraz użalać się, a nawet buntować”. „Z odwagą idźcie za Panem Jezusem zapominając o sobie, gdyż nosimy w sobie tę okropną miłość własną, która więcej niż wszystko inne przeszkadza nam w dążeniu do doskonałości. Poznasz ją, gdy będziesz pilnie śledziła wszystkie poruszenia zarówno wewnętrzne, jak i zewnętrzne. Gdy dusza osiągnie poznanie swej nędzy, wtedy porzuca swoje „ja”, by umieścić Boga na jego miejsce i już ją nie obchodzi pochwały ludzkie”.

Przytoczymy jeszcze jedną maksymę, którą lubiła powtarzać swym nowicjuszkom. „Nie rozumiem, jak może jakieś światło czy silniejsze natchnienie nie nakłonić naszej woli do dobrego, gdyż Bóg zazwyczaj działa na duszę tak słodko i pociągająco, iż ta musi wreszcie ustąpić”.

Maria od Wcielenia zachęcała swe uczennice do nauki języków tubylczych, które - jak mówi - chciała uczynić nieśmiertelnymi w swym klasztorze. Toteż przez całą zimę 1670 roku dawała im lekcje i sama nie zaniedbała podjętej pracy w tej kwestii. Pomimo podeszłego wieku, nie można było zauważyć w niej najmniejszego osłabienia władz umysłowych. Listy, które wówczas pisała, są tak samo pełne wdzięku i swobody jak przed trzydziestu laty. W jednym z nich opowiada swemu synowi o wizycie, którą jej złożył o. de Fénelon, jeden z braci przyszłego biskupa z Cambrai, który zaraz po przybyciu do nowej Francji, poszedł nauczać Irokezów i spędził u nich całą zimę. „Pytałam go, jak mógł wytrwać, jedząc jedynie *sagamité*, którą popijał wodą. Odpowiedział mi, że tak się do tego przyzwyczaił, iż nie znajdował już różnic między tym a innym pokarmem i że zamierza na przyszłą zimę udać się w te same okolice”.

Kilka z jej ostatnich listów adresowanych do o. Poncet jest bardzo zajmujących, gdyż zawierają bardzo dużo aktualnych szczegółów. „Drogi Ojcze - pisze po przeszło dwudziestoletnim milczeniu - czyż już nigdy się nie zobaczymy, by porozmawiać o przeszłości? Boski nasz Mistrz pozwoli na to, jeżeli to będzie z większą Jego chwałą, pozwoli też Ojcu zobaczyć ten kościół,

który go tyle kosztował. Wszystko się teraz wspaniale rozwija, a to jest błogosławieństwo Boże, że widzimy jedność między naszym Biskupem i Wielebnymi Ojcami. Wydaje się, że są oni jedno. Pen de Tracy, który mi wyjawiał swoje uczucia, jest tym zachwycony, tj. zarówno powagą Kościoła, jak i wiernością, tych którzy mu służą. Ojcowie jezuici błyszczą jak zwykle cnotami i są największą ozdobą Kościoła kanadyjskiego. Zobaczyłby ojciec tych małych chłopców, którzy za jego czasów uczyli się czytać, a dziś noszą sutannę i studiują teologię. Szkoła twoja kwitnie, a nasze seminarium, które w porównaniu z nią jest tylko ziarnkiem piasku, wychowuje dzielne jednostki. Widziałby Ojciec małe dziewczynki, które już teraz noszą habity lub wkrótce mają takowe otrzymać. Ojcze, płakałbyś pewnie z radości na widok takich postępów ku dobremu, ciesząc się, błogosławiłbyś wszystkie twoje dawne trudy i prace. Znałeś trzy zakonnice, które miały zaszczyt podróżować w twym towarzystwie. Dziś nas jest dwadzieścia i prosimy jeszcze o nowe siły z Francji”.

Jej wielki zapal odnaleźć możemy również w korespondencji z przełożoną urszulanek z Saint Denis we Francji, która w tym czasie nosiła się z myślą założenia nowej fundacji urszulańskiej na Martynice. Maria od Wcielenia popierała bardzo ten projekt. Pisała do tej zakonnicy: „Pan de Tracy zapewniał mnie, że urszulanki mogłyby dużo dobrego zdziałać na wyspach amerykańskich. Przyłączam się, droga Matko, do tych, którzy Ci doradzają, byś nie opuszczała tej sposobności do szerzenia chwały Bożej. Poświęć Mu więc z wielkim sercem swoje drogie córki. Może powiesz, że zanadto się zapalam, lecz wierz mi, iż jest moją największą radością widzieć, iż są dusze dobrowolnie ofiarowujące się na krzyż dla miłości Tego, który pierwiej umarł za nas z miłości. Gdyby było możliwe, nasze siostry kanadyjskie podążyłyby za robotnikami świętej Ewangelii, lecz muszą się zadowolić pracą przy naszych drogich seminarzystkach, których już mamy sporą gromadkę. Jeżeli się udasz na Martynikę, będzie Ci łatwiej niż nam, nie będziesz musiała się uczyć innego języka jak baragińskiego, który jest podobno ogromnie łatwy i już ze słyszenia można się go nauczyć. Gdyby Bóg powołał urszulanki z Nowej Francji, nie byłoby im trudno tam się udać, gdyż od czasu, jak nawiązał się handel między kupcami Québec a wyspami Ameryki, komunikacja jest bardzo łatwa. Lecz my, Droga Matko, musimy się zadowolić Kanadą i wam pozostawić zaszczyt misji, na jaką się udacie. Donosząc synowi o szczegółach dotyczących rozkrzewiania świętej wiary, w roku 1670 Maria od Wcielenia pisze z radością o przyjeździe do Québec kilku ojców recolletów⁷³. „Są to zakonnicy, którzy byli pierwszymi i jedynymi misjonarzami Nowej Francji aż do 1625 roku, kiedy to Anglicy na krótki czas zawładnęli tym krajem. Od tego czasu ich dom w Québec został zupełnie zniszczony, a na ich ziemi zamieszkali koloniści, gdyż nie spodziewano się ich powrotu. Tymczasem z pozwoleniem króla zjawili się, aby odbudować swoją dawną fundację. Jednak dotąd mieszkają przy nas, a kościół jest naszą wspólną własnością”.

Dla miłości bliźniego Maria od Wcielenia oddawała się sprawom zewnętrznym, lecz Boski Oblubieniec coraz bardziej zacieśniał węzły miłości z tą duszą wybraną, jednocząc się z nią coraz ściślej. M. Saint-Athanase nie obawiała się powiedzieć, że ostatnie lata pobytu Matki na

⁷³ Gałąź Braci Mniejszych Franciszkanów.

ziemi upływały w nieustannych ekstazach i na jednoczeniu się z Najświętszą Wolą Boga. Dotkliwy był dla niej początek głuchoty, gdyż obawiała się, że będzie ciężarem dla bliźnich, jednak z drugiej strony przyczynił się do odsunięcia jej od spraw i gwaru tego świata. Obcowała ona nieustannie ze swoim Bogiem w niebie. Swemu drogiemu synowi, z którym korespondowała do ostatniej choroby, pozostawiła niektóre tajemnice swego życia wewnętrznego. Wysławiając wraz z nim Miłosierdzie Boże, pisała: „Co do mnie, pozostaję już niemal u stóp Bożego Majestatu. Moje modlitwy streszczają się do tych słów: »Boże mój! Boże mój! Bądź błogosławiony, o Boże«. Dni i noce tak mi przechodzą i ufam, że z tymi słowami na ustach wyzionę ducha i że Bóg każe mi w taki sam sposób umrzeć, w jaki żyłam. O gdybym mogła jak najprędzej iść rozkoszować się Tym, którego dusza moja pragnie kochać i wiecznie błogosławić! Ach, drogi mój synu, jak szczęśliwi będziemy, gdy nam będzie wolno razem czynić to nieustannie! Już minęły cztery lata od czasu, gdy Bóg uczynił mi tę wielką łaskę i zaszczyt i pokazał mej duszy, że pragnie, bym Go wielbiła na ziemi tak jak Go wielbią aniołowie i święci w niebie. W tym celu Jego dobroć przeniosła mnie do stanu, który stał się dla mnie źródłem bardzo wielkich łask. Lecz nie ma najmniejszej wątpliwości, że nieraz kalam miłością własną te święte uczucia, co zmusza mnie znowu do powtarzania Bogu niezliczoną ilość razy tych słów psalmisty: *Delicta quis intelligit? Ab occultis meis munda me*”⁷⁴. Nigdy nie odstąpiła ona od tego usposobienia pełnego pokory i ufności.

W 1670 roku Maria pisała: „Oto stoję już u kresu mego życia. Nie wykonałam nic godnego duszy, która jest powołana do stawienia się niedługo przed sądem Bożym. Jakkolwiek jestem tak bardzo niedoskonała, jeśli uniżam się w Jego obecności, widzę się wówczas cała zatopiona w Miłości Bożej, która mnie utrzymuje w tak wielkim zjednoczeniu z sobą, iż tego wyrazić niepodobna. Jest to pewien rodzaj ubóstwa duchowego, które mi nie pozwala rozmawiać z aniołami o rozkoszach błogosławionych ani o tajemnicach wiary. Chwilami chciałabym sama trochę się odprężyć i rozweselić pięknoscią stworzeń, lecz natychmiast o nich zapominam i powracam do Tego, który zachwyca mnie więcej niż wszystko inne”. W tym stanie kontemplacji, w którym dusza odbiera nadzwyczajne, nie mające granic skarby, wyznaje Maria od Wcielenia, przepisane modlitwy były dla niej ciężarem. „Poświęcam tylko jeden mały kwadrans wieczorem - pisze dalej - na ofiarowanie Ojcu Przedwiecznemu Serca Jezusowego za ten Kościół, za robotników Ewangelii, za siebie i moich przyjaciół. Następnie zwracam się do Matki Najświętszej, potem do Najświętszej Rodziny, czynię to wszystko w słowach prostych i krótkich. Śpiewanie psalmów, które jest ćwiczeniem naznaczonym przez świętą regułę, nie przeszkadza mi wcale, przeciwnie przynosi mi ulgę. Odprawiam zresztą wszystkie inne ćwiczenia i nie powiem, by mi utrudniały jednoczenie się z Panem, przeciwnie, wydaje mi się, że wszystko we mnie dąży do tego, by je najlepiej odprawić”.

Jej ostatni list z 8 października 1671 roku jest, jak mówi Klaudiusz Martin, „śpiewem łabędzim”. Matka Maria, już bliska odejścia i oglądania twarzy Przenajświętszej Trójcy, opisuje mu krótko najgłówniejsze szczegóły objawienia, w którym ta wielka tajemnica kiedyś

⁷⁴ Ps 18. Kto widzi swoje błędy? Panie oczyść mnie z błędów przede mną ukrytych.

została odsłonięta przed jej duszą. Następnie po odkryciu mu i innych nadzwyczajnych łask, które otrzymała w swym życiu mistycznym, tak dalej mówi: „Gdybym była przy tobie, mój drogi synu, przelałabym moje serce w twoje i wzięłabym cię za kierownika duchownego. Nie znaczy to, bym w obecnym stanie prostoty, w jakim mnie Bóg utrzymuje, miała wiele do powiedzenia, gdyż powtarzałabym mniej więcej ciągle to samo. Zdarzają się przypadki, że dusza czuje potrzebę porozumienia się, więc szukam wówczas pomocy u naszego dobrego o. Lallemant, który, pomimo że kończy już osiemdziesiąt lat, ma umysł i poglądy bardzo trzeźwe jak zawsze”.

Poziom miłości duszy apostołskiej Marii od Wcielenia można wywnioskować z faktu, iż tego samego dnia Maria pisała do jednej ze swych dawnych towarzyszek z klasztoru w Tours: „Muszę ci jeszcze wyznać, droga Matko, że kochałabym życie, gdybym mogłam w czymś pomagać duszom odkupionym drogą Krwią Jezusa Chrystusa. Dla tego zaszczytnego zadania pragnęłabym żyć aż do dnia sądnego, ponieważ jednak jestem tego niegodna, przedstawiaj Mu moją dobrą wolę, a jeśli On chce, bym wkrótce umarła, proś Go, by mnie zaraz po śmierci nie zabrał do nieba, lecz by mi pozwolił tak długo, jak to będzie zgodne z Jego większą chwałą, przebiegać cały świat, by Mu pozyskiwać serca tych, którzy Go nie kochają i nie znają Jego dobrodziejstw”.

Urszulanki z Québec z niecierpliwością oczekiwały pomocy dawno im obiecywanej z Francji. „Są tu trzy czy cztery podeszłe w latach zakonnice - pisała Maria od Wcielenia - których w każdej chwili może zabraknąć, dlatego też prosimy o kilka profesek z Francji, by nam pomogły wychowywać dziewczęta kanadyjskie i by z czasem nas zastąpiły w urzędach”. Kilka klasztorów z Flandrii, między innymi klasztor z Mons en Hainaut, przyrzekł przysłać pomoc urszulankom w Kanadzie. Dowiadujemy się o tym z kilku bardzo interesujących listów Matki Marii, pisanych do przełożonej z Mons. Rękopisy te przechowywane są do dziś w klasztorze jako największe skarby. Jednakże nie siostry flamandzkie, lecz francuskie, przysłane z Paryża i z Bourges, przybyły niejako zawładnąć tę małą rodzinę św. Urszuli z Québec. „Dnia 19 września 1671 r. trzy zakonnice chórowe i jedna konwerska przybyły do naszego portu. Pani del la Peltite, zawsze poważna i ujmująco grzeczna, poczytała sobie za obowiązek, by je tam przywitać”.

„Nasze drogie podróżniczki - pisze wkrótce Matka Maria do sióstr w Tours - przybyły szczęśliwie i w dobrym zdrowiu oraz z silnym postanowieniem nie oszczędzania się w pracy dla winnicy Chrystusa Pana. Jesteśmy wam wdzięczne za miłe przyjęcie, jakie otrzymały zatrzymując się po drodze w waszym klasztorze. Nie mają dosyć słów na wypowiedzenie tych wszystkich cnót i nadzwyczajnego ładu, jakie tam zastały. Ich jedynym zmartwieniem jest to, że żadna zakonnica z tego domu do nich się nie przyłączyła. Jeżeli im to sprawiło przykrość, to i ja niemało się zmartwiłam, gdyż z utęsknieniem spodziewałam się i oczekiwałam pomocy z waszej strony”. Opatrzność wybrała sobie cztery nowe misjonarki, dusze wielkich zasług, które były przeznaczone do podtrzymania i rozwinięcia dzieła naszych czcigodnych założycielek. Jedną z nich M. Maria Drouet od Jezusa, miała szesnaście lat później założyć jako przełożona klasztor w Trois-Rivières. Październik i listopad były prawdziwie radosne dla wspólnoty w Québec, która wówczas tak bardzo rozwinęła się. Patrzone w przyszłość z wielką ufnością, nie spodziewając się zupełnie, że doświadczenie było blisko.

Pierwszym ciosem, który je dotknął, była niespodziewana śmierć pani de la Peltrie. Jako prawdziwa matka urszulanek poświęciła ona nie tylko swoje dobra, lecz własną osobę. Toteż był wielki żal w klasztorze, gdy 12 listopada tego samego roku 1671 zapadła na ciężką chorobę i od pierwszej chwili nie było nadziei, by mogła wyzdrowieć. Przez sześć dni, w których chorowała, zajaśniały wszystkie jej cnoty nabyte w ciągu jej ukrytego życia. O. Dablon w *Relacjach* jezuickich pisał: „Nigdy ta pobożna dama nie była bardziej pokorna, umartwiona, bardziej uległa przełożonej, bardziej zjednoczona z Bogiem”. Ponieważ zawsze miłowała ubóstwo, chciała umrzeć jako uboga, toteż w swoim pokoju miała tylko najkonieczniejsze rzeczy. Gdy raz spostrzegła jakieś słodkości, które uważała za zbyteczne, prosiła, by je zabrano, aby według jej wyrażenia „w tym miejscu panowało święte ubóstwo jako królowa w swym pałacu”.

Drogie jej córki otaczały ją miłością i troskliwością, nie oszczędzały niczego, by jej pomóc zarówno w rzeczach duchownych, jak i materialnych, przekonywały ją, że opuściwszy wszystko dla Chrystusa, już tu na ziemi zbiera się tysiączne nagrody. Gdy ją pytano, czy nie żał jej życia, odpowiadała z zapałem: „Nie, nie, wolę tysiąc razy ten jeden dzień śmierci, niż wszystkie lata mego życia”. Jej radość, że pójdzie do nieba, była tak wielką, że nieustannie kazała sobie powtarzać werset z psalmu: *Laetatus sum*.... „Uradowałem się, gdy mi powiedziano, pójdziemy do domu Pana”. Przez dziwny zbieg okoliczności otrzymała ostatnie Sakramenty św. z rąk ks. de Bernières, proboszcza z Québec, siostrzeńca podskarbiego z Caen, który był jakby jego widzialnym aniołem stróżem i doradcą w kwestii powołania do Kanady.

Nareszcie nadszedł jej upragniony dzień; było to w środę. „Niech będzie Bóg błogosławiony – rzekła na parę chwil przed agonią. Ach, jak pragnęłabym dziś umrzeć pod opieką św. Józefa!” I rzeczywiście zasnęła cicho około ósmej wieczorem 18 listopada, w sześćdziesiątym ósmym roku życia. Nazajutrz odbyło się nabożeństwo żałobne. Pan de Courcelles, gubernator kolonii, pan Talon i wszyscy zaniejsi obywatele miasta i okolicy brali udział w tej uroczystości. Ubodzy, których tak kochała, a zwłaszcza jej drogie Indianki, przyszli złączyć swe łzy ze łzami urszulanek. Serce zmarłej złożone na jej życzenie w skromnej skrzynce, przykryte wapnem i piaskiem, zaniesiono do kościoła jezuitów. Chciała ona, jak to zaznacza w swoim testamencie, okazać przez to, jak wielką miłość miała zawsze dla tego Towarzystwa. Pragnęła, by jej serce starte zostało w proch i pył pod stopniami ich ołtarza, a ciało jej pozostało u urszulanek. Żywa pamięć o niej przetrwała na zawsze w Québec.

Można powiedzieć, że oprócz głównego dzieła tzn. fundacji klasztoru, Pani de la Peltrie w mieście Champlain dała początek tej nadzwyczajnej misji miłości, którą spełnić winna kobieta chrześcijanka na całym świecie, wszędzie, gdzie kwitnie katolicyzm. Maria od Wcielenia bardziej niż wszyscy inni odczuła stratę swej pobożnej przyjaciółki, za którą zresztą niedługo spodziewała się podążyć. I rzeczywiście było to w zamiarach Boga. Połączone tu na ziemi cudownym powołaniem, jedna i druga nie pozostały długo od siebie oddzielone. Zaledwie dwa miesiące upłynęły od tej pierwszej żałoby, gdy drugi cios, jeszcze cięższy, dotknął rodzinę św. Urszuli. W nocy z 15 na 16 stycznia dostała Maria od Wcielenia silnych wymiotów, które trwały dwadzieścia cztery godziny; żadne lekarstwo nie mogło ich powstrzymać. Ten wypadek ze względu na jej

słabość pociągnął za sobą bardzo bolesne skutki. Przez kilka dni bardzo cierpiała, ale mówiła z uśmiechem: „Teraz mam szczęście być z Jezusem przybitą do krzyża”! Ponieważ wspominała o zbliżającej się śmierci, Matka Maria od Matki Bożej, jej ostatnia towarzysza z Tours, rzekła do niej ze smutkiem: „Moja Matko, czyż odejdiesz beze mnie?”. „Nie martw się, moja córko, odparła chora, Bóg będzie zawsze twoim Ojcem. Gdy stanę przed Jego Majestatem, nie zapomnę o tobie i choć nieobecna na ziemi, będę zawsze z tobą”.

Tymczasem choroba tak szybko postępowała, że doktorzy osądzili, że nie ma żadnej nadziei i należy udzielić chorej ostatnich Sakramentów świętych. Dnia 20 stycznia przyjęła wiatyk, a nazajutrz oleje święte. Wśród rzewnego płaczu swych córek, tylko ona sama była przepełniona radością. Korzystając z obecności o. Lallemant i ks. Bernières, przełożonego wspólnoty, prosiła ich pokornie o przebaczenie wszystkich swych win. To samo uczyniła przed m. Saint-Athanase i siostrami, oskarżając się, że była dla nich powodem troski w czasie swej choroby. Kilka godzin później, dowiedziawszy się, że córka jakiegoś naczelnika algonkińskiego wstąpiła do seminarium, pragnęła ją zobaczyć. Obsypywała dziecko tysiącnymi pieszczotami, by zapalić obecne zakonnice do cenienia swego powołania i do kochania dziewcząt indiańskich, które nazywała „pociechami swego serca”. Następnie przyprowadzono jej wszystkie pensjonarki Francuzki i Indianki, którym ze szczególną miłością udzieliła błogosławieństwa.

Mimo beznadziejnego stanu, w jakim się ich Matka znajdowała, urszulanki nie zaprzestały modlitw i pokut, by uprosić jej uzdrowienie. Wzruszona ich dobrocią, Maria od Wcielenia użalała się, że chcą ją zatrzymać na ziemi. O. Lallemant, któremu powierzyła swą troskę, nie podzielał jej, lecz prosił, by złączyła swoje modlitwy z prośbami wspólnoty, której smutek wydawał mu się zupełnie słuszny. Usłyszawszy taki rozkaz Maria od Wcielenia była w pierwszej chwili jakby oszołomiona, następnie podniósłszy oczy i ręce w niebo rzekła: „Myślę, że umrę. Lecz jeśli taka jest Wola Boża, bym jeszcze żyła, przyjmuję ją z radością”. „To wszystko jest dobre, moja Matko - odparł czcigodny zakonnik - lecz musisz się przyłączyć do nas i czynić, co tylko jest w twojej mocy, by żyć dla tego domu, który jeszcze ciebie potrzebuje”. Maria od Wcielenia, jako prawdziwa córka posłuszeństwa, poddała się temu, rezygnując z osobistego pragnienia. „Mój Panie i Boże, szeptała, jeżeli uważasz, że jestem jeszcze potrzebna tej małej rodzinie, nie wymawiam się od pracy i trudu, niech się spełni Twoja święta Wola”. Natychmiast uczuła znaczne polepszenie i wkrótce doktorzy, którzy już nie dawali nadziei, oświadczyli, że niebezpieczeństwo minęło. Nie da się opisać radości, jaka zapanowała w klasztorze, gdy ją ujrzano wchodzącą do chóru, by Bogu podziękować za łaskę uzdrowienia. Odśpiewano uroczyście *Te Deum*, a miasto dowiedziawszy się o jej rekonwalescencji, wzięło udział w radości urszulanek. Składano liczne powinszowania i dowody przyjaźni tej czcigodnej Matce, którą każda rodzina w Québec uważała za swoją dobrodziejkę. Każdy starał się przyczynić do jej zupełnego wyzdrowienia. Jedni przysyłałi wyszukane potrawy, inni specjalnie posyłali swych ludzi na polowanie, wyobrażając sobie, że mięso jakiejś delikatnej zwierzyny zaostrzy jej apetyt i przywróci siły. Mimo wielkiego wstrętu do wszelkiego pożywienia Maria od Wcielenia, wzruszona tymi oznakami miłości, wyrażała swoją wdzięczność i usiłowała jeść, co jej podawano.

Przez cały czas Wielkiego Postu czuła się dość dobrze i mogła aż do Wielkiego Piątku, 8 kwietnia, odprawiać wszystkie ćwiczenia wraz ze wspólnotą. Jednak wieczorem tego dnia wyznała przełożonej, że dolega jej bardzo ból w boku. Chirurg stwierdził obecność dwóch wrzodów, które na przyszły dzień przeciął, czyniąc głębokie rany, gdyż zapalenie dostało się już do kości. Zakonnice, które były przy tej operacji, dostrzegły nowe dowody cierpliwości i spokoju na jej obliczu, mimo że bardzo cierpiała. Po kilku dniach ciało zdawało się goić i spodziewano się rychłego wyzdrowienia. Jednak każdy opatrunek był tak bolesny, że raz zdarzyło się jej mimowolnie okazać, ile cierpiała, lecz gdy się spostrzegła, rzekła natychmiast ze wstydem: „Mój Boże, jaka jestem niecierpliwa”! I pokornie prosiła o przebaczenie, uważając to za wielką niedoskonałość ze swojej strony.

W sobotę wielkanocną zaczęły pojawiać się niepokojące symptomy zwiastujące bliski koniec. Maria od Wcielenia przyjęła tę wiadomość od lekarza z wielką radością, lecz zarazem z poddaniem się Woli Bożej. W tym stanie całkowitego poddania się chciała dopełnić swej ofiary. Pragnęła, jak to już było wspomniane, odbyć swój czyściec przebiegając świat i zachęcając narody pogańskie do przyjęcia prawdziwej wiary, lecz Boski Oblubieniec dał jej poznać, iż chce, by dokonała swego życia jako ofiara za zbawienie tych narodów. Stąd też nie miała innego pragnienia jak cierpieć, choćby do końca, jeśliby Bóg tego chciał. Gdy jej córki ją prosiły, by odstąpiła im choć część swych zasług, odpowiedziała z uśmiechem: „Nic już nie mam swego, wszystko należy do dzikich”. W zamian za tę ofiarę całopalną Zbawiciel dał swej Oblubienicy już tu na ziemi niejako odczuwać przedsmak nieba i niebiańskiego z Nim zjednoczenia. Ostatnie dwa tygodnie, które jeszcze przeżyła, minęły, jak mówią ówczesne sprawozdania, w słodkiej ekstazie. Odpowiadała wprawdzie uprzejmie, w krótkich słowach na wszystkie zadawane jej pytania, lecz potem pozostawała zatopiona w Bogu, mając utkwiony wzrok w krucyfiks, który trzymała w ręku. To, co kochała tu na ziemi z woli Opatrzności, zajmowało i teraz jej serce. Kilka razy, mimo wielkiego osłabienia, kazała przyprowadzić sobie pensjonarki, a zwłaszcza ukochane Indianki, które po kolei błogosławiła z matczyną czułością. Rozciągając swoje pragnienia poza swą wspólnotę i obejmując szerokim sercem cały Zakon urszulański, poleciła przed śmiercią jednej z zakonnice napisać do pewnej wpływowej osoby we Francji w tym celu, by odnowić pragnienie tyle razy już przez nią wyrażone, a mianowicie, utworzenia generalnej unii wszystkich urszulanek. Ta unia wydawała jej się sprawą tak istotną, iż pragnęła umrzeć z nadzieją, że to jej pragnienie kiedyś się spełni. W tej ważnej chwili nie zapomniała też o swym synu. M. Saint-Athanase prosiła ją o jakąś pamiątkę, którą doręczyłaby o. Klaudiuszowi Martin. Umierająca rzekła ze wzruszeniem: »Powiedz mu, że się cieszę, że go widzę na stanowisku, na którym jest. Zabieram go w sercu ze sobą do nieba, dokąd spodziewam się pójść i wypraszać mu będę prawdziwą świętość«.

Była wierna posłuszeństwu aż do śmierci. Pewnego razu, gdy podczas Mszy Świętej wspólnoty, została sama z jedną siostrą zastępującą infirmerkę, wspomniła jej o tak wielkim pragnieniu, że język jej zupełnie wysechł. Jednak, gdy przypomniła sobie o nieobecności infirmerki, nie chciała nic przyjąć przed jej powrotem: »Lepiej poczekać – rzekła - by wszystko wypełnić z posłuszeństwa«. Przełożona, nie chcąc, by obchodziła się ze sobą tak surowo, czyniła jej

lekkie wymówki, że sama sobie pogarsza stan zdrowia przez to, że chce aż do końca stosować się do życia wspólnego. »Moje życie i zdrowie są małej wartości - rzekła Maria od Wcielenia - lecz ważniejszą rzeczą jest być posłuszną Boskiemu Majestatowi i Regule, którą On mi naznaczył. Gdy przybyłam do Kanady, Bóg dał mi poznać, że Jego życzeniem jest, bym prowadziła życie apostołskie jedząc, według słów Ewangelii Świętej to, co mi dadzą i we wszystkim strzegła się nadzwyczajności. Jest to prawo, które odtąd zawsze miałam przed oczyma i od którego starałam się nigdy nie odstępować«.

Biskup de Laval był wtedy we Francji, gdzie załatwiał sprawy związane z biskupstwem w Québec. O. Lallemant pisał: „Gdyby biskup był obecny, nie opuściłby Matki Marii od Wcielenia, bo bardzo ją cenił. ... Boski Mistrz często przychodził odwiedzać swą Oblubienicę w czasie tych ostatnich tygodni.... Te wizyty były niejako ucztami pożegnalnymi, na które ją zapraszał Zbawiciel ukryty w postaci sakramentalnej, zanim miał ją dopuścić do wiekuistego oglądania Go twarzą w twarz”.

W piątek 29 kwietnia otrzymała znowu wiatyk i oleje święte. W sobotę rano, czując się już bardzo niedobrze, jeszcze raz pobłogosławiła swoje seminarzystki, powiedziała do nich kilka słów w ich języku o piękności naszej wiary świętej i o szczęściu służenia Bogu. Około południa, otoczona swoimi siostrami, które rzewnie płakały przy jej ubogim łożu, wpadła w lekką agonię. Straciła mowę i słuch, lecz z jej wyrazu twarzy można się było domyślić, że trwała w ciągłym zjednoczeniu z Bogiem. Kilka jeszcze razy drżącą ręką przycisnęła swój krzyżyk do ust. Krótko przed szóstą otworzyła oczy i objęła czułym wejrzeniem swoje siostry, następnie zamknąwszy je wydała dwa ciche westchnienia i oddała w ręce Umiłowanego swa duszę pełną zasług. Było to 30 kwietnia 1672 roku w chwili przebudzenia się wiosny i przy odgłosie dzwonów zwołujących na wieczorny Anioł Pański.

Maria od Wcielenia żyła siedemdziesiąt dwa lata i sześć miesięcy. Zaledwie zmarła a już promień niebiański zajaśniał na jej twarzy. Zakonnice wśród łez i uwielbienia zachwycaly się tą nadzwyczajną pięknoscią jej oblicza, na którym niejako odbijała się ta cała radość, jakiej ich święta Matka, zjednoczona ze Słowem Przedwiecznym, doświadczała. Wywarło to takie wrażenie na całej wspólnotie, że aż do naszych dni zachował się zwyczaj wśród urszulanek w Québec, a mianowicie że w dzień upamiętniający to wydarzenie śpiewają one *Te Deum*.

Gdy wiadomość o jej świętej śmierci rozniosła się po mieście, ze wszystkich stron zaczęto schodzić się do klasztoru. Proszono jak o relikwie o różne drobne rzeczy, które należały do tej świętej Matki. Gdy dary się wyczerpały, by zadowolić pobożną ludność, musiano pocierać o ciało zmarłej liczne różańce, szkaplerze, krzyżyki i medaliki. Nie da się opisać wielkiej boleści neofitów z Sillery i Lorette, gdy dowiedzieli się o śmierci świątobliwej zakonnicy, od której tylu doznawali dobrodziejstw. Całymi gromadami przychodzili do klasztoru i ze smutkiem mówili do sióstr: „Nasza Matka umarła”. Następnie przykładali palec do ust, by wyrazić, że takiej boleści wypowiedzieć nie można. Zakonnice, jak mówi sprawozdanie z tych czasów, same przygniecione smutkiem, nie umiały ich pocieszyć i tak każdy udawał się w swą stronę płacząc i modląc się, czekając godzin pogrzebu.

Ceremonia ta odbyła się wśród olbrzymich tłumów ludności Québec. Centrum kolonii starało się wyrazić, co Kanada zawdzięczała tej niezwykle niewieście, która od trzydziestu trzech lat walczyła, by krajowi zapewnić dobrodziejstwo chrześcijańskiego wychowania młodych dziewcząt. Było to zarazem homagium oddane jej świętości, gdyż jak mówi o. Charlevoix, „zaledwie Maria od Wcielenia przestała żyć, a już ją cała ludność kanonizowała”. Proboszcz de Bernières, wielki wikariusz biskupa de Laval, z powodu jego nieobecności odprawił egzekwie, na których nie brakowało pana naczelnika i pana intendenta. O. Lallemant wygłosił mowę pogrzebową, w której przedstawił wszystkie cnoty zmarłej. Mógł to uczynić, gdyż znał lepiej niż ktokolwiek jej wielką duszę.

Przy zamykaniu trumny Matki Marii od Wcielenia wszyscy byli pod wrażeniem nadzwyczajnego boskiego blasku, który wciąż jaśniał na jej twarzy. Toteż, gdy tłumy się rozeszły, panowie de Courcelles i Talon postanowili wraz z duchowieństwem i zgromadzeniem, zanim grób zamurują, przechować dla potomności rysy tej zasłużonej zmarłej. Wyciągnięto więc ciało z piwnicy i nazajutrz przysłanemu przez gubernatora artyście udało się namalować pełną słodczy twarzy, otoczoną niejako aureolą świętości⁷⁵. Gdy grób zamurowano, umieszczono na nim następujący napis: „TU SPOCZYWA PRZEWIELEBNA MATKA MARIA GUYART OD WCIELENIA, PIERWSZA PRZEŁOŻONA TEGO KLASZTORU; UMARŁA OSTATNIEGO KWIETNIA 1672 ROKU PRZEŻYWSZY 72 LATA I 6 MIESIĘCY. ZAKONNICA PROFESKA PRZYBYŁA Z TOURS. MÓDLICIE SIĘ ZA JEJ DUSZĘ”. Tej samej nocy, która poprzedziła ten chwalebny zgon, jej siostrzenica, urszulanka w Tours, widziała ją we śnie leżącą na śmiertelnej pościeli i usłyszała głos, który jej mówił: „Ona umarła”.

„Głos był tak bliski, że czuła niejako oddech osoby mówiącej, pod wpływem którego natychmiast się obudziła. Równocześnie dusza jej opływała w pociechy. Nazajutrz opowiedziała, co się jej wydarzyło; nie chciano jej wierzyć, lecz pierwszy okręt przybyły z Québec potwierdził wiarygodność jej słów. Klaudiusz Martin wspomina w swym sprawozdaniu, również z tego czasu, że pewnej świątobliwej zakonnicy, gdy przygotowywała się do Komunii świętej, którą miała przyjąć za spokój duszy Marii od Wcielenia, wewnątrz objawił się Zbawiciel, mówiąc, że Maria od Wcielenia nie przeszła przez czyściec. Następnie odkrywając jej nadzwyczajne zasługi, które Jego wierna oblubienica zebrała w tym życiu pełnym ofiary dla zbawienia dusz, tak powiedział: „Tych, którzy zapominają o sobie dla mojej miłości, nie zapomnę nigdy. Widzisz, że spełniam obietnicę. Ona mnie będzie wielbić wiecznie.”

Dopiero w parę miesięcy później mogły urszulanki powiadomić Francję o wielkiej żałobie. Warto przytoczyć słowa, jakimi m. Saint-Athanase wyraża ojcu Klaudiuszowi Martin swoje i całej wspólnoty współczucie: „Śmierć naszej czcigodnej i ukochanej Matki, która nastąpiła niedługo po śmierci pani de la Peltrie, była największą stratą, jaką mogliśmy ponieść. Maria od Wcielenia miała miłość bez granic i troszczyła się o dobro duchowe i wzrost tego domu, nie

⁷⁵ Oryginał tego obrazu przepadł w drugim pożarze klasztoru; ten który się zachował we Francji, jest kopią, wysłaną z Québec. Na jego podstawie wykonano wiele reprodukcji. Mons. Pâquet, postulator procesu beatyfikacyjnego Marii od Wcielenia, w 1878 roku poprosił o wykonanie obrazu Marii od Wcielenia malarza włoskiego Bottoni. Artysta czytał uważnie pisma urszulanki, a potem namalował obraz, przedstawiając Marię od Wcielenia w ekstazie, pieczołowicie zachował jednak rysy jej prawdziwego oblicza.

oszczędzając swych sił. Co do mnie nie mogę nawet pomyśleć, że jej już nie ma, z obawy, bym jej zanadto nie żałowała. Wolę ślepo poddać się woli Bożej, która mi odjęła tę jedyną podporę i pociechę tu na ziemi”. Następnie, kreśląc obraz jej życia, pokazuje nam ją w stosunkach codziennych. „Była łagodna, przystępna, gotowa służyć wszystkim i nieszczęśliwa, gdy zmuszana była czegoś odmówić; mówiła zawsze dobrze o bliźnich”. Kończy wreszcie słowami: „wspólnota i cały kraj już czczą ją jako świętą”.

O. Lallemant ze swej strony napisał do swego prowincjała o cnotach Marii od Wcielenia: „Nasza wspólnota oddała Czcigodnej Matce najwyższe wyrazy szacunku i miłości, jakie się należały z racji jej zasług. Pozostawiła po sobie błogosławioną pamięć w tych okolicach. Co do mnie mam wielką ufność w jej wstawiennictwo u Boga i wierzę, że ona mi lepiej dopomoże do dobrej śmierci, niż ja, jako ojciec duchowny, czyniłem to względem niej. Byłem dla niej we wszystkim i wszędzie nieużytecznym sługą. Poprzestawałem na tym, że byłem świadkiem tych nadzwyczajności, które Duch Święty w niej sprawował, nie miesząc się do niczego, widząc ją w tak dobrych rękach i obawiając się, bym wszystkiego nie popsuł”. *Relacje jezuickie*, jedno z najcenniejszych dokumentów Kościoła kanadyjskiego, kończą się na roku 1672 małą uwagą poświęconą Matce Marii od Wcielenia. Tekst ten, podpisany przez przełożonego misji, o. Dablon, wspomina tu o zasługach i świętości tej nadzwyczajnej kobiety, której śmierć wywołała ogólny smutek. Podkreśla, iż dała ona u początek kształceniu młodych dziewcząt francuskich i indiańskich, przyczyniając się tym bardzo do rozwoju kolonii.

O. Klaudiusz Martin skrzętnie zbierał dowody uznania dla jego błogosławionej Matki, przekazywane ze wszystkich stron. Miał w rękach jej pisma, w których można było jasno poznać wielkość i mnogość łask udzielonych jej przez Boga. Uważał on, że jest niejako obowiązany wywdziękzyć się jej za życie, które mu dała i pragnął przekazać potomności pamięć o jej wielkich czynach. Toteż w niespełna pięć lat po jej śmierci wydał dzieło pod tytułem: *ŻYWOT MATKI MARI OD WCIELENI*A. Praca ta ogromnie się wszystkim podobała i najwięksi ówcześni pisarze ją chwalili. Autor pisze: „Książka ta jest wyrazem wdzięczności wobec Boga i miłości do osoby, której po Bogu zawdzięczam to, czym jestem, zarówno, co do ciała jak i co do duszy”. To samo uczucie synowskiej wdzięczności skłoniło go do wydania oprócz *Listów* swej Matki także dzieł: *Katechizm albo święta szkoła* oraz *Rekolekcje w formie medytacji*, znalezionych w jej papierach⁷⁶

Biskup de Laval, dziękując o. Klaudiuszowi Martin za przesłaną autobiografię jego matki, którą z zachwytem przeczytał, mówi: „Bóg, wybierając Matkę od Wcielenia do założenia klasztoru urszulańskiego w Kanadzie, dał jej moc ducha swego Instytutu. Była to nadzwyczajna przełożona, doskonała mistrzyni nowicjatu, zdolna do sprawowania wszystkich urzędów zakonnych. Jej życie, na zewnątrz pozornie zwyczajne, było jednak systematycznie ożywione Duchem Bożym. Jej zapal o zbawienie dusz, a przede wszystkim o nawrócenie dzikich, był tak wielki, iż

⁷⁶ Klaudiusz Martin o dwadzieścia cztery lata przeżył swoją matkę. Umarł świątobliwie 9 sierpnia 1696 roku w swoim rodzinnym mieście, w opactwie Marmoutier, którego był opatem aż do swej ostatniej choroby. Ojciec Edmund Martène napisał wkrótce po jego śmierci żywot Klaudiusza, który kochał go jak syna. Cały zakon uważał go za swoją chlubę.

zdawało się, że ona ich wszystkich nosiła w sercu... Nie wątpimy zupełnie, iż modlitwami swoimi przyczyniała się bardzo do otrzymania od Boga łask tak obfitych”.

Czcigodnej Matce został przyznany tytuł *Drugiej św. Teresy*, a raczej *Teresy Kanady*. O. Klaudiusz Martin przytacza go, jako zasłyszany z ust pewnej znakomitej i świętej osobistości. Jeżeli nie był nią sam Bossuet, który znał naszego benedyktyna, to w każdym razie ten wielki mówca też ją tak nazywa. Fénelon, zgodny pod tym względem ze swym sławnym współzawodnikiem, uznaje Marię od Wcielenia za jedną z najbardziej świątłych osobistości XVII wieku. Pan Emery, wyrocznia i niejako drugi założyciel Saint Sulpice, pisał w 1802 do biskupa koadiutora z Québec, mons. Plessis, następujące słowa: „Mam wielki szacunek dla naszych urszulanek, które z pewnością odziedziczyły cnoty Marii od Wcielenia...W czasie ostatnich rekolekcji, jakie odbyłem, jej życie, listy i medytacje służyły mi jako materiał do rozmyślań i czytania. Jest to święta, którą oprócz św. Teresy bardzo czczę”. Wiadomą jest rzeczą, że ten pobożny pisarz wydał między innymi pracami książkę „Duch św. Teresy”.

Dodajmy jeszcze, że Maria od Wcielenia ma wiele wspólnych rysów ze św. Anielą Merici. Może ona być stawiana jako wzór urszulanki, która umiała się dostosować - według życzenia i przewidywania Założycielki urszulanek – do ówczesnych potrzeb środowiska, w którym ją Opatrzność umieściła.

Nadszedł wreszcie dzień, gdy ta pokorna i dzielna Matka, której pragnieniem było żyć ukrytą w Sercu Jezusowym, jest czczona przez obydwie swoje ojczyzny. Proces beatyfikacyjny, rozpoczęto w 1877 roku. Na jej kult, 19 lipca 1911 roku, zezwolił papież Pius X, a beatyfikacji, w dniu 22 czerwca 1980 roku, dokonał Jan Paweł II. Natomiast papież Franciszek, 3 kwietnia 2014 roku, włączył ją w poczet świętych poprzez kanonizację równoważną. Jej wspomnienie liturgiczne obchodzone jest 30 kwietnia. „Łaski wybraństwa, którymi Bóg ją obdarzył, stan nadzwyczajnej kontemplacji, do którego doszła mimo swego czynnego życia, uczą wszystkich - jak mówi ojciec de Charlevoix - jak dobry jest Zbawiciel dla tych, którzy Mu służą sercem prostym i czystym, jak Swoją miłością stara się złagodzić to, co życie poświęcone na służbę bliźniemu ma w sobie twardego i bolesnego.”

